

BESTSELLEROWA AUTORKA  
SERII „ZNIWIARZ”!

PAULINA HENDEL

CMENTARZ

OSOBLIWOŚCI







CMĘNTARZ  
OSOBLIWÓŚCI



PAULINA HENDEL

CMENTARZ  
OSOBLIWOŚCI



Copyright © 2023 Paulina Hendel

Copyright © Wydawnictwo Poznańskie sp. z o.o., 2023

Redaktorzy prowadzący: Łukasz Chmara, Oliwia Łuksza

Marketing i promocja: Aleksandra Kotlewska, Anna Fiałkowska

Redakcja: Karolina Borowiec-Pieniak

Korekta: Joanna Pawłowska, Małgorzata Tarnowska

Skład i łamanie: Stanisław Tuchołka | panbook.pl

Ilustracja na okładce: Martyna Biegała

Adaptacja okładki i stron tytułowych: Magdalena Zawadzka

Konwersja publikacji do wersji elektronicznej: Dariusz Nowacki

Zezwalamy na udostępnianie okładki książki w internecie.

eISBN 978-83-67551-85-4

Niniejsza praca jest dziełem fikcji. Wszelkie nazwy, postaci, miejsca i wydarzenia są wytworem wyobraźni osoby autorskiej. Wszelkie podobieństwo do osób prawdziwych jest całkowicie przypadkowe i niezamierzone.

WE NEED YA

Grupa Wydawnictwa Poznańskiego sp. z o.o.

ul. Fredry 8, 61-701 Poznań

tel.: 61 853-99-10

redakcja@weneedya.pl

marketing@weneedya.pl

www.weneedya.pl

Izie i Mateuszowi

# Rozdział 1

To zdecydowanie nie był mój dzień. Co zrobiłem nie tak? Gdzie popełniłem błąd? Odpowiedź nie nadchodziła. Zresztą trudno jest dojść do jakichkolwiek sensownych wniosków, kiedy kopią cię w brzuch. I w plecy. I w głowę. Chociaż tę ostatnią, raz z lepszym, raz z gorszym skutkiem, próbowałem osłonić ramionami.

– Chłopaki... – jęknąłem, kiedy dwóch wykonawców najwyraźniej zmęczyło się całym tym kopaniem. Wiecie, chodzi o wykonawców wszelkich brudnych robót kasty.

– Morda! – warknął Karl.

– Chyba jeszcze mu mało – stwierdził Artes, po czym zamachnął się, żeby poczęstować mnie kolejnym kopniakiem w brzuch.

– Diogenes się wścieknie! – wyrzuciłem z siebie jednym tchem i skuliłem się, czekając na uderzenie prosto w żołądek.

Cios nie nadszedł. Najwyraźniej to ja trafiłem w czułe miejsce. Dźwignąłem się na kolana i wyplułem z ust krew. Coś białego leżało w kałuży na brudnej posadzce. Czy to mój ząb? Cholera, a tak o nie dbałem. Byłem nawet u dentysty jakieś pięć lat temu.

– Dlaczego niby Diogenes miałby się wściec? – wycedził Karl.

Spróbowałem wstać, jednak moje ciało nie chciało współpracować. Usiadłem i zmierzyłem ich spojrzeniem pełnym wyższości, ale najwyraźniej nawet tego nie zauważyli.

– Dlaczego, kurwa, Diogenes... – zaczął Artes.

– Bo ja nic nie zrobiłem, a ktoś na mnie doniósł! – rzuciłem.

Karl i Artes zerknęli na siebie, jakby nic nie rozumieli. Nie płacili im przecież za inteligencję, tylko za tępą siłę.

– Jesteś pieprzony złodziej! – nie wytrzymał Karl.

– I zdrajca! – dodał jego kumpel. – Wszyscy już o tym wiedzą! Strach wygadał wszy...

Artes znieruchomiał z otwartą gębą, jakby właśnie zdał sobie sprawę, że ma za długi język.

– A więc to strach? – zagadnąłem. – Który? Który wsypał mnie za coś, czego nie zrobiłem?

Kiedy Artes nie wiedział, co powiedzieć, postanowił zdać się na to, na czym znał się najlepiej. Uniósł pięść i przywalił mi prosto szczękę. Najpierw zajaśniało mi przed oczami, później zapadła ciemność, a na sam koniec nadszedł ból. Ciotka często mówiła, że mam twardą głowę, ale ile jeszcze byłem w stanie znieść?

– Diogenes ma w swoich szeregach kogoś, kto robi krecią robotę – wydusiłem z siebie, kiedy odzyskałem oddech.

Ciemna piwnica, w której się znajdowaliśmy, zaczęła się niebezpiecznie bujać. Podłoga, śliska od mojej krwi, przechyliła się i miałem wrażenie, że jeszcze moment, a zjadę po niej jak po zjeżdżalni dla dzieci. To dziwne załamanie praw fizyki nie wpłynęło jednak na dwóch katów, którzy stali wyprostowani nade mną.

– Ktoś go okłamuje! – powiedziałem w prostszych słowach, żeby zrozumieli. – A tego Diogenes nie znosi!

Zawahali się. Jak znam życie, mieli wydusić ze mnie, gdzie jest złoto, które rzekomo ukradłem, a później wrzucić moje ciało do rzeki. Zdrajca taki jak ja nie zasługiwał na pochówek. A jednak był to los na tyle okrutny, że nawet tych dwóch półmózgów zastanowi się dwa razy, skoro wciąż zapewniam o własnej niewinności, mimo że jestem bliski wyplucia wątroby.

– Idźcie po niego – sapnąłem. – Muszę z nim porozmawiać. Chyba wiem, kto jest prawdziwym zdrajcą.

Tak naprawdę nie miałem pojęcia, ale grałem na czas.

– Dobra, ja pójdę, a ty go pilnuj – warknął Artes.

– Przecież nigdzie się nie wybieram – rzuciłem.

Chyba nie było ze mną aż tak źle, skoro potrafiłem zdobyć się jeszcze na sarkazm, choć miałem wrażenie, że co najmniej co trzecia kość w moim ciele jest połamana, a wszystko inne już powoli sinieje.

Artes odwrócił się, poślizgnął, ale szybko odzyskał równowagę i klnąc pod nosem, wspiął się po drewnianych schodkach. Kiedy stanął w progu,

do piwnicy wlało się czyste światło, a tuż za nim popłynął szum głosów ludzi zupełnie niezainteresowanych moim losem. Gdy drzwi zamknęły się z hukiem, naga żarówka zatańczyła pod sufitem. Właśnie tam, po krzywych, drewnianych schodach nakrapianych zaschniętą krwią wielu ludzi, za grubymi drzwiami znajdowała się moja wolność. Moje życie.

Usiadłem w wygodniejszej pozycji i oparłem plecy o zimną, brudną ścianę. Karl warknął coś pod nosem i wykonał w moją stronę nieokreślony ruch.

– Łap mnie, bo już ci uciekam – mruknąłem.

Wykonawca przymrużył oczy, jakby się zastanawiał, czy znów mi przyłożyć, a ja pożałowałem mojego niewyparzonego języka. Czy chociaż raz mógłbym się zamknąć i nie sprowadzać na siebie więcej kłopotów?

Zwiesiłem głowę i zamknąłem oczy, zastanawiając się, co takiego zrobiłem, że się tu znalazłem. Która decyzja w moim życiu była tą, która skierowała mnie na ścieżkę prowadzącą do tej przeklętej piwnicy? Czy to było wtedy, gdy miałem siedem lat i postanowiłem nigdy nie być biedny? A może kiedy miałem dwanaście i zobaczyłem ubranego w garnitur człowieka kasty podrzucającego w dłoni złotą monetę? Albo kiedy miałem piętnaście i kolesie z innej dzielnicy tak mnie sprali, że chciałem się na nich zemścić? Albo kiedy mama i tata...

– Te, żyjesz? – usłyszałem i poczułem lekkie kopnięcie w kostkę.

Podniosłem wzrok. Karl chyba się przestraszył, że opuszczę ten ziemski padół, akurat gdy czekamy na Diogenesa.

– Jeszcze tak – odparłem, a on odetchnął z ulgą.

Bogowie świadkami, że miał za co mnie nie lubić. Nieraz nabijałem się z niego za jego plecami i śmiałem mu się prosto w twarz. Ponad połowy docinków nie rozumiał, ale na pewno coś tam docierało do jego małego mózdzka. Uśmiechnąłem się pod nosem na wspomnienie tego, jak zaczął z wściekłości dosłownie toczyć pianę z gęby, kiedy ograłem go w karty. Był pewien, że wygra. I wygrałby, gdybym nie oszukiwał. Ale był zbyt głupi, żeby się domyślić. A teraz to ja siedziałem tutaj ledwie żywy, a on stał nade mną jak kat. Naprawdę moja przyszłość malowała się w ponurych barwach. Może Diogenes jednak się nade mną zlituje? Może nie skaże mnie na śmierć, a mojej duszy na wieczne potępienie?

To zabawne. Zawsze myślałem, że mam jeszcze czas. Że mam mnóstwo czasu. Pewnie tak samo do życia podchodzili inni, którzy nie doznali



szczęścia urodzenia się w bogatych rodzinach.

Drzwi znów się otworzyły i w prostokącie jasnego światła stanęła krępa sylwetka. Diogenes powiódł wzrokiem po piwnicy, jakby zdziwiony tym, że jego wykonawcy jeszcze przed chwilą robili sobie ze mnie worek treningowy. Powoli zszedł ze schodów, które zatrzeszczały pod jego ciężarem.

– Max! – Rozłożył ręce z udawanym przerażeniem. – Wyglądasz paskudnie.

– Karl i Artes znają się na swojej robocie – odparłem.

Dźwignąłem się z podłogi, wciąż opierając się plecami o ścianę.

– Ponoć wiesz coś, czego nie wiem ja, co?

*Wiem mnóstwo rzeczy, o których ty nie masz pojęcia* – tak chciałem powiedzieć, na szczęście dostałem akurat ataku kaszlu. Znów wypłułem trochę krwi na kafle. Współczuję temu, kto będzie tu sprzątał...

I wtedy mnie olśniło! Tylko raz widziałem starego sprzątacza, jak ogarniał piwnicę po pewnej rzezi. Polewał podłogę wodą z wiadra, a krew, mocz i gówno spływały prosto do grubej kratki w podłodze, a dokąd dalej je niosło, nikogo już nie interesowało. Nikogo oprócz mnie. Kiedyś zupełnie przypadkiem trafiłem na plany kanałów ściekowych w mieście. Mama zawsze kazała mi się uczyć. Wszystkiego i wszędzie. Mówiła, że wiedza to potęga. Cóż, dla niej było za późno, ale dla mnie może jeszcze istniała szansa?

– Krzesło – polecił Diogenes. – Dla Maxa też.

Zanim siłą posadzili mnie na drewnianym stołku, dyskretnie rozejrzałem się po całym pomieszczeniu, szukając tego, na co nikt inny nie zwracał uwagi.

– Zostawcie nas.

– Ale szefie... – zająknął się Artes.

Diogenes nie musiał powtarzać niczego dwa razy. Wystarczy, że na nich spojrział, a wykonawcy ruszyli do drzwi.

– Może chociaż go zwiążę? – zaproponował jeszcze Karl, oglądając się przez ramię.

– Przecież ten chłopak ledwie żyje! – Diogenes wskazał mnie jakby z wyrzutem, że aż tak bardzo mnie poturbowali.

Zostaliśmy sami w piwnicy. Szef przyglądał mi się, przekrzywiając lekko głowę. Jak zwykle miał na sobie tani, krzykliwy garnitur, a na głowie ten

durny melonik. Dlaczego jeszcze nikt mu nie powiedział, że nie wygląda w nim jak wielki przywódca kasty, tylko jak idiota? A może to ja powinienem zdobyć się na odwagę i zdradzić mu prawdę? Taki mój ostatni dobry uczynek przed śmiercią. Ciekawe, czy byłoby mi to policzone w zaświatach.

– Więc powiadasz, że mamy zdrajcę w naszej małej rodzinie? – zagadnął.

– I to nie jestem ja – odparłem.

– Zatem kto?

Wertowałem w głowie nazwiska ludzi, których nie lubiłem. Byłem gotów skazać któregokolwiek z nich na śmierć? Westchnąłem.

– Gównu wiesz – parsknął Diogenes.

– Nie wiem, kto jest zdrajcą, ale zacząłbym od tego, kto doniósł na mnie. Bo skoro w tej kwestii ściemniał...

– Nie kłam mi w żywe oczy! – wybuchł szef. Kropelki jego śliny wylądowały na moim policzku. – Odbierałeś towar od strachów pod cmentarzami, a stamtąd długa droga do mojego domu! Ile razy zaświerzbiły cię ręce?!

– Ani razu! – Uderzyłem się w pierś. Zabolało. – Przecież pakunki zawsze są zapieczętowane! Jak niby miałbym złamać twoją pieczęć tak, żebyś się nie zorientował?

– I to jest pytanie, na które chciałbym znać odpowiedź. – Diogenes machnął palcem w powietrzu.

– Nigdy bym cię nie okradł, jesteś dla mnie prawie jak... – To słowo nie chciało przejść mi przez gardło. – Jak ojciec – wyrzuciłem z siebie wreszcie.

Diogenes założył nogę na nogę i oparł się na krześle, aż zatrzeszczało.

– Wiesz, że zawsze cię lubiłem – odezwał się łagodniej. – Wierzyłem, że daleko zajdziesz. Może nawet mógłbyś zostać moją prawą ręką. Wiem, że miałeś wysokie aspiracje. Na pewno wyższe niż tamci dwaj. – Obejrzał się na drzwi. – To nawet nie było trudne, wymagałem tylko jednej rzeczy: żebyś był mi wierny. Dlaczego tego nie potrafiłeś? Na widok złota, jak każdego, i ciebie ogarnęła chciwość...

– Nie okradłem cię – przerwałem mu ze znużeniem.

Diogenes parsknął, po czym uniósł dłoń do własnego obojczyka. Dopiero wtedy to zauważyłem. Powietrze tuż nad jego ramieniem się rozszczepiało. Cholera, czyli plotki były prawdziwe. Kupił sobie duszę.

– Taak? – zapytał przeciągle, uważnie mi się przyglądając.

Gwałtownie zamrugalem i przetarłem twarz dłońmi.

– Dostałem w łeb i dwoi mi się w oczach – skłamałem szybko.

To znaczy dwoiło mi się, ale za nic nie przyznałbym się, że zobaczyłem to, co zobaczyłem. O nie, taki głupi to nie jestem. O takich rzeczach się nie rozpowiada. Diogenes od razu zrobiłby ze mnie stracha. A to nie była moja wymarzona ścieżka kariery. Chyba nikt normalny takiej nie chciał.

– Co o tym sądzisz, Słodka? – odezwał się szef.

– Sss, kłamie, sss – usłyszałem syczący głos.

Niespodziewanie na jego ramieniu zmaterializował się wąż.

– Gratulacje – odezwałem się gładko, wpatrując się w potwora.

– Co? – zdziwił się Diogenes, najwyraźniej zawiedziony brakiem krzyków i błagania o litość.

– Od dawna chciałeś mieć duszę – odparłem. – Dodaje ci powagi i majestatu.

– Myślisz? – Szef wypiął dumnie pierś.

– No – zapewniłem. – I wąż? Ma w sobie to coś. Nutkę grozy. A te dwie głowy? Sztos!

Patrzyłem, jak bestia wije się na jego ramionach. Była prawie tak gruba jak ludzki nadgarstek. Ciemnożółte łuski nie byłyby moim pierwszym wyborem, ale cóż, cieszysz się z tego, co dostajesz. W pewnym miejscu ciało się rozdwajało i dwie szyje, z których jedna była porośnięta zielonkawym futrem, kończyły się głowami. A obie były skierowane w moją stronę. Wężowe oczy wpatrywały się we mnie, doszukując się fałszu.

– Tylko dlaczego Słodka? – zagadnąłem.

Wiedziałem, że Diogenes będzie chciał opowiedzieć mi wszystko o swojej nowej zabawce. Nawet jeśli później skaże mnie na śmierć.

– Nadałem jej imię Słodka Zemsta – odparł dumny z własnego pomysłu.

Pokiwałem głową z uznaniem.

– Będzie niosła strach między twoich wrogów – zapewniłem.

Diogenes wysunął rękę, a wąż owinał się wokół jego ramienia. Dwie głowy znalazły się zaledwie kilka centymetrów od mojej twarzy. Przebiegł mnie nieprzyjemny dreszcz, kiedy wyobraziłem sobie, jak użębione paszcze wbijają się w moje oczy, policzki i nos. Nie oderwałem jednak wzroku od tej nieszczęsnej duszy. Rzuciłem jej wręcz wyzwanie. Jestem niewinny! – chciałem wrzeszczeć. Nie mam nic do ukrycia!

– Sss, kłamie, sss – zasyczała ponownie.

Kim była przedtem? Dziwką? Wdową? Staruszką, którą okradły jej własne wnuki? Nie miała nikogo, kto wyprawiłby jej godny pochówek? Dlaczego nie zdołała zbierać wystarczająco złota na własny zachówek? A może zbierała, tylko ktoś z jej rodziny zachorował i potrzebował pieniędzy na leczenie?

– Diogenes, słuchaj – odezwałem się, siląc się na spokój, i delikatnie odsunąłem od siebie głowy węża. – Przemyślmy to na chłodno. Razem znajdziemy zdrajcę, pomogę ci...

I wtedy dusza się na mnie rzuciła. W ostatniej chwili zdążyłem się uchylić i zamiast w twarz, wgryzła mi się w bark. Wrzasnąłem z bólu, kiedy ostre igły zębów przebiły skórę i mięśnie. Poderwałem się z krzesła i złapałem drugi łeb węża, który już celował w moją tętnicę.

– Zabierz to!!! – krzyknąłem.

– Słodka! Nie! Słodka! – powiedział twardo Diogenes, ale zaślepiona dusza w ogóle go nie słuchała.

A więc to prawda: kiedy dusze poczuły zew krwi, nic nie było ich w stanie zatrzymać.

Siłowałem się z drugim łebem, próbując odciągnąć go jak najdalej od mojego ciała. Może pierwszy wtedy puści? A może rozerwę tego przekłętego węża na dwie części? Czułem jednak, że moje dłonie zaczynają się ześlizgiwać po tym obrzydliwym futrze. Ogarnął mnie strach. Nie dam się przecież zagryźć jakiejś podrzędnej duszy!

– Słodka! Puść go! – strofował nadal Diogenes.

Podszedł do nas i złapał ją za końcówkę ogona. Jego dotyk niespodziewanie przypomniał durnemu wężowi, kto jest jego panem. Stwór natychmiast znieruchomiał. Spojrzałem w oko znajdujące się tuż nad paszczą nadal zaciśniętą na moim barku. *Znam wszystkie twoje grzechy* – zdawało się mówić, po czym zęby powoli wysunęły się z mojego ciała.

– Nie panujesz nad nią – sapnąłem, opadając z powrotem na krzesło.

Czułem, jak po ramieniu spływa mi strużka krwi, czerwone krople na chwilę zawisały na koniuszkach palców, po czym skapywały na podłogę.

– Już spokojnie – szeptał Diogenes do swojego pupila, wijącego się wokół jego dłoni. – Jeszcze się docieramy – dodał wyjaśniająco.

– Kiedy mówiłeś, że chcesz wznieść swoją działalność na wyższy poziom, nie wiedziałem, że chodzi ci o handel duszami – powiedziałem.

Nie sądziłem nawet, że miał wystarczająco środków na wkład własny...

– To już nie twoje zmartwienie – rzucił. – Wyjaśnij mi lepiej, dlaczego Słodka twierdzi, że kłamiesz.

Przeszyły mnie trzy pary oczu. Jedna ludzka, dwie węzowe.

– Bo że podbierasz łzy i handlujesz nimi na boku, to wiem od dawna. Prawie każdy tak robi. Do tej pory uznawałem to za rodzaj... – Diogenes rozłożył ręce, na których nadal wiła się dusza – premii. Na kieszonkowe kradzieże mogę przymknąć oko, ale na zdradę...

To koniec. Nie wywinę się. Widziałem to w jego oczach. Szef od zawsze mnie lubił, pobłażał mi, ale przyszła kolej, abym posłużył za przykład dla innych. Choć na co dzień spokojny, zrównoważony, udający kogoś z wyższej klasy, w takich chwilach Diogenes potrafił zamienić się w okrutnego skurczybyka, którego wychowała ulica. Miałem tylko jedną szansę.

– Nigdy bym cię nie zdradził – powiedziałem, po czym zerwałem się na równe nogi.

Chwyciłem krzesło, na którym siedziałem, i zdzieliłem nim szefa prosto w głowę.

Łupnęło głucho, na wszystkie strony posypały się drzazgi, a Diogenes osunął się na podłogę. Nie sprawdzałem, czy przeżył. Pewnie tak – tacy jak on są dość żywotni. Słodka zaczęła syczeć gniewnie, usiłując wydostać się spod brzucha właściciela. A mnie w dłoni została ułamana noga od krzesła.

Na sekundę nasze spojrzenia się spotkały.

– Przykro mi – rzuciłem, po czym wbiłem ostry koniec drewna w węza tuż pod miejscem, gdzie jego ciało się rozwidłało.

– Kłamsssa! – syczała za mną, wijąc się w bólu.

Czy dusze w ogóle odczuwają ból? Taki fizyczny?

Ruszyłem w stronę odpływu. Poślizgnąłem się na krwi i walnąłem kolanami w zimne kafle, ale już po chwili dopadłem zardzewiałej kraty. Spróbowałem ją unieść, jednak nawet nie drgnęła. Wszystko mnie już bolało, ciało opadało z sił. Wkrótce adrenalina wyparuje, a mnie pozostanie tylko zwinięcie się w kłębek w rogu piwnicy i czekanie na śmierć niegodną żadnego człowieka.

– Nie zdechnę tu jak zwierzę! – wrzasnąłem.

Zebrałem się w sobie i jeszcze raz szarpnąłem. Tym razem kratka zgrzytnęła i po chwili pełnej grozy i nadziei dała się unieść.



Obejrzałem się za siebie, po raz ostatni zerkając na nieprzytomnego Diogenesa, człowieka, który wziął mnie pod swoje skrzydła i chronił przez wiele lat, oraz na duszę pod postacią węża, uderzającą w podłogę nogą krzesła wbity w jej ciało.

Później chciałem pamiętać, że na pożegnanie rzuciłem jakimś epickim tekstem, ale prawda jest taka, że nic mi do głowy nie przyszło. Jedyne, co mi się kotłowało w myślach, to to, że muszę być jak szczur uciekający z tonącego statku. Opuściłem się w ciemność, zapałem nogami o krzywe cegły i nałożyłem za sobą kratę na miejsce. Niech te półgłówki, jak już tu wejdą, trochę się pozastanawiają, jakim cudem wyparowałem.

Schodziłem coraz niżej wąskiego, cuchnącego odpływu, aż dotarłem do poziomego tunelu. Wody było tu po kolana. Wolałem myśleć, że to woda, a nie coś innego, co sugerował duszący smród. Strop był zbyt nisko, żeby się wyprostować; wkrótce zaczęły mnie boleć plecy. Wiele razy potykałem się o różne rzeczy, które tu utknęły. Dałbym głowę, że co najmniej jedna miała obły kształt i rozmiary odpowiadające ludzkiej czaszce.

Dotarłem do rozwidlenia korytarzy. Zatrzymałem się i spróbowałem odetchnąć, ale tak tu cuchnęło, że zaczęło kręcić mi się w głowie. Spróbowałem odtworzyć w głowie mapę tych przeklętych kanałów, jednak nie potrafiłem się skupić. Wybrałem na chybił trafił.

## Rozdział 2

Wreszcie ujrzałem światło. Nie mam pojęcia, czy to był nowy dzień, czy jeszcze poprzedni; wieczór czy rano. Ale to się nie liczyło. Kiedy odepchnąłem kratkę ściekową na ulicę i wydostałem się na bruk, wreszcie byłem wolny. Miałem szansę, żeby zacząć nowe życie. Z ulgą odetchnąłem świeżym powietrzem.

Wtem usłyszałem krzyki. Grupa dzieciaków bawiących się w zaułku uciekła ze strachem.

– Potwór! Potwór! – wrzeszczały.

Zerknąłem za siebie w obawie, że to Słodka jakimś cudem mnie dogoniła, ale zobaczyłem tylko ścianę pomazaną graffiti. *Adis to hój i konfident* – znajdowało się na pierwszym planie.

Spojrzałem po sobie. Cały byłem umazany krwią, szlamem i bogowie wiedzą czym jeszcze. Cóż, nie prezentowałem się najlepiej, ale żeby tak od razu wyzywać człowieka od potworów...

Słońce kryło się za szarymi blokami. Chyba nastał wieczór. Wszedłem na ulicę i rozejrzałem się wokół. Zobaczyłem zawalony przed laty budynek teatru, którego nikt jakoś jeszcze nie odbudował. Przynajmniej już wiedziałem, gdzie jestem. Problem polegał na tym, gdzie powinienem być. Do domu wrócić nie mogłem – tam na pewno będą szukać. Większość moich kumpli to ludzie Diogenesa, więc też odpada. Cholera, a zawsze wydawało mi się, że mam tak wielu przyjaciół, na których mogę liczyć.

Ludzie na ulicy mijali mnie szerokim łukiem. Nikt nie poświęcał mi więcej uwagi. Nikt nawet na mnie nie spojrzał. Wszyscy odwracali wzrok, ewentualnie marszczyli nos, gdy poczuli bijący ode mnie fetor.

– Co, łzy uderzyły do łba? – zakpił młody, dobrze ubrany chłopak.

Pewnie wyglądałem w tej chwili jak jeden z tych ludzi, którymi sam zawsze pogardzałem – uzależniony od łez, sprzedający cały swój dobytek, a w końcu nawet własne ciało i duszę, żeby tylko zdobyć jeszcze jedną kroplę. Całkiem niedawno zastanawialiśmy się z Penelopą, co skłania ludzi do takiego życia na samej krawędzi. Jak daleko poza nią muszą się znaleźć, żeby podpisać pakt o własnej śmierci.

– Penelopa! – sapnąłem.

Ona na pewno mi pomoże. I mieszkała przecież całkiem blisko.

Przede mną pojawił się nowy cel – znaleźć schronienie na noc. Tak, wystarczy przeżyć tę noc i rozpocznie się moje nowe życie, choć nie mam pojęcia, jak ono będzie wyglądało.

Nabrałem głęboko tchu i od razu tego pożałowałem, tak zaboląły mnie zebra. Zaniósłem się kaszlem i wyplułem na ulicę skrzep krwi. Przejechałem zapuchniętym językiem po zębach. O dziwo wszystkie były na miejscu. Czyli to nie mój leżał w piwnicy na podłodze. Jeden mały sukces.

Wpadłem na kogoś, kto obrzucił mnie wiązką przekleństw. Odepchnął mnie na mur, a ja nawet nie miałem siły się bronić. Kiedyś im wszystkim pokażę...

Droga przez miasto ciągnęła się w nieskończoność. Zmierzchało. Coraz mniej ludzi było na ulicach. Miałem problemy z oddychaniem. Rana po ukąszeniu Słodkiej bolała jak cholera i chciałem wierzyć, że nie wstrzyknęła mi żadnego jadu. Nogi się plątały. Kilka razy zatoczyłem się na latarnię czy zaparkowany przy krawężniku samochód.

Wreszcie dotarłem do spalonej biblioteki.

Po drugiej stronie ulicy znajdowała się nieco obskurna kamienica. W drzwiach minąłem jakąś kobietę wyprowadzającą psa. Obdarzyła mnie zduszonym okrzykiem obrzydzenia, po czym oddaliła się pospiesznym krokiem, ciągnąc za sobą małego kundla.

Zrobiłem kilka wdechów i zacząłem wspinać się po schodach. Miesiąc temu pokonałem je w podskokach i nie dostałem nawet zadyszki. Teraz jednak droga na poddasze zdawała się katorgą.

Stanałem przed odpowiednimi drzwiami i uderzyłem w nie pięścią. Po drugiej stronie panowała martwa cisza. Znów walnąłem w sklejkę i znów nic się nie stało. Idiota ze mnie! Przecież o tej godzinie Penelopa na pewno pracowała. Była dziewczyną nocy...

Oparłem się o drzwi, nie wiedząc, co robić dalej.

Może powinienem iść do jej klubu...? Potrząsnąłem głową; nawet by mnie nie wpuścili do środka, jeśli już pominiemy kwestię, że ktoś mógłby mnie rozpoznać i powiadomić Diogenesa. Swoją drogą, ciekawe, czy do tej pory się ocknął? Czy miota się po piwnicy, klnąc jak szewc? Może nawet zdzieli po łbach Karla i Artesa za to, że nie wkroczyli do akcji, kiedy byli potrzebni.

Usiadłem na szczycie schodów i oparłem głowę o ścianę. Zacząłem wspominać wszystkie chwile spędzone z Penelopą. Była naprawdę dobra w swoim fachu – seks z nią na zawsze zostawał w pamięci i sprawiał, że człowiek chciał wracać po więcej. Ale też potrafiła słuchać. Ile godzin przeleżeliśmy w jej łóżku lub na dachu kamienicy, wpatrując się w ciemne niebo bez gwiazd? Potrafiliśmy rozmawiać bez końca. O przeszłości, o terażniejszości. Snuliśmy nawet plany na nieosiągalną dla nas przyszłość. Ona chciała wyprowadzić się na wieś, założyć rodzinę. Mieć męża, dzieci, psa i kury. Ja wolałem zostać w mieście, które od zawsze kochałem. Uważałem, że tylko tutaj mogę być kimś. Tylko tutaj mogę się wzbogacić i zdobyć szacunek innych.

A kiedy Penelopa miała dobry humor, nawet nie kazała mi płacić za te cenne godziny w jej towarzystwie. Czasem rewanżowałem się informacjami i plotkami, niekiedy drobnymi usługami naprawczymi w jej mieszkaniu. Jej współlokatorki uwielbiały mnie za to.

– Max? Max?! Bogowie! Żyjesz?!

Dopiero kiedy poczułem siarczysty policzek, ocknąłem się z tego półsnu.

– Penelopa! – sapnąłem. – Jak dobrze, że...

– Co ty tu robisz?! – naskoczyła na mnie.

– Potrzebuję trochę pomocy...

– I musiałeś przyleźć właśnie do mnie?!

Nie takiej reakcji się spodziewałem. Uniósłem na nią wzrok. Jak zwykle prezentowała się idealnie – zgrabna sylwetka, długie czarne włosy, wielkie ciemne oczy podkreślone makijażem, zwiewna sukienka. Tęskniłem za nią.

– Zapomniałam czegoś z mieszkania – oświadczyła. – A ty chciałeś siedzieć tu całą noc?!

– Będę błagał na twym progu... – zacząłem, ale zgubiłem wątek.

– Zamknij się i wynoś stąd! – syknęła.

– Nie mówisz serio. – Spojrzałem na jej twarz. Usta zacisnęła w wąską linię, a jej oczy miotały błyskawice.

– Wszyscy w mieście już wiedzą, że zdradziłeś Diogenesa! – wybuchła. – Po cholere?! Dlaczego go okradałeś?!

– Jestem niewinny – odparłem bełkotliwie.

– Nieważne! Ważne, co mówi Diogenes! Wysłał za tobą list gończy! A ja muszę wracać do pracy!

– Wpuść mnie tylko do siebie – poprosiłem. – Ogarnę się, prześpię, a rano już mnie tu nie będzie.

Penelopa jednak pokręciła głową.

– Nie sprowadzisz na mnie kłopotów – powiedziała chłodnym tonem. – Wszyscy wiedzą, że czasem się spotykaliśmy. Będą u mnie szukać. Nie mogę tak zaryzykować. Nie teraz.

Poczułem się, jakby grunt zaczął uciekać mi spod stóp. Ogarnął mnie strach. Gdzie miałem szukać pomocy?

– Kochanie, tylko ty... – szepnąłem.

– Wynoś się spod mojego mieszkania – warknęła, po czym minęła mnie i skierowała się do drzwi.

Usłyszałem za plecami zgrzyt klucza w zamku. Penelopa wzięła to, czego zapomniała, i już po minucie znów stanęła nade mną. Poczułem delikatny zapach jej perfum.

– Nie mam dokąd pójść – powiedziałem.

– Na pewno masz jeszcze jakichś znajomych – skwitowała. – Zawsze o nich opowiadałeś. Idź już stąd, proszę.

Wcisnęła mi w dłoń kilka monet. Zawiesiłem na nich spojrzenie. I tak do niczego mi się nie przydadzą, kiedy dopadną mnie ludzie Diogenesa.

– Nie chcę żadnych kłopotów, a ty na pewno je na mnie sprowadzisz – powtórzyła.

– Masz rację – powiedziałem, wstając. – Nie jesteś mi nic winna.

Chciałem oddać jej pieniądze, ale się cofnęła. Wsunąłem je więc do kieszeni i zacząłem schodzić ze schodów, wiedząc, że Penelopa patrzy na mnie z żalem, a może nawet z litością.

– Przepraszam – usłyszałem jeszcze jej szept.

Nie zareagowałem, bo nawet nie miałem na to siły. Droga w tę stronę zdawała się jeszcze dłuższa, ale w końcu stanąłem na chłodnej ulicy. W moje oczy rzucił się błyszczący czarny samochód zaparkowany pod klatką. Światła lamp odbijały się w karoserii. W środku ktoś siedział i palił



papierosa. A właściwie to widziałem tylko małą kropkę pomarańczowego żaru.

Oddaliłem się i stanąłem za rogiem. Musiałem odetchnąć. Wkrótce usłyszałem stukot obcasów na chodniku. Wyjrzałem zza węgła. To Penelopa wsiadła do czarnego auta, które odjechało z piskiem opon.

– Życzę ci, żebyś kiedyś trafiła na tę wieś i miała dobre życie – powiedziałem całkiem szczerze.

Ruszyłem przed siebie bez celu. Co jakiś czas mijały mnie jakiś samochód albo grupka imprezujących studentów. Dokąd iść? Co ze sobą zrobić? Powinienem stąd wyjechać, Diogenes wszędzie miał kontakty i prędzej czy później mnie dopadnie.

Parsknąłem pod nosem. Będę musiał opuścić jedyne miejsce na ziemi, które tak naprawdę uważałem za moje, które wiązałem z własną przyszłością. Żaden scenariusz nigdy nie zakładał, że stąd wyjadę.

Zacisnąłem palce na kieszeni, w której miałem pieniądze od Penelopy. Pewnie wystarczą na bilet na pociąg. Jak daleko dojadę? Czy w ogóle wpuszczą mnie do pociągu w takim stanie? Pewnie nie.

Mimo wszystko ruszyłem w stronę dworca.

Co chwilę musiałem przystawać, tak kręciło mi się w głowie. Rana od Słodkiej paliła żywym ogniem, żebra rwały przy każdym oddechu. Jeszcze nigdy wszystko mnie aż tak nie bolało.

Raz ukryłem się w jakimś zaułku, żeby złapać oddech. Usiadłem na chodniku, plecy oparłem o ścianę. Chyba odpłynąłem na kilka minut, a może nawet godzin. Najtrudniej było z powrotem wstać, kiedy wszystkie mięśnie zeszywniały, a zaschnięta krew sprawiła, że ubrania zaczęły obcierać mi skórę.

– Ciepły chleb – westchnąłem, czując zapach unoszący się z piekarni.

Zaburczało mi w brzuchu. Nawet nie wiem, jak długo nie miałem nic w ustach. Pragnienie zdążyłem już ugasić w cuchnącej kałuży na chodniku.

A może by tak...? Do głowy wpadła mi pewna myśl. Nie, skoro Penelopa mi nie pomogła... A może jednak? Hela lubiła litować się nad wszelkimi pokrzywdzonymi stworzeniami. Problem polegał tylko na tym, że nie przepadała za mną od pewnego incydentu... A jeśli obiecuję jej, że już nigdy nie zobaczy mojej gęby w mieście? Może nawet da mi zapasy na drogę? W końcu co miałem do stracenia?

Nie pamiętam już, jak tam dotarłem, ale wkrótce stanąłem pod przekrzywionym szyldem przedstawiającym coś, co miało być preclem. Brązowy zawijas z czarnymi kropkami zawsze kojarzył mi się jednak z czymś zupełnie innym i wtedy przechodziła mi ochota na świeże pieczywo. Okrążyłem budynek i zastukałem do drzwi od zaplecza. Wewnątrz dało się słyszeć krzątanie, a po chwili zgrzyt zasuw. Drzwi uchyliły się i ujrzałem w tej szczelinie rumianą, okrągłą twarz Heli, okoloną siwymi lokami. Zmarszczyła brwi na mój widok.

– Czego chcesz? – warknęła.

Otworzyłem usta, lecz dobył się z nich tylko charkot.

– Poczekaj tu, dam ci kawałek chleba – rzuciła i już miała zamknąć drzwi, ale szybko wsunąłem stopę pomiędzy nie a framugę.

– To ja – powiedziałem.

Hela przyjrzała mi się krytycznie, przechylając głowę na bok.

– Bogowie! – wykrzyknęła po chwili. – Max?! To ty?!

Skinąłem głową.

– Pomożesz mi? – wyrzuciłem z siebie.

Zawahała się, a ja się przestraszyłem, że i ona wyrzuci mnie na bruk.

– Wchodź – zdecydowała, przepuszczając mnie w progu.

Zanim zamknęła za mną drzwi, wyjrzała na ulicę, jakby się spodziewała, że ktokolwiek tak mnie urządził, skrada się tuż za mną.

Piekarnia zdawała się znajdować w zupełnie innym świecie. Było tutaj jasno i przyjemnie ciepło. Zza ściany dochodziły rozmowy piekarzy – synów Heli.

– Chodź. – Złapała mnie za łokieć i posadziła na krześle, po czym zaczęła oglądać rany na mojej twarzy. Kiedy dotknęła zapuchniętej kości policzkowej, syknąłem z bólu.

– Mamo, znowu kminek się skoń... – Na zaplecze wszedł jeden z jej synów, wielki koleś w brudnym białym fartuchu. Kiedy mnie zobaczył, stanął jak wryty. – Co on tu robi?!

– To zrób bez kminku – warknęła na niego Hela. – I wynocha mi stąd!

– To ty jego powinnaś... – zaczął, ale zamilkł pod srogim spojrzeniem matki.

– I przynieś mi ten kawał mięsa, co był w lodówce – poleciła.

Jej syn chyba chciał zaprotestować, ale w końcu tylko pokręcił głową.

– Zdejmuj koszulę – powiedziała twardo.

– Nigdy nie sądziłem, że kiedykolwiek usłyszę te słowa z twoich ust. – Chyba ze zmęczenia wzięło mnie na głupie teksty.

– Zaraz ci przypomnę, co ci obiecałam zrobić, jak jeszcze raz zobaczę twoją gębę w pobliżu mojej piekarni – warknęła.

– Było tam coś o robieniu sobie naszyjnika z moich jaj. – Wysiliłem pamięć. – Nikt nie potrafi grozić tak pięknie jak ty.

– Po tym, co wywinąłeś, ciesz się, że nie wprowadziłam moich gróźb w życie.

– Oj, nie przesadzaj. – Machnąłem ręką.

– Przychodzę sobie do pracy w pogodny wiosenny wieczór, wchodzę na zaplecze i widzę twój goły zadek! Ciesz się, że nie miałam wtedy pod ręką wałka do ciasta. Wyglądałbyś jeszcze gorzej niż teraz.

Uśmiechnąłem się nieprzytomnie.

– Piękne dawne czasy.

– To było zaledwie pół roku temu – przypomniała ponuro.

– No właśnie, a gdzie jest Mirabelka?

Rozejrzałem się teatralnie.

– Nawet nie wypowiadaj jej imienia! – Trzepnęła mnie dłonią w głowę, a ja poczułem, jakbym dostał młotem do łupania kamieni. – Od tamtej pory nie rusza się z domu bez przyzwoitki!

Najstarsza wnuczka Heli była piękną dziewczyną i wcale nie taką grzeczną, jak myślała o niej babcia. Zresztą te młodsze niewiele od niej odstawały. Didi też pewnego dnia będzie niezłym ziółkiem.

– No już, rozbieraj się!

Krzywiąc się z bólu, uniosłem ręce, a Hela niedelikatnie ściągnęła ze mnie koszulkę, po czym syknęła na widok mojego poobijanego ciała.

– Kto ci to zrobił? – szepnęła. – Albo nie, nie mów, nic nie chcę wiedzieć.

Pochyliła się i wlepiła spojrzenie w ranę na barku.

– Mam tylko nadzieję, że cokolwiek cię tu użarło, nie było jadowite – mruknęła.

Tak naprawdę Hela była uczciwą kobietą i nie miała do czynienia z ludźmi mojego pokroju. Dzięki temu nie znała jeszcze plotek na mój temat, które krążyły już po mieście. Gdyby tylko je usłyszała, na pewno by mi nie pomogła.

Na zaplecze wszedł jej syn (na szczęście nie wiedział o moich spotkaniach z Mirabelką) i podał matce kawał surowego mięsa.

– To miał być nasz obiad – powiedział z wyrzutem.

– To ugotuję coś jarskiego! – Wzięła mięso i wyrzuciła mężczyznę za drzwi. – Przyłóż to do twarzy, może przestaniesz puchnąć.

– Mało to higieniczne. – Skrzywiłem się.

Spojrzenie Heli ciskało pioruny.

– Przepraszam jaśnie pana, że nie mam profesjonalnego zestawu do opatrywania ran! – Ujęła moją rękę trzymającą mięso i przycisnęła ją do mojego policzka.

Zacząłem się zastanawiać, czy przyjście tutaj było rzeczywiście dobrym pomysłem. Jednym okiem patrzyłem, jak Hela zaczyna przetrząsać regały, aż znalazła niewielką apteczkę. Głucha na moje jęki, bez skrępowań połała rany wodą utlenioną i zaczęła naklejać na nie plastry.

– To nadaje się tylko do szycia. – Stuknęła mnie w ramię, a ja zobaczyłem przed oczami gwiazdy.

– Gdybym mógł, to poszedłbym na pogotowie – burknąłem, kiedy odzyskałem głos.

– Spróbuję ci to jakoś ogarnąć, ale nie gwarantuję, że nie dostaniesz zakażenia. Bo że będziesz miał bliznę, to akurat mogę obiecać.

– To jest mój najmniejszy problem w tej chwili – westchnąłem.

Hela obficie połała gazę wodą utlenioną, przyłożyła ją do rany zostawionej przez zęby Słodkiej, po czym zaczęła bandażować bark.

– Nie wiem, jak odwdzięczysz mi się za tę pomoc – odezwała się.

Sięgnąłem do kieszeni po te kilka monet, które dostałem od Penelopy.

– Schowaj pieniądze – rzuciła. – Tobie bardziej się przydadzą. Na przykład na bilet do miasta Jak Najdalej Stąd.

– Jakoś się zrewanżuję – zapewniłem.

Gdy skończyła, Hela nakarmiła mnie i napiła, po czym kazała jeszcze zdjąć spodnie i przyniosła mi, jeśli sądzić po rozmiarze, olbrzymie ciuchy któregoś z synów. Skinąłem głową z wdzięcznością.

– To będzie trzeba spalić – mruknęła, odkopując moje brudne i zakrwawione ubrania w kącie. – Teraz się zdrzemnij. – Rozłożyła na podłodze ciekawą matę i koc. – Mam mnóstwo roboty.

Zsunąłem się z krzesła i na czworakach doszedłem do maty. Hela, stojąc w drzwiach, zamokła cicho. Nim zgasiła światło i zamknęła za sobą, ja już spałem, błogo nieświadomy tego, że właśnie ściągnąłem na nią i jej rodzinę śmiertelne niebezpieczeństwo.

## Rozdział 3

Nie wiem, jak długo spałem. Raz czy dwa przebudziłem się i dowlokłem do toalety, a Hela dała mi wodę i coś do jedzenia. Przez sen słyszałem stłumione dźwięki piekarni, wciąż czułem cudowny zapach wypieków. Mógłbym zostać tu na zawsze. Dlaczego nigdy nie zapytałem Heli, czy ma wolny etat? Nie zarabiałbym wielkich pieniędzy, dostałbym zaledwie łóżko na poddaszu, ale byłbym bezpieczny, a ta twarda babka dbała o swoją rodzinę. Czasem nad ranem po ciężkiej nocy mógłbym usiąść na zapleczu z jej synami i wypić kwas chlebowy. Zagralibyśmy w karty na zapałki (Hela nie znosiła hazardu). Może nawet kiedyś oświadczyłbym się Mirabelce, a ona by mnie przyjęła.

*Osiągniesz w życiu wielkie rzeczy* – przekonywała mnie mama, kiedy byłem mały. I bogowie mi świadkami, że próbowałem, ale chyba wybrałem złą ścieżkę. Zresztą w Piekarni pod Preclem raczej też nie miałbym szans na tę wielkość.

Obudziłem się w ciemnościach. Znów poczułem zapach pieczonego chleba. Czyli noc.

Na zaplecze weszła Hela. W dłoni miała nowe bandaże.

– Wstawaj, kochasiu – powiedziała.

Dźwignąłem się z maty na krzesło, a kobieta zaczęła zmieniać moje opatrunki. Nadal wszystko mnie bolało, ale teraz czułem, że dam radę przeżyć i nie zdechnę w rynsztoku jak szczur.

– Dziękuję – szepnąłem, kiedy na nowo zabandażowała mój bark.

– Eh – westchnęła. – Nie wiem, czy znajomość z tobą była warta tego wszystkiego.



– Przez wiele miesięcy kupowałam najtańszą mąkę w mieście – przypominałem.

Jako kurier kasty, wciąż przemierzający miasto tam i z powrotem, wiedziałem niemal o wszystkim, co się w nim działo. Nawet o tym, gdzie puścili taniej mąkę, cukier i przyprawy. Może to niewiele, ale Hela cieszyła się, kiedy wpadałem do niej wieczorem z informacjami. Zawsze częstowała mnie świeżymi wypiekami. A ja nie narzekałem, że za tak prozaiczną informację mogę chociaż raz na kilka dni zjeść porządny posiłek. Poza tym, nieskromnie mówiąc, znałem prawie każdego w tym mieście, a jak nie każdego, to znałem jego znajomych. Gdy coś trzeba załatwić, to najlepiej uderzać do Maxa.

Pamiętam, jak Heli zepsuła się lodówka i nie miała pieniędzy na nową. Tak się złożyło, że akurat było to tuż po tym, jak taki jeden cwaniaczek zwinął całą ciężarówkę tego typu sprzętu. Hela trochę się dziwiła, dlaczego ta lodówka jest tak tania, ale kazałem jej nie dopytywać. Tym sposobem wszyscy byli szczęśliwi – koleś od kradzieży, bo sprzedał, co miał; Hela, bo kupiła coś po tanioci; a ja, bo przez tydzień jadłem ciepłe obiady.

Wydaje mi się, że wielu ludzi kasty nie docenia zwykłych, małych znajomości. Nie, oni wolą usługiwać tym, którzy są na wyższym szczeblu. Wić się u ich stóp w nadziei na jakiegokolwiek ochłapy.

Nagle drzwi na zaplecze otworzyły się z rozmachem. Do środka wpadł syn Heli.

– Mama! Przyszli po niego! – sapnął.

Moje serce na chwilę się zatrzymało. Miałem wrażenie, że cała krew odpłynęła mi z twarzy i wyglądam teraz jak trup. Wymieniłem spojrzenia z Helą. Przez chwilę widziałem w jej oczach wahanie. Jeśli mnie wyda, nie będzie miała kłopotów. A może nawet coś na tym zyska.

Naraz zerwała się z krzesła i zaczęła zrzucać worki z mąką z najniższej półki regału.

– Włóż tu! – poleciła mi. – A ty ich czymś zajmij! – nakazała synowi.

Ten wybiegł do sklepu.

Zaciskając mocno zęby, żeby nie wyc z bólu, wgramoliłem się na półkę, a Hela zaczęła zastawiać mnie na powrót mąką.

– Dobrze, że jesteś mały – stwierdziła, po czym odsunęła się od regału, chyba po to, by ocenić moją kryjówkę. – Nie widać cię. Ani mi się waży wydać jakiegokolwiek dźwięk.

Nic nie odpowiedziałem na znak, że rozumiem. Po chwili światło zgasło i usłyszałem trzaśnięcie zamykanych drzwi.

Bogowie, niech oni tylko tu nie wejdą. A jak zaczną przetrząsać całą piekarnię? Znajdą mnie i zaciągną przed oblicze Diogenesa. A może nie? Może zabiją mnie na miejscu? Nie, raczej szef będzie chciał zemścić się na mnie osobiście. A co zrobią Heli i jej rodzinie za ukrywanie mnie? Przecież to zwykli ludzie, nie wiedzieli o liście gończym z moją głową. Może ich nie skrzywdzą? A jeśli ich też zabiją?

Moje serce waliło jak oszalałe, a wyobraźnia podsuwała coraz to nowsze wizje tego, co szef mi zrobi, jak wpadnę w jego ręce.

Wysiliłem słuch. Zza ściany dochodziły do mnie podniesione głosy. Hela krzyczała na kogoś, a ten ktoś odpowiadał jej krzykiem. Nie rozpoznawałem tego głosu. Może to jakiś nowy wykonawca Diogenesa?

*Tylko tu nie przychodź – modliłem się. Bogowie, dajcie mi jeszcze jedną szansę. Asazanie, niech będą tak ślepi jak ty. Nazaso, niech będą tak głusi jak ty. Chociaż na chwilę.*

Rzadko modliłem się do bogów. Sądziłem, że takim jak ja nie odpowiadają. O nie, oni woleli wysłuchać prośb lepszych ludzi. Tych, którzy po śmierci przyniosą im więcej bogactwa. Tych, którzy potrafią wkupić się w ich łaski. Ja byłem zwykłym, szarym, nic nieznaczącym człowiekiem.

– A proszę cię bardzo! – doszedł mnie donośny głos Heli, a po nim skrzypnięcie otwieranych drzwi do zaplecza. Zrobiło mi się gorąco. – Tylko buty wytrzyj! Tu przechowuję produkty spożywcze!

Szuranie, ciche kroki i chrapliwy oddech. Tak bardzo chciałem zobaczyć, co działo się tuż przede mną, ale nie śmiałem nawet drgnąć.

– A to co? – Usłyszałem stęknienie, kiedy wykonawca się po coś schylił.

– Bandaż, nie widać? – odparła opryskliwie Hela.

– Dlaczego jest zakrwawiony?

– Bo mój durny syn wbił sobie nóż w rękę przy krojeniu tortu – skłamała jak z nut.

– Nie widziałem, żeby którykolwiek miał...

– Myślisz, że mam tylko dwóch synów? Tamtego idiotę odesłałam do domu, żeby nie zakrwawił mi reszty wypieków.

Facet stał nieruchomo, oddychając ze świstem. Pewnie już kilka razy połamali mu nos w trakcie jego kariery w kaście i stąd te wkurzające

odgłosy.

– Mówiłam, że go tu nie ma – parsknęła Hela. – Od pół roku go nie widziałam, odkąd dobierał się właśnie tu, na zapleczu, do mojej wnuczki. Jak go złapiecie, to możecie go ode mnie pozdrowić. I nie bądźcie przy tym delikatni.

Wykonawca jednak nadal się wahał.

– Co tu jest? – Dałbym głowę, że wskazał dokładnie to miejsce, w którym leżałem.

– Mąka, cukier, przyprawy. Tu też chcesz zajrzeć? Proszę bardzo! – Hela ściągnęła z mojej półki worek z mąką i z głuchym łupnięciem rzuciła go na podłogę.

*Co ona wyprawia?! – przeraziłem się. Zaraz mnie zobaczą!*

– Gdzie z tymi łapami! – wybuchła i jeśli sądzić po odgłosach, pacnęła gościa po rękach.

Po plecach spłynęła mi strużka potu. Ta kobieta była albo nieustraszona, albo bardzo, ale to bardzo nieświadoma tego, z kim ma do czynienia.

– Tu by się nie zmieścił przecież – dodała łagodniej. – No, chyba że w kawałkach.

Kolejne kroki i ktoś stanął w drzwiach.

– Reszta piekarni czysta – oświadczył.

Nastąpiła chwila ciszy, która dla mnie i tak trwała zbyt długo.

– Tu też go nie ma – odparł wykonawca.

– To się zawijamy. A może w jego mieszkaniu...?

– Mówiłem ci, że już tam byli. Przetrzęsneli całą chałupę i nic nie znaleźli. A poza tym nawet on nie byłby na tyle głupi... – Reszty wypowiedzi już nie usłyszałem.

Ludzie Diogenesa wyszli z piekarni. Ja jednak na wszelki wypadek jeszcze się nie ruszałem z mojej kryjówki.

Słyszałem ściszone rozmowy i kroki w sklepie. Nikt nawet nie zajrzał na zaplecze. Czekałem i czekałem. Wszystko na powrót zaczęło mnie boleć. Dobrze, że nie poszedłem do siebie – wtedy na pewno by mnie dorwali. Zresztą w mieszkaniu nie miałem nic wartościowego, co chciałbym zabrać ze sobą do pociągu.

Moja ręka odruchowo powędrowała do szyi i zawieszanej na rzemyku monety. I nagle zdałem sobie sprawę, że jej tam nie ma. Zrobiło mi się na przemian zimno i gorąco. Gdzie ona jest?! Gorączkowo poklepywałem się

po krtani i klatce piersiowej, jakbym na powrót mógł wyczarować jedyną rzecz, jaka została mi po rodzicach. Gdzie mogłem ją zgubić?! A może Karl i Artes ją wzięli? Co za chuje! Miałem ochotę natychmiast wyczołgać się z tej przeklętej półki, pozrzucić worki z mąką i iść na miasto szukać tych dwóch...

I właśnie wtedy wróciła mi pamięć, którą straciłem chyba po licznych uderzeniach w głowę. Przecież na wszelki wypadek zostawiłem monetę w mieszkaniu. Gdyby coś poszło nie tak. Pacnąłem się dłonią w czoło. Co ze mnie za idiota! Po cholere ją tam zostawiłem? Przecież nie mogłem wrócić. To nawet nie wchodziło w rachubę. Tylko dlaczego zacząłem się zastanawiać, czy Diogenes wystawił czujkę pod moją kamienicą?

Doszły mnie pospieszne kroki i Hela zaczęła zrzucić z mojej półki mąkę.

– Wyłaż stamtąd! – warknęła.

Z trudem się wyczołgałem i stanąłem na chwiejnych nogach.

– Na co ty żeś nas naraził?! – naskoczyła na mnie.

– Na nic, przysięgam! – Uderzyłem się w pierś.

– To byli ludzie z kasty! – Machnęła oskarżycielsko w stronę drzwi.

– Przecież wiesz, dla kogo pracowałem – mruknąłem.

– Ale nie, że będziesz się z tym aż tak obnosił! Oni byli gotowi wywrócić całą piekarnię do góry nogami!

Zrobiło mi się naprawdę głupio. Diogenes lubił odrąbywać ludziom ręce. To był najlepszy scenariusz tego, co mogło czekać synów Heli, gdyby tamci mnie tu znaleźli.

– Nic się nie stało – rzuciłem pocieszająco.

Hela zaczęła szybciej oddychać. Widziałem, jak jej duże piersi unoszą się i opadają pod białym fartuchem.

– Pomogłam ci na tyle, na ile mogłam – powiedziała, a ja miałem wrażenie, że jest naprawdę bliska spełnienia wszystkich swoich dotychczasowych gróźb. – Przeżyjesz. Teraz musisz stąd odejść.

Przez otwarte drzwi widziałem wlewające się na zaplecze światło.

– Jest dzień – zaoponowałem słabo.

– To już twoje zmartwienie.

Skinąłem głową. Nie mogłem przeginać. Znów sięgnąłem do kieszeni po pieniądze od Penelopy.

– Schowaj mi te krypty! – wybuchła Hela. – Wystarczy, że wyjedziesz daleko stąd i już nigdy więcej cię nie zobaczę!

– Nie zobaczysz – obiecałem. – Ale kiedyś się odwdziczę.

– Akurat – prychnęła.

Podeszła do torby leżącej w kącie, wyjęła z niej jakieś szmaty i mi je wręczyła. Spojrzałem na nią pytająco.

– Dziś Parada Śmierci – wyjaśniła. – Mamy iść na nią całą rodziną. Cóż, jeden z moich chłopaków nie będzie miał przebrania.

Rozprostowałem przed sobą porwaną koszulę pomazaną farbą i spodnie w podobnym stanie. Do tego jeszcze była maska z papier mâché. Przedstawiała trupią twarz wykrzywioną w groteskowy sposób, ale gdy tak na nią patrzyłem, przeszły mnie ciarki.

– Cały dzień możesz w tym chodzić – dodała Hela. – Nawet do pociągu cię tak wpuszczą.

Pokiwałem głową. W dzień Parady Śmierci prawie wszyscy w mieście przebierali się za jakieś maskarony. Pili, bawili się, szli w parady. Spis Powszechny, który poprzedzał Dzień Śmierci, dla każdego był jakoś stresujący i właśnie teraz hamulce puszczały.

– Dziękuję – szepnąłem. Nie chciałem, żeby Hela usłyszała, że łamię mi się głos.

– Przebieraj się, a ja spakuję ci coś na drogę.

Zanim się obejrzałem, stałem na ulicy przebrany za potworną duszę. Wczesnojesienne słońce promieniowało ciepłem, które odbijało się od chodników i murów. Minęła mnie grupka młodych, głośnych ludzi w krzykliwych kolorach. Chyba nawet mieli pióra we włosach. Tego jednego dnia wszystko było dozwolone.

– Dworzec jest tam – usłyszałem za plecami.

Hela nadal stała w drzwiach piekarni, a jej synowie w wielkiej witrynie, jakby wszyscy chcieli się upewnić, że naprawdę odejdę.

Machnąłem ręką na pożegnanie i ruszyłem przed siebie. Od dworca dzieliły mnie jakieś cztery kilometry. Wystarczająco dużo, żeby spokojnie przemyśleć swoje życie i obrać nowy cel, a może nawet zdecydować, dokąd się wybiorę.

– Szczęśliwego Dnia Śmierci!

Naraz znalazłem się w samym środku grupki rozchichotanych dziewczyn. Jedna zarzuciła mi na szyję wieniec z kwiatów, inna ucałowała w policzek maski.

– Wesołego – odparłem bez entuzjazmu, a one pobiegły dalej, całować i obdarowywać kwiatami innych przechodniów.

Jako dzieciak uwielbiałem to święto. Mama zawsze przygotowywała dla nas niesamowite stroje. Takie, których zazdrościli mi wszyscy koledzy. Wiem, że pracowała nad nimi już na wiele tygodni przed paradą. Szyła je ręcznie całymi nocami, bo nigdy nie stać było nas na maszynę. Miałem chyba z siedem lat, kiedy obiecałem jej, że pewnego dnia kupię jej maszynę do szycia, a wtedy będzie mogła szyc stroje dla innych i zarabiać na tym mnóstwo pieniędzy.

– Na pewno tak będzie – odparła, z czułością gładząc mnie po policzku.

Zawsze uczestniczyliśmy w paradzie, ojciec dawał mi koszyk pełen płatków kwiatów, które zbierał nad ranem poza miastem, a ja jak szalony sypałem nimi wszędzie dookoła. Później brał mnie na barana i stamtąd widziałem całą paradę. Podziwiałem piękne, kolorowe, a czasem straszne stroje. W ten jeden dzień wszyscy byli szczęśliwi i zostawiali za sobą wszelkie troski. Po paradzie tata kupował coś do jedzenia od obwoźnych sprzedawców. Zazwyczaj była to zwykła bułka z serem albo kolba kukurydzy z masłem, ale smakowała mi jak niebiańska strawa. Nigdy nie jadaliśmy na mieście, bo nie było nas na to stać. Z wyjątkiem Dnia Śmierci.

Miałem dwanaście lat. To był Nowy Dzień Śmierci. Ten, który przypadał wiosną. Po paradzie, kolacji i wieczornym spacerze ulicami miasta zatrzymaliśmy się w parku. Wiedziałem, że rodzice byli bardzo podekscytowani. Mama wciąż się uśmiechała, a tata co chwilę klepał się po kieszeni. Usiedliśmy na ławce. Zmierzchało, ale ludzie wszędzie wokół zapalali lampiony, które nadawały parkowi wygląd magicznej krainy.

– Maximusie – zaczął ojciec. – Masz już dwanaście lat.

– Jesteś taki duży i odpowiedzialny – dodała mama.

– Pora, abyś zaczął odkładać swój zachówek, z którym zostaniesz pochowany i który przekażesz bogom. A to jest prezent od nas dla ciebie. – Wyciągnął z kieszeni złotą monetę z dziurką w środku, wiszącą na rzemieniu. Zalśniła w świetle lampionów ukazujących wyryte na niej stare symbole.

– Jest piękna – wydusiłem.

Rodzice wymienili dumne spojrzenia, po czym tata zawiesił ją na mojej szyi i wszyscy się uściskaliśmy. Do tej pory pamiętam uczucia, jakie mnie

wtedy ogarnęły – olbrzymie szczęście, poczucie bezpieczeństwa w ramionach rodziców i dumę z samego siebie.

To był nasz ostatni wspólny Dzień Śmierci.

– Co, do cholery? – Staiałem jak wryty i rozejrzałem się wokół.

Nie byłem wcale w drodze na dworzec. Gdybym na następnym skrzyżowaniu skręcił w prawo, znalazłbym się kilkadziesiąt metrów od mojej kamienicy.

– Co ja wyprawiam? – mruknąłem do siebie.

Ale doskonale znałem odpowiedź na to pytanie. Nie mogłem opuścić miasta, dopóki nie wezmę tej monety. To była jedyna cenna rzecz w moim życiu. Nie zacznę nowego bez niej.

Dotarłem do skrzyżowania i ostrożnie wyjrzałem zza rogu. Wystarczyła sekunda, żeby zobaczyć wszystko, czego potrzebowałem.

– Bardzo dyskretnie – zakpiłem pod nosem.

Naprzeciwko mojej kamienicy siedział na ławce wielki koleś, który udawał, że czyta gazetę. Od razu było po nim widać, że to jeden z ludzi Diogenesa.

Takiego wała. Nie dam się tak głupio złapać. Cofnąłem się i zacząłem zastanawiać, czy zdołam wspiać się na drugie piętro. Krytycznie przyjrzałem się kamienicy. Prawie czarna już cegła, zardzewiała rynna, która ledwie trzymała się na kotwach. Dupa, musiałbym być jakimś pajakiem, żeby tam wleźć. Jak długo Diogenes zamierzał pilnować mojego domu? Jeszcze dzień, dwa, trzy? Nie miał nadmiaru ludzi do takich robót, ale też nie mógł pozwolić sobie w tej chwili na puszczenie mnie wolno.

Jeszcze raz wyjrzałem zza rogu. W końcu w kamienicy mieszkało dużo najemców, a ja miałem dobre przebranie...

Postawiłem wszystko na jedną kartę. Ruszyłem lekkim krokiem w stronę drzwi. Na pewno nie wyróżniałem się w tłumie innych kolorowo ubranych osób. W oddali usłyszałem bębny i radosne śpiewy. Dwie ulice dalej szła parada. Było coś pociągającego w jej dźwiękach, w tym szumie, który trafiał prosto do mojego serca, budząc w nim najlepsze wspomnienia z dzieciństwa. Bogowie, ile ja bym dał za to, żeby znów być tym małym Maxem siedzącym na ramionach taty...

Szedłem dalej przed siebie krzywym chodnikiem. Wykonawca siedzący na ławce nawet na mnie nie spojrział. Ja za to obserwowałem go bardzo uważnie spod maski. Nagle skinął głową komuś stojącemu pod samymi

drzwiami prowadzącymi na moją klatkę. Zwolniłem kroku, moje serce za to przyspieszyło. Nogi szykowały się do ucieczki.

Koleś w wejściu właśnie zdierał z twarzy maskę starszemu mężczyźnie, który mieszkał na trzecim piętrze.

– Co pan wyprawia?! – oburzył się mój sąsiad.

Wykonawca zmierzył go spod przymkniętych powiek, jakby zastanawiał się, czy to na pewno nie ja. W końcu machnął ręką.

– Dobra, idź, dziadek, dalej.

Starszy mężczyzna pozbierał swoją maskę z chodnika.

– Co to się dzieje z ludźmi...? – mamrotał pod nosem.

I właśnie wtedy wykonawca spojrzał wprost na mnie. Wszystko we mnie zamarło. Zacząłem klepać się po kieszeniach, jakbym czegoś szukał, a sekundę później odwróciłem się na pięcie i ruszyłem w przeciwnym kierunku.

– Hej! Ty! – usłyszałem za plecami.

– Cholera – sapnąłem i puściłem się biegiem.

Za mną rozległy się kroki. Obejrzałem się przez ramię. Drugi wykonawca zerwał się z ławki i obaj ruszyli za mną. Nagle usłyszałem świst, a tuż po nim zgrzyt metalu o cegłę. Kątem oka zobaczyłem, jak na ziemię spada bełt, który zrykoszetował od muru. Psiakrew! Mieli kuszę! Dobrze tylko, że zabrakło im cела.

Pędziłem przed siebie, długa szata owijała mi się wokół nóg, maska utrudniała oddychanie. Instynktownie kierowałem się w stronę coraz głośniejszych dźwięków parady. Przebiegłem przez środek skrzyżowania, jakiś samochód zatrzymał się z piskiem opon i mnie otrąbił. Rzuciłem spojrzenie przez ramię. Cholera, obaj ludzie Diogenesa nadal mnie gonili, a co gorsza, byli coraz bliżej. Znow zaczęło mnie rwać w żebrach, rana po Słodkiej kłuła do samych kości. Dobrze, że nie mieli czasu, żeby ponownie załadować kuszę. Niech to szlag, Diogenes naprawdę musiał się wściec, skoro w biały dzień kazał im wziąć broń, która w mieście była zakazana.

Moim oczom ukazał się kolorowy pochód. Ludzie szli, tańczyli, śpiewali. Płatki kwiatów sypały im się na głowy. Wpadłem prosto między nich i dałem się porwać tej radosnej rzece. Zderzyłem się z kimś i spojrzeliśmy na siebie poprzez ciemne oczodoły masek. Jego strój był znacznie gorszy niż mój. Bez zastanowienia ściągnąłem mu z twarzy maskę i wcisnąłem mu moją.



- Ale... - zająknął się, po czym spojrzął z uznaniem na dobrą robotę synowej Heli i pospiesznie założył ją na głowę, jakby bojąc się, że zaraz się rozmyśle i będę chciał ją z powrotem.

Ja za to skryłem twarz za jego maską przedstawiającą coś, co przypominało chorego koguta.

Zwolniłem kroku, zrzuciłem z siebie płaszcz i zdarłem kwiecistą pelerynę z jakiejś babci. Pozwoliłem, żeby prąd ludzkiej rzeki poniósł mnie ze sobą. Nie opierałem się, na chwilę byłem bezpieczny, ale mój mózg pracował na najwyższych obrotach.

Rzuciłem spojrzenie za siebie. Zobaczyłem dwóch wykonawców Diogenesa. Ten większy złapał za ramiona zaskoczonego chłopaka, a drugi zerwał z niego maskę. Przez kilka sekund przypatrywali mu się, jakby w ogóle nie rozumieli, co się działo, po czym odepchnęli go w tłum i zaczęli rozglądać się za mną, jednak nie mieli już szans, żeby namierzyć mnie w tym tłoku. Mimo to parłem naprzód, jak najdalej od nich. Co jakiś czas ktoś nadeptywał mi na stopę, stukał łokciem po żebrach. Ludzie wokół mnie śmiali się, śpiewali, krzyczeli. Miałem wrażenie, że gdyby ktoś spojrzął na nas z góry, od razu dostrzegłby wśród tej feerii barw i radości ponurą czarną plamę. Byłem chyba jedynym człowiekiem na paradzie, który się nie cieszył, nie dał porwać temu szaleństwu, tylko gorączkowo myślał, jaki następny krok wykonać, żeby przetrwać.

W końcu rozboleła mnie głowa, wszystkie siniaki i rany dały o sobie znać tęnym pulsowaniem. Poczujęm, jakbym się dusił. Zdarłem z twarzy maskę, ale nadal brakowało mi tchu. Musiałem się stamtąd wyrwać, bo inaczej padłbym na ulicę i został zdeptany jak tysiące płatków kwiatów, które tylko na chwilę wznosiły się w powietrze, żeby zaraz opaść ku swojej zagładzie na bruku.

Zacząłem przepychać się w bok, ludzie potrącali mnie, ktoś nawet rzucił niewybrednym komentarzem pod moim adresem, ale wkrótce znalazłem się na skraju tłumy, a gdy postąpiłem jeszcze jeden krok, zdawało się, jakbym właśnie wyszedł z rzeki i stanął na jej kamienistym brzegu. Przedemną niby szeroki, ciemny tunel jawiła się brudna uliczka.

- Szanty - szepnąłem. - O, ironio.

Ruszyłem naprzód w mrok, zostawiając za sobą kolorowy pochód. Tutaj radość nigdy nie docierała. Tutaj ludzie wiedli nieistotny żywot i tak samo

umierali – bez znaczenia, bez żalu; wiedząc, że ani życie, ani śmierć nie mają im nic do zaoferowania.

## Rozdział 4

Jakieś czterdzieści lat temu zamknęli stary port w Tambergu, nadmorskim mieście. Ponoć był nierentowny. Nie wiem, nigdy się za bardzo tym nie interesowałem, a zresztą to było na długo przed moimi narodzinami. W każdym razie wielu ludzi zostało bezrobotnych. Marynarze i pracownicy portowi ruszyli w świat szukać pracy i szczęścia. Wielu z nich trafiło do nas, do Żaropola, jednego z największych miast Hetarii. Burmistrz przyjął ich z otwartymi ramionami, zapewnił tanie mieszkania w starej dzielnicy. Liczył, że będą dobrą i taną siłą roboczą w nowej fabryce żarówek. Wielu z nich rzeczywiście szybko się zasymilowało z lokalną ludnością, znaleźli pracę, sprowadzili tu swoje rodziny albo założyli nowe. Byli też tacy, którzy nie odnaleźli się w tych warunkach. Marynarze potrafią łykać łyżę jak sok. A to okazało się wodą na młyn kasty, która tymi łyżami handlowała.

Jak to zazwyczaj w życiu bywa, ci, którzy mieli, wzbogacili się na tym przesiedleniu, a ci, którzy byli słabi, stoczyli się na samo dno. Mieszkają w rozpadających się budynkach, nie mają co jeść, ale zawsze znajdują pieniądze na łyżę. A dawne szanty już nie pobrzmiwają między gołymi murami, bo i nikt nie ma siły, żeby je śpiewać. Została jedynie nazwa dzielnicy, która bardzo szybko przyjęła się wśród lokalnych.

Chciałbym powiedzieć, że nie znam tego miejsca, że nigdy się tu nie zapuszczałem. Ale tutaj znajdował się najlepszy rynek zbytu na kradzione łyżę. Tutaj nikt nie pytał, skąd mam towar, czy jest czysty ani dlaczego jest taki tani.

Minąłem mężczyznę z poplątaną brązową brodą siedzącego na kartonach na chodniku. Podniósł na mnie spojrzenie pustych oczu. Na chwilę zapaliła się w nich iskierka nadziei, ale kiedy uznał, że nie mam przy sobie

łez, od razu stracił mną zainteresowanie. Ludzie tutaj byli jak zwierzęta w klatce. Wiedzieli, jaki czeka ich koniec, i nie potrafili nic z tym zrobić. Już dawno temu przestali walczyć o lepsze jutro.

Dotarłem do kamienicy z powybijanymi oknami. Tynk odpadał płatami od ścian i zalegał grubą warstwą w wąskim ogródku pełnym chwastów. Stałem w progu. Zapukałbym do drzwi, ale ich nie było. Tylko futryna z łuszczącą się farbą. Zawsze mnie zastanawiało, jak oni są w stanie przetrwać zimę w takich warunkach.

– Jest ktoś w domu? – zapytałem głośno.

Tutaj każdy pilnuje swojego rewiru, nawet jeśli to zrujnowana kamienica albo porwany namiot.

– Kogo bogowie nadali? – usłyszałem grzmiący głos.

W głębi mieszkania rozległy się ciężkie kroki sugerujące, że ktokolwiek się zbliżał, był dość sporych rozmiarów. Wkrótce ujrzałem w mroku potężną postać dzierżącą w dłoni pradawny harpun na ryby.

Pospiesznie zdjąłem maskę.

– To ja – przywitałem się.

– Jeszcze żyjesz? – Starszy mężczyzna z siwą brodą okalającą twarz uniósł w zdziwieniu krzaczaste brwi.

– Jestem sprytniejszy, niż podejrzewają.

– Gdybyś był, to nie stałbyś na moim progu przebrany za zdychającą kurę – sarknął mężczyzna.

– W punkt. – Pokiwałem głową.

– Wchodź. – Gospodarz odwrócił się na pięcie i zniknął w głębi mieszkania.

Bez zastanowienia poczłapałem za nim. W mojej obecnej sytuacji nie mogłem odmówić żadnej pomocy. Minałem schody wiodące do góry. Poręcze były przewiązane sparciętym sznurkiem – na piętro już od kilku lat nie było wstępu, bo groziło zawaleniem.

Wszedłem do jednego z pokoi na parterze. Znajdowały się tu dwa okna – jedno zabite deskami, drugie z brudną szybą. Podłużne pęknięcie na szkle było zalepione taśmą. Na brudnych, niegdyś jasnozielonych ścianach ktoś kiedyś namalował specjalnym wałkiem wzory kwiatowe. Dawniej może wyglądało to ładnie, teraz tylko straszło. Obrazu nędzy i rozpaczony dopełniały stara komoda na trzech nogach, wersalka z podejrzany

burymi plamami, zapadnięta w jednym rogu drewniana podłoga i stary dywan. Tytusowi już lata temu przestało zależeć na wyglądzie domu.

Teraz usiadł w brudnym fotelu i patrzył na mnie. Nie ze strachem, nie z ciekawością. Po prostu patrzył. Tutaj, na Szantach, rzadko kiedy pytano o to, co i dlaczego się stało. A ja jak jakiś przygłup wpatrywałem się w ten jego zapleśniały fotel i zastanawiałem, ile gatunków robaków żyło sobie spokojnie pod gąbką między zardzewiałymi sprężynami.

– Siadaj. – Gospodarz wskazał brodą wersalkę.

Spróbowałem odnaleźć najmniej brudny fragment i przycupnąłem na nim jednym półdupkiem.

– Diogenes wysłał za mną list gończy – wypaliłem.

Chciałem, żeby Tytus wiedział, co mu grozi za udzielenie pomocy. Ale starszy mężczyzna tylko machnął ręką. Rękaw jego dziurawego swetra podwinął się, ukazując wyblakłe tatuaże.

– Zostań tu, ile chcesz – powiedział. – Ale jedzenie musisz sam zdobywać.

Pokiwałem głową. To była naprawdę hojna propozycja. Położyłem na ławie torbę z prowiantem od Heli. Kiedy ją rozpakowywałem, po pomieszczeniu rozszedł się zapach świeżego pieczywa.

– Chcesz drożdżówkę? – zagadnąłem.

Tytus poruszył się w swoim fotelu i odchrząknął nerwowo. Zerknąłem na niego i dostrzegłem błysk chciwości w jego oczach.

– Trzymaj. – Podałem mu pachnący wypiek grubo polany lukrem.

Starszy mężczyzna zachłannie wgrzyzł się w drożdżówkę i z rozkoszą zaczął ją przeżuwać swoimi wybrakowanymi zębami.

– Przecież kilka dni temu zostawiłem ci trochę pieniędzy – odezwałem się, odrywając kawałek złocistej skórki od bochenka chleba.

– Tutaj pieniądze szybko znikają – odparł Tytus, plując sobie na brodę kruszonką.

Wiem, że on sam nie brał łez, ale wszędzie wokół było tylu uzależnionych, tylu głodnych ludzi...

Podszedłem do okna i wyjrzałem na brukowany dziedziniec. Jakies osiemdziesiąt lat temu to był szczyt mody architektonicznej – kamienice ustawione tak, że między nimi tworzył się dziedziniec pełen brudu, do którego nigdy nie zaglądało słońce. W deszczowe dni robiły się tam kałuże, w których pływały śmieci, w letnie czuć było smrodem gnijących odpadów, a kiedy wiał wiatr, małe trąby powietrzne unosiły cały ten syf na wysokość

drugiego piętra. Nie wiem, co artysta miał w głowie, kiedy projektował to dziadostwo.

Powiodłem wzrokiem po zniszczonym murze po przeciwnej stronie dziedzińca. Nikt tam nie mieszkał, bo dach już dawno temu się zawalił, tworząc gruzowisko nie do przejścia. Dwa szczury przebiegły w podskokach po placu, o kilka centymetrów mijając jedyny czarny kamień, jaki się tu znajdował. Była to też jedyna ruchoma część bruku.

Ktoś wszedł do budynku. Wyraźnie usłyszałem skradające się kroki. Pospiesznie zlustrowałem pomieszczenie, zastanawiając się, który z przedmiotów znajdujących się w pokoju może posłużyć mi jako broń. Owszem, umiałem używać własnych pięści, i to z całkiem niezłym skutkiem, ale doskonale też zdawałem sobie sprawę z tego, że nie jestem napompowanym koksem, tak jak większość wykonawców Diogenesa.

Pod drugim oknem stała trochę spróchniała deska z wystającymi zardzewiałymi gwoździami. Idealnie się nada. Złapałem ją i w kilku bezgłośnych susach dopadłem do ściany tuż przy wejściu do pokoju. Uniosłem moją broń, gotów na wszystko.

– Nawet w szambie czuć ten cudowny zapach – rozległ się nieco skrzekliwy głos.

Zmarszczyłem brwi, ale nie opuściłem deski naszpikowanej gwoździami prosto na głowę tego, kto stanął w progu.

Do pokoju wszedł, a raczej zakradł się, Szczur. Facet o szczurzej twarzy, nędznej posturze i wiecznie skrzywionych plecach nie chodził – on skradał się jak gryzoń, co chwilę przystawał i marszczył nos. Aż człowiek oczekiwał, że zaraz uniesie ręce do twarzy i zacznie czyścić nimi szczurze wąsy, których ewidentnie mu brakowało.

– Ooo, chleb – westchnął rozmarzonym głosem, wlepiając spojrzenie w torbę leżącą na stole. – I to taki świeży...

Dopiero po chwili mnie zauważył. Podskoczył w przestkach, jego oczy rozszerzyły się, a ręce osłoniły głowę.

– Przecież nic ci nie zrobię – mruknąłem, odrzucając deskę.

– Max! Jak dobrze cię...

– Nie mam łez – uprzedziłem od razu.

– Nie zgrywaj się. – Uśmiechnął się przymilnie. – Zawsze masz. I to najtaniej.

– Nie tym razem. – Pokręciłem głową.

Zgarnąłem ze stołu jasną kajzerkę i mu rzuciłem. Złapał ją w locie, po czym błyskawicznie schował gdzieś w głębi obszernego płaszcza.

– Przecież jestem twoim ulubionym klientem. – Podszedł do mnie i uniósł ręce, jakby chciał mnie pogłaskać po ramieniu albo przeszukać moje kieszenie.

– Nie słyszałeś, co mówi Max?! – naskoczył na niego Tytus.

Mężczyzna opuścił ręce, ale nie odsunął się ode mnie.

– Ale on zawsze... – odezwał się cicho.

– Nie ma łez! – zdenerwował się Tytus. – Dostałeś bułkę, to wypierdalaj stąd!

Szczur z bardzo zawiedzioną miną zaczął się wycofywać tyłem z pokoju, aż zniknął w drzwiach.

– Oni są jak szarańcza! – Gospodarz splunął na dywan.

Wzruszyłem ramionami, oderwałem kolejny kawałek chleba i usiadłem na wersalce. Tak, kradłem łyzy od Diogenesa, ale wszyscy to robili. Zabierałem zawsze tylko trochę, żeby nikt się nie zorientował, i sprzedawałem na Szantach. Czasem dziwili mi się, dlaczego właśnie tutaj. Przecież znalazłbym w lepszych dzielnicach kupców, którzy zapłaciliby znacznie więcej. Ale mnie było po prostu szkoda tych ludzi. Stoczyli się jeszcze niżej niż na samo dno. Nie mieli w życiu już nic. A łyzy dawały im... Nie wiem. Siłę? Poczucie, że coś znaczą? Zapomnienie? Chyba najbardziej zależało im na tym ostatnim. Płacili mało, czasem usiłowali się targować, ale nigdy nie zadawali zbędnych pytań, typu: czy twój szef wie, że handlujesz za jego plecami?

– Diogenes może mnie tu szukać – odezwałem się, wciąż żując skórkę od chleba.

Ostrzeżenie Tytusa było trochę jak drapanie jątrzącej się rany. Człowiek wie, że powinien skończyć, żeby nie było gorzej, ale i tak nie może się powstrzymać.

– Moje drzwi są zawsze otwarte – odparł staruszek, rozkładając ręce.

– Ty nie masz drzwi – przypomniałem.

– Dlatego są zawsze otwarte.

– Jak tu przyjdą... – zacząłem, ale Tytus zaniósł się iście gruźliczym kaszlem.

Czekałem i czekałem, aż przestanie. W końcu odchrząknął ostatni raz i wypluł na dywan ślinę wymieszaną z krwią. Skrzywiłem się. Czy ludzie

tutaj muszą konkurować o to, kto będzie bardziej obrzydliwy?

– I co mi zrobią? – mruknął. – Spalą dom? Odetną palce? Mam jeszcze kilka. – Uniósł dłoń, w której brakowało dwóch palców. Serdeczny ponoć stracił kiedyś na statku, a mały odcięli mu, gdy tylko się zaciągnął.

Żaden marynarz nie miał tego palca. Chodziło o sprawy pogrzebowe, jeśli statek by zatonął.

– Po prostu cię ostrzegam. – Wzruszyłem ramionami.

– A ja ci mówię, że się ich nie boję.

– Bo ich nie znasz – odparłem cicho, odgryzając kolejny kawałek chleba.

To była prawda. Nawet kasta rzadko przychodziła na Szanty. Nie mieli w tej dzielnicy żadnych interesów, ludzie tu byli zbyt biedni, żeby z nimi handlować czy ich okraść. Nikt nawet nie chciał ich bić. Szanciarze tak często dostawali kopniaki od losu, że kolejne razy nie robiły na nich żadnego wrażenia. Poddawali się tylko bólowi, który był codziennym elementem ich życia. Nigdy też nikogo nie zaczepiali, więc jeśli nie patrzyło się w stronę ich dzielnicy, można było nawet zapomnieć, że w ogóle istnieli.

– Muszę się przespać – oświadczyłem, wstając.

To był najlepszy sposób, żeby zregenerować siły. A może nawet podczas snu przyjdzie mi do głowy, jak odzyskać moją monetę.

– Śpij, Szczur będzie czuwał – odparł Tytus.

– Skąd wiesz? – Odwróciłem się jeszcze na progu.

– Na pewno nie uwierzył, że nie masz przy sobie łez, będzie więc cię pilnował. I może nawet w przypiływie lojalności ostrzeże przed wrogiem.

– Super – rzuciłem ironicznie.

W pokoju obok leżała na ziemi stara kołdra wypełniona pierzem, które z czasem stało się twarde, zlepioną masą. Ale jeśli człowiek nie skupiał się na zmyśle węchu, można było potraktować ją jako względnie wygodne łóżko. A w mojej sytuacji życiowej naprawdę nie miałem co wybrzydzać. Zresztą byłem tak zmęczony, że od razu zasnąłem.

Nastała noc. A noc to czas, kiedy na Szantach zaczyna się życie. No dobra, trochę przegiąłem. Nie wyobrażajcie sobie otwartych knajp, kuszących świateł, radosnych okrzyków i tańców półnagich panien w fontannie. Przede wszystkim tutaj nie było ani barów, ani restauracji, stara fontanna zaś wypełniała się wodą – a raczej szlamem – tylko podczas deszczu. No i mało kto chciałby patrzeć na tutejsze panny bez ubrań. Kiedy zapadał zmrok, ludzie prawie dosłownie wyczołgiwali się ze swoich



namiotów i nor w zrujnowanych budynkach. Mieszkanie Tytusa prezentowało się jak luksusowy apartament w porównaniu z tym, gdzie żyli inni szanciarze.

Ja również wyległem przed rozpadającą się kamienicę. Po co? Nie wiem. Nie mogłem już dłużej wysiedzieć w jednym miejscu. A jeśli mieli mnie tu szukać ludzie Diogenesa, to przecież zaczną właśnie w domu Tytusa. Liczyłem też, że usłyszę jakieś plotki, skrawek informacji o tym, co dzieje się poza Szantami. Może jestem trochę naiwny, ale skrycie miałem nadzieję, że dowiem się, iż kasta straciła zainteresowanie moją osobą. W końcu byłem nic nieznającym kurierem, a Diogenes ma chyba lepsze rzeczy do roboty niż ciągłe szukanie mnie, prawda? Przydałoby mu się chociażby popracować trochę nad posłuszeństwem Słodkiej.

Gdy tylko pomyślałem o dwugłowym wężu, zacząłem jakoś inaczej patrzeć na mijających mnie szanciarzy. Wszyscy byli przygarbieni, jakby wciąż nosili na plecach ciężar własnego życia, a jednocześnie nieustannie zerkali na boki, gotowi w każdej chwili uciekać przed jakimkolwiek zagrożeniem. Przypominali zwierzęta, które ktoś najpierw wyrwał z dziczy, oswoił, a później porzucił. Właśnie w takich miejscach kasta (ale taka większego kalibru niż Diogenes i jego wykonawcy) mogła szukać dusz na nielegalny handel.

Przez całe życie ciułamy pieniądze, zbieramy złoto i kamienie szlachetne, choć na te ostatnie stać tylko najbogatszych, żeby złożono je wraz z naszym ciałem w grobie jako zachówek, bo wszelkie bogactwo przydaje się po drugiej stronie. Prosta zasada – im więcej zmieścisz do trumny, tym lepiej będzie ci się żyło w zaświatach. I jak każdy system, ten również można oszukać. Kiedy ktoś nie ma nic, może podpisać pakt krwi z kimś bardzo bogatym, kto uważa, że jest ponad prawem. Biedak, kiedy mu się zemrze, zostaje pochowany z wcześniej umówioną ilością złota i teoretycznie ma zapewnione jako takie życie w zaświatach. Ale to jest oszustwo, a każde oszustwo wymaga kary. Bogowie skazują wtedy delikwenta na pokutę w świecie doczesnym, zazwyczaj pod postacią jakiejś maskary, takiej jak na przykład Słodka. No i przez ten czas dusza musi służyć temu, kto zapłacił za jej pochówek, i dopiero po latach ma wstęp do zaświatów. Tak przynajmniej nam się wydaje, bo nikt tak naprawdę nie wie, co jest po drugiej stronie.

- Cześć, przystojniaku... - Z rozmyślań wyrwał mnie głos, który miał chyba brzmieć kusząco.

Poczułem dotyk na ramieniu, a z cienia wyłoniła się starsza kobieta.

- To ty, Lana - westchnąłem.

Zmarszczyła brwi, jakby mnie nie poznała. Ale po chwili zaczęła wodzić palcami po moim policzku. Oblizwała wargi całe w strupach.

- Jeśli zechcesz, to pokażę ci krainę rozkoszy - szepnęła.

- Lana, to ja, Max. - Złapałem ją za nadgarstki i odsunąłem od siebie.

- Max? - zdziwiła się. - A masz...?

- Nie, nie mam łez - przerwałem jej.

- Zawsze masz. - Uśmiechnęła się do mnie i przejechała językiem po palcu wskazującym.

Usiłowała być seksowna, kusząca, ale mnie zbierało się tylko na wymioty. Była idealnym przykładem na to, jak można się stoczyć na Szantach. Wyglądała dużo starzej, niż wskazywał na to jej wiek, jej cała skóra była pomarszczona, włosy zniszczone, paznokcie połamane, ręce i nogi w sińcach, które zdobyła bogowie jedni wiedzą gdzie. Zalatywało od niej potem i stęchlizną.

- Nie chcesz mnie - jęknęła z żalem.

- Jesteś żoną mojego kumpla - przypomniałem jej. - W innym przypadku zaszylibyśmy się w jakimś kącie sam na sam. - Puściłem do niej oko.

Uwierzyła w to bezczelne kłamstwo, uśmiechnęła się i wyprostowała. Nawet ona chciała być pożądana.

- Ale weź chociaż to. - Wyciągnąłem z kieszeni pół bułki i jej podałem.

Przyjęła ją z pewnym żalem. Wolałaby łyzy, ale jedzenie to zawsze jedzenie.

- Pozdrów ode mnie tego głupca - rzuciła, odchodząc.

Patrzyłem za nią, jak znikwała w mroku, kołysząc biodrami.

- Hej, przystojniaku! - usłyszałem jeszcze, jak zaczepia kogoś innego.

Właśnie dlatego Tytus nie wyprowadził się z Szant. Mógłby znaleźć sobie pracę gdzieś na zewnątrz, może nawet wynająć pokój w ludzkich warunkach, ale nie potrafił jej opuścić, choć ich małżeństwo istniało już tylko na papierze i każdy notariusz na widok Lany zwolniłby go z przysięgi. Tylko raz go o nią zapytałem.

- Ślubowałem na dobre i na złe - odparł, po czym zmienił temat.

Przysiadłem się do jednego z ognisk. Ludzie przy nim zrobili dla mnie miejsce – w końcu byłem koleś od tanich łez. Kilka osób zaczepiło mnie o nie, ale po zapewnieniu, że nic nie mam, dali mi spokój. Przysłuchiwałem się rozmowom, które zazwyczaj dotyczyły błahych tematów. Ktoś opowiadał, jak w nocy pogryzły go szczury. Co prawda nie było to nic szczególnego, ale facet zapewniał, że stada przewodniczył wielki, czarny osobnik o niemal ludzkim spojrzeniu. Przekonywał, że to dusza.

– I niby jak wyszłaby z cmentarza? – prychnął ktoś inny.

– Pewnie miała pakt – zapewnił gawędziarz.

– I niby czego szukała w twoim namiocie?

– To jest właśnie mój dylemat! – Mężczyzna machnął w powietrzu palcem wskazującym. – Co ja takiego mam, czego ktoś mi zazdrości? – Powiódł podejrzliwym wzrokiem po zebranych wokół ogniska, ale większość zbyła go lekceważącym wzruszeniem ramion.

Dusze, które za życia nie podpisały z nikim paktu, ale miały swoje grzechy na sumieniu, utykały po śmierci na cmentarzach, czasem na krótko, czasem na wiele, wiele lat, w zależności od ich przewinień. Taki czyściec. Ale nigdy nie opuszczały miejsca swojego pochówku, pilnując, by nikt nie zabrał ich złota znajdującego się w trumnie. Bo przecież będą go potrzebowały, kiedy odbędą już swoją pokutę i wybiorą się w zaświaty.

Siedziałem przy ognisku, słuchając niestworzonych opowieści, ale żadna z nich nie dotyczyła tego, co działo się poza Szantami. Skinąłem głową na pożegnanie moim tymczasowym towarzyszom i ruszyłem dalej. Mijałem siedzących w cieniu szanciarzy, kilka razy dostrzegłem słaby blask błękitnych łez. Przeszedłem nad mężczyzną leżącym na plecach na samym środku bruku. Wpatrywał się niewidzącym wzrokiem w niebo, a jego oczy delikatnie błyszczały na niebiesko.

Nad ranem wróciłem do mieszkania Tytusa i położyłem się w małym pokoju na cuchnącej kołdrze, przykrywając się kwiecistą peleryną. Znów bolały mnie siniaki i cała reszta pamiątek zostawionych przez Karła, Artesa i Słodką. Teraz jednak już wiedziałem, że przeżyję. Rany się zabliznią, stłuczenia znikną i za kilka dni znów będę gotów, żeby podbijać świat.

## Rozdział 5

Trzy dni. Tyle trzeba było, żeby Diogenes odpuścił sobie poszukiwanie mnie, a co najważniejsze – czujka zniknęła spod mojego mieszkania. Pół dnia kręciłem się po okolicy, żeby mieć pewność. Miałem na sobie strój prawdziwego szanciarza (porwane spodnie, rozwalone buty z odklejającą się podeszwą i brudną, cuchnącą bluzę z kapturem), więc mało kto zwracał na mnie uwagę. Bardzo dobre przebranie, człowiek w ten sposób staje się niemal niewidzialny dla innych; i wcale nie chodziło o to, że swoje ciuchy, a właściwie strój otrzymany od Heli, przehandlowałem za jedzenie w ciągu ostatnich dni.

W końcu zdobyłem się na odwagę i wyszedłem zza rogu. Nikt nie zwrócił mojej uwagi. Pospiesznym krokiem dotarłem do starych, zniszczonych drzwi. Ostatnie spojrzenie za siebie. Nic mnie nie zaalarmowało. No, może poza małym, łysiejącym facetem siedzącym w niewielkim zielonym aucie, ale ten na pewno nie był jednym z ludzi Diogenesa.

Drzwi zamknęły się za mną z głośnym skrzypnięciem zardzewiałych zawiasów, a ja wbiegłem na pierwsze piętro. Zatrzymałem się i rzuciłem spojrzenie w krótki, ciemny korytarz. Jedyne, co słyszałem, to rytmiczne dźwięki bicia mięsa na kotlety. Przeskakując po dwa stopnie, dostałem się na drugie piętro. Małe, brudne okienko wpuszczało niewiele światła do budynku. Pod sufitem wisiała naga żarówka, ale oczywiście od lat nie działała – żaden lokator nie czuł się w obowiązku wymienienia jej. Zresztą każdy miał na głowie ważniejsze wydatki. W takiej kamienicy jak moja mieszkali tylko biedacy i szemrane typy jak ja.

Nagle jedne z drzwi otworzyły się z hukiem, a na zewnątrz wypadł dziesięcioletni chłopak ze zniszczoną piłką pod pachą. Niewiele brakowało,

a dostałbym zawału.

– Cześć, Max! – zawołał na mój widok. Opuścił piłkę na stopę i jednym sprawnym kopnięciem posłał ją w moją stronę.

– Cześć, młody. – Złapałem ją w locie.

– Idziesz z nami pograć? – zaproponował Tobi.

– Nie tym razem. – Odrzuciłem piłkę.

Chłopiec skrzywił się z zawodem, a później spojrzał na mnie spod przymrużonych powiek.

– Znowu masz kłopoty? – zapytał tonem zbyt poważnym jak na jego wiek.

– Nieee – odparłem przeciągle. – Po czym wnosisz?

Uniósł palec wskazujący do własnego oka.

– To? – Machnąłem ręką, mając na myśli poślizgnięte siniaki na mojej twarzy. – To jest nic. Po prostu spieszy mi się.

– Jasne – zaśmiał się. – I też bez powodu przetrzepali twoje mieszkanie?

– Dzieciak przebiegł obok mnie i skierował się ku schodom.

Prychnąłem pod nosem. Gdybym rzeczywiście był złodziejem, musiałbym być skończonym idiotą, żeby trzymać łup we własnej chałupie. Miałem tylko nadzieję, że nie zwinęli tego, po co tak naprawdę tu wracałem. Postąpiłem kilka kroków w stronę mieszkania, ale odwróciłem się gwałtownie.

– Młody! – zawołałem, a chłopak zatrzymał się w połowie schodów. – Jakby co, to mnie nie widziałeś.

– Pewnie, jak zawsze. – Odbił piłkę od brudnej ściany i ją złapał. – No, chyba że pytać będzie laska dziesięć na dziesięć.

Skinąłem głową z uśmiechem i pokazałem mu uniesiony kciuk.

Stanąłem przed niedomkniętymi drzwiami. Zamek był wyłamany, pewnie użyli łomu. Nie musieli przejmować się hałasem. Kiedy ludzie kasty włamują się do czyjegoś mieszkania, sąsiedzi nic nie słyszą. Nie miałem im tego za złe. Tutaj każdy pilnuje własnego nosa i nie wtrąca się w cudze sprawy. Tak łatwiej przeżyć.

Przez chwilę nasłuchiwałem, czy ktoś jest w środku, ale słyszałem jedynie muchę objijającą się o okno. Lekko pchnąłem drzwi i trzymając w pogotowiu zaciśnięte pięści, zlustrowałem mieszkanie.

– To się zabawili – mruknąłem, przestępując próg.

Zamknąłem za sobą drzwi i rozejrzałem się po tych czterech kątach, które od dwóch lat były moim domem. Jeden nie za wielki pokój służył mi

jednocześnie za salon, sypialnię i kuchnię. Po lewej, za zasłonką, znajdowała się łazienka. I to wszystko. Ale przecież więcej mi nie trzeba było. I tak nie spędzałem tu wiele czasu. Szkoda tylko, że tak sprawnie doprowadzili to mieszkanie do ruiny.

Przeszedłem nad połamanym krzesłem. Pod moim butem zachręściło szkło z rozbitej butelki. Wszędzie walało się pierze z kołdry. Łóżko leżało na boku, materac był pocięty nożem. Zawartość szafek wywalona na podłogę. Zniszczyli dosłownie wszystko, co dało się zniszczyć.

Stanałem przed ścianą, na której jeszcze tydzień temu wisiał łapacz snów, który kiedyś zrobiła dla mnie Didi, średnia wnuczka Heli. Nie był cenny, ot, trochę kolorowych sznurków, piórek i szkiełek, ale dla mnie miał wartość sentymentalną.

– Gdzie jesteś? – Zacząłem się rozglądać.

Przesunąłem łóżko, zajrzałem pod kołdrę, roztrąciłem stopą stertę gazet.

– Cholera! – mruknąłem, szukając coraz bardziej nerwowo.

Przerzucałem ubrania, garnki, potłuczone talerze. Wszedłem do łazienki przez porwaną kotarę.

– Nawet kibel? – zdziwiłem się na widok potłuczonej „porcelany”.

Ale łapacza snów nie było ani w wannie, ani w szafce. Wróciłem do salonu, zatrzymałem się na środku i wziąłem głęboki wdech. Musiał gdzieś tu być. Nie mogli, po prostu nie mogli go zabrać.

Przez brudne okno do środka wlało się kilka promieni słonecznych, oświetlając cały ten burdel. Właśnie wtedy dojrzałem kolorowy błysk na podłodze pod wyrwanymi drzwiczkami od szafki. Dopadłem do nich jednym susem i odrzuciłem je na bok.

– Jest! – sapnąłem, unosząc znalezisko.

Didi pewnie by się wkurzyła, widząc, jak skończyło jej dzieło, ale nie to było ważne w tej chwili. Zacząłem gorączkowo obracać w palcach płataninę sznurków i ozdóbek, aż trafiłem na to, czego tak naprawdę szukałem – niewielki metalowy krążek. Zerwałem przewleczone przez niego nitki i przetałem sadzę, którą wcześniej go pokryłem. W mojej dłoni zaśniło złoto.

– Jeśli chcesz coś ukryć, zostaw to na widoku – powtórzyłem z radością słowa mojego taty.

Gdybym schował tę monetę w jakiejś skrytce, w skarpetkach czy w najgłębszej szufladzie, pewnie by ją znaleźli i ukradli. Ale nikt się nie

spodziewał, że złoto może zostać wplecione w badziewny ła pacz snów. Odciąłem nożem dłuższy kawałek sznurka i przewlokłem go przez monetę, którą zawiesiłem na szyi pod koszulą.

Wróciłem do łazienki i spojrzałem na siebie w kawałku lustra, które jeszcze wisiało na ścianie. Wyglądałem dokładnie tak, jak się czułem – tak jak powinien czuć się człowiek, który mieszkał na Szantach. Posiniaczona, pełna strupów twarz, zapadnięte policzki, cienie pod oczami. Od dawna nie zjadłem nic porządnego, od dawna się nie wyspałem i to wszystko było po mnie widać. Przeczesałem dłonią jasne włosy, przyglądałem kilkudniowy zarost i puściłem oko do oblicza w lustrze. Moje spojrzenie nie straciło swojego blasku. Podobnie jak zawadiacki uśmiech. Jako dzieciak wkurzałem się, że nie byłem wyższy, bardziej muskularny, że nie miałem czarnych włosów i gęstej brody, które nadałyby mi wygląd kogoś groźnego. Byłem chłopakiem, którego można sprać bez konsekwencji. Z czasem jednak nauczyłem się doceniać to, co dostałem od bogów. Byłem szybki i zwinny. Nikt z wykonawców Diogenesa nie dogoniłby mnie w mojej najlepszej formie. Umiałem wspiąć się na mur i prześlizgnąć przez okno w poddaszu, jeśli zaszła taka potrzeba. A skoro nie wyglądałem jak ktoś, kogo trzeba się bać, przeciwnicy zazwyczaj mnie nie doceniali.

Pamiętam, jak raz czekałem pod murem cmentarza na spóźniającego się stracha. Zaczepiło mnie czterech podpitych kolesi. Przekonywałem, żeby dali mi spokój, ale oni się uwzięli. Pierwszego zdzieliłem po łbie butelką, która leżała na chodniku, drugiego kopnąłem w klejnoty, trzeciemu sprzedałem cios na szczękę. Już miałem zabrać się za czwartego, ale w oddali zobaczyłem policję i trzeba było się zawijać. Ja zwałem, ich złapali. To były dobre czasy.

Przemyłem wodą twarz i wytarłem ją w szmatę, którą znalazłem na podłodze.

Na szyi czułem kojący ciężar złotej monety. Skoro zdobyłem to, na czym najbardziej mi zależało, wypadałoby się jeszcze ogarnąć. Może nawet zdążę się przebrać w coś czystsze i spakować jakieś zapasowe ciuchy. Za godzinę odjeżdżał mój pociąg, a w kieszeni brzęczały monety od Penelopy, warto byłoby zacząć nowe życie choć z jedną walizką.

Ruszyłem w stronę sterty ubrań, kiedy u drzwi rozległ się dzwonek. Totalnie mnie zamurowało. Stałem jak idiota na środku pokoju i nie wiedziałem, co robić. Dlaczego nie usłyszałem kroków na korytarzu?

Dlaczego, do cholery, nie poprosiłem młodego, żeby pilnował, czy do budynku nie wchodzi jakiś zbir?!

– Pan Maximus Opoka? – rozległ się stłumiony głos.

Nie odpowiedziałem, tylko zmarszczyłem brwi. Czy wykonawcy Diogenesa użyliby tak grzecznie dzwonka zamiast wywalić drzwi z zawiasów?

– Nazywam się Nester Wachim, jestem tu w sprawie spadku...

– Jakiego spadku, do kurwy nędzy...? – mruknąłem zaskoczony.

Bezgłośnie podszedłem do drzwi i wyjrzałem przez wizjer. Na korytarzu stał niski, łysiejący koleś. Wiedziałem, że zbyt długo się na mnie gapił, jak wchodziłem do budynku! Gdyby to był ktoś od Diogenesa, otworzyłbym gwałtownie drzwi i zdzielił go po łbie garnkiem (to była jedyna twarda rzecz, która znalazła się teraz w moim zasięgu). Tylko facet za groma nie wyglądał ani nie zachowywał się jak wykonawca. Chyba że to jakiś nowy patent? Podrapałem się po brodzie. Płatny zabójca wyglądający jak nieszkodliwy urzędnik?

– Panie Maximusie – odezwał się ponownie. – To bardzo ważna sprawa. Chodzi o spadek po Glariusie Muertonie.

Nie wytrzymałem i z rozmachem otworzyłem drzwi.

– Po kim, kurwa? – zapytałem gwałtownie, a facet podskoczył.

– Eee, po Glariusie Muertonie – powtórzył.

Zmierzyłem go od stóp do głów. Miał na sobie wcale nie taki tani garnitur, czarny krawat i błyszczące buty, a pod pachą trzymał wypchaną aktówkę.

– Nazywam się Nester Wachim, jestem notariuszem – powtórzył.

*Notariusz?! Notariusz!!!* – zaczął wrzeszczeć głos w mojej głowie. *Czego chce ode mnie notariusz?!* Jak każdy w naszym społeczeństwie, czułem przed takimi respekt i pewną obawę.

– Wejdzie pan. – Zrobiłem krok do tyłu i przepuściłem go w progu.

Facet wszedł do mieszkania i gdy tylko zobaczył, w jakim stanie się znajdowało, zawahał się. Pewnie się zastanawiał, czy nie powinien właśnie stąd wiać.

– Robię małe przemeblowanie – powiedziałem wyjaśniająco.

– Przemeblowanie – powtórzył głucho.

Zrzuciłem z fotela jakieś śmieci i machnąłem zachęcająco ręką.

– Siądzie pan.



Notariusz szybko odzyskał rezon i usiadł. Ja zaś podniosłem stół i postawiłem przed nim, żeby miał gdzie postawić tę wielką aktówkę.

– To jeszcze raz, o co chodzi? – zapytałem, siadając okrakiem na krześle bez jednej nogi.

Facet odchrząknął, po czym zaczął wyciągać jakieś papiery.

– Z pewnością dostał pan list uprzedzający o mojej wizycie – powiedział. Podrapałem się po głowie.

– No, coś było. – Zerknąłem w stronę wywalonego kosza na śmieci. Nikt nie wysyłał do mnie listów, więc gdy coś znalazło się w mojej skrzynce, od razu lądowało tam, gdzie tego miejsce.

Notariusz podążył za moim spojrzeniem.

– Ach tak, rozumiem. – Skinął głową. – W każdym razie tutaj mam wszystkie odpowiednie pisma.

Nie podał mi ich, tylko coś tam wpisał i zaczął czytać, jakby był przekonany, że ja nie opanowałem tej zdolności.

– Dnia dwunastego października roku tysiąc siedemset dziewięćdziesiąt ósmego przed notariuszem Nesterem Wachimem w swojej siedzibie stawił się Maximus Opoka. Tutaj będziemy musieli potwierdzić pana tożsamość, ale to tylko formalność – dodał i ciągnął dalej: – Stawający Maximus Opoka oświadcza, że w dniu dwunastego października roku tysiąc siedemset dziewięćdziesiąt ósmego dowiedział się o powołaniu go z ustawy do spadku po Tobiaszu Kalinusi...

– Kim? – przerwałem mu.

– Synu Abela Kalinusa, obaj byli spadkobiercami majątku Glariusza Muertona W każdym razie... Stawający Maximus Opoka oświadcza, iż według jego najlepszej wiedzy nie jest wiadome, czy Tobiasz Kalinus sporządził testament. W chwili otwarcia spadku Tobiasz Kalinus nie miał żony ani potomków. Matka i ojciec spadkodawcy nie dożyli otwarcia spadku. Stawający nadto oświadcza, że nie składał dotąd oświadczeń spadkowych po spadkodawcy, nie zawierał umów z przyszłym spadkodawcą w przedmiocie dziedziczenia spadku...

Moja cierpliwość dobiegła końca.

– A tak po ludzku, może mi pan wyjaśnić, o co chodzi? – przerwałem mu.

Notariusz zmarszczył brwi, jakby nie był przyzwyczajony, że ktoś wpada mu w słowo.

– Jest pan jedynym dziedzicem domu i przylegających do niego terenów – powiedział krótko.

Podrapałem się po brodzie. Akurat teraz, kiedy musiałem uciekać z miasta? To było zbyt piękne.

– Przysłał pana Diogenes? – zapytałem prosto z mostu.

Facet zamrugnął powiekami.

– Kto?

Machnąłem ręką; nawet jeśli, to przecież i tak się nie przyzna. Podszedłem do okna i wyjrzałem na ulicę. Nic nie przykuło mojej uwagi.

Notariusz ponownie sięgnął do aktówki i wyjął z niej czarno-białe zdjęcie.

– To jest właśnie ta nieruchomość. – Podał mi fotografię, a ja aż zagwizdałem ze zdumienia. – Oczywiście tereny przylegające do niej są znacznie większe...

Gadał dalej, a ja zapatrzyłem się na coś, co wcale nie było domem. To był pieprzony pałac! Miał wielkie okna i podwójne drzwi z takim trójkątnym daszkiem nad wejściem.

– Tam musi być w chuj sprzątanina – wyrwało mi się.

– Proszę się tym nie martwić. – Notariusz się uśmiechnął. – Tym zajmuje się służba. O ile się nie mylę... – wyciągnął z teczki kolejne papiery i zaczął je przeglądać – na terenie posiadłości mieszkają zarządca, ochmistrzyni, kucharka, koniuszy...

– Że co?

– Proszę, tu jest lista pracowników. – Podał mi odręcznie zapisaną kartkę z kilkoma nazwiskami i funkcjami.

– I kto im płaci? – W mojej głowie zapaliła się czerwona lampka.

– Oczywiście dziedzic.

Ledwie się powstrzymałem, żeby nie parsknąć śmiechem. Facet spojrzał na mnie jak na czubka. Chyba nie podzielał mojej wesołości.

– Wie pan, jak by to ująć... – zastanowiłem się. – Moje środki aktualnie nie są... – Rozłożyłem ręce. – Jestem spłukany.

– Ależ to żaden problem – zapewnił mnie.

– Żaden? – powtórzyłem jak idiota, siadając na krześle.

– Oczywiście jeśli pan przyjmie spadek, będzie pan dostawał miesięczną pensję...

– Niby od kogo? – burknąłem. Nikt nigdy nie dawał mi pieniędzy za nic. Takim jak ja nic się nie należało. Musieliśmy o wszystko walczyć.

– Od gminy – powiedział, jakby to była najbardziej oczywista rzecz na świecie.

Znów zaczął grzebać w aktówce.

– Ach, znalazłem. To jest wysokość tego wynagrodzenia. – Napisał na kartce sumę.

Spojrzałem na papier, później na notariusza i ponownie na papier. Już nie było mi do śmiechu. Niewiele brakowało, a zleciałbym z trójnokiego krzesła.

– To jest wypłata roczna?

Tyle to chyba nawet Diogenes nie wyciągał na swoich lewych interesach.

– Nie, miesięczna. – Facet uśmiechnął się dobrodusznie, a ja miałem wrażenie, jakby zamienił się nagle we wróżkę ze skrzydełkami i w lukrowanej sukience. Takie rzeczy zdarzały się tylko w bajkach. – Oczywiście znaczna część tej kwoty musi być przeznaczona na utrzymanie nieruchomości i przylegających do niej terenów, na pensje pracowników, ogrzewanie, drobne remonty i tak dalej. Proszę bardzo, oto kosztorys za ostatni rok.

Podał mi kolejny plik papierów pełnych liczb. Pensje, zakup jedzenia, węgla, karma dla zwierząt i dziesiątki innych wydatków.

– Pozwoliłem sobie na szybkie obliczenia i, kolokwialnie ujmując, na czysto zostanie panu tyle. – Stuknął palcem w jedną z liczb. – Pięćset sześćdziesiąt trzy kryptowaluty.

– Miesięcznie? – chciałem się upewnić.

Skinął głową, a ja zagwizdałem z uznaniem. Nie była to fortuna, ale i tak całkiem niezła kwota. Tyle nie miałem szans wyciągnąć, pracując u Diogenesa, nawet jeśli dodałbym do tego sprzedawane na Szantach łyż. A jeśli przyciąłbym trochę na tym węglu, karmie dla zwierząt (swoją drogą ciekawe, co tam hodowali) czy wypłatach dla służby... Cyfry zaczęły sprawnie przeskakiwać w mojej głowie. W ciągu kilku lat uzbierałbym tyle, że mógłbym wrócić do miasta, zlecić zabójstwo Diogenesa i przejąć jego interes.

– Wszystko to brzmi bardzo pięknie, ale gdzie jest haczyk? – zapytałem.

– Nie ma haczyka. – Notariusz z uśmiechem pokręcił głową. – Oczywiście jako dziedzic będzie miał pan swoje obowiązki: zarządzanie nieruchomością i przylegającymi do niej terenami...

Zmarszczyłem brwi. Coś za wiele razy powtórzył to wyrażenie.

– Co to są te „przylegające tereny”? – przerwałem mu.

Facet znów się zmieszał. Mało kto przerywał notariuszom, ale kurde, trochę mi się spieszyło. Spojrzałem na zegarek na jego nadgarstku. Mój pociąg miał odjechać za piętnaście minut. Jeśli teraz bym wyszedł z mieszkania i biegł całą drogę, tobym na niego zdążył. Następny będzie dopiero jutro. Musiałbym wrócić na Szanty, a kolejna noc w mieście oznaczała ryzyko. Z drugiej jednak strony...

Spojrzałem na zdjęcie „nieruchomości” i zacisnąłem palce na złotej monecie ukrytej pod moją koszulą.

– W skład nieruchomości wchodzi: Lawendowy Dworek, park, stajnia, wozownia, dwieście trzydzieści hektarów łąk i pól uprawnych – odparł notariusz, jakby wymieniał z pamięci.

– I kto to uprawia?

– Rolnicy z pobliskiej wsi. Oczywiście wszyscy płacą za dzierżawę. Do tego jeszcze jest niewielki cmentarz i siedemdziesiąt hektarów lasu, płynie przez niego naprawdę malowniczy strumień...

Chyba znalazłem haczyk.

– Cmentarz? – zapytałem.

– Tak, należy oczywiście o niego dbać, jako że przez konserwatora i notariuszy został wpisany na listę zabytków, ale od wielu lat zajmuje się tym obecny zarządca i nie mieliśmy żadnych incydentów.

– Czy ten cmentarz jest wygasły? – zapytałem chłodnym tonem.

„Wygasły” znaczy, że nie było na nim już żadnych pokutujących dusz.

– Od dwustu lat jest niegrzebalny – odparł pośpiesznie.

– Czyli nie ma już tam nic, co można by było ukraść. – Podrapałem się po zaroście, a notariusz skwapliwie pokiwał głową. Nigdy nie słyszałem, by jakakolwiek dusza pokutowała na ziemi dłużej niż sto lat. A gdy dusza kończyła pokutę, mogła przejść do zaświatów, zabierając ze sobą cały swój zachówek.

Poza tym okradanie grobów było bardzo nielegalne, bardzo karalne i jeszcze bardziej niebezpieczne, ale i tak się zdarzało. Kasta miała nawet od tego swoich specjalnych ludzi zwanych strachami. Paskudna i niebezpieczna robota, ale całkiem opłacalna.

– Niedaleko posiadłości znajduje się wspomniana już wieś o wdzięcznej nazwie Pogorzeliska, inne miejscowości zaś są na tyle daleko, a sam

cmentarz tak mały, że nikt niepowołany się nim nie interesuje – ciągnął gładko notariusz.

– To niech mi pan jeszcze powie, kim, u licha, był Glarius Muerton. I dlaczego mama ani tata nigdy nie wspomnieli, że mamy w rodzinie kogoś bogatego?

– Cóż, gdyby tak przyrzeć się pańskiemu drzewu genealogicznemu – notariusz zrobił znaczącą przerwę – jest to dość dalekie, choć oczywiste pokrewieństwo...

– I nie znalazł się żaden inny kuzyn, wujek czy pociotek, któremu to wszystko się bardziej należy? – Wciąż byłem dość sceptyczny.

– Bardzo dokładnie to sprawdziłem, jest pan następnym w kolejce do dziedziczenia – zapewnił notariusz. – Oczywiście wszystko zostało potwierdzone przez trzech innych notariuszy.

– Trochę zachodu to kosztowało – powiedziałem ostrożnie.

– Takie procedury. – Facet uśmiechnął się nieszczerze.

Stałem na rozdrożu, a przede mną jasno rysowały się dwie drogi. Jedna z nich zaczynała się na stacji kolejowej podróżą w nieznaną z kilkoma monetami w kieszeni. Dalsza jej część ginęła we mgle. Druga zaś prowadziła do starego dworku z „licznymi przylegającymi terenami” i całkiem pokaźną wypłatą.

Wstałem z krzesła, podszedłem do okna i wyjrzałem na brukowaną ulicę. Tobi grał w nogę z kilkoma kumplami. Zawsze mogę przyjąć spadek, pomieszkać kilka lat w iście szlacheckich warunkach i sprzedać to wszystko za kupę kasy.

– Aha, ważna sprawa. – Notariusz odchrząknął. – Przyjętego spadku nie można sprzedać ani oddać.

No dobra, to uciułam trochę kasy z tej mojej wypłaty, a później rzucę to wszystko w cholerę. Może nawet znajdę jakiegoś człowieka słupa, który będzie ogarniał tę posiadłość za mnie. Diogenes wielu rzeczy mnie nauczył, a jedną z nich było to, że każdy przepis, każdy zakaz dało się obejść.

– To gdzie podpisać? – Odwróciłem się od okna.

Notariusz uśmiechnął się szeroko i przesunął w moją stronę papiery po stole.

## Rozdział 6

– Kiedy zaczynam? – Złożyłem zamaszty podpis na grubym papierze aktu notarialnego.

– Może pan nawet dziś – odparł notariusz. – Poproszę jeszcze pana rękę.

Podąłem mu dłoń, przytknął do niej coś, co do tej pory brałem za długopis, i poczułem w palcu nagły ból. Syknąłem i cofnąłem rękę. Niewiele brakowało, a drugą pięścią przyłożyłbym mu w gębę.

– To jest pismo wysokiego stopnia, wymaga krwi – rzucił facet wyjaśniająco.

Nie spodobało mi się to. Krwi wymagały również paktów podpisywane przez ludzi z kasty i biedaków, którzy mieli po śmierci im służyć. Ale słowo się rzekło. Ponownie podałem notariuszowi rękę, a on lekko ścisnął mój palec, na którym zawisała kropla krwi, i przyłożył go do dokumentu.

– Gotowe! – Ucieszył się, dmuchając na ten podpis, żeby szybciej wysechł. – Z tą chwilą stał się pan dziedzicem Lawendowego Dworku. – Wręczył mi wielki klucz.

– A daleko to w ogóle jest? – W jednej chwili dotarło do mnie, jak mało wiedziałem o bagnie, do którego właśnie wskoczyłem.

– Trzysta pięćdziesiąt cztery kilometry stąd – odparł notariusz, pakując do aktówki wszystkie swoje papiery.

– Aaa. – Rozejrzałem się po otaczającym mnie bałaganie.

– Zakładam, że ma pan jeszcze trochę spraw do załatwienia, ale będziemy na pana czekać w Pogorzelskich.

Zastanowiłem się, czy wystarczy mi pieniędzy na bilet.

– Dojeżdżają tam pociągi?

– Przykro mi, niestety nie. – Notariusz zapiął aktówkę i wstał z fotela. – A, byłbym zapomniał. Musi się pan stawić w swoim nowym domu najdalej za tydzień.

– A jeśli tego nie zrobię?

– Na pewno nie dojdzie do takiej sytuacji – zapewnił mnie z uśmiechem.

Czy mi się wydawało, czy od chwili, kiedy podpisałem ten papier, humor stanowczo mu się poprawił?

– A pan teraz tam jedzie? – wypaliłem. – Bo w sumie muszę tylko wrzucić kilka rzeczy do torby i będę gotowy do drogi.

Notariusz się zawahał.

– Zajmie mi to tylko chwilę – obiecałem.

Zgarnąłem z ziemi walizkę i zacząłem pakować do niej losowe ubrania, które znalazłem na podłodze. Mogłem oczywiście pokombinować, jak tam dojechać, może nawet na gapę, ale jeśli podwózka stała tuż pod moją klatką schodową, po co się wysilać? Już za pół godziny mogę być poza miastem, a co najważniejsze, poza zasięgiem Diogenesa. Zarzuciłem na plecy skórzaną kurtkę.

– Gotów! – Stałem wyprostowany z walizką w dłoni.

Poczułem się dziwnie lekko. Jeszcze dwie godziny temu nie miałem pojęcia, co ze sobą zrobić. Teraz w moim życiu pojawił się cel i tak naprawdę tylko tego było mi trzeba.

Otworzyłem przed notariuszem drzwi i przepuściłem go przodem.

– Nie zamyka pan na klucz? – Obejrzał się na mnie.

– Obiecałem właścicielowi kamienicy, że jak się wyprowadzę, to zostawię otwarte – skłamałem.

– A umowa najmu...?

– Wygasa z końcem tego miesiąca – powiedziałem lekko. – I oczywiście do końca miesiąca mieszkanie jest opłacone.

Facet skinął głową i ruszył ku schodom. Ja zaś stanąłem jak wryty. Na dole trzasnęły zamykane drzwi. Ktoś zaczął wbiegać na górę, przeskakując po dwa stopnie naraz. Był zbyt lekki na człowieka kasty, ale i tak mnie to zaniepokoiło.

Wyjrzałem nad balustradą i zobaczyłem chudą, podrapaną rękę łapiącą za poręcz. Odetchnąłem; to tylko młody. Pewnie spieszyło mu się do toalety czy coś takiego.

Dzieciak w biegu zerknął na notariusza, zmarszczył brwi, a kiedy stanął na półpiętrze przede mną, jego oczy zrobiły się naprawdę wielkie.

*Idą tu!* – bezgłośnie poruszył ustami.

– Cholera – zakląłem.

Notariusz obejrzał się na mnie.

– Eee, czegoś zapomniałem – skłamałem, wciskając mu moją walizkę. – Zaraz wracam.

Na dole znów skrzypnęły drzwi. Ktoś zaczął wspinać się po schodach. Ktoś znacznie cięższy niż dziesięciolatek. Obróciłem się na pięcie i pobiegłem do mojego mieszkania.

– Zaczeka pan na mnie w aucie! – rzuciłem jeszcze przez ramię.

Już miałem przekroczyć próg, kiedy gwałtownie się zatrzymałem. Czy jad Słodkiej roztopił mi mózg?! Przecież to jest najgłupsza rzecz, jaką mógłbym teraz zrobić. No, może poza próbą stawienia czoła ludziom Diogenesa, którzy z tego, co słyszałem, byli już na pierwszym piętrze.

– Hej!

To młody wystawił blond łepetynę ze swojego mieszkania na korytarz. Biegnąc na palcach, dopadłem jego drzwi. Znów byłem gotów zaryzykować czyjeś życie, żeby tylko ocalić siebie. No ale przecież raczej nic nie zrobiliby dzieciakowi, prawda? Może nogi połamali... Kurde, lubię go.

Stanałem na środku ubogo urządzonego pokoju z aneksem kuchennym. Młody cicho zamknął drzwi na zamek. Jeśli jednak wykonawcy będą chcieli tu wejść, to nic ich nie powstrzyma. Rozejrzałem się nerwowo, szukając czegoś, co mogłoby posłużyć za broń. Na starej gazówce stał wielki garnek. Może polać ich wrzącą zupą? Co najmniej jednego załatwiłbym na cacy. Drugiemu mógłbym wbić nóż do masła w oko...

Młody oderwał się od wizjera i pokazał mi trzy palce. Cholera, z trzema tak łatwo sobie nie poradzę. Dopadłem do okna i wyjrzałem na zewnątrz. Drugie piętro to całkiem wysoko, szczególnie jeśli człowiek się zastanawia, czy skok na chodnik jest dobrym pomysłem. Tuż przy oknie za to znajdowała się pionowa rura łącząca rynnę pod dachem z odpływem w chodniku. Miejscami była dziurawa i podczas deszczu woda lała się po brudnych cegłach, ale kotwy zdawały się mocno trzymać w ścianie.

O tej ucieczce będą pisać wiersze, o ile przeżyję. A jeśli nie, to może nawet pokuszą się o pieśni o pewnym idiocie, który chciał uciec kaście przez okno.



Rzuciłem spojrzenie za ramię i uśmiechnąłem się do młodego. On w lot przejrzał mój plan i zaczął gwałtownie kręcić głową. Pokazałem mu uniesiony kciuk i wystawiłem nogi na zewnątrz. W twarz powiało mi chłodnym powietrzem przesiąkniętym zapachem spalin i dymu z kominów.

– Zlecisz! – syknął młody, stając przy mnie. – Jak nic, zlecisz!

– Patrz i się ucz – odparłem butnie, po czym wyciągnąłem rękę w stronę rury.

– Jak się zabić w widowiskowy sposób?!

U drzwi rozległo się pukanie. Nie było na co czekać. Trzy szybkie wdechy, coś na kształt piruetu w powietrzu i już trzymałem się rury, opierając obie stopy o mur. Pukanie stało się bardziej natarczywe.

– Zaraz! – krzyknął młody. – Jestem goły! Muszę się ubrać!

Znajdowałem się już poniżej parapetu. Zadarłem głowę i wyszczerzyłem zęby w uśmiechu.

– Powodzenia! – powiedział do mnie młody. – No już! – wrzasnął w głąb mieszkania, po czym zamknął okno.

Zawiał mocniejszy wiatr. Zachwiało mną. Serce podeszło mi do gardła. W panice przywarłem do rury. Kotwy zaczęły podejrzenie skrzypieć.

Osunąłem się kolejne kilka centymetrów, po czym zakląłem głośno, kiedy zdarłem sobie kawał skóry o szczyrbę w metalu. To wszystko wcale nie było takie proste, jak wyglądało w mojej wyobraźni, kiedy jeszcze siedziałem na parapecie. Na dole usłyszałem jakieś krzyki.

– Skacz! Skacz!

Zerknąłem na chodnik. Jakieś durne dzieciaki chyba chciałyby zobaczyć, jak mój mózg rozpryskuje się na chodniku.

Znów opuściłem się niżej. Krew ściekała mi po nadgarstku i przedramieniu w stronę łokcia. Nie byłem w formie. Wciąż bolały mnie żebra, rana po Słodkiej jeszcze się nie zagoiła, a powietrzny taniec na rurze nie był moją mocną stroną.

Gówniarze na dole nadal mi kibicowali. Z każdą sekundą osuwając się coraz niżej, zastanawiałem się, co działo się na górze. Czy Tobi już otworzył drzwi? Dwóch wykonawców pewnie przetrząsało moje mieszkanie, a trzeci wpadł do młodego sąsiada, ale nic tam nie znajdzie. Ile czasu minie, zanim któryś z tych tępaków wpadnie na to, żeby wyrzeć przez okno? Ale wtedy wystarczy, że zrzucą mi coś na łeb, i będzie pozamiatane.

Mijałem właśnie okno na pierwszym piętrze. Jeszcze tylko kawałek. Moje zakrwawione dłonie ślizgały się na rurze, coraz trudniej było mi się utrzymać. Stopy ledwie odnajdowały oparcie w ciemnych ceglach. Złapałem za obejmę, która wyglądała całkiem solidnie, i zatrzymałem się, żeby złapać oddech. Zerknąłem w dół. Chodnik był już coraz bliżej – upadek z tej wysokości na pewno mnie nie zabije. Ewentualnie połamię, jak będę miał pecha, ale wolałem nie sprawdzać tego na własnej skórze. Jeszcze tylko kawałeczek...

Naraz usłyszałem nieprzyjemny zgrzyt. To kotwa puściła i obejmą, której się trzymałem, zsunęła się, a ja razem z nią. Serce i żołądek podeszły mi do gardła. Gorączkowo szukałem stopami oparcia i nagle uderzyłem o coś twardego. Runąłem na plecy, boleśnie uderzając potylicą w chodnik. Gówniarze kilka metrów dalej wybuchli śmiechem.

– Opoka!!! – wrzasnął ktoś wysoko.

Zamrugąłem, odzyskując ostrość widzenia. Zobaczyłem Karła wychylającego się przez moje okno.

To mnie otrzeźwiło. Zerwałem się na równe nogi i rozejrzałem za ciemnozielonym samochodem. Stał tam, gdzie wcześniej. W kilku susach dopadłem drzwi i je otworzyłem. Notariusz siedział za kierownicą i przeglądał jakieś papiery.

Jedną nogą byłem już w aucie, kiedy jeszcze raz obejrzałem się na czerwonego z wściekłości Karla. Nie mogłem sobie tego odpuścić i pokazałem mu środkowy palec. O ile to możliwe, stał się jeszcze bardziej czerwony, a po sekundzie zniknął z okna.

– Jedziemy! – sapnąłem, siadając na siedzeniu pasażera.

– Co się stało? To chyba trzeba opatrzyć... – Notariusz spojrzął na moją rękę.

– Nie trzeba, jedziemy!

Ile czasu potrzebował Karl, żeby zbiec na parter, wypaść na ulicę i wyciągnąć mnie z samochodu?

Durny notariusz zaczął niespiesznie pakować dokumenty do teczki.

– Pomogę! – Wyrwałem mu je z rąk i zacząłem upychać do aktówki.

Wachim niespiesznie przekręcił kluczyk w stacyjce, silnik zacharczał, po czym odpalił. Obejrzałem się na drzwi od kamienicy, przez które wypadł Karl. Tuż za nim pędził Artes.

– Jedź! – wrzasnąłem.

Notariusz włączył kierunkowskaz i niespiesznie zjechał z chodnika na drogę. Karl dobiegł do auta i już wyciągał rękę do klamki, ale wtedy Wachim gwałtownie wcisnął gaz.

Obróciłem się w fotelu i spojrzałem przez tylną szybę. Tobi wyglądał z okna na drugim piętrze i szczyrzył zęby. Karl biegł środkiem drogi, ale znajdował się coraz dalej za nami. Wybuchłem śmiechem. I tak oto Maximus Opoka wykiwał całą kastę, zagrał Diogenesowi na nosie i odjechał w stronę zachodzącego słońca.

– Wszystko w porządku? – odezwał się notariusz, zerkając na mnie kątem oka.

– W jak najlepszym – odparłem z uśmiechem.

Usadowiłem się wygodniej w fotelu, spróbowałem wyciągnąć nogi, ale zabrakło na to miejsca, obróciłem więc głowę w bok i chłonałem znajome widoki. Stare, zniszczone kamienice, krzywe chodniki, przygarbionych ludzi. To miasto było paskudne. Wiosną po ulicach spływała woda po kolana, latem panował tu skwar nie do wytrzymania, jesienią człowiek dusił się dymem z tysięcy kominów, a zimą śnieg zamieniał się w brązową breję. Ale je kochałem. Tu był mój dom, który teraz musiałem opuścić przez jakiegoś przekłętego donosiciela.

*Wrócę tu – postanowiłem. Pewnego dnia tu wrócę i udowodnię im wszystkim, ile jestem wart.*

Wkrótce wszystkie budynki nagle zniknęły, a ich miejsce zajęły pola uprawne i sady. Byłem już bezpieczny. Macki Diogenesa nie sięgały poza teren Żaropola. Wyciągnąłem z torby koszulę i zawinałem w nią rękę, żeby nie zachlapać krwią auta notariusza. Oparłem wygodnie głowę o zagłówek i zamknąłem oczy, zastanawiając się, dokąd dalej poniesie mnie los.

# Rozdział 7

Szarpnęło mną i obudziłem się z głuchym stęknieniem.

– Przepraszam – rzucił Wachim. – Im dalej na prowincję, tym większe dziury w drodze.

Przetarłem dłońmi twarz i dotknąłem starego opatrunku na barku. Rana po tym przeklętym wężu goiła się naprawdę kiepsko.

– Długo w ogóle był pan w mieście? – zagadnąłem notariusza.

– Przyjechałem zaledwie wczoraj – odparł. – Załatwiłem kilka spraw, a dziś udałem się do pana.

– Miał pan farta, że na mnie trafił – rzuciłem. – Od kilku dni nie było mnie w domu.

– Nie? – zdziwił się. – To rzeczywiście miałem szczęście. – Zachichotał nerwowo.

Zmarszczyłem brwi. Kłamał, to było oczywiste. Tylko dlaczego? Przecież widziałem, jak koczował w aucie pod moim domem, jakby od dawna na mnie czekał. Po co to ukrywać?

Skwitowałem własne przemyślenia wzruszeniem ramion. Może po prostu facet był dziwakiem?

Pola uprawne za oknami samochodu zamieniły się w zarośnięte polany i lasy. Chyba jeszcze nigdy w życiu nie byłem aż tak daleko od Żaropola. Cóż, mało światowy ze mnie człowiek.

– Spodoba się panu u nas – odezwał się notariusz. – Tyle przestrzeni, czystego powietrza.

– Aha – przytaknąłem odruchowo.

Nie znosiłem przestrzeni. Po obu stronach auta właśnie rozciągały się częściowo zalane łąki. Dla Wachima może to był piękny widok – wysoka

trawa pełna polnych kwiatów, białe ptaki, które właśnie poderwały się do lotu, w oddali zobaczyłem jeszcze stadko jakichś saren czy jeleni. A może to były dziki? Cholera wie. Dla mnie łąki były pełne komarów i innego robactwa, a przede wszystkim stanowiły bardzo niebezpieczny teren. Nie było tu żadnych zaułków, w których można by się ukryć przed potencjalnym zagrożeniem. W takich miejscach czułem się... odkryty, prawie nagi. Dopiero twardy, krzywy bruk pod moimi butami sprawiał, że wszystko było dobrze.

Notariusz zdjął nogę z gazu.

– Właśnie wjeżdżamy na teren pańskiego majątku – powiedział.

Zewsząd otaczały nas takie same łąki, jakie ciągnęły się od wielu kilometrów.

– Skąd pan wie, gdzie on się zaczyna? – zapytałem podejrzliwie.

Wachim zatrzymał samochód. Po obu stronach drogi stały wielkie kamloty porośnięte mchem. Wysiadłem, stanąłem na szosie i się im przyjrzałem. Nic niezwykłego, ot, zwykłe głazy.

– A jakieś tablice czy coś? – mruknąłem.

Notariusz zaczął skubać intensywnie zielony mech.

– O, tu widać kawałek napisu. – Wskazał palcem.

Rzeczywiście w kamieniu były wyryte litery, ale za groma nie mogłem ich odczytać.

– Leżą tutaj od ponad czterystu lat – dodał Wachim, z pewną dumą wypinając chudą pierś.

– Długo. – Pokiwałem głową z udawanym uznaniem.

W mieście mieliśmy zabytki, które datowano na ponad osiemset lat wstecz. Gdy byłem mały, rodzice zabierali mnie raz w roku do muzeów, kiedy wejścia były darmowe. Poza tym często krążyliśmy starymi uliczkami, oglądając rzeźby i szukając ukrytych znaków na kamienicach.

Notariusz otworzył drzwi samochodu.

– Został nam jeszcze kawałek drogi – oświadczył, stając z jedną nogą w środku.

Zdezorientowany obróciłem się wokół własnej osi.

– Kawałek drogi? – powtórzyłem zdziwiony.

Nie wiem dlaczego, ale sądziłem, że cały ten dom będzie za najbliższym wzgórzem. Wachim uśmiechnął się i skinął głową.

Usadowiłem się w aucie, a trybiki w mojej głowie pracowały na najwyższych obrotach. Tyle ziemi... Gdybym tylko mógł to sprzedać... Chociaż kto chciałby kupić ziemię na takim zadupiu? Może znajdą się jacyś chętni. Tylko że ja nie mogę sprzedać swojego spadku. Ale wydzierżawić? W końcu chłopci ze wsi dzierżawią ode mnie pola.

Odchrząknąłem głośno. To dopiero brzmiało nierealnie – ktokolwiek cokolwiek ode mnie dzierżawi. A gdyby tak wydzierżawić kawałek lasu komuś pokroju Diogenesa na fabrykę łez? Łatwe pieniądze. Będę musiał zorientować się w temacie.

– Droga w prawo prowadzi do wsi – odezwał się notariusz, wyrywając mnie z zamyślenia. – W razie czego, gdyby pan kiedykolwiek mnie potrzebował, mam tam swoje biuro. Mamy też komisariat...

– Jasne – rzuciłem.

Policji zazwyczaj unikałem jak ognia, notariuszy chyba jeszcze bardziej. Od Spisu Powszechnego, podczas którego urzędnik spisywał zgromadzony zachówek delikwenta, się wykręcałem. Zresztą z czym miałem do nich przyjść? Mój dobytek był bardzo płynny. To, co zarobiłem, od razu inwestowałem. Kiedy uzbierałem wystarczająco, żeby kupić trochę złota, zawsze na horyzoncie pojawiał się jakiś cudowny interes, który miał mi zagwarantować szybki i pewny zysk, co często okazywało się totalną klapą, ale kto nie ryzykuje, ten w kozie nie siedzi.

Ale nie chodziło tylko o złoto. Podczas Spisu Powszechnego notariusze notowali i podbijali pieczęcią dobre uczynki. To znaczy, że można było się pochwalić, że przeznaczyło się jakieś pieniądze na szpital, nakarmiło sieroty czy pomagało sąsiadce (jeśli ona to potwierdzi, oczywiście). Teoretycznie nasi bogowie nie wymagali takich papierów, ale ludzie czuli się pewniej, kiedy oprócz zachowku mogli zabrać ze sobą do trumny dowód na to, że zasługują na przejście do zaświatów. Nie wiem, może ktoś kiedyś dzięki nim wykręcił się od pokuty? Ja w każdym razie nie miałem na sumieniu żadnych dobrych uczynków, którymi mógłbym się chwalić przed notariuszem. Ale zawsze przecież jest jeszcze czas, żeby kupić złoto i zrobić coś dobrego, prawda?

– Pogorzelska to bardzo urocza miejscowość – ciągnął Wachim. – Jest stosunkowo duża jak na wieś, ma wszystkie potrzebne sklepy oraz urzędy, nawet przytulną gospodę. W wolnej chwili musi pan zwiedzić sąsiedztwo dworku.

Słońce skryło się za horyzontem, nadając okolicy wygląd upiornych wrzosowisk. Pamiętam, jak ojciec wypożyczał z biblioteki kryminały, których akcja działa się w takich miejscach, a kiedy nie było go w domu, podbierałem mu te książki i sam się w nie zagłębiałem.

Jechaliśmy pod górę dziurawą drogą. Nad nami krążyło stado czarnych, wielkich ptaszysk.

– O w mordę – wyrwało mi się, kiedy moim oczom ukazał się ponury budynek stojący na samym szczycie wzgórza.

Idealne miejsce na popełnienie krwawego mordu – to była pierwsza myśl, jaka pojawiła się w mojej głowie.

– Mam nadzieję, że będą gotowi. – Notariusz nerwowo stukał palcami w kierownicę.

– Gotowi na co? – zdziwiłem się, wciąż obserwując mój nowy dom.

– Zadzwoń do mojego biura ze stacji benzynowej, żeby uprzedzić mieszkańców dworku o przybyciu dziedzica.

Rozumiałem jego słowa i doskonale wiedziałem, o kim mówi, ale to wszystko brzmiało tak nierealnie. Ja, Maximus Opoka, miałbym być dziedzicem tego wszystkiego?

Wachim zatrzymał samochód tuż przed głównym wejściem i zatrafił. Nic się nie wydarzyło, więc wysiadłem. Żwir zachrząścił pod moimi butami. Zadarłem głowę i zlustrowałem spojrzeniem budynek. Na zdjęciu prezentował się znacznie lepiej. Teraz, z bliska, widziałem tynk odpadający od ścian, okna, które zapewne były nieszczelne, dachówki miejscami porośnięte przez mech. Ale co ja wybrzydza, w podobnym stanie znajdowały się stare kamienice w mieście. A ta, w której mieszkałem do tej pory, miała przeciekający dach, na klatce schodowej stopnie, które groziły zarwaniem, a wiekowe rury co chwilę pękały i ktoś z sąsiadów był zalewany, nie wspominając już o zwarcjach w elektryce.

Jedno skrzydło drewnianych, rzeźbionych drzwi otworzyło się ze skrzypnięciem i na zewnątrz wyrzała młoda dziewczyna w chustce na głowie. Zrobiła wielkie oczy, zdarła z siebie chustkę i zamknęła drzwi.

– Musi pan im wybaczyć. – Notariusz uśmiechnął się przepaszająco. – Nikt nie sądził, że uda mi się znaleźć dziedzica tak szybko.

Wzruszyłem ramionami. Nie raz i nie dwa witano mnie znacznie gorzej.

– Może przejdziemy się kawałek? – zaproponował Wachim.

Skinąłem głową i ruszyłem wzdłuż ściany budynku. Notariusz, który ewidentnie planował iść w inną stronę, zatrzymał się, zawahał, po czym popędził za mną z tą swoją aktówką pod pachą.

Naliczyłem sześć okien w rzędzie od wejścia do końca ściany budynku. Wszystkie wielkie, trochę brudne i z nieco spróchniałymi fioletowymi okiennicami. Takie same znajdowały się na piętrze. Skręciłem za róg i ujrzałem coś jakby mały domek ze szkła przytulony do szarej ściany.

– A to co? – zdziwiłem się.

– Oranżeria hrabiego Morta Muertona, syna Glariusza.

Parsknąłem pod nosem. Chyba tatuś nie przepadał za synem, skoro dał mu takie imię.

– Niegdyś słyneła z najpiękniejszych okazów kwiatów – ciągnął Wachim.

– Wiele z nich sprowadził z zagranicy. Na łąkach zaś kazał rozsiewać przedzimki – notariusz zmarszczył brwi – bardzo inwazyjny gatunek, który niestety szybko zaczął rozrastać się w lokalnych ogrodach...

Oranżeria. Chwilę trwało, zanim przypomniałem sobie znaczenie tego słowa. Kiedyś mama opowiadała mi bajkę o pięknym domu, w którym znajdował się zimowy ogród. Wtedy coś takiego wydawało mi się bezsensowną zachcianką bogatych ludzi. Zresztą nadal tym dla mnie jest. Choć teraz będę miał własną oranżerię. Czy to czyni mnie bogatym człowiekiem?

Podszedłem do jednej ze szklanych ścian i zajrzałem do środka. Trochę się zawiodłem, bo zamiast pięknych, kwitnących roślin zobaczyłem puste donice z wyschniętą ziemią, taczkę, grabie, łopatę i mnóstwo innych sprzętów ogrodniczych.

Ruszyłem dalej, minąłem zsyp na węgiel i dotarłem do kolejnego rogu budynku. Przede mną rozciągał się niemiłosiernie zarośnięty ogród.

– Ponoć jest tu ogrodnik – odezwałem się.

– Cóż, może troszkę zaniedbał swoje obowiązki – westchnął notariusz. – Nie jest już najmłodszy.

– Taaa – mruknąłem.

Zacząłem przedzierać się przez krzaki, które wyglądały, jakby kiedyś ktoś je elegancko przycinał, ale gdy tylko poczuły wolną wolę, rozrosły się we wszystkich możliwych kierunkach. Uważnie przyglądałem się zarówno dworkowi, jak i całej okolicy.



– Tam mieszka służba. – Notariusz machnął ręką w stronę małego budynku połączonego z dworkiem długim, przeszklonym korytarzem. – A tam mamy stajnię.

– Ile koni? – zapytałem, zastanawiając się, za ile można takiego sprzedać.

– Eee... obecnie chyba żadnego. – Wachim się zająknął. – A wracając do samego dworku... Tynk trochę się sypie, ale zapewniam, że mury są solidne – gadał, idąc krok w krok za mną.

Poczułem dziwną satysfakcję, kiedy najpierw usłyszałem za plecami dźwięk dartego materiału, a tuż po nim ciche przekleństwo. Obróciłem się i zobaczyłem mojego towarzysza, jak usiłował wyplątać się z krzewu róży.

– Wiem, że dach w kilku miejscach wymaga naprawy, ale jest to naprawdę drobiazg – kontynuował notariusz, gdy tylko się uwolnił. – Zarządca bez problemu powinien sobie z tym poradzić albo wyznaczyć kogoś, kto...

Przestałem go słuchać. Koleś zachwalał dworek i usiłował ukryć jego mankamenty, jakbym był potencjalnym kupcem. A przecież według papierów w jego teczce już byłem właścicielem tego wątpliwej jakości cuda architektury. Zresztą mnie nie obchodził stan techniczny domu. Ktoś, kto przez ostatnie dni mieszkał na Szantach, naprawdę nie potrzebował wiele do szczęścia. Wystarczy kawałek podłogi, na której można się położyć, i koc, żeby się przykryć, a jeśli nocą nie przyjdą szczury, żeby podgryzać człowiekowi pięty, to już w ogóle luksus.

Tak naprawdę rozglądałem się tu dokładnie, żeby poznać ewentualne ścieżki szybkiej ewakuacji. Sprawa z dziedziczeniem nadal zdawała się zbyt piękna, żeby była prawdziwa, a poza tym, gdyby jakimś cudem Diogenes mnie odnalazł, dobrze wiedzieć, którędy można zwiać.

Nagle z budynku dla służby wypadły trzy wielkie ogary, a za nimi mały czarny kundel, który szczekał najgłośniej. Zamurowało mnie. W mieście nie miałem za dużo do czynienia ze zwierzętami i nie wiedziałem, czy ich ujadanie to oznaka powitania, czy groźba, że zaraz mnie rozszarpia.

– Jak witacie nowego pana? – zganił je notariusz.

Psy zaczęły radośnie skakać wokół niego.

– Ten najmniejszy to Zamęt – powiedział do mnie Wachim, głaszcząc burki. – Jak on pana zaakceptuje, reszta watahy również. Nie wiem, jak to się stało, że on rządzi w tej wesołej gromadce.

Facet minę miał poważną, ale dałbym głowę, że robi mnie w trąbę. Mimo wszystko pochyliłem się i wyciągnąłem rękę do małego czarnego kundla. Ten mnie obwąchał, a po chwili pozwolił się podrapać za uchem. Inny pies, kiedy tylko to zobaczył, rzucił mi się do twarzy i zaczął mnie lizać.

– Bez takich czułości proszę. – Wyprostowałem się, wycierając wilgotne usta.

– To są Koza, Szczypior i Lawa. – Notariusz przedstawił mi pozostałe psy.

Okrążyliśmy moje nowe włości, a zwierzęta nam towarzyszyły, jakby chciały pokazać swoje najlepsze miejscówki. Wróciliśmy do auta – tym razem na podjeździe stała w rzędku grupka ludzi. Wszyscy wyprostowani na baczność, zerkający na mnie z ciekawością. Kobieta w gorskiej i czarnej sukni, jakby żywcem wyjęta z poprzedniej epoki, wyszła przed szereg i skinęła mi głową. Zapatrzyłem się na jej ulizane ciemne włosy, ciasno spięte w kok, i zacząłem się zastanawiać, jakim cudem oczy jeszcze nie wyszły jej na wierzch od takiej fryzury.

– Witamy w Lawendowym Dworcu – odezwała się. – Nazywam się Aster Ordun i jestem ochmistrzynią.

Chciałem zapytać: „kim?”, ale ugryzłem się w język. Może lepiej nie wyjść na idiotę już pierwszego dnia.

– Bardzo mi miło – rzuciłem i uścisnąłem jej rękę.

Drgnęła nerwowo i szybko cofnęła dłoń, stając do mnie bokiem.

– Konrad, ogrodnik – powiedziała, a przed szereg wystąpił facet w podeszłym wieku z okazałym brzuchem.

Uklonił się przede mną i cofnął.

– Alma, kucharka.

Kobieta była bardzo szczupła.

Dalej stali Gaspar – koniuszy z podłużną końską twarzą i nerwowymi ruchami – oraz szarooka Irys – jeśli dobrze zrozumiałem, dziewczyna od wszystkiego.

– A gdzie Garłacz? – odezwał się z pewnym wyrzutem notariusz.

Ochmistrzyni wzruszyła ramionami i zrobiła wyniosłą minę.

– Nie odpowiada przede mną – odparła.

– Przed nikim nie odpowiada – zachichotała Irys.

Aster syknęła ostrzegawczo w stronę dziewczyny, po czym spojrzała na Wachima i wywróciła oczami, jakby to miała być wystarczająca odpowiedź na wszystko.

– Cóż, w takim razie zarządcę pozna pan później – stwierdził notariusz, po czym podał mi rękę. – Ja się będę już zbierał. – Pospiesznie wyjął z auta moją torbę, postawił ją na podjeździe i odjechał.

Znam się na ucieczkach i dałbym głowę, że facet właśnie zwiewał. Tylko przed czym? Przede mną raczej nie, może przed ochmistrzynią? Kobieta zacmokała z niezadowoleniem, patrząc na kurz wzbity w powietrze przez opony, i wymamrotała coś o myciu okien, po czym odwróciła się do mnie i ponownie otaksowała wzrokiem, ściągając usta tak mocno, że stworzyły zaledwie wąską linię. W sumie można by się jej bać.

– Zaprowadzę pana do jego pokoju – oświadczyła.

– Jestem Max – odparłem z uśmiechem.

Nikt nigdy nie zwracał się do mnie per pan. No, oczywiście poza notariuszami, ale z nimi nie miałem za wiele do czynienia. Jak do tej pory to najdłuższą rozmowę z kimś tej rangi przeprowadziłem dopiero co z Wachimem.

– Zaprowadzę pana do jego pokoju – powiedziała z uporem maniaka.

Wzruszyłem ramionami i sięgnąłem po torbę leżącą na podjeździe.

– Gaspar – warknęła ochmistrzyni.

Koniuszy potrzebował chwili, żeby się zorientować, czego kobieta od niego chce, po czym rzucił się w stronę mojego bagażu.

– Sam dam ra... – zacząłem.

– Ja poniosę! – Złapał za rączkę.

Siłowaliśmy się przez kilka sekund, aż postanowiłem odpuścić. Przecież nie miałem tam nic cennego, tylko trochę ubrań, i to niekoniecznie czystych. Skoro człowiek chciał się wykazać, co będę mu bronił.

Ruszyliśmy za ochmistrzynią. Gdy tylko przekroczyłem próg dworku, poczułem na twarzy powiew chłodu. Z ciekawością rozejrzałem się po wielkim hallu pogrążonym w półmroku. Ściany obite drewnem, marmurowa podłoga i pokryte pajęczynami kinkiety sprawiły, że poczułem się, jakbym cofnął się w czasie o jakieś sto lat. Jako zwieńczenia starego wystroju brakowało mi jeszcze zbroi stojącej koło schodów.

– Po lewej znajduje się gabinet. – Aster machnęła dłonią w stronę dużych drzwi z kolorowym witrażem. – Po prawej sala balowa, a dalej jadalnia. Kolację podajemy o osiemnastej.

– A jak się spóźnię? – zażartowałem, choć wcale nie miałem zamiaru się spóźniać, szczególnie po kilku dniach mieszkania na Szantach.

– O osiemnastej – powiedziała z naciskiem, po czym jej usta znów zacisnęły się w wąską linię.

– Oczywiście – przytaknąłem dla świętego spokoju.

Skierowaliśmy się ku podwójnym zabiegowym schodom. Między nimi stała niska kolumna, a na niej popiersie z brązu.

– Glarius Muerton – odezwała się Aster.

Podszedłem do tego dzieła sztuki.

– Niezbyt udana rzeźba – stwierdziłem. – Chyba że ten człowiek naprawdę był taki brzydki.

Odwróciłem się z uśmiechem na ustach do moich towarzyszy.

Koniuszy zaśmiał się krótko i głośno jak koń, ochmistrzynie zaś zgromiła spojrzeniem najpierw jego, a później mnie.

– Trochę szacunku – warknęła.

– To trzeba by sobie na niego zasłużyć – odpowiedział koniuszy tak cicho, że zacząłem się zastanawiać, czy rzeczywiście tak brzmiały jego słowa.

Aster wyglądała, jakby chciała zdzielić go po głowie, ale się powstrzymała. Stała na pierwszym stopniu i machnęła dłonią, żebyśmy szli za nią.

– Wchodzimy tylko prawą stroną – oświadczyła.

– Jakiś przesąd? – zainteresowałem się.

– Lewa strona jest zbutwiała, można zlecieć i pogruchotać sobie gnaty – uprzedził jej odpowiedź koniuszy. – A trudno będzie znaleźć nowego dziedzica.

Pokiwałem głową. Takie wyjaśnienie mi wystarczało. Mocno wytarte drewniane stopnie zatrzeszczały pod naszymi stopami. Oparłem dłoń na gładkiej poręczy i przyjrzałem się metalowej balustradzie przedstawiającej motywy roślinne: jakieś kwiatki, listki i fantazyjnie powyginane łodygi. A wszystko to aż szare od kurzu.

Dotarliśmy na piętro. Ochmistrzynie bez słowa skrzyła w prawo, w długi, ciemny korytarz. Na ścianach wisiały stare obrazy olejne.

– Kolejni dziedzice – podpowiedział cicho koniuszy.

Gwizdnąłem pod nosem. Naliczyłem ich około dwunastu.

– Co trzeba zrobić, żeby trafić na ścianę obok nich? – zapytałem żartem.

– Wystarczy zgi... – szepnął koniuszy.

Aster odchrząknęła głośno.

– Sypialnia dziedzica – powiedziała, otwierając drzwi do jednego z pomieszczeń.

Pewnym krokiem weszła do środka i zdarła ciężką kapę z wielkiego łóżka. Koniuszki postawił moją torbę na środku wielkiego pokoju i się ulotnił.

– Rozgości się pan. – Aster poskładała kapę i ułożyła ją na skrzyni stojącej w nogach łóżka. – W kominkach zaczynamy palić po dwudziestym, na razie oszczędzamy opał. Kolacja, tak jak mówiłam, o osiemnastej. – Skierowała się do wyjścia.

– Ale ja nie mam... – zacząłem. – Zegarka – dokończyłem do zamkniętych już drzwi.

Byłem dziedzicem, więc chyba ktoś mnie zawoła na tę kolację. Przez chwilę stałem na środku pokoju i nasłuchiwałem oddalających się kroków, a gdy ucichły, zacząłem oględziny pomieszczenia.

Dwa wielkie okna, ciężkie ciemnozielone zasłony, starodawny kominek z rzeźbieniami i dwa kaloryfery pod parapetami. W jednym z rogów stało wielkie lustro. Stałem przed nim i wpatrzyłem się we własne odbicie, po czym parsknąłem śmiechem. Taki ze mnie dziedzic jak z koziej dupy trąba. Sińce na mojej twarzy przybrały żółty odcień, na dolnej wardze nadal miałem wielkiego strupa, do tego jeszcze trochę krzywy nos, który nie raz mi połamali, zarośnięta gęba i ogólny wygląd ulicznego cwaniaczka, a nie jakiegoś tam pana na włościach. Jakby moi starzy kumple, a przynajmniej ci, którzy nie chcieli mnie teraz zabić, zobaczyli mnie tutaj, ryknęliby ze śmiechu.

– Maximus Opoka, dziedzic – powiedziałem do lustra, siląc się na poważny ton. Nie wyszło.

Pokręciłem głową i zajrzałem za niewielkie drzwi. Prowadziły do garderoby.

– Na co komu tyle ubrań? – zdziwiłem się.

Na wieszakach wisiały koszule, marynarki, kurtki i płaszcze. Na półkach leżały schludnie poskładane bawełniane koszulki, swetry, bluzy i spodnie. Część z tych ciuchów pamiętała chyba czasy, gdy na Szantach mieszkali szanowani obywatele; wiele z nich miało dziury po molach, ale niektóre były naprawdę dobre jakościowo. Na próbę zdjąłem z wieszaka błękitną koszulę i przyłożyłem ją do swojej klatki piersiowej. Do tego jeszcze granatowa marynarka...

– Gdyby nie ta gęba, to wyglądałbym jak koleś z klasą – powiedziałem do własnego odbicia. Tak, tu też było wielkie lustro. – Diogenes mógłby czyścić mi buty.

Niedbale odwiesiłem ubrania i sięgnąłem po coś, co wyglądało jak starodawny surduty. Był naprawdę wielki, pasowałby na takiego Karła, a nie na mnie. Hm, ciekawe. Szybko odkryłem, że ciuchy były w najróżniejszych rozmiarach. Od takich naprawdę małych po olbrzymie.

Obejrzałem się na moją torbę nadal stojącą na środku pokoju i znów powiodłem wzrokiem po pełnych wieszakach. Przynajmniej nie będę wyglądał jak szancierz.

Ściągnąłem z półki granatową koszulkę z krótkim rękawkiem i czarną bluzę. Namierzyłem jeszcze czarne dżinsy. Lubiłem ciemne ubrania. Nie dlatego, że czerń wyszczupła, ale dlatego, że łatwiej się w niej skryć w mroku miejskich uliczek.

Rzuciłem ciuchy na łóżko i skierowałem się do kolejnych małych drzwi. Łazienka. Własna łazienka. Niby nic niezwykłego, w końcu w poprzednim lokum miałem łazienkę, ale kurczę, ta jedna sypialnia była dwa razy większa od mojego poprzedniego mieszkania.

Sama łazienka jednak nie była duża, ot – tylko sedes, wanna i umywalka z lustrem, a to wszystko też całkiem wiekowe. No i jeszcze spora szafka. Zajrzałem do niej. Komplet ręczników, papier toaletowy i podręczna apteczka.

– Nie taka znowu podręczna – poprawiłem się, zaglądając do dużego pojemnika.

Bandaże, plastry, komplet igieł z nićmi, środki odkażające i przyspieszające gojenie. Odruchowo podrapałem się po brudnym bandażu na ramieniu. Rana po Słodkiej nadal się babrała, a zestaw opatrunkowy, który dorwałem na Szantach, na pewno nie był sterylny.

Bez zastanowienia zdarłem z siebie starą koszulkę i odkleiłem opatrunek od ciała. Skrzywiłem się na widok zaognionej skóry wokół rany, z której sączyła się ropa. Obficie spryskałem ją czymś odkażającym, znalazłem jakąś maść z antybiotykiem i zakleiłem to wszystko jałowym plastrem. Może już wtedy, zamiast cieszyć się, że mogę ogarnąć ranę, powinienem był się zastanowić, dlaczego ta przeklęta apteczka była tak dobrze zaopatrzona.

Wróciłem do pokoju, przebrałem się w nowe ciuchy i wyjrzałem przez okno. Cholera, w pobliżu nie było żadnej rynny. Ale za to na dole znajdowały się całkiem gęste krzaki. To tylko pierwsze piętro. W razie gdybym kiedyś musiał się stąd szybko ewakuować, zawsze mogę sprawdzić, czy w takich zaroślach będę miał miękkie lądowanie.

Niebo na zewnątrz pociemniało, zanosiło się na deszcz. Położyłem się na łóżku, splotłem dłonie na brzuchu i zapatrzyłem się na rzeźbiony sufit. W ciągu jednego dnia moje życie zmieniło się o sto osiemdziesiąt stopni. To wszystko było tak nierealne: notariusz, Lawendowy Dworek, własna służba. Coś takiego nie mogło dobrze się skończyć. Nie w moim przypadku. Lada moment okaże się, że jednak nie jestem spokrewniony z tym Glariuszem, czy jak mu tam było, i wywalą mnie na zbity pysk. Do tego czasu jednak postanowiłem korzystać z okazji i chociaż porządnie odpocząć.

Przymknąłem oczy, wciąż nasłuchując. Ludzie tacy jak ja nigdy nie spali mocno, a obudzić ich mógł nawet najłżejszy szelest. Podświadomie zarejestrowałem deszcz, który zaczął uderzać o szyby, głosy na dole, skrzypienie desek na korytarzu i wiatr hulający na strychu. A kiedy poczułem zapach pieczonego mięsa, gwałtownie poderwałem się z łóżka.

– Kolacji nadszedł czas – rzuciłem wesoło.

Podszedłem do drzwi i przez chwilę nasłuchiwałem pod nimi, na wypadek gdyby ktoś stał na zewnątrz i chciał zdzielić mnie po łbie. Wyjrzałem na korytarz, który na ułamek sekundy został rozświetlony przez błyskawicę przecinającą niebo. Tutaj zapach kolacji był jeszcze bardziej intensywny, a mnie zaburczało w brzuchu.

W lekkich podskokach pokonałem schody, trzymając się odpowiedniej strony, żeby nie zlecieć i nie pogruchotać sobie gnatów. Podszedłem do paskudnego popiersia i starłem kurz z jego głowy.

– Pewnie się nie spodziewałeś, że ktoś taki jak ja odziedziczy to wszystko po tobie, co? – zagadnąłem. – I jeśli to widzisz, to założę się, że właśnie trafił cię szlag.

– Maximus Opoka! – usłyszałem radosny okrzyk, po czym wyprostowałem się gwałtownie.

## Rozdział 8

U szczytu schodów stała podstarzała kobieta w powłóczystej kolorowej sukni. Na ramiona miała niedbale zarzucony kwiecisty szal, a okropne, krótkie rude włosy przewiązała różową apaszką.

– Tak, to ja – odparłem, nie spodziewając się z jej strony zagrożenia.

Kobieta rozłożyła ramiona i zaczęła schodzić ze schodów, jakby na dole czekały na nią tłumy wielbicieli. Przechyliła lekko głowę i uśmiechnęła się tajemniczo. Założyłbym się, że całą tę scenę nie raz wyobrażała sobie w głowie i ćwiczyła co najmniej kilka razy dziennie. W końcu stanęła twarzą w twarz ze mną i wystudiowanym gestem podała mi rękę.

– Dalia Rozenbacher – przedstawiła się.

Wiedziałem, doskonale wiedziałem, że chciała, abym ucałował jej dłoń jak jakiś dżentelmen. Dlatego potrząsałem nią mocno, jakbym witał się z kumplem przy piwie.

Cofnęła rękę i poprawiła nią natapirowaną fryzurę, uśmiechając się z zakłopotaniem.

– To kim pani jest? – wypaliłem.

Nie przypominałem sobie, żeby na liście służby była jakaś Dalia. Zresztą ta kobieta nie wyglądała na sprzątaczkę. A może to matka samego Glariususa? I dzięki jakimś wiedźmim czarom zachowała... cóż, na pewno nie młodość ani urodę, ale starcze życie?

– Jestem Dalia Rozenbacher – powtórzyła. – Na pewno widział pan moje obrazy.

– Te płótna w korytarzu? – zgadłem, ale ona prychnęła lekceważąco.

– Nie zajmuję się taką „sztuką” – odparła wyniośle. – Obecnie fascynuję się nurtem ekspresjonistycznym, a moje obrazy znajdują się w najlepszych



galeriach w całej Hatarii.

– Coś mi świta w głowie. – Zmarszczyłem brwi, udając powagę. – Ostatnio byłem na biennale w Żaropolu. – Totalnie strzelałem i nawet nie wiem, czy dobrego słowa użyłem. – I pamiętam, że był tam taki niezwykły obraz z preclami...

– Tak, tak! – wykrzyknęła tak gwałtownie, że aż cofnąłem się o krok. – To mój obraz! A te precle to węzły życia symbolizujące młodość, dorosłość i starość! *Wczoraj, dziś i jutro*, tak go zatytułowałam.

Z zaskoczeniem pokiwałem głową. Czy to możliwe, że tak głupio zgadłem? A może ta ruda staruszka, wystrojona jak papuga na Paradę Śmierci, była taką samą kłamczuchą jak ja?

– Coś niezwykłego, że mogę panią poznać! – Postanowiłem dalej grać w tę grę i podałem jej ramię.

Z radością oparła na nim swoją dłoń.

– A widział pan może mój obraz *Ludzka orchidea*?

– Niestety – zaprzeczyłem ze smutkiem.

– Któregoś dnia będziemy musieli razem wybrać się do Żaropola na wystawę, bo widzę, że trafił się nam prawdziwy koneser sztuki! – Dalia zachichotała, a za oknami błysnęło. – Okropna pogoda. – Zadrzała. – A tak lubię pracować na świeżym powietrzu – westchnęła.

Razem weszliśmy do olbrzymiej sali, a ja aż zagwizdałem z podziwu. Pomieszczenie było naprawdę wielkie, deszcz z wściekłością zacinał o wysokie okna, kotary falowały lekko, poruszone przeciągiem. W bogato zdobionym kominku nie palił się ogień, więc było tu dość chłodno. Pod ścianami stały przeszklone kredensy pełne porcelanowych naczyń. Roślinne rzeźbienia na suficie zdawały się poruszać, lodygi wiły się, kwiaty rozkwitały, a liście drgały od niewyczuwalnego wiatru. Pod moimi stopami zatrzeszczał piękny parkiet.

– Kiedyś to była sala balowa – powiedziała z natchnieniem Dalia. – Ach, cóż to były za bale... Kobiety w tańcu wyglądały jak dzikie kwiaty, o tam, w rogu, stała orkiestra, a przez otwarte okna do środka wlewał się oszałamiający zapach wisterii.

Zerknąłem na moją towarzyszkę. W kąciку jej oka pojawiła się łza. I wcale nie była wymuszona, jak wszystkie inne gesty kobiety. Nie, ona stanowiła symbol smutku po minionych czasach.

*Ile ty możesz mieć lat?* – zastanowiłem się.

Przeszliśmy do jadalni. Ochmistrzyńni Aster stała przy długim stole wyprostowana jak tyczka. Jej wystające kości policzkowe rzucały cienie na zapadnięte lico.

– Kolacja – oświadczyła.

– Ach, dziękujemy ci, kochana. – Dalia ujęła jej chude dłonie i z czułością je poklepała, a na twarzy ochmistrzyńni po raz pierwszy pojawiło się coś na kształt uśmiechu.

– Mam nadzieję, że ubrałem się odpowiednio do posiłku. – Poprawiłem kaptur od bluzy, a mina Aster natychmiast spoważniała.

Drażnienie tej kobiety stanie się chyba moim nowym hobby.

Na stole znajdowały się tylko dwa nakrycia. Nie oglądając się na nic, rozsiadłem się na krześle. Z ust nadal stojącej w miejscu Dalii wydobył się cichy, nieartykułowany dźwięk, po czym obie kobiety wymieniły spojrzenia. Jeżeli ta podstarzała artystka oczekiwała, że...

– Proszę mi wybaczyć moje gapiostwo. – Zerwałem się na równe nogi i odsunąłem krzesło, żeby mogła na nim usiąść.

A co mi tam, mogę się pobawić w dżentelmena. Papuzi strój Dalii wyglądał na dość drogi i choć nie mam pojęcia, ile zarabiają malarze, to może uda mi się coś od niej wyciągnąć... albo któregoś dnia zwinąć jej taką złotą bransoletę ze szmaragdami – zapatrzyłem się na brzęczącą na jej nadgarstku biżuterię.

Kobieta z wdzięcznością skinęła mi głową, po czym przysunęła się do stołu. Znów zająłem moje miejsce i z wielką niecierpliwością czekałem, aż ochmistrzyńni zdejmie pokrywki z półmisków. Ku mojemu rozczarowaniu wkrótce zobaczyłem, że zaserwowano nam ogórkową i skromny zestaw szynek oraz serów do chleba. Zerknąłem na Dalie.

– Pyszności. – Zaczęła nalewać sobie zupę. – Dziękujemy, Aster.

Ochmistrzyńni wyszła, a ja wyciągnąłem rękę po chochlę. Przepęłniał mnie żal, że nie dostałem pieczonego mięsa, które zdawało mi się, że wcześniej czułem, ale nie oszukujmy się. Po kilku dniach spędzonych na Szantach nawet rozwodniona ogórkowa była wspaniałym daniem.

Błysnęło za oknami, po niebie przetoczył się grom, a deszcz ze zdwojoną siłą zaczął walić w szyby, jakby zaraz miał je potłuc w drobny mak.

– To zapomniane dusze tańczą taniec śmierci – odezwała się głucho Dalia.

Spojrzałem na kobietę, która zastygła w bezruchu z pełną łyżką w połowie drogi do ust.

– Słucham? – zapytałem, nalewając sobie dokładkę.

– Biją w bębny, poruszają się w rytm pierwotnej muzyki, która trąca najgłębsze struny w ich martwych sercach. – Jej wzrok się zamglił.

– Aha? – zachęciłem ją między kolejnymi kęsami.

Nagle kobieta zerwała się, gwałtownie odsuwając krzesło, które zazgrzytało na podłodze.

– Muszę to namalować! – oświadczyła i żwawym krokiem wymaszerowała z jadalni, a jej szal powiewał za nią niczym skrzydła rajskiego ptaka.

Przeciagnałem się na krzesło, po czym beknąłem głośno.

– Artyści... – stwierdziłem, przelewając zawartość jej talerza na mój.

Gdy skończyłem zupę, zrobiłem kilka kanapek, z czego większość zawinałem w serwetkę i upchnąłem do kieszeni bluzy. Tak na wszelki wypadek. Burza trwała w najlepsze. W pewnej chwili zgasło światło, a jadalnia pograżyła się w mroku. Poklepałem się po kieszeniach spodni.

– Jest. – Wyciągnąłem zapalniczkę, którą przełożyłem ze starych ciuchów, po czym zapaliłem najbliższą świecę.

Ciemność na pewno nie przeszkodzi mi w pierwszym porządnym posiłku od kilkunastu dni, choć zrobiło się nieprzyjemnie chłodno, a na moich przedramionach pojawiła się gęsia skórka. Dolałem do filiżanki ciepłej herbaty z ozdobnego czajniczka.

Znów błysnęło za oknem, a cała jadalnia na ułamek sekundy zatoneła w świetle, sprawiając, że po chwili ponownie musiałem czekać, aż mój wzrok przyzwyczai się do ciemności. Potężny grzmot wstrząsnął całym budynkiem, aż trzasnęły drzwi. Uniosłem wzrok i dostrzegłem ciemną sylwetkę stojącą w progu.

*Czy każdy tutaj musi mieć jakieś dramatyczne wejście?* – pomyślałem z przekąsem.

Niespodziewany gość ruszył w moją stronę, utykając na jedną nogę. A im bliżej się znajdował, tym bardziej przywodził mi na myśl jednego z zakapiorów Diogenesa. Na wszelki wypadek dyskretnie ściągnąłem ze stołu nóż do masła i ukryłem go w rękawie bluzy. Może nie jest to groźna broń, ale z efektem zaskoczenia zrobi swoje. A jak jeszcze przeciwnik dostanie zakażenia od tego masła, to już w ogóle bajka.

– Tyyy. – Mężczyzna stanął kilka kroków przede mną.

Nadal nie widziałem jego twarzy, ale wolałem się skupić na barczystych ramionach i wielkich jak talerze dłoniach, w których trzymał siekiere.

– Ja – odparłem głupio.

– Ty jesteś nowym dziedzicem. – Skierował obuch w moją stronę.

– Maximus Opoka, kłaniam się. – Nawet nie wstałem z krzesła, tylko zacząłem wystudiowanymi ruchami kłaść szynkę na chlebie.

Mężczyzna stał tam jak jakiś idiota, dysząc głośno i wpatrując się we mnie. Nie wiem, może chciał mnie nastraszyć? Ale na mnie, chłopaka z miasta, w ogóle taka postawa nie działała. A może był niespełna rozumu?

– Mogę w czymś pomóc? – zapytałem uprzejmie, po czym wgrzyłem się w kanapkę.

Faceta zatkało. Podeszedł bliżej, chyba żebym mógł lepiej mu się przyjrzeć w świetle świecy. No dobra, trochę zrobił na mnie wrażenie. Jego opalona twarz była naznaczona siateczką zmarszczek i blizn. Ale nie to przykuło moją uwagę. Zapatrzyłem się na czerwony ślad na jego skórze, podobny w kształcie do liścia paproci – wystawał spod jego koszulki, ciągnął się poprzez szyję aż po policzek. Ludzie na Szantach opowiadali, że właśnie tak wygląda człowiek, którego trafił piorun.

Pokiwałem do siebie głową. Chyba stał przede mną prawdziwy twardziel.

– Jestem zarządcą – zagrzmiał mężczyzna. – Roch Garłacz. Odpowiadasz przede mną. – Znów wycelował we mnie siekiere. – Chcę znać każdy twój ruch, bez mojej zgody nie opuszczasz dworu, nie pałaszujesz się po łąkach...

Spokojnie przeżułem ostatni kęs kanapki i wytarłem usta serwetką.

– Nawet się nie wysrasz bez... – ciągnął zarządcą.

– Nie – przerwałem mu spokojnie, wstając od stołu.

Cholerka, facet był co najmniej o głowę ode mnie wyższy. Ale przecież miałem do czynienia z takimi przez ponad pół życia.

– To ty odpowiadasz przede mną – warknąłem. – Ja jestem dziedzicem, a ty zarządcą. To ja decyduję, co, kiedy i gdzie będę robić. Nawet jak przyjdzie mi ochota narobić na środku tego stołu, to się nie zawaham.

Garłacz wyglądał, jakby coś przeżuwał z wściekłością, ale jego spojrzenie zmiękło.

– Choć Aster chybaby tego nie pochwałała – dodałem żartem i wyciągnąłem do niego rękę.

Po chwili zastanowienia ścisnął moją dłoń, a mnie udało się nie jęknąć z bólu, gdy miałem wrażenie, że moje kości są miażdżone w imadle.

- No dobra, poprężyliśmy muskuły, to może teraz coś zjemy? - zaproponowałem, kiedy puścił moją dłoń. Schowałem ją za plecy i poruszyłem palcami, odzyskując w nich czucie.

- Nie jadam kolacji - burknął Roch, po czym wyszedł z jadalni.

Przez moment patrzyłem na zamknięte za nim drzwi, ale wzruszyłem ramionami i wróciłem do posiłku.

- Dwór pełen osobliwości - oceniłem lekko. - Garłacz - powiedziałem jeszcze cicho do siebie. - To dopiero ciekawe.

Mój tata fascynował się historią i kiedyś pokazał mi swój szkic tej broni, po czym szybko wrzucił go do pieca. Dawno temu ludzie eksperymentowali z prochem i szybko odkryli, że mogą stworzyć broń, która ułatwi im zabijanie siebie nawzajem. Ale kiedy morderstwo zapewnia ci długą pokutę po śmierci, już nie jesteś tak chętny do odbierania życia. No, chyba że należysz do kasty, ale to inna bajka. W każdym razie zabroniono produkcji i używania wszelkiej broni palnej. Jeśli ktoś zrobi podejrzaną zakupy, z których mógłby coś skonstruować... cóż, czeka go długa odsiadka w więzieniu.

Po skończonej kolacji zastanowiłem się, czy nie powinienem wynieść brudnych talerzy, ale nie miałem pojęcia, gdzie znajduje się kuchnia. Zgasilem więc tylko świecę, upewniłem się, że po drodze nie zgubię z kieszeni dodatkowych kanapek, i prawie po omacku ruszyłem do swojej sypialni.

Rzuciłem się na łóżko i wsłuchałem w odgłosy oddalającej się już burzy, choć deszcz nie ustawał. To był dzień pełen wrażeń. Aż trudno uwierzyć, że jeszcze rano zegnałem się na Szantach z Tytusem, zdobyłem monetę od rodziców i o włos uciekłem Karlowi. A teraz znajdowałem się tutaj.

- To się porobiło - westchnąłem, zwlekając się z łóżka.

Na szczęście brak prądu nie miał wpływu na wodę w rurach. Napełniłem wannę po brzegi, dodałem jakiegoś płynu do kąpieli, który znalazłem po omacku w szafce, i zanurzyłem się w prawie wrzątku. Przymknąłem oczy, czując, jak spływają ze mnie cały brud, krew i zmęczenie. Chwilowo byłem bezpieczny, choć na pewno będę musiał mieć się na baczności. Nie wiadomo, co może strzelić do łba temu zarządcy, bo reszta zdawała się nieszkodliwa.

Ale nad tym będę się zastanawiał jutro.

# Rozdział 9

Przez całą noc lało jak z cebra. Deszcz tak mocno walił w szyby, że aż musiałem zakryć głowę poduszką. Mimo to nie spałem tak dobrze od wielu miesięcy. A poranek przywitał mnie szarą poświatą wpadającą do pokoju przez wielkie okna.

Usiadłem na łóżku i rozejrzałem się dookoła. Ponoć niektórzy tuż po przebudzeniu nie mają pojęcia, gdzie się znajdują, jak się tam znaleźli i tak dalej. Ja z kolei, gdy tylko otwieram oczy, jestem czujny i gotowy na wszystko. Tym bardziej że z dołu doszedł do mnie zapach świeżego pieczywa. Dokładnie tak pachniała nad ranem ulica, przy której stała piekarnia Heli. Już miałem włożyć ciuchy z poprzedniego wieczoru, ale się zawahałem. A gdyby tak zagrać na nosie ochmistrzyni? Na mojej twarzy rozgościł się złośliwy uśmiech.

W garderobie odszukałem elegancki surdut i go przymierzyłem. Dziadostwo było tak niewygodne, że od razu rzuciłem je w kąć. Włożyłem dżinsy, jaskrawozieloną koszulkę i marynarkę. Na próbę uniosłem ramiona. Trochę krępowała mi ruchy, ale byłem gotów się poświęcić.

Na końcu korytarza spotkałem Dalię. Zupełnie jakby tam na mnie czekała, żeby odegrać całą scenkę eleganckiej damy spływającej ze schodów.

– Kłaniam się nisko. – Skinąłem jej głową.

– Dzień dobry. – Uśmiechnęła się szeroko.

Znów miała na sobie zwiewne kolorowe szaty upodabniające ją do papugi. Wisienką na torcie zaś były jej krwistoczerwone usta i krótkie rude włosy, na które wysikała chyba tonę lakieru.

– Jak noc? – zapytała uprzejmie.

– Spałem jak dziecko – odparłem. – Jak obraz?

Dalia machnęła ręką.

– W artystycznym szale rzuciłam nim o ścianę i płótno rozerwało się na kinkiecie.

– Nielekki jest żywot artysty – powiedziałem tonem pełnym zrozumienia.

Kobieta przyłożyła dłoń do piersi i westchnęła ciężko, po czym zatrzepotała umalowanymi rzęsami.

Z żalem zanotowałem w głowie, że na jej nadgarstku znajduje się ta sama bransoleta co wieczorem. *Na pewno ma ich więcej* – pocieszyłem się. Ta może po prostu była jej ulubioną, co by mnie wcale nie zdziwiło, bo był to kawał złota przedstawiający gałązkę bluszczu, która zawijała się wokół nadgarstka artystki, a do tego pobłyskiwały na niej szmaragdy.

Weszliśmy pod ramię do jadalni, akurat gdy Irys stawiała na stole koszyk z chlebem. Na mój widok drgnęła nerwowo i spuściła wzrok.

– Już biegnę po kawę – rzuciła i zniknęła za wąskimi drzwiami ukrytymi w przeciwległej ścianie.

Tym razem pamiętałem, żeby pomóc Dalii usiąść, zanim sam zajmę miejsce za stołem.

– Cóż za pyszności – oceniła stara artystka.

Powiodłem wzrokiem po stole. Jeden rodzaj szynki, kawałek twarogu i talerzyk z pokrojonym pomidorem. A do tego czerstwy chleb.

– No i gdzie te bułki, których zapach mnie obudził? – mruknąłem pod nosem.

Dalia strzepnęła serwetkę i ułożyła ją na swoich kolanach.

– Wczoraj poznałem zarządcę – zagailem rozmowę.

– Rocha? Bardzo porządny człowiek – zapewniła, smarując chleb masłem.

– Sprawiał nieco inne pierwsze wrażenie.

– Och. – Dalia machnęła ręką. – Biedaczysko jest po przejściach i lubi udawać groźnego, ale naprawdę jest do rany przyłoż.

Odruchowo podrapałem się po opatrunku na ukąszeniu Słodkiej. Na pewno nie chciałbym tam przykładać tego faceta.

– Groził mi siekierą – zauważyłem.

– Taki zawód.

– Przecież nie jest drwalem, tylko zarządcą – przypomniałem jej, biorąc kęs chleba. Był tak czerstwy, że mógłbym połamać sobie na nim zęby.

Dalia zachichotała jak nastolatka. Albo jak ktoś, kto kłamie, ale kiepsko mu to wychodzi.

Do jadalni znów weszła Irys. Miała na sobie obciste dżinsy i bluzkę z dużym dekoltem, choć nie bardzo miała co tam pokazać. Długie jasne włosy związała w niedbały kucyk. Co chwilę dmuchała kącikiem ust na grzywkę, która wpadała jej do szarych oczu. Z daleka przypominała mi trochę Mirabelkę. Miała w sobie taką gibkość ruchów, jaka cechuje młode dziewczyny, a w jej spojrzeniu kryła się wieczna radość, jakby życie jeszcze jej nie doświadczyło. Zresztą, co się dziwić, jako służąca w takim dworku na pewno zawsze miała co jeść, nigdy nie marzyła, a gdzieś tam we wsi czekali na nią kochający rodzice.

Dziewczyna postawiła na stole imbryk, a gdy przechodziła obok, poczułem, jak owiewa mnie zapach świeżego pieczywa. Ktoś tu robił mnie w konia.

– Mleka nie ma – oświadczyłem.

– Zaraz przyniosę! – powiedziała szybko Irys.

– Nie kłopot się. – Posłałem jej urokliwy uśmiech i ruszyłem w stronę małych drzwi.

– To żaden kłopot! – zawołała, pędząc za mną.

Wyglądała, jakby chciała złapać mnie za ramię i zatrzymać, ale nie starczyło jej odwagi. A to tym bardziej utwierdziło mnie w przekonaniu, że powinienem iść do kuchni.

Schyliłem się w drzwiach, żeby nie uderzyć czołem w nadproże, i szedłem ciemnym korytarzem, a dziewczyna tuptała tuż za mną, przekonując, że ona wszystko przyniesie. Zapach świeżego pieczywa stawał się coraz bardziej intensywny.

Pchnąłem kolejne drzwi i wpadłem jak burza do kuchni.

– Smacznego – powiedziałem od progu.

Sześć zaskoczonych osób wbiło we mnie spojrzenia. Konrad, gruby ogrodnik, nawet podjął próbę schowania swojego talerza pod stołem. Podeszedłem do nich, sięgnąłem do koszyka po pachnącą bułkę i podrzuciłem ją w dłoń.

– To taki żarcik, co? – zagadnąłem, stawiając jedną stopę na drewnianej ławie i opierając przedramię na kolanie.

Wgryzłem się w bułkę. Matko, jaka ona była dobra.



– W czym możemy pomóc? – Aster wstała z krzesła i wygładziła czarną suknię.

– Mleka zabrakło – bąknęła zza moich pleców Irys.

Powiodłem spojrzeniem po wielkiej kuchni. Coś pachnącego gotowało się na sporej kuchence, w piekarniku rosło ciasto, na blacie roboczym znajdowały się warzywa gotowe do krojenia. A na samym środku stał duży stół zastawiony rozmaitym jedzeniem. Było tam co najmniej kilka rodzajów szynki, ser, miód, dżem, ogórki, pomidory...

– Rozumiem was – odezwałem się, hamując złość. – Nowy dziedzic, trzeba pokazać mu jego miejsce i takie sprawy. Ale dlaczego karać Dalię? Czym ta biedna artystka zasłużyła sobie na czerstwy chleb, oślizgłą szynkę i zepsuty twaróg? – Spojrzałem im w oczy i każdy spuszczał wzrok.

– Bo ona sama chciała... – odezwała się cicho Irys.

Ochmistrzyni syknęła na nią.

– Chciała powitać gościa, a raczej nowego domownika, w przyzwoity sposób? – Moje pytanie ociekało jadem.

Koniuszy parsknął coś pod nosem, a jego wielkie uszy zrobiły się czerwone.

– Mówiłam, że to zły pomysł – burknęła chuda kucharka, nerwowo poprawiając krótkie brązowe włosy.

– Mam nadzieję, że wczorajsza pieczeń wam smakowała – powiedziałem.

Konrad ogrodnik niemal zakrztusił się kanapką.

– A gdzie w ogóle zarządca? – Zmarszczyłem brwi.

– Śpi – odparła bez zmrużenia oka Aster.

– Co? Musi odespać grożenie ludziom po nocy siekierą? – zaśmiałem się bez radości.

– On pracował – powiedziała z wyrzutem Irys.

Moje spojrzenie padło na dwóch umięśnionych drabów.

– Wy nie zostaliście mi wczoraj przedstawieni. – Prześwidrowałem ich spojrzeniem.

Nie pamiętałem również, żeby znajdowali się na liście pracowników, którą pokazał mi notariusz. A pamięć wzrokową mam naprawdę dobrą.

– To Norman i Samson – wyjaśniła Aster.

Ci dwaj wyglądali na takich, których Diogenes zatrudniłby u siebie bez zastanowienia. Norman przypominał mi postać z bajki, którą kiedyś czytała mi mama – pirata Czarnobrodego, postrach mórza. A Samson to

wypisz wymaluj łysy półgłówek, który stoi na bramce pod klubem i najpierw bije ludzi, a później zadaje pytania.

Sięgnąłem po kolejną bułkę i urwałem kawałek kiełbasy. Po minach służby wiedziałem, że sytuacja z jedzeniem już się nie powtórzy. Ale ludzie z Lawendowego Dworku mogli ukrywać przede mną jeszcze wiele tajemnic. A ja nie miałem nic lepszego do roboty, jak tylko je wszystkie odkryć.

Ruszyłem ku drzwiom.

– Dokąd idziesz? – naskoczyła na mnie Aster, zapominając zwrócić się do mnie per pan.

– Na zwiedzanie. – Odwróciłem się i puściłem do niej oko.

– To ja będę panu towarzyszyć! – powiedziała szybko Irys pod wpływem spojrzenia ochmistrzyni.

Wzruszyłem ramionami. Nikt i nic teraz nie mogło mnie zatrzymać. Potrafiłem walczyć o swoje. A według umowy podpisanej przy notariuszu cały ten dwór był mój i, do jasnego groma, zamierzałem poznać każdy, nawet najbardziej zakurzony kąt.

Wymaszerowałem z kuchni, przemierzyłem ciemny korytarz, wciąż słysząc za sobą ciche kroki Irys. Jadalnia była pusta. Dalię pewnie znów dopadło natchnienie. Minałem salę balową i znalazłem się w przestronnym hallu.

– Możemy iść na górę – powiedziała szybko dziewczyna. – Opowiem panu o kolejnych dziedzicach znajdujących się na obrazach.

Prychnąłem pod nosem i pchnąłem drzwi do gabinetu. Stałem tuż za progiem i zagwizdałem z podziwem. Pomieszczenie miało ze czterdzieści metrów kwadratowych. Na jednej ścianie znajdowały się cztery wysokie okna. Całą przeciwległą ścianę zajmował olbrzymi regał z książkami. W kącie stała drabina, która najwyraźniej poruszała się na szynie wzdłuż niego. Takiej biblioteczki nie powstydziliby się nawet największy bibliofil. Ściągnąłem z półki pierwszą z brzegu książkę.

– *Rzeźby Asazana* – przeczytałem tytuł i zerknąłem na okładkę przedstawiającą ślepego boga.

Zerknąłem na kolejne tytuły, które również nawiązywały do bogów.

– *Występki Nazasy, O duszach potępionych* – mamrotałem pod nosem. – *Pakty krwi?* – Uniosłem pytające spojrzenie na Irys, która się zmieszała.

Takie książki były bardzo niepopularne, żeby nie powiedzieć: zabronione. Taką samą, tylko nie aż tak pięknie wydaną, w twardej oprawie miał

u siebie Diogenes.

– Poprzedni dziedzice byli... – zaczęła dziewczyna, po czym rozłożyła ręce.

– Kto bogatemu zabroni, co? – Odłożyłem książkę i ruszyłem dalej wzdłuż regału, mamrocząc kolejne tytuły. – *Dzienniki Anzelma, Dziennik Edgara...*

Były tam książki historyczne, encyklopedie, powieści, wiersze i mnóstwo innych, które nie wzbudziły mojego zainteresowania. Wkrótce podszedłem do drewnianego, bogato zdobionego biurka. Nie było na nim nawet śladu kurzu, a zestaw długopisów wyglądał na dość często używany.

– Ochmistrzyni prowadzi tutaj księgi rachunkowe – wyjaśniła Irys.

Pokiwałem głową ze zrozumieniem, ciesząc się, że dziewczyna o tym wspomniała. Czekala mnie jeszcze jedna rzecz do zrobienia.

Wróciłem do hallu i uważnie się rozejrzałem, po czym namierzyłem małe drzwiczki pod schodami.

– Tam jest tylko składzik! – zawołała Irys, która była już na pierwszym stopniu. Natychmiast jednak popędziła za mną.

W ciemnym pomieszczeniu rzeczywiście znajdowało się składowisko jakichś mebli, wiader, mioteł i mopów. Zajrzałem do wielkiej szafy, ale tam były tylko środki czystości typu płyny do mycia podłóg, mlecza do mebli czy do ścierania kurzy. Nic ciekawego.

Wróciłem na schody i wspiałem się na pierwsze piętro. Zacząłem zaglądać do kolejnych pokoi. Wszystkie wyglądały, jakby nikt od dawna ich nie używał – panowały w nich nieprzyjemny chłód i wilgoć, a wszystkie meble były zakryte prześcieradłami.

– Co się stało z ostatnim dziedzicem? – zapytałem, stając przed obrazem, który wydał mi się najnowszy.

– Spadł z konia i nabił się na płot – odparła Irys.

Spojrzałem na nią pewien, że sobie żartuje, ale minę miała poważną.

– Ale to nie on. – Wskazała na płótno.

Moja podstępna wyobraźnia podsunęła mi obraz olejny przedstawiający kolesia konającego na płocie. Tuż obok czarny koń stawał dęba. Potrząsałem głową. Jakim idiotą trzeba być, żeby zginąć w taki sposób?

– On był dobrym człowiekiem – powiedziała na jego obronę Irys. – Dbał o dworek i o nas. Tylko trochę nieumiejętnie. – Westchnęła.

– A ten? – zapytałem, wskazując obraz mężczyzny siedzącego przy biurku. Świeca stojąca na blacie oświetlała tylko połowę jego twarzy. Ogółem płótno było dość mroczne i mogło wywoływać ciarki na plecach.

– Kalisteron. – Irys pokręciła głową. – Był dziedzicem jakieś sto lat temu. Ale interesował się złymi rzeczami. Mówili, że ma zepsutą krew, zupełnie jak Gla... – Nagle zamilkła. – O, a tutaj jest Anzelm. – Przeszła kilka kroków i wskazała wizerunek otyłego, rumianego mężczyzny siedzącego na łące. Wokół niego biegały psy myśliwskie. – Ja go nie znałam, zmarł ponad pięćdziesiąt lat temu, ale pani Aster mówi, że słyszała, że był bardzo dobrym człowiekiem, każdemu pomagał...

– I jak zginął? – zapytałem z głupia frant.

– Miał wypadek... – Dziewczyna gwałtownie zatkała usta dłońmi. – Chyba ochmistrzyni mnie woła – powiedziała stłumionym głosem, obróciła się na pięcie i odeszła pospiesznym krokiem.

– To dopiero ciekawe, nie sądzisz, Anzelm? – zapytałem faceta o dobrodusznej twarzy.

Wsadziłem ręce do kieszeni i zacząłem uważnie przyglądać się każdemu obrazowi. Niektóre były mroczne, inne zdawały się przedstawiać mocno wyidealizowany obraz dziedzica, a jeszcze inne były bardzo nieudane, jakby zatrudnili pierwszego lepszego malarza z ulicy.

Wkrótce wróciłem do schodów i wspiałem się na poddasze. Panował tutaj nieprzyjemny chłód.

Otworzyłem pierwsze drzwi po prawej.

– Czego?! – usłyszałem gniewny głos.

Na środku pokoju, w brudnym roboczym fartuchu stała Dalia. W ręce trzymała pędzel z włosiem zanurzonym w czarnej farbie, a jej spojrzenie zdawało się nieobecne.

– Dusze potępione nie chcą spać – rzuciła. – Nikt nie może utrzymać ich w ryzach... Wiem! – Odrzuciła na podłogę pędzel, sięgnęła po nowy, który zanurzyła w krwistoczerwonej farbie, i zaczęła z rozmachem mazać po płótnie.

Najwyraźniej trafiłem do jej pracowni połączonej z sypialnią. Wszędzie wokół leżały porzucane kolorowe ubrania i jakieś apaszki. Koło łóżka stała szkatułka na biżuterię. Odnotowałem w pamięci każdy szczegół i zamknąłem za sobą drzwi.

Po przeciwnej stronie jej pracowni znajdowało się podobne pomieszczenie, ale wyglądało, jakby od lat nikt tu nie zaglądał.

Wróciłem na parter, minąłem salę balową i jadalnię. Z kuchni dochodził kuszący zapach gulaszu. Zamierzałem sprawdzić, co tam gotują, żeby nie

dać się oszukać w trakcie obiadu. Im bliżej drzwi się znajdowałem, tym lepiej zacząłem słyszeć podniesiony głos.

– Jaja se, kurwa, ze mnie robisz?!

Ktoś coś odpowiedział, ale zbyt cicho, żebym mógł zrozumieć słowa.

– Miałeś znaleźć prawdziwego dziedzica! – Stałem pod drzwiami i wreszcie rozpoznałem głos zarządcy.

– On jest prawdziwy – odparł cicho Wachim. Co notariusz, do cholery, znów tutaj robił?

– To jest jakiś pieprzony oportunistą! – wściekał się Garłacz.

– Jest spokrewniony z Tobiaszem...

– Gównu, a nie spokrewniony! Tamten przynajmniej wiedział, na co się pisze! A ten jest zielony jak szczypiorek na wiosnę! Założę się, że nigdy nawet na oczy nie widział żadnej duszy!

– Rochu, uspokój się, krew jednak robi swoje...

– Dupa, a nie swoje! Zabieraj mi go stąd, bo inaczej...

– Bo inaczej co? – Notariusz po raz pierwszy zabrzmiał jak ktoś zdecydowany. – Nie groź mi. Sam chciałeś, żebym znalazł dziedzica.

– Bo byłem wtedy w malignie! Tamten skurwysyn połamał mi nogę, jakbyś nie pamiętał! Sam doskonale sobie radzę bez dziedzica!

Zarządca zaczął chyba krążyć z wściekłości po kuchni.

– No właśnie nie radzisz sobie. Co krew, to krew...

– Przestań mi pieprzyć o tej krwi! Poprzednich pięciu miało tę krew i co?!

Wszyscy się zesrali na sam widok...

– Rochu! – zganił go Wachim.

– Co?!

– Nie robisz się młodszy, ktoś kiedyś będzie musiał zająć twoje miejsce.

– Ale nie on! Widziałeś go?! To tylko jakiś miejski cwaniaczek!

Poczułem się urażony. Co prawda byłem miejskim cwaniaczkiem, ale w ustach zarządcy brzmiało to jak prawdziwa obelga. Bez zastanowienia pchnąłem drzwi do kuchni. Zarówno zarządca, jak i notariusz skamienieli na mój widok.

– Zgłodniałem – wyjaśniłem, sięgając po czerwone jabłko z kosza.

Posłałem im serdeczny uśmiech. A niech się zastanawiają, czy i ile słyszałem.

Wgryzłem się w owoc i zamruczałem z zadowolenia. Obserwowali uważnie każdy mój gest, jakbym był dzikim, dziwacznym stworzeniem.

– Muszę odszukać ochmistrzynię – oświadczyłem. – Widzieliście ją?

Obaj zerknęli za okno na ogród. Podążyłem za ich spojrzeniem. Aster Ordun wymachiwała rękoma, tłumacząc coś przygarbionemu ogrodnikowi. Chyba chodziło o to, że nie podobał jej się kształt, w jaki ten przystrzygł krzew.

– Dzięki za pomoc – rzuciłem, wychodząc z kuchni.

Zatrzymałem się tuż za drzwiami i nasłuchiwałem chwilę, ale zachowali absolutną ciszę. Wzruszyłem ramionami. To, że ktoś gdzieś mnie nie chciał, to dla mnie żadna nowość. Najpierw nie chciała mnie ciotka, później ludziom Diogenesa nie podobało się, że szef przygarnął sierotę wprost z ulicy. Hela pogoniła mnie wałkiem do ciasta po moim krótkim romansie z Mirabelką. Penelopa wywaliła mnie ze swojej kamienicy, gdy tylko wysłali za mną list gończy.

Pchnąłem ciężkie drewniane drzwi i znalazłem się na zewnątrz. Wciągnąłem głęboko do płuc haust chłodnego jesiennego powietrza. Szedłem ścieżką wzdłuż domu, aż usłyszałem gniewny głos ochmistrzyni:

– I co to ma niby przedstawiać?! Rozum cię opuścił?!

– Ja tylko... – rzucił na swoją obronę Konrad.

– Co tylko?! Natychmiast masz ściąć tego maszkarona!

Wychyliłem się zza rogu budynku.

– Dzień dobry ponownie! – zawołałem radośnie.

Oboje speszyli się na mój widok. Najwyraźniej zupełnie odwykli od tego, że w dworku był dziedzic. Swoją drogą ciekawe, jak dawno cały ten Tobiasz zawisnął na płocie.

– Zostaw to! – wykrzyknąłem, kiedy ogrodnik przyklęknął z piłą w ręku, żeby ściąć stary, wielki krzew.

Roślina była przycięta na kształt dziwnego stwora. Co to, do licha, miało przedstawiać, nie wiem. Ale trzeba było przyznać, że ogrodnik musiał włożyć w to dużo pracy.

– Mnie się podoba – wyjaśniłem, a ochmistrzyni się skrzywiła.

Założę się, że cisnęło jej się na usta, że ktoś, kto wkłada zieloną koszulkę i marynarkę, nie powinien decydować o takich rzeczach.

– Ale mniejsza z tym. – Machnąłem ręką. – Chcę zobaczyć księgi rachunkowe.

Aster wyglądała, jakby połknęła cytrynę.

– Nie ma takiej potrzeby – wycodziła.

– Wręcz przeciwnie – odparłem. – Jako nowy dziedzic muszę wiedzieć, co dzieje się w moim majątku.

Wyszczrzyłem w uśmiechu zęby.

– Nie prowadzimy ich tak dokładnie... – zaczęła Aster.

– Mimo wszystko proszę mi je pokazać – odparłem już surowym tonem.

Przez chwilę mierzyliśmy się spojrzeniami, aż ochmistrzyni odwróciła wzrok.

– Pójdzie pan do gabinetu – powiedziała zmęczonym głosem. – Przyniosę je.

Zastanowiłem się, czy nie powinienem iść za nią, ale tym razem odpuściłem. Kilka minut później usiadłem w gabinecie, a Aster rzuciła na biurko stos zakurzonych ksiąg. Może myślała, że taka ilość słowa pisanego mnie przerazi, ale nie ze mną takie numery. Wiem, że wyglądam jak miejski cwaniaczek, ale trochę dzięki mamie, a trochę dzięki wrodzonemu talentowi potrafię naprawdę szybko czytać i świetnie liczyć, a poza tym mam doskonałą pamięć.

Wziąłem do ręki pierwszą z brzegu księgę, stałem z niej kurz i otworzyłem na końcowej stronie. Przed moimi oczami zaczęły przeskakiwać liczby, dodawać się, odejmować i mnożyć. W pewnej chwili nawet zacząłem się zastanawiać, dlaczego byłem tylko kurierem, a nie księgowym Diogenesa. Co prawda czasem mu pomagałem i stąd wiedziałem o wszystkich legalnych i nielegalnych dochodach szefa, ale ta robota chyba po prostu mnie nudziła.

Przestudiowałem jedną księgę i już sięgnąłem po kolejną. Wkrótce musiałem poszukać w szufladzie biurka kartki, żeby zacząć spisywać nieścisłości. Nawet nie zauważyłem, w którym momencie Irys przyniosła mi na obiad gulasz. Chyba smakował całkiem nieźle, ale nie chciałem odrywać się od ksiąg, żeby sprawdzać, czy służba je coś lepszego.

# Rozdział 10

Całe popołudnie spędziłem w gabinecie nad księgami. A trzeba przyznać, że wbrew pozorom była to bardzo interesująca lektura. Na zewnątrz znów padał deszcz, więc oglądanie moich włości postanowiłem przełożyć na inny dzień, kiedy pogoda będzie bardziej sprzyjająca.

W pewnym momencie usłyszałem kroki na korytarzu, a tuż po nich skrzypnięcie drzwi. Rzuciłem spojrzenie w bok. Znów Irys. Tym razem niosła kubek i czajnik. Postawiła je na biurku i zaczęła nalewać mi kawy. Nagle drgnęła, a czarny płyn chlusnął obok. Gdyby nie mój błyskawiczny refleks, zalałaby kartki z notatkami.

– Ostrożnie – rzuciłem.

– Przepraszam – bąknęła. – Jestem taka niezdarna.

W jej głosie pobrzmiwał fałsz. Z hukiem zamknąłem ostatnią księgę i spojrzałem na dziewczynę. Na jej jasnych policzkach pojawiły się rumieńce.

– Zniszczenie moich notatek nic nie pomoże – powiedziałem. – I tak wszystko mam tutaj. – Stuknąłem palcem w skroń. – I możesz powiedzieć Aster, że nie musi podsłuchiwać pod drzwiami – dodałem głośno.

Na zewnątrz rozległ się szelest sukni.

– Ochmistrzyni tam nie ma – zapewniła Irys.

– Oczywiście. – Machnąłem ręką. – To jak ją znajdziesz, powiedz, żeby do mnie przyszła.

Dziewczyna pokiwała głową i wymaszerowała na korytarz. Dałbym głowę, że usłyszałem nerwowe szepty. Nie minęły nawet trzy minuty, a ochmistrzyni wparowała do gabinetu niczym burza.

– Pomóc w czymś? – zapytała oschle.



– Dlaczego wydajemy miesięcznie aż trzysta – zerknąłem ostentacyjnie do moich notatek – czterdzieści pięć krypt na karmę dla zwierząt?

– Przecież muszą coś jeść – odparła, patrząc na mnie z góry.

– Psy owszem – przyznałem. – Ale nie widziałem w stajni ani jednego konia.

Aster się zmieszała.

– To musi być jakiś błąd – zapewniła. – Tobiasz, poprzedni dziedzic, hodował konie, ale po tym tragicznym wypadku musieliśmy je sprzedać.

– I nadal kupujecie dla nich owies i siano? – zapytałem ironicznie. – Musimy mieć całkiem niezły zapas... Poza tym, skoro nie mamy koni, to dlaczego zatrudniamy koniuszego?

Trafiłem w dziesiątkę. Ochmistrzyni pobladła, a po chwili zrobiła się cała czerwona na twarzy.

– Gaspar wykonuje wiele innych prac w obejściu! – oburzyła się. – Zna się na leczeniu...

– Koni? – odpowiedziałem.

– Ludzi – warknęła. – Zostanie pan ranny, to inaczej będzie pan mówił!

– Dlaczego miałbym zostać ranny? – zapytałem powoli.

Aster cofnęła się o krok.

– Jakiś wypadek... zawsze można spaść ze schodów, nogę złamać... – zaczęła się tłumaczyć.

Odchyliłem się na krześle i uśmiechnąłem pod nosem.

– Naprawdę grożono mi już w bardziej kreatywny sposób.

– To nie były groźby! – wyrzuciła z siebie piskliwym głosem.

– Mniejsza o to. – Ponownie zerknąłem na notatki. – Mamy zarządcę, kucharkę, sprzątaczkę, ogrodnika i tego nieszczęsnego koniuszego. Ale zastanawia mnie, kim, u licha, są rękodajni.

Pamiętam, jak mama kiedyś czytała mi książkę o jakimś tam szlachcicu, i on właśnie zatrudniał rękodajnych. Kiedy zapytałem ją, co to znaczy, wyjaśniła, że to dworzanin, który podawał rękę swojemu panu lub pani przy wsiadaniu na konia lub do powozu. A skoro my nie mieliśmy ani konia, ani powozu, byłem bardzo ciekaw, dlaczego zatrudnialiśmy aż trzech rękodajnych.

– Oni pilnują... – Ochmistrzyni zająknęła się. – Oni pomagają w obejściu. Tereny należące do dworku są bardzo rozległe... W każdym razie oni są nietykalni – zakończyła twardo.

– Aha – mruknąłem w zastanowieniu. – A czym są *wydatki różne* i dlaczego kosztują nas miesięcznie aż tysiąc krypt?

Aster zaczęła szybciej oddychać, jej twarz na powrót przybrała szary odcień.

– Jeżeli oskarża mnie pan o defraudację pieniędzy, to proszę bardzo! – Wyrzuciła ręce w górę w teatralnym geście. – Może mnie pan zwolnić i prowadzić te księgi na swój sposób! I usiłować wiązać koniec z końcem, i dopilnować, żeby każdy miał co zjeść i wykonywał swoje obowiązki! I dbać o porządek w dworku! I znaleźć majstra, który po kosztach naprawi rynny przed zimą! I weterynarza, który za darmo zaszczepi psy!

– Psy zawsze można uśpić.

Naprawdę nie wiem, dlaczego to powiedziałem. Przecież nie chciałem krzywdzić zwierząt.

– W takim razie jeszcze dziś złożę na pańskie biurko rezygnację – rzuciła gorzko. – Ale psy zabieram ze sobą.

Odwróciła się na pięcie i wymaszerowała. Byłem pewien, że trzaśnie drzwiami, ale nie, ona zamknęła je cicho. Odruchowo zerknąłem do notatek, żeby sprawdzić, jaką pensję wypłacała sobie ochmistrzyni, choć tak naprawdę nie było takiej potrzeby. Doskonale pamiętałem, ile zarabiał każdy z nich. I szczerze mówiąc, Aster nie brała wcale dużo za swoją pracę. Zacząłem się zastanawiać, czy opłacało mi się ją trzymać na stanowisku, czy samemu zgarnąć te pieniądze. W końcu mogłem prowadzić te księgi i szukać majstrów i weterynarza. Co innego miałem tu do roboty jako dziedzic? A zawsze mogę odłożyć trochę kasy na to, żeby wynieść się stąd do miasta i wysiudać Diogenesa z interesu.

Upiłem łyk kawy, zadowolony z tego, co udało mi się osiągnąć. Zwolnię ochmistrzynię, koniuszego i co najmniej dwóch rękodajnych (moim zdaniem nie istniało coś takiego jak człowiek nietykalny), a zyskam co najmniej półtora tysiąca krypt miesięcznie. Nie będziemy już kupować owsa dla nieistniejących koni, trochę zaoszczędzimy na węglu zimą i na kilku innych wydatkach, a zrobią się z tego trzy tysiące. Nie ponosząc żadnych własnych kosztów, w ciągu jednego roku zyskam około czterdziestu tysięcy.

Zagwizdałem z wrażenia. Nigdy w życiu nie widziałem na oczy takiej sumy pieniędzy. No, pomijając złoto, które odbierałem od strachów pod cmentarzem i wiozłem do Diogenesa, ale to się nie liczyło. Tutaj miałem

szansę legalnie zyskać kupę kasy. Przez ułamek sekundy nawet zacząłem się zastanawiać, czy nie powinienem tego odłożyć na moje życie pozagrobowe, ale natychmiast odrzuciłem ten pomysł. Lepiej zainwestować pieniądze w interes w mieście i zyskać jeszcze więcej. Tak, to był bardzo dobry plan.

Byłem tu zaledwie dobę, a już w mojej głowie pojawiła się fortuna na wyciągnięcie ręki. Ile osiągnę, pomieszkawszy tu tydzień czy miesiąc?

Naraz drzwi otworzyły się z hukiem. To Irys wbiegła do gabinetu, cała czerwona od płaczu.

– Co się stało? – zapytałem.

– Nie może pan jej zwolnić! – zawołała, po czym przyklęknęła przede mną, a ja poczułem się bardzo głupio. – Tylko ona trzyma cały dworek w kupie! Ja pana błagam! Niech pan obetnie moją pensję, ale jej nie zwalnia!

– To ona chce złożyć wymówienie – zaznaczyłem. – Ja jej do niczego nie zmuszam.

Irys rozbeczała się na dobre, bełkotała coś przez łzy, ale nie byłem w stanie jej zrozumieć. I wtedy do gabinetu wmaszerowała Dalia. Nadal miała na sobie roboczy fartuch i była bardzo wzburzona.

– Ja rozumiem, że nowa miotła dobrze wymiata, ale Max, zwolnij, na bogów! – powiedziała, zatrzymując się przed biurkiem. – Nic nie wiesz o swoich posiadłościach ani o służbie, a już chcesz robić porządki!

Chciałem uciszyć staruchę i zapytać, dlaczego mieszka we dworze na tak zwany krzywy ryj, ale ugryzłem się w język. Przecież miałem ją urabiać i wyciągnąć od niej pieniądze lub biżuterię. Co prawda nie figurowała na żadnej liście płac... Tak naprawdę to nigdzie nie znalazłem nawet wzmianki o niej, co było bardzo ciekawe. Ale przecież tutaj jadła i zużywała wodę i prąd...

– Tydzień – powiedziała twardo. – Daj sobie tydzień i wtedy podejmuj tak ważne decyzje jak ta o zwolnieniu ochmistrzyni.

Zabębniłem palcami w blat, zastanawiając się. Tydzień raczej mnie nie zbawi, a może rzeczywiście dowiem się wielu ciekawych rzeczy i będę już wiedział, kto jest tu niezbędny, a kogo można wywalić na zbity pysk.

– Dobrze – powiedziałem powoli. – Przekaż Aster, żeby się jeszcze nie pakowała – zwróciłem się do Irys.

– Dziękuję! – Podniosła się z klęczek i mnie uściskała, a potem pocałowała w policzek. – Jest pan najlepszy!

Dziewczyna wybiegła w podskokach z gabinetu.

– Ona jest zbyt dumna. – Dalia pokręciła głową. Każdy jej ruch powodował, że docierał do mnie zapach farby i lakieru do włosów.

– No raczej nie będę jej błagał na kolanach, żeby została – burknąłem.

– Maximusie. – Stara artystka wypowiedziała moje imię niemal w taki sam sposób, jak robiła to mama. – Wydaje ci się, że wszystko wiesz o życiu, jednak każdego dnia możesz nauczyć się czegoś nowego.

Zamrugąłem. Tak samo mówiła moja mama.

– Dziś możesz zacząć od pokory – dodała.

Potrząsnąłem głową. To ja w końcu byłem dziedzicem i nie zamierzam przeproszać żadnej ochmistrzyni, która tak naprawdę była na moim utrzymaniu!

– Tydzień – powtórzyła Dalia, wychodząc z gabinetu.

Poczułem się jak ostatni gówniarz. Ale przecież nie mogę sobie pozwolić, żeby każdy mi mówił, co mam robić! Jeżeli od pierwszego dnia nie ustalę pewnych zasad, oni wszyscy wejdą mi na głowę! Diogenes trzymał swoich ludzi twardą ręką i nikt nie miał odwagi mu nawet podskoczyć. Tylko ja byłem takim idiotą...

Spojrzałem na zakurzone księgi, po czym zacząłem je upychać w szufladach biurka. Notatki jednak wsunąłem do kieszeni marynarki. Rozległo się pukanie i do gabinetu zajrzała Irys z uśmiechem na twarzy.

– Kolacja – poinformowała.

Tym razem posiłek prezentował się całkiem przyzwoicie. Dostałem w końcu tę przekłętą pieczeń, kilka rodzajów szynki, świeży twaróg i miękki chleb.

– Zobaczysz, raz-dwa się tu zadomowisz – zapewniała Dalia, która znów mi towarzyszyła. – I pokochasz wszystkich mieszkańców Lawendowego Dworku. Zupełnie tak jak ja.

– Pewnego dnia opowiesz mi swoją historię. – Podniosłem wzrok na starszą malarkę.

– Pewnego dnia. – Pokiwała tajemniczo głową.

Kiedy zjedliśmy, Irys posprzątała ze stołu, a Dalia popędziła na poddasze, bo znów dopadło ją natchnienie. Przez jakiś czas siedziałem samotnie przy stole, po czym ruszyłem ciemnym korytarzem w stronę

kuchni. Nie wiem, czego oczekiwałem, ale już wkrótce zobaczyłem ciepłe światło wylewające się przez szparę pod drzwiami. Ktoś za nimi parsknął śmiechem.

– Jesteś nietykalna – odezwał się ktoś.

– Dokładnie, bez ciebie wszystko popadnie w ruinę – dodał ktoś inny.

– A jeśli znów spróbuje cię zwolnić, to odejdziemy wszyscy. – Tym razem rozpoznałem głos kucharki. – Zobaczymy, czy nadal będzie taki cwany.

– Przeżyłam trzech dziedziców – westchnęła ochmistrzyni. – Ale żaden tak mnie nie upokorzył.

– Jeślibyś odeszła, to w ciągu trzech dni przyszedłby do ciebie na kolanach – zapewnił chyba ogrodnik.

– A jak nie, to pan Roch zawlecze go pod pani próg i każe błagać o przeprosiny – zachichotała Irys.

Odwróciłem się od drzwi i ruszyłem korytarzem do jadalni, a w moim sercu zagościł pewien smutek. Nigdy nie wyobrażałem sobie siebie samego w takiej sytuacji. Do tej pory to ja byłem takim podwładnym siedzącym w ciepłej kuchni, pijącym piwo z kumplami i narzekającym na ludzi u władzy. Ale ze służbą nie można się przyjaźnić. Można ich wykorzystywać, można okazać im łaskę, ale nigdy się przyjaźnić. Ukrywać swoje słabości. Rządzić wszystkimi twardą ręką. Tego nauczył mnie Diogenes. A nie oszukujmy się, on był jedyną osobą w moim życiu, która do czegoś naprawdę doszła.

Wróciłem do sypialni, zrzuciłem z siebie marynarkę i założyłem bluzę. Chociaż przed samym sobą nie musiałem udawać jakiegoś burżuja. W łazience zmieniłem opatrunki, a te zakrwawione wywaliłem do kosza, zauważając, że był pusty. Czyli Irys lub ktoś inny zdążył już tu posprzątać. Może powinienem zakazać im wstępu do mojego pokoju?

Prychnąłem pod nosem. Przecież tak naprawdę nie miałem nic do ukrycia.

Opadłem na łóżko. Za oknem panowała ciemność, ale wcale nie było aż tak późno. Zamknąłem oczy i spróbowałem usnąć, lecz sen nie nadchodził. Słyszałem stłumione kroki na poddaszu, po których nastąpił łomot. Pewnie Dalia, znów zawiedziona własną twórczością, zaczęła miotać obrazami.

Czy powinienem czuć wstyd? Nie wiem, już od lat nie miałem takich rozterek. Czy popełniłem błąd? Nie jestem pewien, okaże się w ciągu

najbliższych dni. A jeżeli będzie tu aż tak źle, to dorwę tego Wachima i wyciągnę od niego, jak zrezygnować z tego przeklętego spadku. Notariusze zawsze zostawiali sobie jakąś furtkę.

Odrzuciłem wszystkie rozterki. Byłem jak kot – zawsze spadałem na cztery łapy. Nieważne, jak źle wszystko się potoczyło. Ba, dałem nawet radę zwać z piwnicy Diogenesa, kiedy każdy był przekonany, że skończę na dnie rzeki. Jeszcze im pokażę...

Chyba wreszcie odpłynąłem w sen, aż tu nagle usłyszałem szamotaninę na dole. Jakieś krzyki i nawoływania. Natychmiast stanąłem na równe nogi.

– Gdzie Gaspar?! – wrzeszczał ktoś.

Wyszedłem na korytarz.

– O bogowie! – biadoliła Irys.

Ruszyłem ku schodom.

– Zanieście go do gabinetu! – poleciała twardo Aster. – Znajdź, dziewczyno, Gaspara!

Teraz to naprawdę mnie zainteresowali. Zacząłem powoli schodzić, stopień za stopniem.

– Lecę po apteczkę! – zaoferowała się Alma, kucharka.

Huknęły otwierane drzwi. Ktoś krzyknął, chyba z bólu.

Stanąłem w hallu i zobaczyłem zarządcę oraz jednego z tych wielkich oprychów, jak wnosili kogoś do gabinetu. Bez zastanowienia ruszyłem za nimi. Położyli rannego na sofie. Ujrzałem poszarpaną nogawkę od spodni i krew kapiącą na podłogę.

– Gdzie ten Gaspar?! – wrzasnął zarządca, oglądając się za siebie.

Nasze spojrzenia się spotkały, ale Garłacz mnie zignorował.

Usłyszałem pospieszne kroki i poczułem powiew powietrza, gdy mijał mnie koniuszy.

– Co się stało? – zapytał konkretnie.

– Te pierdolone chwasty! – krzyknął zarządca.

Gaspar skinął głową i zaczął grzebać w apteczce, którą podała mu kucharka.

Garłacz rozciął spodnie rannego rękodajnego. Moim oczom ukazała się łydka, która wyglądała, jakby wpadła pod kosiarkę. Znaczyły ją liczne rozcięcia, ukazujące czerwone mięśnie i żółte grudki tłuszczu.

Koniuszy spryskał całą nogę środkiem odkażającym. Aster i Alma trzymały oprycha za ramiona.

– Wstrzyknęły truciznę? – zapytał konkretnie Gaspar.

– Nie, nic nie widać – odparł zarządca.

– Jesteś pewien?!

– Nie zaczął zielenieć, to nie wstrzyknęły! Głuchy jesteś?!

Niezrażony wrzaskami koniuszy zaczął opatrywać rany. Wszyscy oprócz Irys, która ze łzami w oczach krążyła tam i z powrotem, doskonale wiedzieli, co robić. Jakby to nie była dla nich pierwszozna.

Przypatrywałem się, jak Gaspar zszywał, a później owijał bandażem rany rękodajnego. Zdawał się teraz zupełnie innym człowiekiem – pewnym siebie, znającym się na swoim fachu. Gdzie podział się ten idiota, który pomagał mi zanieść walizkę do sypialni? Może wtedy się zgrywał?

– No, Norman, dałeś się im jak jakiś pieprzony laik – ocenił Roch, klepiąc rannego w zdrowe kolano.

– Sam byś się tak dał, jakby na ciebie wypełzły zza grobu – burknął drugi rękodajny.

– Za stary na to jestem – stwierdził zarządca, prostując plecy, aż coś mu strzeliło w kręgosłupie.

– Dlatego potrzebujesz nowego dziedzica – odezwała się ponuro Aster.

Wszystkie oczy zwróciły się ku mnie.

– Czy ktoś mi, do licha, wytłumaczy, co się właśnie stało? – odezwałem się.

– Nie – rzucił krótko zarządca.

– To jest mój dworek! I mój podwładny! – Wskazałem palcem bladego Normana. – I chcę, do cholery, wiedzieć, co się stało!

– Taki cwaniak z ciebie?! – naskoczył na mnie Garłacz. – A proszę bardzo. Chodź!

Wymaszerował z gabinetu. Wahałem się tylko przez sekundę, po czym ruszyłem za nim.

– Roch! Nie! – zawołała Aster.

– Niech zobaczy! To może nie będzie zwalniał moich ludzi! – warknął zarządca, biorąc leżącą w korytarzu siekierę.

– To są moi ludzie – sprostowałem.

Garłacz obrócił się w moją stronę i dźgnął mnie palcem w klatkę piersiową.

– Nigdy nie będą twoi – warknął. – Ktoś taki jak ty nigdy na to nie zasłuży.

– Jeszcze się zdziwisz, co potrafi taki pieprzony oportunistą jak ja – rzuciłem.

Zmierzył mnie wściekłym spojrzeniem, po czym ruszył w ciemność.

– Niech pan tam nie idzie! – usłyszałem jeszcze za plecami Irys.

Ale ja nigdy nie uciekałem... No dobra, uciekałem, kiedy tylko wyczułem najmniejsze zagrożenie, ale tutaj gra toczyła się o coś ważnego. Nie miałem jeszcze pojęcia o co, ale to była naprawdę istotna noc.

Wkrótce przestałem widzieć zarządcę i musiałem przyspieszyć. Obejrzałem się jeszcze za siebie i zobaczyłem mieszkańców dworku stojących na progu.

– Dokąd idziemy? – Wreszcie dogoniłem Garłacza.

Psiakrew, jak jakiś kretyń potknąłem się o kępę trawy.

– Dokąd idziemy? – powtórzyłem twardo.

– Na cmentarz – odparł.



# Rozdział 11

Byłem pewien, że stroi sobie ze mnie żarty. Przecież nie mogliśmy iść na cmentarz. Na pewno chciał mnie tylko nastraszyć. Przemierzaliśmy ciemne łąki. Nagle wprost spod moich nóg wystrzelił zając. Zakląłem głośno, a Roch rzucił pod nosem uwagę na temat durnych mieszczuchów, jakby właśnie takiej reakcji oczekiwał. Dokąd ten obłąkaniec mnie prowadził? Naraz na tle ciemnego nieba dostrzegłem czarne sylwetki powykręcanych drzew. Zmierzaliśmy właśnie w ich stronę. Wkrótce zobaczyłem otaczający je wysoki mur.

Zatrzymaliśmy się przed wielką, metalową bramą. Oplatał ją gruby łańcuch spięty kłódką. Roch wyjął z kieszeni klucz i zaczął przy niej majstrować.

Podniosłem wzrok. Nad bramą widniał napis: *Śmierć to zaledwie początek*. Po plecach przeszły mi ciarki. Tylko notariusze i opiekunowie mogli wchodzić na cmentarze. Nikt inny. To było nielegalne, skrajnie niebezpieczne i bezdennie głupie.

– No dalej. – Roch otworzył jedno skrzydło bramy i wykonał zapraszający gest.

– Porąbało cię?! – naskoczyłem na niego. – Nigdzie nie idę.

– Pójdiesz tam i pokażesz, ile jest w tobie krwi Muertonów – warknął nisko zarządca.

Pokręciłem głową i skrzyżowałem ręce na klatce piersiowej. Garłacz postąpił krok w moją stronę, trzymając przed sobą siekiere.

– Pójdiesz tam – powiedział lodowatym tonem, powoli mnie okrążając, żeby odciąć mi drogę ucieczki.

Dopiero teraz dostrzegłem wokół jego tęczówek błękitny poblask. Ten facet był na łożach!

– Do przodu, bo inaczej odrąbię ci ten durny łeb, pieprzony oportunisto!

– Postąpił krok w moją stronę. Z jego oczu wylewał się obłęd.

Obejrzałem się za siebie na ciemny cmentarz. Zdawał się zupełnie wymarły. Notariusz w końcu twierdził, że jest niegrzebalny... Co mogło mi tam grozić? Jeżeli nie było tam żadnych dusz, to tylko wyrok. Ale najpierw musieliby mnie złapać na gorącym uczynku. Chyba że ten wariat zamierzał mnie tam zamknąć i wezwać odpowiednie służby.

Błyskawicznie oceniłem stary mur z czerwonej cegły. W razie czego dam radę się po nim wspiąć i uciec.

Wykonałem krok w tył w stronę bramy. Ale jeśli nie było tu żadnych dusz, co tak załatwiło Normana? Stałem w wejściu, nadal się wahając.

– No już! – Zarządca mnie popchnął.

Stało się. Po raz pierwszy w życiu przekroczyłem bramę cmentarza. I... nic się nie wydarzyło.

Garłacz, wbrew moim podejrzaniom, nie zostawił mnie tu samego. Wszedł razem ze mną i zawiązał łańcuch na bramie, lecz nie zatrzasnął kłódki. Odwróciłem się od niego i zlustrowałem wzrokiem otoczenie. Cmentarz zdawał się zupełnie wymarły, nawet lekki wiatr nie poruszył uschniętymi liśćmi na powyginanych drzewach. Po mojej lewej znajdował się wielki polny głąz porośnięty mchem. Podeszedłem do niego i dotknąłem palcami wyrytego w nim niewyraźnego napisu. A kiedy zdałem sobie sprawę, co to jest, odskoczyłem do tyłu jak poparzony. To był czyjś nagrobek!

– Coś taki strachliwy? – burknął zarządca i ruszył wąską ścieżką, wciąż utykając.

– Poczekaj! – Wyrwałem za nim. – Po co mnie tu przyprowadziłeś?!

– Jesteś dziedzicem, pora zacząć wykonywać swoją robotę – odparł.

– Czyli co? – zapytałem, ale nie odpowiedział.

Stałem obok kolejnego głązu, oplecionego przez korzenie. Na jego czubku znajdowało się niewysokie powykręcane drzewo, z którego zwieszały się jasne kwiaty. Grube pędy zaś spływały z kamienia i wiły się po ziemi. Spojrzałem na zarządcę, a jego ciemne plecy stawały się coraz bardziej niewyraźne.

– Co, do cholery?! – Gwałtownie odwróciłem wzrok w stronę kwiatów, ale nawet nie drgnęły. A jeszcze przed sekundą dałbym głowę, że wszystkie zwróciły się w moją stronę i... mnie obserwowały.

– Nie ociągaj się! – usłyszałem z ciemności głos Garłacza.

W oddali rozległ się upiorny chichot, który zmroził mi krew w żyłach. Ten przeklęty cmentarz chyba nie do końca był taki opuszczony, jak zapewniał notariusz. Ruszyłem jasną ścieżką za zarządcą. Pomimo tego, że noc była naprawdę ciemna, mrok wokół mnie rozświetlała błękitna luna. Gdzie tylko spojrzałem, widziałem blask łez. Czarne łodygi wspinały się na drzewa, kamienie i nagrobki, z nich zaś zwisały całe pęki zamkniętych, świecących kwiatów. Łzy rosły tylko na cmentarzach, ale nie wydaje mi się, żeby gdziekolwiek indziej było ich aż tyle.

Zlustrowałem wzrokiem okolicę – wszędzie wokół były groby. Tutaj kolejny kamień, tam marmurowa figura szlochającej kobiety lub niewielka płyta przykryta zardzewiałą kratą. Zwykli ludzie nie mieli wstępu na cmentarze, ale każdy wiedział, że trumnę wraz z dobytkiem zmarłego grzebie się pod ziemią, a na niej stawia się dwie skrzyżowane belki. Kiedyś, jako dzieciak, wspinałem się na mur cmentarza w mieście, żeby tylko zajrzeć do środka, i moim oczom ukazały się równe, schludne rzędy takich wielkich czerwonych iksów wyrastających z łąki pełnej polnych kwiatów. Było w tym wszystkim coś tak przerażającego, że szybko zlazłem na ziemię, obdrapując sobie przy okazji kolana, i nigdy nikomu nie powiedziałem o tym, co zrobiłem.

Tutaj jednak groby zdawały się rozsiane, jakby sam bóg niedbale rozrzucił je jednym machnięciem dłoni.

Naraz ścieżka zrobiła się strasznie zarośnięta. Pod stopami wyczułem kamienie, jeden z nich wytoczył się spod mojej stopy i straciłem równowagę. Oparłem się dłonią o pień drzewa, a ono drgnęło! Zupełnie jakby nie życzyło sobie mojego dotyku. Natychmiast postąpiłem w tył, poślizgnąłem się na kamieniach i jak długi padłem na plecy.

– Gdzie leziesz?! – Tuż obok mnie pojawił się zarządca i pomógł mi wstać.

– Trzymaj się ścieżki!

– Niby jak?! – mruknąłem, wpatrując się w drzewo. Dałbym głowę, że przesunęło się w głąb krzaków.

– Nie dość, że głupi, to jeszcze ślepy – wymamrotał Garłacz, wskazując mi siekierą drogę. – Zamorduję tego notariusza...

Nie byłem z natury tchórzem, ale ten cmentarz przyprawiał mnie o ciarki. Żaden człowiek nie powinien przekraczać jego progu. To nie było miejsce dla żywych.

Nagle tuż za mną rozległ się głuchy tętent kopyt. Obróciłem się gwałtownie, ale zobaczyłem tylko czarne cienie na tle błękitnej poświaty. Moje serce biło w przyspieszonym tempie, na przedramionach pojawiła się gęsia skórka. Po kiego groma dałem się w to wszystko wciągnąć? Już wolałbym stanąć zupełnie nieuzbrojony przed Karlem i Artesem.

Po lewej coś zaszeleściło. Natychmiast spojrzałem na ciemny, wysoki nagrobek i dałbym głowę, że zobaczyłem chudą rękę z długimi szponami, chowającą się za zdobioną kolumną. Przyspieszyłem kroku, żeby być w pobliżu zarządcy, który najwyraźniej doskonale wiedział, dokąd idzie i co robi. Może facet był obłąkany, ale to w końcu żywy człowiek.

Usłyszałem szemranie wody i wkrótce dotarliśmy do kamiennej budowli przypominającej okrągłą altanę ogrodową. Spod niej wystrzeliwał wąski strumyk.

– Chodź tu – nakazał Garłacz.

Wspiąłem się po dwóch stopniach i stanąłem obok niego przed niewielką kolumną sięgającą mi pasa. Stała na niej kamienna misa wypełniona chyba ziemią.

– Dawaj rękę – polecił zarządca.

Już miałem podać mu dłoń, kiedy dostrzegłem błysk noża.

– Chyba cię popier... – zacząłem, ale ten wariat złapał mnie za nadgarstek i ciął ostrzem.

Najpierw poczułem zimno, później palący ból. To był odruch. Zacisnąłem drugą pięść i przywaliłem Garłaczowi w szczękę, aż zadudniło.

– Porąbało cię?! – naskoczył na mnie, wciąż trzymając moją rękę w żelaznym uścisku.

Już miałem znów go uderzyć, kiedy po cmentarzu poniosło się zawodzenie. Obaj znieruchomieliśmy. Coś biegło w naszą stronę.

– Zachowuj się jak prawdziwy dziedzic! – skarcił mnie zarządca.

– To mnie nie tnij nożem!

Cokolwiek się zbliżało, było wielkie, uderzało łapami w ziemię, dyszało ciężko i łamało gałęzie na swojej drodze.

– Anatol! – wrzasnął Roch. – Stój!

Bestia gwałtownie się zatrzymała. Prychała i warczała gardłowo, znajdując się tuż poza zasięgiem mojego wzroku.

– Co tu się dzieje?! – wybuchłem.

– Cmentarz czeka i ocenia – odparł Garłacz.

– Co ocenia?!

Bestia wciąż krążyła w pobliżu. Niemal wyczuwałem jej wściekłość.

– Ciebie – mruknął zarządca. – Czy nadajesz się na dziedzica, czy już teraz powinni cię zabić.

Po moich plecach spłynęła strużka lodowatego potu.

Roch wykorzystał moje rozkojarzenie i pociągnął mnie za rękę, tak aby rozcięcie na dłoni znalazło się tuż nad kamienną misą. Ścisnął mocno, aż syknąłem z bólu. Krew spłynęła mi po palcach i skapnęła do naczynia. Patrzyłem, jak szybko wsiąka w nasypaną tam ziemię, zupełnie jakby ta była wyschnięta na wiór i bardzo spragniona.

Nagle cały cmentarz zadrżał. Musiałem oprzeć się o kamienną misę, żeby nie stracić równowagi. Wokół nas rozbrzmiały najróżniejsze dźwięki: dziki skowyt, warkot, chichot, a nawet syczenie, a po chwili to wszystko nagle ucichło.

– Co, u licha? – burknąłem.

– Wreszcie – odezwał się z satysfakcją Roch, rozglądając się, jakby nagle zaczął widzieć w ciemnościach. – Dobra, nadasz się.

Wyszedł z kapliczki i ruszył w drogę powrotną. Potrząsnąłem głową i popędziłem za nim.

– Co tam się właśnie wydarzyło?! – naskoczyłem na niego.

– Zdałeś test na dziedzica – odparł lekko.

– Jaki, kurwa, test?! – nie wytrzymałem.

– Na dziedzica, głuchy jesteś?

Nagle zarządca pchnął mnie do tyłu, a tuż przed moją twarzą coś przeleciało z wściekłym buczeniem.

– Ja ci tu pobrzęcę! – Roch pogroził siekierą olbrzemiemu owadowi, który zatrzymał się na pniu drzewa i zwrócił ku nam wielkie ślepie. – Jeszcze słowo, Jewka, a przywiążę cię na smyczy do twojej krypty!

Stwór wrogo załopotał skrzydłami.

Zdawało mi się, że zobaczyłem wystające z jego odwłoku żądło długości ludzkiego palca. Mimowolnie się wzdrygnąłem. Jako chłopak z miasta nie znosiłem robactwa.

– Wynocha mi stąd! – Roch postąpił w stronę owada, który w końcu odpuścił i odleciał. – Trzeba trzymać je krótko – rzucił w moją stronę zarządca.

– Aha – odparłem niezdolny do wykrztuszenia sensowniejszej odpowiedzi.

Wkrótce dotarliśmy do bramy. Garłacz odwiązał łańcuch i wypuścił mnie z cmentarza. Bez wahania stanąłem po drugiej stronie bramy, oddychając ciężko. Zarządca zatrzasnął kłódkę i jak gdyby nigdy nic skierował się w stronę dworku. Po raz ostatni spojrzałem na napis *Śmierć to zaledwie początek* i popędziłem za Rochem.

– Co to, do licha ciężkiego, było? – naskoczyłem na niego.

– Porozmawiamy w domu.

Poczułem się jak skarcony uczeń, co doprowadziło mnie do szału.

– Masz mi natychmiast... – zacząłem.

– Zamknij jadaczkę i chodź.

Wkrótce dostrzegłem ciemną sylwetkę dworku. W gabinecie nadal paliło się światło, a gdy tylko znaleźliśmy się w hallu, prawie wszyscy wylegli nam na powitanie. Widziałem blade i przestraszone twarze. Na wielu z nich malowało się zainteresowanie, zupełnie jakby oczekiwali, że już tu nie wrócę.

– Wachim miał rację, jest dziedzicem – oświadczył zarządca. – Jak Norman?

– Śpi – odparł Gaspar. – Za kilka dni dojdzie do siebie.

Roch pokiwał głową z zadowoleniem.

– Chcę wiedzieć... – zacząłem gniewnym tonem.

– Słyszałeś o cmentarzach osobliwości? – zwrócił się do mnie zarządca.

Powoli pokręciłem głową. Kiedyś, dawno temu, słyszałem takie określenie, ale w tej chwili za nic nie mogłem sobie przypomnieć, co znaczyło.

– Chodź – polecił Roch.

Wszyscy mieszkańcy dworku ruszyli za nami. Minęliśmy salę balową, jadalnię i przeszliśmy ciemny korytarz, aż dotarliśmy do jasnej kuchni.

– Zrobiłam drożdżowe. – Kucharka zaczęła kroić pachnące ciasto.

Ja jednak nie miałem najmniejszej ochoty na jedzenie. Pozostali rzucili się na wypiek, jakby od rana nic nie jedli.

– Twój przodek, hrabia Muerton – zarządca splunął na podłogę – założył właśnie taki cmentarz osobliwości prawie dwieście lat temu.

– Czy to chodziło o nielegalne pakt? – Coś zaczęło mi świtać.

Wszyscy pokiwali głowami.

– Odnajdywał ludzi biednych, których nie stać było na godny pochówek – przyznał Roch. – Ale nie ograniczał się tylko do nich. Szukał też ludzi... – zacmokał, jakby nie mógł znaleźć odpowiedniego określenia – spaczonych, chorych na umyśle, przestępców, morderców...

– Takich, którzy po śmierci na pewno będą musieli odpokutować swoje winy jako dusze na ziemi – dodała Alma.

– A im większe zbrodnie, tym paskudniejsza forma duszy – dodał Gaspar. – Taka przynajmniej była teoria.

– Tak więc Glarius podpisywał z nimi pakt krwi, gwarantując im bogaty pochówek, ale...

– Okazało się, że hrabia to kawał skurwysyna – wtrącił Konrad, ogrodnik, sięgając po kolejny kawałek ciasta.

Zarządca skinął głową.

– Podejrzewamy, że podmieniał karty w umowach albo wykorzystywał to, że jego ofiary nie potrafiły czytać, i wmanewrowywał je w służenie zarówno jemu, jak i jego potomkom przez setki lat.

– Ale po co to wszystko? – Zmarszczyłem brwi.

– Dla rozrywki – rzuciła gorzko Aster.

– Oprowadzał po swoim cmentarzu osobliwości bogatych znajomych, inkasując małą fortunę za bilety – wyjaśnił Roch.

– No dobra. – Oparłem dłonie o blat stołu. – To trzeba to gdzieś zgłosić.

Wszyscy parsknęli śmiechem.

– Myślisz, że państwo o tym nie wie? – prychnął zarządca. – Wie doskonale, tylko stara się to ukryć. W całym kraju jest co najmniej kilka cmentarzy osobliwości, każdy zarządzany przez swojego dziedzica. A dziedzic dostaje pensję za to, że ich pilnuje.

– Pilnuje tamtego czegoś?! – wybuchłem, wskazując palcem drzwi. – Przecież to niemożliwe!

– A jednak jakoś się to nam udawało przez ostatnie dwieście lat – odparł Roch.

– I na czym niby polega całe to pilnowanie? – Opadłem na drewnianą ławę.

– Upewniamy się, że nic nie wylezie z cmentarza ani że nikt się nie włamie na jego teren – wyjaśnił krótko.

– I to niby takie proste? – mruknąłem.

– Zarówno proste, jak i skomplikowane. – Roch wzruszył ramionami.

– Ale przecież kiedy dusze chcą, mogą stać się niewidzialne.

– I na tym polegał nasz problem po tym, jak ostatni dziedzic wyzionał ducha na płocie – wyjaśnił rękodajny Olaf.

– To było też problematyczne dla samego Glariususa – dodał zarządca. – On zawsze mógł widzieć dusze, z którymi podpisał pakt, ale ludzie, którzy przyszli oglądać je jak zwierzęta w zoo, już niekoniecznie. Dlatego hrabia zbudował na samym środku cmentarza kapliczkę, w której dziś byliśmy. W kamiennej misie znajduje się ziemia cmentarna i jeśli dziedzic skropi ją własną krwią, dusze stają się widzialne dla wszystkich.

Wydarzenia z tej nocy zaczynały nabierać coraz więcej sensu.

– Jak w takim razie radziliście sobie bez dziedzica?

– Słabo, widziałeś Normana – rzucił Olaf.

– Dobrze – sprostował zarządca. – Po prostu z tobą jest trochę łatwiej.

Uderzyłem pięścią w stół i się zaśmiałem, a cała służba spojrzała na mnie jak na wariata.

– Wiedziałem! – odezwałem się. – Po prostu wiedziałem! Ten cały notariusz tak kręcił, że wiedziałem, że musi w tym wszystkim być jakiś haczyk!

– Dostałeś dwór, dostałeś kawał ziemi i pensję – odparł zarządca. – A do tego cmentarz osobliwości.

– Czy mogę się jeszcze z tego wycofać? – zastanowiło mnie nagle.

Wszyscy zebrani przy stole wymienili zaniepokojone spojrzenia. Chyba nie chcieli się jednak pozbyć nowego dziedzica. Skoro moja krew zadziałała...

– Podpisałeś umowę – przypomniał Roch.

– Ale każda umowa powinna mieć jakiś okres wypowiedzenia.

Kilka osób drgnęło nerwowo, a zarządca wstał od stołu i otworzył na oścież drzwi.

– Proszę bardzo, droga wolna – powiedział oschle. – Radziliśmy sobie przez ostatnie cztery lata bez dziedzica, damy radę dłużej.

– Nie ma takiej potrzeby – odparłem.

Teraz, kiedy poznałem już wszystkie zasady tej gry, poczułem się znacznie pewniej. Dowiem się, czy w ogóle jest okres wypowiedzenia i co



mogę zyskać na tej umowie, a cała reszta to zwykłe błahostki. O ile wcześniej nie dorwą mnie dusze z tego ponoć „niegrzebalnego” cmentarza.

# Rozdział 12

Za oknem zawiął wiatr, okiennice zatrzeszczały pod jego naporem, niewidzialny podmuch powietrza poruszył kłębkami kurzu pod ścianą.

– Opatrzę ci to – zaoferował Gaspar, patrząc na moją rękę.

Dopiero teraz sobie o niej przypomniałem. Poruszyłem palcami, a krew skapnęła na stół.

Koniuszy sięgnął podręczną apteczkę i zaczął mnie opatrywać.

– Nie musiałeś ciąć tak głęboko – mruzczał pod nosem.

– Chciałem mieć pewność – zbył go Garłacz.

– Chwila! – Nagle znieruchomiałem. – Przecież nie będę codziennie chodził na cmentarz, żeby ten tu – spojrzałem krzywo na Rocha – utoczył ze mnie krwi!

– Nie znamy nikogo innego, w kim płynęłaby krew Muertonów, więc nie jojcz – burknął zarządca.

Już miałem zacząć protestować, kiedy poczułem na ramieniu czyjąś dłoń. Podniosłem wzrok i napotkałem delikatny uśmiech Almy.

– Nie martw się – zapewniła kucharka. – Wystarczy zaledwie kilka kropli raz na tydzień.

Odetchnąłem z ulgą.

– A pamiętacie, jak Abel miał wypadek? – odezwał się Olaf.

Wszyscy pokiwali głowami.

– Co, następny dziedzic, który nadział się na płot? – rzuciłem z sarkazmem.

– Nie, wypadek samochodowy – wyjaśniła Aster. – I musieli przetoczyć mu krew.

– I co się stało? – zapytałem ze zgrozą.

– No i jego krew przestała działać! – Olaf wyprostował się na krześle, rozkładając wielkie ręce. – Chyba z pół litra z niego utoczyliśmy!

– A wyszedł z cmentarza blady jak papier! – dodał z podejrzaną radością Roch.

– I zemdłał na progu domu – dodała Aster, lecz w jej głosie kryła się nagana.

– Dobrze, że po kilku dniach doszedł do siebie i jego krew znów zaczęła działać – zakończył Olaf.

– Przynajmniej jeden dziedzic, który nie zginął w tragiczny sposób – stwierdziłem.

– A kto tak powiedział? – Garłacz spojrzał mi prosto w oczy i nie miałem pojęcia, czy żartował, czy mówił poważnie.

Wstałem od stołu i się przeciągnąłem, udając, że jego słowa wcale nie wywarły na mnie wrażenia.

– Dość już wrażeń na dzisiaj – orzekłem. – Idę spać.

Po zastanowieniu sięgnąłem po kawałek drożdżowego i ruszyłem ku wyjściu, doskonale wiedząc, że wszystkie oczy są wpatrzone we mnie. Zatrzymałem się w progu i odwróciłem do mieszkańców dworku.

– Niech pani czasem nie składa jutro wypowiedzenia – powiedziałem do Aster, a ona skinęła głową.

Gdy szedłem korytarzem, usłyszałem jeszcze pisk radości Irys. Jeden z psów zaczął szczekać. Pokręciłem głową. Musiałem jeszcze wiele się nauczyć o tym moim spadku.

Kiedy dotarłem do sypialni, stanąłem przed oknem i wpatrzyłem się w panującą za nim ciemność. Ciekawe, czy za dnia widać stąd cmentarz...

Wziąłem kęs ciasta, ale praktycznie nie poczułem jego smaku. Myśli w mojej głowie kotłowały się jak walczące psy. Czy ta pensja i ewentualne oszczędności, które mógłbym tu zaprowadzić, były warte ryzyka? Czy ten cmentarz był naprawdę tak niebezpieczny, czy Garłacz chciał mnie tylko nastraszyć? Na dobrą sprawę nie widziałem więcej dusz poza tym owadem z wielkim żądłem, ale nie mógł on być bardziej niebezpieczny niż Słodka, a z nią przecież dałem sobie radę. Ale widziałem też nogę Normana. Rękodajny nie wyglądał na laika w tych sprawach, więc na pewno to też nie było jak spacer po łące.

Strzepnąłem z ubrania okruszki po cieście i rzuciłem się na łóżko.

*Zawsze się ucz i z każdego dnia wyciągnij najwięcej, jak się da* – przypomniały mi się słowa mamy.

– Tylko czego się tu uczyć? – prychnąłem głośno w stronę zdobionego sufitu.

*Jak władać duszami* – odpowiedziałem sobie w myślach. Skoro zarówno zarządca, jak i rękodajni potrafili to zrobić, nawet nie widząc tych dusz, to musieli być dobrzy w te klocki. A gdybym potrafił zapanować nad duszami...

Zagwizdałem cicho, gdy przed moimi oczami otworzyły się nowe ścieżki kariery. Gdybym miał taką wiedzę i pieniądze, wykurzenie Diogenesa z miasta byłoby wręcz dziecinnie proste. Może nawet potrafiłbym odebrać mu Słodką. Z uśmiechem na twarzy wyobraziłem sobie siebie samego z paskudnym wężem o dwóch głowach na ramieniu.

Zasnąłem, marząc o tym, jak wiele miała mi do zaoferowania przyszłość.

Do końca nocy zostało niewiele godzin, ale spałem wyśmienicie, a rano wyskoczyłem z łóżka rześki jak skowronek. Z nową energią wszedłem do jadalni i nałożyłem sobie wielki talerz owsianki z owocami.

– Widzę, że ranny ptaszek z ciebie. – Do pokoju weszła Dalia, jak w zwykle w kolorowych, powłóczystych szatach.

– Ach, droga Dalio, tyle zadań mnie czeka! – rzuciłem lekko, na chwilę zawieszając wzrok na jej bransolecie ze szmaragdami.

– Roch pokazał ci cmentarz? – zainteresowała się.

Skinałem głową, bo usta miałem pełne owsianki.

– I nie uciekłeś? – zdziwiła się.

– A dlaczego miałbym uciekać przed własnymi obowiązkami? – powiedziałem, kiedy tylko przełknąłem.

– Wiesz, mój Salomon wiedział, na co się pisze, a mimo wszystko uciekł stąd na trzy dni, gdy tylko zobaczył cmentarz.

– Twój Salomon? – powtórzyłem z zainteresowaniem, a na policzkach artystki pojawiły się rumieńce. – Też był dziedzicem?

– Cóż za pyszności dzisiaj mamy! – Klasnęła w dłonie, zmieniając temat. Nałożyła sobie na talerz trochę warzyw i białego twarogu.

Skończyłem jeść i już miałem wybrać się na poszukiwania ochmistrzyni, kiedy ta wmaszerowała do jadalni z szelestem czarnej sukni.

– Dobrze, że pani jest! – Poderwałem się z krzesła.

Dzisiaj wręcz śmieszny wydawał się pomysł z poprzedniego dnia, kiedy to włożyłem zieloną koszulkę i marynarkę, żeby jej dopiec.

– Co się stało? Jednak mam złożyć rezygnację? – zapytała z przekąsem.

– Mniejsza o to. – Machnąłem ręką. – Chcę zobaczyć mapę cmentarza, spis dusz, ich pakty...

– Po co? – przerwała mi gwałtownie.

– Żeby jak najwięcej o nich wiedzieć – odparłem. – Jeśli mam ich pilnować, to muszę wiedzieć o wszystkim!

Przyjrzała mi się uważnie spod długich czarnych rzęs, ale w końcu skinęła głową.

– Proszę za mną. – Odwróciła się i ruszyła do gabinetu.

Dogoniłem ją w kilku susach.

– Jak się czuje Norman? – zagadnąłem.

– Całą noc się rzucał – powiedziała, a ja dopiero teraz dostrzegłem cienie pod jej oczami, jakby w ogóle nie spała. – Ale teraz jest lepiej. Leki przeciwbólowe działają. Na szczęście Flora nie wstrzyknęła mu jadu.

Z siłą pchnęła drzwi gabinetu, które otworzyły się ze skrzypnięciem. Od razu skręciła w lewo i stanęła przed ścianą.

– Proszę bardzo – rzuciła, wpatrując się w wielki szkic w gablocie.

Widziałem go poprzedniego dnia, ale myślałem, że to tylko jakieś bazgroły.

– Mapa – szepnąłem, patrząc na pożółkły papier z powyginanymi rogami.

– Czy to...?

– Dzieło samego Glariususa – odparła. – A raczej kartografa, któremu Glariusus dobrze zapłacił.

Dotknąłem palcami cienkiego szkła oddzielającego mnie od szkicu.

Mapa przedstawiała olbrzymi okrąg wyrysowany czarną farbą. Na dole dostrzegłem bramę i napis: *Śmierć to zaledwie początek*. Od bramy wzdłuż wewnętrznej części muru ciągnęła się czarna linia, tworząc spiralę kończącą się w samym centrum cmentarza, gdzie była wyrysowana kapliczka.

– Co znaczy ta spirala? – Zmarszczyłem brwi.

– To jest ścieżka zwiedzania – odparła Aster.

– Chwila. – Zbliżyłem się jeszcze bardziej do gabloty, niemal dotykając nosem szyby. – Ale my wczoraj szliśmy zupełnie inną drogą.

– Zarządcy mają własne ścieżki – przyznała. – Zarządca Anzelma i jego rękodajni zaczęli wydeptywać takie drogi, jakie im najbardziej odpowiadały. Nie chcieli przecież chodzić naokoło. Później Salomon zajął się tym na poważnie, usypał na nich jasny piach, żeby były widoczne nawet w nocy. Drogi zarządców zahaczają o najgroźniejsze lub najchętniejsze do ucieczki dusze, które muszą być kontrolowane co najmniej kilka razy każdej nocy.

– Normalnie robota marzeń – prychnąłem ironicznie.

– Mieliśmy jeszcze mniejszą reprodukcję mapy, bardziej poręczną. – Ochmistrzyni zmarszczyła brwi. – Ale gdzieś się zapodziała.

Posłałem jej wymowne spojrzenie. Miałem wrażenie, że wszędzie w dworku panują bałagan i kurz. W takich warunkach nietrudno coś zgubić.

– I jeszcze to włamanie – dodała wyjaśniająco.

– Włamanie? – zainteresowałem się od razu.

Skoro było włamanie, było i co ukraść z tej rudery, ale kobieta tylko machnęła ręką.

– Ogrodnik nakrył złodzieja, jak ten buszował po hallu – powiedziała. – Ale niestety nasz biedny Konrad nie jest już w takiej formie jak kiedyś, więc nie zdołał go zatrzymać...

– Co zwinął? – zapytałem konkretnie.

Ochmistrzyni zacmokała.

– Nic – odparła. – Nie zdążył, nim został przepędzony. Na szczęście historia już się nie powtórzyła. Biedak chyba uznał, że nie znajdzie tu nic wartościowego. A wracając do trasy dla zwiedzających – ciągnęła. – Tu mamy ścieżkę ziemi. – Wskazała palcem. – Tutaj ognia, wody i powietrza. Hrabia był zafascynowany żywiołami – dodała wyjaśniająco. – Choć szalony, to był to bardzo świątły człowiek. Jeździł po całym świecie i szukał natchnienia do stworzenia czegoś niezwykłego. Okropnego, ale i niezwykłego. Dlatego groby dusz są takie różne, czasem wręcz dziwaczne. Sprawdzał, czy to, w jaki sposób człowiek został pochowany, ma wpływ na kształt jego duszy. Jest nawet taka krypta, którą na stałe zalał wodą.

– Wariat, ale i geniusz – przyznałem, przypatrując się najróżniejszym symbolom, które miały chyba oznaczać kolejne groby.

– Dziesięć lat szukał pomysłów – przyznała ochmistrzyni. – Jego cmentarz osobliwości nie był pierwszym takim w Hatarii, ale Glarius

chciał, żeby był najbardziej niezwykły. Żeby ludzie nawet z odległych zakątków świata przyjeżdżali go oglądać...

– A co na to władze? – zainteresowałem się. – Dlaczego nikt go nie zamknął za podpisywanie paktów?

– To były inne czasy. – Kobieta wzruszyła ramionami. – Szlachta mogła wtedy prawie wszystko. Miała w kieszeni policję i sądy. Hrabia był bezkarny. Przez kolejne dziesięć lat tworzył cmentarz. Jeździł po całym kraju, szukając odpowiednich... ludzi. Podpisywał z nimi pakt, projektował kolejne groby, przekopywał teren...

– Jak długo ten cmentarz był otwarty dla... – odchrząknąłem – publiki?

– Trzydzieści trzy lata – odparła.

– A co potem?

– Syn Glariusza nie pochwalał czegoś takiego. Jeszcze za życia ojca chciał zamknąć cmentarz i zmusić go do zniszczenia paktów. Może wtedy udałoby się uwolnić wszystkie dusze.

– Wnioskuje, że szanowny Glariusz jednak się nie wycofał z umów? – zapytałem z ironią.

– Niestety.

– A jego syn? Skoro to ta sama krew?

– Nie zdołał nic na to poradzić – westchnęła Aster. – Jedyne, co mógł zrobić, to zatrudnić zarządcę i rękodajnych, żeby pilnowali cmentarza.

– I tak się wszyscy bujają z cmentarzem do dziś – podsumowałem. – A co z paktami?

Ochmistrzyni pokręciła głową i spojrzała w kierunku okna. Na szarym niebie, nisko nad horyzontem, wisiało zamglone słońce.

– I to jest największa zagadka Lawendowego Dworku. – Ochmistrzyni machnęła w powietrzu palcem wskazującym.

– Nie macie tych paktów?!

Pokręciła głową.

– Glariusz ukrył je, i to tak skutecznie, że przez całe lata kolejni dziedzice ich szukali, żaden jednak ich nie odnalazł.

Rozejrzałem się po gabinecie, jakbym już szukał tajnej skrytki.

– Kalisteron kazał przekartkować każdą księgę, rozbił wszystkie regały i zdarł tu podłogi, a nic nie znalazł – uprzedziła mnie Aster.

– Kalisteron... – powiedziałem powoli, przypominając sobie ciemny obraz z korytarza. – Jak zginął? – dodałem żartem.

– Rozszarpany na cmentarzu – odparła, po czym szybko odwróciła się ode mnie.

– Jak to: rozszarpany?! – Ruszyłem za nią.

– Po prostu, Roch panu wszystko opowie. – Zaczęła nerwowo przekładać rzeczy na biurku.

– Chciałbym jednak wiedzieć teraz, żeby móc uniknąć tego samego losu – wycedziłem, łapiąc ją za łokieć.

– Kalisteron chadzał własnymi ścieżkami – powiedziała. – On był... on nie był dobrym dziedzicem.

– Co, nie sprawdzał się w swojej roli? – zakpiłem.

– Nie, on był po prostu zły. Chyba jeszcze gorszy niż Glarius. Dobrze, że za jego życia zakazano tworzenia lub otwierania już istniejących cmentarzy osobliwości. Gdyby żył pięćdziesiąt lat wcześniej... – Rozłożyła ręce, jakby szukała odpowiednich słów. – Nasz cmentarz wyglądałby zupełnie inaczej i nawet boję się sobie wyobrazić, jak daleko posunąłby się Kalisteron. A gdy zginął, tak naprawdę wszyscy odetchnęli z ulgą.

– Cóż za pociecha dla mnie – stwierdziłem, siadając w skórzanym fotelu.

– Roch w pana nie wierzy – zmieniła nagle temat, podchodząc do regału z książkami, jakby tam czegoś szukała. – Uważa, że w ciągu tygodnia da się pan zabić, że jest pan miejskim cwaniaczkiem, który nigdy nic nie osiągnął...

Prychnąłem głośno.

– Dobrze, nie musi pani przybliżać mi wszystkiego, co mówił Roch – rzuciłem gorzko.

Ochmistrzyni w końcu namierzyła to, czego szukała, bo zaczęła z nową energią wyciągać z regału kolejne książki.

– Ja jednak uważam inaczej – oświadczyła, z hukiem stawiając wieżyczkę różnych tomów na biurku. – Jest pan sprytny i wbrew tej... nieciekawej powierzchowności bardzo inteligentny.

*Taa, bo w ciągu zaledwie kilku godzin znalazłem całą masę twoich przekrętów w księgach rachunkowych?* – pomyślałem z przekąsem.

– To są dzienniki Anzelma – oświadczyła. – Był dziedzicem ponad pięćdziesiąt lat temu. Swoją drogą ustanowił rekord, bo pilnował cmentarza czterdzieści dwa lata.

– Taki dobry był? – Uniosłem brew.



– Anzelm? A skądże znowu! – zaśmiała się. – Niech bogowie mają go w swojej opiece. Na pewno widziałeś jego obraz: dobrodusznego otyłego mężczyzny z ciepłym uśmiechem. Całymi dniami przesiadywał w gabinecie, spisywał dzienniki i szukał sposobu, jak pomóc duszom z cmentarza. Miał za to wybitnego zarządcę i cały zastęp rękodajnych, którzy pilnowali wszystkich włości.

– Pocieszające. Najdłużej przeżył koleś ciepłe kluchy, który w ogóle nie chodził na cmentarz – burknąłem.

– Ależ chodził! Ale za dnia – dodała. – Kiedy większość dusz śpi. Poza tym jego dzienniki są na wagę złota i nie mógłby wykonać tak wspaniałej pracy, gdyby całymi nocami uganiał się po cmentarzu.

Spojrzałem na stos dzienników i westchnąłem ciężko.

– To ja poproszę kawę – powiedziałem, otwierając pierwszą książkę.

Ochmistrzyni skinęła głową i ruszyła do drzwi, kiedy nagle podniosłem głowę znad lektury.

– Co to znaczy, że mam nieciekawą powierzchowność?! – zawołałem za nią.

Aster obejrzała się na mnie przez ramię, uśmiechnęła się tajemniczo, poprawiła ciasny kok na głowie i zamknęła za sobą drzwi.

– Zobaczymy, czego cwaniaczek z miasta dziś się dowie. – Wyciągnąłem z szuflady kartkę i długopis, żeby robić notatki.

Przeczytałem kilka stron o moralności cmentarzy takich jak ten stworzony przez Glariusza, po czym zignorowałem resztę i przerzuciłem się na rozdział o historii Lawendowego Dworku. Szybko dowiedziałem się, że ta nazwa nie ma nic wspólnego z lawendą jako taką. Anzelm twierdził, że za czasów hrabiego Muertona dworek przeżywał lata swojej świetności. Był przepiękną i zadbaną budowlą...

Podniosłem wzrok na grzyb pod sufitem w rogu.

– Dziedzice trochę zaniedbali sprawę – oceniłem, ale nie to, że zamierzałem wziąć się do generalnego remontu.

Potrząsnąłem głową i zacząłem czytać dalej. Za czasów Glariusza jedną z najtrudniejszych do uzyskania, a zarazem najdroższą farbą była... lawendowa. A że hrabia lubił życie na bogato i uwielbiał chwalić się przepychem własnego domu, kazał pomalować wszystkie okiennice na ten kolor, co było zupełnie niepotrzebne i bardzo drogie, ale dzięki temu każdy mógł zobaczyć, na co go stać.

– Jak dla mnie to sam cmentarz jest oznaką przepychu, ale co ja tam wiem – skwitowałem.

Dalej Anzelm rozwodził się nad architekturą dworku i ten rozdział też pomiąłem, obiecując sobie wrócić do niego później. Wkrótce okazało się, że jeden dziennik mam już za sobą.

Chwilę później Irys przyniosła kawę.

– Dziękuję – rzuciłem, podnosząc głowę znad książki. – Zostaw dzbanek – poleciłem, kiedy nalała czarnego napoju do filiżanki. – Nie macie większych kubków? Bo te to są tylko na raz. – Wychyliłem filiżankę, parząc sobie przy okazji język i gardło.

– Zaraz przyniosę – obiecała.

– Nie, teraz to daj sobie spokój. – Machnąłem ręką. – Tylko następnym razem pamiętaj, proszę, o tym.

Pokiwała głową, a ja wróciłem do lektury. Irys jednak nadal stała nade mną.

– Coś jeszcze? – zapytałem.

– Cieszę się, że przeżył pan wczoraj na cmentarzu – powiedziała jednym tchem.

– Ja też – odparłem, przewracając stronę.

– I dziękuję, że nie zwolnił pan jednak Aster.

– To była trochę pochopna decyzja – przyznałem.

– Dobrze, że mamy w końcu dziedzica – bąknęła i wybiegła z gabinetu.

– Zobaczmy, czy jeszcze wyjdzie to wam na zdrowie – mruknąłem do siebie.

Kolejny dziennik rozwodził się nad topografią terenów przynależących do dworku, wszystkim, co tu rosło, i nad dziką zwierzyną. Trzeba przyznać Anzelmowi, że był dokładny, ale takie bzdury w tej chwili wcale mnie nie obchodziły. Sięgnąłem po następny dziennik. Dlaczego nie było tu książki zatytułowanej *Jak przetrwać noc na cmentarzu osobliwości* albo *Jak nie dać się zabić w pierwszym tygodniu bycia dziedzicem?*

Irys przyniosła mi obiad, a ja nawet nie zapamiętałem, co zjadłem. Dopiero późnym popołudniem trafiłem na to, czego tak bardzo szukałem.

– *Charakterystyka dusz uwięzionych na cmentarzu osobliwości przylegającym do Lawendowego Dworku* – przeczytałem na głos.

Otworzyłem dziennik na pierwszej stronie. Była tu pobieżnie narysowana mapa cmentarza z zaznaczeniem poszczególnych sektorów.

Nie zdążyłem jednak przeczytać nawet jednego zdania, gdy nagle drzwi gabinetu otworzyły się z hukiem i stanął w nich Roch z tą swoją siekierą. Gniewnym wzrokiem obrzucił całe pomieszczenie, aż zatrzymał się na mnie. Jego błękitne oczy prześwidrowały mnie na wylot. Zmarszczył brwi, po czym, kuśtykając, ruszył w moją stronę.

– Co ty tu robisz?! – naskoczył na mnie.

Znamień po uderzeniu piorunem, wspinające się po jego szyi aż do policzka, zdawało się jeszcze bardziej czerwone. Ciekawe, czy trafiło go, jak był na cmentarzu?

– Czytam dzienniki Anzelma – odparłem.

– Po kiego groma?!

– Żeby dowiedzieć się czegoś więcej o moim cudownym spadku? – odparłem, a moje słowa aż ociekały ironią.

– Zostaw te pierdolety i chodź ze mną – burknął.

– Dokąd? – Po poprzedniej nocy od razu nabierałem podejrzeń, gdy zarządca chciał mnie dokądś zaprowadzić.

– Jak to dokąd?! – wkurzył się. – Na cmentarz oczywiście!

– Ale jest dzień – zaoponowałem. – No i najpierw wolałbym trochę poczytać o tych duszach.

– A w cholerę z czytaniem! – Roch ponownie do mnie podszedł. – Najlepiej człowiek uczy się przez praktykę! – Uniósł rękę, a ja już układałem plan, jak się bronić.

Siedziałem w fotelu, więc możliwości miałem dość ograniczone. Ale wystarczy, że rzucę się na niego i uderzę głową w brzuch. To powinno ostudzić jego zapał. Później zabiorę mu siekierę...

– Nie cackaj się tak ze sobą! – Zarządca klepnął mnie w łopatkę, a mój plan obrony wziął w łeb. – Chyba że wolisz iść tam po zmroku, kiedy dusze wstają?

Z nonszalancją wstałem z fotela i odłożyłem na bok dziennik.

– Oczy mnie już rozbolały od czytania, zresztą i tak miałem się wybrać na krótki spacer, rozprostować kości – zapewniłem.

– Taaa – rzucił, wychodząc z gabinetu.

Niespiesznie podążyłem za nim, ku mojemu zdziwieniu jednak, zamiast skrócić w prawo do drzwi wyjściowych, Roch skierował się ku schodom wiodącym na piętro.

– To nie idziemy na cmentarz? – zagadnąłem.

– Idziemy, ale skoro jednak jesteś dziedzicem, a twoja krew nie jest aż tak rozwodniona, jak przypuszczałem, wolałbym, żeby dusze nie zabiły cię od razu. – Roch zatrzymał się po lewej stronie schodów i uchylił niewielkie drzwi wciśnięte w ścianę. – Najpierw zbrojownia.

# Rozdział 13

Przecisnąłem się za zarządcą i stanąłem w niewielkim, zakurzonej pomieszczeniu. Roch pociągnął za sznurek wiszący pod żarówką i zbrojownię zalało słabe światło. Z sufitu zwieszały się szare pajęczyny, powiewające w takt przeciągu, drewniany pył sypał się z regałów przeżartych przez korniki, a broń... szkoda gadać. Prędzej człowiek dostanie tu zakażenia, niż obroni się przed hordą dusz.

– Czy ktokolwiek kiedykolwiek tu sprząta? – zagadnąłem. – Chyba muszę pogadać z Aster, żeby jednak nie oszczędzała na sprzątaczkach.

Zarządca obrócił ku mnie gniewne oblicze. W ciasnym pomieszczeniu zdawał się jeszcze większy i silniejszy. A w jego oczach wiecznie kryła się groźba.

– Wara! – burknął. – Do zbrojowni wstęp mamy tylko ja i rękodajni.

– No i dziedzic – dodałem.

Roch prychnął coś niezrozumiałego pod nosem.

– Też się cieszę, że możemy współpracować. – Wyszczrzyłem zęby w złośliwym uśmiechu.

– Umiesz posługiwać się czymkolwiek stąd? – Zarządca wskazał regały pełne starej broni. Były tam zardzewiałe miecze, szable, noże, włócznie, oszczepy, toporki.

– A kastetu nie ma? – wyraziłem swoje rozczarowanie, biorąc do rąk kolejne stępione ostrza. – A to co? – Uniosłem do światła piękny sztylet.

To znaczy kiedyś musiał być piękny, teraz zaś na całej rękojeści widniały puste miejsca po kamieniach szlachetnych.

– Odłóż to – rozkazał Roch. – To należało do Kalisterona. On się lubował w takich niepraktycznych rzeczach.

– A co się stało z kamieniami? – zainteresowałem się, nadal uważnie oglądając ostrze.

– Ja je wyciągnąłem. – Zarządca spojrzał mi wyzywająco w oczy.

– Mam tylko nadzieję, że nie sprzedałeś ich za bezcen. – Nie połknąłem haczyka i wzruszyłem ramionami, odkładając sztylet na półkę.

Co będę się awanturował o kamienie, które najwyraźniej już dawno temu zostały upłynnione?

– Nie jesteś w muzeum, bierz broń i idziemy – pospieszył mnie Roch.

Sięgnąłem po niewielki nóż, który zmieściłbym w rękawie, i wsunąłem go za pasek spodni. W mieście to była najlepsza broń – na tyle mała, że przeciwnik jej nie widział, a w dobrych rękach wystarczająco śmiertelna... No dobra, tak naprawdę jeszcze nigdy nikogo nie zabiłem. Ale zdarzało mi się grozić innym, i to z całkiem niezłym skutkiem.

Odwróciłem się do Rocha, gotów do drogi.

– To wszystko? – zdziwił się.

– A wiesz co, po zastanowieniu wezmę jeszcze to. – Zdjąłem z haka szablę w pochwie i przewiesiłem sobie jej pasek przez ramię.

– Tylko nic sobie nie utnij – powiedział zarządca. – Ani tym bardziej moim ludziom.

– Chyba moim ludziom – poprawiłem go.

Posłał mi spojrzenie pełne wściekłości. Ach, jego denerwowało się jeszcze lepiej niż Aster. Wkurzanie Rocha będzie moim hobby. W końcu trzeba mieć jakąś rozrywkę w tym Zadupiolesie.

Opuściliśmy zbrojownię i niestety, im bardziej zbliżaliśmy się do cmentarza, tym gorszy miałem humor. Przez dwadzieścia pięć lat mojego pięknego życia wpajano mi, że żywi nie mogą nawet się zbliżyć do miejsc pochówku. A tu nie dość, że miałem sobie po takim spacerować, to jeszcze pilnować krnąbrnych dusz. Przecież od tego byli notariusze i opiekunowie!

Zatrzymaliśmy się przed metalową bramą. *Śmierć to zaledwie początek* – tym razem napis wydał mi się bardzo okrutnym żartem ze strony hrabiego Muertona.

– Dlaczego nikt tego jeszcze nie zdjął? – zapytałem.

Zarządca podążył za moim spojrzeniem.

– Nie ingerujemy w cmentarz bardziej, niż to konieczne – odparł krótko.

– A co znajduje się tutaj? – Machnąłem w stronę małej drewnianej szopy, która wyglądała, jakby za dużo wypięła i stała tylko dlatego, że opierała się

o mur.

– Strażnica – powiedział Roch. – Są tam podstawowe środki opatrunkowe i broń, na wypadek gdyby wydarzyło się coś niespodziewanego.

Zgrzyt klucza w starej kłódce i metaliczny dźwięk łańcucha zsuwającego się z bramy poraziły moje uszy.

– One tego nie rozwałą? – chciałem się upewnić.

– Zarówno łańcuch, jak i kłódka zostały wykute z domieszką krwi dziedzica – odparł Roch.

– I to powstrzyma dusze? – zdziwiłem się. Wiedziałem, że paktów krwi mają swoją moc, ale jakoś nigdy głębiej się nad tym nie zastanawiałem. – A mur? – Powiodłem wzrokiem wzdłuż wysokiego ogrodzenia. – Chyba trudno byłoby utoczyć dość krwi, żeby wystarczyło na niego? A może dodaliście jej do zaprawy między ceglami?

– Ponosi cię wyobraźnia – skwitował zarządca, otwierając bramę.

Przekroczyłem próg cmentarza i sam nie wiem, czego się spodziewałem, ale na moich przedramionach pojawiła się gęsia skórka. Może myślałem, że za dnia cmentarz wcale nie będzie taki straszny? Skoro wszystkie dusze teraz śpią...

Ale to miejsce było złe. Czuję to całym sobą, miałem wrażenie, że ziemia aż promieniuje grzechem i rozgoryczeniem. Poruszyłem w butach palcami stóp, czując w nich nieprzyjemne mrowienie. Po mojej lewej stał wielki, nieociosany kawał granitu z tabliczką nagrobną.

– Kto tu leży? – zainteresowałem się.

– Cyntia jest niegroźna – odparł zarządca. – Może napędzić stracha tylko tym mniej odpornym. – Posłał mi znaczące spojrzenie. – Tam masz trasę dla zwiedzających. – Machnął siekierą w lewo na wąską, brukowaną dróżkę. – My zaś chodzimy tędy, po białych drogach. – Wskazał ścieżkę usypaną jasnym piaskiem. – Kilka razy w roku ją odchwaszczamy, żeby była dobrze widoczna, szczególnie w nocy.

Usłyszałem za plecami zgrzyt i gwałtownie się odwróciłem. To jeden z rękodajnych wszedł na teren cmentarza i związał bramę łańcuchem.

– Czego chcesz, Samson? – burknął Roch.

Poczułem jakąś dziwną satysfakcję, wiedząc, że nie tylko mnie traktował tak obcesowo.

– No idę z wami, co nie? – odparł rękodajny. Był wielki i barczysty, ludzie o takim wyglądzie zazwyczaj stoją na bramkach szemranych klubów. Miał

duży, płaski nos, ciemne oczy i kilkudniowy zarost.

– A po jaką cholere? – Zarządca zmarszczył brwi.

Samson rozejrzał się, jakby gdzieś w pobliżu kryła się gotowa odpowiedź.

– Nooo – zamruczał jak niedźwiedź. – Może się wam przydam.

Roch zmełł w ustach przekleństwo i skierował się ku jasnej ścieżce.

Rękodajny podszedł do mnie.

– Idziemy, co nie? – zagadnął.

– Idziemy – przytaknąłem.

– Trzeba patrzeć pod nogi – powiedział w drodze. – Żeby nie dopadły cię te chwasty, jak Normana. Bo nie patrzył pod nogi, co nie? Ale też trzeba patrzeć przed siebie i za siebie. Bo nigdy nie wiesz, kiedy jakiś skurczybyk postanowi zaatakować. A niektóre nawet latają, to i nad głowę trzeba patrzeć.

– Latają... – Przypomniał mi się wielki owad z poprzedniej nocy. – To chyba łatwo im przelecieć nad murem?

– Niby tak, ale te latające są dość niemrawe – odparł, jakby to była wystarczająca odpowiedź.

– Teraz zamknąć jadaczki. – Roch odwrócił się do nas i pogroził nam palcem. – A ty – zwrócił się do mnie – masz słuchać i zapamiętać każde moje słowo, bo nie będę dwa razy powtarzał.

Potulnie pokiwałem głową. Na cmentarzu wolałem nie zgrywać cwaniaka.

– Codziennie po południu trzeba iść ścieżką zarządcy i sprawdzić, czy wszystko jest w należyтым porządku – zaczął Roch. – Uwaga na Florę. – Przystąpił nad zielonym pędem wijącym się po jasnej dróżce.

– To ona załatwiła Normana – dodał półgębkiem Samson. – Skubana coraz bardziej się rozrasta. Tam jest jej grób. – Wskazał wielki kamień opleciony korzeniami rosnącego na jego czubku drzewka. Zwieszały się z niego drobne, teraz zamknięte, różowe kwiatki. Nie wyglądały groźnie, ale poprzedniej nocy sprawiały wrażenie, jakby uważnie mnie obserwowały.

– Jak coś tak małego mogło poharatać nogę wielkiego faceta? – zdziwiłem się, podchodząc do głazu.

Kwiaty poruszały się lekko w jednym rytmie, jakby powoli oddychały. Uważnie przyjrzałem się najbliższemu pędowi. Nie wyglądał krwiożerczo.

– Można się zdziwić, że to, co wygląda na bardzo łagodne, okazuje się masakrycznie krwiożercze, co nie? – Samson pstryknął palcem w jeden



z kwiatów, a ten otworzył się gwałtownie z głośnym sykiem, jak bestia rozdziawiająca paszczę.

Każdy delikatny płatek był aż nastroszony od kolców, zębów czy jak je tam zwać. Kwiat zamykał się i otwierał, jakby szukał czegośkolwiek, na czym mógłby zacisnąć te swoje krwiożercze płatki. Odskokczyłem, gdy pozostałe kwiaty zaczęły nerwowo drżeć, jakby i one zaraz miały zaatakować. Potknąłem się o jakiś badył i runąłem na tyłek.

– Spokojnie – zaśmiał się Samson, podając mi rękę. – W dzień jest strasznie leniwa. O, zobacz. – Dotknięty przez niego kwiat poruszał się coraz wolniej, aż zupełnie się zamknął. – Tylko w nocy trzeba omijać ją szerokim łukiem. Na szczęście nie ma nóg i nigdzie nie może pójść – dodał i puścił do mnie oko.

Roch westchnął teatralnie, jakby miał do czynienia z dziećmi.

– Pod górkę jest dopiero wtedy, kiedy nie ma dziedzica i nie widać tych wszystkich skurczybyków – powiedział już ciszej rękodajny.

– To jakim cudem byliście w stanie pilnować tego przeklętego cmentarza przez ostatnie lata? – Usiłując zachować resztki godności, otrzepałem spodnie i ruszyłem dalej wąską ścieżką.

– Łzy – rzucił krótko Samson.

Podążyłem za jego spojrzeniem i zobaczyłem czarną łodygę z czarnymi liśćmi oplatającą najbliższe drzewo. Wyrastały z niej całe grona drobnych granatowych kwiatów ze srebrnymi plamkami. Pomijając poprzednią noc, jeszcze nigdy nie widziałem żywych łez, tylko przetworzony z nich narkotyk. Podeszedłem do nich i pochyliłem się nad kwiatami, które przywodziły na myśl niebo nocą. A pachniały słodko, wręcz oszałamiająco, kusząc, żeby je zerwać.

– Nie rusz! – Roch złapał mnie za rękę, którą już wyciągnąłem w stronę kwiatów.

Potrząsnąłem głową, jakbym ocknął się ze snu.

– Zerwane za dnia nie mają swoich właściwości – wyjaśnił zarządca. – Idziemy.

– To jakie mają właściwości, oprócz tego, że można się nimi naćpać? – zapytałem w marszu.

– Dzięki nim widzimy choć cień duszy – powiedział Samson.

Gwizdnąłem cicho w zdumieniu. Jakim cudem o tym nie wiedziałem? Przecież kradłem łzy Diogenesowi i sam je sprzedawałem! Czy ludzie na

Szantach, którzy prawie cały czas byli na łzach, widzieliby dusze, gdyby znaleźli się na cmentarzu?

– Ponoć to, co sprzedają w miastach, ma niewiele wspólnego z prawdziwymi łzami – odezwał się Samson, jakby czytał w moich myślach. Albo po prostu lubił dużo gadać. – To produkt wysoko przetworzony, chemiczna mieszanka, która ma w sobie zaledwie ułamek łez z cmentarza – wyrecytował, jakby wykuł na pamięć czyjeś słowa.

W mojej głowie pojawiły się dziesiątki pytań, lecz nie zdążyłem zadać ani jednego, nim Roch gwałtownie się zatrzymał.

Kilka kroków w lewo, między gęstymi krzakami, widniała zardzewiała krata.

– To nasz najważniejszy przystanek – odezwał się zarządca.

– Śmiercian – dodał Samson, ściągając na siebie wrogie spojrzenie przełożonego.

– Pokaż mu – burknął Roch.

Rękodajny skinął na mnie i zaczął przedzierać się przez zarośla. Jego kroki były ostrożne, jakby bał się schodzić w tym miejscu ze ścieżki.

– Tylko bądź cicho – szepnął do mnie nad ramieniem.

Jakiś kolczasty krzak zahaczył o moje spodnie i wyrwał w nich dziurę. Zakląłem pod nosem, a Samson na mnie syknął. Po kilkunastu krokach stanęliśmy przed wielką prostokątną dziurą w ziemi wyłożoną cegłami. Na dobrą sprawę przypominała zwykłą piwnicę. W przeciwległej ścianie znajdował się ciemny otwór, z którego buchało zgnilizną. Sama podłoga tej dziwnej piwniczki była częściowo zalana wodą i jakimś gęstym szlamem. Pewnie spływała do niej deszczówka, a jesienią zapełniała się liśćmi i stąd cały ten syf. Moją uwagę jednak zwróciła przykrywająca ją krata, która nie miała ani kłódki, ani zawiasów i zdawało się, że została na stałe przykuta do głazów zakopanych w ziemi po bokach.

Drgnąłem nerwowo, kiedy Samson szarpnął za kratę.

– Codziennie trzeba się upewnić, że dobrze się trzyma – powiedział i zaczął sprawdzać ją z drugiej strony.

– Dlaczego? – zapytałem. – Co jest tam na dole?

– Śmiercian – powtórzył, jakby to miało wszystko wyjaśnić. – Za życia to musiał być kawał skurwysyna, skoro nawet samego Glariusza oszukał.

– Nie rozumiem. – Zmarszczyłem brwi.

– Patrz. – Samson zakręcił w powietrzu palcem wskazującym. – Znajdujemy się dopiero w drugim kręgu. – Chyba musiałem zrobić naprawdę głupią minę, bo kontynuował: – Pierwsze trzy kręgi zajmują dusze... no takie... – Rozłożył ręce. – Takie słabe. Wiesz, hrabia pochował tu jakichś nieszczęśników, których jedynym przewinieniem było to, że byli biedni i podpisali pakt. Tacy ludzie nie zamieniają się w krwiożercze dusze.

– A Flora? – burknąłem.

– E tam, ona jest cienka. – Machnął dłonią, przypatrując się bolcom trzymającym kratę. – No bo to tylko roślina, nie może nigdzie się ruszyć, a że ma jad i uwielbia ludzkie mięso... to tylko szczegół. A Śmierciana musiał się bać nawet sam hrabia, bo uwięził go pod tą kratą. Większość dusz mogła łązić po cmentarzu, pokazywać się zwiedzającym, ale nie on. Zresztą w nocy, jak go zobaczysz, to dostaniesz gęziej skórki. Ma coś takiego w tych swoich ślepiach, że słowo dają. Nawet zarządcę przyprawia o ciarki. No i to on zabił Kalisterona.

– Tego mrocznego dziedzica sprzed stu lat, który został rozszarpany? – dopytałem.

Samson stuknął palcem wskazującym w bok swojego nosa.

– To był jeden jedyny raz, kiedy Śmierciana uwolnił się ze swojego grobu – przyznał. – Co prawda Kalisteron to też był ponoć kawał wrednego dziada i nikt po nim nie płakał, ale nikomu nie życzyłbym takiej śmierci. Czyli pamiętaj: najpierw sprawdzasz kratę z każdej strony – dodał lekkim tonem. – Później upewniasz się, że bolce nie zardzewiały. Jak choćby jeden z nich wyda ci się podejrzenie słaby, od razu lecisz po pomoc. W stróżówce przy bramie mamy dodatkowe pręty, kraty i wszystko inne potrzebne do zabezpieczenia grobu.

– Zapamiętam. – Pokiwałem głową.

Wróciliśmy na ścieżkę, przeszliśmy kilka metrów i znów zagłębiliśmy się w zarośla. Pod moimi stopami zachrząścił morski piasek. Roch wrywał z niego jakieś chwasty.

– Glarius plażę sobie zrobił? – zagadnąłem, a zarządca pokręcił głową, jakby miał do czynienia z idiotą.

– To na Pszczelarza – wyjaśnił Samson, wskazując całkiem sporą kamienną kryptę znajdującą się na samym środku tej plaży. Piasek przy niej był poczerniały.

Już cisnął mi się na usta jakiś komentarz o miodzie, ale sobie odpuściłem.

– Pszczelarz jest łatwopalny, co nie? – ciągnął rękodajny. – Wygląda trochę jak taka woskowa figura, która zaczęła się topić. Stąd chyba jego ksywka. – Zmarszczył brwi i podrapał się po brodzie. – Kawał skurczybyka z niego. Mógłby cię spopielić w kilka sekund. Ale jak wylezie z krypty i przejdzie się po tym piachu, to jego ogień tak jakby trochę przygasa...

– Dlatego jak tylko zobaczysz jakąkolwiek roślinę, która przebiła się przez piach, od razu ją wyrywasz – powiedział Roch.

Zanotowałem sobie w głowie. Skoro oni odczuwali respekt przed całym tym Pszczelarzem, to i ja nie zamierzałem go nie doceniać.

Ruszyliśmy dalej, aż dotarliśmy do niewielkiej, cuchnącej sadzawki. Bił od niej taki smród, że aż w oczach zakręciły mi się łzy.

– Bogowie, co to? – zapytałem, mrugając powiekami.

– Bagniak – odparł Samson, który zdawał się zupełnie nieczuły na ten okropny zapach. – Uważaj! – Szarpnął mnie za ramię, aż poleciałem do tyłu.

– Dotknął czegoś?! – zapytał zdenerwowany zarządca.

– Nie wiem! – Samson opadł na kolana i zaczął w skupieniu oglądać kamienie na ziemi.

– Nadepnałem tylko na jeden kamyk – odezwałem się, nie mając pojęcia, dlaczego tak się wkurzyli.

– Na ten? – Rękodajny wskazał mały otoczek.

– Nie, ten jasny. – Wyciągnąłem w jego stronę rękę.

– Nie dotykaj! – wrzasnął Samson.

– Ale o co chodzi? – Nie rozumiałem.

– Bagniak ma manię zbierania kamulców – wyjaśnił rękodajny. – Układa je sobie w różne stosy i wzory.

– I wpada we wściekłość, jak ktoś zepsuje jego twórczość – dodał zarządca.

Uważnie przyjrzałem się moim towarzyszom, upewniając się, że nie stroją sobie ze mnie żartów.

– Jaja sobie robicie?

Ich miny były wręcz śmiertelnie poważne. Wzruszyłem więc ramionami i przełożyłem jasny kamyk tak, jak był wcześniej.

– Na sto procent dokładnie tam leżał? – Samson wyglądał, jakby zaraz miał wpaść w panikę. – A nie trochę w lewo?

– Jest tak, jakby mnie tu w ogóle nie było.

Dopiero teraz zauważyłem, że cały błotnisty teren wokół sadzawki został oczyszczony z wszelkich liści i patyków. Leżało tam za to mnóstwo kamieni o najróżniejszym kształcie i kolorze. Niektóre były poukładane w niewielkie stosy, inne we wzory tworzące całe mnóstwo spirali.

– Ostatnio chłopak ma świra na punkcie kółek – podsumował Roch.

– Najgorzej było, jak układał kamienie w takie wieżyczki, jeden na drugim – dodał Samson. – Wystarczyło, że Rogacz przebiegł obok, ziemia się zatrzęsała, kamienie pospadały, a Bagniak wariował przez kilka następnych nocy. Raz prawie utopił Olafa w tej swojej sadzawce, kiedy ten chciał odbudować jedną z jego konstrukcji.

Wodziłem wzrokiem od zarządcy do rękodajnego. Kwiaty gustujące w ludzkim mięsie, krwiożerczy zbrodniarz, łatwopalny woskowy stwór i potwór z bagien, który układał z kamieni instalacje artystyczne... Trudno było mi ogarnąć to wszystko. A przecież to dopiero początek.

Później dotarliśmy do grobu w postaci pięknie zdobionej krypty z kolumnkami i rzeźbionymi drewnianymi drzwiami. Cały ten budynek i kawałek przylegającego do niego terenu były ogrodzone ostrokołem.

– Hugo jest powolny, ale to największy entuzjasta uciezek na całym cmentarzu – odezwał się Roch.

– I to coś ma go powstrzymać? – powątpiewałem, sprawdzając ogrodzenie, które wcale nie sprawiało wrażenia solidnego.

– Jeszcze sól – dodał Samson, a Roch wyciągnął ze swojej torby woreczek z białymi drobkami.

Dopiero teraz zauważyłem białą ścieżkę usypaną pod ostrokołem.

– Codziennie trzeba uzupełnić wszelkie ubytki – powiedział zarządca, biorąc się do pracy.

– Bo inaczej będziemy się uganiać za głupim ślimorem po całym cmentarzu. – Samson pokręcił głową.

– Ślimorem? – powtórzyłem mechanicznie.

– Kojarzysz takie ślimaki bez muszli, co zżerają uprawy?

Pokiwałem głową, choć totalnie nie kojarzyłem. Byłem przecież chłopakiem z miasta. Znałem się prędzej na szczurach i karaluchach niż

na ślimakach.

– No to wyobraź sobie takiego ślimora, tylko tysiąc razy większego. I z oczami na czułkach, czy co to tam jest.

Mama zawsze powtarzała, że mam bujną wyobraźnię, ale w tym przypadku akurat mnie zawiodła.

Roch wyprostował się i spojrział na słońce wiszące nisko nad horyzontem, przeświecające przez wysokie drzewa.

– Zaraz zrobi się ciemno, a ci plotkują jak baby nad grochem – burknął i ruszył dalej jasną ścieżką.

Samson z zapałem pokiwał głową.

– Rzeczywiście powinniśmy przyspieszyć, co nie? – stwierdził.

Moją uwagę przykuła krypta w kształcie miniaturowej wieżyczki na planie ośmiokąta. Zbudowana z piaskowca, przykryta ciemną kopułą, z szerokim wejściem ozdobionym kolumnami.

– A tam kto mieszka? – zainteresowałem się.

– Nikt. – Samson wzruszył ramionami. – Ta krypta jest pusta. Zresztą jak jeszcze kilka innych.

Zmarszczyłem brwi.

– Czyli jakieś dusze jednak opuściły ten cmentarz?

Rękodajny wybuchł krótkim, urywanym śmiechem.

– Żadna dusza nie uwolniła się spod jarzma Glariusza ani jego potomków.

Poczułem się trochę urażony, kiedy zdałem sobie sprawę, że ja również zaliczam się do tych potomków.

– Hrabia nie zdążył po prostu zapełnić wszystkich krypt – wyjaśnił Samson. – Chyba szukał kogoś wyjątkowego, żeby go tam pochować, ale nie zdążył, bo mu się zmarło.

Kolejną „atrakcją”, która na mnie czekała, był nagrobek przedstawiający piękną kobietę leżącą na ziemi z rozwianymi włosami. Byłem pod wrażeniem tego, jak artyście udało się uchwycić każdy szczegół kobiecego ciała, łzę zawieszoną w kącie oka i te gęste włosy wijące się wokół jej głowy.

– Niezła, co? – zagadnął Samson.

Przytaknąłem. Nawet Penelopa mogłaby pozazdrościć jej wyglądu.

– Mówimy na nią Piękna – powiedział rękodajny. – Ale jej dusza nieco odbiega od tego ideału.

Oderwałem wzrok od rzeźby i skupiłem się na poczynaniach Rocha. Zarządca podszedł do pnia drzewa, które było ucięte na wysokości pasa. Leżała na nim metalowa misa, do której mężczyzna wrzucił kawał cuchnącego surowego mięsa.

– Jak się naje, to jest spokojna przez całą noc – rzucił. – Dobra, dokończę resztę sam, ty – zwrócił się do rękodajnego – zabierz dziedzica do dworku i przed nocą wróć tu z Olafem.

– Mam wrócić do domu, podczas gdy wy będziecie pilnować cmentarza? – zdziwiłem się. – Myślałem, że ja też...

– To źle myślałeś – burknął Roch. – Już, jazda mi stąd!

– Chodźmy. – Samson pociągnął mnie za łokieć.

Przez ułamek sekundy zastanawiałem się, czy nie zaprotestować, ale w końcu ruszyłem za rękodajnym. Skoro chcieli sami ryzykować, a mnie odsyłali do bezpiecznego łóżka, to co miałem się wściekać?

Wkrótce opuściliśmy cmentarz i nagle poczułem się znacznie lepiej. Zupełnie jakby za tamtą bramą dopadała mnie jakaś dziwna depresja.

– Roch nie chce ryzykować, że coś ci się stanie – odezwał się Samson w drodze do dworku.

– Wczoraj jakoś mu to nie przeszkadzało – zauważyłem.

– Wczoraj nie miał pewności, że jesteś dziedzicem.

– Przecież notariusz...

– Mógł się pomylić – wszedł mi w słowo. – A my wszyscy powierzylibyśmy tobie życie, co nie?

– To co, od tej pory będę chodził na cmentarz tylko za dnia, jak dziś? – zastanowiłem się. – A raz w tygodniu Roch utoczy mi krwi w kapliczce?

– Może. – Samson wzruszył ramionami. – A może nie wie, jak dziś dusze zareagują na nowego dziedzica, i woli, żeby nie zabiły cię na dzień dobry.

Pokiwałem głową, przechodząc nad większą kępą trawy. Takie tłumaczenie do mnie docierało i nie zamierzałem się z nim sprzeczać.

Weszliśmy do dworku. W hallu powitała nas Irys.

– Zaraz przygotuję kolację w jadalni – zapewniła.

– Ty już jadłeś? – zwróciłem się do Samsona.

– Nie, właśnie idę do kuchni.

– To ja też zjem w kuchni – postanowiłem. – Nie musisz nosić jedzenia do jadalni – oświadczyłem Irys.

– Ale... – bąknęła, nie wiedząc, co powiedzieć.

– Właśnie razem zabezpieczaliśmy cmentarz. – Klepnałem rękodajnego w łopatkę. – Niby dlaczego mielibyśmy jeść w osobnych pomieszczeniach? Chyba że znów zamierzacie zaserwować mi spleśniały twaróg?

– Nie, oczywiście, że nie. – Pokręciła głową.

Przeszliśmy przez salę balową i jadalnię, po czym ruszyliśmy wąskim korytarzem ku kuchni.

– W razie czego niech Dalia też przyjdzie do nas – rzuciłem przez ramię.

– Ona ma teraz twórczy atak – odparła dziewczyna. – Przez kilka dni nie będzie wychodziła ze swojej pracowni i trzeba tam donosić jej jedzenie, bo inaczej chyba padłaby z głodu.

Kusiło mnie, żeby rzucić, że artyści to inny gatunek człowieka, ale oni wszyscy tutaj tak uwielbiali Dalię, że sobie odpuściłem.

Alma zaserwowała nam na kolację jajecznicę z cebulą i skwarkami. Do tego podała jeszcze świeży chleb z masłem. W kuchni pojawili się kolejni mieszkańcy dworku. Przykuśtykał nawet Norman, zapewniając, że noga wcale już go nie boli. Ciekawe tylko, dlaczego krzywił się przy każdym kroku.

Samson zdał kolegom relację z naszej wizyty na cmentarzu i zapewnił, że to będzie spokojna noc, ale w ich spojrzeniach widziałem niedowierzenie. Przez cztery lata radzili sobie bez dziedzica i nie do końca wiedzieli, czego się spodziewać na cmentarzu po jego przybyciu.

Tego wieczoru nie zgarnąłem do kieszeni żadnego jedzenia na później. Uznałem, że jeżeli zgłodnieję w nocy, to jako dziedzic będę mógł wejść do kuchni i zjeść, co tylko zapragnę. Było to dla mnie całkiem nowe, ale przyjemne odczucie. Jednak kiedy tylko wziąłem prysznic we własnej łazience, pobieżnie obejrzałem prawie już wygojone stare rany, położyłem się do łóżka i zasnąłem niemal natychmiast. I wcale nie śniły mi się potwory z bagien ani z mrocznych krypt.



# Rozdział 14

Z dziennika Anzelma:

*Zdaje się, że są pewne czynniki wpływające na to, jaką postać przybierze dusza po śmierci osoby. Wiążą się z tym skrajne emocje i uczucia. To, czego całym sercem nienawidzimy lub czego panicznie się boimy. Dusze mogą również być prześladowane przez własne zbrodnie. Lecz zdaje się, że najbardziej okrutnym żartem ze strony boga Asazana jest wzięcie jako pierwowzoru tego, co najbardziej kochamy i cenimy, a później wypaczenie tego w sposób tak karykaturalny, że ledwie można poznać pierwotną formę. Weźmy na przykład szlachcica Anatola. Po bardzo długich obserwacjach i licznych, praktycznie jednostronnych rozmowach udało mi się wywnioskować, że przybrał postać swojego ukochanego psa Corsa – wilczura, który był najwierniejszym przyjacielem swojego pana. Teraz jednak trudno by się doszukiwać w wyglądzie duszy łagodnego czworonoga. Jego postać została zmieniona w okrutną i krwiożerczą bestię, tylko dodając pokutnikowi cierpienia.*

Oderwałem wzrok od dziennika i przetarłem zmęczone oczy. Zerknąłem na zegarek stojący na biurku. Siedziałem w gabinecie już kilka dobrych godzin. Śniadanie zjadłem w kuchni razem ze służbą, dowiedziałem się od nich, że noc na cmentarzu przebiegła w miarę spokojnie. W każdym razie zarówno zarządca, jak i dwaj rękodajni cali i zdrowi wrócili o świcie do dworku.

Irys znów przyniosła mi kawę. Tym razem pamiętała, żeby dać mi porządny, przynajmniej półlitrowy kubek. Widniał na nim napis: *Najlepszy ogrodnik na świecie*. Aha, czyli zwinęła naczynie Konrada.

Do tego były jeszcze ciasteczka na ozdobnym spodku. Niestety, kiedy służąca przesuwała kubek z kawą, talerzyk wyleciał jej z rąk i roztrzaskał się na podłodze. Kilka ciasteczek poturlało się w dal.

– O nie! – jęknęła dziewczyna.

– Nic się nie stało – rzuciłem i schyliłem się, żeby pomóc pozbierać szkło.

– Nie, bo się pan jeszcze pokaleczy. – Odsunęła moje ręce i zaczęła zgarniać odłamki na dłoń. – Aua! – syknęła nagle, gwałtownie cofając palce.

– No i kto się pokaleczył? – odezwałem się. – Pokaż.

Złapałem ją za rękę i obejrzałem rozcięty palec. Nie zauważyłem w nim resztek szkła. Służąca niespodziewanie pociągnęła nosem.

– Ej, nic się stało – powiedziałem, gdy w jej oczach pojawiły się łzy. – Zaraz to opatrzymy...

– Nic mi nie jest – załkała, owijając palec w chusteczkę. – Tylko znowu coś potłukłam! Pani Aster się wścieknie!

– Za ten talerz? – zdziwiłem się. – I tak nie był ładny.

– Ale ja ciągle coś tłukę albo niszczę!

– Zwal to na mnie. – Szybko pozbierałem odłamki szkła i pokruszone ciastka do kosza stojącego obok biurka (choć tych ostatnich to trochę było mi szkoda). – Powiedz, że to ja rzucam zastawą.

Płacząca Irys przypominała skarconego szczeniaka i człowiek za wszelką cenę chciał ją pocieszyć.

– Nie umiem kłamać – jęknęła, odgarniając jasne włosy z czerwonej twarzy.

– To nic jej nie mów. Na pewno macie więcej talerzy, nie doliczy się tego jednego – zapewniłem, choć wcale bym się nie zdziwił, gdyby się okazało, że ochmistrzyni ma policzone co do jednego wszystko w dworku. Nawet łyżeczki.

– I nie wyda mnie pan? – Irys popatrzyła na mnie wielkimi, mokrymi szarymi oczami.

– Nie ma takiej opcji – zapewniłem.

– Dziękuję!

Objęła mnie, po czym zawstydzona uciekła z gabinetu. Pokręciłem głową i usiadłem z powrotem za biurkiem, kiedy drzwi uchyliły się lekko, po czym pojawiła się w nich ruda głowa przewiązana szmaragdową apaszką.

– Czy wyczuwam kawę? – zagadnęła Dalia.

– Zapraszam. – Wstałem i dostawiłem jej krzesło. Na szczęście miałem jeszcze jedną czystą filiżankę z poprzedniego dnia, do której nalałem kawy.

– Co Irys znowu nabroiła? – zapytała, zajmując miejsce.

– Nic takiego. – Machnąłem ręką. Owionął mnie ciężki zapach kwiatowych perfum.

Dalia wymownie spojrzała na kosz, w którym pobłyskiwały szczątki nieszczęsnego talerza.

– Ta dziewczyna to złoto, ale ma dziurawe ręce. – Uśmiechnęła się.

– Długo tu pracuje?

– Jakies sześć lat. – Przymrużyła powieki, jakby liczyła skomplikowane równanie.

– Rodzice nie posłali jej do szkoły? – zdziwiłem się.

Niby istniał obowiązek wysyłania dzieci do szkoły, ale wiadomo, jak w domu bieda aż piszczy, to nawet dzieciaki muszą pracować.

– Jej rodzice nie żyją. – Artystka ze smutkiem pokręciła głową.

Uniosłem brwi. W życiu bym się nie domyślił, że Irys to sierota. Może dlatego, że była tak różna ode mnie?

– Jej mama zmarła przy porodzie – wyjaśniła Dalia. – Zajmował się nią ojciec, ale to był stary pijak. Co zarobił, to przechlał, więc dziewczynka chodziła w starych, podartych ubraniach, a może nawet by głodowała, gdyby ludzie ze wsi nie podrzucali jej jedzenia.

– Biedna... – westchnąłem.

Wesoła Irys wcale nie wyglądała na kogoś, kto miał tak przykre doświadczenia w dzieciństwie.

– Aż pewnej zimy sześć lat temu jej ojciec się napił, usnął w rowie przy drodze i już się nie obudził – zakończyła Dalia.

– Wtedy ściągnęliście ją do dworku?

– Nie do końca. – Zacmokała. – Po kilku dniach zjawili się urzędnicy, którzy zamierzali zabrać ją do domu dziecka, ale przecież Irys była tutejsza, nikt nie chciał, żeby wywieźli ją nie wiadomo gdzie... Chcieliśmy zatrudnić ją w dworku, ale była nieletnia, i tutaj pomógł nam trochę Nester.

– Notariusz? – Zrobiłem wielkie oczy.

– Znalazł jakieś dokumenty potwierdzające dalekie pokrewieństwo między Irys a Aster i dziewczynka mogła zamieszkać z nami. A odkąd rok

temu skończyła szesnaście lat, Aster może ją legalnie zatrudnić i Irys dostaje swoją pensję.

*Kolejny przekręt naszej ochmistrzyni* – cisnęło mi się na usta, ale ugryzłem się w język. No i te dokumenty notariusza też śmierdziały ściemą. Ale co ja się będę w to mieszał...

– A zmieniając temat, jestem pod wrażeniem – powiedziała Dalia.

– Pod wrażeniem czego? – zapytałem, biorąc łyk chłodnej już kawy.

– Ciebie – odparła lekko. – Jesteś dziedzicem zaledwie od trzech dni, a już byłeś na cmentarzu i zdążyłeś zakopać się w dziennikach Anzelma. – Wskazała brodą liczne książki rozrzucone na biurku.

– Lubię znać swojego wroga. – Wzruszyłem ramionami.

– Wroga? – zdziwiła się. – A czymże te biedne duszyczki zasłużyły sobie na takie miano?

Takiego pytania się nie spodziewałem.

– Prawie oderwały nogę Normanowi? – zasugerowałem, nieco naciągając prawdę.

– Bo nie patrzył, po czym depcze! – Machnęła ręką. – Flora wcale nie jest aż taka groźna.

– Dużo wiesz o tych duszach? – zagadnąłem od razu.

– Tyle, co każdy z dworku.

– A co mi powiesz o... – spojrzałem w notatki – o Anatolu?

– Ach, biedaczysko! – Przyłożyła dłoń do piersi. – Zamienił się we własnego, wynaturzonego psa – westchnęła ze smutkiem.

Nie wiem, kiedy ostatni raz była na cmentarzu i czy w ogóle kiedykolwiek, ale w jej głosie kryło się współczucie dla tych dusz!

– Kim był ten Anatol?

– Ubogim szlachcicem – odparła, a jej wzrok się zamglił. – Szlachcicem, hazardystą, przyjacielem Glariususa...

– Glariususa? – zdziwiłem się. – Myślałem, że on nie miał przyjaciół.

– Ależ miał! I to wielu! Hrabia był... – Zawiesiła głos, jakby szukała odpowiedniego określenia. – Czarującym człowiekiem. Światłym, żądnym przygód; każdy chciał znaleźć się w wąskim gronie jego znajomych.

– Coś mi tu nie gra – mruknąłem cicho.

– Właśnie taki był Glarius! – zapewniła. – Gdy tworzył cmentarz, wszyscy byli zachwyceni! Taka atrakcja! A przy okazji mógł pomóc tym biedakom, których nie było stać na godny pochówek. Pomysł zakładał, że po śmierci

odbędą swoją pokutę na cmentarzu osobliwości, a niedługo później będą mogli cieszyć się bogatym życiem pozagrobowym. Wszyscy na tym wygrywali.

Prychnąłem cicho, ale zdawała się tego nie usłyszeć.

– Anatol sam do niego przyszedł – podjęła opowieść. – Wtedy nie miał już nic. Ani domu, ani żony, ani dzieci. Został mu tylko ten jego ukochany pies i tytuł szlachecki. Mieszkał kątem w Lawendowym Dworku i ubłagał Glarius, żeby podpisał z nim pakt. Liczył, że jego kara na ziemi będzie krótka, i prosił o pochówek wraz ze swoim psem...

– Ale nie zakopali zwierzaka żywcem...? – przerwałem jej.

– Nie. – Potrząsnęła głową. – Pies odszedł dwa lata przed swoim właścicielem i został pochowany w ogrodzie przylegającym do dworu. W każdym razie Anatol i Glarius podpisali pakt. A niedługo potem Anatol podupadł na zdrowiu, aż odszedł spokojnie we własnym łóżku. Hrabia kazał wtedy wykopać szczątki psa z ogrodu i pochował swojego przyjaciela na cmentarzu wraz z czworonogiem i licznymi kosztownościami.

– To co poszło nie tak? – zainteresowałem się.

Bo coś musiało pójść nie tak, skoro ubogi szlachcic pokutował aż do teraz.

– Glarius go oszukał – przyznała ze smutkiem Dalia. – Owszem, dał mu do trumny mnóstwo złota i kamieni szlachetnych, i nawet szczątki psa. Ale podejrzewamy, że po kryjomu zmienił jakiś zapis w pakcie i skazał biedaka na tak długą pokutę.

– Mów sobie, co chcesz – odezwałem się – ale ten cały Glarius to był kawał chuja.

Artystka podniosła na mnie wzrok, jakby dopiero teraz mnie dostrzegła.

– Przecież nikt nie mówi, że było inaczej. Gdybym tylko otrzymała szansę, żeby stanąć z nim oko w oko... – westchnęła. – To wbiłabym mu nóż prosto w serce.

Odchyliłem się na krześle i zapatrzyłem na słupek jesiennego światła wpadający do gabinetu oraz na wirujące w nim drobinki kurzu. Nie spodziewałem się po Dalii takiego wyznania. Zresztą tak naprawdę nie znałem nikogo z dworku. Na pierwszy rzut oka oni wszyscy zdawali się prostymi ludźmi. Dopiero gdy zacząłem lepiej ich poznawać, okazywało się, że każdy z nich ma swoją historię do opowiedzenia.

Dalia dopiła kawę i zostawiła mnie samego z własnymi myślami. Założyłem ręce za kark i rzuciłem spojrzenie na dzienniki Anzelma, których jeszcze nie przeczytałem. Czekał mnie naprawdę kawał roboty, a jednocześnie czułem dreszczyk emocji na samą myśl, czego jeszcze dowiem się o cmentarzu osobliwości hrabiego Muertona...

– Ty znowu przy książkach?! – Do gabinetu wpadł Roch, przerywając moje rozważania.

– Nawet nie wiesz, czego... – zacząłem.

– Zostaw to w cholerę i chodź ze mną – polecił.

Zerwałem się z fotela i tęsknym wzrokiem rzuciłem jeszcze na dzienniki, po czym popędziłem za zarządcą.

Byłem pewien, że dziś znów pójdziemy na cmentarz, że opowie mi o kolejnych duszach i o tym, jak trzymać je w ryzach, ale gdy tylko dotarliśmy do bramy, Roch skręcił w lewo.

– O, tu masz to cholerstwo – odezwał się.

– To znaczy?

– No to! – Schylił się i wyrwał z ziemi niepozorną roślinkę. – Ten przeklęty cmentarny bluszcz uwielbia wspinać się na mury!

– Taaak? – zapytałem przeciągle.

– No i trzeba go usuwać co najmniej kilka razy w roku! – wybuchł.

Powiodłem wzrokiem wzdłuż zakrzywionej ściany muru. Dopiero teraz dostrzegłem całą masę łodyg bluszczu wspinających się na cegły.

– Ale po co?

– Bo jak tego nie zrobimy, dziadostwo wespnie się na szczyt muru!

– No i?

Roch sapnął ze złością, jakby miał do czynienia z totalnym idiotą.

– No i każdy baran będzie miał łatwą drogę, żeby wejść na mur, a jak bluszcz zacznie schodzić po drugiej stronie, to...

– Dusze będą mogły wyjść? – zapytałem.

– Otóż to! A tego przecież nie chcemy, prawda? – Przyjrzał mi się uważnie.

– Nie chcemy. – Pokręciłem głową. – Ale od tego chyba są ludzie? – zasugerowałem.

– Tak, ty.

– Ale rękodajni... – zaprotestowałem.

– Oni się nie nudzą nad książkami! Do wieczora cały bluszcz ma być usunięty i rzucony na jedną kupę gotową do spalenia! A kiedy zapadnie zmrok, masz być w dworku!

Zarządca odwrócił się na pięcie i po prostu odszedł, zostawiając mnie z nieprzyjemną perspektywą pielenia bluszczu. Schyliłem się i spróbowałem wyrwać z ziemi łodygę, która stawiała całkiem spory opór.

– To chyba nie uchodzi dziedzicowi – stwierdziłem, ale nie było w pobliżu nikogo, kto by mi przytaknął.

Wzruszyłem ramionami i zabrałem się do pracy. Słońce nieźle przygrzewało i miałem wrażenie, że kark zaczął mnie piec. Wkrótce bolały mnie już ramiona i nogi od ciągłego kucania i schylania się. A skóra moich dłoni była poprzecinana od łodyg, które wcale tak łatwo nie chciały ustąpić. Żałowałem, że nie wziąłem żadnych rękawiczek. Tak swoją drogą, Roch mógł mnie uprzedzić, co będę robił. Przynajmniej wtedy zostawiłbym tę moją szablę w dworku, a nie chodził z nią jak jakiś napuszony pawian!

– Jesteś nowym dziedzicem, prawda? – Niespodziewanie usłyszałem lekki głos.

Gwałtownie się wyprostowałem, aż strzeliło mi w plecach. Nieopodal na wielkim polnym kamieniu siedziała na oko dwunastoletnia dziewczynka.

– A ty to kto? – zapytałem.

– Jestem Opal. – Zgrabnie zeskoczyła z kamienia, podeszła do mnie i wyciągnęła do mnie rękę.

Zignorowałem ją i zapatrzyłem się na kolejne łodygi tego przeklętego bluszczu. Czekał mnie jeszcze kawał roboty, a słońce znajdowało się coraz niżej nad horyzontem. Schyliłem się i z trudem wyrwałem chwast z ziemi.

– Źle to robisz – usłyszałem.

– A ty nie powinnaś być w szkole? – zezłościłem się.

– Mamy wolne.

– No to w domu – burknąłem.

– Jeszcze nie jest ciemno.

Chciałem wyrwać następną łodygę, ale ta tak mocno trzymała się w ziemi, że tylko zerwałem z niej wszystkie liście i poczułem piekący ból we wnętrzu dłoni.

– Kurwa!

– Mówiłam, że źle to robisz – odezwała się buńczucznie dziewczynka.

– To proszę! Zaprezentuj mi, jak powinno się pielić! – Wyprostowałem się i machnąłem w stronę kolejnego bluszczu.

Opal przykucnęła, złapała łądygę tuż przy ziemi dwoma palcami, zakręciła nią lekko i wyciągnęła, jakby ta nie stawiała żadnego oporu.

– Proszę bardzo. – Podała mi bluszcz.

Spojrzałem na chwast we własnej dłoni, a później na dziewczynkę.

– Jakim cudem? – wydukałem.

– Bluszcz nie lubi przemocy – odparła ze wzruszeniem ramion. – Trzeba być delikatnym, zakręcić jego łądygą w kierunku wskazówek zegara i praktycznie sam wychodzi z ziemi.

Spróbowałem jej sposobu i okazało się, że naprawdę działał! Bogowie, gdybym wiedział o tym od początku, to już dawno siedziałbym w dworku i zajadał się podwieczorkiem! Wziąłem się do pracy ze zdwojoną siłą, mając w perspektywie szybkie zakończenie jej.

– Słyszałam, że jesteś z miasta. – Opal szła krok w krok za mną z dłońmi założonymi za plecami. Wiatr delikatnie muskał jej jasnoróżową sukienkę do kolan.

Spojrzałem kątem oka na białe podkolanówki i czarne półbuty. Matko, najwyraźniej moda nie docierała na prowincję i ubierali biednego dzieciaka w stroje sprzed trzydziestu lat.

– Zawsze chciałam zwiedzić choć kilka miast – ciągnęła dziewczynka. – Ale mój tata jest temu przeciwny. Mamę to jeszcze bym namówiła, ale tata jest taki obowiązkowy, że nie może opuścić ani jednego dnia w pracy.

– Aha – mruknąłem, prawie wcale jej nie słuchając.

– A nasza wieś jest taka mała! – westchnęła teatralnie.

Kolejne łądygi bluszczu niemal same wychodziły z ziemi pod wpływem mojego dotyku. Odrzucałem je na kolejne kupki, których nie miałem zamiaru ręcznie przenosić. Jutro każę tu przyjść ogrodnikowi z taczka i zwieźć je w jedno miejsce.

– No i też nie mogę chodzić do Lawendowego Dworku, a chciałam poznać nowego dziedzica! – zakończyła Opal z entuzjazmem.

– A więc jestem tu w całej okazałości – rzuciłem ironicznie, ocierając brudną dłonią spocone czoło.

– I dobrze, bo na cmentarzu panowała straszna nuda! – powiedziała.

– Ej, ale ty chyba nie chodzisz na cmentarz? – zapytałem.



– Oczywiście, że nie, tata mi zabrania. – Wydęła czerwone usta i skrzyżowała przedramiona na klatce piersiowej. – A mogłabym wam pomóc – zapewniła. – Wiem wiele rzeczy o duszach – powiedziała buńczucznie, zatykając kosmyk kruczoczarnych włosów za ucho.

– Na przykład co? – zapytałem odruchowo.

– Na przykład to, że Rogacz jest uczulony na przedzimki.

Wyprostowałem się i uważnie przyjrzałem poważnej twarzy mojej rozmówczyni.

– Kto jest uczulony na co?

– Rogacz na przedzimki. Nie znosi ich zapachu.

– Co to, u licha, są przedzimki?

Opal zakręciła się wokół własnej osi. Zarówno jej sukienka, jak i włosy zafalowały na wietrze.

– One są wszędzie, nie widzisz ich?

Rozejrzałem się po zarośniętej łące.

– O, proszę bardzo. – Zerwała kilka małych, intensywnie fioletowych kwiatków. – Kwitną tuż przed nadejściem zimy. – Wcisnęła mi je w rękę.

Obejrzałem je i powąchałem. Ot, zwykłe rośliny.

– Nie wyrzucaj ich! – krzyknęła, kiedy odwróciłem dłoń i powoli opadły ku ziemi. – Jeszcze ci się przydadzą! – Pozbierała je i zaczęła zrywać kolejne, po czym wcisnęła całą garść do kieszeni mojej bluzy.

Wzruszyłem ramionami. Gorsze rzeczy nosiłem po kieszeniach.

Wróciłem do pracy, a Opal cały czas szła za mną i memlała jęzorem. Dosłownie. Buzia nie zamykała jej się na chwilę, a ja wpuszczałem jej słowa do głowy jednym uchem i natychmiast wypuszczałem drugim. Aż w pewnej chwili okazało się, że dotarłem do bramy cmentarza. Okrążyłem cały mur i skończyłem tę cholerną mozolną pracę! Gdyby plecy tak mnie nie bolały, chyba zawyłbym z radości.

– Ja wracam do dworku, a ty? – zagadnąłem.

Dziewczynka spuściła wzrok.

– Muszę iść do domu – odparła.

Zerknąłem na słońce chowające się za horyzontem.

– Odprowadzić cię? – zapytałem.

– Nie, to blisko. Mieszkam o tam, w domku na skraju lasu. – Machnęła za siebie dłonią.

– Jak chcesz. – Wzruszyłem ramionami.

– To do zobaczenia – powiedziała i ruszyła w swoją stronę, lecz po kilku krokach nagle się odwróciła. – Tylko nie mów nikomu, że z tobą rozmawiałam!

– Dlaczego?

– Bo będę miała kłopoty! – Uśmiechnęła się na pożegnanie i pobiegła przez łąkę usianą fioletowymi kwiatkami.

# Rozdział 15

Gdy tylko dotarłem do dworku, od razu skierowałem się do kuchni.

– Wrócił dziedzic! – oświadczyłem na progu pustego pomieszczenia. – Wykonał ważną misję wypielenia bluszczu.

Rozejrzałem się po blatach. Kuchnia była chyba jedynym tak naprawdę czystym miejscem w dworku. Do mojego przyjazdu cała służba pewnie przesiadywała tylko tutaj, więc olali sprzątanie pozostałych pokoi. Otworzyłem wielką, starą lodówkę i zagwizdałem z podziwem.

Gdy mieszkałem w mieście, w ogóle nie używałem lodówki, bo tylko niepotrzebnie zżerała drogi prąd. A żywiłem się głównie konserwami, które nie wymagały chłodu. Czasem zjadłem coś w tanim barze na mieście, czasem wyżebrałem coś od Heli, a czasem opróżniałem po cichu spiżarkę Diogenesa.

Teraz zaś stałem przed moją własną lodówką w moim własnym dworze i nie miałem pojęcia, co wybrać. Szynka, ser, twaróg, dżem, śledzie w occie... Sięgnąłem w końcu po słoik pełen czegoś, co wyglądało na pasztet przykryty grubą warstwą białego tłuszczu. Odkręciłem pokrywkę i zajrzałem do środka, po czym nabrałem tego cuda na końcówkę noża i spróbowałem.

– Jeszcze trochę tu pomieszkam, a nikt w mieście mnie nie rozpozna, tak się roztyję – stwierdziłem, ale tak naprawdę wcale się tym nie przejmowałem.

Moi rodzice nigdy nie oszczędzali na jedzeniu dla mnie, ale nie oszukujmy się, byli biedni i nieraz sami nic nie jedli, żebym ja mógł napełnić brzuch. Niestety zrozumiałem to za późno i nigdy nie zdążyłem im za to podziękować. Ciotka za to ciągle gotowała paskudny kapuśniak i inne

zupy na samych kościach. Dosłownie samych kościach, bez odrobiny mięsa, a jeśli miałem szczęście, to pozwalała mi chociaż wysssać szpik. U Diogenesa jadłem nieco lepiej, ale z czasem przestałem przywiązywać wagę do własnego talerza. Głód był czymś, co towarzyszyło mi bardzo często, więc po prostu nauczyłem się go ignorować.

Usiadłem na krześle i oparłem nogi o ławę. W sumie udało mi się z tym dworkiem. Było tu jedzenie, miękkie łóżko i ktoś nawet prał moje brudne ciuchy. Całe to pilnowanie cmentarza też nie prezentowało się wybitnie niebezpiecznie.

Usłyszałem kroki na korytarzu; ktoś podśpiewywał sobie, strasznie fałszując.

Spiąłem wszystkie mięśnie, zjadłem pasztet z noża i poprawiłem chwyt na rękojeści, gotów się bronić... i nagle ponownie dotarło do mnie, że przecież to ja jestem tu panem na włościach. Nikt mnie tu nie zaatakuję ani nawet nie pogoni z kuchni.

Skrzypnęły drzwi i zobaczyłem w progu Almę z wiklinowym koszem pełnym warzyw. Zmarszczyła brwi, jakby nie spodziewała się mnie tutaj.

– Głodny byłem – rzuciłem wyjaśniająco.

Skinęła głową, po czym wymownie spojrzała na moje brudne buty na ławie. Mogę sobie być dziedzicem, ale nie wrednym sukinsynem, więc postawiłem stopy na podłodze.

– Wziąłem sobie pasztet – dodałem.

– Na zdrowie, po to to jest, żeby jeść – odparła.

Odprężyłem się i znów wsunąłem nóż do słoika.

– Co ty wyprawiasz?! – naskoczyła na mnie. – To znaczy: co pan wyprawia?!

– Jem? – Poczułem się totalnie zbity z tropu.

– Ale nie tym nożem! – Wyrwała mi go z rąk i wrzuciła do zlewu. – Nie życzę sobie w kuchni żadnych ostrz, które były na cmentarzu!

– Ale to tylko nóż i cały dzień miałem go za paskiem – zacząłem się tłumaczyć.

– Nic, co było na cmentarzu! – Pogroziła mi palcem.

To by było na tyle, jeśli chodzi o bycie panem na włościach.

Alma wyjęła z szuflady nóż do masła i mi go podała.

– Teraz niestety jemy skromnie – powiedziała, po czym zabrała się do obierania warzyw.

– Skromnie? – zdziwiłem się.

– Gmina wciąż usiłuje ciąć nasze pensje – wyjaśniła. – Za Tobiasza było znacznie lepiej, a za Salomona to ponoć już w ogóle... – rozmarzyła się. – Słyszałam o ciągłych balach, na stoły wjeżdżały bażanty, przepiórcze jaja... Raz Aster pokazała mi listę zakupów na taki jeden bal. O matko! – Kobieta machnęła rękoma. – Tyle jedzenia to my kupujemy na miesiąc!

– No i skąd Salomon miał na to pieniądze? – zapytałem, nadal delektując się pasztetem.

– Mówią, że był bardzo inteligentny. – Wzruszyła ramionami i zabrała się do obierania marchewki. – Jak do nas przyszedł, to miał na koncie okazały majątek. Inwestował w różne rzeczy, wiedział, jak wyciągnąć od gminy dodatkowe fundusze.

Uważnie zanotowałem w głowie jej słowa. W wolnym czasie będę musiał i to ogarnąć.

– Ilu dziedziców pamiętasz? – zainteresowałem się.

– Pracowałam tu tylko za Tobiasza, podczas bezkrólewia, jak to się śmiejemy, no i teraz, za czasów Maximusa. – Posłała mi szczery uśmiech. – Za czasów Salomona byłam zaledwie dzieckiem, a za Abła pracowałam w gospodzie w Pogorzeliškach.

– Jak oni zginęli? – zapytałem, ale kucharka nagle nabrała wody w usta.

Wiedziałem już, że Tobiasz został nabity na płot, a Kalisteron rozszarpany przez Śmierciana, ale podejrzewałem, że wszyscy poprzedni dziedzice kończyli w podobnie krwawy sposób. A to tylko upewniało mnie w przekonaniu, że powinienem jak najwięcej tu zaoszczędzić, pokorzystać z wygód oferowanych przez dworek i wynieść się stąd w cholerę, zanim ktoś lub coś mnie wykończy.

Gdy tylko zjadłem cały pasztet, a słoik wytarłem kromką chleba, udałem się do własnego pokoju. Nie chciało mi się tym razem kapać i w brudnych ciuchach padłem na łóżko.

Nie wiem, jak długo spałem. Co najmniej kilka godzin. Na zewnątrz zerwał się wiatr i słyszałem, jak świszczy na poddaszu. Wtem ze snu wyrwało mnie walenie do drzwi. Zerwałem się na równe nogi, gdy do pokoju wpadł Roch.

– Stało się coś? – zapytałem.

– Pewnie, że tak – odparł. – Twoja kolej na obchód cmentarza.

– Że co? – Przetarłem dłońmi zaspane jeszcze oczy.

– Obchód! Robimy go co najmniej dwa razy w ciągu nocy. No już! Ogarniaj się!

Wsunąłem stopy w buty i je zasznurowałem, a na ramiona zarzuciłem kurtkę.

– To nie można było mi wcześniej powiedzieć, że w środku nocy mam iść na jakiś obchód? – mamrotałem.

– Jesteś dziedzicem! Czego się spodziewałeś?!

– Odrobiny szacunku? – podpowiedziałem, ale zarządca wymaszerował z pokoju.

Kiedy tylko opuściliśmy ciepły dworek, poczułem na twarzy nieprzyjemnie chłodny wiatr, który zaczął szarpać moją kurtkę. Drogę na cmentarz pokonałszy zaledwie w dziesięć minut. Już chciałem rzucić komentarz na temat tego, jaki kawał dobrej roboty wykonałem z bluszczem, kiedy usłyszałem niepokojące zawodzenie. Trudno było porównać je do czegokolwiek, ale zdawało się nie pochodzić z tego świata i trącało jakąś strunę głęboko w duszy człowieka, wywołując natychmiastową chęć ucieczki.

– Niedobrze, organy grają – odezwał się zarządca, wsuwając klucz do kłódki.

– Jakie organy?

– Niedaleko kapliczki hrabia postawił takie ustrojstwo, które gra, kiedy jest wiatr...

– To ta dziwna kolczasta konstrukcja? – dopytałem.

Roch skinął głową.

– Oprócz tego, że strasznie fałszują, nie są niebezpieczne ani nic, tylko kiedy grają, wiadomo, że wiatr jest na tyle silny, że dusze też będą niespokojne. – Odwiązał łańcuch i spojrzał na mnie. – Gotów?

Wzruszyłem ramionami. Nadal nie miałem ochoty łązić po cmentarzu i chyba nigdy nie będę, ale nie zamierzałem się do tego przyznawać.

Zarządca otworzył bramę. Gdy tylko ją przekroczyłem, usłyszałem głuchy łomot.

– To tylko Drewniak się wkurza – wyjaśnił Roch.

– Aaa – mruknąłem, starając się nie wyjść na tchórza.

– Chodź. – Zarządca machnął ręką.

Chcąc nie chcąc, ruszyłem za nim. Mijaliśmy właśnie wielki kawał nieobrobionego granitu stojący niedaleko bramy, kiedy nagle zobaczyłem

na nim świecące oczy. Gwałtownie odskoczyłem w bok i wpadłem na Rocha.

– Co ty...?! – oburzył się.

– Tam coś jest! – syknąłem, wskazując głaz.

– No pewnie, że jest – burknął. – Przecież słyszałeś, że Cyntia jest niegroźna.

Podszedł do granitu, a ja powoli ruszyłem za nim. Dopiero teraz dostrzegłem, że na kamieniu leży zwinięty wąż. Uniósł leniwie wielki łeb i przypatrywał się nam z zaciekawieniem.

Mam nadzieję, że zaciekawieniem, a nie wrogością.

– Spokojnie, malutka. – Zarządca czule podrapał ją po szyi. – Jak na nią nie nadepniesz ani nie zrobisz nic innego głupiego, to Cyntia też ci nic nie zrobi.

– A jeślibym na przykład jej nie zauważył i jednak nadepnął? – zacząłem rozważać.

Wielkie węzowe ślepia skierowały się w moją stronę, rozdwojony język raz po raz wysuwał się z paszczy. Było w niej coś jakby pradawnego. Jakby od tysiąca lat wygrzewała się na tym kamieniu w świetle księżyca. Słodka zdawała się przy niej zaledwie małym, gadzim dzieckiem.

– To owinie się wokół twojego ciała i cię udusi – odparł lekko Roch. – Jeden rękodajny kiedyś przez przypadek ranił ją nożem. Owinęła się wokół jego ramienia i nie było szans, żeby puściła. Całą noc usiłowaliśmy ją z niego zdjąć, ale się uwzięła. Poddała się dopiero rano, tylko że ręka biedaka była już do amputacji.

Przełknąłem głośno.

– Nie martw się – uspokoił mnie zarządca. – Chłopak, to znaczy teraz już stary facet, dostaje od państwa całkiem ładną rentę.

– To mnie pocieszyłeś – mruknąłem.

Naraz po cmentarzu poniósł się klekot.

– A to co znowu?

Bogowie, naprawdę nie chciałem brzmieć jak panikarz, ale ledwie powstrzymałem się przed ucieczką z tego przeklętego miejsca.

Zeszliśmy z jasnej ścieżki zarządcy i zagłębiliśmy się w krzaki, aż dotarliśmy do kolejnego omszałego polnego głazu. Wryty w nim jakieś napisy, ale były zbyt niewyraźne, aby odczytać je w nocy, nawet w poświacie, którą promieniowały rosnące wszędzie wokół łyzy.

Przykucnąłem i dotknąłem palcami liter, gdy znów usłyszałem cichy klekot. Zupełnie jakby ktoś bardzo głośno szczekał zębami.

– No, Czacha, możesz wyjść – odezwał się głośno Garłacz.

Klekot się nasilił. Na wszelki wypadek wstałem z klęczek i cofnąłem się o krok. Wtem zza głazu wychyliła się chuda, owłosiona pajęcza noga, a tuż za nią kolejne.

– Co to ma być...? – mruknąłem i się wzdrygnąłem. Nie znosiłem pajaków ani innych robali.

– Nie bój się, Czacha – rzucił zarządca spokojnym tonem. – Nasz nowy dziedzic jest trochę nieokrzesany.

Spodziewałem się wielkiego, obrzydliwego pajaka. Ale właśnie wtedy ujrzałem białą ludzką czaszkę na pajęczych nogach.

– Kurwa – rzuciłem, cofając się jeszcze bardziej.

Czaszka zaszczekała zębami jakby z obrazą. Roch przykucnął i wyciągnął przed siebie rękę. Stwór powoli, trochę nieufnie do niego podszedł, a zarządca pogładził go po białej kości. Przystąpiłem z nogi na nogę, dusza zaklekotała i ponownie skryła się za kamieniem.

Wróciliśmy na ścieżkę zarządcy. Kolejnym naszym przystankiem był Śmiercian. Już z daleka słyszałem jego gniewne poburkiwanie i brzęczenie metalowej kraty. Roch zatrzymał się i wskazał palcem miejsce ukryte w zaroślach.

– Do dzieła – rzucił.

– Przecież na pewno sprawdziliście za dnia, czy krata nadal trzyma – stwierdziłem. Za nic nie chciałem tam iść.

– Jeszcze kilka godzin temu krata trzymała – odparł zarządca. – A teraz trzeba sprawdzić, czy wytrzyma do rana. No i na pewno chcesz go zobaczyć.

Zerknąłem na Rocha, który miał podejrzenie zadowoloną minę. Jak bogów kocham, na pewno chciał mnie nastraszyć. Tak samo traktowaliśmy młodych, którzy zaciągnęli się w szeregi Diogenesa. Potrafli dostarczyć nam naprawdę wiele rozrywki.

Ruszyłem przez krzaki. Założę się, że cały ten Śmiercian wcale nie jest ani taki groźny, ani straszny. Gdzieś w pobliżu czają się na pewno rękodajni, ciesząc się, że zobaczą, jak nowy dziedzic narobi w portki. Niedoczekanie!



Pewnie szedłem przed siebie. W którymś momencie jakiś kolczasty krzew zdarł mi naskórek z dłoni, ale zignorowałem ból. Nie dam im tej satysfakcji. Udowodnię, że Maximus Opoka nie jest tchórzem.

W końcu dotarłem do kraty umieszczonej na ziemi, a wszędzie wokół zapadła cisza. Śmiercian przestał hałasować, za to zaczął nasłuchiwać.

– No i co, nie jesteś już taki straszny? – zagadnąłem, pochylając się nad kratą.

Właśnie wtedy w błękitnym blasku łez dostrzegłem oblicze, które będzie mnie prześladować chyba do końca życia. Zobaczyłem bladą twarz wysuwającą się spod kaptura, czarne oczy otoczone siateczką ciemnych żył i usta zaszyte grubą nicią. Nagle Śmiercian podskoczył, zawieszając się na kracie, a ja zatoczyłem się do tyłu.

Moje serce zaczęło bić jak szalone. Ta dusza była tak podobna do człowieka, ale w jakiś dziwny sposób wynaturzona, jakby miała przedstawiać ludzkość w najgorszej i najbardziej okrutnej postaci.

Śmiercian szarpnął kratą, która zabrzęczała złowieszczo. Z jego gardła dobył się nieludzki bulgot.

Siedziałem dobry metr od jego grobu, oddychając ciężko.

– Nie masz zębów – odezwałem się nagle. – Nie masz zębów. – Ponownie zbliżyłem się do kraty. – Jak niby rozszarpałeś Kalisterona?

Pochyliłem się nad grobem, żeby dobrze przyjrzeć się duszy, gdy niespodziewanie długa, chuda łapa zakończona czarnymi szponami wystrzeliła między metalem i drasnęła mnie w policzek.

Znów odskoczyłem i przyłożyłem dłoń do twarzy, czując pod palcami krew.

– No dobra, już wiem, jak go rozszarpałeś – przyznałem. – Co takiego nagrzeszyłeś za życia, że Asazan zamienił cię w taką pokrakę? – Z bezpiecznej odległości nachyliłem się nad kratą.

Śmiercian zeskoczył w błoto zalegające na posadzce jego piwniczki i zaczął z wściekłością po niej krążyć, co jakiś czas wyrzucając w moją stronę ramiona, jakby chciał mnie chwycić. Z jego zaszytych ust wciąż wydobywały się niezrozumiałe groźby brzmiące jak warkot.

– Wcale nie jesteś taki straszny – stwierdziłem ze wzruszeniem ramion, po czym się odwróciłem.

Po cmentarzu poniósł się ryk, zagrzechotała kratka.

– Czym go tak wkurzyłeś? – zagadnął Roch, kiedy stanąłem na ścieżce.

– Chyba samą moją obecnością – rzuciłem lekko.

– Coś w tym jest, że Śmiercian nienawidzi wszystkich dziedziców – przyznał zarządca. – Wie, że płynie w was krew hrabiego, który go wyrolował.

– To już nie moja wina, że nie potrafił uważnie przeczytać paktu, zanim go podpisał – stwierdziłem, może nieco nazbyt okrutnie.

Roch pokiwał głową, jakby ważył moje słowa.

– Życie nie jest takie proste – orzekł sentencjonalnie. – Ani tym bardziej śmierć.

Kilkanaście metrów dalej zarządca znów zboczył ze ścieżki. Tym razem jednak nie interesowała go żadna dusza, tylko mieniąca się błękitna roślina oplatająca pień drzewa. Całe grona łez zwieszały się z ciemnej łodygi. Nocą wszystkie kwiaty były zamknięte i aż nabrzmiałe od płynnego środka halucynogennego znajdującego się w środku. Kształtem przypominały krople, stąd ich nazwa. Roch delikatnie dotknął palcami kilku z nich, jakby oceniał, czy są dojrzałe, po czym wyjął z pochwy nóż i ostrożnie uciął pięć pełnych kwiatów. Otworzył metalową papierośnicę i delikatnie ułożył w nich ły.

– Myślałem, że odkąd macie dziedzica, nie potrzebujecie łez, żeby widzieć dusze – rzuciłem z ironią.

Zarządca, tak jak większość szanciarzy, musiał już być uzależniony. Co wcale mnie nie dziwiło, skoro wcinał ły na surowo.

– Nigdy nie wiadomo, jak długo pociągniesz i kiedy będę potrzebował wspomagaczy – odparł trochę złośliwie.

– Mam nadzieję, że nie będziesz ich potrzebował jeszcze przez długi czas – westchnąłem.

Ruszyliśmy dalej. Mijaliśmy kolejne spokojne groby, wiatr wciąż dał w organy, szarpał gałęziami starych drzew, które skrzypiały głośno.

– Teraz bądź cicho – polecił Garłacz, rozchylając przede mną zarośla.

Usłyszałem coś jakby kroki czegoś wielkiego idącego po kolana w błocie. Wyrząłem w stronę niewielkiej sadzawki i zobaczyłem zwróconego do mnie plecami potwora. Wyglądał, jakby bóg zanurzył swoją dłoń w bagnie i stworzył duszę ze wszystkiego, co wyciągnął: błota, szlamu, wodorostów, korzeni. Do tego wszystkiego Bagniak był naprawdę wielki. Jego plecy były tak szerokie, jak co najmniej dwóch stojących obok siebie mężczyzn. Wylazł ze swojej sadzawki i z głośnym stęknieniem usiadł na ziemi.

Postąpiłem krok w jego stronę, a pod moim butem trzasnęła złamana gałązka.

Znieruchomiałem, wyzywając siebie samego w myślach. Bagniak gwałtownie podniósł głowę i zaczął się rozglądać. W pewnym momencie prześwidrowało mnie spojrzenie jego intensywnie zielonych oczu. Zobaczył mnie. Na pewno zobaczył. Już się zastanawiałem, czy ucieczka na najbliższe drzewo to dobry pomysł, kiedy ruszy na mnie ta zwalista góra szlamu i pnączy, ale Bagniak tylko prychnął lekceważąco w moją stronę i powrócił do układania kolejnej spirali z kamieni. Odetchnąłem z ulgą i cofnąłem się na ścieżkę, a po chwili usłyszałem cichy, ale piękny śpiew.

– Jak się Bagniakowi nie przeszkadza, to jest grzeczny – odezwał się Roch.

– Aha – mruknąłem, nadal szybko oddychając.

– Dobrze sobie radzisz. – Zarządca klepnął mnie w łopatkę, a ja wiedziałem, że to największy komplement, na jaki mogę liczyć.

Kolejnym przystankiem na naszej drodze był grób Hugona. Już z daleka dojrzałem kryptę, przy której budowie ktoś naprawdę popisał się rozmachem. Nie szczędził rzeźbień ani marmuru.

– Cholera jasna! – wybuchł Roch. – Co za idiota nie uzupełnił kręgu?!

Zwrócił ku mnie gniewne oblicze.

– Mnie tu nawet dziś nie było. – Rozłożyłem ręce.

– To na pewno Samson! Baran jeden ze sklerozą!

Zerknąłem na ziemię – rzeczywiście, w jednym miejscu krąg z soli był przerwany.

– Może to wiatr? – rzuciłem na obronę przyjaznego rękodajnego.

– Dupa, a nie wiatr! – wściekał się zarządca. – Zostań tu, a kiedy Hugo wróci, uzupełnij tę cholerną sól. – Rzucił mi woreczek.

– A ty dokąd idziesz? – zapytałem.

– Po tego przeklętego ślimaka!

Jeszcze przez długi czas słyszałem gniewne tupanie i całkiem głośno wypowiedane przekleństwa.

Kiedy otoczyła mnie cisza, jeśli nie liczyć zawodzenia wietrznych organów, przeszedłem się wokół grobu olbrzymiego ślimaka i rozprostowałem ramiona obolałe po wyrywaniu bluszczu. Dobrze, że Opal podpowiedziała mi, jak to robić, bo inaczej pewnie jeszcze do teraz bym się z tym dziadostwem męczył.

Usiadłem na najbliższym kamieniu, wpięrw upewniwszy się, że to żaden nagrobek ani, co gorsza, jakaś dusza.

Odruchowo wsadziłem ręce do kieszeni bluzy i wyczułem tam coś dziwnego. Zmarszczyłem brwi i wyjąłem kilka trochę przywiedłych fioletowych kwiatków. Jak im było? Przedśnieżki? Upuściłem je na ziemię. Nie, chyba przedzimki. Już miałem ponownie wsunąć dłoń do kieszeni, żeby wyrzucić je wszystkie, kiedy nagle po cmentarzu poniósł się głuchy tętent. To chyba nie był ślimak uciekający przed zarządcą. O nie, to było coś wielkiego, pędzącego wprost na mnie!

Poderwałem się z kamienia i stanąłem za najbliższym drzewem. To coś było coraz bliżej, dobrze słyszałem kopyta walące w suchą ziemię i ciężkie sapanie. Klepnałem się w biodro. Cholera! Akurat teraz musiałem zostawić tę przeklętą szablę w dworku!

Zadarłem głowę. Najniższa gałąź znajdowała się poza moim zasięgiem. Ale wtedy dostrzegłem, że drzewo stojące kilka metrów dalej idealnie nadaje się do wspinaczki.

Wziąłem głęboki wdech i wybiegłem zza pnia. Pędem ruszyłem do kolejnego, ale było już za późno. Z zarośli wypadła bestia z najgorszych koszmarów. Wskoczyła na kryptę Hugona i zawyła do księżycy. Spojrzałem w puste oczodoły jeleniopodobnej czaszki. Na samym ich dnie tliły się niewielkie ogniki. Przednie łapy, łudząco podobne do ludzkich ramion, wbiły pazury w dach grobowca. Tylne, takie jak u byka, zatańczyły kopytami na drewnianym gonce, wciąż się z niego ześlizgując. Część potężnego ciała była pokryta grubym, ciemnym futrem, część zaś wyglądała, jakby ktoś dość nieumiejętnie usiłował oskórować duszę. Zobaczyłem mięśnie grające pod okrwawioną błoną.

Potwór zeskoczył z grobowca i zarzucił łbem z imponującym porożem.

– Jestem dziedzicem, nie możesz mnie zabić – wydusiłem z siebie.

Jego ślepie rozgorzały na czerwono. Wspaniale, zginę zaledwie trzy dni po przyjęciu spadku. To będzie chyba rekord.

*Rogacz jest uczulony na przedzimki* – usłyszałem naraz w głowie głos Opal.

Wsunałem rękę do kieszeni i wyjąłem z niej garść kwiatów. Cóż innego mi pozostało? Nie miałem żadnej broni i na pewno nie ucieknę tej bestii. Mogę więc sprawdzić, czy rzeczywiście ma alergię...

Dusza zaszarżowała. Opuściła łeb, najwyraźniej chcąc nabić mnie na te wielkie rogi.

Z mojego gardła dobył się wrzask. Cisnąłem kwiatami wprost w niego i odskoczyłem w bok. Nagle Rogacz się zatrzymał. Podniósł łeb, a w jego oczach błysnęło zdziwienie. I właśnie wtedy... kichnął. Wielki, zielonkawy smark wylądował na ziemi, a dusza zaczęła kichać raz za razem. Uniosła łapy do pyska i zaczęła go trzeć ze złością.

Uchyliłem się przed rogami, ale to już nie był atak na mnie. Rogacz odwrócił się, uderzył zadem w grób Hugona i wciąż kichając oraz zataczając się na boki, po prostu odszedł. A ja jeszcze przez długi czas patrzyłem w ślad za nim, nie mogąc uwierzyć we własne szczęście. W końcu przysiadłem na kamieniu i złapałem oddech. No dobra, życie dziedzica jednak nie było usłane różami.

Kilkanaście minut później usłyszałem wiązaną przekleństw.

– No rusz się!!! – wrzasnął zarządca.

Po chwili wyłonił się zza drzew, dłonią w skórzanej rękawiczce ciągnąc za sobą za czułek olbrzymiego, oślizgłego ślimaka bez muszli.

– Do grobu! Natychmiast! I ani się waż z niego wyłazić, bo nie ręczę za siebie! – wściekał się Roch.

Puścił Hugona, po czym kopnął go w bok. Urażony ślimak okiem na drugim czułku posłał mu spojrzenie pełne wyrzutu.

– Tylko go nie dotykaj! – Zarządca machnął na mnie dłonią, żebym zszedł duszy z drogi. – Jego śluz jest jak kwas dla ludzkiej skóry.

Cofnąłem się, a później ostrożnie przestąpiłem nad śluzowym śladem i stanąłem obok Garłacza. Hugo odnalazł miejsce, gdzie ścieżka z soli została przerwana, po czym z trudem przecisnął się przez wejście do własnego grobu, ułożył się tam chyba wygodnie i wysunął jeszcze jeden czułek na zewnątrz.

– Nie chcę cię dziś widzieć! – krzyknął do niego Roch, a oko natychmiast się cofnęło.

Uzupełniłem sól i przez chwilę staliśmy jeszcze przed grobowcem, żeby się upewnić, że nie weźmie ślimaka na kolejne wycieczki.

– U ciebie w porządku? – zagadnął Roch.

– Taa – mruknąłem. – Poznałem Rogacza, ale na szczęście miałem przy sobie przedzimki.

– Aha, jasne – rzucił lekceważąco.

- Naprawdę zaatakował mnie Rogacz!
- Gdyby tak było, tobyś nie żył – oświadczył Garłacz.

Już chciałem na dowód pokazać mu smarki na ziemi i leżące tuż obok kwiaty, ale się powstrzymałem. Czy to możliwe, żeby zarządca nie wiedział, że Rogacz jest uczulony na przedzimki? Jeszcze nie wiedziałem, do czego mogłaby mi się przydać taka wiedza, oprócz uratowania własnego życia oczywiście, ale poczułem dziwną satysfakcję na samą myśl, że wiem coś więcej niż Roch.

Bez przeszkód dotarliśmy do samej kapliczki. Przy niej zaś stał jakiś mężczyzna.

- Ach, nowy dziedzic! – wykrzyknął na mój widok.

Spreżystym krokiem zszedł ze schodków i ruszył ku nam.

Zerknąłem na zarządcę, czekając na jego reakcję.

- Czołem, Odo – rzucił.

- Witaj, Rochu! – Mężczyzna w eleganckim, staroświeckim garniturze podał mu dłoń, po czym wyciągnął rękę w moją stronę. – Jakże miło nam gościć nowego dziedzica!

- Max jestem – oświadczyłem, wycierając rękę o spodnie.

Dłoń tego faceta była dziwnie lepka.

- Dziś, choć wietrzna, noc zdaje się całkowicie spokojna – mówił lekkim tonem mężczyzna.

- Taa, tylko ten przekłety Hugo znowu zwiął – mruknął Roch, wsadzając palce do kamiennej misy znajdującej się w kapliczce. – Nadal wilgotna – ocenił.

- Jak się panu podoba Lawendowy Dworek? – zwrócił się do mnie Odo.

- Całkiem... niezły – odparłem po chwili wahania.

Było w tym facecie coś przerażającego. Nawet bardziej niż w Śmiercianie czy Rogaczu. Bo żadna dusza znajdująca się na cmentarzu osobliwości nie mogła mieć postaci eleganckiego dżentelmena. Coś tu było bardzo nie tak.

- Mam nadzieję, że znów będziecie wyprawiać bale – westchnął rozmarzonym tonem Odo. – Pamiętam te karoce podjeżdżające pod drzwi. Kobiety ubrane niczym kwiaty, stoły uginające się od jedzenia! Ach, cóż to było za życie!

- Żadnych balów – warknął Roch. – Nie za mojego życia.

- Nie możesz wiecznie być takim mrukiem – odparł Odo z radosnym uśmiechem. – Powinieneś wyjść do ludzi, a nie spędzać całe dnie i noce

w towarzystwie takich jak my! Trochę ogłady też ci się przyda! – dodał, kiedy Roch znów zakręcił palcem w ziemi w misce, a później oblizał go końcem języka.

– Idź spać, Odo – rzucił miękko zarządca. – Zaraz będzie świtało.

Dżentelmen ze smutkiem pokiwał głową.

– Miło było poznać. – Znów podał mi dłoń. – Jutro przyjdźcie do mnie wcześniej, brakuje mi godnych towarzyszy do rozmowy.

Odo odwrócił się, a ja stłumiłem jęk. Jego plecy wyglądały, jakby były w ostatnim stadium rozkładu. Przez porwaną marynarkę widziałem jęczące rany, kawałki kości i ściekającą ropę, a z tego wszystkiego przy każdym kroku nieszczęsnej duszy wysypywały się czerwie.

– Dobry z niego chłop – odezwał się Roch. – Szczególnie jak człowiek nie przypatruje się za dużo jego plecom.

Nie mogłem wydobyć z siebie ani słowa. Cmentarz osobliwości zaskakiwał mnie na każdym kroku, a przecież nie poznałem jeszcze nawet połowy zamieszkujących go dusz. Zza horyzontu wystrzeliły promienie słońca, ale to miejsce wcale nie wydało się spokojniejsze ani mniej groźne w pierwszym świetle dnia.

# Rozdział 16

Opuściliśmy cmentarz, kiedy zamglone słońce leniwie wspinało się nad horyzont. Wiatr ustał, wciąż jednak było zimno. Szliśmy polną drogą w kierunku dworku, a pośród wysokich traw mieniły się drobinki fioletu. Wcześniej nie zwracałem uwagi na przedzimki, ale teraz miałem wrażenie, że są dosłownie wszędzie.

– Czy one kwitną też wiosną? – zagadnąłem, zrywając cienką łodygę zakończoną kilkunastoma kwiatkami.

– Co? – Roch nawet na mnie nie spojrział.

– Przedzimki. – Pomachałem mu nimi przed nosem.

– A skąd ja to mogę wiedzieć? – prychnął. – To zwykłe chwasty. Jak raz zalęgną się w ogrodzie, to za groma ich nie wyplenisz.

– I to Mort, syn Glariusza, je tu sprowadził, prawda? – chciałem się upewnić.

– No.

– A nie sądzisz, że miał jakiś powód? – drążyłem.

– Taa, miał świra na punkcie fioletowego. Jak tatuś.

Nie mogłem uwierzyć własnym uszom. Zarządca naprawdę nie miał pojęcia o ich właściwościach!

– A czy... – zacząłem.

– A czy ty możesz przestać się bawić w pieprzonego botanika?! – naskoczył na mnie.

Wzruszyłem ramionami. Nie to nie. Nie musi wiedzieć, jak łatwo można odgonić Rogacza.

Gdy tylko zbliżyliśmy się do dworku, na spotkanie wybiegła nam Irys. Miała wielkie oczy i była podejrzenie blada. Zarządca, wciąż utykając,



natychmiast przyspieszył.

– Notariusz przyjechał! – sapnęła dziewczyna, oglądając się za siebie, jakby urzędnik był tuż za nią.

– Jeszcze tego dusze nadały! – wściekł się Roch. – Czego chce?

– Mówi, że rozmawiać z tobą i z dziedzicem.

– Już ja sobie z nim porozmawiam!

Zupełnie nie rozumiałem tej złości u Garłacza, ale przecież w ciągu kilku ostatnich dni na pewno nie zaprezentował się jako ktoś panujący nad własnymi emocjami. Nie oglądając się na mnie, wpadł do hallu i rozejrzał się, jakby szukał łownej zwierzyny. Miałem wrażenie, że słyszę, jak węszy w powietrzu.

– Jest w jadalni – podpowiedziała cicho Irys.

Roch pchnął drzwi do sali balowej i gniewnym krokiem ruszył dalej, a ja podążałem za nim, nie tyle ciekaw, czego notariusz może chcieć ode mnie, ile pragnąc zobaczyć, jak zarządca grozi komuś innemu niż ja.

W połowie sali Roch zatrzymał się jednak gwałtownie i odwrócił do Irys.

– Leć po Normana – rozkazał.

W pierwszej chwili dziewczyna zmarszczyła brwi, ale już po sekundzie jej oblicze się rozjaśniło.

– Rozumiem – rzuciła z uśmiechem i odbiegła.

Garłacz wpadł do jadalni niczym lawina – niebezpieczny i nie do zatrzymania. Zwolnił dopiero, kiedy ujrzał siedzących przy stole Wachima i Dalię.

– Och, Nesterze, naprawdę nie trzeba było – powiedziała artystka, klepiąc go po dłoni. – O, dobrze, że jesteście, trafiliście akurat na śniadanie. – Podniosła na nas wzrok.

Zerknąłem na stół, który wyglądał niemal identycznie jak podczas mojego pierwszego śniadania tutaj. Czyli chyba lubili tutaj częstować swoich gości oślizgłą szynką i czerstwym chlebem. Już chciałem rzucić jakiś komentarz na ten temat, ale Roch nadepnął mi na stopę i stanął przed notariuszem.

– Dzień dobry – przywitał się Wachim, a zarządca w odpowiedzi rzucił na jego talerz brudną rękawicę. – Widzę, że wracacie z cmentarza – dodał spokojnie.

– Załatwiłeś nam tę przekłętą podwyżkę? – warknął Garłacz.

– Tłumaczyłem ci już, że to nie takie proste – westchnął notariusz, łapiąc z obrzydzeniem rękawicę dwoma palcami.

– Nie takie proste to jest pilnowanie cmentarza! I to kiedy ma się stary, zepsuty sprzęt. Nie stać nas nawet na głupie rękawice!

– To na pewno da się zaszyć – zauważył Wachim, przypatrując się dziurom w wyprawionej skórze.

– Ta?! – wybuchł Garłacz. – To może ty spróbujesz zaciągnąć do grobu Hugona w pocerowanych rękawicach! – Podsunął mu pod nos własną dłoń. Dopiero teraz zauważyłem, że jest zaczerwieniona i pokryta bąblami.

– Wiesz, że robię, co mogę – westchnął notariusz. – Naprawdę jestem po waszej stronie...

– No to przyprowadź mi jednego z tych urzędasów, którzy ciągle tylko tną nasze wypłaty, w nocy na cmentarz!

– Wiesz, jacy oni są – rzucił Wachim, jakby to miało wszystko rozwiązać.

– Nie, nie wiem! Bo żaden z tych pierdzących leni nie raczył nigdy się tu zjawić! A my noc w noc wypruwamy sobie flaki, żeby dusze nie zagroziły ich spokojnemu życiu! Wiesz, ile razy w karierze wzięłem wolne?!

– Tylko raz – odparł notariusz, jakby tego typu dyskusja nie była dla niego pierwszozną.

– Tylko raz! – powtórzył Roch. – Tylko jeden pieprzony raz! Trzynaście lat temu! I tylko na tydzień! A kiedy poprosiłem tych urzędasów o pomoc, to wszyscy się na mnie wypięli!

– Pamiętaj, że te trzynaście lat temu przymknęli oko na to i owo – zaważył Wachim.

– Przymknęli oko?! Oni po prostu umyli od wszystkiego ręce!

Notariusz machnął tylko ręką i zwrócił się do mnie z uśmiechem:

– Miło widzieć pana w zdrowiu. – Uciał dyskusję z zarządcą.

– A cóż mogłoby mi się stać w ciągu czterech dni? – zagadnąłem ze sztuczną uprzejmością.

– Wszystko – burknął Roch, siadając za stołem. – Od zostania rannym po śmierć w szponach duszy. I znowu musimy jeść stare żarcie. – Zaczął teatralnie smarować chleb masłem.

– Nie mogło być aż tak źle. – Notariusz odchrząknął.

– Założę się, że przyjechałeś sprawdzić, czy twój dziedzic jeszcze żyje.

Wachim uśmiechnął się nerwowo, a ja zaniemówiłem. Naprawdę zastanawiał się, czy wyzionąłem ducha! Postąpiłem krok do przodu

i oparłem dłonie na stole, nachylając się w jego stronę. Lata pracy dla Diogenesa nauczyły mnie, jak robić groźną minę, doskonale umiałem sprawić, żeby w moich oczach błysnęła obłąd. Z satysfakcją odnotowałem, że notariusz głośno przełknął.

– Zapewniałeś, że jestem dziedzicem – wycedziłem. – Że w moich żyłach płynie krew Muertona.

Nie musiałem mówić tego głośno, cichy ton często bywał gorszy niż krzyki.

– No wie pan... – Na czoło Wachima wystąpiły kropelki potu. – Byłem pewien, że jest pan potomkiem hrabiego... co do tego nie było wątpliwości... tylko nikt tak naprawdę nie wie, jak... bo jest pan naprawdę odległym potomkiem... Nikt nigdy nie sprawdzał, jak bardzo krew może być rozwodniona, żeby działać...

Zerknąłem na Rocha, a on tylko wzruszył ramionami. Chyba dokładnie tego samego wcześniej się spodziewał – że jestem zbyt odległym potomkiem, a moja krew na nic im się nie przyda.

– Kto ma ochotę na kawę? – odezwała się Dalia i jak gdyby nigdy nic zaczęła nalewać jej do filiżanek.

Przez kilka sekund wpatrywałem się w notariusza, a on nawet nie śmiał drgnąć.

– Ja poproszę – powiedziałem, wyciągając rękę w stronę artystki. Dopiero wtedy Wachim odsapnął.

Do jadalni, mocno kuśtykając, wkroczył Norman. Nadal był blady, a z każdym krokiem na jego twarzy pojawiał się grymas bólu.

– Siadaj, chłopie. – Roch zerwał się z miejsca i przesunął w jego stronę krzesło. – I pokaż naszemu szanownemu notariuszowi, jaka niebezpieczna bywa nasza praca.

Wachim pokiwał głową, jakby taką samą scenkę odgrywali już co najmniej kilka razy.

Norman podwinął nogawkę spodni i odwiązał opatrunek. Nawet ja syknąłem na widok jego ran. Nadal wyglądały paskudnie, wciąż sączyła się z nich ropa i nie chciały się zagoić.

– A to była tylko Flora – dodał Roch. – No, rób notatki! – huknął, aż notariusz podskoczył na krzesło, po czym wyciągnął ze swojej aktówki notes i długopis. – Pisz dokładnie, jak ta noga wygląda, możesz nawet szkic zrobić.

Norman już wyciągnął rękę po kabanosa, ale kiedy zobaczył, że ten jest pokryty białym nalotem, skrzywił się i odrzucił go na talerz.

– Nawet psom bym tego nie dał – mruknął.

– A teraz pisz, czego potrzebujemy – ciągnął zarządca. – Ubrania ochronne, w tym buty i rękawice, zestawy opatrunkowe, leki na przeziębienie, w końcu idzie zima...

Garłacz dyktował dalej, a notariusz spisywał każde jego słowo, aż do jadalni wkroczyła Aster z księgą rachunkową pod pachą.

– A teraz ochmistrzyni wyłoży ci nasze kolejne wydatki – zakończył Roch.

– Dzień dobry – przywitała się kobieta, z hukiem kładąc księgę na stole.

– Niech pan tylko tutaj spojrzy. – Otworzyła ją na ostatniej stronie. – W minionym miesiącu byliśmy na minusie. Na minusie – podkreśliła. – Musieliśmy zrobić zrzutkę z własnych pensji, żeby wystarczyło nam na jedzenie!

Wachim zaczął przeglądać kolejne strony. Wodził palcem po słupkach pełnych liczb. Był notariuszem, a więc musiał mieć trochę oleju w głowie. Na pewno zorientuje się, że ochmistrzyni robi przekręty.

Wtem postukał palcem na środku jednej strony.

– Proponuję kupować mniej owsa dla koni – odezwał się.

– Przecież konie też muszą jeść! – wybuchła ochmistrzyni. – A jeszcze weterynarz! No i psy trzeba szczepić!

– Dobrze. – Pokiwał głową w zamyśleniu.

Nie do końca rozumiałem, co się właśnie działo. Przecież Wachim doskonale wiedział, że w dworku nie mamy ani jednego konia. Po co cała ta szopka?!

– A jak z tymi przeciekającymi rynnami? – zagadnął.

– Jeżeli nie zrobimy remontu przed zimą, to na wiosnę będzie jeszcze więcej wydatków i remontów – powiedziała ochmistrzyni.

Poprzedniego dnia, w przerwie od czytania dzienników Anzelma, zrobiłem sobie spacer wokół dworku i nie zauważyłem, żeby którakolwiek rynna przeciekała.

– Postaram się załatwić, co trzeba – zapewnił Wachim. – A teraz ta lepsza część naszego spotkania – powiedział zupełnie innym, radosnym tonem, po czym wyciągnął z aktówki grubą kopertę.

W pierwszej chwili wysunął ją w stronę Aster, ale nagle przypomniał sobie o moim istnieniu.

– Pensje i wydatki na najbliższy miesiąc składam na ręce dziedzica.

Przyjąłem kopertę i aż się zdziwiłem, jaka była ciężka. Tyle pieniędzy... Wystarczyłoby na rozkręcenie własnego biznesu. Na wyrzucenie Diogenesa z miasta. W mojej głowie zaczęły się pojawiać najróżniejsze scenariusze, jak może potoczyć się moje życie od tej chwili.

I właśnie wtedy poczułem na sobie spojrzenie kilku par oczu. Wachim zdawał się zastanawiać, czy dobrze zrobił, odnajdując mnie. Roch wyglądał, jakby był już pewien, że zwinę całą kasę i zniknę. Aster i Norman z kolei sprawiali wrażenie, jakby wierzyli, że nie jestem aż taki beznadziejny. I tylko Dalia popijała kawę, jakby była na towarzyskim spotkaniu z przyjaciółmi. Jeszcze raz spojrzałem na kopertę w mojej dłoni. Emanowała przyjemnym ciepłem.

Podniosłem wzrok i dostrzegłem Irys, która musiała wślizgnąć się niepostrzeżenie do jadalni. W jej oczach tliła się absolutna wiara, że można zaufać dziedzicowi.

– Najlepiej tymi pieniędzmi rozporządzi ochmistrzyni – powiedziałem, nie wierząc własnym słowom, po czym podałem kopertę Aster.

Wszyscy oprócz Irys odetchnęli z ulgą, a Roch nawet zagwizdał z uznaniem.

– Czyli omówiliśmy wszystkie ważne kwestie – odezwał się lekkim tonem Wachim. – Przedstawię wasze prośby radzie gminy. W końcu nie mogą ciągle zamiatać sprawy pod dywan.

Wstał od stołu i wsunął notatki do aktówki.

– Zobaczymy się najdalej za miesiąc. – Skinął głową po kolei każdemu z nas. – Daliu, jak zwykle kawa w twoim towarzystwie to czysta przyjemność.

– Odwiedzaj nas częściej. – Artystka podała mu dłoń do ucałowania.

Wachim opuścił jadalnię, a po chwili usłyszeliśmy na zewnątrz warkot jego samochodu.

Wyciągnąłem rękę po kawałek suchego chleba i zacząłem go ostentacyjnie przeżuwać.

– Irys, skoro już tu jesteś, to posprzątaj ze stołu – odezwała się ochmistrzyni. – Schowaj wszystko w spiżarni na wszelki wypadek. Tylko, na bogów, nie dawaj nic psom, bo znowu będą rzygały całą noc.

Z pewnym obrzydzeniem odłożyłem kromkę do koszyka.

– I niech Alma przygotuje prawdziwe śniadanie – dodała Aster.

Przy stole zapanowała cisza. Dalia wyciągnęła skądś gazetę i zaczęła szeleścić jej stronami.

– Wiedzieliście, że we wsi mają się odbyć warsztaty lepienia z gliny? – zagadnęła, ale nikt jakoś nie wykazał entuzjazmu.

– No dobra – odezwałem się. – Wiem, że jestem tu nowym dziedzicem i mi nie ufacie, ale, do wszystkich dusz, po co całe to przedstawienie?! Po co zepsute śniadanie? Po co gadacie o remoncie rynien, które wcale nie przeciekają?!

Wszyscy wymienili porozumiewawcze spojrzenia i wcale mi się nie podobało, że jestem poza kręgiem wtajemniczonych. Do tej pory to ja zawsze wszystko wiedziałem i to ja dozowałem pracodawcy informacje, które zdobyłem na mieście.

– Dobra, powiedzcie mu, ja idę spać – oświadczył Roch, po czym, kuśtykając, opuścił jadalnię.

– Irys przyniesie ci później coś do jedzenia! – zawołała za nim Aster, ale tylko machnął ręką w drzwiach.

W jadalni zostałem z ochmistrzynią, Normanem i Dalią, ale artystka, zaczytana w gazecie, sprawiała wrażenie obecnej tylko ciałem.

– A więc? – zagadnąłem ponownie. – Dlaczego częstujemy gości zepsutym jedzeniem? Dlaczego notariusz każe nam kupować mniej owsa dla nieistniejących koni?

– To wszystko przeze mnie – odezwał się Norman, a w jego głosie pobrzmiwały poczucie winy i bezbrzeżny smutek.

Przyjrzałem mu się uważnie. Ale tak naprawdę uważnie. Czy ta ziemista cera naprawdę była oznaką pokąsania przez Florę? A może jeszcze wcześniej był taki blady i miał cienie pod oczami? Pasek przy jego spodniach miał ślad od zapinania na dwie dziurki dalej, a więc rękodajny musiał sporo schudnąć w ciągu ostatnich miesięcy.

– Mój dzieciak... – podjął mężczyzna, ale jego głos się załamał. – Mój synek... ja zrozumieję, jeśli uznasz, że nie powinniśmy kraść pieniędzy... – W jego oczach zabłyśły łzy. – Bo to jest kradzież. Okradamy gminę, okradamy dziedzica i samych siebie...

– Spokojnie. – Aster położyła dłoń na jego ramieniu.

Byłem w szoku. Rękodajny, który co noc stawiał czoła duszom na cmentarzu, teraz zupełnie się rozkleił i zaczął smarkać w zwiniętą ze stołu serwetkę.

– Synek Normana jest chory – powiedziała ochmistrzyni. – Złośliwy zespół paraleptyczny. Wywołuje ataki paraliżu u dzieci... – Przymknęła oczy. – Jego leczenie jest bardzo drogie. A rękodajny, jakkolwiek niebezpieczna jest jego praca, nie zarabia wystarczająco, żeby pokryć wszystkie koszty. Dlatego oszukujemy w księgach rachunkowych. Każdy z nas oddaje ze swojej pensji tyle, ile może, a mimo to ledwie starcza na leczenie chłopca. Jego mama jest z nim w specjalnym ośrodku...

– I lekarze mówią, że jest szansa, że Mika wyzdrowieje – wtrącił Norman.  
– Że będzie mógł prowadzić normalne życie, a ataki będą coraz radsze i słabsze. Że wrócą tu do mnie, on i Frida, i znów będą mieszkać w dworku...

Facet wielki jak góra otarł łzy z policzków.

Cholera jasna! A ja myślałem, że Aster jest hazardzistką czy coś, że tyle kasy kradnie.

– Wachim o tym wie – dodała ochmistrzyni. – Wie, ale się nie przyznaje. Pomaga nam, jak umie, tylko że jest notariuszem i wiążą go państwowe umowy.

– *Taniec dusz* – odezwała się ni z tego, ni z owego Dalia. – Taki tytuł będzie nosił obraz, nad którym teraz pracuję. A zapewniam was, że to będzie arcydzieło. Może nawet ukoronowanie mojej kariery. I zapewniam cię, kochany – położyła dłoń na kolanie Normana, a ten skrzywił się z bólu – że całą kwotę ze sprzedaży przeznaczę na leczenie małego.

– Dziękuję ci, to dla mnie wiele znaczy – zapewnił Norman.

To się porobiło.

– Czy mogę prosić, żebyś wypłaciła mi moją pensję dziedzica? – zwróciłem się do Aster.

Kobieta zacisnęła usta w wąską linię, ale skinęła głową. Wyjęła pieniądze z koperty i odliczyła dokładnie pięćset sześćdziesiąt trzy krypty, po czym mi je wręczyła.

Przez chwilę ważyłem pieniądze w dłoni. Nie była to fortuna, ale całkiem pokaźna kwota. Mógłbym za to...

Zastanowiłem się. Tak naprawdę w tej chwili niczego nie potrzebowałem, skoro miałem lodówkę pełną jedzenia i garderobę pełną ubrań. Co było dla mnie najbardziej opłacalne? Na chłodno wszystko przekalkulowałem i szybko podjąłem decyzję.

– Dla małego. – Podałem plik banknotów Normanowi.

– Naprawdę?! Całą pensję?! – Rękodajny wybałuszył oczy.

Wzruszyłem ramionami. Za miesiąc dostanę tyle samo pieniędzy, wtedy zacznę odkładać na własny interes. Na razie cenniejsze niż ta jedna wypłata jest zaufanie moich ludzi. A ufnych ludzi znacznie łatwiej jest później oszukać.



# Rozdział 17

Postawiłem kołnierz kurtki, chroniąc się przed zimnym wiatrem. Już drugi raz okrążyłem cmentarz i miałem naprawdę dość tej paskudnej pogody, pajęczyn lepiących się do moich spodni i zawrodzenia wietrznych organów.

Od razu po śniadaniu (takim normalnym, niezepsutym i ze świeżym chlebem) zaszyłem się w swojej sypialni, żeby odespać noc. A kiedy tylko się obudziłem, postanowiłem odnaleźć Opal. Poprzedniego dnia dziewczynka wydała mi się natrętnym bachorem, ale kiedy okazało się, że jej sposób na Rogacza zadziałał, zapragnąłem poznać ją bliżej i dowiedzieć się, dlaczego ona wie o działaniu przedzimek, a zarządca nie ma o nim pojęcia.

Dopiero podczas trzeciego okrążenia cmentarza dostrzegłem w dali różową sukienkę i czarne, rozwiane na wietrze włosy.

– Cześć – przywitałem się.

– Dzień dobry – odparła. – Jak idzie dziedzicowanie?

– Kawał beznadziejnej roboty. – Machnąłem ręką. – Tym bardziej że całą moją wypłatę oddałem na dzieciaka Normana.

Sam nie wiem, dlaczego to powiedziałem.

– Naprawdę? – zdziwiła się.

Wzruszyłem ramionami. To nie był żaden wyczyn.

– Powiem ci za to lepszy numer – zmieniłem temat. – Rogacz rzeczywiście jest uczulony na przedzimki.

– To przecież oczywiste – zachnęła się.

– Nie dla wszystkich. – Pokręciłem głową. – Garłacz na przykład nie ma o tym zielonego pojęcia.

– Bo on nie słucha dusz.

Wystawiła twarz do jesiennego słońca.

– A ty słuchasz? – zapytałem. – Przecież nikt postronny nie ma wstępu na cmentarz.

Opal się zmieszała. Na jej jasnych policzkach pojawiły się rumieńce.

– Czasem wspinam się na mur – przyznała się. – Ale nie dalej. Dalej nikomu nie wolno. I siedzę tam i słucham. Te dusze są bardzo nieszczęśliwe, wiesz?

– To akurat łatwo odgadnąć – stwierdziłem. – Gdyby mnie hrabia zrobił w konia tak jak je, to też byłbym nieszczęśliwy.

Przez chwilę szliśmy wzdłuż muru w milczeniu. Wiatr nadal wiał, organy grały upiorną pieśń, a ja dostawałem gęsiej skórki na samą myśl o tym, jakie okropieństwa właśnie spały na cmentarzu.

– No dobra – odezwałem się z niecierpliwością. – Zdradziłaś mi sposób na Rogacza, założę się, że znasz jeszcze wiele takich na inne dusze.

Opal zerknęła na mnie kątem oka.

– A jesteś go dzien je poznać?

Na bogów! Jeszcze chwila, a uduszę tę dziewczynę gołymi rękoma!

– Jako dziedzic chyba jestem – zapewniłem.

– Kalisteron też był dziedzicem.

– I kawałem chu... – zacząłem, ale ugryzłem się w język. – Pomóż mi w mojej pracy. Ja tylko chcę, żeby dusze nie wydostały się z cmentarza i nie zaatakowały wsi ani nie zrobiły krzywdy moim rękodajnym czy zarządcy, który zgrywa takiego cwaniaka, ale jednak jest łagodnym gościem.

– No dooobrze – stwierdziła Opal, przeciągając ostatnie słowo. – Mogę ci zdradzić sposób na Bagniaaka.

– Na Bagniaaka? – powtórzyłem trochę zawiedziony. Już wiedziałem, że jeśli nie niszczyło się jego konstrukcji z kamieni, to stwór przez całą noc zajmował się sam sobą.

– Każdy wie, że nie można niszczyć jego twórczości – powiedziała dziewczynka. – Ale nie jak powstrzymać jego gniew, kiedy już ktoś czy coś namiesza w jego kamieniach.

– Tak? – zachęciłem, odzyskując zainteresowanie.

– Trzeba dać mu nowy, ciekawy kamień – odparła, jakby to była największa tajemnica na świecie.

– I tyle? – Poczułem się zawiedziony.

– Nie widziałeś go w napadzie szału – kontynuowała. – Jak odezwie się w nim zew, Bagniak potrafi być naprawdę niebezpieczny. Ale nikt nie wie, że jeśli da mu nowy kamień, to Bagniak się uspokoi.

Zerknąłem na tę jasną twarz, na której malowała się absolutna szczerłość. Przyjrzałem się orzechowym oczom. Nie kłamała. Raczej.

– I nikt jeszcze nie wpadł na ten pomysł? – dopytywałem.

– Mój tata jest tradycjonalistą – odparła. – Jeśli coś sprawdzało się przez trzydzieści lat, to czemu to zmieniać?

– Twój tata? – powtórzyłem powoli.

Dziewczynka zaczerwieniła się i natychmiast zamknęła usta.

– Kim jest twój tata? – dopytywałem. – To jeden z rękodajnych?

Ale w głębi duszy tak naprawdę znałem odpowiedź. Opal potrząsnęła głową i ruszyła w stronę lasu, ale złapałem ją za łokieć.

– Matko, weź ty się ubierz, jesteś lodowato zimna – powiedziałem, po czym zdjąłem z siebie kurtkę i narzuciłem na nią. – Jest późna jesień, nie możesz sobie ot tak biegać w samej sukience.

– Dziękuję – szepnęła, wtulając policzek w kołnierz podbity sztucznym futrem.

– Czy twoim ojcem jest Roch Garłacz? – zapytałem może trochę zbyt ostro.

Opal pokiwała głową i spuściła wzrok, jakby obawiała się mojej reakcji.

– Dlaczego mi wcześniej o tym nie powiedziałaś?

– Bo tata na pewno by się wściekł, gdyby usłyszał, że z tobą rozmawiałam – wyrzuciła z siebie cicho.

– No dobrze, obiecuję, że nic mu nie powiem o naszych spotkaniach – zapewniłem.

Oblicze Opal rozjaśniło się nieco.

– Na pewno?

– Słowo honoru. – Uniosłem dłoń.

– Bo tata i mama nie dogadują się ostatnio – odezwała się tonem wyjaśnienia. – Kiedyś wszyscy mieszkaliśmy w domku pod lasem, ale później oni zaczęli się kłócić i tata przeprowadził się do dworku, mówiąc, że stamtąd ma bliżej do cmentarza.

Pokiwałem głową ze zrozumieniem. Obowiązek zarządcy – zdawało się, że to było jedyne, co liczyło się dla Rocha.

– No i tata nie chce, żebym zbliżała się do cmentarza – kontynuowała Opal. – Ale ja naprawdę umiem słuchać dusz. I gdyby tylko chciał ze mną o nich porozmawiać... – Rozłożyła ręce.

– ...to jego życie stałoby się znacznie prostsze – dokończyłem, a ona pokiwała głową.

– Naprawdę nie mów mu, że mnie poznałeś, bo się wścieknie – poprosiła jeszcze raz.

– Dobrze, to proponuję zawrzeć umowę – powiedziałem. – Ja nie powiem nic Rochowi, a ty zdradzisz mi wszystko, co wiesz o duszach.

Opal przyłożyła palec do ust, zastanawiając się.

– Jedna dusza, jeden dzień – zastrzegła.

Skrzywiłem się. Trochę długo by to trwało, a ja chciałem wiedzieć wszystko już teraz.

– Na inną umowę nie pójdę – dodała dziewczynka, krzyżując przedramiona na klatce piersiowej.

– Niech ci będzie. – Wyciągnąłem w jej stronę rękę. – To co powiesz mi dzisiaj? – zapytałem.

– Że Bagniak lubi nowe, niezwykle kamienie – odparła z szelmowskim uśmiechem.

– Ale to już wiem – jęknąłem.

– To na twoim miejscu udałabym się prosto do kotłowni.

Zmarszczyłem brwi, a Opal wybuchła śmiechem.

– Węgiel – powiedziała. – Bagniak nie ma w swojej kolekcji żadnego całkiem czarnego kamienia.

– Dobrze, trzymam cię za słowo, że to zadziała – stwierdziłem. – A jeśli nie i zginę w męczarniach, będę cię nawiedzał jako dusza.

– Może nie jesteś taki zły i od razu powędrujesz w zaświaty? – Uśmiechnęła się.

– Akurat – zaśmiałem się. – Na pewno odsiedzę swoje na pokucie na ziemi.

Gdy tylko wróciłem do dworku, zaszedłem do kotłowni, wybrałem najładniejszy w moim mniemaniu kawałek węgla i wsadziłem go do kieszeni bluzy. W drugiej zaś miałem przedzimki, które pozbierałem na łące. Jeszcze trochę, a będę musiał doszyć sobie dodatkowe kieszenie.

Ruszyłem do garderoby, żeby poszukać nowej kurtki. Nie miałem serca zabierać Opal tamtej, którą jej dałem. Swoją drogą ciekawe, czy Garłacz

daje jej i jej matce jakieś pieniądze. Dziewczyna była ubrana schludnie, ale jej sukienka na pewno widziała lepsze czasy. A widziałem pensję zarządcy i wcale nie wydawała się taka mała.

Postawiłem stopę na pierwszym stopniu, kiedy usłyszałem muzykę dochodzącą z sali balowej. W tym ponurym dworku muzyka zdawała się czymś zupełnie nie na miejscu.

Wahałem się tylko przez chwilę, po czym skierowałem się do sali. Pchnąłem ciężkie drzwi, dźwięki stały się głośniejsze.

– Co, do jasnego...? – wyrwało mi się.

Na stoliku stał gramofon. Do tej pory myślałem, że nikt już nie używa takich sprzętów, ale w sumie nie to było najdziwniejsze. Na samym środku pomieszczenia Dalia, w pięknej balowej sukni, kręciła się z zamkniętymi oczami wokół własnej osi.

Nie wiem, jak długo stałem w progu i się w nią wpatrywałem, kiedy nagle się zatrzymała i dygnęła przed niewidzialnym partnerem. Uśmiechnęła się do następnego, przyłożyła koniuszki palców do ust, jakby poczuła się zawstydzona, po czym na powrót podjęła swój taniec.

Wariatka. Przecież wiedziałem to już od pierwszego dnia, kiedy ją poznałem. Postanowiłem po cichu się wycofać.

– Nie musisz wychodzić – odezwała się artystka, gdy tylko wykonałem krok w tył.

Zawahałem się.

– Nie masz czasem tak, że przypominasz sobie dawne dni? – zagadnęła, zatrzymując się.

Jej policzki się zaróżowiły, w oczach błyskały iskierki. Przez chwilę wydała mi się dużo młodsza, niż była naprawdę.

– Czasem tęsknię za tamtymi balami – westchnęła, podchodząc do gramofonu. – Za pięknymi sukniami. – Podniosła igłę i muzyka ucichła. – Za stołami zastawionymi słodkościami. Za towarzystwem tylu ciekawych ludzi. – Podniosła na mnie wzrok.

Wzruszyłem ramionami. Nie tęskniłem za pracą u Diogenesa ani za ciotką. Nie tęskniłem nawet za Mirabelką, tylko za wyobrażeniem życia, jakie moglibyśmy wieść. Trochę brakowało mi Penelopy i naszych rozmów na dachu kamienicy. Ale jedyne, za czym naprawdę tęskniłem, to te beztrudne lata spędzone z rodzicami. Ciepło i zapach mojej mamy, głos taty, kiedy opowiadał mi najróżniejsze historie, prawdziwe poczucie

bezpieczeństwa. Tęskniłem też za tym, kim wtedy byłem: naiwnym dzieciakiem, który uwierzył, że naprawdę może zmienić świat.

– Wolę żyć teraźniejszością – powiedziałem krótko.

Dalia zbliżyła się, a mnie owionął zapach jej perfum.

– Chcesz twardo stąpać po ziemi, co? – zagadnęła.

Zapatrzyłem się na jej krzywo umalowane usta i tusz do rzęs, który odbił się na dolnych powiekach.

– Siebie możesz oszukać, ale mnie nie oszukasz – ciągnęła. – Jest w tobie dusza artysty, Maximusie. – Dźgnęła mnie palcem wskazującym w mostek.

– Ukryta na samym dnie, pod betonowym włazem zabezpieczonym zardzewiałym łańcuchem, ale jest tam i tylko czeka, aż ktoś ją uwolni.

Miałem ochotę wybuchnąć śmiechem.

– Nie tym razem, moja droga. – Złapałem ją za dłoń i okręciłem artystką, jakbyśmy tańczyli.

Oparła obie dłonie o moją klatkę piersiową i uśmiechnęła się do mnie.

– Ten dwór i ten cmentarz cię potrzebują – powiedziała. – Ale może ty ich też potrzebujesz?

– Tak, właśnie o tym marzyłem: kariera klawisza na cmentarzu pełnym potworności – odparłem.

Drugie drzwi do sali otworzyły się z hukiem i stanęła w nich Irys. Wyraźnie spieszyła się na widok mnie i Dalii stojących tak blisko siebie.

– Ja... eee... tego... – zaczęła się jąkać.

– Tak, kochanie? – odezwała się niczym niezrażona artystka.

– Obiad – bąknęła dziewczyna i zniknęła za drzwiami.

– Zatem chodźmy. – Dalia wzięła mnie pod rękę i razem przeszliśmy do jadalni.

W starej i trochę wyszczerbionej wazie parował rosół. Nałożyłem go trochę dla Dalii i całkiem sporo dla siebie. Wtem usłyszałem ujadanie. Drgnąłem nerwowo. Ktoś, kto choć raz zobaczył cmentarz, już zawsze będzie się bał, że dusze się z niego wydostaną.

Do jadalni wpadły psy z tym swoim ujadaniem. Były niczym jedna wielka kotłowanina futra, łap i zębów. W biegu podgryzały sobie nawzajem łapy i, o matko, jak one się śliniły! Nagle Szczypior chyba zapomniał się w zabawie i wskoczył prosto na stół.

– Cholera! – krzyknąłem, podrywając się na równe nogi.

Durny kundel wsadził łapę w mój talerz, wylewając zupę na stół, i jak gdyby nigdy nic zeskoczył na podłogę.

– Głupie psisko! – Pogroziłem mu palcem.

Do jadalni wkroczył ogrodnik z tym swoim wielkim brzuchem.

– Szczypior! Coś ty znowu narobił?! – zwrócił się do kundla, który właśnie wylizywał makaron spomiędzy opuszków.

Lawa i Koza zaczęły kręcić się wokół moich nóg, również licząc na coś smacznego. Zamęt podskakiwał w miejscu, jakby chciał zobaczyć, co jeszcze znajduje się na stole.

– Przepraszam za nie, trochę rozpira je energia, bo jeszcze nikt nie zabrał ich na spacer – rzucił Konrad.

Usiadłem na krześle i strąciłem ze stołu kawałek marchewki. Zamęt złapał ją w locie. Lawa o błękitnych oczach spojrzała na mnie i szcęknęła nagłaco.

– Cicho! – zganił ją ogrodnik. – Idziemy! – Gwizdnął, a psy, ujadając, pobiegły za nim.

– Przydałoby się im jakieś szkolenie czy coś – mruknąłem.

Dalia przez cały czas jadła spokojnie zupę.

– Kochane zwierzaki – odparła, jakbyśmy mówili o czymś zupełnie innym. – To są takie duże pieszczochy.

– Uhm – mruknąłem, sięgając po nowy talerz.

– Jak idzie czytanie dzienników Anzelma? – zagadnęła po chwili malarka.

Pokiwałem głową, po czym przełknąłem coraz chłodniejszą zupę.

– Pisał ciekawe rzeczy – przyznałem. – Szkoda tylko, że tak długo rozwodził się nad moralnością dusz i hrabiego, a tak mało napisał o samych duszach.

– Jego dzienniki są naprawdę ciekawą lekturą, ale trzeba przyznać, że Anzelm był tylko teoretykiem. – Dalia wytarła kąciki ust rąbkiem serwetki.

– Na cmentarz wybierał się wyłącznie raz w tygodniu, i to za dnia, żeby skropić własną krwią ziemię.

– A nie było jakiegoś praktyka, który napisałby dziennik? – zapytałem ironicznie.

Dalia zaśmiała się, jakby to był przedni żart.

– I to jest właśnie problem z teoretykami i praktykami! Każdy dziedzic prowadził swoje dzienniki...

– Każdy? – zdziwiłem się. – To dlaczego nikt mi jeszcze o tym nie powiedział?

Już miałem ochotę popędzić do gabinetu. Może w innych dziennikach będą sensowniejsze informacje, jak na przykład taka, że Rogacz jest uczulony na przedzimki. Ciekawe, czy Opal miała kiedykolwiek dostęp do biblioteczki. Może właśnie stąd czerpie te swoje sposoby na dusze?

– Spokojnie. – Dalia położyła rękę na mojej dłoni. – Dostałeś dzienniki Anzelma, bo one są najlepiej napisane. Pozostałe to – zasmakowała – częstokroć okropna grafomania. Tobiasz pisał o swoich rozterkach miłosnych i tylko co jakiś czas wtrącił coś o nocy spędzonej na cmentarzu. Abel przesiadywał tam prawie cały czas, ale był naprawdę kiepski w pisaniu. *Dziś Hugo chciał zwiać. Zawlokłem go z powrotem do grobu. Albo: Trzeba jakoś wypielić Florę. Naplułem Śmiercianowi prosto w tę jego paskudną gębę.* Tam nie znajdziesz żadnych sensownych porad.

Zgarbiłem się na krześle. Zapał do pracy zupełnie ze mnie wyparował.

– Ty czytałaś te wszystkie dzienniki? – zainteresowałem się po chwili.

– Mieszkam tu już od dawna. – Uśmiechnęła się słabo. – Coś trzeba robić w długie zimowe wieczory. Poza tym kiedyś chciałam pomóc mojemu Salomonowi i wyszukiwałam dla niego wszystkie najważniejsze informacje.

– A Kalisteron? – zapytałem bez większych nadziei. – On ponoć był inteligentny.

– I na pewno prowadził dzienniki – przyznała Dalia. – Ale ich akurat nikt nigdy nie odnalazł. Tak samo jak dzienników Morta, syna Glariusza. Choć szczerze mówiąc, nie jestem pewna, czy chciałabym czytać dzieła Kalisterona.

– I nikt nigdy nie szukał tych dzienników?

Do jadalni wkroczyła Irys, niosąc przed sobą półmisek z pachnącą pieczenią. Przez chwilę zawiesiłem na nim wygłodniałe spojrzenie.

– Oczywiście, że każdy kolejny dziedzic ich szukał – zaśmiała się Dalia. – Salomon kazał nawet zedrzeć deski z podłogi w sypialni dziedzica, pewien, że znajdzie tam nie dość, że dzieła Kalisterona, to jeszcze Morta. Nawet rozebrał kominek i ostukał każdy centymetr kwadratowy ścian.

– I nic? – Czułem się coraz bardziej zawiedziony.

Dalia pokręciła głową.

– Każdy nowy dziedzic jest przekonany, że to on znajdzie notatki Morta, a może nawet same paki Glariusza i dusz. Ale jak do tej pory nikomu się



nie udało. Niektórzy nawet twierdzili, że Mort tak nienawidził cmentarza, że nie napisał o nim ani słowa.

Wbiłem nóż i widelec w soczystą pieczeń. Nigdy nie wyważałem otwartych drzwi. Skoro poprzedni dziedzice zrywali deski z podłóg i tapety ze ścian, nie było sensu powtarzać ich wyczynów. Te notatki albo przepadły, albo były ukryte gdzieś poza dworkiem, w miejscu, gdzie nikt by się ich nie spodziewał.

Po obiedzie wróciłem do gabinetu i bez większych nadziei zacząłem ściągać z półek dzienniki kolejnych dziedziców.

Tobiasz rzeczywiście okazał się dość kochliwy i uwielbiał o tym pisać. Już miałem odłożyć jego „dzieła”, ale się zaważałem. W sumie, gdybym kiedyś poszukiwał jakichś oryginalnych wskazówek dotyczących spraw łożkowych, to na pewno znajdę je tutaj.

Rzuciłem dziennik na stół, obiecując sobie, że zabiorę go do pokoju jako lekturę do poduszki.

Później natrafiłem na cienki notes autorstwa Abla. Otworzyłem go na losowej stronie i zamrugałem. Dalia miała rację, ten facet był prawdziwym grafomanem – i na dobrą sprawę idiotą też.

*Drewniaka trzeba postraszyć ogniem, to siedzi w grobie całą noc. Rozpaliłem ognisko przy wejściu do jego grobu. Przez całą noc był spokój, tylko kilka krzaków się spaliło i ogień osmalił dwa drzewa. Ale chyba odrosną.*

*Kupiłem nowy łuk i strzały. Będę je testował dziś na cmentarzu.*

Przewróciłem stronę.

*Najlepszym celem okazał się Żabol. Groty wchodzą w jego grube cielsko jak w masło. No i nie ma problemów z trafianiem. Najgorzej jest wykurzyć go z tej jego jamy. Ale jak już z niej wylezie, to można używać do woli. A jak się wywróci, to macha tłustymi łapami w powietrzu jak stonka na grzbiecie.*

Zmarszczyłem brwi. To nie był idiota, tylko zwykły sadysta. Nie wiem, która dusza to ten biedny Żabol, ale zrobienie sobie z kogoś tarczy strzelniczej nawet mnie wydawało się chore.

Przewróciłem kilka kolejnych stron.

*Zastawiłem wnyki na Anatola. Złapał się w nie i wpadł w dziką furję. Do południa odgryzł sobie łapę i wrócił do grobu, ale przez następne trzy noce nie wyściubił z niego nawet nosa, aż mu odrosła.*

Zamknąłem dziennik i przyjrzałem się brudnej, pogniecionej okładce. Czy to znaczy, że dziedzice byli bezkarni? Dopóki dusze nie opuszczały cmentarza ani nikt niepowołany nie zakradł się na jego teren, można było robić, co się chciało? Można było dla zabawy strzelać do dusz, zastawiać na nie wnyki i gnębić je w każdy możliwy sposób? I nikogo nie obchodził los istot, które zostały oszukane przez hrabiego?

Potrząsnąłem głową. Większość tych dusz nie znalazła się na cmentarzu osobliwości, bo były dobrymi ludźmi. Przecież Glarius specjalnie wyszukiwał między innymi morderców i najróżniejszych zbrodniarzy, aby pochować ich tutaj.

Oparłem stopy skrzyżowane w kostkach o biurko i zastukałem palcami w poręcz fotela. Byłem przeciwny bezsensownemu okrucieństwu, ale w mojej głowie wciąż kołatała myśl: *dziedzice są bezkarni*. I co to zmienia w mojej sytuacji? Co mogę na tym zyskać? Codziennie chadzam po ziemi, w której Glarius ukrył bogactwa. Z jakimi kruszcami chował ludzi, z którymi podpisał pakt? Oferował im tylko złoto? Kamienie szlachetne? Może nawet obsydian?

Potrząsnąłem głową. Nawet ja nie byłem aż takim szczurem, żeby okradać zmarłych. Jasne, może wiele z tych dusz nigdy nie odejdzie do zaświatów, może nie potrzebowały tego złota, ale to było jedyne, co im zostało.

Przysnąłem, a śniły mi się złote monety i naszyjniki błyszczące od kamieni.

Nagle usłyszałem kroki. Uchyliłem powieki i ujrzałem potężną postać idącą w moim kierunku. Przez sekundę przypominałem sobie drogi ucieczki i wszystkie przedmioty znajdujące się na wyciągnięcie ręki, które mogłyby posłużyć jako broń. Ale wtedy kolejny raz uświadomiłem sobie, że przecież jestem u siebie. Nie muszę ani uciekać, ani się bronić.

Roch zatrzymał się przed biurkiem i położył na nim siekiere.

– W czym mogę ci pomóc? – zapytałem nazbyt uprzejmym tonem, nie zdejmując z blatu stóp.

– W co ty sobie pogrywasz? – warknął zarządca.

Opuściłem nogi i się wyprostowałem.

– A co masz dokładnie na myśli?

– Już ty dobrze wiesz co.

Roch oparł się pięściami o biurko i pochylił w moją stronę, świdrując mnie spojrzeniem błękitnych oczu. Blizny na jego twarzy poruszyły się jak osobne organizmy.

Zrobiłem przegląd własnych poczynań. Miałem w głowie wiele niecnych planów, ale on o żadnym z nich nie mógł przecież wiedzieć.

– Szczerze? Nie mam pojęcia – odparłem zgodnie z prawdą.

– Dlaczego oddałeś wszystkie swoje pieniądze Normanowi?!

– Ach, o to chodzi! – Oparłem się wygodnie w fotelu. – Nie rozumiem. – Zmarszczyłem po chwili brwi. – Wściekasz się na mnie, że chcę pomóc choremu chłopakowi?

– Dlaczego to zrobiłeś? – wycedził zarządca.

– Myślałem, że wszyscy składają się na leczenie – rzuciłem, nadal nie rozumiejąc jego wybuchu.

– Wszyscy, ale nie ty! Ja już znam takich jak ty. – Wycelował we mnie palec. – Tylko kombinujesz, jak zarobić na całym tym interesie! A jeśli oddałeś swoją pensję, na pewno masz plan, jak zyskać na tym znacznie więcej!

– Roch, daj spokój. – Machnąłem ręką. – Jak mógłbym na tym zarobić? Przecież znasz takich jak ja. – Wzruszyłem ramionami. – Przez większość życia klepałem biedę. Nie raz i nie dwa spałem na ulicy. A ten dworek trafił mi się jak ślepej kurze ziarno. Mam niewiele potrzeb: ubrać się w coś w miarę czystego i napełnić żołądek. Więcej nie potrzebuję. Na co miałbym wydać te pieniądze?

– Na nic – burknął. – Ale nie myśl, że nie widzę, jak wciąż coś kombinujesz! Doskonale wiem, że cały czas kombinujesz! A jak trafi ci się okazja, to sprzedasz cały dworek razem z cmentarzem i ludźmi!

Trochę mnie zdenerwował takimi oskarżeniami, tym bardziej że nie miał na to żadnego dowodu. Podniosłem się z fotela, oparłem dłonie o biurko i pochyliłem się w jego stronę tak, że nasze twarze znalazły się zaledwie kilkanaście centymetrów od siebie.

– Własną krwią podpisałem pakt, w którym jasno stoi, że nie mogę sprzedać dworku – wycedziłem. – I właśnie z powodu takich jak ty oddałem

całe pieniądze. Nigdy nigdzie nie miałem prawdziwego domu, a kiedy już nadarzyła się na to okazja, usiłujesz mi wmówić, że mam nieczne plany! A może po prostu chciałem kupić sympatię Normana?! Może chcę, żeby inni przestali patrzeć na mnie jak na obcego?!

Zarządca zrobił speszoną minę i cofnął się o krok. W duszy pogratulowałem sobie sprytu. Umiałem zagrać na cudzych uczuciach.

A wtedy Garłacz się uśmiechnął, jego oczy nie były jednak radosne.

– Nieźle. – Skinął głową. – Ale mnie na to nie nabierzesz. Nabrałeś Dalię, Aster i Normana. Ale uważaj, bo ja będę cię obserwował. – Wziął siekiere i skierował się do drzwi.

Prychnąłem pod nosem.

– Przynajmniej ktoś w tym dworku dba o własne dziecko – rzuciłem złośliwie.

Zarządca odwrócił się gwałtownie. Jego spojrzenie ciskało gromy.

– Coś ty powiedział? – wycedził.

– Że Norman jest dobrym ojcem – odparłem, hardo patrząc mu w oczy.

Nie zamierzałem dać się zastraszyć. Poza tym chciałem, żeby Roch wiedział, że nie tylko on obserwuje i ocenia innych.

Nic nie odpowiedział, po czym z wściekłością wymaszerował z gabinetu. Pewien, że wygrałem jedną małą batalię, usiadłem z powrotem za biurkiem, ale jakoś nie mogłem się skupić na dziennikach. Sprzeczka z zarządcą wytrąciła mnie z równowagi.

Zerknąłem na kubek z zaschniętymi fusami po kawie i nagle poczułem, że muszę wypić coś mocniejszego. Od razu ruszyłem do kuchni – na szczęście nikogo tam nie było – i zacząłem przetrząsać szafki. Niestety jedyne, co znalazłem, to ocet jabłkowy w ciemnej butelce.

– Co za kucharka nie ma nawet wina w kuchni?! – mamrotałem pod nosem, gdy mój wzrok padł na puszkę po ciastkach. Obrazek na niej wyblakł i miejscami zaszła rdzą, co sugerowało, że wcale nie ma w niej łakoci.

Obejrzałem się jeszcze za siebie i przez chwilę nasłuchiwałem kroków, ale nikt się nie zbliżał, więc bez wahania sięgnąłem po nią i otworzyłem wieko. W środku kryło się kilka banknotów i monet, pewnie pieniądze na zakupy spożywcze.

– A skoro całą moją pensję oddałem na dzieciaka Normana, nikt się nie obrazi, jak pożyczę sobie dychę – stwierdziłem.

Wsunałem banknot do kieszeni i pięć minut później szedłem już szutrową drogą w stronę wsi.

# Rozdział 18

Wieś o uroczej nazwie Pogorzelska okazała się dziurą zabitą dechami. Dosłownie. Znajdowała się w dolinie, a wiele lokali, które niegdyś były chyba sklepami, teraz miało powybijane witryny, a w środku hulał wiatr. Ludzie tutaj mieli jakieś takie szare twarze, wpatrywali się w ziemię i mijali mnie, jakbym był niewidzialny. Nie różniło się to zbyt od zachowań miastowych, ale sam nie wiem... Może oczekiwałem radosnych wieśniaków z rumieńcami na twarzach? Kobiet z wiankami we włosach i koszykami zawieszonymi na przedramionach? Jowialnych mężczyzn wracających z pola z widłami w rękach – czy czego oni tam używali?

Szerokim łukiem ominąłem najokazalszy budynek we wsi – zapewne biuro notariusza. Jakoś nie chciało mi się z nim gadać. W końcu zdołałem namierzyć knajpę. I dopiero ona mnie nie zawiodła: stary, drewniany szyld z wyblakłą nazwą i jakimś koszmarnym rysunkiem, który chyba przedstawiał dwa tańczące kufle pełne piwa. Albo grube żółte świnię uprawiające seks.

Pchnąłem drzwi, które skrzypnęły głośno, i wmaszerowałem do środka. Natychmiast wszystkie głowy zwróciły się w moją stronę. Uniosłem rękę, jakbym chciał za jednym zamachem przywitać się ze wszystkimi. Przez chwilę wpatrywali się we mnie, a później wrócili do swoich zajęć.

Kilku podpitych jegomościów grało w rzutki pod ścianą, jakiś obleśny dziadek zagadywał kelnerkę, jakby liczył na to i owo, grupka młodych ludzi cięła w karty w rogu. Ot, zwykła wiejska knajpa.

Usiadłem za barem i wytarłem blat serwetką, żeby nie wsadzić łokci w rozlane piwo albo coś jeszcze gorszego. Barman skinął mi głową. Był potężnym mężczyzną z wielkim brzuchem i sumiastymi wąsami, które

chyba codziennie kręcił na jakiś smalec, bo w brodzie dostrzegłem kawałki jedzenia, może nawet skwarki. Miał na sobie brudny fartuch i wycierał kufel zakurzoną szmatą. Nie mogłem powstrzymać uśmiechu wypływającego mi na twarz. To był tak kliszowy obrazek, że aż piękny.

– Co podać? – zagadnął barman. – Nie mamy koniaku ani whisky.

Czyli domyślił się, że jestem dziedzicem.

– A macie dobre piwo? – zapytałem.

Uradowany pokiwał głową.

– Mamy najlepsze piwo w okolicy – zapewnił.

– To poleje pan! – Rzuciłem dychę na blat.

Barman, który za barem wyglądał trochę jak słoń w składzie porcelany, podał mi pełen kufel. Upiłem łyk, a on przyglądał mi się z uwagą. Piwo było paskudne, rozwodnione i na pewno piłem już w moim życiu znacznie lepsze, ale też zdarzało się pić gorsze. Szczególnie gdy byłem na Szantach i znalazł się ktoś na tyle hojny, żeby uraczyć mnie lokalnym wyrobem.

– Znakomite – skłamałem, a barman z zadowoleniem pokiwał głową. – Spokojny wieczór, co? – zagadnąłem po chwili.

Mężczyzna wzruszył ramionami. Kelnerka właśnie wymierzyła siarczysty policzek staruchowi, a ten zarechotał, jakby to był element gry wstępnej.

– Dopóki nic nie wylezie z cmentarza, żeby nas pozabijać w łózkach, to na nic nie narzekamy – odezwał się po chwili barman, po czym spojrzał na mnie znacząco.

– Tydzień temu nie miałem pojęcia, że jestem dziedzicem – powiedziałem, upiwszy kolejny łyk. – Ale dziś jestem tu i słowo daję, że zrobię wszystko, aby dopilnować dusz. Nie uciekam od obowiązków. A skoro płynie we mnie choć odrobina krwi hrabiego, który zechciał zabawić się w boga, czuję się odpowiedzialny za to, co stworzył.

Barman, wciąż wycierając ten sam kufel, powoli pokiwał głową, a ja spróbowałem przybrać najbardziej szczerzy wyraz twarzy, jaki miałem w zanadrzu.

– Może nie wychowałem się na salonach – podjąłem, świadomy tego, że co najmniej połowa gości baru mnie słucha. – Nikt nie udzielał mi lekcji fechtunku ani gry na fortepianie. Ale, jak bogów kocham, pół życia spędziłem na ulicy, nie boję się pobrudzić sobie rąk i wiem, jak ogłuszyć kogoś jednym ciosem. Nie o takiej przyszłości marzyłem, ale jestem tu i nie zamierzam tak łatwo odpuścić. – Z rozmachem opróżniłem mój kufel.

Barman, najwyraźniej usatysfakcjonowany, skinął głową i dolał mi piwa.

– Na koszt firmy – dodał. – Kasar jestem. – Podał mi rękę.

Uśmiechnąłem się do niego z wdzięcznością, a ludzie za moimi plecami zdawali się odetchnąć z ulgą. Zupełnie jakby gruby oberżysta był tu jakimś guru i od niego zależało, czy społeczność mnie zaakceptuje.

Wtem poczułem ciężar na ramieniu. Spojrzałem lekko w bok i zobaczyłem wielkie, brudne łapsko. Dalej znajdowało się grube przedramię i olbrzymi biceps naznaczony wyblakłymi tatuażami. A to wszystko należało do wielkiego kolesia o naprawdę wrednym spojrzeniu.

– Skoro jesteś taki cwaniak, to może zmierzysz się ze mną? – warknął, a mnie owionął zapach czosnku.

Szybko oceniłem moje szanse na niewielkie. Na rękę bym z nim przegrał. Owszem, znałem pewne triki, jak ustawić własny tors w stosunku do przeciwnika, żeby wygrać, ale w tym przypadku nawet to by mi nie pomogło. Z kolei z bezpośredniego starcia pewnie uszedłbym z życiem, ale i tak wylądowałbym w szpitalu. Zacisnąłem rękę na kuflu. Jeśli rozbiję go na głowie kolesia i kopnę go w klejnoty, zyskam wystarczająco czasu, żeby zwiać. A biegałem szybko, zanim lokalsi zorientują się, co się stało, ja już będę w połowie drogi do Lawendowego Dworku. Ale przecież nie byłem tu po to, żeby wszczynać bójki i uciekać jak tchórz.

Poderwałem się z krzesła, stanąłem przed wysokim rudym przeciwnikiem i rozłożyłem ręce.

– A po co się bić, skoro możemy się razem napić? – zapytałem lekko, wciąż szukając kątem oka ewentualnej broni i drogi ucieczki.

Facet zmarszczył brwi i zacisnął pięści. Bogowie, zaraz mi przywali, a ja jak długi runę na ziemię. Mało to honorowe, jeśli jest się dziedzicem.

– Pływałeś na Złotej Fali, prawda? – wypaliłem, starając się wypatrzeć, czy miał wszystkie palce u lewej dłoni.

Dryblas zawahał się.

– Fale, zachodzące słońce i żagiel. – Wskazałem brodą jego tatuaż na ramieniu. – Tylko że fale powinny być w drugą stronę. – W zastanowieniu podrapałem się po brodzie.

W całym barze zapadła cisza. Wszystkie oczy były wpatrzone w nas. Miałem wrażenie, że słyszę, jak barman nadal wyciera szmatą kufel.

– Mój ojciec pływał – mruknął rudy facet.

– A znał Tytusa? – Postanowiłem kuć żelazo póki gorące.



Mój przeciwnik zmarszczył brwi, po czym dźgnął mnie palcem w klatkę piersiową.

– A ty skąd znasz Tytusa? – zapytał groźnie.

Zawahałem się. Jeżeli ojciec rudzielca był przyjacielem Tytusa, prosta sprawa: kumpel mojego kumpla i tak dalej. Ale jeśli byli wrogami...

– Tytus wisi mi kasę – rzuciłem, nie wyjaśniając nic więcej. Akurat z tego stwierdzenia mogłem wybrnąć w każdy sposób.

Rudzielec splunął na podłogę.

– Kapitan za dychę! – wycedził. – Kiedy kasowali port, a Złotą Falę sprzedali na złom, nie zrobił nic!

Pokiwałem ze zrozumieniem głową.

– Nie walczył o swoich ludzi! Poddał się! Dał się przesiedlić do tego przeklętego Żaropola! A przecież tyle razy przekonywał, że ma słoną wodę we krwi!

– Uciekł jak ostatni tchórz – przyznałem, choć wiedziałem, że wiele innych rzeczy jeszcze kierowało Tytusem. Na przykład groźba śmierci albo zesłania, jeśli będzie się stawiał. – A twój ojciec? – zapytałem.

– Nie dał się przesiedlić do tego cholernego miasta – burknął rudy, po czym usiadł na krześle obok mnie. – Pochodził stąd, więc tutaj wrócił.

– Ale nie potrafił już żyć na lądzie – dokończyłem.

Wiedziałem, co działo się z szanciarzami. Co prawda przesiedlili ich, kiedy mnie jeszcze nie było na świecie, ale widziałem te puste spojrzenia ludzi, których wyrwano z korzeniami z ich świata. Odebrano im wolę życia i chęć walki.

– Nie potrafił – przyznał rudy. – I to go zabiło.

– Przykro mi. – Klepnąłem go w ramię. – Panie Kasar, poproszę piwo dla mojego nowego kolegi!

Barman gwizdnął pod nosem i napełnił kolejny kufel. Ludzie w barze wrócili do swoich zajęć. W ich twarzach zobaczyłem rozczarowanie. Chyba liczyli na widowisko, jak to dziedzic dostaje po gębie od syna marynarza.

– Edwin jestem – powiedział rudzielec.

– Max. – Potrząsnąłem jego wielkim łapskiem. – Jestem dziedzicem i stawiam kolejkę dla każdego!

Barman uniósł brwi i nawet nie drgnął. Chyba wiedział, że tamta dycha to wszystko, co mam przy sobie. Cholerka, trzeba było wziąć też ze sobą

pieniądze od Penelopy, które na wszelki wypadek leżały bezpiecznie ukryte w mojej torbie.

– Całą moją pensję dałem Normanowi na leczenie jego synka – rzuciłem półgębkiem. – Ale rozliczę się z tobą przy następnej wypłacie – obiecałem.

Założę się, że moje przyście do tej knajpy było największym wydarzeniem w ciągu ostatniego roku, więc barman machnął tylko szmatą i zaczął uzupełniać kolejne kufle. Pewnie myślał, że i tak nie odzyska tej kasy, ale może klientela zacznie bardziej dopisywać, skoro pił u niego sam dziedzic Lawendowego Dworku.

Jak się szybko okazało, mój kolega Edwin miał bardzo słabą głowę albo był już po kilkunastu piwach, bo ledwie zdążył wychylić kufel, który mu postawiłem, a jak długi runął na podłogę. Na szczęście natychmiast znalazło się dwóch jego kumpli, którzy zaciągnęli go do domu.

Nie minęła godzina, a stałem się przyjacielem wszystkich. Wygrałem partię w rzutki, prezentując wielkowiejski styl, który opanowałem, pracując dla Diogenesa. Zresztą zawsze miałem dobrego celu, nawet wtedy, kiedy miotałem kamyczkami z procy w okna wrednych sąsiadów.

Przegrałem z kretelem, acz celowo w karty, ale na szczęście graliśmy na zapałki. Jak zagramy o pieniądze, to pokażę im, jak wygrywa Maximus. Czuję już w głowie lekki szum, słowa wylewały się ze mnie szerokim potokiem. Opowiedziałem wiele anegdotek z miasta z czasów, kiedy pracowałem dla kasty. Oczywiście pominąłem tylko fakt, że byłem zwykłym kurierem.

– No i ten dzieciak, który tak bardzo chciał się do nas zaciągnąć, okazał się nieślubnym synem burmistrza! – zakończyłem jedną z moich lepszych historii. Zupełnie zmyśloną, ale taką, która wywoływała spazmy śmiechu u słuchaczy.

Zazwyczaj, bo teraz, kiedy teatralnie rozłożyłem ręce, poczułem na sobie jedynie spojrzenie kilkunastu par nic nierozumiejących oczu. Zacząłem się zastanawiać, czy nie spaliłem w jakiś sposób całej historii, kiedy tuż za moimi plecami rozległ się basowy rechot.

– Synem burmistrza! – wybuchł barman. – I to nieślubnym!

Pozostali również ryknęli śmiechem. Zanotowałem w głowie, że najwyraźniej wieśniacy potrzebowali nieco więcej czasu na zrozumienie dobrej opowieści.

Znów usiadłem za barem i wyciągnąłem pusty kufel w stronę Kasara.

– Rozliczymy się za miesiąc – ostrzegł ponownie, grożąc mi palcem.

– Oczywiście! – Uderzyłem się pięścią w klatkę piersiową, aż zadudniło. – Zawsze spłacam moje długi.

Ludzie wrócili do swoich zajęć, czyli głównie do picia i grania, a ja zagadnąłem barmana:

– Założę się, że pamiętasz co najmniej dwóch innych dziedziców.

– Czterech – sprostował. – A mój ojciec powadził tę knajpę za poprzednich dwóch.

– Oni padali tu jak muchy, co?

Kasar wzruszył ramionami.

– Ciężka praca w trudnych warunkach – odparł.

– No ale taki Tobiasz to na przykład nadział się na płot – przypomniałem.

Barman obejrzał w świetle lampy kufel, odłożył go na półkę i wziął się do wycierania kolejnego.

– Sam tego na pewno nie zrobił – stwierdził.

– To znaczy? – Nachyliłem się nad barem w jego stronę.

– Ja tam nic nie wiem, ale ludzie mówią, że to dusze go tak załatwiły – powiedział. – Nie spłoszony koń. Coś złapało go za nogi, uniosło wysoko w powietrze i zrzuciło na ziemię, a ten biedak nadział się na bramę cmentarza. Przez wiele godzin tak konał, aż jego zimne ciało znalazł zarządca.

– I nikt się nie zorientował, że brakuje im dziedzica? – Skrzywiłem się.

– Tobiasz był... – Barman zawiesił głos.

– Kochliwy – dokończyłem za niego.

Kasar skinął głową.

– Czasem znikał na kilka dni, bo był u którejś kochanki – przyznał. – Zresztą niejednej we wsi też złamał serce.

Nagle poraziła mnie pewna myśl.

– Czy on nie miał... – zacząłem. – No bo skoro miał tyle kobiet...

– Mówili, że był bezpłodny – wyjaśnił barman. – I nie narobił w Pogorzelskich gromadki dzieciaków, które nadawałyby się na dziedzica.

Pokiwałem głową z ulgą i pewnym żalem. Nie chciałem, żeby nagle okazało się, że jest ktoś, kto ma bliżej do tronu i powinien opiekować się cmentarzem zamiast mnie, zanim zdążę cokolwiek na tym zyskać. A z drugiej strony... właśnie, nie było nikogo, kto przejmie ten wspaniały spadek, jak wszystko zacznie się walić i palić.

– A Abel? – zagadnąłem.

Zarówno Roch, jak i cała służba z dworku ukrywali przede mną wiele faktów. Doskonale zdawałem sobie z tego sprawę. Nie wiem, może nie chcieli mnie straszyć, ale miałem nadzieję, że od kogoś ze wsi dowiem się znacznie więcej.

– Ojciec Tobiasza? – Barman splunął na podłogę. – To był dopiero sadysta.

Tyle to i ja wiedziałem.

– Nie mam pojęcia, co on wyprawiał na cmentarzu, ale wiem, że Garłacz nie raz był u notariusza, żeby ten odwołał go ze stanowiska. – Barman zniżył głos do szeptu. – Ponoć nawet na kolanach go prosił. No ale krew to krew. A Tobiasz był wtedy jeszcze zbyt mały, żeby przejąć interes po ojcu. Zresztą chłopak pochodził z nieprawego łoża i matka wysłała go do szkoły z internatem na drugim końcu kraju. Chyba nie chciała, żeby jej dzieciak miał cokolwiek do czynienia z cmentarzem. Niestety kiedy chłopak był pełnoletni, a kobiecie się zmarło, do jego drzwi zapukał notariusz i opowiedział o spadku po jego ojcu.

Pokiwałem głową. Przecież ja też dałem się złapać na ten sam haczyk. Tylko że ja uciekałem przed kastą i nie miałem gdzie się podziać.

– Jak zmarł Abel? – zapytałem.

Barman jeszcze bardziej pochylił się w moją stronę i zaczął mówić tak cicho, że ledwie go słyszałem.

– Mówią, że jednej nocy dusze rozszarpały go na strzępy – szepnął. – Że nie było nawet co zbierać z chłopca. Znaleźli zaledwie jedną kość udową, którą pochowali na państwowym cmentarzu...

– Na pewno dostał pokutę – stwierdziłem.

Barman wzruszył ramionami. Nikt poza państwowymi urzędnikami nie miał wstępu na normalne cmentarze, więc nikt tak naprawdę nie wiedział, kto i pod jaką postacią pokutuje jako dusza na ziemi. Ale w tym przypadku mogłem być pewien, że bogowie nie wpuściliby takiego sadysty do zaświatów bez odbicia kary na ziemi.

– A wiesz, jak... – Zająknąłem się. – Jak dusze to zrobiły? Wiesz, że bym wiedział, czego się spodziewać.

Chciałem udać nonszalancję, ale chyba słabo mi poszło, bo Kasar ze zrozumieniem pokiwał głową.

– Źle spaliśmy po nocach podczas bezkrólewia – powiedział. – Garłacz zapewniał, że on i rękodajni ogarniają temat, ale wiesz, co dziedzic, to jednak dziedzic.

Uniosłem lekko pełny kufel na potwierdzenie jego słów.

– Mówią... – Zawahał się. – Pamiętaj, że nie mamy informacji z pierwszej ręki, ale to i owo dociera do nas z dworku. Irys łatwo pociągnąć za język...

– To co mówią? – przerwałem mu.

– Bo Garłacz... – zaczął barman, ale szybko ugryzł się w język.

– Co Garłacz? – powtórzyłem cicho, lecz Kasar potrząsnął głową.

– Powiedział, że to dusza, na którą mówią Piękna. Że Abel zabronił ją karmić, że chciał, żeby przeszła na dietę warzywną... No i dostała w końcu szału. Jak go dopadła, to oderwała mu ręce od ciała. Wyrwała mu język i zjadła go na jego oczach. Ponoć nawet oderwała mu... – Barman odchrząknął. – Jajka. I je też zjadła.

– Aua – wyrwało mi się.

– A kiedy inne dusze zobaczyły, że to już jego koniec, że więcej im nie zagrozi... Cóż, one też ruszyły do akcji. Tylko kość udową znaleźli, jak mówiłem.

– Wcale się nie dziwię – przytaknąłem. – Czytałem dzienniki Abla.

– Szczerze? My też odetchnęliśmy z ulgą. W trakcie jego panowania zaginęły trzy osoby z Pogorzelsk.

– Zaginęły? – powtórzyłem. – Nie wyjechały? Nie uciekły?

Ja sam, gdybym się tutaj urodził, zwałbym stąd, gdy tylko nauczyłbym się chodzić.

– Zaginęły – powiedział twardo Kasar. – Ojciec dwójki dzieci. Młoda dziewczyna na granicy dorosłości. Starsza kobieta, która zapuściła tutaj korzenie.

– I myślicie, że to robota Abla?

– Nikt nigdy nic nie udowodnił – przyznał z pewnym smutkiem mężczyzna. – Ciężko cokolwiek udowodnić dziedzicowi.

Ostatnie zdanie zanotowałem sobie w głowie. Warto wiedzieć, na jak wiele można sobie pozwolić.

– Ale doszło do tego, że za jego panowania baliśmy się opuszczać własne domy – zakończył mężczyzna.

Pokiwałem głową ze zrozumieniem. Zaginięcie jest znacznie gorsze niż śmierć. Bo jeśli nie zostaniesz pochowany w należyty sposób, to nie ma

pewności, że twoja dusza powędruje w zaświaty. Może będzie się błąkać po wsze czasy na ziemi, cierpiąc katusze. A nawet jeśli trafi przed oblicze bogów, Asazan i Nazasa zgotują jej paskudne powitanie, bo nie będzie miała przy sobie ani grama złota.

– I nigdy ich nie odnaleziono? – dopytywałem.

– No przecież mówię, że zaginęli – obruszył się barman. – I właśnie dlatego nikt nigdy nie tęsknił za Ablem.

Upiłem łyk piwa i zacząłem się zastanawiać, jak nie popełnić tych samych błędów co poprzedni dziedzice. Nie byłem sadystą ani kochliwym lowelasem, ale to tylko drobny szczegół. Jeśli zginę, to na pewno przylgnie do mnie łątka miastowego cwaniaczka. To mi nie przeszkadzało, problem polegał na tym, jak nie dać się zabić. Nie zamierzałem gnębić dusz ani przeprowadzać na nich dziwacznym eksperymentów, ale nigdy nie wiadomo, kiedy wpadną w krwawy szal i zaatakują człowieka. Założę się, że taki Odo o wyglądzie dżentelmena, przynajmniej z przodu, też ma niejedno na sumieniu i kiedy przestanie nad sobą panować, z wielką chęcią wyrwie flaki pierwszemu napotkanemu człowiekowi.

– Był jeszcze Cyrus – rzucił Kasar. – Ten to dopiero był cwaniaczek...

– Cyrus? – Wyprostowałem się. Nie widziałem w bibliotece dzienników nikogo o takim imieniu.

– No, on był dziedzicem przez zaledwie dwa lata – wyjaśnił barman.

– Uciekł? – zapytałem z nadzieją.

Mężczyzna zaśmiał się gromko, a jego wąsy poruszyły się jak spalone gąsienice.

– Przepuścił cały majątek kuzyna! Sypał pieniędzmi na lewo i prawo. O, widzisz tamten kominek? – Wskazał ręką okazałe palenisko z licznymi zdobieniami i wiszącym na kominie obrazem, przedstawiającym mężczyznę na koniu. – To on go ufundował.

– Ale dlaczego? – Zmarszczyłem brwi.

– Bo nie miał już pomysłu, co zrobić z pieniędzmi!

– Jakimi pieniędzmi?

– Tymi, które zaoszczędził Salomon. Ja byłem wtedy młodym chłopakiem, ale mój ojciec doskonale pamiętał Salomona. Ten facet to dopiero miał łeb na karku. Był już bogaty, jak do nas przyszedł, a później tylko pomnażał majątek. Miałem chyba z dziesięć lat, jak ojciec pozwolił mi pomagać przy przygotowywaniu jedzenia na jeden z balów w dworku.

Bażanty, dziki, perliczki, przepiórcze jaja, galaretki w kolorach tęczy, egzotyczne owoce... Jedzenie i pieniądze lały się wartkimi strumieniami. Ludzie zjeżdżali do dworku z najdalszych zakątków Hatarii. Ach, nawet u nas w knajpie interes kręcił się jak szalony. A największą imprezą zawsze była coroczna wystawa obrazów Dalii. Każdy ze wsi dostawał na nią zaproszenie. Oczywiście nikt z nas nie kupował jej dzieł, bo i tak nie było nas na nie stać, ale przynajmniej można było najeść się za darmo i choć przez jedną noc udawać, że jest się jednym z nich... to znaczy z was. – Zerknął na mnie.

– Do szlachty to mi naprawdę daleko – wtrąciłem.

– No i kiedy Salomon umarł, dworek przejął jego kuzyn Cyrus, hazardzista, który w zaledwie dwa lata przepuścił cały majątek i zaniedbał sam cmentarz.

– Jak oni zmarli? – zapytałem zmęczonym tonem, oczekując na krwawe szczegóły.

– Nie mam zielonego pojęcia, co dorwało Cyrusa. – Barman pokręcił głową. – Na pewno nie spotkał go miły koniec. Ale Salomon chyba jako jedyny zmarł we własnym łóżku.

– Naprawdę? – Uniosłem w zaciekawieniu brwi.

– Taa, chłopiny nie dorwały dusze, tylko zeżarł go rak.

Również nie taką przyszłość dla siebie widziałem, ale to chyba było lepsze niż bycie rozerwanym na strzępy przez dusze, prawda?

Zajrzałem do kufla z piwem – zabawne, po kilku kolejkach już nie smakowało tak źle – i spróbowałem uporządkować to, co miałem w głowie.

Trudno dowiedzieć się wiele o pierwszych dziedzicach. Syn Glariusza, Mort, nie pochwalał istnienia cmentarza, a jego dzienniki zaginęły lub w ogóle nie istniały. Przez jakieś siedemdziesiąt lat za wiele nie działo się ani w dworku, ani na cmentarzu. Do czasu, aż dziedzicem został Kalisteron o mrocznym i wypaczonym umyśle. Zabity przez Śmierciana. Później przyszła kolej na Anzelma, który napisał najlepsze dzienniki. Był otyły i dobronudny i rzadko zaglądał na cmentarz, ale miał dobrego zarządcę. Następny był Edgar, który jak dla mnie, na razie niczym się nie wyróżnił, i jego syn Salomon. Salomon, facet Dalii, był bogaty i inteligentny, ale zmarł na raka. Później władzę przejął jego kuzyn Cyrus, hazardzista, który przepuścił majątek. Następni w kolejce to Abel sadysta, rozerwany przez Piękną, i jego nieślubny syn Tobiasz, który kochankę miał

chyba w każdym mieście w promieniu dwustu kilometrów. On zginął nadziany na płot.

– Mam przed sobą zarąbiste perspektywy – mruknąłem.

Barman syknął cicho, a ja obejrzałem się na drzwi, w których stanął Samson.

– Obowiązek wzywa. – Wychyliłem do końca kufel i wstałem z krzesła, przy czym trochę zakręciło mi się w głowie.

Rękodajny szybko odszukał mnie wzrokiem.

– Nadchodzi zmierzch – rzucił cicho, podszedłszy.

– Jak nic się ściemnia – dodałem, patrząc przez okno.

– Roch się wkurzy, jak nie pojawisz się dziś na cmentarzu, co nie?

– To może niech Roch tu przyjdzie i przeprosi mnie za rzucanie bezpodstawnych oskarżeń? – zaproponowałem.

Samson przestąpił z nogi na nogę, widocznie się spieszył. Nie mam pojęcia, co Garłacz naopowiadał mu o naszym małym ścięciu.

– Dobra, ktoś w tym dworku musi być mądrzejszy – stwierdziłem, ściągając bluzę z oparcia krzesła. – Rozliczymy się po mojej następnej wypłacie. – Machnąłem ręką w stronę barmana. – Do następnego! – zawołałem do pozostałych. – Obowiązek wzywa!

Wszyscy goście w barze albo mi pomachali na do widzenia, albo unieśli z uznaniem swoje kufle, a ja nie mogłem oprzeć się wrażeniu, że spoglądają na mnie, jakbym już był martwy.



# Rozdział 19

– Patrzcie, któż to zaszczyił nas swoim towarzystwem! – zawołał na mój widok Roch, chowając w wewnętrznej kieszeni kurtki papierośnicę.

– Dziedzic we własnej osobie – odparłem uszczypliwie. – Człowiek, bez którego nawet nie potrafisz zobaczyć dusz.

Dałbym głowę, że oczy zarządcy błysnęły błękitem. Tak samo jak te rękodajnego Olafa. Czyli pomimo obecności dziedzica nadal pracowali na łzach.

– Raczej pajac, który skacze po stołach w barze, żeby tylko zyskać aplauz wieśniaków – powiedział złośliwie Roch.

– To była dobra opowieść i wymagała ekspresji – powiedziałem, siląc się na spokojny ton. – Nie wiedziałem, że zarządca ma swoich szpiegów w barze. Gdybym wiedział, to postarałbym się o lepsze przedstawienie.

Garłacz odwrócił się ode mnie i zaczął majstrować przy kłódce od cmentarza, a ja poczułem odrobinę satysfakcji, że tak naprawdę mnie potrzebował.

– Możemy skupić się na naszej pracy? – odezwał się Olaf.

Był trochę mniejszy niż pozostali jego koledzy po fachu, co wcale nie sprawiało, że wyglądał mniej groźnie. On nosił za paskiem maczetę i dałbym głowę, że dobrze potrafił się nią posługiwać. Zresztą z tego, co słyszałem, był najstarszym rękodajnym, a to już coś znaczyło. Ciekawe tylko, jakie zrządzenie losu sprawiło, że dał się wmanewrować w tę paskudną robotę.

Jak co dzień, musieliśmy ominąć kłęczą Flory, która coraz bardziej wchodziła na ścieżkę zarządców, a jej jasnoróżowe kwiaty zdawały się uważnie śledzić każdy nasz ruch. Sprawdziliśmy, czy krata nad grobem

Śmierciana nadal trzyma, czy nikt nie zniszczył kamiennego obrazu Bagniaka. Na próbę podrzuciłem obok jego dzieła mały, błyszczący kamyk. Zobaczymy, czy mu się spodoba. Dalej sprawdziliśmy, czy Hugo nie opuścił swojej krypty. Zastanowiłem się, czy nie powinienem powiesić bukietów przedzimek wokół grobu Rogacza, ale szybko porzuciłem ten pomysł.

– Co tam jest? – zainteresowałem się, kiedy w oddali, w gąszczu krzaków dostrzegłem spory pagórek.

– Krypta Żabola – odparł Olaf.

– I dlaczego jego nie sprawdzamy? – dopytywałem.

– Bo on jest jedną ze spokojniejszych dusz – wyjaśnił rękodajny. – Od ponad dziesięciu lat nie opuścił swojej jamy.

– Jest taki grzeczny, a znajduje się w trzecim kręgu? – wyraziłem swoje zdumienie.

Już zdążyłem się zorientować, że w trzecim kręgu znajdowały się dusze znacznie groźniejsze niż w pierwszym.

– Wiesz, to chyba jest tak jak ze Śmiercianem – powiedział Olaf, patrząc na plecy zarządcy, który skręcił ze ścieżki, aby sprawdzić jakiś kolejny grób. – Nikt nie spodziewał się, że będzie aż taki niebezpieczny, dlatego znajduje się w drugim kręgu. Z kolei Żabol miał być bardziej krwiożerczy, dlatego trafił do trzeciego, ale okazał się bardzo spokojną i grzeczną duszą.

– I niech zgadnę: wygląda jak wielka żaba?

– No raczej, stąd jego przezwisko. – Olaf schylił się po niewielki kamyk i zaczął podrzucać go w dłoni. – Ale ma chyba ze trzy metry wzrostu i tyle samo w obwodzie...

– Że co?

– No gruby jest, no. Ma takie tłuste łapki, które ledwo są w stanie unieść jego ciężar. Może nawet dlatego nie wyłazi ze swojej jamy? Żeby się pod nim nie połamały? I ma taki długi szcurzy ogon... Cholernie obleśny.

Stanęliśmy przed łąką jasnego piasku. Wyrwałem z niej kilka roślinek i zerknąłem na ciemną kryptę Pszczelarza, ale nie dostrzegłem w niej żadnego ruchu.

– A tak z innej beczki – zagaiłem. – Gdzie pochowali Glariususa?

– Na państwowym cmentarzu – odparł Olaf.

– A wiadomo, jaką postać przybrał? – zainteresowałem się.

Rękodajny pokręcił głową. Jak dla mnie to wszyscy powinni wiedzieć, jak po śmierci wyglądał Glarius i jak długo pokutował, no chyba że jego kara

trwała aż do teraz, co by mnie jakoś szczególnie też nie zdziwiło, żeby już nigdy nikomu nie przyszło do łba, że założenie kolejnego cmentarza osobliwości to genialny pomysł.

Olaf wziął zamach i cisnął kamieniem. W ciemnościach nie widziałem jego lotu, ale po kilku sekundach usłyszałem, jak z głuchym stuknięciem uderzył w kryptę, w której skrywał się Żabol. Po cmentarzu poniosł się niski warkot. Miałem wrażenie, jakby ziemia zadrżała, kamienie zaczęły wibrować, a drzewa za chwilę miały się poprzewracać.

– Widzisz? – zagadnął lekko rękodajny. – Nie opuszcza swojej jamy. Nawet jak mu się dokucza.

Przypomniał mi się wpis z dziennika Abla, jak to zrobił sobie z Żabola tarczę strzelniczą. Ponoć dusza wtedy nieźle się wściekała. Ale taki kamyk rzucony w stronę jamy nie mógł się równać ze strzałami. Może rzeczywiście akurat nim nie musiałem się przejmować?

Wkrótce dołączył do nas Roch. Wysokie, stare drzewa zaszumiały na lekkim wietrze. Gdzieniedzie rozległo się trzeszczenie grubych pni. W oddali zagrały organy wietrzne, a na moich przedramionach pojawiła się gęsia skórka.

Wkrótce dotarliśmy do kapliczki w samym centrum cmentarza. Tutaj organy grały jeszcze głośniej, zagłuszając i wypaczając inne dźwięki. W pewnej chwili mógłbym przysiąc, że usłyszałem głuchy rytm wybijany przez kopyta pędzące po suchej ziemi, ale moi towarzysze na niego nawet nie zareagowali.

– Rogacz czasem nie zwiął? – rzuciłem, siląc się na nonszalancję.

– Jest pełnia – odparł Olaf, jakby to wszystko wyjaśniało.

– No i? – zapytałem.

– No i podczas pełni Rogacz nie wyłazi z grobu.

Stanęliśmy przed kamienną misą pełną cmentarnej ziemi. Zarządca wyjął zza paska nóż i wyciągnął w moją stronę rękę.

– Przecież tydzień jeszcze nie minął! – zachnąłem się, odsuwając się od niego. – Dopiero trzy dni...

– Ale coraz słabiej widać dusze – stwierdził Roch. – Może rozwodniona krew ma krótszy okres przydatności.

Zerknąłem na Olafa, który przytaknął. Cholera.

– No dalej, nie zachowuj się jak dziewczyna. – Zarządca skinął nagłoco palcami.

– Pozwolisz, że sam to zrobię – mruknąłem, wyciągając własny nóż. – Nie chcę dostać jakiegoś tężca.

– Tężca się dostaje od kontaktu z ziemią, w której są laseczki tężca – odezwał się rękodajny tonem znawcy. – Gaspar nas przeszkolił w tych sprawach.

– A wiesz, gdzie on ten nóż trzymał? – burknąłem, stając nad misą.

Wyciągnąłem przed siebie lewą dłoń i dokładnie ją obejrzałem. Nacięcie wykonane przez Rocha jeszcze się nie zagoiło, a poza tym znajdowało się na samym środku dłoni i wciąż mi przeszkadzało. Może powinienem to zrobić na nadgarstku? Oczywiście nie po wewnętrznej stronie, żebym się tu czasem nie wykrwawił...

– No już! Tnij! – wrzasnął zarządca.

Drgnąłem nerwowo, a z pobliskiego drzewa z upiornym krakaniem zerwały się jakieś wielkie czarne ptaszyska. Wzięłem głęboki wdech i przyłożyłem ostrze do przedramienia.

– Jak baba! – Roch złapał mnie za prawą dłoń, dzierżącą rękojeść noża, i pociągnął.

Syknąłem z bólu, kiedy metal przeciął skórę. Już miałem przywalić zarządcy w pysk.

– Trzymaj tę rękę nad misą! – warknął.

Spojrzałem w dół. Kilka kropli bezcennej krwi dziedzica skapnęło na granitowe płyty kapliczki. Przesunąłem rękę i ścisnąłem ją, żeby krew skapywała jednak do misy.

– Musi być na to jakiś bardziej cywilizowany sposób – mamrotałem ze złością.

– Musisz pogadać z Gasparem, żeby dał ci taki zestaw do upuszczania krwi – przytaknął Olaf. – Wiesz, taka igła, którą się wbija w łokieć.

Posłałem mu wkurzone spojrzenie.

– Serio? I dopiero teraz mi o tym mówisz?

– Nie pytałeś wcześniej.

Dałbym głowę, że zarządca nie powiedział mi o takich rzeczach z czystej złośliwości, a reszta służby z głupoty. Dobra, może nie z głupoty, ale z jakiejś głupiej nieświadomości, jakby z góry zakładali, że jako dziedzic powinienem o wszystkim wiedzieć.

– Bandaża też pewnie nikt dla mnie nie wziął? – burknąłem.

– Nie no, zestaw opatrunkowy to zawsze mamy przy sobie – zapewnił Olaf i zaczął przeszukiwać kieszenie.

Po chwili rzucił mi napoczęte opakowanie z niby sterylnymi gazami i mały bandaż.

Zacząłem owijać swoje przedramię, a szło mi całkiem sprawnie, bo przecież nie pierwszy raz opatrywałem sam siebie, gdy niespodziewanie po cmentarzu poniósł się głośny warkot, a po nim ujadanie. Brzmiało, jakby jakaś wściekła bestia miała już się rzucić na swoją ofiarę.

– Malaria! – wściekł się Roch. – Zostań tu! – rozkazał mi, po czym zbiegł ze schodków wiodących do kapliczki.

– Co to? – zawołałem za nim.

– Anatolowi znowu odbiło! – rzucił Olaf, biegnąc za zarządcą.

Spokojnie skończyłem opatrywać ranę, choć przez cały czas nasłuchiwałem oddalających się kroków ludzi i upiornego ujadania. Wcale nie miałem ochoty iść za nimi i sprawdzać, co to znaczy, że Anatolowi odbiło. Przywołałem z pamięci dziennik Anzelma. Zamknąłem oczy i ujrzałem całą stronę o ubogim szlachcicu hazardziście, który po śmierci przybrał wypaczoną postać swojego ukochanego psa.

Na próbę poruszyłem palcami lewej dłoni. Rana zaboląła, ale nie było źle. Usiadłem na schodkach i zapatrzyłem się w ciemność, w której pobłyskiwały błękitne łyzy. W głowie zaczęły pobrzmiwać mi słowa barmana opowiadającego o śmierci poprzednich dziedziców. Nie zamierzałem skończyć jak oni, a jednocześnie doskonale zdawałem sobie sprawę z tego, jak niewiele nadal wiem o cmentarzu i zamieszkujących go duszach.

Nagle coś zawyło po mojej lewej. Poderwałem się na równe nogi, celując nożem w ciemność. Szlag by to trafił, znów zapomniałem wziąć ze sobą tę przeklętą szablę. Wtem po prawej rozległ się szelest. Coś zbliżało się do mnie niespiesznie. Skierowałem ostrze w tamtą stronę. No i gdzie był ten przeklęty zarządca, kiedy go potrzebowałem?!

W oddali usłyszałem krzyk Olafa:

– Trzymam go!

– Ciągnij! – wrzasnął Roch.

I tyle. Mam nadzieję, że nic ich nie dorwało. Nie to, że tęskniłbym za nimi, ale wolałem nie zostawać zupełnie sam na cmentarzu. Tym bardziej że cokolwiek nadchodziło z prawej, było już coraz bliżej.

– Jestem dziedzicem! – powiedziałem twardo. – Nie zbliżaj się!

Zatrzęsły się pobliskie krzaki. Kilka ciemnych, dałbym głowę, że trujących, jagód posypało się na ziemię.

– Zostań, gdzie jesteś! – prawie krzyknąłem.

Z zarośli wychyliła się ludzka głowa.

– Coś się stało? – zapytał z troską w głosie Odo.

Odetchnąłem z ulgą.

– Nie, nic takiego. – Pokręciłem głową. – Cześć, Odo.

– Dobry wieczór, paniczu – odparł i ukłonił się lekko.

Odwróciłem wzrok, żeby nie widzieć jego gnijących pleców i sypiących się na ziemię larw. Dżentelmen podszedł bliżej, a mnie owionął zapach zgnilizny.

– Piękną mamy noc, nieprawdaż? – zagadnął uprzejmie.

W oddali nadal słyszałem nawoływania zarządcy i rękodajnego oraz wściekłe ujadanie potwornego psa.

– Wprost cudowną – rzuciłem ironicznie.

Odo wciągnął w płuca duży haust powietrza, a z jego pleców spadło na ziemię kilka tłustych larw, które zaczęły się wić, po czym zakopały się w ziemi.

– Uwielbiam zapach lasu tuż przed nadchodzącą zimą – westchnęła dusza.

Wzruszyłem ramionami. W mieście zimę zapowiadały dym unoszący się z licznych kominów i drobinki sadzy osiadające dosłownie na wszystkim.

– Ziemia pachnie wtedy zupełnie inaczej – podjął Odo. – Czuć, że szykuje się do snu.

Spojrzał na mnie i uśmiechnął się.

– Jeszcze panicz zdąży się nauczyć tego zapachu – zapewnił.

Przyszedł mi do głowy pewien pomysł.

– Mogę o coś zapytać?

– Ależ oczywiście.

– Jak się dogadujesz z innymi duszami? – zapytałem.

Odo zmarszczył brwi i rozłożył ręce.

– Co panicz ma na myśli?

– No wiesz, umiesz porozumieć się z nimi wszystkimi? Słuchają cię? Rozumieją?

Dżentelmen westchnął ciężko.

– Co najmniej kilka rozumie – odparł, gładząc dłonią szczękę. – Anatol rozumie. Ale on sam mówi tylko pojedynczymi słowami, więc sobie nie pokonferujemy. Jestem prawie pewien, że Bagniak też rozumie, ale mówi we własnym języku. Zresztą on ignoruje wszystko poza tymi swoimi kamieniami. Do Rogacza trafiają proste komendy. Śmiercian nie rozumie albo nie chce zrozumieć ani słowa. Przepelnia go wieczna wściekłość. Żadna dusza nie chce się zbliżyć do jego krypty. Drewniak nie rozumie zupełnie nic. Piękna tak, ale ona w ogóle nie słucha...

– Aha, to kiepsko. – Westchnąłem ciężko.

– Podejrzewam, że właśnie na tym polega moja kara – odparł. – Że otaczają mnie dusze, z którymi nie potrafię znaleźć wspólnego języka.

– A jak się dogadywałeś z Glariusem?

Odo nagle się zaczerwienił. Na ziemię posypały się kolejne larwy.

– Wybaczy panicz, ale o tej szumowinie nie będziemy rozmawiać – zachnął się, gotów odejść.

– Przepraszam – zapewniłem szybko. Nie chciałem zostawać sam. – Jestem tu nowy, wszystkiego się uczę. I naprawdę proszę o trochę cierpliwości.

Odo odwrócił się, a ja, dzięki bogom, nie musiałem już oglądać jego gnijących pleców.

– Przeprosiny przyjęte. – Skinął głową.

– Chciałbym jak najwięcej się nauczyć o duszach – powiedziałem szczerze. – Chcę na tyle, na ile umiem, ulżyć wam w tym cierpieniu. No i wolałbym nie trafić za szybko na ścianę olejnych obrazów z martwymi dziedzicami.

Odo uśmiechnął się ciepło.

– Mówiłem Rochowi, że panicz jest inny niż jego poprzednicy – zapewnił. – Że nie jest jak Cyrus, Abel czy, uchronicie bogowie, Kalisteron.

– A propos Kalisterona – zagadnąłem. – Nigdzie nie znalazłem jego dziennika. Zapoznałem się już prawie ze wszystkimi dziełami Anzelma, zerknąłem do dziennika Tobiasza, Abła i innych. Ale myślę, że najwięcej wiedzy znalazłbym w zapiskach Kalisterona i Morta. A właśnie ich dzienniki zaginęły.

– Kalisteron był zły – uciął Odo.

– Wiem, ale myślę, że jego wiedza...

– Gdyby tylko znalazł nasze pakty, na pewno znalazłby też sposób, jak jeszcze okrutniej nas pognębić. – Dusza zaczęła się bardziej nakręcać. – Oszukałby nas tak samo albo bardziej niż Glarius! Nie szukaj jego dziennika! On był złem wcielonym!

– A czy jest szansa, że schował ten dziennik na cmentarzu? – zapytałem.

Odo zapowietrzył się ze złości. Zaczął się trząść, a z jego pleców ponownie posypały się larwy.

– Przepraszam. – Przewyciężyłem obrzydzenie i położyłem dłoń na jego ramieniu. Pod palcami poczułem coś lepkiego. – Nie chciałem cię zdenerwować.

Dżentelmen potrzebował chwili, żeby się uspokoić.

– Nie ma tu jego dzienników – zapewnił. – Gdyby były, to wiedziałbym o tym.

– Jesteś pewien? – drażyłem już bez większych nadziei. – Może ukrył je tu za dnia, jak wszyscy spaliście? Może zakopał je pod którymś drzewem?

– Wiedziałbym o tym!

– A może ukrył w którejś krypcie?

– Żadna dusza nie zniosłaby takiego plugawego ohydztwa w swoim grobie! – Głos Odon stał się cienki i piszczący.

– A pakty? – Szybko zmieniłem temat. – Gdzie Glarius mógł ukryć pakty?

Dusza nagle zupełnie znieruchomiała i wpatrzyła się we mnie ze złością. Cofnąłem się o krok, czując na sobie jej wściekłość. Odo zazwyczaj był uprzejmym dżentelmenem, ale nikt nie powiedział mi, co się z nim dzieje, kiedy dopada go zew krwi.

– Czego chcesz od paktów?! – zapytał groźnym głosem.

Miałem wrażenie, że stał się większy, zaczął nade mną górować. Otoczyła nas nieprzenikniona ciemność.

– Chcesz nas wykorzystać?! – grzmiał, a z jego pleców nagle wyrosły nastroszone kolce. – Chcesz nas oszukać?! Jesteś jak wszyscy poprzedni dziedzice?! Tylko myślisz, jaki interes ubić na cmentarzu osobliwości?! A może chcesz pokazywać nas znudzonym bogaczom łaknącym rozrywki?! Czyżbym mylił się co do ciebie?! A może jesteś gorszy niż twoi poprzednicy?! Może jesteś jak sam Glarius lub Kalisteron?!

Poczułem się mały i słaby. Wiedziałem, że gdyby Odo rzucił się na mnie, pewnie nie miałbym szans w tym starciu.

– Ty też nie trafiłeś tu za bycie dobrym człowiekiem! – wyrwało mi się.



Odo znieruchomiał, jego twarz wykrzywiał grymas wściekłości.

– Żaden z was nie był dobrym człowiekiem! – wyrzuciłem z siebie. – Nie trafiliście tu za dobre uczynki! Byliście źli albo chcieliście oszukać samych bogów!

Mężczyzna sprawiał wrażenie, jakby się skurczył. Już nie był wściekłą duszą pragnącą zemsty, tylko zwykłym, zgnębnym człowiekiem.

– Ale mimo wszystko uważam, że już dawno temu odbyliście swoją karę – powiedziałem łagodniejszym tonem. – Zostaliście oszukani, a wasza pokuta powinna się już skończyć. Właśnie teraz powinniście być w zaświatach, u boku bogów, gdzie cieszylibyście się bogactwem otrzymanym od Glariususa.

– Ani życie, ani śmierć nigdy nie są takie proste – westchnął Odo, a w jego głosie pobrzmiwała rezygnacja.

– Przykro mi – powiedziałem. – Ja naprawdę chcę wam pomóc.

– Wierzę paniczowi. – Spojrzał mi w oczy, a ja poczułem się jak największy kłamca na świecie. Powinienem po śmierci znaleźć się tutaj, na wiecznej pokucie razem z tymi duszami. – Glarius był sprytny, ukrył nasze pakty tak, żeby nikt ich nie odnalazł. Nie dał ich nawet swojemu synowi, bo uważał, że ten nie był godzien takiej władzy. Gdyby Kalisteron był jego pierworodnym, to na pewno by się dogadali... – Odo zgarbił się i usiadł na stopniach kapliczki. Jeszcze chyba nigdy nie było mi nikogo tak szkoda. – Pakty zaginęły w chwili śmierci Glariususa. Ale może tak jest lepiej? Nikt nie zdoła wykorzystać ich przeciw nam. Jeżeli zaś chodzi o dziennik syna hrabiego, to nawet nie wiem, czy on go prowadził. Chłopak był dobry i szczerzy. Wciąż sprzeciwiał się swojemu ojcu, nie chciał kontynuować jego dzieła. To on z dniem śmierci Glariususa zamknął cmentarz na dobre. Już nie musieliśmy pokazywać się bogatym ludziom jak jakaś atrakcja w cyrku. Gdyby tylko mógł, to odesłałby nas w zaświaty, ale nie potrafił. Wynajął jedynie zarządcę, który pilnował, żeby nikt nas nie gnębił ani żebyśmy my nie skrzywdzili nikogo, gdy dopadnie nas zew krwi.

W tamtej chwili wiedziałem już, na czym polega pokuta Oda. Był doskonale świadomy tego, czym się stał po śmierci, i wiedział, że nic nie może zmienić. Współczułem mu, a jednocześnie byłem rozczarowany, że nie jest w stanie mi pomóc.

– Wracając zaś do Kalisterona... – podjął dżentelmen – mogę zapewnić, że nie ukrył swoich dzienników na cmentarzu. To byłoby zbyt oczywiste. Paru

dziedziców zdobyło się na odwagę i szukali ich tutaj za dnia, skopali ziemię pod największymi drzewami, ale nic nie znaleźli. Tobiasz nawet przyszedł tu z takim ustrojstwem, co ponoć widzi przez ziemię i wyczuwa metal, ale na nic to się nie zdało. Zresztą w dziennikach Kalisterona pewnie znalazłbyś tylko informacje, jak uwięzić kolejne dusze, a nie jak im pomóc. I jeśli je ukrył, to w takim miejscu, które znalazłby tylko człowiek jego pokroju.

Westchnąłem z żalem. Czyli nie będzie dla mnie drogi na skróty.

– Nic to – odezwał się po chwili Odo. – Pozwoli panicz, że odejdę do swojej krypty. Dzisiejsza rozmowa mnie wykończyła.

Pokiwałem głową i patrzyłem, jak się oddala. Kolce gdzieś zniknęły, ale tłuste, paskudne larwy nadal sypały się z jego pleców. Oparłem łokcie o kolana i zwiesiłem głowę. Mama nauczyła mnie współczuć każdemu i zastanawiać się nad przyczynami ludzkich zachowań. Jej nie interesowało, co ktoś zrobił, tylko dlaczego. Co pokierowało biednym chłopcem, że ukradł jedzenie ze sklepu? Czy chciał się popisać przed kolegami? Może pragnął zrobić na złość sprzedawcy? Może był głodny? A może głodna była jego mała siostrzyczka, gdy ich ojciec leżał pijany w rynsztoku? Ten sam występpek, a różne przyczyny.

Przez lata, kiedy byłem sierotą, starałem się zagłuszyć w sobie ten głos. Życie było wystarczająco trudne i nie musiałem zastanawiać się nad poczynaniami innych. Nie chciałem tego robić. Nie roztrząsałem, dlaczego ludzie wstępowali w szeregi kasty. Dlaczego kradli i bili innych. Ważne, że nie okradali ani nie bili mnie. Łatwo jest być dobrym człowiekiem w dobrych czasach. Łatwo jest być dobrym, kiedy ma się pełny brzuch i nie trzeba się zastanawiać, jak przetrwać kolejny dzień.

– Plugawcy! – rozległ się nagle skrzekliwy głos. – Oszukali!

Poderwałem się na równe nogi.

– Odo? – zapytałem w ciemność, ale nie otrzymałem odpowiedzi.

– Zdradzili! – Głos był coraz bliżej. – Banda oszustów! Chcą zabić! Zagłodzić!

Coś nadchodziło ścieżką zarządców. Słyszałem szelest poruszonych krzewów i szuranie na piachu.

– Kurwy i alfonsy!

Cofnąłem się kilka kroków i oparłem się plecami o misę z ziemią cmentarną, jakby mogła mi w czymkolwiek pomóc.

Już widziałem poruszające się gałęzie drzew. Cokolwiek nadchodziło, było wielkie, a ja miałem przy sobie zaledwie nóż, kawałek węgla i garść przedzimek.

– Jestem dziedzicem! – wydusiłem ponownie z siebie.

– Zgnijesz w piachu! – usłyszałem odpowiedź.

Przełknąłem głośno.

– Utłukę jak robala! – Na ścieżce pojawiło się kolejne monstrum, a ja zamarłem.

Trudno nawet opisać tę bestię ze zwalistym cielskiem, fałdami skóry w każdym możliwym miejscu i cuchnącą jak publiczna kloaka.

– Oszust! – wrzasnęła skrzecząco, celując we mnie grubym paluchem z żółtym, zakrzywionym, połamanym paznokciem.

Jej cała ręka była pokryta pęcherzami, broczącymi ranami i ropiejącymi bąblami. Wiedziałem. Po prostu wiedziałem, że to Piękna.

– Zostawili głodną! Zostawili spragnioną!

– Mów se, co chcesz, ale przydałaby ci się dieta – wyrwało mi się.

Jej pomarszczone, tłuste oblicze poczerwieniało. Potrójny podbródek zatrzęsł się z wściekłości.

– Zabiję! Rozerwę na strzępy! – wrzasnęła.

Zaczęła sunąć w moją stronę, a wyglądała jak wielki, gnijący lodowiec. Cofnąłem się i stanąłem za kapliczką. Piękna nie była szybka, przynajmniej na razie, więc wierzyłem, że bez problemu jej umknę. Zacząłem okrążyć małą budowlę, żeby nie znaleźć się w zasięgu jej łap. Krok za krokiem, a dusza nadal podążała za mną, wściekła i żądna krwi. Właśnie wtedy przypomniała mi się opowieść barmana, jak to Piękna rozerwała na strzępy Abła. Zrobiło mi się gorąco. Spojrzałem na nóż w mojej ręce. Był śmiesznie mały, nawet jeśli zdołałbym wbić go w jej ciało, to pewnie nawet by tego nie poczuła.

– Piękna! Stój! – krzyknąłem, okrążając kapliczkę.

Dusza pełzła krok w krok za mną. Bałem się, że uciekając przed nią, w nieuwadze wpadnę w jeszcze gorsze bagno.

– Nie możesz mnie zabić! – krzyknąłem.

– Wszystko mogę!

To był zaledwie ułamek sekundy. Przyspieszyła i rzuciła się na mnie. Zablokowałem tłuste przedramię, żeby nie sięgnęły mnie brudne pazury. Wtem poczułem drugą rękę obejmującą mnie w pasie. Chciałem krzyczeć,

wołać o pomoc, ale uniosła mnie i wycisnęła całe powietrze z płuc. Zacząłem walczyć o oddech.

– Rozszarpie! – obiecała mi wprost do ucha Piękna. Poczułem na twarzy kropelki śliny.

Przed oczami pojawiły mi się mroczki. Jeszcze trochę, a zabraknie mi tchu, a ta poczwara udusi mnie w swoim śmiertelnym uścisku.

– Piękna! Puść! – usłyszałem ludzki głos pomiędzy łupaniem w mojej głowie.

– Oszukali! – zaskrzeczała.

– Puść go! – krzyczał ktoś.

Naraz usłyszałem głuchy łomot. Oczy duszy się rozszerzyły. Usta otworzyły się, a mnie owionął smród zgnilizny. Poczułem, że jej chwyt się rozluźnia. Odepchnąłem się od niej nogami i rękoma, aż walnąłem o ziemię.

– Zamorduję! – wrzasnęła Piękna, wyciągając w moją stronę grube ręce.

– To nasz dziedzic! Wara od niego!

Zacząłem się odczołgiwać do tyłu, usiłując umknąć Pięknej, kiedy ujrzałem ostrze siekiery opadające na jej przedramię. Chrupnęło, a ręka duszy opadła na ziemię. Po całym cmentarzu poniósł się wrzask.

– Zachowuj się! – napomniał ją zarządca, kiedy zaczęła się wycofywać, tuląc do siebie kikut kończyny.

– Żyjesz? – Olaf wyciągnął do mnie rękę.

Chwyciłem ją i pozwoliłem się podnieść na nogi, choć trudno mi było utrzymać równowagę. Spojrzałem na łapę, która wiła się u naszych stóp. Długie pazury ryły ziemię.

– Zapomniałaś czegoś! – Rękodajny kopnął przedramię, które poszybowało daleko w krzaki.

Wziąłem kilka głębszych wdechów i spróbowałem nie zwymiotować od smrodu, który pozostawiła na mnie Piękna.

– Miałeś siedzieć tu spokojnie! – Roch zbliżył się i spojrzał na mnie, jakby ten atak był wyłącznie moją winą.

– No i siedziałem! – warknąłem. – To wy w ogóle nie panujecie nad tymi duszami!

– Tyle, ile trzeba, to panujemy – zachnął się rękodajny.

– Olaf? – zwrócił się do pracownika zarządca.

– No?

- Jakie mięso dałeś Pięknej? – W jego słowach krył się lód.
- No normalne... takie jak zawsze. – Rękodajny zaczął się jękać.
- Czyli jakie? – wycedził Roch.
- No wieprzowinę...
- A ile miała dni?
- Nie wiem... z kuchni wziąłem...

Nie zdążyłem zareagować w żaden sposób, gdy Roch zdzielił Olafa w głowę.

- Idiota!!! – wrzasnął zarządca. – Przecież wiesz, że musi być stare!
- Ale nie było starego! – jęknął rękodajny. – Alma chyba wyrzuciła albo zużyliśmy wczoraj...
- To trzeba było mi o tym powiedzieć! – wściekał się dalej Roch. – Piękna miała spokojnie siedzieć w swojej krypcie! A wylazła z niej, bo dostała zbyt świeże mięso! Niewiele brakowało, a udusiłaby naszego dziedzica!
- Nie no, poradziłbym sobie – zapewniłem słabo.
- Zamknij się! – wrzasnął do mnie zarządca. – A wam ile razy mam powtarzać, że...

Jego tyrada trwała w nieskończoność. Wrzeszczał i wrzeszczał, a biedny Olaf skurczył się prawie do rozmiarów dziecka.

Naraz przestałem słuchać wrzasków Rocha. Coś zupełnie innego przyciągnęło moją uwagę. Najpierw usłyszałem ciche brzęczenie jakby całego roju pszczoł. Dochodziło z za najbliższego drzewa. Postąpiłem krok w tamtą stronę.

- Słyszysz... – zacząłem i właśnie w tej chwili z za pnia wyleciał wściekły owad, celując żądłem prosto w klatkę piersiową zarządcy.

Zadziałąłem odruchowo, choć gdybym stał tam jak kołek, to pewnie moje życie stałoby się znacznie prostsze. Mimo to rzuciłem się wprost na Rocha i powaliłem go na ziemię.

- Oczadziałeś?! – wrzasnął, zrzucając mnie z siebie.

Owad tymczasem wbił się żądłem w pobliskie drzewo i teraz zapierał się wszystkimi odnóżami, żeby się z niego uwolnić. Jego skrzydełka biły powietrze ze złością. Roch podniósł się na równe nogi i z rozmachem wbił ostrze siekiery prosto w pień tuż nad pieklącą się duszą.

- Spokój! – wrzasnął, a owad zupełnie znieruchomiał, wlepiając wielkie oczy w zarządcę. – Karmię was! Pilnuję waszego spokoju! I to dostaję w zamian?!

Dałbym głowę, że owad poczuł się winny.

– Wypad mi stąd i nie chcę cię widzieć przez tydzień! – Roch złapał owada za odwłok i zaczął ciągnąć, aż żądło wyszło z drzewa, po czym wziął zamach i cisnął duszą w dal.

– Też chciałbym mieć kiedyś taki posłuch – westchnął Olaf.

– Jak chcesz, mogę ci zwolnić posadę zarządcy – burknął Roch. – Dzięki – rzucił w moją stronę.

Pozbierałem się z ziemi i otrzepałem spodnie. Jak na jedną noc miałem już serdecznie dość tego cmentarza. Ale moi towarzysze również, więc bez słowa skierowaliśmy się do bramy, którą zamknęliśmy na łańcuch, i wróciliśmy do dworku na zasłużony odpoczynek.

Świtało, kiedy się położyłem do łóżka. Przetrwałem. I tylko to się liczyło. Następnego dnia stawię czoła wszystkim przeciwnościom losu z nową energią. Teraz potrzebowałem choć kilku godzin snu.

# Rozdział 20

Późnojesienne słońce zastało mnie w łóżku. Odwróciłem się na plecy i uniosłem ręce. Przedramię nadal miałem owinięte bandażem po upuszczaniu krwi. Za to moja bluza cuchnęła jak Piękna. Z obrzydzeniem zdjąłem z siebie wszystkie ubrania i rzuciłem je na krzesło. Codziennie w niemal magiczny sposób moje brudne ciuchy znikają z pokoju, żeby później pojawić się czyste, pachnące i równo złożone na półce w garderobie. Do tego aspektu dziedzicowania akurat mógłbym przywyknąć.

Śniadanie zjadłem w towarzystwie Dalii, która tego dnia była akurat bardzo mało rozmowna, po czym udałem się na łąkę za cmentarzem. Liczyłem, że spotkam Opal i dziewczynka opowie mi, jak radzić sobie z takimi duszami jak Piękna. Nie byłem głupi i doskonale wiedziałem, że gdyby nie interwencja zarządcy, dusza wycisnęłaby ze mnie wszelkie życie.

Nie zawiodłem się i zobaczyłem Opal siedzącą na murze, zapatrzoną na coś na terenie cmentarza.

– Siedzenie tam jest chyba niebezpieczne – zagadnąłem, zadzierając głowę.

Dziewczynka zgrabnie zeszła na dół po wyszczerbionych ceglach i uśmiechnęła się do mnie.

– Zależy jak dla kogo – rzuciła.

– Gdyby tylko twój ojciec wiedział... – Zawiesiłem głos.

– Ale się nie dowie, prawda? – Wydęła czerwone usta.

– Mamy przecież umowę – zapewniłem. – Żeby tylko nie zobaczył cię żaden rękodajny.

– Nie zobaczą mnie. – Machnęła ręką.

- No dobra, to jaki sposób na duszę dziś mi zdradzisz?
- Dziś to ty musisz mi pomóc – odparła, zrywając przedzimki.
- Niby w czym?
- Muszę napisać wypracowanie do szkoły...

Wybuchłem gromkim śmiechem.

- Ja za ciebie tego nie napiszę – powiedziałem, kręcąc głową. – Taki ze mnie grafoman, że dostałabyś najgorszą ocenę.

- Sama je napiszę. – Zmarszczyła z naganą brwi. – Potrzebuję tylko rady o czym. To znaczy musi być to jakaś boska opowieść, tylko nie mogę się zdecydować która. Może o tym, jak Ojciec stworzył świat? – Zapatrzyła się na pajaka wędrującego po jej małym bukicie. Delikatnie zdjęła go z kwiatów i położyła na szerokim liściu trawy. – A może o wielkiej bitwie między Asazanem i Nazasą?

- Nie jestem pewien, czy dziesięciolatka powinna pisać o tym, jak boscy bracia się pokłócili i Nazasa oślepił Asazana, a ten go ogłuszył. Ta część boskiej historii jest dość krwawa, nie sądzisz?

- Mam dwanaście lat – obruszyła się Opal.

- To może o tym, jak Nazasa stworzył człowieka? – zasugerowałem.

- A Asazan dał mu chciwość? – zastanowiła się, po czym usiadła w trawach i zaczęła pleść wianek.

- Albo o tym, jak Ojciec się wkurzył, gdy przejrzał ich plany. – Wzruszyłem ramionami.

Naprawdę, wypracowanie o bogach znajdowało się na samym dole mojej listy priorytetów.

- Chyba wolę napisać o tym, jak Ojciec postanowił jednak uratować duszę człowieka. – Pokiwała do siebie głową, a jej palce zręcznie przeplatały kwiaty i łodygi.

Nasze boskie historie nie były skomplikowane, choć udowadniały, jak mało my, ludzie, znamy. Kiedyś wszystko było tylko ciemnością i chaosem, aż Ojciec uformował światło i uporządkował świat. Stworzył też ziemię i wszystkie zamieszkujące ją istoty. Jego synowie, Asazan i Nazasa, na początku w ogóle nie interesowali się poczynaniami Ojca, do czasu, aż odkryli na niej drogocenne kruszce, a w ich boskich sercach pojawiła się chciwość. Opuścili zaświaty, gdzie do tej pory mieszkali razem z Ojcem, i zaczęli wykopywać z ziemi złoto, szlachetne kamienie i obsydian. Poruszyli góry i oceany, sprawili, że wulkany zaczęły wybuchać, lądy



rozstały się, a wody zagotowały. Ojciec zmartwił się, że niszczą jego dzieło, ale im wciąż było mało, aż pewnego dnia się pokłócili. O tej bójce pisano pieśni i malowano obrazy. Dwóch boskich gigantów rzucało w siebie skałami; wyrywali drzewa z korzeniami i się nimi okładali, wzniecali pożary i zdeptywali zwierzęta. W wyniku tego starcia Asazan stracił wzrok, a Nazasa słuch. I wtedy Ojciec tak się wkurzył, że wypędził ich z ziemi i zakazał im tu wracać.

Boscy synowie powoli dochodzili do siebie w dwóch najbardziej oddalonych od siebie końcach zaświatów, ale żądza złota wciąż paliła ich serca na tyle mocno, że gdy minęły setki lat, postanowili podać sobie ręce na zgodę i razem przechytrzyć Ojca. Mieli zakaz wstępu na ziemię, ale w końcu byli bogami. Nazasa, jako że był mistrzem w lepieniu z gliny, ulepił małe, słabe istoty, a Asazan nadał im nieśmiertelne dusze. Tak powstałi ludzie. Kiedy Ojciec ich zobaczył, zdziwił się, że jego synowie zaczęli współpracować i tworzyć życie. Spodobał mu się pomysł, żeby ludzie żyli na ziemi, a po śmierci ich dusze wędrowały w zaświaty, gdzie mieli towarzyszyć bogom. Nie domyślił się, że Asazan, oprócz duszy, dał ludziom chciwość i nakazał im grzebać swoich zmarłych wraz z drogocennymi kruszcami, które razem z duszą wędrowały w zaświaty. W ten sposób synowie przechytrzyli swojego ojca. Niestety ich pomysł szybko okazał się niewypałem, bo ludzie byli tak chciwi, że zaczęli się nawzajem mordować dla złota, aż prawie wybili się co do nogi.

Wtedy Ojciec wkroczył do akcji. Dał ludziom też dobre cechy, a przede wszystkim wolną wolę, żeby mogli wybierać między tym, co złe, a tym, co właściwe. Radowało go, gdy do zaświatów przychodziły dobre dusze, jego synowie zaś cieszyli się złotem, które przyniosły ze sobą. A co z tymi, którzy grzeszyli za życia? Musieli odpokutować swoje na ziemi. Jako karę zarówno dla swoich synów, jak i grzeszników Ojciec nakazał Asazanowi, który nie dość, że nie potrafił lepić z gliny, to jeszcze był ślepy, nadawać duszom nową postać. Dlatego właśnie niektórzy zamieniają się w takiego Rogacza albo oślizgłego ślimaka czy dżentelmena z gnijącymi plecami. Ojciec zaś decyduje, jak długo dana dusza będzie pokutować, zanim wreszcie trafi w zaświaty i będzie mogła wieść wieczne życie u boku bogów. Nikogo już nie obchodziło, że ktoś może okraść grób pokutującej duszy i ta będzie musiała stanąć przed swoimi stwórcami z pustymi rękoma. Dlatego dusze zazwyczaj nie opuszczają swoich grobów i siedzą sobie grzecznie na

państwowych cmentarzach. Inaczej jeśli za życia człowiek podpisze pakt, że po śmierci będzie komuś służyć, jak na przykład Słodka Zemsta, która musi wciąż towarzyszyć Diogenesowi, albo dusze z cmentarza Muertona, no chyba że akurat odezwie się w nich zew ucieczki, jak w Hugonie, albo zew krwi, jak w takim Śmiercianie. Nikt nie wie, dlaczego czasem dusze myślą zupełnie nieracjonalnie i zamiast siedzieć cicho, zwiewają z miejsca swojego pochówku i zabijają ludzi, co z kolei przedłuża ich wyrok na ziemi. Na szczęście zdarza się to bardzo rzadko – a przynajmniej tak myślałem do dnia, w którym postawiłem stopę na moim własnym cmentarzu osobliwości.

– Co tak zamilkłeś? – zagadnęła Opal, wkładając na głowę wianek.

Wpatrzyłem się w wysoki mur z czerwonej cegły. Za stworzenie czegoś takiego Glarius powinien mieć zakaz wstępu w zaświaty na wieczność.

– No to dawaj kolejną radę – rzuciłem. – Bo zaraz się ściemni i będę musiał znów tam iść.

– Twoja krew ma wielką moc tutaj – powiedziała.

– Tyle to i ja wiem – burknąłem. – Skoro raz w tygodniu chcą mi jej utoczyć i wylać na cmentarną ziemię.

Opal potrząsnęła głową.

– Dwieście lat temu cmentarz był tak samo niebezpieczny jak dziś – oznajmiła. – A może nawet bardziej, kiedy dusze zorientowały się, że zostały oszukane. A mimo to hrabia mógł przyprowadzać tutaj całe wycieczki spragnionych rozrywki i adrenaliny bogaczy. Musiał mieć mnóstwo sprytnych sposobów, jak dusze więzić, zatrzymać je zaledwie jednym słowem czy kazać im tańczyć jak zwierzętom w cyrku.

– Pewnie to wszystko jest w paktach, tylko co z tego, skoro zaginęły po jego śmierci? – Tym razem byłem bardzo nieusatisfakcjonowany jej poradą.

– Też jesteś dziedzicem – prychnęła. – Wymyśl własne metody.

Zadarła głowę i spojrzała na słońce wiszące nisko nad lasem.

– Na mnie już czas – oznajmiła, wstając.

Otrzeпаła sukienkę z ziemi i szybkim krokiem ruszyła przez łąkę.

– Wymyśl własne metody – burknąłem. – Mała cwaniara się znalazła. Pewnie już nie zna żadnych sposobów na dusze i tylko robi ze mnie głupka.

Mimo to dobrze mi się rozmawiało z tym dzieciakiem i doskonale wiedziałem, że przyjdę tu też jutro, żeby się z nią spotkać. A poza tym czułem jakąś dziwną satysfakcję na samą myśl, jak bardzo Roch by się wściekł, gdyby się dowiedział, że gadam z jego córką.

Pogwizdując pod nosem, szedłem wzdłuż muru, wrywając z ziemi pojedyncze łydki bluszczu, aż dotarłem do bramy. Na wszelki wypadek upewniłem się, że łańcuch nadal trzyma, i ruszyłem do dworku. Gdy jednak zobaczyłem przed sobą szary budynek, podświadomie skręciłem i skierowałem się do wsi. W kieszeni znalazłem garść monet, które rano podprowadziłem z kuchni, i wiedziałem, że wystarczy mi na co najmniej cztery piwa. A gdy człowiek płacił za własny napitek i nie wywoływał burd, witano go w barze z szeroko otwartymi ramionami.

O tej godzinie wieś wyglądała na wymarłą. Może ludzie byli w pracy albo na polach? Bez wahania pchnąłem drzwi do baru i od razu owionął mnie zapach taniego piwa i domowych przekąsek.

Dwóch kolesi w roboczych ubraniach podniosło na mnie spojrzenia. Pewnie nie zdążyli jeszcze po swojej zmianie wrócić do domów. Skinąłem im głową, na co mruknęli jakieś tam przywitanie. Moją uwagę jednak przykuł młody chłopak, który właśnie wyciągał rzutki z tarczy. Zerknął na mnie buńczucznie, po czym dołączył przy stole do swoich trzech kolegów, którzy już na kilometr wyglądali, jakby coś knuli. Na oparciu krzesła każdego z nich wisiała niewielka torba.

Usiadłem za barem i machnąłem ręką do barmana.

– Ciężka noc? – zagadnął, spoglądając na bandaż na moim przedramieniu.

– Jak każda na cmentarzu – odparłem.

Dałbym głowę, że na samą wzmiankę o cmentarzu tamci czterej nadstawili uszu.

– Tutejsi? – zapytałem szeptem, wskazując brodą chłopaków.

Barman pokręcił głową.

– Przyjechali tu kilka dni temu. Zatrzymali się nad barem – wyjaśnił, podając mi pełen kufel. – Mam tam jeden pokój do wynajęcia. Nie żebym robił to regularnie, ale nie narzekam, kiedy ktoś płaci za te marne cztery ściany.

– Macie tu coś ciekawego do zwiedzania? – zastanowiłem się, upijając łyk.

– Mieliśmy, dwieście lat temu – odparł ironicznie.

Zapatrzyłem się na pianę na moim piwie. Mógłbym inkasować nieźle sumy za bilety na cmentarz. Tylko że to było już nielegalne. Państwo ukrywało fakt istnienia takich miejsc i gdyby tylko urzędnicy się dowiedzieli, że wpuszczam tu ludzi, na pewno cofnęliby nam wypłaty, a to byłaby najłagodniejsza kara.

Zastukałem palcami w kufel. Sam ledwie przeżyłem poprzednią noc, a nie miałem zamiaru tłumaczyć się z turystów porozrywanych na strzępy.

Poczułem na sobie czyjeś spojrzenie. Do tej pory obracałem się w dość niebezpiecznych kręgach i bardzo szybko rozwinąłem w sobie zdolność wyczuwania, kiedy ktoś na mnie patrzy. Nie raz uratowało mi to tyłek. A teraz nawet trudno było nazwać to dyskretną obserwacją.

Zerknąłem za siebie. Chłopak od rzutek wgapiał się we mnie jak sroka w gnat. Puściłem do niego oko. Speszył się i nagle bardzo zainteresował swoim piwem.

– Nie stwarzają żadnych problemów? – zagadnąłem ponownie Kasara.

– Ci miastowi? – prychnął. – Zamawiają góra po dwa piwa, siedzą przy stole i tylko szepczą między sobą. A po południu idą zwiedzać okolicę, wracają późną nocą i śpią do dwunastej. Są bardzo cisi i grzeczni.

A co mi tam. Wziąłem kufel i wstałem od baru. Lubiłem wiedzieć o wszystkim, co działo się wokół mnie. Barman chrząknął znacząco i uważnie przypatrywał się moim poczynaniom.

– Dzień dobry, panowie. – Stanąłem nad miastowymi.

Jeden z nich pospiesznie zatrzasnął z hukiem swój notes, inny schował jakieś stare papiery do teczki. Przed oczami mignął mi zamaszysty podpis w rogu jednej z pożółkłych kart. Wszyscy spojrzeli na mnie... nie, nie wrogo, ale z pewną podejrzliwością. Sam pewnie bym tak zareagował, gdyby zaczepiał mnie ktoś obcy w barze.

– Dobry – mruknęli.

– Jak się wam podoba okolica? – zapytałem lekko, udając zatroskanego obywatela.

– Bardzo malownicza – odparł ten od rzutek.

– Szczególnie jesienią – dodał kolejny.

– Studiujemy fotografię – wyjaśnił trzeci.

Dopiero teraz domyśliłem się, co jest w torbach zawieszonych na krzesłach.

– W ramach pracy semestralnej musimy przedstawić cały album do końca roku – powiedział czwarty.

– Nieokiełznana natura – powiedział ten od rzutek, odgarniając ciemne włosy z czoła. Było w tym niby zwykłym gościu coś, co od razu zdradzało wyższe sfery. – Taki temat wybraliśmy.

Obejrzałem się za siebie na okno. Były tam tylko zaorane pola, bezkresne łąki i stary las. Jak dla mnie nic ciekawego, ale ja przecież nie mam duszy artysty, wbrew temu, co twierdziła Dalia.

– Kocham te nasze okolice, ale żeby były tu jakieś miejsca do fotografowania, to nie powiedziałbym. – Zawiesiłem głos.

– Jest wiele wspaniałych miejsc. – Blondyn z za długimi włosami potrząsnął głową. – Najbardziej obiecująca wydaje się stara, zniszczona wieża strażnicza na granicy lasu. – W jego oczach błysnął zapal. – Wie pan, o czym mówię?

– No jasne – skłamałem gładko.

– No to to wyrastające z niej drzewo jest kwintesencją nieokiełznanej natury.

– Nie mogę się nie zgodzić. – Upiłem łyk piwa. – I robicie te zdjęcia w nocy?

Prychnęli ze śmiechem.

– Nie, chociaż te też mogłyby wyjść ciekawie – zapewnił blondyn. – Ale chcemy uchwycić tę wieżę podczas zachodu, kiedy słońce chowa się między czarnymi gałęziami drzewa.

– Cudo, po prostu cudo – zakończył ten od rzutek. – No, a że to daleko od wsi, to wracamy po nocach.

– W takim razie powodzenia. – Uniosłem lekko kufel. – Jeśli będzie taka możliwość, z przyjemnością zobaczyłbym gotowy już album z naszych stron. Mamy tu pewną malarkę, która z pewnością doceni prace kolegów po fachu.

– Może wrócimy tu na koniec semestru – zastanowił się chłopak. – Nie zapomnimy wtedy zabrać ze sobą albumu.

– Trzymam was za słowo. – Uśmiechnąłem się szczerze.

Wróciłem do baru i postawiłem na nim pusty kufel.

– Dolać? – zapytał barman.

– Nie, dzięki – westchnąłem. – Robota wzywa. Miej tylko oko na tych artystów – szepnąłem.

– Niby jak? – mruknął. – Nie zabronię im przecież robienia zdjęć.  
– Po prostu jak zrobią coś podejrzanego, wyślij kogoś do dworku, żeby mi o tym powiedział, dobrze?  
– Jak sobie chcesz. – Kasar wzruszył ramionami.  
– To tylko z troski o nich – zapewniłem. – Nie chcę, żeby czasem w artystycznym szale trafili na cmentarz i coś się im stało.  
– Dobra, zwrócę uwagę na to, o czym gadają.  
– Dzięki. – Położyłem na blacie monety. – Odlicz to od mojego rachunku. Pieniądze zniknęły z baru, jakby nigdy ich tam nie było.  
– Do zobaczenia, dziedzicu – rzucił barman, a pod jego gęstymi węsami błysnęły w uśmiechu żółte zęby.

Opuściłem bar i ruszyłem brukowaną ulicą. Prawie nic tu nie jeździło i chyba nikt nie używał chodników. Naraz moją uwagę przykuła stara jabłoń rosnąca w jednym z ogródków. Nie miała już żadnych liści, ale za to była oblepiona czerwonymi jabłkami. Zerwałem jedno, nie przejmując się, że ktokolwiek mnie pogoni. W końcu byłem dziedzicem.

Idąc przed siebie sprężystym krokiem, wgryzłem się w soczysty owoc. Świat znów wyglądał pięknie. Dziś nie zapomnę wziąć na cmentarz szabli, no i jakoś opracuję własne sposoby na dusze. Na pewno nie jestem głupszy niż poprzedni dziedzice, a jeśli oceniać po dzienniku Abla, może nawet inteligentniejszy od wielu z nich.

Nagle wyprzedził mnie jakiś chłopak, prawie na mnie wpadając. Gdybym tylko wykazał się lepszym refleksem, zdołałbym złapać go za kołnierz i opieprzyć za brak szacunku. Ale nie chciało mi się. Tuż za nim minęło mnie trzech kolejnych łebków.

– Łap go! – krzyknął jeden z nich.

Ten pierwszy, ze strzechą brązowych włosów i mnóstwem piegów na nosie, zatrzymał się i wojowniczo uniósł pięści. Koledzy od razu go okrążyli.

– No dawaj! – zawołał uciekinier. – Nie boję się was!

Zatrzymałem się i oparłem o płot. Najwyraźniej czekało mnie niezłe widowisko.

– Taki cwany jesteś? – burknął jeden grubas i spróbował złapać uciekiniera, ale ten przywalił mu w szczękę.

Pokiwałem z podziwem głową i wziąłem kolejny kęs jabłka.

Gruby zwinął się na ziemi i zaczął płakać.

– Nie rycz jak baba! – Największy z całej zgrai pociągnął go za rękę, żeby ten wstał, po czym sam ruszył do ataku.

Uciekinier uchylił się przed jego ramionami, po czym rzucił się na niego. Razem runęli na ziemię i zaczęli się po niej toczyć, niezdarnie usiłując okładać się pięściami. Wtedy do akcji wkroczył trzeci z napastników.

Wkrótce uciekinier zaczął tracić jakąkolwiek przewagę, o ile w ogóle ją miał. Najwyższy uwolnił się z jego uścisku i poczęstował go kilkoma kopniakami. Nawet gruby odzyskał rezon i napluł mu na głowę. A ja jadłem jabłko i przypatrywałem się tej bardzo nierównej walce. Nie zamierzałem interweniować. No, może troszeczkę.

Wziąłem ostatni kęs, a w mojej ręce został sam ogryzek. Zamachnąłem się i rzuciłem nim, trafiając w sam czubek głowy najwyższego.

– Co, do kurwy?! – Gówniarz złapał się za głowę i walecznie obrócił wokół własnej osi.

Kiedy mnie zobaczył, stanął jak wryty. Machnąłem mu uprzejmie ręką. Z takimi gestami ludzie zazwyczaj nie wiedzieli, jak postępować. Totalnie wybijały ich z rytmu.

– Zwijamy się – warknął. Po raz ostatni kopnął leżącego, po czym razem z kumplami oddalili się pospiesznym krokiem.

Podszedłem do uciekiniera, który nadal leżał skulony w piachu, osłaniając głowę. Stałem nad nim.

– Jak tam? – zagadnąłem lekko.

Uniósł nieco przedramię i zmierzył mnie podejrzliwym spojrzeniem.

– Żyjesz? – zapytałem.

– Nic mi nie jest – burknął urażonym tonem.

Pozbierał się z ziemi i zachwiał lekko, ale oparł się o płot. Wyglądał gorzej, niż podejrzewałem. Miał rozcięty łuk brwiowy, z pękniętych ust leciała mu krew, jedno oko już zaczęło puchnąć. A do tego poobijane kolana i łokcie z pozdieraną skórą.

– Daleko mieszkasz? – zapytałem.

– Nie. – Ruszył przed siebie bardzo chwiejnym krokiem. Wiedziałem, że usiłuje powstrzymać łzy cisnące się mu do oczu.

– Rodzice są w domu? – drażyłem.

– Nie, pracują.

Skinąłem głową, idąc wciąż obok niego. Tak bardzo przypominał mi mnie samego – małego chłopaka przekonanego, że sam poradzi sobie ze

wszystkim, że zmierzy się z każdym i w końcu wygra jakąś bójkę.

W pewnej chwili chłopak skręcił do niewielkiego, starego domku. Szarpnął za klamkę i ze złością usiadł na progu.

– Klucze zgubiłeś? – zapytałem.

– Zapomniałem ich wziąć z domu – burknął.

– Chodź ze mną. – Skinąłem głową. – To trzeba opatrzyć, bo dostaniesz zakażenia.

– Nigdzie nie idę.

– Pewnie rodzice zabronili ci rozmawiać z obcymi, ale nic ci nie zrobię, mieszkam w Lawendowym Dworku, jestem...

– Wiem, kim jesteś – mruknął. – I nie boję się ciebie.

– No to chodź, opatrzymy cię i dostaniesz coś do jedzenia. Na obiad mamy chyba jakąś zupę.

Dzieciak zastanawiał się chwilę, ale w końcu podniósł się z progu domu i ruszył razem ze mną. Większość drogi pokonaliśmy w milczeniu. Gdy dotarliśmy do dworku, jak zwykle w obejściu nie było nikogo. Ja nie wiem, co ta służba robiła całymi dniami. Rękodajni odsypiali noc na cmentarzu, ale reszta? Wzięliby się do jakiegoś sprzątnia czy coś...

Zaprowadziłem dzieciaka do kuchni i posadziłem go na krześle. Z jednej z szafek wyjąłem apteczkę. Już się zdążyłem zorientować, że zestawy opatrunkowe trzymali w każdym pomieszczeniu.

– Głupio dałeś się im podejść – odezwałem się, kiedy zacząłem opatrywać dzieciaka.

– Gonili mnie – odburknął.

– Więc miałeś szansę na wybranie dobrej miejscówki – powiedziałem. – Mogłeś stanąć pod jakimś murem albo chociaż płotem. Ale nie, ty zatrzymałeś się na samym środku ulicy i bez problemu mogli cię okrążyć.

Chłopak syknął, kiedy usiłowałem zetrzeć pył z jego twarzy.

– Jak taki mądry jesteś, to dlaczego nic nie zrobiłeś? – zapytał z wyrzutem. – Dlaczego wcześniej ich nie pogoniłeś? Uciekliby, gdybyś tylko powiedział jedno słowo.

W jego oczach pojawiły się łzy, a ja pokiwałem głową.

– Tak pewnie by zrobili – przyznałem. – Ale ty wtedy byś się niczego nie nauczył. To. – Stuknąłem go palcem tuż obok rozciętego łuku brwiowego. – To i to – dotykałem kolejnych zranionych miejsc – sprawi, że będziesz silniejszy. Potrafisz przyjmować ciosy jak niejeden dorosły mężczyzna.



A widziałeś tego grubego, jak zwijał się z bólu, gdy tylko raz go walnąłeś? – Uśmiechnąłem się.

Dzieciak też się uśmiechnął.

– Gdyby dostał takie cięgi jak ty, to już do końca życia trzymałby się maminej spódnicy – zapewniłem. – Ale musisz być mądrzejszy. Zadawaj ciosy pierwszy. Wszystko wokół może być bronią. Nawet kamień. Zawsze pilnuj swoich pleców...

– Łatwo ci mówić, ty jesteś dziedzicem, ciebie ludzie się boją – przerwał mi.

Wybuchłem śmiechem. Nawet nie wiedziałem, że ludzie tutaj mogą się mnie bać.

– Widzisz to? – Dotknąłem palcem własnego nosa. – Dlaczego jest taki krzywy? Nie raz i nie dwa mi go złamali. A tu? – Odchyliłem kołnierz koszulki i pokazałem zabliznione już rany po Słodkiej.

– O kurka, co cię tak załatwiło? – Chłopak był pod wrażeniem.

– Dusza należąca do kasty. I uwierz mi, że ledwie uszedłem z życiem z tego spotkania, ale byłem cwany. Miałem obczajoną drogę ucieczki, a moją bronią było krzesło.

– Serio? – W spojrzeniu chłopaka pojawił się podziw.

– Nawet nie wyobrażasz sobie, jak załatwiłem tego drugiego. – Puściłem do niego oko. – A duszę przybiłem nogą krzesła do podłogi.

– Nie wierzę!

– I zwiąłem kanałem ściekowym.

– Ściemniasz!

– A tu dźgnęli mnie nożem. – Podniosłem koszulkę na brzuchu, pokazując starą bliznę. – A tu przypalali rozżarzone metal. – Pokazałem pomarszczone ślady na boku.

– Ale dlaczego?

– Bo byłem takim samym cwaniaczkiem jak ty. – Cofnąłem się o krok i krytycznie przyjrzałem dzieciakowi. – No, chciałbym powiedzieć, że twoja matka nie zauważyła, że brałeś udział w bójce, ale nie ma na to szans. – Skrzywiłem się.

Wyczyściłem krew z jego twarzy i co się dało, zalepiłem plastrami, ale jedno oko spuchło tak, że niewiele brakowało, a chłopak by nic już przez nie nie widział.

Za plecami usłyszałem kroki. Skrzypnęły otwierane drzwi, a ja już zacząłem się zastanawiać, jak będę się tłumaczył z obecności pobitego dzieciaka w kuchni.

– Aksel!!!

Odwróciłem się. W drzwiach stała kucharka.

– Co ty tu robisz?! Jak ty wyglądasz?! – Minęła mnie i stanęła przed chłopakiem.

– No bo ja... – zaczął się tłumaczyć. – Bo oni...

– Ile razy ci mówiłam, że nie masz brać udziału w żadnych bójkach?!

– Babciu, ale...

– Żadnego ale! Co ja powiem twojej matce?!

Zamrugalem powiekami, będąc w lekkim szoku. Takiego obrotu spraw się nie spodziewałem.

– Na obronę chłopaka powiem, że tamci rzeczywiście się na niego uwzięli – odezwałem się.

Alma odwróciła się do mnie, jakby dopiero teraz zdała sobie sprawę z mojej obecności. Przez chwilę sprawiała wrażenie, jakby i na mnie chciała nawrzeszczyć.

– Spotkaliśmy się przypadkiem – zacząłem się tłumaczyć. – Wracalem z baru...

– Z baru?! – podchwyciła szybko i oparła dłonie na wąskich biodrach.

Poczułem się jak karcony uczeń.

– No chyba mogę iść do baru? – zapytałem ostro.

– A mnie nie obchodzi, co dziedzic robi w wolnym czasie! – Odwróciła się, ściągnęła z oparcia krzesła ścierkę i zarzuciła ją sobie na ramię. – Tak długo, jak z puszek na wydatki jedzeniowe nie znikają pieniądze. – Przeszyła mnie spojrzeniem.

– Winny. – Ze skrucą uniosłem prawą dłoń. – Ale wszystko oddałem na...

– Syna Normana – dokończyła ze zmęczeniem w głosie. – Taa, wszyscy wiemy o tym szlachetnym czynie.

– Ja wszystko oddam, obiecuję – zapewniłem.

– No raczej – zachnęła się, po czym spojrzała na swojego wnuka. – I co ja mam z tobą zrobić? – westchnęła. – Jego rodzice pracują na dwie zmiany – wyjaśniła mi – więc chłopak siedzi po szkole sam w domu. To znaczy powinien siedzieć, ale tylko szuka kłopotów.

W korytarzu rozległo się wesołe ujadanie, po czym do kuchni wmaszerował Konrad w otoczeniu szczekających i skaczących psów. Kiedy tylko zobaczyły Aksela, rzuciły się wylizywać go po twarzy.

– Cześć, Szczypior! – Chłopak zaczął się z nimi witać. – Cześć, Koza! Cześć, Lawa! A gdzie Zamęt? Ach, tu jesteś, chodź się przytulić.

Przez chwilę wszyscy przypatrywaliśmy się temu radosnemu powitaniu.

– Zabieraj stąd te kundle! – wybuchła nagle Alma. – Jak mam przygotowywać kolację, kiedy w powietrzu lata tyle futra?!

Aksel zagwizdał i uciekł z całą sforą na podwórze.

– To jest dobry chłopak – westchnęła znów kucharka. – Ale jak bogów kocham, sprawia tyle problemów, że nie wiemy, co z nim robić.

– Już ci mówiłem, żeby po szkole przychodził tutaj. – Ogrodnik wzruszył ramionami i zajrzał do lodówki.

– Nie podjadać mi tu! – Uderzyła go szmatą. – Niedługo będzie kolacja! Ale on nie chce tu przychodzić.

– Bo ty każesz mu siedzieć w kuchni i odrabiać lekcje! – Konrad chwycił jednego kabanosa i pospiesznie wcisnął go do ust.

– Bo powinien mieć odrobione lekcje! – zachnęła się. – I odsuń mi się od tej lodówki!

– A nie może zajmować się psami? – zagadnąłem, wyglądając przez okno, jak Aksel biega po podwórzu z patykiem, a wszystkie psy pędzą za nim. – Niech je szkoli czy coś. Jak dla mnie to trochę brakuje im ogłady i posłuszeństwa. Niech je zabiera na spacer. Mogę mu nawet dać za to jakieś drobne kieszonkowe, żeby tylko nie kręciły mi się pod nogami.

Alma wymieniła spojrzenie z ogrodnikiem.

– Jak dla mnie to przedni pomysł – stwierdził Konrad. – Ja już jestem trochę za stary, żeby opanować wszystkie cztery.

– No nie wiem... – Kucharka się zawahała.

– Ty będziesz miała oko na wnuka, a on zajmie się psami i nie będzie wszczynać kolejnych bójek – powiedziałem.

Alma wzięła kilka głębszych wdechów, jakby nadal nie była przekonana, po czym ruszyła ku drzwiom.

– Idę mu o tym powiedzieć – rzuciła przez ramię.

– Chyba właśnie zaskarbiłeś sobie wdzięczność naszej kucharki – odezwał się Konrad, kiedy zostaliśmy sami. – A to już coś. – Wyciągnął z lodówki kabanosy i podał mi jednego.

Pokiwałem głową w zastanowieniu. Zawieranie przyjaźni zawsze szło mi gładko. Gorzej z utrzymaniem ich. Ale przecież nie będę tu wystarczająco długo, żeby musieć to robić.

# Rozdział 21

Patrzyłem, jak kawałki zepsutego mięsa znikają w wielkich ustach. Na półmisek spadł niewielki biały robak. Piękna znieruchomiała, po czym delikatnie wzięła go w dwa palce i uniosła na wysokość małych poślódków oczu. Przypatrywała mu się przez chwilę, po czym ze smakiem go pożarła.

– I o tym właśnie mówiłem – mruknął Roch.

Pokiwałem głową. Tej nocy zarządca uparł się, że pokaże mi, jak Piękna się pożywia. Każdego popołudnia zostawiali dla niej surowe, zepsute mięso. Poprzedniego dnia jednak Olaf wziął dla niej kawał całkiem dobrego schabu i dlatego się tak wściekła, że zaatakowała dziedzica.

– Jej łapa... – szepnąłem.

– A co myślałeś? – kpił zarządca. – Że już zawsze będzie jednoręka?

Na dobrą sprawę nawet się nad tym nie zastanawiałem. Kiedy poprzedniej nocy Roch odrąbał jej ramię, a Olaf odkopnął je w krzaki, nie obchodziło mnie, co stanie się z duszą. Cieszyłem się, że udało mi się ujść z życiem ze spotkania z nią. Teraz jednak widziałem, że Piękna musiała odszukać swoje ramię i przywiązała je do własnego ciała kawałkiem sznurka, ale rana już zaczęła się zablizniać.

– Duszy nie możesz zabić.

Zarządca powiedział to, o czym wszyscy doskonale wiedzieli. Nikt jednak nigdy się nie zastanawiał – chyba – co dzieje się z duszami, którym ktoś odrąbie kończynę.

– Możesz ją poćwiartować, a ona nie umrze – kontynuował Roch, kiedy wycofaliśmy się na ścieżkę. – I kiedy tylko nadarzy się okazja, połączy swoje członki i dalej będzie uprzykrzać nam życie.

W głowie pojawiła mi się wizja, jak rąbiemy na części wszystkie dusze na cmentarzu i zamykamy je w różnych grobach. Tutaj noga Pięknej, czulek Hugona i skrzydło Jewki. Tam łapa Pięknej, głowa Bagniaka i tors Pszczelarza... Chyba mielibyśmy wtedy spokój, prawda? Nieśmiało przedstawiłem swój pomysł zarządcy.

– Proszę bardzo, droga wolna. – Wyciągnął w moją stronę stylisko siekiery. – Poćwiartuj je wszystkie. Zobaczymy, czy to przeżyjesz.

– To była tylko taka luźna propozycja – burknąłem, urażony jego brakiem entuzjazmu.

– One nie dadzą się tak łatwo – powiedział spokojniej. – Kiedy wyczują, na jaki pomysł wpadłeś, nie pozwolą ci się pokroić na kawałeczki. A poza tym to trochę niemoralne, nie sądzisz?

Wzruszyłem ramionami. Nie byłem fanem okrucieństwa, ale jeżeli miałoby ono pomóc mi przetrwać...

– Dobra, idźcie z Samsonem sprawdzić, czy Hugo znowu nie zwiął – polecił zarządca. – A ja zerknę do Pszczelarza i Drewniaka.

Chciałbym powiedzieć, że już się przyzwyczaiłem do tej ciemności, rozświetlanej blaskiem łez, do tych dziwnych dźwięków, szeptów, do przerażającego szelestu... Że nie dostawałem gęsiej skórki, gdy tylko zobaczyłem podejrzenie wyglądający cień. Nie znosiłem lasów, a ten las akurat był na dodatek pełen pokutujących dusz, które przybierały najstraszliwsze formy. W oddali dojrzałem kiść dojrzałych łez i wiedziałem, że Roch nadal je zbiera i zjada przed każdym przekroczeniem bramy. Przyzwyczajenie? Uzależnienie? Zabezpieczenie, na wypadek gdyby krew dziedzica przestała nagle działać? Pewnie wszystkiego po trochu.

Po drodze zajrzeliśmy jeszcze do Bagniaka. Już z daleka było słychać nuconą przez niego melodię. Była spokojna, może nawet pełna nadziei, a to znaczyło, że nikt nie zburzył jego twórczości.

Wychyliłem się zza krzaków i przypatrzyłem szlamowemu potworowi. Z pełnym skupieniem układał skomplikowany wzór z jasnych kamyków, a ja z satysfakcją odnotowałem, że znalazł się tam również kamień, który podrzuciłem mu poprzedniego wieczoru.

Zbliżyliśmy się do grobu Hugona. Wielki ślimak pełzł wzdłuż granicy wyznaczonej przez ścieżkę usypaną z soli. Z jego gardła, o ile w ogóle miał gardło, wydobywały się bulgoczące dźwięki.

Samson przykucnął tuż przed solą i zwrócił się do wielkiego ślimaka.

– Wkurzyłeś niedawno zarządcę, co nie? – zagadnął.

Hugo nie zatrzymał się nawet na chwilę, tylko dalej pełził, szukając wyrwy w barierze ochronnej.

– No nie obrażaj się – ciągnął rękodajny. – Wiesz, że nie możesz uciec. Tylko kłopoty byłyby z tego.

Gdyby wielki ślimak umiał wrzucić ramionami, na pewno by to zrobił.

– Przecież on nie może być aż taki niebezpieczny – odezwałem się. – Wiem, że jego śluz działa jak kwas na ludzką skórę, ale...

– Ale nie chciałbyś zobaczyć, co nasz niesforny Hugo nawyprawiał kilka lat temu – wtrącił Samson.

– Co takiego mógł zrobić? – Patrzyłem na duszę, która wciąż leniwie parła naprzód.

Aż nagle przyspieszyła.

– Wyrwa! – krzyknął Samson.

Nie musiał mi tego dwa razy powtarzać. Jakieś dwa metry przed Hugonem ścieżka z soli została przerwana. Puściłem się biegiem i bez problemu prześcignąłem duszę. Wyciągnąłem z kieszeni woreczek z solą i uzupełniłem wyrwę. Hugo, pełen zawodu, zabulgotał z wyrzutem i zwolnił.

– Parę lat temu zwiął z cmentarza – podjął rękodajny, kiedy upewniliśmy się, że cały krąg wokół krypty duszy jest zabezpieczony. – Nie wiem, jak tego nie zauważyliśmy... To znaczy wiem, nie mieliśmy dziedzica, więc łatwo było przeoczyć takie rzeczy. Hugo bez problemu wspiął się na mur otaczający cmentarz i ruszył na pola uprawne. A tam, gdzie przeszedł, wszystko zaczynało gnić. Jak się rolnicy wściekli! – Samson przyłożył wielką dłoń do czoła. – Ale to nie wszystko. Bo Hugo ruszył do wsi. Wlazł ludziom do ogródków uprawnych, a że zachował niewidzialność, nikt nie wiedział, dlaczego nagle wszystkie owoce i warzywa zaczynały czernieć i dostawać larw. Jakaś babcia wyszła do swojego ogrodu zobaczyć, co się tam działo, przez przypadek wlaźła na niego i wylądowała w szpitalu z groźnymi poparzeniami.

– I co było dalej? – zapytałem, wciąż patrząc na mozolną wycieczkę ślimaka wzdłuż ścieżki z soli.

– Wysłali chłopaka do dworku. – Samson wrzucił ramionami. – Jak tylko usłyszeliśmy, co się stało, ruszyliśmy do wsi. Dobrze, że Roch miał przy sobie zapas łąz. Wzięliśmy je i od razu zobaczyliśmy Hugona w jednej ze szklarni, szczęśliwego jak mucha w środku gówna. Ale Garłacz się

wtedy wściekł! – zaśmiał się, jakby właśnie opowiedział dobry kawał. – To była wina nowego rękodajnego. Taki młody rudy chłopaczek chciał do nas dołączyć. No i oczywiście nie dopilnował kręgu z soli, a Hugo zwiął. Roch od razu go wywalił. A szkoda, bo zapowiadał się dobrze. Był wielki i silny, a takich nam trzeba, co nie?

Miałem wrażenie, że zerknął na mnie wymownie. Nigdy nie grzeszyłem potężnymi muskułami, ale jako kurier kasty ich nie potrzebowałem. Wystarczyło, że byłem szybki i sprytny.

– A nie nazywał się czasem Edwin? – zagadnąłem.

– No! Skąd wiesz? – zdziwił się.

– Zdażyłem już go poznać – odparłem, tracąc nagle zainteresowanie naszą rozmową.

Sól wydawała się taką kiepską barierą. Wystarczył silniejszy wiatr. Albo gałąź, która przerwie krąg. Albo na dobrą sprawę inna dusza, która postanowi pomóc Hugonowi w ucieczce.

*Jesteś dziedzicem* – przypomniały mi się słowa Opal. *Wymyśl własne patenty.*

– Łańcuch na bramie – odezwałem się, sam nie do końca wiedząc, co miałem na myśli.

– No? – zapytał Samson.

– Jak go zrobili?

– Jak kuli ogniwa, to ponoć do każdego z nich dodali odrobinę krwi samego Glariusza – odparł rękodajny.

– I żadna dusza nigdy nie przerwała tego łańcucha? – dopytywałem.

– Z tego, co wiem, to nie. – Mężczyzna podrapał się po głowie. – Ale chyba też żadna nie próbowała. Bo wiesz, znacznie łatwiej przeleźć przez mur, co nie?

A jeśli ten łańcuch ma naprawdę wielką moc? Jeśli krew dziedzica ją ma? Zresztą co ja się głupio pytam! Moja krew ma moc! Przecież potrzebują jej, żeby widzieć dusze!

Zacząłem gorączkowo klepać się po kieszeniach. Miałem tam węgiel, przedzimki i sól. Nie zapomniałem tym razem też przypiąć do pasa szabli.

– Masz kawałek sznurka? – Doskoczyłem do Samsona.

– Mam. A co? – odparł przeciągle.

– No to dawaj go!

Rękodajny wyciągnął z plecaka cienką, na oko dziesięciometrową linkę.



– Nada się. – Zważyłem ją w dłoni, a potem zacząłem się rozglądać za jakimkolwiek naczyniem. – Daj miskę! – poleciłem Samsonowi.

Zrobił głupią minę, ale ku mojemu zaskoczeniu wyjął niewielką plastikową miseczkę.

– Co ty robisz? – zapytał, kiedy wcisnąłem do niej linkę.

– Czary.

Podwinąłem rękaw bluzy i odwiązałem z przedramienia bandaż. Rana się skleiła, ale wystarczyło, że mocniej ją ścisnąłem, a po mojej ręce pociekła krew. Natychmiast pochyliłem się nad miską, pilnując, aby każda drogocenna kropla wsiąkła w sznurek.

Kilka minut później, kiedy ręka zaczęła mnie już porządnie boleć i zdawało się, że nie mam w niej ani grama krwi, na powrót owinąłem ją bandażem i z satysfakcją rozprostowałem wilgotną linkę.

– To będzie lepsze niż sól. – Przesząpiłem nad białą ścieżką i podszedłem do krypty Hugona. – O ile zadziała.

Odszukałem metalowe kółko wiszące na kotwie białej w ścianę krypty, jakby właśnie do takich celów tam się znalazło, i przeciągnąłem przez nie koniec linki, po czym go zawiązałem.

– Włóż rękawice i przytrzymaj naszego kolegę – poleciłem.

Hugo, jakby doskonale wiedział, co zamierzamy, przyspieszył, mimo to bez problemu go dogoniliśmy. Samson złapał go za czułki.

– Nie ruszaj się – polecił.

Dusza zabolgotała ze złością.

– To dla twojego dobra – dodałem. – Twojego, biednych wieśniaków i ich zbiorów.

Bez wahania zacząłem przywiązywać drugi koniec linki do czułka Hugona.

– Zaraz mi się wyrwie – odezwał się Samson. W jego głosie pobrzmiwała panika. – I rękawice mi się ześlizgną!

– Moment... moment... – Został mi ostatni węzeł. – Już!

Obaj odskoczyliśmy od duszy, która z wściekłym bulgotem zaczęła powoli obracać się wokół własnej osi.

Przez chwilę obserwowaliśmy miotającego się Hugona.

– Węzeł wytrzyma? – wyraził swoje wątpliwości Samson.

– No raczej, nauczyłem się go na Szantach – odparłem.

– Że co? – Zerknął na mnie.

– Marynarze mnie go nauczyli.

– Aha – mruknął nadal nie do końca przekonany rękodajny.

Wyglądało jednak na to, że nie dość, że sam węzeł, to i jeszcze linka wytrzyma. Hugo wściekał się i bulgotał jak gotująca się w garnku zupa, ale się nie zerwał. A sznur dawał mu tyle swobody, że mógł podpełznąć do każdego miejsca na terenie wyznaczonym przez sól.

– Jeżeli sam się jakoś mocno nie zaplączę, to będzie git – zapewniłem, choć wcale nie byłem tego taki pewien. – Da radę na dzień schować się do krypty. No i linki nie przerwie tak łatwo jak kręgu soli.

Samson z podziwem pokiwał głową.

– Roch nam nie uwierzy, co nie? – odezwał się. – Że znaleźliśmy lepszy sposób na Hugona.

– Tak, znaleźliśmy – odparłem z nutką ironii, ale mój kolega wcale jej nie wyłapał.

## Rozdział 22

Zaparzyłem sobie kawę i wyszedłem kuchennymi drzwiami na podwórze. Po mojej prawej ciągnął się przeszklony korytarz, który łączył kuchnię z domkiem dla służby. Wszystkie szyby wyglądały, jakby przespacerował się po nich Hugo, zostawiając za sobą rozmazany ślimaczy ślad.

Wziąłem w płuca haust chłodnego powietrza i usiadłem na kamiennych stopniach, stawiając obok siebie parujący kubek. Wszystkie drzewa na terenie dworku nabrały jesiennych kolorów. W słońcu pobłyskiwały czerwone, żółte i pomarańczowe liście. Nawet ładny widok dla entuzjastów wsi. Zacząłem już rozumieć tych studentów fotografii – dlaczego przyjechali akurat tutaj, żeby uchwycić piękno nieokiełznanej natury. O ile w ogóle byli fotografami.

Drzwi domku służby otworzyły się z hukiem. Na podwórko wypadły psy, a tuż za nimi rozczochrany Aksel. Dzisiaj wyglądał znacznie gorzej niż poprzedniego dnia. Gdybym był jego ojcem, to sprabym go za to, że tak dał się obić.

– Cześć! – Pomachał mi.

Odpowiedziałem skinieniem głowy. Chłopak podniósł z ziemi patyk i rzucił go w dal. Psy z głośnym ujadaniem popędziły za zdobyczą. Pierwsza dopadła ją Koza – z radością zaczęła rozgryzać drewno na drzazgi. Przez ułamek sekundy zastanowiłem się, co takie szczęki mogłyby zrobić z ludzką ręką. Wtem Zamęt chwycił za drugi koniec kija wystający z jej pyska i zaczęli się siłować, warcząc gardłowo. Dwa pozostałe psy ganiały wokół nich, jakby się wściekły.

– Miałeś je opanować – rzuciłem do Aksela.

– To wymaga czasu i pracy – zachnął się.

– Jak znów wpakują się łapami do mojego talerza z zupą, ty będziesz za to odpowiadał – zagroziłem.

Chłopak wydał ustami dźwięk, jakby pierdnął.

– Za mało mi płacisz – orzekł.

– Jeszcze nic ci nie zapłaciłem. – Szarpiące się psy podeszły niebezpiecznie blisko mojego kubka z kawą, więc uniosłem go nad ich grzbietami.

– No właśnie. – Skrzyżował ramiona na piersi.

– Widzę, że spałeś w dworku – zmieniłem temat.

– Babcia nie chciała, żeby mama mnie widziała z taką gębą, to wysłała Gaspara, żeby powiedział rodzicom, że przenocuję u niej.

– To twoja pierwsza wypłata może iść na pokrycie kosztów noclegu.

Aksel zrobił wielkie oczy.

– To niesprawiedliwe!

– Całe życie jest niesprawiedliwe. – Wzruszyłem ramionami. – Im prędzej się tego nauczysz, tym łatwiej ci będzie.

Chłopak zmierzył mnie wrogim spojrzeniem.

– Wyszkołę psy, żeby srały ci do butów! – zagroził.

Pokiwałem głową z uznaniem wobec takiej groźby.

– Tylko niech wybiorą najlepsze skórzane oficerki, to nie będę musiał płacić przez miesiąc ani tobie, ani twojej babci.

Aksel poczerwieniał ze złości, a psy zaczęły ganiać się po podwórzu jak szalone. Koza była najszybsza, Szczypior ujadał ze złości, że nie może jej dogonić, a Zamęt oszukiwał i ścinał zakręty. Lawa zaś stanęła na samym środku i szczekała na swoich futrzastych kumpli.

Dopiłem kawę i wstałem ze stopni.

– Żadnego spokoju – mruknąłem.

– Ale nie zabierzesz babci pensji przeze mnie? – zapytał cicho Aksel, kiedy byłem już w drzwiach.

Obróciłem się do dzieciaka. Na jego obitej twarzy pojawiły się troska i strach.

– Jak coś przeszkobiesz, to będę się liczył tylko i wyłącznie z tobą – obiecałem. – Babcię i wszystkich innych zostawimy poza naszymi sprawami.

Oblicze chłopaka się rozjaśniło.

– A teraz zabierz te kundle na spacer, żeby mi pod oknami nie ujadały – powiedziałem, wchodząc do kuchni.

Wstawiłem brudny kubek do zlewu i ruszyłem do gabinetu z zamiarem zagłębienia się w dziennikach Anzelma. Niestety moje biurko było już zajęte.

– To pan – odezwała się Aster, podnosząc na mnie nieco zamglone spojrzenie. Zupełnie jakby zapomniała, że od kilku dni mają dziedzica w dworku. – Muszę uzupełnić księgi rachunkowe. Ale już zwalniam miejsce. – Zaczęła zbierać swoje długopisy i kartki.

– Siedzi pani. – Machnąłem ręką. – To biurko jest chyba najwygodniejsze w całym dworku. A przekrętów w księgach rachunkowych nie powinno się robić na kolanie.

Ochmistrzyni poczerwieniała ze wstydu albo złości. Trudno stwierdzić.

– Przyszedłem tylko po to. – Zdjąłem z półki losowy dziennik Anzelma.

W jadalni Irys zamiatała podłogę, a jakoś nie miałem ochoty zamykać się w swoim pokoju, wyszedłem więc na zewnątrz i obrałem przypadkowy kierunek. Szedłem przez łąki, przy okazji napychając kieszenie przedzinkami. Zatrzymałem się na łagodnym wzgórzu, skąd miałem dobry widok na cały dworek. Z tej odległości wyglądał nawet całkiem nieźle, a nie jak rozsypująca się rudera. Usiadłem na ziemi, jakiś robał wlaźł mi na nogę, ale z pewnym obrzydzeniem strąciłem go w trawy.

Bez entuzjazmu otworzyłem dziennik i kartkowałem go, aż w oczy rzucił mi się nagłówek: *Piękna*.

*W końcu udało mi się dotrzeć do źródła, które zdradziło mi garść informacji na temat duszy złośliwie zwanej przez zarządcę i rękodajnych Piękną. Mój informator jednak pragnął zachować anonimowość.*

Dalej pisał o tym, jak to trudno znaleźć cokolwiek o duszach uwięzionych na cmentarzu. Pakty przepadły i w większości przypadków nie znano nawet prawdziwych imion i nazwisk ofiar Glariususa. Tym razem jednak Anzelm odkrył, kim za życia była Piękna.

*Ze względu na mojego informatora nie będę używał jej prawdziwego imienia. W każdym razie Piękna była niegdyś młodą i bardzo atrakcyjną*

*kobietą, aktorką w teatrze. Wielu dżentelmenów szło do teatru tylko wtedy, gdy ona miała grać główną rolę...*

Szybko przejrzałem tekst. Wychodziło na to, że Piękna rzeczywiście była piękna, ale miała paskudny charakter. Wykorzystywała mężczyzn, którzy zakochiwali się w niej bez pamięci. Miała co najmniej kilkunastu kochanków, raz ponoć czterech w tym samym czasie. Naiwni faceci obsypywali ją drogimi prezentami, jeden nawet kupił dla niej mieszkanie w najlepszej dzielnicy miasta. Był też taki, który porzucił dla niej żonę i dzieci. Niestety facet zapomniał, że to on wzenił się w bogatą rodzinę, i kiedy oświadczył swojej żonie, że chce rozwodu, jego bogaty teść już zadbał o to, żeby zostawić zięcia tylko w jednej koszuli. Dosłownie, koleś nie dostał nic. Goły i wesoly stanął na progu Pięknej, a ta kopnęła go w zadek.

Pokręciłem głową. Jak można tak się dać omamić babie? Miałem na swoim koncie kilka romansów. Bardziej lub mniej płomiennych, ale bez przesady. Od każdej z kobiet mogłem odejść, nie oglądając się za siebie. Mirabelka była słodką, młodszą ode mnie dziewczyną, ale w życiu nie straciłbym dla niej głowy. Już prędzej dla Penelopy. Ale przecież ona miała zupełnie inne marzenia o przyszłości niż ja. Oboje doskonale wiedzieliśmy, że poza łóżkiem i dachem jej kamienicy, na którym snuliśmy plany na przyszłe lata, nie było w tym świecie miejsca, w którym moglibyśmy się dogadać jako para.

Nawet mi ich tu nie brakowało. Zresztą kiedy człowiek co noc usiłuje wyjść żywy z cmentarza osobliwości, nie ma ani czasu, ani chęci na myśli o kobietach. Potrząsnąłem głową, wracając do lektury.

Piękna uwielbiała drogie prezenty: biżuterię, zagraniczne perfumy, piękne suknie. Od jednego faceta dostała nawet konia... Ale jej uroda zaczęła przemijać. Już nie dostawała tylu ról co kiedyś. A wielką zmianą w jej karierze była rola macochy pięknej dziewczyny. Od tamtego dnia była postrzegana jako dojrzała kobieta. Owszem, nadal jeszcze znajdowali się tacy, którym się podobała, ale z każdym rokiem było ich coraz mniej.

W pewnej chwili zacząłem się nawet zastanawiać, czy ten informator Anzelma nie był czasem spokrewniony z jednym z kochanków Pięknej.

W każdym razie majątek prysł, rzeka prezentów wyschła, a Piękna, wciąż żyjąc we własnej głowie minionym życiem, popadła w alkoholizm. Przepiła

wszystko, co jej pozostało. Anzelm wysnuł nawet teorię, że gdyby zainwestowała to wszystko, co niegdyś dostała, a w końcu uzbierało się trochę tych dóbr, miałyby wystarczająco pieniędzy na skromną emeryturę i godny pochówek. Była na dnie, kiedy poznała Glariusza. Młody, rzutki hrabia szybko oczarował podstarzałą aktorkę. Zaprosił ją do Lawendowego Dworku, gdzie bawiła gości swoimi krótkimi występami, a później wmanewrował ją w podpisanie paktu dotyczącego jej śmierci i pogrzebu.

Odłożyłem dziennik i zapatrzyłem się na niszczący dworek. Stwór, w jakiego Piękna zmieniła się po śmierci, był okrutnym żartem ze strony bogów. Może i nie grzeszyła inteligencją, może i wykorzystywała naiwnych facetów, ale czy zasłużyła na taki koniec? Sam miałem wiele na sumieniu i nie byłem już taki skory do oceniania innych jak niegdyś.

– I co to mi daje? – zastanowiłem się na głos, patrząc na zniszczoną okładkę dziennika.

Poznałem historię Pięknej, ale nadal nie wiedziałem, jak uniknąć bycia zmiażdżonym w jej tłustych ramionach.

W oddali zobaczyłem cztery obce sylwetki. Przyłożyłem dłoń do czoła, osłaniając oczy przed nisko wiszącym słońcem. Jeden z ludzi podniósł dłoń na powitanie. Aha, studenci idą fotografować swoje drzewo w wieży strażniczej.

Zaburczało mi w brzuchu. Nie zjadłem śniadania, więc żołądek zaczął upominać się o swoje. Najwyraźniej zdążyłem już go rozpuścić stałymi porami posiłków i poranna kawa nie była dla niego wystarczająca. Wstałem więc z zimnej ziemi, otrzepałem spodnie i wróciłem do dworku.

– Jak dobrze, że pan wrócił! – zawołała na mój widok Irys. – Zaraz będę podawać obiad.

Skinąłem z wdzięcznością głową i zająłem miejsce na szczycie stołu w jadalni. Na razie stały przede mną tylko puste talerze, a mnie coraz głośniej burczało w brzuchu. Założyłem ręce za głowę i odchyliłem się na krześle. Moją uwagę przykuła pokaźnych rozmiarów pajęczyna powiewająca przy desce stropowej na suficie. Niby służba jest taka zapracowana, a wszędzie kurz i pajęczyny...

Do jadalni weszła Dalia. Choć może bardziej trafne byłoby określenie: wpłynęła. Tym razem miała na sobie niebieską zwiewną suknię, aż mieniącą się od tysięcy złotych cekinów. Tuż za nią powiewał szmaragdowy szal, a we włosach drżało w przeciągu pawie pióro.

– O, jak miło – odezwała się artystka. – Znów zjemy posiłek razem.

– Jesteś niczym kwiat na pustyni – powiedziałem z uśmiechem. – Rozjaśnisz każdy obiad.

Irys przyniosła wazę z zupą pomidorową. Zaczęliśmy jeść. Dalia opowiadała mi o swoim najnowszym obrazie, jakby to była gruba książka. Tak wiele rzeczy miało się na nim dziać, tak wiele szczegółów chciała tam umieścić. Podczas drugiego dania z kolei zaczęła mnie wypytywać o cmentarz nocą. O to, jak ja jako dziedzic widzę dusze.

– Salomon wciąż mi o tym mówił – westchnęła. – Ale ja nigdy nie potrafiłam sobie tego wyobrazić. Lśnienia łez, ciemnych krypt, pokutujących dusz. To musi być takie niesamowite...

Skinąłem głową. To było niesamowite – do czasu, aż człowiek zdał sobie sprawę, ile cierpienia znajdowało się na tym jednym cmentarzu. Ile tragicznych, okrutnych lub strasznych historii przeplatało się między grobami? O ilu rzeczach zapomnieliśmy? Opowieść o Pięknej dała mi do myślenia. Tak samo jak historia Anatola. Kim ja będę po śmierci? Czy stanę się krwiożerczą bestią będącą karykaturą moich marzeń i grzechów? Nigdy o tym tak naprawdę nie myślałem. W gronie ludzi, wśród których się obracałem, nikt o tym nie myślał, bo inaczej chyba wszyscy przeszlibyśmy na ścieżkę dobra i prawości. Ale ilu z nas nie mogło zasnąć w nocy? Kto przewracał się z boku na bok, martwiąc się własnym życiem pozagrobowym?

Odsunąłem od siebie pusty talerz, tak samo jak usiłowałem odsunąć od siebie takie ponure myśli.

– Widziałaś kiedyś wieżę strażniczą, z której wyrasta drzewo? – zagadnąłem, żeby tylko odwrócić moją uwagę od ponurych rozważań.

– Taką starą, rozpadającą się? – Oblicze Dalii się rozjaśniło.

– Chyba tak, jest gdzieś ponoć w okolicy. – Skinąłem głową.

– Ależ oczywiście! Chodź! – Złapała mnie za rękę i pociągnęła w stronę hallu.

Dałem jej się poprowadzić na piętro, a później na poddasze, do jej artystycznego królestwa.

– Poczekaj, poczekaj – mamrotała. – Gdzie ja to ukryłam...

Kręciła się po swoim małym mieszkanku, jakby coś zgubiła, po czym zaprowadziła mnie do pomieszczenia, które niegdyś miało chyba być sauną, a teraz stało się jej magazynem. Gwizdnąłem z uznaniem na widok



obrazów stłoczonych pod ścianą. Duże i małe płótna przedstawiające krajobrazy, martwą naturę oraz rzeczy bardziej abstrakcyjne, niepokojące i trafiające przez oczy do samej duszy.

– Jest! – Dalia zaczęła siłować się z jednym z obrazów.

Pomogłem jej wyciągnąć go spod innych. Płótno miało ze dwa metry kwadratowe. Ustawiliśmy je pod wolną ścianą. Odsunąłem się o krok i zapatrzyłem na obraz.

– To jest... to? – zapytałem cicho.

Malarka z entuzjazmem pokiwała głową.

– Niedługo na pewno dostanę zaproszenie na wystawę w stolicy – zapewniła. – Chcę podczas niej zaprezentować wszystkie moje obrazy przedstawiające okolice Lawendowego Dworku. Pokażę wszystkim, w jak pięknej i pełnej zabytków okolicy mieszkamy...

Mówiła dalej, ale ja przestałem jej słuchać. Wpatrzyłem się w obraz przedstawiający okrągłą wieżę z cegły. Miejscami zaprawa się z niej wykruszyła, kilka cegieł leżało na ziemi w suchych trawach. Z samego środka wieży, niczym jej dach, wyrastało drzewo. Jego czarne, bezlistne gałęzie były poskręcane na tle ciemniejącego nieba. Słońce już zaszło, ale zza horyzontu wystrzeliwały jeszcze promienie przywodzące na myśl ognistą łunę. Stado czarnych ptaków zrywało się właśnie do lotu.

Było w tym obrazie coś strasznego, jakby w samym środku wieży kryły się dusze gotowe pożreć każdą istotę, która zabłąkała się na ich tereny.

– I co o tym sądzisz? – zapytała Dalia.

– W życiu nie widziałem czegoś bardziej niepokojącego – odezwałem się, niepewny, czy to będzie komplement.

– I tak miało być! – Klasnęła w dłonie. – Strażnica znajduje się jakieś pięć kilometrów od nas. Musiałam nieźle się natrudzić każdego wieczoru, kiedy niosłam tam sztalugi i farby. Później godzinami marzłam w jesienne wieczory, malując, i wracałam do dworku po zmroku. Ale warto było.

– Nie znam się na sztuce, ale myślę, że ktoś bogaty dałby za to kupę kasy – stwierdziłem.

Dalia pokraśniała. *O ile nie bałby się zawiesić tego we własnym salonie* – dodałem w myślach. Teraz przynajmniej rozumiałem, dlaczego studenci chcieli uwiecznić tę wieżę na swoich fotografiach. Co prawda nie widziałem jeszcze tego „cudu architektury”, ale uważałem, że i tak nikt nie uchwyci go lepiej niż Dalia.

– Chodź, pokażę ci jeszcze inne obrazy z naszych okolic – rzuciła z entuzjazmem artystka.

Przez następną godzinę oglądałem kolejne płótna, ale żadne z nich nie wzbudziło we mnie takich uczuć co tamta wieża. W pewnej chwili mój wzrok padł na srebrny wisior z kamieniem, leżący na szafce nocnej przy łóżku. Tuż obok niego kusząco połyskiwały szmaragdy pięknej bransolety. Wystarczyła sekunda, gdy Dalia nie patrzyła, a w mojej kieszeni zaległ ciężar złota.

– Może to głupio zabrzmie, ale czy masz jakąś biżuterię, z którą mogłabyś się rozstać? – zapytałem.

Dalia spojrzała na mnie spod zmarszczonych brwi.

– Nie chcę tego dla siebie, oczywiście... – Zawiesiłem głos. – Ani dla żadnej dziewczyny, ale... jest taka jedna dusza... Myślę, że...

– O kim mówisz? – zapytała łagodnie.

– O Pięknej – powiedziałem i usiadłem na łóżku przykrytym kolorową kapą. – Przeczytałem dziś jej historię w dzienniku Anzelma i myślę, że... – Rozłożyłem ręce.

– Wiesz co, mam tu coś, co może się jej spodobać. – Zaczęła grzebać w swojej szkatułce, w końcu wyjęła z niej kolczyki z kolorowymi piórkami.

– Nie jest to nic cennego, ale może jej przypaść do gustu.

Przyjąłem biżuterię z wdzięcznością.

– Daj znać, co z tego wyjdzie – poprosiła Dalia. – Jeszcze nikt nie wpadł na to, żeby dać jej prezent. A może właśnie tego potrzebuje?

– Dziś wszystko się okaże. – Puściłem do niej oko.

– Nie jesteś idealny – powiedziała tak cicho, że ledwie ją usłyszałem.

– Słucham? – Obróciłem się w progu.

– Nie jesteś takim dziedzicem, jakiego byśmy mogli sobie wymarzyć – odparła głośniej. – Ale może o to chodzi, że takiego nie potrzebujemy? Salomon był idealny, ale... nawet jemu czegoś zabrakło. – W jej głosie pojawił się smutek. – Jesteś inny niż twoi poprzednicy.

– Mama zawsze mówiła, że jestem wyjątkowy – rzuciłem z uśmiechem, bo nie miałem pojęcia, co innego mógłbym powiedzieć.

– Idź i pomagaj pokutującym duszom. – Machnęła w moją stronę ręką, jakby wyganiała mnie ze swojego królestwa.

W podskokach zbiegłem ze schodów, ściskając w ręku piórkowe kolczyki. Miło było słyszeć, że Dalia pokładała we mnie nadzieje. Ale też doskonale

zdawałem sobie sprawę z tego, że to samo mówiła pewnie moim poprzednikom. Ba, musiała nieźle im kadzić, skoro trzech kolejnych dziedziców pozwoliło jej mieszkać w dworku po śmierci jej ukochanego i żaden jej stąd nie wywalił, choć z pieniędzmi było coraz bardziej krucho.

W hallu wpadłem na zarządcę.

– Dzisiaj ty idziesz na popołudniowy patrol – oświadczył bez ogródek.

– A kto będzie ze mną? – zapytałem.

– Nikt – burknął Roch. – Potrzebuję rękodajnych tutaj.

Zmarszczyłem brwi. To było bardzo podejrzane, że kazał mi iść na cmentarz samemu. Co prawda dusze jeszcze spały, ale mimo wszystko nie sądziłem, że zarządca w ciągu najbliższego roku okaże mi takie zaufanie. No, chyba że planował jakiś zamach na mnie. Nie wiem, może akurat w ten dzień miesiąca Rogacz czy jeszcze inna bestia nie zasypia za dnia i ma mnie pożreć? Cóż, okaże się.

– Pamiętaj zabrać sól na Hugona, kawał starego mięsa dla Pięknej – zaczął wyliczać. – Upewnij się, że krata Śmierciana trzyma, a Flora nie zajęła całej ścieżki...

– Tak, tak, wiem – odparłem ze znużeniem. Nie lubiłem, gdy ktoś traktował mnie jak głupka.

Roch warknął coś pod nosem, najwyraźniej niezadowolony, że mu przerywam, ale po chwili wyjął z kieszeni duży, stary klucz.

– Od teraz należy do ciebie – powiedział odrobinę podniosłym tonem. – I ani mi się waż go zgubić!

Pokiwałem głową i schowałem klucz do kieszeni.

– Za godzinę masz być na cmentarzu – powiedział Roch, a ja mu zasalutowałem, za co zgromił mnie spojrzeniem. – I pierwsza warta też jest twoja! – dodał, jakby chciał jeszcze wbić mi jakąś szpilę.

– Się rozumie, w końcu jestem dziedzicem i dostaję za to kasę – powiedziałem i tak na wszelki wypadek odsunąłem się z zasięgu jego rąk. – A nie, czekaj, całą wypłatę przeznaczyłem na chore dziecko.

Zarządca postąpił w moją stronę, jakby chciał mi przywalić, ale ja już byłem na schodach.

– Lecę się przygotować jak zawodowiec! – rzuciłem przez ramię, spiesząc do swojego pokoju.

W kieszeni bluzy czułem ciężar złota i szlachetnych kamieni. Przecież nie pójdę z tym na cmentarz. Tylko gdzie to diabelstwo ukryć?

Po drodze do mojej sypialni zajrzałem do jednego z zakurzonych pokoi. Nikt tu nie wchodził, nikt tu nie sprzątał. Wrzuciłem bransoletę pod łóżko i upewniłem się, że jej nie widać. W razie czego podejrzenia raczej nie padną na mnie.

W garderobie odszukałem niewielki, ale pojemny plecak. Wsadziłem do niego podręczny zestaw opatrunkowy, kolczyki od Dalii i uzbierane wcześniej przedzimki. Później udałem się do kuchni po sól i zepsute mięso, które cuchnęło chyba na kilometr. Zabrałem jeszcze kilka innych drobiazgów typu grudka węgla, dziesięciometrowa linka, kawałek łańcucha i tak uzbrojony ruszyłem na cmentarz, pełen nadziei, że Roch nie przyszykował dla mnie żadnej paskudnej niespodzianki.

## Rozdział 23

Ująłem w ręce kłódkę, czując ekscytację podszytą strachem. Metalowe zapadki zabrzęczały cicho, kiedy przekręciłem klucz, łańcuch zsunął się ze zgrzytem z bramy. Zawiasy skrzypnęły, a ja stanąłem na terenie cmentarza. Po raz pierwszy byłem tu zupełnie sam. Chciałbym powiedzieć, że uśpiony cmentarz wyglądał spokojnie, jakby nic mi tu nie groziło, ale tak nie było. Człowiek przez podeszwy butów wyczuwał drżące pod ziemią zło i żądzę krwi.

Ruszyłem jasną ścieżką zarządcy. Przeszłem nad pędami Flory i zapatrzyłem się na jej uśpione kwiaty, które wyglądały, jakby spokojnie oddychały, i tylko co jakiś czas któryś z nich zadrżał, jak gdyby przyśnił mu się koszmar. Przedarłem się przez gęste zarośla do krypty Śmierciana i dwa razy sprawdziłem jego kratę.

– Dlaczego tak bardzo nienawidzisz dziedziców? – zagadnąłem pustą, ciemną dół. – Wiem, dlaczego nie znośiłś Glariusza, Kalisterona też, ale ja nic ci nie zrobiłem. Nie musisz chcieć się na mnie mścić.

Z krypty poniosł się cichy dźwięk, jakby szept. Poczuję się bardzo nieswojo i starając się nie biec, wróciłem na ścieżkę.

Gdy dotarłem do grobu Hugona, skrzywiłem się na widok naznaczonej rdzawymi plamami linki obwiązanej wokół wszystkich krzaków, które stały na drodze wielkiego ślimaka. Poza tym jeden koniec sznura nadal był przywiązany do kółka w murze, a drugi niknął w ciemnościach krypty.

– Czyli mój patent działa – ucieszyłem się.

Zacząłem odplątywać linkę z krzaków, część gałęzi wyciąłem szablą. Przydałaby mi się siekiera Rocha, żeby całkowicie oczyścić teren Hugona,

ale to mogłem zrobić jutro. Na wszelki wypadek poprawiłem sól usypaną wokół grobu i podążyłem dalej.

Położyłem cuchnące mięso na metalowym półmisku przy krypcie Pięknej, po czym wyjąłem z kieszeni kolczyki od Dalii i się na nie zapatrzyłem.

– Mam nadzieję, że ci się spodobają – westchnąłem, kładąc je koło mięsa.

Upewniłem się jeszcze, czy inne krypty są nienaruszone, czy nikt nie zepsuł dzieła Bagniaaka, czy w pobliżu grobu Pszczelarza nie ma nic, co mogłoby łatwo zająć się ogniem. Teoretycznie opieka nad cmentarzem w dzień nie była taka zła. Problem polegał jedynie na tym, że wciąż czułem się obserwowany. Zupełnie jakby dusze nadal się zastanawiały, czy warto zostawić mnie przy życiu, czy jednak powinny mnie pożreć.

Dopiero kiedy zamknąłem za sobą kłódkę, odetchnąłem z ulgą. Słońce niedługo zajdzie.

– Co słyhać? – usłyszałem za plecami i niewiele brakowało, a wyskoczyłbym w powietrze jak ostatni tchórz.

Odwróciłem się i zobaczyłem szczerą twarz Opal. Tutejsze dzieciaki były chyba naprawdę znudzone, skoro łaknęły nawet mojego towarzystwa.

– Odważnie z twojej strony tak podchodzić pod samą bramę – stwierdziłem, dla pewności ciągnąc za łańcuch.

– Dusze mnie nie skrzywdzą – zapewniła.

– Mówiłem o twoim ojcu.

– Ma ciche dni z mamą. – Wzruszyła ramionami. – Miło by było, gdyby się do mnie odezwał, nawet jeśli miałby na mnie nawrzeszczeć.

– Macie naprawdę niezdrowe relacje – podsumowałem, idąc wąską drogą w stronę dworku. – Jak wypracowanie?

– Jestem jeszcze w trakcie pisania, ale na pewno dostanę najwyższą ocenę. – Zaczęła zrywać długie łydgi przedzimek.

– Skoro tak twierdzisz... – rzuciłem na odczepnego. – Czekam na kolejny patent na dusze. – Spojrzałem na nią z ukosa.

– A to, co ci wczoraj powiedziałam, pomogło? – zapytała, wygładzając swoją sukienkę.

– Nic mi nie powiedziałaś! – wyrzuciłem.

– Powiedziałam, żebyś wykorzystał swoje zdolności jako dziedzic – przypomniała poważnie. – A ty to zrobiłeś, prawda?

W jej głosie pobrzmiwała taka pewność, jakby doskonale wiedziała, że wykorzystałem moją krew do zatrzymania Hugona w pobliżu jego krypty.

– Ale ty chyba nas nie podglądałaś w nocy, co? – zapytałem podejrzliwie.

– No coś ty, przecież to niebezpiecznie – odparła, a ja nie miałem pewności, co jej słowa miały znaczyć.

Przez chwilę szliśmy w milczeniu, aż opowiedziałem jej o uwiązaniu Hugona.

– Wybornie! – Zaklaskała w dłonie. Kilka kwiatów z jej bukietu opadło na ziemię.

– Wybornie? – powtórzyłem z ironią. – Jaka dziesięciolatka tak mówi?

Opal wydeła usta, jakby się obraziła.

– Mam dwanaście lat – sprostowała ponownie.

– Mniejsza z tym. – Machnąłem ręką, automatycznie zrywając kwiaty przedzimek mijanych po drodze. – Proszę o nowy patent.

– Flora nie lubi soli – powiedziała.

Przez sekundę ważyłem jej słowa.

– I co to znaczy? – zacząłem dopytywać. – Żeby rozsypywać sól wokół jej kamienia, jak robimy to wokół krypty Hugona?

– Przecież jej korzenie rosną pod ziemią – odparła Opal i spojrzała na mnie jak na debila. – Może skierować pędy pod ścieżką soli i wypuścić je z ziemi daleko za nią.

– No tak, ale... – zawahałem się. – Co, jak będzie chciała mnie zaatakować, mam sypnąć na nią solą?

– Właśnie tak!

Poprawiłem szelki plecaka, w którym miałem jeszcze co najmniej pół kilograma soli.

– Tak po prostu? – dopytywałem. Nie chciałem, żeby w krytycznym momencie okazało się, że jednak coś źle zrozumiałem.

– Sypnij solą na kwiaty, a się wycofają i przestaną kąsać – zapewniła. – Proszę, możesz je ususzyć i wstawić do wazonu w gabinecie. – Podała mi bukiet przedzimek.

– I ani twój ojciec, ani żaden z rękodajnych na to nie wpadli? – wyraziłem swoje wątpliwości, odruchowo biorąc od niej kwiaty.

– Wiesz, gdyby chcieli na próbę sypać solą albo przedzimekami na każdą duszę, to zostaliby pożarci, zanim doszliby do jakichkolwiek sensownych wniosków.

Coś było w jej słowach, ale jednocześnie te jej sposoby na dusze były takie... proste, wręcz prymitywne.

– Zostawiłem Pięknej kolczyki – wypaliłem.

Opal spojrzała na mnie z zainteresowaniem.

– No bo przeczytałem, że była kiedyś piękną aktorką i lubiła prezenty, i tak sobie pomyślałem, że kolczyki jej się spodobają... – Sam nie wiem, dlaczego tak nagle zacząłem się tłumaczyć.

– Myślę, że jej się spodobają – odparła z powagą, po czym stanęła jak wryta. – Zagapiłam się, muszę lecieć!

Gwałtownie odwróciła się i uciekła.

– Taka sama dziwaczka jak jej ojciec – podsumowałem.

Po chwili zza wzgórza wyszła Irys z pełnym koszykiem na ramieniu, sugerującym, że wraca właśnie z zakupów we wsi.

– Dobry wieczór. – Uśmiechnęła się na mój widok.

Skinąłem jej głową i wziąłem od niej koszyk. Cholerka, był naprawdę ciężki. Może napchała do niego cegieł. W każdym razie już wiedziałem, dlaczego Opal zwała w takich podskokach. Niedobrze, młoda służąca chyba zobaczyła ją w moim towarzystwie i teraz wszystkim to wygada. Choć swoją drogą, trochę męczyła mnie ta nasza konspiracja.

– Widziałas kogoś ze mną? – zapytałem tak dla pewności.

– Kiedy? – Obróciła ku mnie swoje szczere oblicze.

– No przed chwilą.

– Nie. – Pokręciła głową. – Szedł pan sam – zapewniła.

– I tej wersji się trzymajmy – powiedziałem, przekładając koszyk do drugiej ręki.

Po powrocie do dworku wsadziłem bukiet od Opal do wazonu stojącego na biurku w gabinecie. Kolację zjadłem samotnie, ślęcząc nad dziennikami Anzelma. Zastanowiło mnie, z jakim zachwytem facet pisał o swoim zarządcy. Zarządca to, zarządca tamto.

– Normalnie geniusz – mruknąłem.

Zarządca Anzelma był zawsze gotów wypróbować nowe metody zaproponowane przez dziedzica. Co noc ryzykował własne życie, i na dobrą sprawę rękodajnych też, żeby tylko jego pracodawca mógł w spokoju spisywać całą wiedzę o cmentarzu, jaką zdobędą, oraz jeździć po kraju, szukając tożsamości ofiar Glariusza.



– Nie narzekałbym, gdyby Roch był w połowie taki jak twój zarządca – westchnąłem do papieru.

Podniosłem wzrok na regały pełne książek i dzienników. Poczułem pewną więź z poprzednimi dziedzicami. Każdy z nich usiłował przetrwać. Każdy z nich podjął próbę opieki nad bestią, która bez wahania może pożreć swojego właściciela. A przy okazji wszyscy mieli jakieś poboczne zajęcia – Anzelm pragnął dowiedzieć się jak najwięcej o duszach, Abel chciał tylko dobrze się bawić, Cyrus postanowił przepieprzyć cały majątek po swoim kuzynie, Tobiasz nakierunkował swoje zainteresowania na kobiety. Było jeszcze wielu innych, którzy odcisnęli swoje piętno zarówno na cmentarzu osobliwości, jak i na Lawendowym Dworku. A ja? Co ja chciałem tu osiągnąć? Wzbogacić się?

Wzruszyłem ramionami. Chyba tylko o to chodziło. Trochę mało ambitne plany, ale moi poprzednicy nie byli wiele lepsi. Zastanawiał mnie tylko Kalisteron. Gdzie ukrył swoje dzienniki? Co próbował tutaj zrobić? Mówią, że był zły, że chciał ponownie otworzyć cmentarz dla publiki. A może właśnie w ten sposób chciał pomóc duszom? Żeby znów robiły to, do czego były stworzone?

Prychnąłem pod nosem. Jeśli chciał otworzyć cmentarz, na pewno nie było to z dobrych pobudek.

– Gdzie ukryłeś swoje dzienniki? – zastanowiłem się na głos. Świadkowie po jego śmierci potwierdzili, że nie rozstawał się z dziennikiem, tylko co z nim zrobił?

Ja na pewno nie schowałbym go ani w gabinecie, ani w swoim pokoju. Salomon był naiwniakiem, skoro sądził, że jego poprzednik zrobiłby coś tak oczywistego. Przez lata handlowałem łzami. Widziałem całe mnóstwo mniej lub bardziej sprytnych skrytek. Nieraz sam musiałem ukryć mój towar. I już dawno temu doszedłem do wniosku, że im bardziej na wierzchu coś się znajduje, tym trudniej to znaleźć. Jak chociażby złota moneta wpleciona w łapacz snów powieszony nad łóżkiem.

Tylko jak schować coś na widoku, żeby nikt nie odkrył tego przez sto lat?

Zamknąłem oczy i we własnej głowie udałem się na wycieczkę po całym dworku. Szukałem najbardziej oczywistych skrytek, takich, które codziennie się mija i nie zwraca się na nie żadnej uwagi, ale też takich, których nikt nie odkryje przez przypadek. Twardy orzech do zgryzienia...

– Wstawaj!

Poderwałem się na równe nogi.

Przez przypadek trąciłem ręką kubek z niedokończoną kawą, która wylała się na podłogę.

– Twoja warta – powiedział Roch, stojąc nade mną.

Cholerka, wystarczył mi tydzień we względnie bezpiecznym domu i już straciłem czujność. Wcześniej w życiu by mnie tak nie podszedł.

Przetarłem zaspaną twarz.

– Znów idę sam? – zapytałem, ścierając serwetką fusy.

Zarządca prychnął głośno.

– Myślisz, że puściłbym cię samego po zmroku na cmentarz? – rzucił głosem przepełnionym kpina.

– Czyli jednak się o mnie troszczysz? – droczyłem się.

– Jesteś dziedzic do dupy, ale twoja krew się przydaje. Za pięć minut widzę cię w hallu, zwartego i gotowego.

Czasem miałem naprawdę dość tego kolesia.

Wrzuciłem brudną serwetkę do kubka i wytarłem dłonie o spodnie. Nie spiesząc się, poszedłem do mojego pokoju i włożyłem ciepłe ubrania, sprawdziłem, czy mam w plecaku wszystko, czego mogę potrzebować, i po około dziesięciu minutach stawiałem się pod drzwiami wyjściowymi.

– Spokojna noc nas czeka – rzucił na powitanie Norman.

Zdziwiłem się na jego widok.

– Możesz już chodzić?

– Pewnie, nie z takich ran już wychodziłem znacznie szybciej. – Ruszył ku drzwiom, a mnie nie umknęło, że nadal mocno utyka.

– A dlaczego spokojna noc? – zapytałem.

– Bo dziś druga noc pełni. Wtedy zawsze są spokojniejsze. Wolą grandzić podczas nowiu, wtedy kiedy my gorzej widzimy.

– Bosko – mruknąłem ironicznie.

Wyszliśmy przed dworek, gdzie czekał na nas Roch. Posłał nam krzywe spojrzenie i ruszył w stronę cmentarza. On utykał permanentnie.

Uśmiechnąłem się do własnych myśli. Dwóch kulawych i cwaniak z miasta. Piękne trio do walki z krnąbrnymi duszami.

Przez większość drogi milczeliśmy. Wiał lekki wiatr i już z daleka dało się słyszeć wietrzne organy. Chyba nigdy nie przywyknę do ich dźwięku i zawsze będzie wywoływał u mnie nieprzyjemny dreszcz. Podobnie jak

zgrzyt łańcucha ześlizgującego się z bramy. Miałem wrażenie, jakby na dno mojego żołądka opadła bryła lodu.

– Wiecie co? – odezwałem się po dłuższym wahaniu.

Moi towarzysze nawet na mnie nie spojrzeli.

– Mam złe przeczucia – powiedziałem.

Zarządca mruknął pod nosem coś niezrozumiałego.

– Takie przeczucia nie raz uratowały mi tyłek w mieście – dodałem.

– Ale jesteś na cmentarzu, nie w mieście – stwierdził Roch.

Brama skrzypnęła głośno, kiedy ją otworzył.

– Serio mówię – burknąłem.

– A co, boisz się, że jednak odwaliłeś lipę na popołudniowym patrolu? – zakpił zarządca.

– Tylko was ostrzegam – powiedziałem i wkroczyłem na cmentarz. Bryła lodu w moim żołądku poruszyła się nieprzyjemnie.

– No weź – usłyszałem za plecami Normana. – Gdyby powiedział ci o tym którykolwiek z nas, tobyś posłuchał.

– Niech wam będzie. – Roch zajrzał do szopy przy bramie. Dało się słyszeć rumor przewracających się sprzętów i ciche przekleństwa. – Zadowolony panicz? – burknął, wychodząc z kuszą w rękę.

– Jeśli umiesz z tego strzelać, to owszem – stwierdziłem.

– Kiedyś, jako młody chłopak, wygrał krajowe mistrzostwa – szepnął do mnie Norman.

Poczułem się lepiej, ale tylko odrobinę, bo nadal nie byłem pewien, czy wkurzony zarządca na łzach nie strzeli mi w plecy.

Ruszyliśmy jasną ścieżką, Cyntia uniosła na nas wężowe spojrzenie, lecz nawet nie drgnęła. Gdy mijaliśmy grób Flory, zatrzymałem się.

– Nie zbliżaj się do niej za bardzo – ostrzegł rękodajny. – Jej ugryzienie boli jak cholera, coś o tym wiem.

Skinąłem głową i zapatrzyłem się na delikatne, różowo-białe kwiaty z mnóstwem kolców na płatkach. Miałem wrażenie, że mnie obserwują.

– Chcę coś wypróbować – rzuciłem do moich towarzyszy. – Nie obraź się tylko – poprosiłem duszę.

Kwiaty poruszały się lekko. Wiedziałem, że wystarczy jeden niewłaściwy krok, a załatwią mnie jak Normana. Wybrałem kwiat najbardziej oddalony od innych. Wyciągnąłem z kieszeni szczyptę soli i sypnąłem na niego. Efekt zaskoczył nawet mnie.

Kwiat zamknął się z głośnym piskiem i zaczął rzucać się na boki. Pozostałe zaś zasyczały z wściekłością i zaczęły kąsać powietrze. Gdybym w porę nie odskoczył, to co najmniej pięć z nich wpiłoby się w moją rękę.

– Co ty, do licha ciężkiego, wyprawiasz?! – Roch dopadł do mnie i złapał za ramię.

– Sprawdzam, czy sól działa na Florę – odparłem lekko. – Najwyraźniej działa.

– Co ci do łba strzeliło?! Po cholere ją drażnisz?!

– Żeby wiedzieć! – wybuchłem.

– Po co?!

Miałem już dość tych wszystkich złośliwości zarządcy.

– Bo ty nie miałeś o tym zielonego pojęcia! Bo gdybyś miał, to Norman nie zostałby ranny!

Roch zacisnął mocno usta. Flora nadal syczała ze złością i kąsała powietrze, ale nasza trójka była już poza jej zasięgiem.

– Nie no, to rzeczywiście dobrze wiedzieć – odezwał się ugodowo Norman.

– Jak na to wpadłeś?

– Wywnioskowałem z dzienników Anzelma – skłamałem gładko.

Mógłbym się założyć, że nawet jeśli je czytali, to było to dawno temu i nie pamiętali już większości treści.

– Idziemy! – burknął zarządca, odchodząc w mrok.

– Dobrze, że też mam sól w kieszeniach – szepnął do mnie Norman, kiedy podążyliśmy za nim. – Na kogoś jeszcze oprócz Hugona to działa?

– Nie sądzę – westchnąłem.

Coś poruszyło się nad nami. Usłyszałem cichy dźwięk, coś jakby ocierające się o siebie kamienie. Zadarłem głowę i zobaczyłem cień na gałęzi. Zalśniły opalizujące oczy.

– Tylko spokojnie – polecił cicho Norman.

– Co to jest? – szepnąłem, nie ruszając się.

– Gargulec nie lubi gwałtownych ruchów – dodał rękodajny. – Powoli wracamy na ścieżkę.

Ostrożnie ruszyliśmy w bok ku jasnej dróżce, nie spuszczać wzroku z ciemnego kształtu siedzącego na drzewie. Błyszczące oczy wciąż przypatrywały nam się z uwagą. Gargulec, do wtóru kamienistego dźwięku, obrócił się na gałęzi, żeby lepiej nas widzieć. Oparłem dłoń o rękojeść szabli.

– Metal go nie zatrzyma – odezwał się Norman, kiedy stanęliśmy na ścieżce.

Opuściłem rękę.

– A co to zrobi? – zapytałem półgębkiem, gdy powoli oddalaliśmy się od duszy.

– Jak się dowiesz, to możesz mi powiedzieć.

Skierowałem wzrok na towarzysza, który w ciemności wyszczerzył jasne zęby.

– Jaja sobie robisz? – zapytałem.

Norman pokręcił głową.

– Przy Gargulcu trzeba po prostu zachować spokój i zejść mu z pola widzenia...

Nagle za plecami usłyszałem rumor. Gwałtownie się odwróciłem i ujrzałem wysoką, szczupłą postać, która wylądowała na ścieżce. Powoli się wyprostowała i rozpostarła wielkie skrzydła, wydając przy tym ten okropny dźwięk ocierających się o siebie kamieni, od którego aż bolały zęby.

– Czy on jest...? – zacząłem, cofając się.

– Tak, cały z kamienia – przyznał rękodajny.

Gargulec patrzył na nas z ostrożną ciekawością, która moim zdaniem w każdej chwili mogła przemienić się we wrogość.

– Ale niech cię to nie zmyli – dodał Norman, kiedy znaleźliśmy się za zakrętem. – Jest cholernie ciężki, a do tego zwinny i silny. Potrafi unieść człowieka wysoko nad drzewami...

Potrafiłem dodać dwa do dwóch.

– Czy to on załatwił Tobiasza?

– Facet zaczął przed nim uciekać. – Norman wzruszył ramionami. – Tobiasz rzadko bywał na cmentarzu... Roch kazał mu być cicho i powoli się wycofać, kiedy Gargulec zastąpił im drogę, ale dziecko nie posłuchał i spróbował zwać w podskokach. Dusza chwyciła go w locie za ramiona, uniosła i upuściła na bramę. W sumie to nie jesteśmy pewni, czy zrobiła to celowo. Bo wiesz, Tobiasz wrzeszczał i się szarpał, mógł sam akurat w tym miejscu wyrwać jej się z łap.

– Akurat. – Odchrząknąłem. – Gargulec z pewnością chciał go bezpiecznie odstawić za bramę.

– Myśleliśmy też o tym – przyznał Norman ku mojemu zdumieniu. – Niestety on nie mówi i nie porozumiewa się z innymi duszami, więc tak naprawdę nie mamy pojęcia, co kłębi mu się pod tą kamienną czaszką.

Potrząsnąłem głową. Jak pilnować na cmentarzu czegoś, czego nawet się nie rozumie, podczas gdy jedyna rada to: zachowaj spokój?

– A on nie przeleci nad murem? – zastanowiło mnie. – Jemu łatwiej byłoby zwać niż Hugonowi.

– I to jest też zastanawiające, bo nigdy jeszcze nie próbował uciekać. – Norman podrapał się po gęstej, ciemnej brodzie. – Drewniak. – Wskazał w bok.

Zeszliśmy ze ścieżki i zaczęliśmy przedzierać się przez gęste krzewy.

– Jak tam? – Rękodajny poklepał przyjaźnie gałąź jednego z drzew.

A wtedy drzewo westchnęło ciężko i się poruszyło.

– Cholera. – Cofnąłem się i runąłem jak długi przez korzeń, którego jeszcze przed chwilą tam nie było.

– Nie widziałeś jeszcze Drewniaka? – zdziwił się Norman, podając mi rękę.

To, co do tej pory brałem za karykaturalnie powyginane drzewo, wyprostowało się, przyjmując niemal ludzki kształt, i zaburczało pytająco. Miało co najmniej trzy metry wzrostu.

– Nasz nowy dziedzic. – Rękodajny przedstawił mnie drzewu.

– Cześć? – Uniosłem lekko dłoń.

Drewniak skinął zarośniętą mchem głową.

– Wszystko w porządku? – Norman ponownie zwrócił się do duszy, która znów zaburczała. – Świetnie, to ci nie przeszkadzamy. Trzymaj się.

Dusza przysiadła na ziemi i znieruchomiała na wielkiej kamiennej płycie, która chyba była jej nagrobkiem. Gdybym przed chwilą jej nie widział, to znów uznałbym, że to zwykłe, trochę pokracczne drzewo. Jakaś gałązka trzasnęła w oddali, a ja nagle zdałem sobie sprawę, że to mój towarzysz odszedł już co najmniej kilka kroków. Bez wahania popędziłem za nim.

– Drewniak zazwyczaj nie sprawia problemów – podjął Norman, kiedy go dogoniłem. – Jak nie grozi mu się ogniem, to jest całkiem spokojny.

Później zajrzeliśmy do Rogacza, który nadal twardo spał w swojej krypcie, aż dało się słyszeć niepokojące chrapanie.

– Z nim będzie spokój jeszcze jutro – odezwał się Norman. – Ale pojutrze zrobi nam jazdę bez trzymanki.

– Pozbieraj sobie na niego przedzimki – poradziłem.

– Co? – Skrzywił się, nie rozumiejąc.

– Jest uczulony na przedzimki, te fioletowe kwiatki, które rosną na łąkach – wyjaśniłem.

– Nie gadaj! – sapnął.

Wyjąłem z kieszeni garść zwiędniętych, intensywnie fioletowych kwiatów.

– Ja zamierzam sobie ususzyć ich zapas na całą zimę i wiosnę – zapewniłem.

– I to też wyczytałeś?

Przyłożyłem palec wskazujący do ust.

– Cwaniaczek z miasta nie zdradza swoich sztuczek – odparłem.

– To nie... – zaczął Norman, gdy usłyszeliśmy całą wiązaną przekleństw. Bez wahania popędziliśmy przez zarośla na pomoc zarządcy.

– Co to ma znaczyć?! – Roch z twarzą białą z wściekłości wskazał linkę oplątaną wokół krzaków na terenie Hugona.

Sama dusza, nadal przywiązana za czulek, bulgocząc ze złością, krążyła wokół swojej krypty.

– Podwójne zabezpieczenie? – odezwałem się.

– Niby jak taki cienki, cholerny sznurek miałby go powstrzymać?! – wściekał się Roch.

– Nie wrzeszcz tak, bo go denerwujesz – upomniałem zarządcę, co doprowadziło go do niemal szewskiej pasji.

Przestąpiłem nad białą ścieżką usypaną z soli i zacząłem odplątywać linkę z krzaków.

– Będzie trzeba za dnia je po prostu wyciąć – powiedziałem spokojnie.

– Ty sobie ze mnie kpisz?! – wybuchł ponownie Garłacz.

– Co? Stary zarządca nie lubi zmian? – zakpiłem.

– Zatłukę jak psa! – Roch podwinął rękawy i ruszył wprost na mnie.

W ułamku sekundy w mojej głowie pojawił się plan, co robić dalej. Wykorzystam jego wściekłość, postąpię w bok, złapię go za koszulę i popchnę wprost na Hugona. Zarządca był ciepło ubrany, dusza raczej nie poparzy go za mocno swoim śluzem, ale wystarczy, żeby otrzeźwiał.

– Roch – odezwał się Norman.

Niestety ten zdawał się nic nie słyszeć.

– Garłacz! – wrzasnął rękodajny.

– Czego?!

– Patrz! – Norman wskazał niewielką gałąź, która musiała ułamać się z drzewa i spaść wprost na sól za kryptą.

To właśnie w tamtym kierunku pełza dusza, ale linka ją powstrzymywała.

– Gdyby dziedzic go nie przywiązał, Hugo by zwiął.

Roch przez chwilę wyglądał, jakby nie mógł się zdecydować, czy zacząć mnie okładać pięściami, czy lepiej ucisnąć mi dłoń. Ostatecznie zdecydował się na chłodne ignorowanie mnie.

– Co jest z tym sznurkiem? – zapytał w powietrze, dotykając linki.

– Nasączyłem go moją krwią – odparłem. – Sam mówiłeś, że łańcuch na bramie został wykuty z dodatkiem krwi dziedzica. Chciałem spróbować, czy coś takiego zadziała na Hugona.

Zarządca wreszcie na mnie spojrział. Błękit wokół jego tęczywek nabrał bardziej intensywnego koloru.

– Wszelkie takie cholerne innowacje masz przedyskutować ze mną – warknął.

– Nie – rzuciłem lekko.

– Jak to: nie?!

– Bo cokolwiek ci powiem, ty się z tym nie zgodzisz. Więc po co w ogóle pytać? – Wzruszyłem ramionami.

– Z Florą i solą miał rację – odezwał się pojednawczo Norman. – A na pewno nie pozwoliłbyś mu tego wypróbować, choć to tak naprawdę nie był żaden problem.

– Idziemy dalej – zdecydował Garłacz.

Pokręciłem głową, dziwiąc się jego upartości. To, że przez trzydzieści lat był zarządcą, nie znaczyło, że wiedział wszystko najlepiej.

– Jest git, da się przekonać – szepnął do mnie rękodajny, unosząc kciuk.

Zacząłem współczuć chłopakom. Naprawdę ciężko współpracowało się z Rochem, a oni jakoś sobie z nim radzili już od lat.

Byliśmy coraz bliżej kapliczki, gdy po cmentarzu poniósł się klekot mrozący krew w żyłach.

– Malaria. – Roch splunął na ziemię. – Czachę wzięło na żarty!

– Że co? – Obejrzałem się na niego. – Mówiłeś, że on jest nieszkodliwy!

– Ale uwielbia drażnić inne dusze, które wpadają w szal... – wyjaśnił Norman.



– Masz zamiar przeprowadzić cały wykład czy zająć się swoją robotą? – zdenerwował się Roch, który już skręcił ze ścieżki zarządcy i wkroczył w zarośla.

– Dobra, już lecę.

Rękodajny ruszył za nim. Tak samo jak i ja, ale zarządca zatrzymał mnie gestem dłoni.

– Idź do Pięknej, a potem czekaj na nas przy kapliczce – polecił.

Pokiwałem głową z pewną ulgą, ciesząc się, że Roch nie zobaczy, jak dusza zareagowała na kolczyki, które dla niej zostawiłem.

Przez chwilę stałem w miejscu, nasłuchując kroków towarzyszy, ale szybko wziąłem się do własnej pracy. Zboczyłem ze ścieżki i już wkrótce usłyszałem dziwne dźwięki dobywające się z okolicy krypty Pięknej. Ni to płacz, ni to rżenie. Nie miałem pojęcia, co o tym myśleć. Co prawda moja kariera jako dziedzica była bardzo krótka, ale ani razu nie słyszałem, żeby dusza wydawała takie dźwięki. A może wdało jej się zakażenie w to odcięte ramię i tak zawodziła w śmiertelnej agonii?

Potrząsałem głową. Dusze nie umierały.

Bardzo cicho przedarłem się przez zarośla i wyjrzałem zza jakiegoś kolczastego krzaka, a moim oczom ukazał się co najmniej dziwny widok. Piękna krzątała się wokół pustego już stołu zrobionego z pniaka, a te dziwaczne dźwięki miały chyba oznaczać... śpiew. Co chwilę unosiła tłustą, pełną ropiejących ran łapę do własnej twarzy i chichotała tak, aż trzęsły się ziemia oraz jej potrójny podbródek.

– Co jest? – Zmarszczyłem brwi, ale już po kilku sekundach domyśliłem się, co było przyczyną jej podejrzanego zachowania.

Kolczyki z kolorowych piórek co chwilę ginęły w fałdach jej skóry lub w strąkach tłustych włosów, ale to na pewno o nie chodziło, bo co chwilę trącała je żółtym, połamanym paznokciem. Co prawda dostrzegłem również zaschniętą ropę i krew, które polały się z jej płatka usznego po szyi aż do ramienia. Pewnie sama nieumiejętnie przekłuła sobie uszy. Może jednak lepsza byłaby bransoletka?

Nagle Piękna zatrzymała się i spojrzała wprost na mnie. Wypuściłem powietrze z płuc i postąpiłem do przodu, wychodząc z krzaków.

Nie mogłem nic wyczytać z jej spojrzenia – ani czy się na mnie rzuci, ani czy będzie chciała mnie udusić lub oderwać mi ręce od ciała...

– Mam nadzieję, że spodobał ci się prezent – odezwałem się.

Piękna uniosła tłustą dłoń do ucha. A więc rozumiała, co się do niej mówi!

– Jak znajdę kolejną biżuterię odpowiednią dla kogoś tak pięknego jak ty, to ci ją przyniosę – obiecałem.

Byłem pewien, że się wkurzy za tak obłudny komplement, ale ona się uśmiechnęła! To znaczy wyszczerzyła zepsute zęby, ale dałbym głowę, że to miał być uśmiech.

– A teraz zostawię cię samą, żebyś mogła się cieszyć swoim prezentem. – Powoli się wycofałem.

Odetchnąłem dopiero wtedy, gdy znalazłem się przy kapliczce. Ale muszę przyznać, że byłem z siebie cholernie dumny. Żaden z tych buców nie wpadł na to, że Piękna, pomimo swojego wyglądu, nadal była trochę pustą kobietą żądną błyskotek. A to było takie proste! Za miesiąc wszystkie dusze będą tańczyły tak, jak im zagram! Przeczytam każdy dziennik z biblioteczki, wyciągnę od Opal wszystko, co wie, i będę dziedzicem z prawdziwego zdarzenia! Ci wszyscy, którzy piastowali to stanowisko przede mną, to musieli naprawdę być kołkami.

– Dobry wieczór, paniczu. – Przy kapliczce pojawił się Odo.

– Dobry. – Uśmiechnąłem się do niego szeroko.

– Mamy wyśmienity humor? – zapytał.

– Bo życie jest piękne – odparłem. – A ja będę mógł utrzyć nosa temu przekłętemu Garłaczowi.

Odo przekrzywił głowę. Na ziemię spadło kilka larw, które zaczęły się wić, wreszcie zakopały się w piasku.

– Niech panicz pamięta, że on jest zarządcą od trzydziestu lat, a panicz dziedzicem dopiero od tygodnia – przypomniał. – Nawet nie poznał jeszcze wszystkich dusz.

– Ale mam świeże spojrzenie na wszystko – zauważyłem.

– Ach! Historia zna tak wiele takich starców. – Odo klasnął w dłonie. – Doświadczenie i wiek spotykają się z młodym spojrzeniem na świat! Tylko dlaczego zawsze stoją po przeciwnych stronach barykady? Dlaczego nie możemy czerpać z obu jednocześnie? A może panicz będzie tym, który połączy to wszystko?

Wzruszyłem ramionami. Garłacz był przeżytkiem. Uważał, że jeśli coś się sprawdzało przez trzydzieści lat, to nie ma sensu tego zmieniać. A przecież wystarczyło kilka niewielkich innowacji, by nam wszystkim żyło się lepiej.

Naraz Odo się wyprostował i zapatrzył w ciemność za moimi plecami. Gwałtownie się odwróciłem, ale nic nie dostrzegłem.

– Co jest? – zapytałem.

Dusza nie odpowiedziała, tylko nadal wpatrywała się w coś między drzewami, marszcząc brwi.

– Odo, nie strasz mnie...

Dzientelmen odwrócił się w drugą stronę.

– Coś się zbliża – szepnął. – Uważaj! – krzyknął naraz ostrzegawczo.

Odwróciłem się i ujrzałem... pomarszczoną twarz, oczy pełne nienawiści i usta zaszyte grubą nicią. Na brodzie widniały smugi zaschniętej ciemnej krwi. Było w tym obliczu coś ptasiego, jakby zaraz miał wyrosnąć mu dziób. Czarna, porwana szata załomotała na wietrze. Owionął mnie smród zgnilizny i... śmierci.

Sparaliżowało mnie ze strachu. W mojej głowie pojawiła się myśl, że będę najkrócej żyjącym dziedzicem. Pobiję na łeb na szyję nawet Cyrusa. Może jednak nie byłem taki cwany, jak mi się wydawało?

Nagle odzyskałem moc w nogach. Uchyliłem się przed ramieniem, które chciało mnie pochwycić, zbiegłem ze schodków kapliczki i popędziłem ścieżką zarządcy w stronę bramy. Za mną rozległ się upiorny wrzask.

Śmiercian ruszył na łowy.

Nie przejmowałem się tym, że gdzieś tam przy grobie czaszki na pajęczych nogach są zarządca i rękodajny. Nie zastanawiałem się nad tym, czy zdołam zamknąć za sobą bramę, żeby to coś nie wydostało się z cmentarza. Instynkt przetrwania wziął górę. Najważniejsze to umknąć samej śmierci.

Wtem tuż za mną rozległ się łopot jakby skrzydeł, poczułem na karku ciepły, cuchnący oddech, a później zapadła ciemność.

## Rozdział 24

Najpierw poczułem tępe łomotanie w głowie. Później piach w ustach. Wyplułem go i otworzyłem oczy. Obraz przede mną stanowił jedynie rozmazane plamy czerni i szarości poprzeplatanych błękitem łez. Nabrałem powietrza do płuc. A więc żyłem. Jeszcze.

Chciałem przetrzeć dłońmi twarz, ale nie zdołałem nimi ruszyć. Leżałem chyba w bardzo dziwnej pozycji. Na kostkach czułem uścisk. Obróciłem głowę i zobaczyłem srebrną tarczę księżyca przeświecającą przez drzewa. Ja wcale nie leżałem!

Coś ciągnęło mnie za nogi!

Chciałem się poderwać, ale zabrakło mi sił. Uniosłem głowę i ujrzałem ciemną postać w porwanej pelerynie z kapturem na głowie. Śmiercian mnie dopadł!

W obliczu zagrożenia odzyskałem siły. Zacząłem się wyrywać i kopać. Wyrzuciłem ręce w bok, szukając czegokolwiek, czego mógłbym się złapać. Przecież nie dam się tak łatwo jakiejś głupiej duszy!

Naraz moje dłonie natrafiły na korzeń drzewa wystający z ziemi. Zacisnąłem na nim palce i nagle się zatrzymałem. Śmiercian szarpnął mnie za nogi, ale nie ruszyłem się z miejsca. Spojrzał na mnie ze złością. Jego zaszyte usta otworzyły się na kilka milimetrów i dobył się z nich wściekły warkot. Puścił moje nogi i zaczął mnie okrażać. Wiem, że powinienem był w tym czasie poderwać się i zacząć walczyć albo uciekać, ale moje myśli były zamroczone, a mięśnie wykonywały polecenia z dużym opóźnieniem.

Poczułem, jak chude palce zaciskają się na moich nadgarstkach, a długie szpony wbijają w ciało. Krzyknąłem z bólu i puściłem korzeń.

Śmiercian, wciąż trzymając mnie za ręce, znów zaczął mnie ciągnąć. I właśnie wtedy ujrzałem jego kryptę, znajdującą się zaledwie o kilka kroków od nas. Doskonale wiedziałem, że jeśli zaciągnie mnie do tego dołu, to koniec. Już się nie uratuję i tak jak Kalisteron zostanę rozerwany na strzępy.

– Odwal się! – Chciałem krzyknąć, ale z moich ust dobył się zaledwie szept.

Zacząłem się wyrywać, aż uwolniłem jedną rękę ze śmiertelnego uścisku. Podwinąłem pod siebie nogi i udało mi się stanąć. Wolne ramię owinąłem o mijane chude drzewko. Znów się zatrzymaliśmy na kilka sekund. Śmiercian sapnął z wściekłością, a ja wymierzyłem mu kopniaka w czułe miejsce. Niestety nie miał tam tego, co każdy facet powinien mieć, i nie zaczął zwijać się z bólu, ale chociaż uścisk na mojej ręce zelżał na tyle, że zdołałem się wyrwać.

Zaczęliśmy się szarpać, a ja byłem dobry w tego typu knajpiane bójki. Może nie zyskałem przewagi, ale przynajmniej jeszcze nie znalazłem się w grobie tej bestii.

Raz czy dwa Śmiercian drasnął mnie swoim pazurem. Przeklęta dusza była naprawdę szybka i znacznie silniejsza, niż wskazywał na to jej anemiczny wygląd.

I nagle dostrzegłem dla siebie szansę. Znaleźliśmy się niebezpiecznie blisko jego dołu, ale to Śmiercian stał do niego plecami. Wykonałem półobrót i kopnąłem go z taką siłą, że aż odleciał do tyłu i spadł wprost do swojej krypty.

Rzuciłem się ku otwartej kracie, z trudem ją podniosłem i opuściłem na jej miejsce. Niestety to nie wystarczyło, żeby powstrzymać duszę. Śmiercian pozbierał się na równe nogi i pchnął kratę z taką siłą, że aż z trzaskiem uderzyła wierzchem o ziemię, a sama dusza wyskoczyła z własnego grobu do wtóru łopotu podartej czarnej peleryny.

Cofnąłem się, gotów do ucieczki, jednak potknąłem się o jakiś korzeń i runąłem na ziemię. Zacząłem się wycofywać tyłem, a Śmiercian powoli kroczył ku mnie. W jego oczach tliła się chęć mordy, zaszyte usta rozciągnęły się w uśmiechu, choć na pewno musiało go to boleć.

Właśnie wtedy usłyszałem świst i głucho łupnięcie, a po nim kolejne. Z klatki piersiowej duszy wystawały teraz brzechwy z kolorowymi lotkami.

– Mówiłem ci, że masz nie opuszczać grobu! – Tuż za mną pojawił się Roch. Błyskawicznym ruchem napiął kuszę i nałożył kolejny bełt. Wycelował i strzelił w szyję duszy. – Wracaj tam, gdzie twoje miejsce! – Znów napiął kuszę, załadował i strzelił.

Śmiercian zaczął się cofać, aż znalazł się na samej krawędzi wielkiego dołu.

– Siedź tam, gdzie twoje miejsce! – Zarządca po raz kolejny strzelił.

Potwór zachwiał się i wreszcie runął z łomotem w przepaść.

– Norman! – krzyknął Roch.

Rękodajnemu nie trzeba było dwa razy powtarzać. Pospiesznie zamknął kratę, wyciągnął ze swojego plecaka długie, grube gwoździe i zaczął wbijać je między cegły, a później zakrzywiać, żeby dobrze trzymały kratę.

Garłacz tymczasem stanął na niej i wycelował w dół. Strzelił, a po cmentarzu rozszedł się wściekły wrzask.

– Prosto w oko! – zawołał z uznaniem Norman.

– Przybijaj tę kratę! – zganił go zarządca.

Nie minęło kilka sekund, a Śmiercian był na nowo uwięziony w swojej krypcie. Z dołu dochodziły jeszcze do nas jego jęki.

– I co, cwaniaczku? – zwrócił się do mnie Roch.

Nadal siedziałem na ziemi i nie mogłem wydusić z siebie ani słowa.

Zarządca oparł kuszę o ramię, podszedł do mnie i wyciągnął rękę. Z jego pomocą pozbierałem się na nogi i odetchnąłem z ulgą.

– A teraz wyjaśnij mi, proszę, jakim cudem on zwiął? – zwrócił się do mnie Roch, a jego uprzejmość aż ociekała jadem.

– A skąd mogę wiedzieć?! Przecież sprawdziłem wszystko po południu! Nie miał szans uciec! – zacząłem się tłumaczyć. – Przecież godzinę temu Norman też się upewniał, że Śmiercian się nie wydostanie!

– Dlatego właśnie nie kombinujemy i codziennie robimy swoje – odezwał się Roch. – Dokładnie tak samo, jak robiliśmy to przez lata.

Skinąłem głową. Nie miałem już siły się z nim kłócić.

– Ale będziesz pierwszym dziedzicem, który przetrwał bezpośrednie starcie ze Śmiercianem – odezwał się podejrzanie wesoło Norman.

– Będę miał co wnukom opowiadać – mruknąłem, rozmasowując nadgarstki.

– Najpierw trzeba tych wnuków dożyć – stwierdził Garłacz, na wszelki wypadek sprawdzając, czy krata wytrzyma. – Wrócisz tu rano z Olafem

i Samsonem – zwrócił się do rękodajnego. – Porządnie naprawicie wszystko. Nie chcę więcej takich wypadków.

Norman pokiwał głową.

– A teraz wracamy do domu, dość przeżyć jak na jedną noc.

Nawet nie pamiętam drogi powrotnej. Moi towarzysze zaprowadzili mnie do kuchni, a rękodajny przyniósł paskudny bimber, którym mnie uraczył. Roch z kolei sięgnął apteczkę i rzucił mi ją, żebym się opatrzył.

Chciałem powiedzieć, że nic mi nie jest, ale wtedy zobaczyłem własne nadgarstki. Oba były naznaczone głębokimi ranami zadanymi przez paznokcie Śmierciana.

– Żebyś tylko zakażenia nie dostał – skwitował zarządca, kiedy przyskałem na ręce środkiem odkażającym.

– Co się dzieje?!

Do kuchni wmaszerowała Aster. Miała na sobie białą koszulę nocną i wyglądała jeszcze dziwniej niż w tej swojej sukni z gorsetem. Wystarczyło jedno spojrzenie na mnie, a jej oblicze zmiękło.

– Nasz dziedzic dziś przeszedł chrzest bojowy – stwierdził Roch.

– Jak ty to pijesz?! – naskoczyła na mnie ochmistrzyni, kiedy pociągnąłem bimbru z butelki.

Wyciągnęła z szafki kieliszki i nalała wszystkim, nawet sobie.

Wkrótce w kuchni zrobiło się gęsto od ludzi, zupełnie jakby mieszkańcy dworku mieli jakiś szósty zmysł, którym wyczuwali, że coś stało się na cmentarzu. Psy krążyły między nami, czekając, aż jakiś smakołyk spadnie ze stołu.

– Ale Śmiercian? – dziwił się Olaf. – Przez tyle lat mieliśmy z nim spokój!

– Przecież nie lubi dziedziców, co nie? – przypomniał Samson. – To się wkurzył, jak przyprowadziliśmy po czterech latach nowego.

Pozostali pokiwali głowami.

– Ciekawe, że to wypadło akurat w noc, kiedy nowy dziedzic postanowił nam udowodnić, że nie znamy się na własnej robocie. – Roch podrapał się po brodzie i spojrzał wprost na mnie.

– No właśnie, ciekawe – podchwyciłem. – Nie ma to jak utrzyć nowemu nosa.

Wszystkie oczy powędrowały ku zarządcy.

– Rochu! Ty chyba nie... – Ochmistrzyni zawiesiła głos.

Ha! Nawet oni podejrzewali go o taką perfidię!

– Dajcie spokój – mruknął tylko. – Jakbym chciał się pozbyć tego cwaniaczka z dworu, to znalazłbym łatwiejszy sposób niż wypuszczenie z grobu Śmierciana.

Chyba tylko rękodajni dali wiarę jego słowom. W spojrzeniach pozostałej służby zaś kryło się zwątpienie, co o dziwo dało mi pewną satysfakcję.

Nie wiem, jak długo siedzieliśmy w kuchni i roztrząsaliśmy wydarzenia minionej nocy. W końcu jednak moja głowa zaczęła opadać na klatkę piersiową. Ze zmęczenia i od tego paskudnego bimbru.

– Idę spać. – Podniosłem się z krzesła, ale świat zawirował mi przed oczami.

– Odprowadzę pana! – Irys złapała mnie pod rękę i zaprowadziła do sypialni.

Nie miałem siły ściągnąć z siebie brudnych ubrań, nie wspominając już nawet o braniu prysznic. Padłem na łóżko i zasnąłem, zanim Irys zamknęła za sobą drzwi.

Przez resztę nocy śniły mi się koszmary ze Śmiercianem i Piękną. On chciał mnie zabić, a ona za mnie wyjść. I żadna z tych perspektyw mi nie pasowała. Tak więc przez kilka godzin uciekałem przed nimi po całym cmentarzu. Spokój odnalazłem nad ranem, gdy przyśniło mi się, że ukryłem się w krypcie Hugona – dopiero wtedy odpłynąłem w totalny niebyt.

Zbudziło mnie słońce wpadające do pokoju przez niezastłonięte okna oraz zapach świeżego pieczywa. Otworzyłem oczy. Wszystko mnie bolało, chyba wszędzie miałem siniaki i ponaciągane mięśnie. Zadrapania na nadgarstkach zaogniły się tak bardzo, że nawet spod bandaży wyglądała czerwono-siną skórą. Ale za to na szafce nocnej dostrzegłem śniadanie: gorącą kawę, ciepłe bułki, szynkę, ser, pachnący twaróg i miód. Jeszcze chyba nigdy nie potraktowali mnie tu tak dobrze.

Zacząłem jeść w obawie, że to wszystko okaże się tylko snem. Wtem rozległo się pukanie do drzwi.

– Proszę! – zawołałem.

Do pokoju zajrzała nieśmiało Irys.

– Pan Roch kazał przekazać, że dziś ma pan wolne – zaczęła.

– Nie wierzę! – sapnąłem.

– Powiedział, że muszą z rękodajnymi się upewnić, że Śmiercian nie wyjdzie z grobu, zanim postawi tam pan te swoje durne nogi.



– Słucham? – zdziwiłem się.

– Dokładnie tak powiedział – zapewniła dziewczyna. – Smacznego. – Uśmiechnęła się ciepło i zniknęła, zamykając za sobą drzwi.

Wreszcie dostałem dzień wolny i szczerze mówiąc, nie byłem pewien, co ze sobą zrobić. Gdy tylko zjadłem śniadanie, wziąłem długą i pachnącą kąpiel. Zmieniłem opatrunki, ponownie obficie spryskawszy zadrapania środkiem odkażającym. Włożyłem dresowe spodnie i grubą, wygodną bluzę, po czym wyszedłem z pokoju.

Mijałem w korytarzu wizerunki poprzednich dziedziców, mając wrażenie, że uważnie mnie obserwują.

– I co? Nie dałem się Śmiercianowi. – Tuż przed schodami odwróciłem się, spojrzałem wyzywająco na wszystkie obrazy. – Tak jest. Przeżyłem spotkanie z nim i znów zamknąłem go w tym jego przeklętym grobie. I co wy na to?

Nie odpowiedzieli. *Głupio im, i tyle* – uznałem żartobliwie.

Wszedłem do gabinetu, ale nie miałem najmniejszej ochoty na czytanie dzienników. Przeczuwałem, że najcenniejsze informacje tak naprawdę znajdę tylko w notatkach Kalisterona.

W kuchni Alma przygotowywała obiad i mnie stamtąd pogoniła. Na podwórzu zaś zobaczyłem Aksela szkolącego psy.

– Leżeć! – wołał. – No, leżeć!

Szczypior rzucił się na chłopaka i zaczął go tak oblizywać po twarzy, że ten padł na plecy.

– Ale to chyba on miał leżeć, nie ty – zagadnąłem.

– Nie, właśnie tak miało być – skłamał, wycierając rękawem usta. – Patrz. Szczypior. Szczypior! Łapa!

Pies machnął w powietrzu przednią łapą, po czym podbiegł do Lawy, która w czymś się tarzała, i radośnie do niej dołączył.

– Widzisz? Robimy postępy – oświadczył buńczucznie chłopak.

– Jak cholera – przyznałem.

– Co ci? – Wskazał brodą bandażę na moich nadgarstkach.

– Zaciałem się przy goleniu.

Najwyraźniej tylko służba wiedziała o tym, co działo się na cmentarzu.

– Na rękach? Akurat! – prychnął Aksel.

– Żebyś wiedział, jakie mam owłosione przedramiona! – zapewniłem. – Gdybym się nie golił, wyglądałbym jak niedźwiedź!

Chłopak parsknął śmiechem. Oczywiście nie dał się nabrać, ale nie dopytywał dalej. Wziął w rękę patyk i zaczął wymachiwać nim wojowniczo.

– Gdybym tylko dorwał tamtych trzech, którzy tak mnie urządzili! – westchnął. – Już bym im pokazał...

– Nooo – przyznałem przeciągle. – Pokazałbyś im, jak z klasą dostać po gębie.

– Wcale że nie! Nasłałbym na nich moje psy!

– O ile wiem, to są psy nadworne, i proszę ich nie mieszać w uliczne bójki – zastrzegłem.

– No to bym im nakopał! – Aksel wziął zamach nogą i kopnął niewidzialnego, leżącego na ziemi przeciwnika.

– Masz beznadziejne buty i tylko połamałbyś sobie palce, gdybyś trafił w czaszkę – prychnąłem.

Chłopak spojrzał na mnie z niezrozumieniem.

– To nie jest wiedza, którą się szczycę, ale ulica mnie nauczyła, że jak już ktoś będzie przed tobą leżał, to nie należy go kopać.

– To co? Mam go poklepać po plecach i puścić wolno? – rzucił ironicznie Aksel.

– Lepiej jest skakać po takim leżącym koleśiu. – Pokręciłem głową. – Mniejsza szansa, że połamiesz sobie palce od nóg, a większa, że odbierzesz przeciwnikowi wszelką wolę walki.

Aksel przez chwilę ważył moje słowa.

– Tylko nie mów babci, że ci o tym powiedziałem – zastrzegłem.

Dzieciak pokiwał głową.

– Ty to jednak kawał drania jesteś.

– Nigdy nie twierdziłem, że jest inaczej. – Puściłem do niego oko i wróciłem do kuchni.

Alma wcisnęła mi do ręki kubek z kawą i znów wygoniła mnie ze swojego królestwa. Zacząłem więc włóczyć się bez celu po dworku. Przemierzałem korytarze, ostukiwałem ściany, przyglądałem się każdemu z podejrzanych zakamarków. Sprawdzałem progi i nadproża w drzwiach. A kiedy nic nie znalazłem, udałem się do oranżerii po drabinę i zajrzałem do każdego żyrandola, każdej lampy w całym budynku. I nic.

W końcu zatrzymałem się w korytarzu na piętrze i stanąłem twarzą w twarz z Kalisteronem.

– Gdzie ukryłeś swój dziennik? – zapytałem, ale obraz pozostał nieruchomy. – I dlaczego? Jeślibyś nie chciał, żeby ktokolwiek go przeczytał, tobyś go zniszczył. Ale ty tego nie zrobiłeś, prawda?

Przyjrzałem się blademu obliczu ukrytemu w cieniu. Całe płótno było ciemne, mroczne, ale im dłużej mu się przypatrywałem, tym więcej dostrzegałem szczegółów. Kalisteron siedział na krześle przypominającym tron. U jego stóp wił się długi zwój. Na ramieniu siedział wielki kruk. W prawej dłoni mężczyzna trzymał okazałe pióro, a lewą opierał na czymś, co okazało się ludzką czaszką leżącą na stole. Pojedynczy płomień świecy oświetlał tylko połowę jego twarzy, ale i tak miałem wrażenie, że ciemne oczy mnie obserwują. Na próbę przesunąłem się lekko w prawo, a później w lewo, a Kalisteron wciąż na mnie patrzył.

Znów stanąłem tuż przed nim. Moją uwagę przykuł horyzont znajdujący się za oknem za plecami dziedzica. Wcześniej byłem pewien, że nic tam nie ma, tylko ciemność, ale już po chwili ujrzałem dusze. Karykaturalne, okropne stwory stłoczone w wiecznym tańcu. Dałbym głowę, że ten gruby cień to Piękna, był tam też jeden ze skrzydłami i z wielkimi rogami. A to, co wyglądało na początku jak kłoda, miało dwa czułki.

Cofnąłem się o krok i skrzyżowałem ręce na klatce piersiowej. Z tej odległości dusze wyglądały jak zwykłe nierówności horyzontu. Czyżby były wolne i odchodziły tanecznym krokiem w stronę zachodzącego słońca?

Przecież nie takie plany miał Kalisteron. Znów przybliżyłem się do obrazu, niemal wsadzając w niego nos. I dopiero wtedy zobaczyłem cienką nitkę łączącą wszystkie dusze.

– Nawet na płótnie skułeś je łańcuchem, co? – zagadnąłem.

Zdawało się, jakby nic na tym obrazie nie było przypadkowe. Dziedzic na pewno długo szukał odpowiedniego malarza, a później dokładnie opisał mu, co ma uwiecznić.

– Nie zniszczyłeś dziennika, bo to było dzieło twojego życia, prawda? – zapytałem. – Nie chciałeś też, żeby twoje cenne notatki trafiły w ręce jakiegoś idioty, jakim na przykład był Abel czy Cyrus. Do tego byłeś też trochę złośliwy i ukryłeś je na widoku, tak żeby ludzie codziennie przechodzili obok dziennika, patrzyli na niego, ale go nie widzieli. Jednocześnie miałeś nadzieję, że pewnego dnia pojawi się dziedzic godny ciebie. I tylko on go odnajdzie.

Podrapałem się po głowie, a Kalisteron nadal patrzył na mnie z lekkim uśmiechem, pełnym wyższości.

– No to mam dla ciebie złą wiadomość. – Tym razem to ja się uśmiechnąłem z perfidią. – Twój dziennik znajdzie cwaniaczek z miasta, który ma w sobie zaledwie kroplę szlacheckiej krwi.

Bez wahania złapałem obraz za ramę i zdjąłem go ze ściany. W powietrzu zaczął fruwać kurz. Postawiłem dzieło na podłodze i je obróciłem. Byłem pewien, ale tak na sto procent pewien, że dziennik tam będzie.

Niestety oprócz kurzu i pajęczyn nie znalazłem nic. Powiodłem palcami po obrazie z obu stron, jakbym oczekiwał, że dziennik został wtopiony w płótno. Obejrzałem dokładnie ramy, ale przecież notatki musiały być zbyt obszerne, żeby się tam zmieścić. W końcu sam Anzelm napisał kilkanaście całkiem grubych tomów. Kalisteron na pewno nie użył tylko jednej kartki.

Z ogromnym zawodem odwiesiłem obraz i bez większych nadziei zacząłem sprawdzać płótna przedstawiające poprzednich dziedziców, lecz tam również nic nie znalazłem.

Wychodziło na to, że Kalisteron nie ukrył dziennika w dworku. Moi poprzednicy zerwali podłogi i tapety w sypialni dziedzica i w jego gabinecie. Czy miałem zrobić to samo w jadalni, sali balowej, kuchni i w innych pomieszczeniach? Parsknąłem pod nosem. Ochmistrzyni na pewno by mnie pogoniła. Zresztą i tak nie mieliśmy kasy na remont, a ja nie zamierzałem zostać tu tak długo, aż ją uzbieramy. Powinienem dać sobie spokój z tym dziennikiem. Na cholerę mi on?

Niespiesznie zszedłem ze schodów, a gdy tylko stanąłem na wytartej, marmurowej podłodze, zatrzymałem się gwałtownie.

– Używamy tylko prawej strony – mruknąłem do siebie i ruszyłem ku schodom znajdującym się po lewej.

Zacząłem wspinać się po nich na czworakach, dokładnie oglądając i ostukując każdy stopień.

– Wszystko w porządku? – usłyszałem zaniepokojony głos Irys.

– W jak najlepszym – odparłem.

– Na tych schodach można zrobić sobie krzywdę – powiedziała.

Zerknąłem przez ramię. Stała na środku hallu z miotłą w garści i patrzyła na mnie jak na wariata.

– Obiecuję, że będę ostrożny – stwierdziłem i podjąłem moją wspinaczkę na czworakach.

Wiedziałem, że przez jakiś czas uważnie mnie obserwowała, ale w końcu się znudziła i zaczęła zamiatać. Może ona sama była zbyt młoda, ale inni mieszkańcy dworku przeżyli co najmniej kilku dziedziców i na pewno opowiedzieli jej o ich różnych dziwactwach.

W pewnej chwili jedna deska trzasnęła pode mną. Moje kolano zagłębiło się w drewno.

– Niech to wszystkie dusze porwą! – warknąłem, wydostając nogę z dziury.

– Miał pan być ostrożny – przypomniała Irys.

– No przecież jestem! – mruknąłem ze złością.

Dotarłem na sam szczyt schodów i nic nie odkryłem. Dziewczyna skończyła zamiatać i przeszła z miotłą do sali balowej.

*Daj sobie spokój* – zacząłem przekonywać samego siebie. Dlaczego tak bardzo uwzięłem się na dziennik, który być może został spalony albo zakopany gdzieś na polach?

*Bo nie znosisz, kiedy ktoś uważa się za sprytniejszego od ciebie. Nawet jeśli żył sto lat temu.*

Coś w tym było. Zawsze bawiło mnie żartowanie z Karla i Artesa, a najbardziej wtedy, kiedy nawet nie wiedzieli, że się z nich nabijam. Uważałem się za mądrzejszego od nich. I na dobrą sprawę od Diogenesa też.

*Tylko dlaczego to on rządził kastą, a ty byłeś tylko zwykłym kurierem?* – zakpił głos w mojej głowie.

– Bo ja miałem większe ambicje – odparłem z pewnością.

No i proszę, dotarłem tutaj. Rozłożyłem ręce, stając na piętze pomiędzy schodami. Jestem dziedzicem. Płynie we mnie szlachetna krew!

Parsknąłem śmiechem. To wszystko brzmiało jak kiepski żart.

Bez większych nadziei poszedłem do gabinetu. Aster znów siedziała za biurkiem nad księgą rachunkową.

– Nie przeszkadzaj sobie – rzuciłem, stając przed szklaną gablotą, za którą znajdowała się mapa cmentarza. Spojrzałem na datę w prawym dolnym rogu. Została namalowana niecałe sto lat przed Kalisteronem. A więc i on mógł stać w tym samym miejscu co ja i się jej przyglądać.

Szukałem czegokolwiek charakterystycznego, innego atramentu, jakiegoś niezrozumiałego znaku, ale tak naprawdę cała mapa była ich pełna. Odo twierdził, że Kalisteron nie ukrył nic na cmentarzu, ale na dobrą sprawę za dnia dusze spały i mogły nawet nie wiedzieć, że dziedzic zakopał tam swój dziennik. Może zrobił to pod samą kapliczką? Albo pod najstarszym drzewem? Tylko które było najstarsze? A może gdzieś pod murem? Ale Tobiasz przecież szukał tam z wykrywaczem metali. Jeśli coś było pod ziemią, jak na przykład dziennik w skrzynce z metalowymi okuciami, znalazłby to prędzej niż ja bez żadnego sprzętu.

Zakląłem pod nosem, a Aster syknęła z naganą. Zrobiłem przeproszącą minę, zgarnąłem z półki kolejny dziennik Anzelma i opuściłem gabinet. Przeszedłem przez hall i znalazłem się w sali balowej, nadal zamiatanej przez Irys. Pod ścianą stał szeszlong. Skąd znam tę piękną, dziwaczną nazwę? No tak, przecież mama uwielbiała czytać mi na głos książki historyczne. Dopiero kiedy byłem starszy, dowiedziałem się, że omijała te bardziej krwawe fragmenty.

W każdym razie walnąłem się na ten szeszlong i otworzyłem dziennik na pierwszej stronie.

– Tak, już wszyscy wiemy, że to było niemoralne – burknąłem po przeczytaniu akapitu, w którym Anzelm ponownie rozwodził się nad tym, jakim złem były cmentarze osobliwości.

– Słucham? – Irys przestała zamiatać i oparła się o miotłę.

– Nic, nic, nie słuchaj mnie. – Spróbowałem na powrót pograć się w lekturze, ale tym razem ten moralizatorski ton Anzelma zaczął doprowadzać mnie do szewskiej pasji.

Sapnąłem głośno i położyłem otwarty dziennik na klatce piersiowej.

– I jeszcze te zachwyty nad zarządcą – powiedziałem do siebie, wkurzony, że Anzelm mógł polegać na swoim pracowniku, a ja nie byłem pewien, czy mój kiedyś nie zostawi mnie na pastwę dusz, jeśli wystarczająco mocno go wkurzę.

Irys zachichotała.

– O co chodzi? – zapytałem.

– No bo oni... – Spłonęła rumieńcem. – Pani Aster mówi, że Anzelm i jego zarządca się kochali.

Postukałem palcami w okładkę dziennika.

– To by wiele wyjaśniało – uznałem.

– Ale mówią, że to były inne czasy – dodała dziewczyna, obracając w dłoniach trzonek od miotły. – Że nikomu nie mogli o tym powiedzieć, bo Anzelm musiałby go zwolnić.

Pokręciłem głową. We dwóch opiekowali się cmentarzem przez ponad czterdzieści lat. Nikt nawet nie zbliżył się do ich rekordu. Co kogo obchodziło, co robili w czasie wolnym?

– Pan Roch się mylił – odezwała się Irys, wracając do zamykania.

– Taa? A w czym? – Spróbowałem wykazać tylko małe zainteresowanie, choć tak naprawdę chętnie bym posłuchał, w jakich to kwestiach „pan Roch” się mylił.

– No bo on mówił, że pan się nie nadaje na dziedzica – wyjaśniła.

– Akurat o tym wiemy wszyscy – przyznałem.

– Ale proszę spojrzeć na to w ten sposób: ma pan dzień i noc wolne. Nie minęło jeszcze nawet dwanaście godzin od ostatniej wizyty na cmentarzu, a już pana nosi.

– Słucham? – Uniosłem się na łokciach.

– Jak pan wiedział, że po południu albo w nocy pójdzie na cmentarz, był pan znacznie spokojniejszy, a teraz nie może znaleźć sobie miejsca – wyjaśniła, nie przerywając zamykania.

– Ale to nie przez to – stwierdziłem, marszcząc brwi. – Wkurzają mnie tylko te dzienniki. – Wskazałem dłonią książkę wciąż leżącą na mojej klatce piersiowej.

– Dzienniki na temat cmentarza. – Posłała mi nieśmiały uśmiech.

Sapnąłem z rezygnacją i znów opadłem na szeszlony. Dziewczyna była młoda, pewnie nigdy nie wyjechała dalej niż do Pogorzelsk. Nic nie wiedziała o życiu.

– Może i nie znam się na ludziach – odezwała się po chwili. – Tak mówią pani Aster i Alma. Że ślepo wierzę każdemu. Ale uważam, że nie mylę się w kwestii pana.

Wzruszyłem ramionami. Nie będę się z nią kłócić. Niech uważają, że nadaję się do tej roboty. Najwyżej kiedyś spotka ich srogie rozczarowanie, kiedy stąd wyjadę albo kiedy dusze jednak rozszarpia mnie na tym przeklętym cmentarzu.

Irys przeszła z miotłą do jadali, a ja zostałem sam z własnymi myślami. Moją uwagę ponownie przykuła pajęczyna przy belkach pod sufitem. Mógłbym powiedzieć dziewczynie, żeby zamiatała nie tylko podłogę, ale

w sumie po co? Mnie trochę kurzu nie przeszkadzało. Nie miałem świra na punkcie czystości. I dopóki moje buty nie przyklejały się do podłogi, a na głowę nie spadały mi pająki...

Gwałtownie poderwałem się z szezlonga. Tuż obok pajęczyny belka stropowa przybierała odrobinę jaśniejszy kolor, a później znowu była ciemniejsza. Tak naprawdę różnica była ledwie dostrzegalna, ale jak już się ją zobaczyło, nie można było jej przegapić.

– Ty cwany draniu! – rzuciłem z uśmiechem. – Sala balowa! Nie tylko służba chodzi tu codziennie, ale i całe tłumy gości się tędy przewalają! Przynajmniej tak było kiedyś, gdy jeszcze wyprawiali bale.

Pobiegłem prawie jak na skrzydłach do oranżerii. Irys rzuciła mi zaskoczone spojrzenie, kiedy wracałem do sali balowej z drabiną pod pachą.

– Dopilnuj, proszę, żeby nikt mi nie przeszkadzał – poprosiłem w biegu.

Pokiwała głową, a ja na wszelki wypadek zamknąłem na klucz drzwi za mną. Sam nie wiem, dlaczego to zrobiłem. Moje serce waliło z emocji, dłonie stały się wilgotne. Chyba nie chciałem wyjść na idiotę, gdybym nic nie znalazł. Albo nie chciałem z nikim dzielić się własnym odkryciem.

Ustawiłem drabinę pod odpowiednią belką i pospiesznie się na nią wspiąłem. Sufit był jeszcze dość wysoko, ale gdy wyprostowałem ramiona, zdołałem do niego sięgnąć.

Z bliska różnica pomiędzy belką a idealnie do niej dopasowaną wąską, ale długą deseczką była jeszcze bardziej widoczna. Duży pająk wybiegł na sam środek swojej pajęczyny, a gdy nie zastał tam żadnej muchy, cofnął się w kąt.

– Wybacz, stary, że ci przeszkadzam, ale to dzięki tobie znalazłem tajną skrytkę – rzuciłem. – Masz zapewnioną u mnie nietykalność.

Większość ludzi na Szantach brała łyżę od razu po zapłaceniu za nie. Byli tak spragnieni narkotyku, że łykali go nawet przy kurierze. Ale kiedy ktoś miał ciut więcej kasy, chował malutkie szklane fiołki z błyszczącą błękitną, gęstą cieczą w najróżniejszych, często bardzo pomysłowych miejscach, żeby nikt inny ich nie znalazł.

Raz całkiem przez przypadek widziałem, jak Tytus chowa łyżę przed swoją żoną właśnie w belce stropowej swojego domu. Całe lata temu wydrążył dłutem w belce niewielką skrytkę. Później dopasował do niej deseczkę w tym samym kolorze, która idealnie pasowała do dziury. Nikt nigdy nie



zauważył tej skrytki. Nikt oprócz mnie. Bo gdy raz ją dostrzegłem, zawsze już widziałem te słoje w drewnie, których wzór nie zgadzał się z resztą belki.

Wyciągnąłem zza paska nóż. Serce mi biło coraz szybciej. A jeśli to nie dziennik Kalisterona, ale pakty zawarte pomiędzy duszami a samym Glariusem? Nie mogłem opanować drżenia dłoni. Irys miała chyba rację, że wkręciłem się w ten cały cmentarz.

Ostrożnie wsunąłem ostrze noża w ledwie dostrzegalną szczelinę między belką a wstawioną w nią deseczkę i delikatnie podważyłem. Drewno stawiało słaby opór, żeby już po chwili wypaść ze swojego miejsca. Moim oczom ukazała się cienka, podłużna skrytka. Z drabiny jednak nie mogłem zobaczyć, co jest w środku.

Wsunąłem tam dłoń. Wyczułem pod palcami kurz i coś sztywnego. Chwyciłem to i wyciągnąłem ze skrytki.

Niestety to nie były pakty. Ani nawet dziennik Kalisterona. Mimo to, z wciąż szybko bijącym sercem i drżącymi dłońmi, spojrzałem na napis znajdujący się na okładce niewielkiej książki.

# Rozdział 25

*Mort Muerton.*

Powoli zszedłem z drabiny i usiadłem na szezlongu. Miałem w rękach dziennik syna Glariusza. Dziennik, który ponoć nigdy nawet nie powstał!

Otworzyłem go z pewnym namaszczeniem. Trudno było mi uwierzyć, że ten papier miał prawie dwieście lat i został zapisany przez samego Morta. Pogładziłem opuszkami grubą kartkę. Była chyba z takiego samego materiału jak ten, z którego robią pakty, dlatego dziennik nie rozpadł mi się w dłoniach.

*11.08.1600*

*Ukończyłem szkołę i powróciłem do domu. Lawendowy Dworek zdawał się pusty i zimny bez mojej mamy, która zmarła trzy lata temu. Nic nie było już takie samo. Wiedziałem, że jeszcze nie raz zatęsknię za naszymi spacerami po łąkach, za książkami, które wspólnie czytaliśmy, otoczeni przez kwiaty i setki bzyczących owadów.*

*Najgorsze niestety dopiero mnie czekało. Okazało się, że po śmierci mamy ojciec wcielił w życie swoje plany, które do tej pory wkładaliśmy między nierealne marzenia. Do tej pory nigdy nie sądziłem, że odważy się to zrobić. Miałem nadzieję, że park, który zaplanował dla mamy, nigdy nie stanie się tym przerażającym miejscem. Jakże się myliłem!*

Nagle ktoś szarpnął za klamkę od strony jadalni. Podskoczyłem w miejscu i z hukiem zatrzasnąłem dziennik. Serce waliło mi, jakbym robił coś znacznie bardziej nielegalnego niż podkradanie łez Diogenesowi i sprzedawanie ich na Szantach.

– Co za baran zamknął te drzwi?! – usłyszałem głos Almy. – Halo!!! – Walnęła w nie pięścią. – No przecież nie będę szła naokoło!

Wsunąłem dziennik za spodnie i przykryłem go bluzą, po czym poszedłem otworzyć.

– Przepraszam, to ja... tak z rozpędu – zacząłem się tłumaczyć.

– Ach, no tak – powiedziała na mój widok. O dziwo jej oblicze złagodniało. W ręku miała koszyk. – Po prostu nigdy nie zamykamy tych drzwi na klucz.

– Oczywiście. – Rzuciłem się otworzyć drzwi z drugiej strony sali balowej.

Kucharka posłała mi podejrzliwe spojrzenie, ale nie skomentowała, dlaczego tak się tu zamknąłem.

Z podwórza dobiegło mnie ujadanie psów i nawoływanie Aksela. Cholerka, chyba nie było w tym dworku miejsca, w którym nikt by mi teraz nie przeszkadzał. Zaszyję się w swoim pokoju, to zaraz pojawi się Irys z kawą albo obiadem.

– Muszę się przewietrzyć – oświadczyłem.

Alma, która właśnie skierowała się do gabinetu, żeby chyba przedyskutować coś z Aster, skinęła głową, jakby zupełnie jej to nie obchodziło.

Wyszedłem z dworku i ruszyłem przez zarośnięte łąki. Wszędzie wokół mieniły się w słońcu przedzimki. Czułem ciepło promieniujące w okolicach brzucha, tam gdzie schowałem dziennik. Wiedziałem, po prostu wiedziałem, że kryje się w nim wiedza. A kto ma wiedzę, ten ma władzę. Mort siłą rzeczy musiał wiedzieć o samym cmentarzu najwięcej ze wszystkich dziedziców, oczywiście pomijając samego Glariusza.

W końcu dotarłem na szczyt niewielkiego wzniesienia. Wiatr musnął moje włosy, wysokie trawy falowały pod jego dotykiem. Rozejrzałem się wokół, ale nie dostrzegłem żywej duszy. A te martwe spały spokojnie na swoim cmentarzu.

Usiadłem na ziemi i znów otworzyłem dziennik.

– *Nie rozumiesz, że to najpiękniejszy hołd, jaki mógłbym jej złożyć?! – przekonywał mnie ojciec.*

*Tłumaczenie, że mama nigdy nie chciała, by zawierał z kimkolwiek pakt, nie trafiło do niego.*

– Wyobraź sobie, ilu ludziom pomożemy! – twierdził. – Nie stać ich na godny pochówek, a ja mogę im to zapewnić!

– Ale jakim kosztem? – pytałem. Ojciec był jednak głuchy na moje słowa.

I tak na cmentarzu osobliwości pojawiła się pierwsza dusza. Ojciec pochował ją pod wielkim polnym kamieniem. Cieszył się jak dziecko, gdy wykielkowała z ziemi niczym prawdziwa roślina. Patrz! Patrz, jaka jest piękna! – zachwycał się. Wyglądem przypominała kwiaty. Drobne, różowobiałe. Zdawała się piękna i łagodna. Ojciec nazwał ją Flora. Nieśmiało wodziła za nami wzrokiem, o ile można tak powiedzieć o roślinie. Ojciec podlewał ją nawet nawozem do kwiatów!

27.09.1600

Nocą zakradłem się do gabinetu ojca i odszukałem pakt Flory. Przeczytałem go, nie wierząc, że ktokolwiek rozumny mógł podpisać tak szkodliwą dla siebie umowę. Jak nisko musi upaść człowiek, żeby zgodzić się na coś takiego?

Znałem już imię i nazwisko naszej Flory. Wysłałem list do mojego jedyne go przyjaciela ze szkoły, Hawiera, żeby trochę powęszył, popytałem w dworku i we wsi i szybko okazało się, że Flora była żoną marynarza, który zaginął na morzu. Był jedynym żywicielem rodziny. Oczywiście miał odłożone pieniądze na swój pogrzeb, a żona zachowała mały palec jego lewej dłoni właśnie na taką okoliczność. Z początku wdowa po marynarzu nie chciała nawet tknąć jego zachowku, ale gdy głód zajrzał w oczy jej dzieci, przekroczyła tę cienką linię i zaczęła wyprzedawać majątek po mężu, choć wcale nie był taki wielki, a do jego trumny włożyła zaledwie ułamek całego zachowku. Chwytała się różnych prac, ale ludzie niechętnie pomagali kobiecie, która zdradziła własnego męża. I wtedy pojawił się mój ojciec. Zatrudnił ją w swoim dworku i zapewnił godną przyszłość jej dzieciom. Wdzięczna kobiecina podpisała pakt, gdy obiecał jej pochówek...

Podaję, że ojciec ją oszukał. Podmienił karty w pacie. Bo żadna rozumna istota nie zgodziłaby się na tak długą pokutę. Flora była młodą kobietą, a ojciec chciał przecież dożyć własnego cmentarza w świetności... Nie chcę rzucać bezpodstawnych oskarżeń, ale Flora zmarła w wypadku, poturbowana przez konia...

Pismo Morta stało się niechlujne, jakby młodemu dziedzicowi trzęsła się ręka, kiedy to pisał. Wyobraziłem sobie chłopaka zamkniętego w pokoju, siedzącego przy biurku z jedną zaledwie świecą nad dziennikiem. Właśnie oskarżył własnego ojca o morderstwo. Co by było, gdyby Glarius znalazł jego notatki? Skrzywdziłby własnego syna?

Zacząłem czytać dalej. Szybko okazało się, że Flora zorientowała się, że została oszukana. Na jej płatkach pojawiły się kolce z jadem. Atakowała każdego, kto przechodził w pobliżu, a Glarius cieszył się jak szalony. To dopiero była atrakcja, którą mógł pokazywać bogatym kolegom.

Następni byli Hugo i Pszczelarz. Ten drugi był kanciarzem, który najczęściej oszukiwał w grze w karty w bogatych klubach. Chciał kiedyś ograć Glarius, ale oszust od razu rozpozna oszusta. Hrabia przyłapał go na gorącym uczynku, a za coś takiego groziło Pszczelarzowi więzienie. Podpisał pakt, żeby się jakoś z tego wykręcić. Kilka miesięcy później zginął w pożarze. To dopiero ironia losu. Załatwił go ogień, a teraz sam jest łatwopalny. Ciekawe, czy Glarius maczał palce w tym pożarze? Mort znów nic nie sugerował, ale mogłem być pewien, że podejrzewał swojego ojca o przyłożenie ręki do śmierci Pszczelarza.

Rogacz z kolei okazał się człowiekiem z drugiego końca kraju, zwykłym mordercą. Miał na koncie co najmniej sześć morderstw. Ukrywał swoje ofiary w lesie, nie dbając o ich godny pochówek. Złapała go policja, ale ich dowody nie były wystarczające, żeby go skazać. Glarius więc wyciągnął go z więzienia, podpisał z nim pakt i zapewnił posadę leśniczego w Lawendowym Dworku. Facet mógł więc bez skrępowania szlajać się po lasach i zabijać. Z tego, co Mort się dowiedział, zamordował dwóch chłopów i jedną kobietę z Pogorzelsk. Pozostali zaczęli się burzyć, a więc Glarius „sprzątnął” problem i pewnego ranka Rogacz po prostu nie wstał z łóżka. Był mężczyzną w sile wieku, na nic nie chorował, a lokalny lekarz stwierdził zawał serca.

Rogacz od razu się pokumał, że nie dość, że został oszukany, to jeszcze zamordowany. Stąd jego wściekłość i okropny wygląd.

– Nieźle – parsknąłem bez żadnej wesołości.

Seryjny morderca, który zakopywał swoje ofiary w lesie, dostał posadę leśniczego. To pewnie kolejny żart ze strony Asazana, że Rogacz wyglądał jak jeleni połowicznie obdarty ze skóry.

Rogacz jeszcze za życia nie znosił otwartej przestrzeni – pisał Mort. Nie mógł się tam ukryć i jak ognia unikał naszych łąk. On wolał skrywać się w ciemnym lesie, zza drzew obserwować swoje ofiary. Po śmierci okazał się bardzo problematyczną duszą. Kilka razy zaatakował ojca. Raz tak go poturbował, że ten przez miesiąc leżał w łóżku.

Jestem okropnym synem i wiele razy życzyłem ojcu, żeby już z tego łóżka nie wstał. Och, o ile łatwiejsze stałoby się wtedy nasze życie! Ale nie, ojciec w końcu odzyskał siły i pierwsze, co zrobił, to poszedł na cmentarz, gdzie znów niemal zginął stratowany przez Rogacza. Przyszedł wtedy do mnie i poprosił o pomoc. Przekonywał, że boi się, iż dusza skrzywdzi kogoś, kto przypadkiem trafi na cmentarz. A jeśli Rogacz wydostanie się z cmentarza? Jakie spustoszenie mógłby siać wśród mieszkańców wsi!

Rozumiałem jego obawy, nie chciałem, żeby skrzywdził kogoś niewinnego, dlatego wraz z ojcem zaczęliśmy szukać sposobu, jak poradzić sobie z niesforną duszą.

Trwało to tygodniami, a ja poczułem, że znów nawiązuje się między nami nić porozumienia, zupełnie jak niegdyś, gdy chodziliśmy we trójkę z mamą na pikniki i leżąc na kocach, potrafiliśmy rozmawiać niemal o wszystkim. Powoli zaczęliśmy tracić nadzieję na to, że znajdziemy jakiś słaby punkt Rogacza. Baliśmy się go, baliśmy się tego, co mógł zrobić. Wyjechaliśmy do wsi, w której Rogacz się wychował jako dziecko. Wszędzie na otaczających ją łąkach rosły przedzimki. Niemal każda kobieta miała odświętny fartuch, na którym były wyhaftowane te kwiaty. I właśnie wtedy, tak od niechcienia, pomyślałem, że to te rośliny są symbolem łąk, których Rogacz tak nienawidził. Gdy tylko powiedziałem o tym ojcu, a żałuję tego do dziś, nazbieraliśmy całą walizkę tych fioletowych kwiatów, wróciliśmy do domu i wybraliśmy się na cmentarz wypróbować nową teorię. Okazało się, że nawet sam zapach przedzimek odstrasza Rogacza! Chciałem rzucić się z radością w ramiona ojca, ale on wykrzyczał: Teraz mam nad tobą pełną władzę! Musisz być mi posłuszny!. Chciałem zasadzić te rośliny wokół całego cmentarza, żeby dusza nie mogła się z niego wydostać, ale ojciec mi zabronił. Uważał, że tylko on może je wykorzystywać. Sprowadził je do naszej oranżerii, do której zakazał wstępu służbie, a przedzimki wkrótce rosły we wszystkich donicach i skrzyniach, zaduszając ukochane kwiaty mamy. Patrzyłem przez szybę na tę powolną śmierć pamiątek po mamie, którą zgotował im mój ojciec.

*Kilka dni później przyprowadził na cmentarz swoich dwóch kolegów, którzy byli zachwyceni całym przedsięwzięciem.*

*Jak ostatni głupiec znów dałem się oszukać. Ojciec wcale nie łaknął mojego towarzystwa. On po prostu mnie wykorzystał, żeby zyskać władzę nad duszą. A ja mu pomogłem! Co prawda w dobrej wierze, ale przyczyniłem się do rozrostu cmentarza. Od tej pory bowiem ojciec umieszczał w nowych paktach punkt, w którym nakreślał słabość przyszłej duszy. Chciał je w pełni kontrolować.*

Położyłem dziennik na kolanach i przetarłem dłońmi twarz. Ten Glarius to był po prostu kawał chuja. A Mort, choć poczciwy chłopak, nie potrafił przeciwstawić się ojcu. O ile lepszy stałby się świat, gdyby pewnej nocy po prostu go otruł. Myślę, że bogowie by mu szybko to wybaczyli i nie musiałby nawet odpokutowywać.

Ale zastanowiło mnie coś jeszcze. Tylko Glarius i Mort wiedzieli o przedzirkach. I Opal. Czyżby dziewczucha była na tyle cwana, że znalazła ten dziennik? Obróciłem go w palcach, jakby miał mi opowiedzieć, kto jeszcze go czytał. Opal miała zaledwie dwanaście lat, ale jej ojciec był zarządcą. Może chciała pomóc tacie w pracy i dlatego szukała wskazówek, jak uczynić ją łatwiejszą i bezpieczniejszą? Może gdy jeszcze nie kłócił się z jej matką, dziewczynka spędzała całe dni w dworku i tak samo jak ja odkryła dziennik Morta? Tylko dlaczego nie powiedziała nic ojcu?

Coś w tym wszystkim bardzo mi nie grało. Choć palce aż mnie świerzbiły, żeby czytać dalej, schowałem dziennik za spodnie i zasłoniłem go bluzą, po czym ruszyłem w stronę łąki za cmentarzem.

Nigdzie nie zobaczyłem Opal, ale miałem nadzieję, że jeśli wystarczająco długo będę się tu kręcił, to dziewczyna znajdzie mnie tak jak zawsze. Trzy razy okrążyłem cmentarz i nic. Spotkałem tylko Samsona, który posłał mi pytające spojrzenie. Nie spodziewał się mnie w tej okolicy podczas wolnego dnia.

– Poszedłem na spacer – wyjaśniłem krótko. – No i trochę wypielę ten przeklęty bluszcz. – Wyrwałem z ziemi cienką łodygę.

Rękodajny skinął głową, ale i tak założył się, że mnie obserwował, kiedy odchodziłem.

Zerwał się lekki wiatr. Organy na cmentarzu zagrały, a na mojej skórze pojawiła się gęsia skórka. Chyba nigdy nie przywyknę do tej melodii pełnej

fałszu i nieoczekiwanych dźwięków. Słońce chyliło się ku zachodowi, oświetlając umierającymi promieniami fioletowe kwiatki, które zdawały się błyszczeć tak jak łyzy.

Sam nie wiem dlaczego, ale zacząłem się niepokoić. Powinienem już trafić na Opal. Dlaczego dzisiaj się nie pokazała? Czy coś się stało? W końcu codziennie kręciła się tak blisko cmentarza. A jeśli w nocy jakaś dusza uciekła poza mur, kiedy my byliśmy zajęci walką ze Śmiercianem? I wpadła w krwiożerczy szal, gdy tylko zobaczyła dziewczynkę?

W pierwszym odruchu chciałem biec prosto do dworku, znaleźć Rocha i... no właśnie. I co zrobić? Zdradzić mu prawdę o naszych tajemnych spotkaniach? Zawieść zaufanie dwunastolatki tylko dlatego, że miałem złe przeczucia? Potrząsnąłem głową i ruszyłem w przeciwną stronę. Opal zawsze opuszczała mnie, kierując się ku staremu lasowi. Jeśli tam jej nie znajdę...

– Pewnie tylko sobie wkręcąm – mruknąłem, próbując się uspokoić. – Pewnie nic jej nie jest i właśnie wcina podwieczorek w towarzystwie mamy.

Mimo to uczucie niepokoju nie chciało mnie opuścić. Szedłem tak szybko, że aż zrobiło mi się gorąco. Rozpiąłem kurtkę, upewniając się, że nie zgubię dziennika Morta. Powinienem właśnie zgłębiać historię syna Glariusza i jak najwięcej dowiedzieć się o duszach, ale zamiast tego pędziłem w stronę lasu. Dlaczego aż tak przejmowałem się jakąś dziewczynką? Może podświadomie sądziłem, że jestem jej coś winien? W końcu uratowała mi życie, zdradzając, że Rogacz jest uczulony na przedzimki. Wkurzała mnie, ale...

Zatrzymałem się w miejscu. Czy mogłem powiedzieć, że w ciągu kilku dni ta niby zwykła dwunastolatka stała się moją przyjaciółką?

Stałem na szczycie wzniesienia, a przede mną pojawiła się ciemna granica lasu. Tuż przed nią zaś stał mały, szary domek.

Ruszyłem szybkim krokiem w jego stronę. Liczyłem, że właśnie tam spotkam Opal i jej matkę. Ale już z daleka widziałem, że obejście było puste, z komina nie unosił się dym, a w okolicy nie kręciły się żadne zwierzęta. Coś było nie tak.

Zacząłem pędzić z górki, serce waliło mi jak młotem. Sam nie wiem, dlaczego tak zareagowałem. Zatrzymałem się dopiero kilkanaście metrów przed domem, a to, co ujrzałem...



Pokręciłem głową, nie wierząc własnym oczom. Bardzo powoli ruszyłem w stronę domu, zupełnie jakbym się spodziewał, że zza drzwi zaraz wyskoczy na mnie dusza pokroju Rogacza.

– Opal! – zawołałem.

Odpowiedziała mi martwa cisza.

– Opal!!!

## Rozdział 26

Na zmurszałym, rozpadającym się płocie wisały szczątki glinianych garnków i kawałki zapleśniałych szmat, w których trudno byłoby się dopatrzeć ubrań. Przeszedłem nad leżącą w trawie furtką i zlustrowałem wzrokiem zarośnięty ogród, upewniając się, że nic nie czai się za przewróconym drzewem, które wbrew wszystkiemu, leżąc na ziemi, nadal rośło. Zerknąłem na pusty kurnik z zapadniętym dachem. Minąłem dziurawą taczkę zarośniętą trawą. Kilka kroków dalej natknąłem się na zapomnianą, zardzewiałą tarę do prania. A wszędzie wokół, niczym diamenty w błocie, pobłyskiwał fiolet przedzimek.

Nagle coś poruszyło się tuż pod moimi nogami. Prawie dostałem zawału, kiedy jakieś wielkie, czarne ptaszysko zerwało się z ziemi i głośno kracząc, wylądowało na częściowo oderwanej rynnie.

– O co, do licha ciężkiego, tutaj chodzi? – rzuciłem, stając przed rozpadającą się chałupą.

W dachu porośniętym mchem ziała wielka dziura, której nikt nie załatał. Okna bez szyb były zabite spróchniałymi deskami. Z jednego z nich, pomiędzy drewna, wystawała ciemnoszara, brudna firanka, która powiewała na wietrze. Jedną ścianę porastał krwistoczerwony winobluszcz. Pozostałe wyglądały, jakby nikt ich nie odmalowywał przez ponad trzydzieści lat. Drzwi były na wpół uchylone, lekko poruszały się na wietrze, skrzypiąc cicho. Przecież nikt tu nie mieszkał! Nie w takich warunkach. Może w okolicy jest inny dom pod lasem?

Podświadomie jednak wiedziałem, że Opal mówiła o tym budynku. Tylko dlaczego kłamała? Może w ogóle nie była córką zarządcy? Może mieszkała

we wsi? A może była bezdomnym dzieciakiem, który zwiął z domu i ukrywał się właśnie w tej ruderze?

Pociągnąłem drzwi i wszedłem do ciemnego domu. Od razu owionął mnie zapach stęchlizny i zbutwiałego drewna. Stałem chwilę tuż za progiem, żeby przyzwyczaić oczy do mroku. Zamrugałem powiekami i już po kilku sekundach byłem gotów ruszyć dalej. Minąłem przewrócony stół i połamane krzesła. Na podłodze leżała wypłowiała cerata. Szafki kuchenne miały pootwierane drzwiczki, na blatach znajdowały się jakieś śmieci i suche liście.

Przeszedłem do jednego z pokoi. Zobaczyłem duże łóżko, a zaścielająca je pościel była brudnożółta. Pod ścianą stała zupełnie opróżniona szafa, a na toaletce obok leżały kawałki szkła jakby po potłuczonym flakoniku po perfumach. Drugi pokój wyglądał nieco lepiej. Na wąskim łóżku z pękniętymi deskami leżał w miarę czysty koc, a na nim siedziała wyblakła lalka z materiału. Przy oknie wisiała niegdyś pewnie ładna firanka. Na pierwszy rzut oka ten pokój sprawiał wrażenie, jakby należał do dziewczynki.

- Nic nie rozumiem - szepnąłem, choć w głębi duszy domyślałem się prawdy.

Coś zaczęło dławić mnie w gardle. Musiałem wydostać się z tego domu przepelnionego tragedią. Szarpnąłem drzwi od pokoju, aż uderzyły w ścianę, minąłem przewrócony stół, uderzając o jego kant udem, aż wypadłem na zarośnięte podwórze. Dopiero tutaj odetchnąłem świeżym powietrzem przesiąkniętym słodkim zapachem przedzimek. Lodowaty wiatr mnie otrzeźwił. Rozejrzałem się, jakbym nie miał pojęcia, jak się tu znalazłem. Słońce już jakiś czas temu skryło się za horyzontem, a świat objęła we władanie wieczorna szarówka.

Upewniłem się, że mam przy sobie dziennik Morta, i ruszyłem w stronę dworku. Zmrok zastał mnie w drodze. Szerokim łukiem ominąłem cmentarz, ale nawet z tej odległości usłyszałem wietrzne organy i porykiwanie Rogacza. W pewnej chwili nawet zdało mi się, że niesione wiatrem, dotarły do mnie pokrzykiwania rękodajnych, ale je zignorowałem.

W końcu stanąłem przed moim tymczasowym domem. Jego widok jednak nie przyniósł mi ukojenia. Wręcz przeciwnie. Stare, zniszczone domiszcze wydało mi się siedliskiem zła. To z niego wypełzały okrutne stwory namawiające ludzi do czynienia niegodziwych rzeczy i zsyłające

nieszczęście na bezbronnych. Okrążyłem budynek, sam nie wiedząc, czego szukam, ale za nic nie chciałem w tej chwili znaleźć się w tych zimnych ścianach.

Trafiłem na podwórko. Z krzaków dobiegło mnie warczenie. Błysnęły opalizująco oczy, a ja znów nie miałem przy sobie żadnej broni.

Wtem z zarośli wysunął się wielki, ciemny łeb.

– Szczypior – mruknąłem. – Czego straszysz?

Pies, który był chyba równie przestraszony jak ja, podszedł do mnie, obwąchał moją dłoń i wrócił do niuchania w krzakach.

Przez szczeliny w drzwiach od stajni dostrzegłem światło. Było w nim coś ciepłego, coś kuszącego i zapewniającego bezpieczeństwo. Bez wahania skierowałem tam moje kroki. Otworzyłem drzwi i zajrzałem do środka. Zobaczyłem siodła na belkach i ogłowia wiszące na ścianach. Pod moimi butami zachręściła słoma, jakby nadal trzymano tu konie. Poczulem zapach końskiego obornika i siana. Na samym środku stajni zwieszała się z sufitu naga żarówka, a pod nią stał okrągły stolik. Przy nim na skrzynkach siedzieli koniuszy i ogrodnik. W ich szeroko otwartych oczach ujrzałem zaskoczenie. Gaspar trzymał dwa pełne kieliszki, a zaczerwieniony Konrad nieumiejętnie usiłował schować do kieszeni flaszkę.

Bez słowa podszedłem do nich, wyjąłem kieliszki z kościstych rąk koniuszego i wychyliłem jeden za drugim. Coś bardzo mocnego niemal poparzyło mi przetyk.

– Co to jest? – zapytałem, odchrząknawszy.

Konrad bez słowa podsunął mi szklankę z kompotem z jabłek.

– Napędził nam pan stracha – rzucił koniuszy. – Myśleliśmy, że to Aster przyszła opieprzyć nas cholera wie za co.

– To tylko ja. – Pokręciłem głową, rozglądając się za czymś do siedzenia.

Pod ścianą stała kolejna skrzynka. Postawiłem ją przy stole, całkowicie świadom, że moi pracownicy wymieniają zaskoczone spojrzenia, niepewni, jak się zachować.

– To ja poszukam dla pana kieliszka. – Gaspar zerwał się na nogi i sięgnął do półki po szkło. Rąbką koszuli wytarł z niego kurz i drobinki siana, po czym postawił na stole.

– Max jestem, nie żaden pan – przypomniałem.

Przez chwilę w stajni panowała zupełna cisza. Konrad polał nam bursztynowego samogonu. Bez słowa go wypiliśmy.

– Dobra ta partia wyszła – ocenił ogrodnik, wycierając usta.

Z tym to akurat bym się kłócił.

– Co się stało z rodziną Garłacza? – wypaliłem.

Moi towarzysze mimo woli wymienili spojrzenia. Gaspar odchrząknął i spróbował zmienić temat:

– Nalej mi jeszcze tego kompotu. – Wyciągnął szklanekę w stronę Konrada.

– Alma i tak się wścieknie, że go podebraliśmy.

– Co się stało z rodziną Garłacza? – powtórzyłem twardo.

– Ja tam nie wiem, pracuję tu dopiero od kilku lat – rzekł koniuszy i zaczął pić kompot, żeby tylko nic więcej nie powiedzieć.

– Ty długo tu pracujesz – zwróciłem się do ogrodnika.

– Przeszło pięćdziesiąt lat! – pochwalił się, wypinając pierś. – Mieszkałem z rodziną we wsi. A bieda u nas aż piszczała! Ojciec nie był w stanie wykarmić nas wszystkich. A ja byłem najmłodszy, więc... – Zawiesił głos. – Miałem dziesięć lat, kiedy ojciec dogadał się z ówczesnym zarządcą, żeby załatwił mi tu jakąś posadę – podjął po chwili. – Stary ogrodnik potrzebował pomocnika, to i przyjęli mnie do dworku. Dostałem swój kątek do spania i nie chodziłem już z pustym brzuchem. Tęskniłem za rodziną, ale w porównaniu z nimi tutaj miałem wręcz luksusowe warunki.

– Kiedy Roch zaczął tu pracować? – zapytałem.

– To będzie... – Orodnik podrapał się po brodzie. – Jakies trzydzieści dwa lub trzy lata temu.

– A jego rodzina? – drążyłem.

– Dostali domek pod lasem. Roch nie chciał, żeby jego żona mieszkała w dworku, nie wiem, chyba uważał, że tutaj krąży nad ludźmi fatum. No w sumie krąży nad dziedzicami... – Orodnik zrobił głupią minę, najwyraźniej przypomniał sobie, z kim rozmawia.

– Miał żonę i córkę? – chciałem się upewnić.

– Powiem ci... panu... – zająknął się, ale machnąłem ręką. – W każdym razie jego żona to była naprawdę piękna kobieta. Miała czarny, długi warkocz, jasną twarz z rumieńcami. Niejeden we wsi się za nią oglądał. A jakie ciasta piekła! Co tydzień przychodziła do dworku z jakimś wypiekiem dla całej służby! Ich córeczka też była śliczna. Pamiętam, jak uczyła się chodzić w sali balowej. Wciąż się przewracała, upadała na pupę

i zaśmiewała się, jakby ktoś opowiedział jej najlepszy kawał. Zanim się obejrzałem, wyrosła na piękną pannicę. A jaka wygadana była! Uwielbiała przychodzić do dworku, przyjaźniła się praktycznie z każdym z nas. Co rusz podkradała dzienniki dziedziców z gabinetu, żeby czytać o duszach. Jej ojciec zawsze się wtedy wściekał...

– Dlaczego? – zdziwiłem się.

– Bo wtedy dziedzicem był Abel, a to był kawał wrednego sukinsyna – wtrącił Gaspar. – Chyba tylko sam Roch się go nie bał. Ale facet był nieobliczalny!

Konrad pokiwał głową.

– To nie były dobre czasy dla Lawendowego Dworku – przyznał. – Kilkoro ludzi ze wsi zniknęło, zaczęły krążyć paskudne plotki. Po okolicy szwendały się podejrzane typy, ponoć sprowadzone tu przez Abła... Roch nie dawał tego po sobie poznać, ale szczerze go nienawidził. Co noc widział, jak ten pastwił się nad duszami.

– Wiem – powiedziałem. – Czytałem jego cienki dziennik. A to, co w nim zapisał... – Pokręciłem głową. – Chciałoby się na miejscu udusić go gołymi rękoma.

– O, to to! – Konrad pokiwał mi palcem. – Każdy miał wobec niego takie odczucia, ale za bardzo się bał, by to zrobić. W każdym razie Roch miał tyle pomysłów, jak zmienić cmentarz, jak lepiej radzić sobie z duszami, jak ulżyć im w ich cierpieniu...

– Roch? – Skrzywiłem się. – Mówimy o tym samym zarządcy? Tym, który teraz nie chce żadnych zmian? Który uważa, że wszystko powinno być robione dokładnie tak, jak przez ostatnie dwadzieścia lat?

– No pewnie! Kiedy był młody, miał w sobie to coś, co sprawiało wrażenie, jakby mógł przenosić góry! To był zupełnie inny człowiek.

Trudno mi było wyobrazić go sobie w takim wydaniu. Ale przecież ludzie się zmieniają. Zazwyczaj z lepszego na gorsze.

– Wszyscy z pewną ulgą przyjęliśmy wiadomość o śmierci Abła – rozkręcił się w swojej opowieści Konrad. – Kolejnym dziedzicem został jego nieślubny syn, Tobiasz. Facet był co prawda kochliwy i bardziej interesowało go zakradanie się do łóżek mężatek ze wsi niż pilnowanie cmentarza, ale i tak odetchnęliśmy z ulgą. Zarządca nie wymagał zbyt wiele od dziedzica, a ten nie mieszał się w jego sprawy...

– Chwila – odezwałem się, podsuwając ogrodnikowi kieliszki.

Z tego, co wiedziałem, Tobiasz był dziedzicem przez dziewięć lat. Później jeszcze cztery lata bezkrólewia... Coś mi się tu nie zgadzało.

– Pominąłeś, co stało się z rodziną Rocha – przypomniałem lodowatym tonem.

Konrad uciekł spojrzeniem, nie chciał poruszać tego tematu.

– Nie mówimy o tym – mruknął.

– Muszę wiedzieć – naciskałem.

– Dlaczego? – Ogrodnik posłał mi błagalne spojrzenie.

Nie mogłem ani nie chciałem zdradzać mu prawdziwego powodu. Nie miałem również zamiaru używać karty: jestem dziedzicem i ci rozkazuję.

– Proszę, po prostu mi o tym opowiedz – powiedziałem cicho. – Chcę pomóc tym duszom, a nie zrobię tego, jeśli nie poznam całej historii cmentarza osobliwości oraz Lawendowego Dworku. Może to głupie, ale sądzę, że pomogę im, jeśli najpierw pomogę zarządcy.

– Jemu nie da się już pomóc. – Gaspar pokręcił głową i wychylił kieliszek.

Nagle zrobiło się bardzo poważnie.

– Dlaczego? – naciskałem.

– Bo jego rodzina nie żyje! – wyrzucił z siebie Konrad. – Obie zginęły w najgorszy możliwy sposób!

Wiedziałem, już od wielu godzin o tym wiedziałem, tylko nie chciałem przyjąć tego do wiadomości. Miałem wrażenie, jakby coś we mnie pękło.

– Nikt nie pochował Opal – odezwałem się grobowym tonem.

Ogrodnik zmarszczył brwi, jakby się zastanawiał, czy zdążył już mi zdradzić imię córki Garłacza, ale najwyraźniej wypił za dużo, żeby o tym pamiętać.

Obaj moi towarzysze w końcu pokręcili ze smutkiem głowami.

– Kilku obwiesi napadło na ich dom – podjął Konrad. – Może byli przekonani, że zarządca zarabia mnóstwo pieniędzy. A jak nie zarabia, to na pewno podbiera złoto z krypt dusz. – Wzruszył ramionami. – Byli i tacy, którzy wysnuli teorię, że nasłał ich Abel, żeby zemścić się na swoim zarządcy.

Pokręciłem głową w niedowierzaniu. Wiedziałem, jak to musiało się skończyć, ale chciałem się upewnić.

– Zabili żonę Rocha? – zgałęm.

Konrad przymknął oczy. Wydawało mi się, że dostrzegłem w nich łzy, ale gdy tylko zamrugnął, już ich tam nie było.

– Zabili ją, a ciała małej Opal nigdy nie znaleziono – przyznał.

– Bogowie... – szepnąłem.

Nie znaleźli jej ciała, nigdy jej nie pochowali, tym samym skazując ją na wieczną tułaczkę po świecie.

– Czy ktoś... – Zająknąłem się. – Czy ktoś ją... widział od tego czasu?

Zarówno Gaspar, jak i Konrad pokręcili głowami, a ja im wierzyłem. Dlaczego zatem wybrała mnie, żeby mi się pokazać? Dlaczego nie powiedziała nikomu, co się jej przytrafiło? Dlaczego nie wskazała miejsca, gdzie mordercy porzucili jej ciało?

– Po tym, co się stało, Roch wpadł we wściekłość – odezwał się ogrodnik.

– Nikt nigdy nie widział go w takim stanie. Pochowaliśmy jego żonę, ale każdy był przerażony tym, co mogło spotkać jego córkę. Lecz w nim nadal tliła się isierka nadziei. Dzień po pogrzebie po prostu się spakował i wsiadł na konia. Daliśmy mu pieniądze na podróż, każdy tyle, ile miał przy sobie. Wiemy, że wziął też... – Mężczyzna się zawahał.

– Inne cenne rzeczy z dworku, jak kamienie ze sztyletu po Kalisteronie – uzupełniłem.

– Nie wiem, może – rzucił ugodowo, nie chcąc najwyraźniej kopać dołków pod zarządcą przy nowym dziedzicu. – Nie było go tydzień. Nikt nie wie, co robił w tym czasie. Podejrzewamy, że wyszedł tamtych drani, którzy napadli na jego dom, i... – Rozłożył ręce.

Nie musiał kończyć. Ja na miejscu Rocha bez skrupułów bym ich pozabijał. Nawet za cenę stuletniej pokuty na ziemi.

– Ale nadal nie dowiedział się niczego o Opal – zakończyłem.

– Nie, do tej pory nikt nie wie, co się stało z biedną dziewczyną. Czasem, gdy o niej myślę, lubię sobie wyobrażać, że żyje sobie gdzieś daleko i jest szczęśliwa. Dziś miałaby ze dwadzieścia pięć lat. Może nawet ma męża i dziecko. – Jego słowa brzmiały tak nierealnie, że nikt nie mógłby w nie uwierzyć.

A ja, chyba jako jedyna osoba w całym dworku, wiedziałem, że Opal nie żyje sobie szczęśliwie na końcu kraju, tylko błąka się w okolicach miejsca, w którym została brutalnie zamordowana.

Oparłem łokcie o stół i przetarłem twarz. Poczułem się taki zmęczony. Z pewną ironią pomyślałem o tym, że przecież to miał być mój wolny dzień,



podczas którego wypocznę i nabiorę sił do dalszej pracy. Zamiast tego zyskałem tylko pewność, że nad ludźmi w dworku rzeczywiście wisi fatum.

– Czy śmierć Abla miała z tym wszystkim coś wspólnego? – Zmarszczyłem brwi.

– Nie! No coś ty! – zapewnili równocześnie ogrodnik i koniuszy.

– Aha, czyli na pewno miała – stwierdziłem. – Myślicie, że to Roch...?

– Nie, on by tego nie zrobił – zapewnił Konrad.

– Nawet jeśli wyciągnął od tamtych obwiesi, że to Abel ich zatrudnił? – podpowiedziałem.

Obaj moi towarzysze wciąż kręcili głowami, jakby chcieli przekonać samych siebie, że tak się nie stało.

– Kiedy Abel zginął? – drążyłem. – Ile minęło od powrotu Rocha z jego mściwej wycieczki?

Zarówno Konrad, jak i Gaspar spuścili wzrok.

– Poleję jeszcze, taka zimna i wietrzna noc dzisiaj. – Ognik napełnił nasze kieliszki.

– Ile czasu upłynęło? – zapytałem powoli.

– Abel zginął w pierwszą noc po powrocie Rocha – przyznał cicho Konrad znad pełnego kieliszka. – Ale nie ja ci o tym powiedziałem. – Wychylił samogon i otarł usta.

– Umowa stoi. – Skinąłem głową.

Spojrzałem na moje owinięte bandażem nadgarstki. Zadrapania na nich równocześnie piekły, swędziały i bolały.

– Wiecie, co jest najgorsze w tym cmentarzu? – zagadnąłem. – Że człowiek doskonale zdaje sobie sprawę, że wiele tych dusz to za życia byli zwykli dranie, ale i tak cieszy się na myśl, że załatwiły na dobre ludzi pokroju Abla czy Kalisterona.

Wychyliłem ostatni kieliszek i wstałem od stołu.

– Dziękuję za rozmowę – rzuciłem. – Obiecuję, że nie wyjdzie ona poza tę stajnię.

Z wdzięcznością pokiwali głowami, a ja ich opuściłem i wyszedłem na lodowaty wiatr. Za paskiem wciąż miałem dziennik Morta. Biedak nawet nie wiedział, ile istnień pochłonie jeszcze ten cmentarz.

Zza chmur wyrzął na chwilę szczuplejszy niż poprzedniej nocy księżyc, oświetlając puste podwórze. Nawet psy pochowały się już w bezpiecznych legowiskach w tę pogodę. Wszedłem tylnymi drzwiami do kuchni,

przemierzyłem długi korytarz, minąłem jadalnię i salę balową, a później schodami ruszyłem na piętro.

Oczy kolejnych dziedziców zerkały na mnie z ciekawością z obrazów, kiedy szedłem do swojej sypialni.

– No i czego chcecie?! – Zatrzymałem się gwałtownie. Miałem wrażenie, że wszystkie olejne twarze są zwrócone ku mnie, a na ich ustach pojawiają się ironiczne uśmiechy. – Żaden z was nie był lepszy ode mnie!

Z hukiem zatrzaskałem za sobą drzwi. Pokój wydawał się zimny i niegościnnie. Dotknąłem kaloryferów, które nadal były lodowate. Aster i te jej głupie oszczędności.

Schowałem dziennik pod materacem łóżka. Wiem, to nie była najlepsza kryjówka, ale w tej chwili nie potrafiłem wpaść na lepszą. Stałem przed oknem i zapatrzyłem się na łąki zalane srebrzystym blaskiem. Gdzieś tam, daleko w mroku nocy, znajdował się cmentarz osobliwości hrabiego Muertona. Miejsce, które krzywdziło zarówno zmarłych, jak i żyjących.

## Rozdział 27

Chyba przez całą noc nie zmrużyłem oka. Przewracałem się z boku na bok, wciąż roztrząsając słowa Konrada, nieustannie zastanawiając się, dlaczego Opal mnie okłamała. Rano, kiedy tylko zszedłem do kuchni, zarówno Konrad, jak i Gaspar wykręcili się pracą i uciekli. Zjadłem zatem w towarzystwie Almy i Irys, które plotkowały o jakichś ludziach ze wsi, ale niewiele mnie to obchodziło.

Nie mogłem sobie znaleźć miejsca przez większość dnia. Nawet nie miałem sił zabrać się do czytania dziennika Morta.

– Dzisiaj idziesz na popołudniową wartę z Olafem – oświadczył Roch, kiedy znalazł mnie w gabinecie. – Dobrze się czujesz? – zapytał po chwili ze zmarszczonymi brwiami.

– Pewnie, dlaczego pytasz? – skłamałem.

– Jesteś bladozielony, jakbyś zobaczył duszę.

– Wszystko w porządku – zapewniłem, ciesząc się, że nie będę musiał iść na wartę z zarządcą. Już teraz było mi trudno stawić mu czoła po tym, czego się dowiedziałem.

– O ile wiem, Śmiercian nie jest jadowity, ale... – Garłacz zawiesił głos. – Jak chcesz jeszcze dziś odpocząć, to wyślę na cmentarz Normana z Olafem.

– Nie, wszystko okej. – Potrząsnąłem głową. – Źle spałem.

Roch wyszedł z gabinetu, mamrocząc pod nosem coś na temat miejskich delikutasów.

Kiedy nadeszła godzina mojej warty, zarzuciłem na plecy kurtkę i już miałem opuścić gabinet, kiedy gwałtownie się zatrzymałem. Stałem przed wielką mapą cmentarza i zmarszczyłem brwi. Było w niej coś, co

przykuło moją uwagę, ale w tej chwili nie mogłem stwierdzić, o co chodziło. Powiodłem palcem po linii oznaczającej ścieżkę dla zwiedzających. Mijała kolejne groby, zaczynając od tych łagodnych dusz, a kończąc na tych najbardziej niebezpiecznych. Wtem mój wzrok padł na datę i nieczytelny podpis w prawym rogu. Dałbym głowę, że już gdzieś go widziałem. Niestety mógłbym stać tu nawet godzinami, a nie doszedłbym do żadnych sensownych wniosków. Wzruszyłem więc ramionami i wyszedłem z gabinetu.

Jeżeli to było ważne, to w pewnej chwili samo do mnie przyjdzie. Taką przynajmniej miałem nadzieję.

Popołudniowa warta okazała się bardzo spokojna. Wszystkie dusze spały w swoich kryptach. Grób Śmierciana według Olafa został tak zabezpieczony, że nie było szans, aby dusza znów się uwolniła. Hugo nadal był przywiązany linką nasączoną moją krwią.

– Roch nigdy się do tego nie przyzna, ale spodobał mu się ten pomysł – powiedział rękodajny. – Wiesz, podwójne zabezpieczenie zawsze jest lepsze niż tylko ta ścieżka z soli.

Skinąłem głową. Zarządca nie musiał już poklepywać mnie po ramieniu i zapewniać, że dobrze się spisałem. Teraz, kiedy miałem choć odrobinę wglądu w jego przeszłość, zaczynałem lepiej go rozumieć i chyba po prostu mniej od niego wymagałem.

Godzinę później zamknęliśmy bramę i wróciliśmy do dworku.

– Wszystko w jak najlepszym porządku! – Olaf pokazał kciuk Rochowi, którego spotkaliśmy w hallu.

– Akurat! – prychnął zarządca. – Jak wszystko wygląda zbyt pięknie, to znaczy, że zaraz zacznie się walić. A ten żyje? – Wskazał mnie brodą.

Pokiwałem głową.

– Weź się idź, chłopie, wyśpij, bo wyglądasz jak dusza, która zwiła z cmentarza – polecił Garłacz. – A warta nad ranem też jest twoja.

– Masz rację, muszę się przespać – stwierdziłem i zacząłem się wspinać po schodach.

– A ten co nagle taki ugodowy? – usłyszałem jeszcze za plecami głos Rocha.

Wziąłem gorący prysznic, ale miałem wrażenie, że nic nie zdoła rozgrzać mojego ciała. Durne, niezbyt głębokie zadrapania po Śmiercianie nadal się jątrzyły. Znów spryskałem je środkiem odkażającym i owinąłem bandażem.

Jeśli do jutra nie będzie z nimi lepiej, będę musiał pokazać je Gasparowi. Może miał jakieś magiczne specyfiki na takie rany.

Położyłem się do łóżka, ale gdy tylko otworzyłem dziennik Morta, rozległo się pukanie do drzwi.

– Proszę! – rzuciłem niezbyt przyjemnym tonem, chowając notatki pod poduszkę.

– Przyniosłam podwieczorek. – Do pokoju zajrzała Irys, a mnie zrobiło się głupio, że byłem opryskliwy.

– Dziękuję – powiedziałem, kiedy postawiła talerz z dużym kawałkiem ciasta na szafce obok mojego łóżka.

– Alma ukroiła znacznie mniejszy kawałek dla pana – odezwała się dziewczyna – ale pan Konrad powiedział, że odstąpi panu swoją porcję.

– Tak? – zdziwiłem się.

– A to jest coś niezwykłego – przyznała. – Bo on uwielbia ciasto i zawsze wyjada wszystkie okruszki.

– Podziękuj mu, jak go zobaczysz – poprosiłem.

– O nie, nie zrobię tego – zaśmiała się, kierując się do drzwi. – Bo on zabronił mi o tym mówić i by się zdenerwował...

Cicho zamknęła za sobą drzwi, a ja pokręciłem głową. Nie spotkałem chyba jeszcze nikogo, kto tak nie potrafiłby utrzymać języka za zębami.

Zacząłem jeść sernik i wyciągnąłem spod poduszki dziennik, po czym otworzyłem go na stronie, którą założyłem wcześniej kwiatem przedzimki.

*Ojciec wynajął kamieniarza, który buduje krypty. Zarówno on, jak i jego pracownicy milczą, dopóki dostają sowitą wypłatę. Nikt o nic nie pyta, nikt nie zastanawia się nad moralnością czynów Glariusza Muertona. Zresztą kiedy ma się wystarczająco złota, którym można szastać na lewo i prawo, człowiek z łatwością unika niewygodnych pytań.*

*Żałuję, że matka zmarła tak wcześnie. Ona była jedyną osobą, która mogła go powstrzymać. Choć im dłużej się nad tym zastanawiam, tym bardziej utwierdzam się w przekonaniu, że nawet za jej życia ojciec już planował ten cmentarz. A park, który miał być prezentem dla ukochanej żony, okazał się kłamstwem. I chyba właśnie za to najbardziej go nienawidzę.*

14.12.1600

Na cmentarzu znalazła się nowa dusza. Ojciec nazwał ją Gargulcem. Całkiem trafne określenie. Stwór wygląda, jakby właśnie zleciał z gzymsu starego budynku. Jest cały z kamienia, co wcale nie znaczy, że jest powolny. I ma skrzydła. W pierwszej chwili byłem przerażony, kiedy go zobaczyłem. Przecież mógłby przelecieć przez mur okalający cmentarz i siał spustoszenie w Pogorzelskich. Ale ojciec zdawał się całkiem głuchy na moje rozterki.

Aż stało się. W nocy Gargulec uciekł z cmentarza i poleciał do wsi. Usiadł na dachu jednego z domów, zarywając go... Zachował widzialną postać, więc wieśniacy spróbowali go przepędzić, i wtedy wpadł w szal. Poturbował jednego mężczyznę, połamał płot, zniszczył ogródek uprawny. A mój ojciec tylko mu się przypatrywał z pobłażliwym uśmiechem na twarzy! Krzyczałem, że musimy coś zrobić, ale kazał mi czekać do rana.

Całe wieki trwało, zanim wstało słońce, a kiedy tylko pierwsze promienie padły na Gargulca, ten całkiem znieruchomiał! Zupełnie jakby stał się kamienną rzeźbą! Ojciec kazał załadować go na wóz i postawić pod dworkiem. Dziwiłem się, dlaczego nie odprowadził go na cmentarz, ale stwierdził, że Gargulec musi się nauczyć.

27.12.1600

Minęły prawie dwa tygodnie od ucieczki Gargulca z cmentarza. Przez cały ten czas stał nieruchomo pod dworkiem. Ojciec pozwolił dzieciakom ze wsi obrzucać go zgniłymi warzywami. Przykrył go śnieg, a ja patrzyłem w kamienne oczy i dałbym głowę, że tliło się w nich życie. Widziałem w nich błaganie o to, żeby go uwolnić!

5.02.1601

Ojciec wreszcie się ugiął pod moimi prośbami i kazał za dnia odstawić Gargulca na cmentarz. W nocy zaś obaj wybraliśmy się pod jego kryptę. Słyszeliśmy dochodzące z niej dźwięki jakby ocierających się o siebie kamieni, ale dusza nawet się nam nie pokazała.

Już nie będzie taki chętny do ucieczki – skwitował z zadowoleniem ojciec.

25.06.1601

*Dni mijają jeden za drugim. Gargulec zaczął wychodzić ze swojej krypty, ale nie opuszcza już cmentarza. Kara, którą wymierzył mu ojciec, musiała być dla niego zaiste bardzo bolesna.*

*Pozwoliłem, aby zarządzanie majątkiem zupełnie mnie pochłonęło. Staram się żyć w zgodzie z lokalną ludnością. Pragnę usprawnić prace na polach, wdrożyć nieco innowacji. Hawier listownie zaproponował założenie we wsi jakiejś niewielkiej fabryki czy zakładu, żeby wszyscy mogli znaleźć tu pracę, żeby napływało do nas więcej pieniędzy. Choć w ten sposób będę mógł im wynagrodzić mieszkanie w pobliżu cmentarza. A muszę wspomnieć, że nie jest łatwo.*

*Przed kilkoma dniami z cmentarza uciekła nowa dusza. Ojciec z nieznanym mi przyczyn nazwał ją Pszczelarzem. Przez kilka pierwszych nocy nie było z nim żadnych problemów, aż wydostał się poza mury i ruszył do wsi, siejąc spustoszenie. Gdzie postawił stopę, tam wszystko zajmowało się ogniem. Przez okno mojej sypialni widziałem go niczym pochodnię przemierzającą łąki. Był to zaiste przerażający widok. Nie wiedziałem, jak można go powstrzymać, ale i tak ruszyłem na pomoc mieszkańcom Pogorzelsk. Ramię w ramię gasiliśmy pożar, a mimo to spłonęły pola uprawne i kilka domów. Moc Pszczelarza osłabła dopiero nad ranem i ojciec zdołał go związać łańcuchami i zaciągnąć z powrotem na cmentarz...*

*Na zewnątrz rozległy się głosy, wyrywając mnie z lektury. Podeszedłem do okna i wyjrzałem na podjazd. Powoli zapadał zmierzch, a Roch i Samson szykowali się do pierwszej warty. Obserwowałem ich, jak oddalają się polną drogą, po czym wróciłem do łóżka.*

*Zastanowiła mnie historia o Pszczelarzu. Owszem, był niebezpieczny, ale żeby aż tak? Szczerze mówiąc, jeszcze nawet go nie widziałem, bo nie lubi opuszczać swojej krypty. Czyżby Mort przesadzał? A może z biegiem lat moce duszy osłabły?*

*Ludność zaczęła się burzyć. Mimo to za bardzo bali się Glariusza, żeby mu się przeciwstawić. Tym bardziej że ojciec pokrył wszelkie szkody powstałe podczas pożaru. Czasem aż trudno mi uwierzyć, jak pieniądze potrafią zakleić ludziom usta.*

*A najgorsze chyba jest to, że znów musiałem mu pomóc. Zabrał mnie na cmentarz i powiedział, że dla bezpieczeństwa naszych poddanych musimy*

*wymyślić sposób, jak zatrzymać Pszczelarza przy jego krypcie i jak osłabić jego moc. Nienawidzę tego, jak Glarius potrafi być przekonujący i czarujący. Za każdym razem obiecuję sobie, że nie pozwolę mu mną manipulować, a później i tak robię to, czego on sobie życzy.*

– No – odezwałem się w pustkę. – Mielicie trochę chore stosunki z tatusiem. Ale spoko, rozumiem. Diogenes, który zawsze twierdził, że mógłby być moim ojcem, chciał utopić mnie w rzece.

*Poradziłem od niechcienia, że piasek się nie pali – kontynuował Mort. A więc ojciec sprowadził z nad morza tyle ton piachu, żeby usypać całą plażę wokół krypty Pszczelarza.*

Gwizdnąłem z podziwem. Czyli to był pomysł Morta, a nie jego ojca. Może Glarius nie był aż tak inteligentny, jak wszyscy sądzili? Może nawet to ten piach wyciszył moce Pszczelarza? Już się nie dziwiłem, dlaczego zarządca pilnował, żeby absolutnie nic nie rosło na tej oszukanej plaży.

Znów zapatrzyłem się na dziennik i nagle jedna rzecz zwróciła moją uwagę. Ktoś podkreślił ołówkiem słowa: *piasek się nie pali*. Cofnąłem się o kilka stron. Tak samo były podkreślone przedzimki, kiedy Mort opisywał problemy z Rogaczem. Zastanowiło mnie to. Czy chłopak sam zaznaczał ważniejsze dla siebie fragmenty swojego dziennika? Dlaczego pisał atramentem, a podkreślenia były ołówkiem? A może...?

– Zrobił to ktoś inny? – zastanowiłem się na głos i czym prędzej wróciłem do lektury.

*Na cmentarzu jest coraz więcej dusz. Nawet nie wiem, kiedy ojciec podpisywał z nimi paktów ani kiedy je tam chował. Wiele rzeczy przede mną ukrywa, nie chce zdradzić mi swoich tajemnic.*

*Dziś na przykład przyjechał do nas malarz, który ma naszkicować wstępną mapę cmentarza. Ojciec zabrał go między groby i opowiadał o wszystkim, jakby byli na wycieczce krajoznawczej, a malarz słuchał go z entuzjazmem. Po powrocie do dworku zabrał się do tworzenia swojego dzieła...*



Poderwałem się z łóżka. Pewna myśl pojawiła się w mojej głowie. Pospiesznie schowałem dziennik pod materacem i wypadłem z pokoju. Zbiegłem ze schodów, przeskakując po dwa stopnie naraz, po czym pchnąłem drzwi gabinetu, zapaliłem światło i stanąłem przed mapą cmentarza. Pal sześć, że miała tyle lat. Że kazał ją naszkicować sam Glarius. Bardziej zainteresował mnie zamaszty podpis w prawym dolnym rogu. Przed południem zdawało mi się, że już wcześniej gdzieś go widziałem. I dopiero teraz dotarło do mnie gdzie.

– Cholera – wyrwało mi się.

Wypadłem do hallu i powiodłem bezradnie wokół wzrokiem.

– Kto się tłucze po nocy...?

Naprzeciw wyszedł mi, wciąż utykając, Norman.

– Chcą ograbić cmentarz! – wydyszałem.

– Co? Kto?

– Udają studentów fotografii! – Wbiegłem do połowy schodów i otworzyłem drzwiczki do zbrojowni. – Przygotowują się do akcji już od wielu dni!

– Ale kto? – Norman podążył za mną.

– No ci studenci! – Zacząłem zgarniać z półek broń.

– Jacy studenci?

– Fotografii!

– Chwila, Max! – Rękodajny złapał mnie za ramiona i zatrzymał w miejscu. – O co chodzi?

– Od kilku dni po okolicy kręcą się kolesie, którzy podają się za studentów fotografii! – wyrzuciłem z siebie.

– No i?

– No i na pewno chcą ograbić cmentarz!

– Ale skąd takie podejrzenia?!

– Bo to oni ukradli z dworku małą mapę cmentarza!

Norman przepuścił mnie w drzwiach. A ja, z naręczem broni, zbiegłem na dół.

– Jak to: ukradli?! – naskoczył na mnie, odzyskując rezon.

– Mieliście włamanie do dworku, jeszcze zanim tu przyjechałem, prawda?

– No mieliśmy, ale nic nie zginęło.

– Błąd! Zginęła mapa! Ale nikt jej nie oglądał już od lat i nikt się nie zorientował, że jej brakuje! – Miałem wrażenie, że jeszcze chwila, a emocje

rozsadzą mnie od środka.

– A skąd wiesz, że to oni ją mają? – zapytał podejrzliwie.

– Bo ją u nich widziałem! – Ruszyłem ku drzwiom, ale rękodajny mnie zatrzymał.

– To dlaczego wcześniej nic nie powiedziałeś? – wycedził poważnym tonem.

– Bo nie wiedziałem, że to mapa!

Wypadłem w chłodną noc.

– Kiedy napadną na cmentarz? – zapytał poważnie Norman, biegnąc za mną.

– Nie wiem! Może dziś, może jutro! Ale musimy ostrzec naszych!

– A po jaką cholere ci to? – Rękodajny wskazał naręczce broni, które dzierżyłem.

Właśnie zdałem sobie sprawę z tego, że wziąłem dwie wyszczerbione szable, włócznię i pułapkę na grubszego zwierza.

– Po żadną. – Opuściłem ręce, a broń ze zgrzytem wylądowała na ziemi. – Musimy iść na cmentarz.

– Poczekaj tu, obudzę Olafa – powiedział Norman.

– Nie mamy czasu – jęknąłem, ale rękodajny zniknął już za rogiem dworku.

Na szczęście trwało to zaledwie kilka minut. Wreszcie obaj pojawili się na podjeździe i bez słowa ruszyliśmy w stronę cmentarza. Serce waliło mi jak młotem, a dłonie były mokre od potu. Sam nie wiem, dlaczego aż tak się zdenerwowałem. Przecież nie powinno mi zależeć na tym cmentarzu. Ani na tych ludziach. A jednocześnie nie potrafiłem nic nie zrobić. Trzeba było zadbać o spokój dusz oraz o ich majątek; należało ostrzec zarządcę i przypilnować, żeby żaden idiota nie zginął rozszarpany przez dusze w krwiożerczym szale.

Wkrótce dotarliśmy do bramy cmentarza przewiązanej łańcuchem. Niezatrzaśnięta kłódka wisiała na jednym z ogniw.

– O tej porze powinni już zbliżyć się do kaplicy – odezwał się Norman, zdejmując łańcuch.

Przekroczyliśmy granicę domeny dusz, a mnie opadły wątpliwości. A jeśli się myliłem? Jeśli tylko wydawało mi się, że widziałem tę mapę u studentów? No bo kto byłby na tyle głupi, żeby włamywać się na cmentarz osobliwości?

Potrząsałem głową. Ten skrawek papieru, który zobaczyłem w barze, miał podpis identyczny z tym widniejącym na wielkiej mapie w dworku, był też opatrzony tą samą datą. To musiała być mniejsza kopia mapy. Po prostu musiała. Pytanie tylko, kiedy ci przekłęci studenci ruszą do akcji.

Nagle usłyszałem szelest. Coś śmignęło mi tuż obok ucha. Uchyliłem się, a Flora zasyczała ze złością, że jej umknąłem.

– Co się wkurzasz? – burknąłem.

Kwiaty poruszyły się lekko i zwróciły ku Normanowi.

– Wara! – zagroził rękodajny.

Dusza jednak ruszyła do ataku, jakby dobrze pamiętała, że poznała już jego krew, i znów była jej spragniona. Jeden z kwiatów rzucił się wprost na mężczyznę, ale ten odskoczył i machnął szablą, ucinając zielony pęd. Dusza cofnęła się, a my patrzyliśmy, jak pojedynczy kwiat pełnie niczym zmija ku kamieniowi, pod którym była pochowana Flora.

– Jeszcze nie jesteśmy kwita – warknął Norman.

– Łatwiej jest, jak je widzimy, co? – zaśmiał się Olaf.

– Teraz nasza robota to bajka – potwierdził jego przyjaciel.

Pokręciłem głową. Jakim wariatem trzeba być, żeby dobrowolnie wybrać sobie taką pracę? To zupełnie tak, jakby człowiek w podskokach poleciał do kasty, żeby zatrudnili go jako stracha ograbiającego cmentarze.

Pospiesznym krokiem ruszyliśmy ścieżką zarządcy. Minęliśmy wciąż uwięzane Hugona, który bulgotał ze złością. Z krzaków dobiegł nas melodyjny śpiew Bagniaaka zajętego swoimi sprawami. Jewka zabzyczała na nas z wrogością ze szczytu swojej krypty, ale chociaż raz nie ruszyła do ataku. Za drzewami rozległ się chrzęst kamieni, a my zwolniliśmy. Gargulec uważnie nas obserwował. Nie zatrzymywaliśmy się przy grobach, jak to zazwyczaj robiliśmy podczas warty, tylko wciąż parliśmy naprzód, aż dotarliśmy do samej kaplicy.

W mroku dostrzegliśmy Rocha i Samsona gawędzących z Odonem. Na nasz widok jednak sprężyli się, gotowi dosłownie na wszystko.

– Co wy tu robicie? – Zarządca z gniewnym obliczem wyszedł nam na spotkanie.

Olaf i Norman cofnęli się o krok, tak że to ja zostałem na przodzie.

– No bo... – Zająknąłem się. – Wydaje mi się, że ktoś chce okraść cmentarz – wyrzuciłem z siebie jednym tchem.

Odo warknął ze złością jak wściekły pies. Byłem pewien, że kolce na jego plecach nastroszyły się i nawet on byłby gotów zabić intruzów.

Garłacz spojrział za mnie na swoich rękodajnych.

– I wy mu wierzycie? – warknął.

– W końcu to dziedzic, nie? – odezwał się cicho Olaf.

– Mów – polecił zarządca.

W kilku słowa streściłem spotkanie ze studentami fotografii w barze.

– Naprawdę nie chcę siać paniki – zapewniłem. – Ale jestem przekonany, że mieli przy sobie mniejszą wersję mapy cmentarza.

– Wybaczcie, panowie, ale obowiązki mnie wzywają – odezwał się Odo i oddalił się w kierunku swojej krypty. – Nikt nie dobierze się do mojego złota – usłyszeliśmy jeszcze zza krzaków.

– Od jak dawna oni siedzą w miasteczku? – chciał się upewnić Roch.

– Nie wiem. – Przetarłem dłońmi twarz. – Co najmniej od tygodnia.

– Czyli nie mamy pewności, że włamią się na cmentarz dzisiaj – ocenił zarządca, a wszyscy wokół jakby odetchnęli. – Mogą to zrobić nawet za kilka dni.

Rękodajni pokiwali głowami.

– Musimy ustalić plan działania, jak do tego nie dopuścić – odezwał się Samson.

– Bo gdy tylko dusze wyczują obcą krew... – Norman zawiesił głos.

Nawet nie chciałem wiedzieć, co mogłoby się stać.

– Olaf i Samson, wy zostaniecie tu do czwartej nad ranem – postanowił zarządca. – Później Norman zmieni Samsona, a z samego rana udam się do baru wraz z dziedzicem i sprawdzimy tych studentów.

Wszyscy skinęliśmy. To brzmiało jak sensowny plan.

I właśnie wtedy ciszę cmentarza przerwał niski warkot, a tuż po nim ludzki wrzask.

– Malaria – zaklął Roch, po czym wszyscy zerwaliśmy się do biegu.

# Rozdział 28

Biegliśmy jasną ścieżką, mijając w oddali kolejne krypty, aż dotarliśmy do drugiego kręgu od strony północnej. Już z daleka dostrzegliśmy cztery stłoczone sylwetki. Gdy tylko zbliżyliśmy się do nich, studenci już chcieli się rzucić na nas z nożami.

– Stać! Idioci! – krzyknął Roch.

Na dźwięk ludzkiego głosu nieco opuścili ostrza.

– Co wy tu... – zaczął zarządca, ale wtedy w pobliskich zaroślach rozległ się basowy ryk.

– Wkurzyli Rogacza – jęknął Samson.

Wielka dusza krążyła wokół studentów, ryjąc pazurami ziemię, uderzając w nią kopytami i wydając dźwięki, jakby już szykowała się do ataku.

Nie wiem, jak to się stało, ale nagle czwórka studentów znalazła się w środku małego kręgu, który utworzyliśmy my: zarządca, rękodajni i dziedzic. Rogacz tratował wokół nas krzewy i mniejsze drzewa, a ja się zastanawiałem, dlaczego chciałem bronić własnym ciałem durnych idiotów, którzy zabawiali się w strachy. Zastanawiałem się, czy zaproponować kolegom, żeby zostawić tych baranów na pastwę dusz. W końcu co byliśmy im winni? Sami postanowili włamać się na cmentarz. Sami chcieli ograbić groby dusz. Niech teraz zmierzą się z konsekwencjami swoich czynów.

– A może... – zacząłem i właśnie wtedy Rogacz zaszarżował.

Byłem pewien, że serca wszystkich zamarły, tak samo jak moje, gdy olbrzymia dusza wyszła zza krzaków. Ujrzyliśmy wielkie poroże, prawie całkowicie obdartą ze skóry czaszkę, niemal ludzkie przednie łapy z wielkimi pazurami, częściowo oskórowane ciało broczące krwią.

I ta nienawiść malująca się w czerwonych, gorejących ślepiach. Jeszcze miesiąc temu zwałbym stąd gdzie pieprz rośnie. Jeszcze miesiąc temu nie przejmowałbym się, co stanie się ze studentami, z rękodajnymi ani nawet z zarządcą. Najważniejsze, abym ja się uratował. Właśnie takie reguły obowiązywały w świecie, w którym do niedawna żyłem.

Roch wyszedł Rogaczowi naprzeciw ze swoją siekierą.

– Odejdź! – polecił.

Bestia drapnęła łapami ziemię, zostawiając w niej głębokie bruzdy.

– Jako zarządca rozkazuję ci odejść! – wrzasnął Garłacz.

Dusza zaczęła chodzić tam i z powrotem wzdłuż jakiejś niewidzialnej granicy, jakby się zastanawiała, czy opłaca jej się zrezygnować z ofiary.

– Znamy się od lat – podjął Roch na inną nutę. – Rogacz, daj sobie spokój. Zaraz zabiorę stąd tych idiotów...

Jednak na samo wspomnienie o włamywaczach dusza dostała szału. Nie wiem, co mi odbiło. Naprawdę nie wiem. Rogacz opuścił łeb, wycelował wielkim porożem wprost w Rocha, a ja jak ostatni szaleniec zasłoniłem zarządcę własnym ciałem.

– Nie zabierzesz kolejnych! – krzyknąłem, sięgając do kieszeni.

Miałem tam całą garść przedzimek, które zbierałem za każdym razem, gdy byłem na łąkach. Sypnąłem nimi wprost na rozpędzony łeb. *To żeś dał się załatwić* – odezwał się złośliwy głos w mojej głowie, kiedy wielkie rogi znalazły się tuż przede mną.

– Max! – zawołał któryś z rękodajnych.

Na ramieniu poczułem rękę Rocha, który chyba chciał wysforować się przede mnie, ale właśnie wtedy całym cmentarzem wstrząsnęło głośne kichnięcie.

– Do wszystkich... – zaczął zarządca, ale nie skończył zdania, ponieważ Rogacz zaczął uderzać łbem w pnie drzew, a przy tym kichał, prychał i tarł przednimi łapami pysk.

W końcu wydał z siebie ryk agonii i odbiegł w gęstwinę. Zapadła cisza. Moje serce nadal waliło jak szalone, a dłonie się trzęsły.

– Co to, u licha, było?! – naskoczył na mnie Roch.

– Przed... – zacząłem, odwracając się ku niemu, ale wtedy dostrzegłem ludzką czaszkę na pajęczych nogach, która wskoczyła pomiędzy studentów i zaczęła szczekać zębami.

– Czacha! – wrzasnął Norman.

Ale było za późno. Studenci w popłochu rozbiegli się we wszystkie strony.  
– Łap ich! – krzyknął zarządca.

Pod wpływem jego nieznośnego sprzeciwu głosu zerwałem się do biegu i zacząłem gonić jednego z włamywaczy. Podobnie postąpili rękodajni. Pędziłem przez gąszcz krzaków, przeskoczyłem nad grubym korzeniem drzewa i ominąłem szerokim łukiem kryptę Śmierciana. Wkrótce przestałem słyszeć głosy pozostałych. Przed sobą widziałem tylko plecy jasnowłosego studenta.

Jak się szybko okazało, mój włamywacz miał bardzo kiepską kondycję. Wkrótce zatrzymał się, oparł plecami o kamienną ścianę i dysząc głośno, rozglądał się za kolejnymi potworami gotowymi go zaatakować.

– Mama nie mówiła, że nie wolno wchodzić na cmentarze? – zagadnąłem, podchodząc do niego.

Też dyszałem, ale nie tak bardzo jak on. Chłopak posłał mi przestraszone spojrzenie. Daję głowę, że jeszcze przed kilkoma godzinami wyobrażali sobie, jak to się wzbogacą na tym włamie, i nawet w połowie nie przypuszczali, jakie okropieństwa będą tu na nich czyhały.

– Jak chcesz żyć, to idziemy do bramy – poleciłem, wskazując ręką kierunek.

Chłopak skinął głową i już postąpił krok naprzód, kiedy wielka, tłusta, owrzodzona ręka wychyliła się zza rogu krypty i chwyciła go za szyję. Blondyn wrzasnął z przerażeniem, czując, jak grube palce zacisnęły się na jego gardle.

– Mój! – zaskrzeczała Piękna.

– Cholera – mruknąłem.

Dusza przycisnęła charczącego chłopaka do swojego zwalistego cielska.

– Puść go – poprosiłem z rezygnacją.

– Mój! – powtórzyła Piękna, obejmując go oboma ramionami, aż jego nogi zadyndały w powietrzu.

Chłopak zrobił się biały jak papier. Albo ze strachu, albo z obrzydzenia. Dusza ścisnęła go tak mocno, że aż strzeliły mu kręgi. Jęknął z bólu, oczy wyszły mu na wierzch. Jeszcze chwila, a zostałby po prostu uduszony.

Gdybym tylko zostawił go na pastwę duszy, dostałby za swoje. Bogowie mi świadkami, że mu się należało. Ale takim morderstwem Piękna przedłużyłaby swoją pokutę na ziemi. No i nie miałem pojęcia, czy jeśli

ktoś postronny zginie na cmentarzu, ja, jako dziedzic, nie zostanę pociągnięty do odpowiedzialności, a tuż za mną zarządca i rękodajni.

– Piękna – odezwałem się prosząco. – Puść go.

– Nie! – burknęła i odwróciła się, żeby odejść ze studentem pod pachą.

Chłopak chyba stracił przytomność, bo przestał się wyrywać, tylko zawisł bezwładnie w jej uścisku.

– Jak kolczyki? – zagadnąłem, klepiąc się po ubraniu i myśląc, czy mam przy sobie coś, co mógłbym jej podarować.

Piękna zatrzymała się i uniosła jedną rękę do zaropiałego ucha. Kolczyki z piórek już jakiś czas temu zawilgotniały i się posklejały.

Cholera, w kieszeni miałem tylko kawałek węgla, a to na pewno jej nie zadowoli. Cudownie, Roch i rękodajni na pewno zdążyli już wyprowadzić pozostałych włamywaczy za bramę cmentarza i tylko ja pozwolę mojemu odejść w ramionach takiej poczwary.

Właśnie wtedy przyszedł mi do głowy najbardziej dżentelmeński gest, na jaki mogłem wpaść.

– Dzisiaj zimna noc – odezwałem się, ściągając z siebie kurtkę. – Na pewno zmarzłaś.

Powoli do niej podszedłem.

Z gardła Pięknej dobył się nieartykułowany charkot. Zarzuciłem na nią swoją kurtkę, modląc się, żeby nie złapała mnie za rękę i żebym nie skończył duszony pod jej drugą pachą. Kiedy tylko poczuła na grzbiecie moją kurtkę, jej oblicze nieco się rozjaśniło.

– Wiesz, znam pewną malarkę, która jak dla mnie to ma gust – zagadnąłem. – Oczywiście nie aż taki wyszukany jak twój – dodałem szybko. – Ale jeślibyś chciała, to mógłbym podebrać jej jeden z jedwabnych szali...

Piękna się zawahała. Rozluźniła mięśnie, a uwięziony przez nią student zaczął oddychać.

– Jaki kolor lubisz najbardziej? – paplałem dalej. – Może błękitny?

Skrzywiła się.

– Nie. – Potrząsnąłem głową. – Wyglądasz mi na fankę szmaragdów. – Kąciki jej szerokich, popękanych ust pełnych strupów uniosły się w delikatnym uśmiechu. – Tak, zielony to z pewnością twój kolor – podjąłem. – To co powiesz na jedwabny szal w kolorze szmaragdu?

Piękna pokiwała głową.



– Chcę! – zaskrzeczała.

– To wypuść chłopaka – poleciłem.

– To złodziej! – oburzyła się.

– Tak – zgodziłem się. – I dopilnuję, żeby spotkała go za to należyta kara. Ale nie chcę, żebyś ty pobrudziła swoje piękne dłonie jego paskudną krwią.

Piękna się zawahała.

– Wiele rzeczy musi się zmienić na tym cmentarzu – zacząłem z innej beczki. – Na przykład to, jak cię traktują. Wszyscy uważają cię za potwora, ale ty jesteś przecież damą.

Dusza wypięła obfitą klatkę piersiową.

– I dopilnuję, żebyś tak właśnie była traktowana – obiecałem.

Piękna spojrzała z obrzydzeniem na włamywacza, po czym wypuściła go ze swoich objęć. Chłopak z głuchym łomotem wylądował na ziemi.

– Zadbam o ciebie. – Posłałem szczere spojrzenie duszy, która skinęła głową i się oddaliła.

Przypadłem do studenta i niedelikatnie poklepałem go po policzkach.

– No, wracamy do żywych – odezwałem się.

Z gardła chłopaka dobył się przeraźliwy wrzask.

– Już poszła – zapewniłem. – Ale jeśli chcesz przeżyć, trzymaj się blisko mnie.

Włamywacz, nadal siedząc na ziemi, wodził wokół nieprzytomnym spojrzeniem.

– Rozumiesz, co do ciebie mówię? – Pstryknąłem mu palcami przed nosem.

Wzdrygnął się, ale wreszcie pokiwał głową.

– Wstawaj – poleciłem, odwracając się do niego plecami.

Gdzieś w oddali załopotwały kamienne skrzydła, któryś z rękodajnych krzyknął, jakaś dusza zawyła z wściekłością. A może z radością? Z nimi to nigdy nie wiadomo.

– Idziemy. – Zerknąłem przez ramię na chłopaka i ruszyłem przed siebie.

Chciałem udawać odważnego, pokazać, że jestem specjalistą na swoim terenie, ale tak naprawdę nie miałem pojęcia, co robić. Jak odprowadzić durnego dzieciaka za bramę, gdy wokół krążyły wściekłe dusze? Bo już chyba każda istota na cmentarzu wiedziała, że doszło do włamania i że ktoś chciał pozbawić je zachowku. A najgorsze, że zdążyłem już wyczerpać limit asów w rękawie. Poznałem tajny sposób na Rogacza i na Piękną. I na

tym się kończyło. Miałem też co prawda w kieszeni kawałek węgla dla Bagniaka, ale jego grób zamierzałem ominąć szerokim łukiem.

Coś trzasnęło daleko po prawej, a student niemal wskoczył mi na plecy.

– Ogarnij się! – warknąłem, choć i ja prawie dostałem zawału.

Wróciliśmy na ścieżkę zarządcy i parliśmy naprzód, a wszędzie wokół nas rozbrzmiewały bardzo niepokojące dźwięki.

– Zaraz będziemy na zewnątrz – przekonywałem chyba bardziej siebie niż włamywacza.

Naraz tuż przed nami rozległ się trzask płomieni.

– Szlag – mruknąłem, zatrzymując się.

Z gęstwiny krzaków wyszedł Pszczelarz. Ani razu dotąd go nie widziałem, ale wiedziałem, że to on. Jego szare usta rozciągnęły się w paskudnym uśmiechu. Spojrzałem na jego niemal ludzkie ciało. Wosk topił się na nim i spływał ku ziemi. Wędrowały po nim małe płomyki. Na szczęście nie wzniecał pożarów, jak w dzienniku Morta, ale zauważyłem, że tam, gdzie stała jego stopa, ziemia pozostawała czarna i zwęglona. Cofnąłem się, wpadając na włamywacza.

Pszczelarz uśmiechnął się szerzej, a ja dałbym głowę, że na jego ciele pojawiło się jeszcze więcej ogników.

Gorączkowo myślałem, jak się stąd wydostać. Nie miałem pod ręką żadnego piachu, żeby go unieszkodliwić. O gaśnicy nawet nie śmiałybym marzyć. I właśnie wtedy przypomniałem sobie, gdzie znajduje się najbliższy zbiornik wody.

– Szlag – burknąłem, ale to mogło się udać.

Chyba miałem jedną szansę na milion. Ale przecież byłem specjalistą od takich sytuacji, prawda?

– Za mną! – wrzasnąłem, obracając się na pięcie.

Zbiegłem ze ścieżki zarządcy, nie oglądając się za siebie. Wkrótce usłyszałem tuż za sobą kroki i ciężki oddech włamywacza, a za nim trzask płomieni i syk roślin zwijających się pod dotykiem gorących stóp Pszczelarza.

Wypadłem na niewielką polankę, tuż przede mną malowała się czarna toń sadzawki. Bez wahania do niej wskoczyłem. Lodowata woda sięgnęła mi pasa, niemal wypierając powietrze z płuc. Włamywacz bez zastanowienia podążył za mną, ochlapując mnie szlamem. Obaj

odwróciliśmy się w stronę Pszczelarza, jednocześnie cofając się w coraz głębszą toń. Wściekła woskowa dusza wybiegła na polankę.

Byłem pewien, że się zatrzyma, że wymięknie i nie wejdzie do wody.

– Tu jesteśmy bezpieczni – zapewniłem.

Jakże się myliłem!

Pszczelarz bez zastanowienia, z okrutnym uśmiechem na tej paskudnej gębie wskoczył do wody za nami. Toń zasyczała w kontakcie z jego ciałem, ale dusza się nie zatrzymała, tylko dalej parła w naszą stronę.

Zaczęliśmy uciekać w panice, brnąc w szlamie po same pachy. W pewnym momencie straciłem grunt pod stopami i musiałem zacząć płynąć, a buty i ubrania ciągnęły mnie w otchłań. Bałem się, że gdzieś tam na dole jest krypta Bagniaka i jakieś podwodne wiry wciągną mnie wprost do niej. Czarna woda wleje mi się do płuc i nie będę już mógł się stamtąd wydostać. Słyszałem kiedyś, że tonący zachowuje świadomość jeszcze długo po tym, jak straci możliwość ruchu. Za groma nie chciałem tak skończyć.

– Uważaj na Bagniaka! – rzuciłem, skręcając gwałtownie, żeby tylko nie wyjść z sadzawki wprost na jego kamieniste wzory.

On chyba jako jedyna dusza na cmentarzu nie wykazywał żadnego zainteresowania włamaniem. Siedział na ziemi ze zgarbionymi wielkimi plecami i śpiewając cicho, układał kamienie.

Pszczelarz szedł za nami, a woda wokół niego syczała i bulgotała. Wszystkie płomienie na jego ciele przeszły na ramiona i głowę, przywodząc na myśl szczury na tonącym statku.

Byliśmy już przy drugim brzegu sadzawki, pod moimi stopami pojawiła się grząska ziemia, a woda znów sięgała mi do pach.

Rzuciłem spojrzenie za siebie. Pszczelarz nagle stracił grunt, gwałtownie zanurzył się po same usta. Zaczął się krztusić i niezgrabnie machać długimi rękoma. Tylko kilka płomyków ocalało na samym czubku jego głowy.

– Z wody! – krzyknąłem, wychodząc na czworakach z sadzawki.

Pomogłem włamywaczowi wygramolić się na ląd i z fascynacją patrzyłem, jak Pszczelarz tonie. Nie miałem dla niego współczucia. Jeszcze kilka minut temu pewnie zamierzał mnie spopielić. Niech się udławi tym szlamem.

Niestety dusza, wciąż wymachując rękoma w panice, dotarła do brzegu tuż przy Bagniak. Wylazła na ląd, trącając nogami kamienne wzory.

Z gardła szlamistej duszy dobył się wściekły warkot, który wkrótce przemienił się we wrzask. Bagniak pozbierał się z ziemi i z siłą popchnął Pszczelarza, aż ten poleciał na plecy, jeszcze bardziej niszcząc dzieło współwzięcia.

– W nogi! – Szarpnąłem studenta za ramię i uciekliśmy z pola bitwy.

Nie miałem najmniejszego zamiaru przekonywać się, która dusza zwycięży w tej walce. Biegliśmy przed siebie ile sił w nogach. Mokra ubrania utrudniały nam ruchy, ale nadal parliśmy naprzód, słysząc za sobą grzmiące odgłosy.

Wypadliśmy na ścieżkę zarządcy. Byliśmy już tak blisko bramy! Pozwoliłem, żeby chłopak mnie wyprzedził, i cyklicznie oglądałem się za siebie, sprawdzając, czy nic nas nie goni.

– Stój! – wrzasnąłem nagle.

Szarpnąłem go za kurtkę na plecach, aż upadł na ziemię. Tuż nad nim przeleciał pęd Flory z kąsającym kwiatem. Gdybym nic nie zrobił, piękny różowo-biały kwiat wgryzłby się w jego twarz. Pomogłem mu wstać, ominęliśmy Florę i przekroczyliśmy bramę cmentarza.

– Noc pełna wrażeń, co? – zagadnął Norman.

U jego stóp leżało ciało innego włamywacza.

– Chyba żyje – stwierdził rękodajny, kopiąc lekko bok chłopaka. – Wpadł na Hugona. Kwas zeżarł mu pół twarzy, ale poza tym jest okej.

– Aha – mruknąłem, będąc chyba w szoku.

Nagle usłyszeliśmy trzepot kamiennych skrzydeł. Nad drzewami pojawił się Gargulec, niosąc coś w szponach.

– O cholibka – wyrwało się Normanowi.

Wszyscy trzej zadarliśmy głowy, patrząc, jak Gargulec wznosi się coraz wyżej i wyżej.

– Jak Tobiasz – ocenił rękodajny.

Wtem rozległy się świst i stuknięcie. Skrzydlasta dusza się zachybotwała. Znów świst i puknięcie. Gargulec zaskrzeczał i zaczął niezdarnie bić skrzydłami powietrze, jakby wznosił się do lotu po raz pierwszy w życiu, po czym runął wprost w korony drzew.

Nawet z tej odległości słyszeliśmy trzask łamanych gałęzi.

– Jak się doczłapie do swojej krypty, to nie wyjdzie z niej przez tydzień – ocenił Norman.

Nagle na cmentarzu zapadła grobowa cisza. Zaczęliśmy nasłuchiwać nawet najmniejszego szelestu. Włamywacz poparzony przez Hugona pojękiwał cicho.

– Japa! – Norman kopnął go w bok.

Drugi włamywacz nie śmiał stanąć w obronie kolegi.

Wreszcie usłyszeliśmy kroki. Na ścieżce pojawili się Olaf i Roch, ciągnąc coś za sobą.

– Nawet się nie rusz! – Zarządca pogroził Florze palcem, a ta wycofała się w okolice swojego głazu. – Pieprzeni włamywacze! – mruknął, kiedy minęli bramę cmentarza.

Przyciągnęli kolejnego chłopaka i ułożyli go obok poparzonego kumpla.

– Gargulec trochę go połamał, ale będzie żył – zapewnił Olaf.

Zerknąłem na blondyna, którego ja przyprowadziłem. Chyba się cieszył, że dotarł tu na własnych nogach, a ja poczułem głupią satysfakcję, że jak na razie najlepiej wybrnąłem z tego przeklętego cmentarza.

– Widział ktoś Samsona? – odezwał się po chwili Roch.

Pokręciłem głową.

– Pobiegł za kolesiem w stronę krypty Żabola – powiedział Norman. – I tyle go widziałem.

– To nie powinno być źle – ocenił Olaf.

Niestety czekaliśmy i czekaliśmy, i nic się nie działo. Wszyscy zaczęliśmy nerwowo przestępować z nogi na nogę. Zarządca przeszedł ponownie przez bramę i krążył przy niej ze zmartwionym wyrazem twarzy. Z cmentarza dobiegały nas różne gniewne dźwięki: warczenie, syczenie, bulgotanie, uderzanie kopyt w ziemię, trzask łamanych gałęzi i wiele innych.

– Dobra, trzeba po niego iść – zdecydował w końcu zarządca.

Wszyscy pokiwaliliśmy głowami.

– Ty popilnujesz włamywaczy. – Wycelował we mnie palcem.

Poczułem się urażony, że kazał mi tu zostać. Nie to, żebym aż tak bardzo chciał iść na misję ratunkową, ale chyba zdążyłem się już wykazać...

– Idziemy. – Roch ruszył w stronę drzew, po czym nagle się zatrzymał.

– Wraca – sapnął z ulgą Norman.

Rozstąpili się na boki, robiąc przejście dla ostatniego rękodajnego, który niósł przerzuconego przez ramię włamywacza. Samson wyszedł poza teren

cmentarza i powiódł wzrokiem po pozostałych trzech studentach.

– Mamy przerąbane – stwierdził.

Jeszcze nie wiedziałem, co ma na myśli.

– O kurwa – jęknął Olaf.

Samson zrzucił na ziemię studenta. Zza horyzontu wystrzeliły pierwsze promienie słońca, a ja dopiero teraz spojrzałem na ciało chłopaka, któremu brakowało... głowy.

Mój włamywacz głośno puścił pawia, a ja wpatrywałem się w krwawą szyję, z której wyglądały jaśniejsze kości kręgosłupa i kawałek rdzenia kręgowego.

## Rozdział 29

– To się porobiło. – Norman podrapał się po potylicy.

W milczeniu wpatrywaliśmy się w zmasakrowane zwłoki włamywacza. I tylko blondyn nadal rzygał jak kot.

– „Porobiło”?! – wybuchł nagle Roch. – „Porobiło”, kurwa?! Przecież to jest jakaś masakra! Nie mieliśmy na cmentarzu żadnej śmierci od przeszło stu lat!

Zmarszczyłem brwi i przekrzywiłem w zastanowieniu głowę.

– Nie mówię o dziedzicach – prychnął Roch. – Chodzi o cywili.

Jedyny przytomny włamywacz przestał wymiotować, zwinął się za to w kłębek na trawie i łkał jak dziecko. Zerknąłem na niego z odrobiną współczucia. Oni wszyscy byli bandą dzieciaków, którym się wydawało, że ograbianie cmentarzy to pestka. Aż dziw, że tylko jeden zginął.

– Wracajcie do dworku – zdecydował zarządca. – I pozbierajcie tych idiotów.

– A ty? – Obejrzałem się na niego, kiedy ruszył ku bramie cmentarza.

– Muszę pomyśleć – warknął przez ramię. – I idę poszukać tej pieprzonej głowy!

Samson przerzucił sobie przez ramię zwłoki, Olaf chwycił jednego z nieprzytomnych za ramiona i zawołał do jego kolegi:

– Nie użalaj się nad sobą. Ciesz się, że ty masz łeb na miejscu. A teraz łap go za nogi, bo nie zamierzam sam go taszczyć.

Ja i Norman chwyciliśmy ostatniego włamywacza.

– Czy Roch powinien iść sam na cmentarz? – zagadnąłem rękodajnego w marszu. – To chyba nie jest bezpieczne, dopóki dusze są jeszcze wkurzone.

– To dlaczego nie spróbowałeś go zatrzymać? – zapytał Norman.

– Bo wkurzanie go w takim stanie jest chyba jeszcze bardziej niebezpieczne – odparłem.

– Zaczynasz już łapać, o co chodzi w tej robocie. – Rękodajny odwrócił się przez ramię i posłał mi słaby uśmiech.

Przez resztę drogi milczeliśmy. W tej dziwnej ciszy niby żałobna muzyka rozbrzmiewały nasze kroki i szelest deptanych traw, nasze ciężkie oddechy i pojękiwania niedoszłych ofiar dusz, łkanie blondyna, który nie umiał wziąć się w garść. Miałem też wrażenie, że słyszę krew skapującą ze zwłok. Wzdrygnąłem się na samą myśl o tym. Wiele, naprawdę wiele już widziałem w swoim życiu, ale nie coś takiego.

Kiedy dotarliśmy do dworku, okazało się, że prawie wszyscy mieszkańcy są już na nogach. Gaspar i Konrad wybiegli nam naprzeciw.

– Cholibka – wyrwało się ogrodnikowi.

– Tych dwóch zanieście do sali balowej – polecił Gaspar. – A tego – wskazał zwłoki – do piwnicy. Tam jest najchłodniej.

Na pomoc ruszyły również Aster, Alma i Irys. Choć ta ostatnia wyglądała, jakby zaraz miała się rozpląkać.

– Ten jest połamany, a tego poparzył Hugo – rzucił krótko Olaf.

Więcej nie trzeba było mówić Gasparowi. Nie wiem, jakim cudem koniuszy znalazł się na opatrywaniu ran, kiedyś będę musiał o to podpytać. Sprawnie zajął się najpierw tym poparzoną: nożyczkami pociął jego ubrania, ukazując tors i jedną rękę, na których już pojawiły się bąble, a skóra wokół nich była czerwona i pomarszczona.

– Butelka z niebieską etykietą – polecił, wskazując palcem swoją torbę.

Stałem najbliżej niej, więc sięgnąłem, o co prosił.

– Denaturat? – zdziwiłem się.

– Tylko butelka po denaturacie – odparł Gaspar, biorąc ją ode mnie. – W środku jest mieszanka mojego autorskiego przepisu, neutralizująca śluz Hugona.

– Taa – mruknął Olaf. – I testował ją na nas. – Odruchowo podrapał się po ramieniu.

Gaspar odkręcił korek i wylał niemal cały śmierdzący ziołami płyn na poparzenia. Ranny nagle poderwał się z szezlonga i zaczął wrzeszczeć, jakby obdzierali go ze skóry.

– Unieruchomcie go! – polecił koniuszy.



Razem z trzema rękodajnymi złapaliśmy chłopaka za ręce i nogi, nie pozwalając mu się tak rzucać, żeby nie zrobił sobie jeszcze większej krzywdy.

– To normalne? – zapytałem, a na moje czoło wystąpiły kropelki potu.

– To lekarstwo na pewno nie jest przyjemne – stwierdził Gaspar.

– Nie jest przyjemne?! – warknął Olaf, tak jak my siłując się z wyrywającym się włamywaczem. – To pali żywym ogniem!

– Ale pomaga! – przypomniał koniuszy.

Po kilku bardzo długich minutach pełnych wrzasków i bólu chłopak zamilkł, a jego głowa opadła. Ostrożnie z powrotem ułożyliśmy go na szeszlangu.

– Przeżyje – ocenił Gaspar i odwrócił się do kolejnego włamywacza.

Ten odzyskał przytomność i zrobił wielkie oczy. Już chciał zwiać ze stołu, na którym go położyliśmy, ale Norman go przytrzymał.

– Nie tak szybko – warknął. – Chcemy ci pomóc.

– Kaci! Zabójcy! – krzyknął chłopak. – Jak mój ojciec o wszystkim się dowie...

– Zamknij gębę i się nie ruszaj, bo o niczym się nie dowie – pogroził mu Gaspar.

Na szczęście okazało się, że oprócz złamanej ręki i nogi, które koniuszy nastawił i unieruchomił, chłopak miał jeszcze tylko kilka guzów i siniaków.

– Przygotuj dla nich coś do jedzenia i herbatę uspokajającą – zwrócił się Gaspar do Almy, która skinęła głową i pociągnęła za sobą do kuchni roztrzęsioną Irys.

– My ich popilnujemy, żeby nie przyszły im do łbów jeszcze głupsze pomysły – zaoferował Konrad. – A wy się ogarnijcie.

Spojrzałem po sobie i pozostałych rękodajnych. Moje ubrania nadal były mokre i całe w szlamie po kąpieli w sadzawce Bagniaka. Samson był umazany krwią i błotem, podobnie jak Olaf i Norman.

Bez słowa udałem się do pokoju. Ciuchy rzuciłem na podłogę, po czym wziąłem bardzo długi i gorący prysznic. Na moim ciele było mnóstwo zadrapań i niewielkich siniaków, ale i tak wyglądałem całkiem nieźle, jeśli wziąć pod uwagę to, co wydarzyło się w nocy.

Gdy tylko włożyłem czyste i ciepłe ubrania, wyszedłem na korytarz. Nie miałem najmniejszej ochoty na sen. Nie po takiej akcji.

Zszedłem do hallu i usłyszałem głosy w gabinecie. Przy stoliku kawowym siedzieli rękodajni, a Aster krążyła przed nimi z szelestem czarnej sukni.

– Udało nam się wyciągnąć tych trzech, ale tamtego dorwał Żabol – zakończył opowieść Samson.

– Bogowie przenajśłodszy – jęknęła ochmistrzyni. – Ale Żabol? Przecież on ponoć nie wychodzi ze swojej krypty!

– Ponoć – burknął Olaf.

– Nieprawda – odezwałem się, a wszystkie oczy zwróciły się ku mnie. – Czytałem w dziennikach Abla, że często wychodził...

– Też byś wylazł, jakby ktoś zrobił sobie z ciebie tarczę strzelniczą – stwierdził Norman. – W każdym razie od ponad trzynastu lat był z nim spokój, ale wkurzył się, jak ktoś się włamał na cmentarz.

– I wcale się mu nie dziwię – dodał Olaf. – Zresztą wszystkie dusze się wkurzyły. Czujecie to? Przez najbliższe dni, a może tygodnie, nasza robota to będzie jakaś masakra, zanim zapomną o tym włamaniu.

– Mniejsza z tym. – Aster machnęła ręką. – Możemy mieć znacznie gorsze kłopoty.

– Jakże? – zdziwiłem się.

– Na cmentarzu zginął chłopak. A przecież na tym polega wasza praca: żeby nikt postronny nie zginął w łapach dusz – wyjaśniła Aster.

– Bo się tam włamał! – wybuchłem. – Ci, którzy przeżyli, powinni iść za to siedzieć!

– Oby tak było – westchnął Norman. – Może jednak powinniśmy pójść po Rocha? Wbrew temu, co mu się wydaje, nie jest nieśmiertelny.

Ochmistrzyni przestała chodzić w kółko i z założonymi rękoma zatrzymała się przed oknem.

– Nie ma takiej potrzeby – powiedziała.

Drogą, kulejąc, nadchodził zarządca. Chwilę później wszedł do gabinetu i zmierzył każdego z nas po kolei wzrokiem. Sam wyglądał kiepsko. Nadal był brudny od krwi i błota, jego twarz zrobiła się nienaturalnie blada, tworząc jeszcze wyraźniejszy kontrast z czerwonymi bliznami przypominającymi liście paproci.

– I co? – Samson przerwał przedłużającą się ciszę.

– Trzeba posłać kogoś po notariusza – odparł.

– A co z głową? – zapytałem.

– Przepadła. – Pokręcił głową i usiadł na krześle.

Na korytarzu rozległo się szczekanie. Aster wyjrzała na zewnątrz i nakazała Akselowi pobiec do wsi.

– A może nie powinniśmy się do niczego przyznawać? – zastanowił się Norman. – Bo jeżeli sprawy się sypną, to będziemy mieli na karku wszystkie możliwe kontrole.

Ochmistrzyni od razu zbladła. Każdy urzędnik bez problemu odkryje jej przekręty w księgach rachunkowych.

– Pochowamy chłopaka gdzieś na terenie dworku – kontynuował Norman. – Zrobimy ściepę, żeby nie szedł w zaświaty z pustymi rękoma...

– A on dostanie pokutę na ziemi – przerwał mu Samson. – I będziemy mieli kolejną duszę błakającą się po naszych łąkach.

– No to pochowajmy go na cmentarzu. Jedna dusza w tę czy we w tę. – Wzruszył ramionami.

– A co zrobimy z pozostałą trójką? – odezwał się ponuro Roch. – Z powrotem odstawimy na cmentarz, żeby dusze zrobiły to, czego nie zdążyły, czy sami ich wykończymy?

– Nie po to ich ratowaliśmy, żeby... – Norman zawiesił głos, po czym prychnął ze złością.

– Cholera jasna! – wybuchł Samson, uderzając pięścią w dłoń.

Przez następne pół godziny dywagowaliśmy, jak powinniśmy postąpić, ale tak naprawdę nie było dobrego rozwiązania. Każde wiązało się z mniejszymi lub większymi kłopotami.

– Nie wiem, jak to działa na wsi – odezwałem się – ale jak ktoś przyłapie stracha na cmentarzu w mieście, to ten od razu idzie siedzieć.

– Tylko że ty mówisz o państwowym cmentarzu – przypomniał Samson. – A cmentarz osobliwości to zupełnie inna bajka.

Za oknem rozległ się warkot silnika samochodowego, opony zachręściły na żwirze. Aster wyszła przed dworek, żeby powitać notariusza. Chwilę później oboje weszli do gabinetu. Wachim miał na sobie co prawda służbowy strój, ale był jakiś taki wygnieciony i trochę niechlujny, jakby Aksel wyrwał go z łóżka.

– Bogowie – jęknął na nasz widok. – Mówcie, co się stało.

Wszystkie oczy zwróciły się ku zarządcy, a ten zaczął opowiadać. Mówił dość ogólnikowo, ale nie kłamał.

– Chwilę, ale dlaczego nagle znaleźliście się na cmentarzu wszyscy? – przerwał mu w pewnym momencie notariusz. – Przecież to była zwykła

warta, a o ile wiem, chodźcie najwyżej we dwóch.

– Dziedzic nas ostrzegł – odparł Roch.

Teraz wszyscy spojrzeli na mnie. Trochę się zmieszałem, ale zarządca skinął głową. Opowiedziałem więc o studentach, których poznałem w barze, o tym, że od razu wydali mi się podejrzani, ale zapomniałem o nich na kilka dni. Do czasu, aż uświadomiłem sobie, że fragment papieru, który widziałem u nich na stole, przypominał mapę cmentarza wiszącą w gabinecie.

Dalej pałeczkę znów przejął Roch i opisał, jak wyciągnęliśmy z cmentarza trzech włamywaczy, ale czwartego nie udało się uratować.

– Dobrze zrobiliście. – Na koniec notariusz pokiwał głową. – Choć może gdybyście zostawili tam wszystkich... – Zawiesił głos.

– Nesterze! – oburzyła się Aster.

– Nie, oczywiście, masz rację – zaczął się tłumaczyć. – Jedno ciało to nie cztery. Zaprowadźcie mnie do tych chłopaków, muszę z nimi porozmawiać.

Wszyscy ruszyliśmy do sali balowej, ale przed drzwiami notariusz się zatrzymał.

– Wolę to zrobić na osobności – odezwał się.

Z wielką niechęcią wycofaliśmy się z powrotem do gabinetu. Wkrótce dołączyli do nas Gaspar i Konrad, których Wachim też najwyraźniej wyrzucił z sali. Wszyscy wyglądaliśmy, jakbyśmy się czymś struli. Bładzi, niewyspani, zmęczeni. Kilka osób krążyło po wielkim pokoju, Roch stanął przed regałami, jakby studiował tytuły książek, Norman rozłożył się na kanapie, bo noga znów zaczęła go boleć. Olaf wciąż gadał o tym, co wydarzyło się w nocy, i gdybał, co innego powinniśmy byli zrobić, jakby samymi słowami mógł zmienić przeszłość.

Po jakiejś godzinie Wachim wrócił i zażyczył sobie obejrzenia zwłok. Gaspar zabrał go więc do piwnicy, ale wrócili po zaledwie kilku minutach, a notariusz był wręcz zielonkawy na twarzy.

– Muszę wrócić do wsi – powiedział. – Wykonać kilka telefonów. Wy niczym się nie martwcie. Spróbuję wszystko załatwić. Obejdzie się bez problemów. Czy stan chłopaków pozwala, żebym zabrał ich ze sobą?

– Ten poparzony raczej nie powinien się za dużo ruszać, ale jak chcesz. – Gaspar wzruszył ramionami.

– Wolę jednak zabrać go do siebie. – Nester pokiwał głową. – Zapewnię im opiekę lokalnego lekarza.

– Dobra, dam ci tylko jeszcze ten środek na kwas Hugona, jakby się okazało, że chłopak będzie go potrzebował.

Wkrótce włamywacze bardzo ochoczo zapakowali się do samochodu notariusza. Nawet nie narzekali na swoje obrażenia. I tylko ten połamany wciąż się odgrażał, jakie konsekwencje nas czekają.

– Co za rozwydrzony bachor – stwierdziłem, kiedy wraz z całą służbą staliśmy przed dworkiem, patrząc na oddalające się auto.

Nikt mi nie odpowiedział.

– Dobra, co mnie ominęło? – zapytałem. – Przecież notariusz powiedział, że wszystko załatwi.

– No właśnie – sapnął Samson.

– Wpadliśmy w gówno po same pachy – dodał Norman.

– No ale notariusz... – powtórzyłem.

– Nigdy nas nie zapewnia, że będzie dobrze – przerwała mi ochmistrzyni.

– Zawsze udaje, zawsze się sprzecza, żeby nikt nigdy się nie domyślił, że jest po naszej stronie.

– A wiesz, dlaczego zabrał tych przeklętych włamywaczy? – odezwał się Gaspar. – Żeby później nie było w żadnych papierach, że zajmował się nimi koniuszy. Woli zapewnić im opiekę licencjonowanego lekarza. A to znaczy, że spodziewa się co najmniej kontroli.

– Bogowie! – wykrzyknęła nagle Aster. – Moje księgi!

Już ruszyła po schodkach do drzwi, ale Roch złapał ją za łokieć.

– Nie zrobiliśmy nic złego – zapewnił. – Na razie nie poprawiaj nic w księgach.

– Tym bardziej że jak zaczniesz przy nich majstrować, od razu to zobaczą, uwierz mi – dodałem.

Zmarszczyła brwi.

– Zdarzyło mi się kiedyś coś podrobić – wyjaśniłem ze wzruszeniem ramion.

– A ja myślę, że wszyscy potrzebujemy porządnego śniadania – odezwała się Alma.

Pokornie niczym owieczki ruszyliśmy do kuchni, a kucharka wraz z Irys przygotowały coś do zjedzenia. Podczas posiłku rozmowa się nie kleiła, powiedzieliśmy już wszystko, co mieliśmy do powiedzenia, i teraz tylko milczeliśmy, każdy pogrążony we własnych myślach.

Gdy tylko napełniłem brzuch, opadło mnie zmęczenie.

– Zdrzemnę się u siebie – oświadczyłem, wstając z krzesła. – Obudźcie mnie, jak coś będzie się działo.

– Max.

Odwróciłem się z zaskoczeniem. Zarządca chyba po raz pierwszy zwrócił się do mnie po imieniu.

– Dzięki, że nas ostrzegłeś – powiedział, ale zdawało się, jakby te słowa z trudem przechodziły mu przez gardło. – Gdyby nie ty, ja i Samson nie zdołalibyśmy uratować aż trzech z nich. Może nawet sami skończylibyśmy zabici przez dusze.

– Nie ma sprawy. – Skinąłem mu głową. – Od tego w końcu jest dziedzic. Szkoda tylko, że nie zorientowałem się wcześniej, że ci niby-studenci planują włamanie.

– To by znacznie ułatwiło sprawę – przyznał.

Pokręciłem głową. Właśnie taki był nasz zarządca. Niby mi podziękował, ale i tak dowiedziałem się, że mogłem zrobić coś lepiej.

Zamknąłem się w pokoju i padłem na łóżko, lecz sen nie nadchodził. Przewracałem się z boku na bok; a to poduszka była za miękka, a to materac zbyt twardy. Pod kołdrą było mi zbyt gorąco, a bez niej z kolei marzłem. Gdy tylko zamykałem oczy, widziałem ciało chłopaka z oderwaną głową i krew lejącą się na trawę.

W końcu wyciągnąłem spod materaca dziennik Morta, ale tak naprawdę nie mogłem się na nim skupić. Gdy zorientowałem się, że po raz piąty czytam to samo zdanie, znów go schowałem.

Cały dworek pogrążył się w nienaturalnej ciszy. Nie słyszałem głosów służby dobiegających z dołu ani dźwięków sprzątanania. Nawet psy nie czekały. Aksel chyba zabrał je na spacer, żeby nie wchodziły nikomu w drogę. Zapatrzyłem się na sufit, zastanawiając, co porabia Dalia. Jak zwykle przegapiła całą akcję. Może znajdowała się akurat w twórczym szale? A może właśnie taki odsypiała?

Zacząłem myśleć o mieszkańcach dworku. Cóż to była za zbieranina dziwaków! Zaczynając chociażby od takiej Dalii. Zastanawiało mnie, dlaczego nikt jej jeszcze stąd nie wyrzucił. W końcu była tylko kochanką jednego z dziedziców, o ile dobrze to rozumiałem. Każdy kolejny mógł wywalić ją na bruk. Ale tego nie zrobili. Nawet Abel sadysta dał jej spokój. Chyba. A czy ja kazałbym jej się stąd wyprowadzić? Raczej nie. Może i żyła na mój koszt, ale wносиła odrobinę radości do naszego ponurego życia.

Dalej mieliśmy zarządcę z tragiczną przeszłością. Upartego, złośliwego człowieka, który nie znosi zmian. Jego rękodajni to twardzi faceci i nie mam pojęcia, skąd takich wziął. Cała trójka była odważna i do przesady lojalna. Do tego koniuszy bez koni, który zna się na medycynie. Ogrodnik, który pędzi mocny bimber i pracuje tu prawie od zawsze. Surowa kucharka z niepokornym wnukiem i naiwna, kochająca wszystkich Irys. A, no i ochmistrzyni, którą chyba żywcem wyjęli z poprzedniej epoki.

Kiedy zobaczyłem ich po raz pierwszy, od razu wydali mi się właśnie taką bandą niedopasowanych dziwaków. Ale teraz, im dłużej mieszkam w Lawendowym Dworku, tym większe zyskuję przekonanie, że są niezwykłą, zżytą i wierną rodziną. Nawet te rozszczekane burki stały się dla mnie nieodłącznym obrazkiem tego domu.

A gdzie było miejsce Maxa? Na pewno nie tutaj. Ja do nich nie pasowałem. Nie byłem taki lojalny, nie poświęciłbym dla nich życia. Owszem, uratowałem raz Rocha przed duszą owadem, no i tego włamywacza przed Pszczelarzem, ale gdybym wiedział, że muszę poświęcić swoje życie dla kogokolwiek z dworku, wycofałbym się. Taki już byłem, takim ukształtowało mnie miasto – zawsze chroń własne interesy, pomagaj innym tylko wtedy, gdy tobie się to opłaca, bo tak naprawdę, gdy wszystko zacznie się walić, sam też nie możesz na nikogo liczyć.

Wreszcie przysnąłem i spałem chyba nawet kilka godzin, bo kiedy otworzyłem oczy, słońce już dawno minęło zenit. Pod moim oknem rozległ się warkot silników. Wyjrzałem na zewnątrz i zobaczyłem aż trzy auta, w tym jedno policyjne oraz ambulans.

– Cholera – mruknąłem, wkładając buty. To nie wróżyło nic dobrego.

Zbiegłem ze schodów i natknąłem się w hallu na prawie całą służbę. Irys otworzyła drzwi i do dworku wkroczył notariusz, a za nim czterech policjantów i jeden sanitariusz.

– Pani Aster, może poczęstuje pani funkcjonariuszy i sanitariusza ciastem i kawą? – odezwał się dziwnie sztucznym głosem Wachim. – Muszę porozmawiać z dziedzicem.

Zrobiło mi się gorąco. Tym bardziej że jeden z policjantów zaczął kręcić głową i oparł dłoń o kajdanki zawieszane przy pasku.

– Proszę się nie martwić. – Notariusz uśmiechnął się do niego. – Nikt nie będzie przed panami uciekał. Zapewniam.

– Kucharka przed chwilą wyjęła z piekarnika babkę – odezwała się sztywnym tonem ochmistrzyni. – Zapraszam panów do jadalni.

Otworzyła przed nimi drzwi. Niechętnie opuścili hall, a Aster rzuciła jeszcze Rochowi spojrzenie pełne paniki.

– Możemy przejść do gabinetu? – zwrócił się do mnie Wachim.

Skinąłem głową i na sztywnych nogach ruszyłem przed siebie. Ku mojemu zdumieniu zarówno zarządca, jak i rękodajni podążyli za nami.

Samson zamknął drzwi, ale notariusz jeszcze się upewnił, czy nikt nas nie podsłuchuje.

– Panowie, mamy problem – powiedział, odwróciwszy się do nas.

– Malaria – burknął Roch.

– Wiedziałem, po prostu wiedziałem! – jęknął Olaf.

– Ten chłopak, który zginął, to był syn wysokiego urzędnika – wyrzucił z siebie Wachim. – Kiedy tylko potwierdziłem jego tożsamość, zagrzmiało jak w ulu.

– To co on, do licha ciężkiego, robił na naszym cmentarzu?! – wybuchł zarządca.

– Wiecie, jak to jest z młodością – rzucił notariusz.

– Nie, nie wiemy – odparł lodowato Garłacz. – Włamania na cmentarz podlegają surowej karze! I takiej właśnie oczekuję dla tych włamywaczy! Niech się cieszą, że wyciągnęliśmy ich żywych! Poza tym skąd w ogóle wiedzieli o naszym cmentarzu?

– Syn wysokiego urzędnika – przypomniał Wachim. – Musiał podsłyszeć to i owo w gabinecie ojca. Skrzyknął kolegów i uznali, że to będzie wspaniała zabawa. Albo nie wiem, może chcieli coś sobie udowodnić? Może ojcowie odcięli im dopływ pieniędzy i chcieli zdobyć własne? Tego jeszcze nie ustaliliśmy. Poza tym cała trójka kłamie jak najęta.

– To dopiero niespodzianka – burknął Roch.

– Twierdzą, że robili zdjęcia na łąkach – wyjaśnił notariusz.

– Nieokiełznana natura? – zapytałem z ironią.

– Rzeczywiście studiują fotografię i mają taką pracę semestralną – przyznał Wachim. – Więc to całkiem niezłe alibi. Ponoć wracali ze starej strażnicówki, którą chcieli uchwycić podczas zachodu słońca. Mijali właśnie wysoki mur, ale nie wiedzieli, co znajduje się za nim. W końcu nikt przyjezdny nie wie o cmentarzu. I usłyszeli krzyk kobiety lub dziecka,



zależy, kogo przesłuchujemy. No i postanowili jej pomóc. Wspięli się na mur...

– I nadal nie zauważyli, że to cmentarz? – wtrącił sarkastycznie Roch.

– Było ciemno, a groby nie stoją tuż pod murem, więc to brzmi sensownie – odparł notariusz. – Resztę historii znacie. Zaatakowała ich jedna z dusz, a wy ruszyliście im na pomoc.

– Czyli jesteśmy czyści? – zapytałem z nadzieją.

Wachim zacmokał cicho.

– No właśnie nie do końca – powiedział. – Bo waszym zadaniem jest pilnować, żeby nic nie wylazło poza mur ani żeby nikt nie wszedł do środka. I w tej kwestii zawaliliście sprawę.

– Wolne żarty! – wybuchłem, rozkładając ręce. – Oni kłamią, a my mamy dostać ciągi?! Przeszukajcie ich rzeczy, na pewno znajdziecie wśród nich mapę cmentarza ukradzioną z dworku!

– Już to zrobiliśmy – odparł cicho notariusz. – Mają mnóstwo klisz ze zdjęciami, notatki ze studiów, mapę okolicy, ale nic, co powiązałoby ich z cmentarzem.

W gabinecie zapadła cisza. Wachim nerwowo skubał rączkę swojej aktówki.

– Będziemy musieli wstrzymać wypłatę waszych pensji – wyrzucił z siebie.

– Co?! – Norman poderwał się z kanapy. – Nie możecie!

– Wiem, co czujesz, ale nie ma innego wyjścia.

– A skąd ja wezmę pieniądze na następny miesiąc leczenia syna?! – Rękodajny wyglądał, jakby chciał złapać notariusza za ramiona i wytrząsnąć z niego pieniądze.

– Norman, siadaj – polecił Roch.

Mężczyzna niechętnie wykonał rozkaz.

– Do tej pory zawsze płaciłeś w terminie – powiedział Wachim. – Wstawię się za tobą i odroczą ci kolejną wpłatę na jakiś czas.

Norman zrobił się tak blady, jakby zaraz miał zemdleć.

– Co jeszcze? – zapytał Roch. – Bo to na pewno nie wszystko.

Ktoś zapukał do drzwi i nie czekając na odpowiedź, wszedł do środka. To był najwyższy stopniem policjant. Wyjął zza paska kajdanki.

– Załatwił już pan wszystkie sprawy? – zwrócił się do notariusza.

– Musimy tymczasowo zatrzymać dziedzica – odezwał się Wachim, nawet na nas nie patrząc. – Tylko tymczasowo. Tylko na czas śledztwa. A jak wszystko się wyjaśni, wypuścimy go...

– Rano obiecywałeś, że wszystko załatwisz – przypomniałem mu lodowatym tonem. – Że wszystko będzie dobrze.

Facet wciąż wpatrywał się we własną aktówkę. Nawet nie miał odwagi spojrzeć mi w oczy. Zachciało mi się śmiać. Przez tyle lat unikałem policji! A robiłem przecież naprawdę niezłe przekręty. A teraz, gdy od tylu dni żyję, jak bogowie przykazali, chcą mnie aresztować! Niedoczekanie!

Zacząłem się rozglądać za drogą ucieczki. Mógłbym odepchnąć policjanta i wybiec przez drzwi, ale w hallu na pewno natknąłbym się na jego kolegów. Uznałem, że pozostaje okno. Bo na pewno nie dam się zamknąć.

– To była moja warta. – Roch wyszedł przede mną. – I to ja odpowiadam za to, co stało się wtedy na cmentarzu.

Wyciągnął dłonie w stronę policjanta, ale ten się zawahał.

– Mnie masz aresztować! – wrzasnął zarządca, aż funkcjonariusz podskoczył.

– Roch, nie... – Olaf spróbował go powstrzymać.

– Spokojnie, chłopcy – zapewnił Garłacz, kiedy policjant skuwał jego nadgarstki. – Wróć, zanim się obejrzycie.

– Potrzebujemy cię – odezwał się Samson.

– Nie. – Roch pokręcił głową. – Bardziej potrzebujecie dziedzica.

Policjant wyprowadził skutego zarządcę z gabinetu, a my wszyscy szliśmy tuż za nimi. W hallu czekali pozostali funkcjonariusze.

– Zaprowadzę was do ciała – odezwał się do nich notariusz.

Razem z sanitariuszem poszli do piwnicy. Zapakowali zwłoki na specjalne nosze, a później do karetki.

Rocha zamknęli w radiowozie. Nikt z nas nic nie mówił. Wszystkie twarze mieszkańców dworku były stężałe z obaw. Przecież to Roch spajał wszystkich, on dbał o ich bezpieczeństwo i znał cmentarz jak nikt inny. Jakim cudem ktoś mógłby go zastąpić? Tym bardziej teraz, kiedy dusze wstaną wraz z zachodem słońca, nadal wściekłe, że ktoś chciał je ograbić?

Tym razem notariusz już nie zapewniał, że wszystko będzie dobrze. Nie miał odwagi kłamać. Nadal nie patrząc nam w oczy, wsiadł do tego swojego zielonego samochodu, wycofał i odjechał w stronę wsi. Tuż za nim podążyła karetka i na końcu radiowóz z naszym zarządcą.

Patrzyliśmy za nimi, aż kurz opadł na drodze.

– Mamy przerąbane – odezwał się Samson.

– Ale to tak, jak jeszcze nigdy – dodał Olaf.

Norman nic nie powiedział. Wiedziałem, że właśnie zamartwiał się o los swojego chorego syna. Obejrzałem się na dworek. Jeśli wstrzymają nam wypłaty, co będziemy jeść? Czym ogrzejemy się zimą? Może to najwyższa pora, żeby zwinąć manatki i uciec stąd nocą? Może nic nie zyskałem, może nie wzbogaciłem się tak, jak miałem nadzieję. Ale chociaż doszedłem do siebie, zaleczyłem dawne rany, nie raz napełniłem brzuch i się wyspałem. Porzucę dworek i całe to przeklęte dziedzicowanie. Poradzą sobie beze mnie. W końcu radzili sobie przez tyle lat.

A ja zapadnę się pod ziemię i już nikt nigdy nie usłyszy o Maximusie Opoce, dziedzicu Lawendowego Dworku.

# Rozdział 30

Wszyscy rozeszli się gdzieś w swoich sprawach. Alma mruknęła, że musi gotować obiad, ochmistrzyńni stwierdziła, że ma mnóstwo na głowie, a Gaspar i Konrad ruszyli ogarnąć piwnicę.

– Muszę się napić – oświadczył Olaf. – Idziecie?

Rękodajni bez słowa ruszyli za nim.

– A ty? – Samson obejrzał się na mnie. – Chodź z nami.

Zawahałem się. To był ważny moment. Właśnie zaprosili mnie do swojego grona, zaczęli traktować jak jednego z nich.

– Muszę coś jeszcze zrobić i zaraz przyjdę – odparłem i skierowałem się do swojego pokoju.

Pospiesznie odszukałem torbę i zacząłem pakować do niej ubrania. Dwie pary wygodnych spodni, trzy ciepłe bluzy, czystą bieliznę i kilka koszulek. Do tego sportowe buty. Chociaż o tyle się wzbogacę. Zawsze to lepiej niż te prawie dwa tygodnie temu, kiedy opuszczałem miasto ranny i w brudnych ciuchach.

Kiedy torba była już pełna, wsunąłem ją pod łóżko. Po chwili zastanowienia wyciągnąłem spod materaca dziennik Morta i schowałem go do szufladki w szafce przy łóżku. Na pewno go znajdą, a w nim wiele przydatnych wskazówek. Poradzą sobie beze mnie znacznie lepiej niż ze mną.

Odszukałem w garderobie kolejną kurtkę, niestety ciut za dużą na mnie, zarzuciłem ją na plecy i wyszedłem przed dworek. Chciałem posiedzieć z rękodajnymi i poudawać, że jestem jednym z nich, że właśnie przy nich jest moje miejsce. Ot, takie pożegnanie z mojej strony. Mogłem oczywiście iść korytarzem do budynku dla służby, ale zapragnąłem po raz ostatni za

dnia spojrzeć na łąki otaczające dworek. Wciągnąć w płuca haust powietrza przesiąkniętego zapachem przedzimek. Wspiąłem się na najbliższy pagórek i pozwoliłem, aby otoczył mnie lekki wiatr. Zamknąłem oczy i wsłuchałem się w delikatny szum, w oddali wybrzmiewały cicho wietrzne organy. Uniosłem powieki i rozejrzałem się wokół. Właściwie to mógłbym przywyknąć do tych przestrzeni.

Nagle dostrzegłem w oddali różową sukienkę i czarne włosy powiewające na wietrze.

– Musiałaś teraz wyjść, co? – mruknąłem z ironią.

Nie mogłem, po prostu nie mogłem wrócić do dworku, żeby pić biber z rękodajnymi. Najpierw musiałem pożegnać się z Opal i dowiedzieć się prawdy.

Bez wahania ruszyłem przez łąki, wciąż idąc w stronę dziewczynki, która jak zwykle zbierała kwiatki na wianek.

– Dzień dobry! – przywitała się radośnie na mój widok.

– Wiesz, co stało się dziś na cmentarzu? – zapytałem bez ogródek.

Ze smutkiem pokiwała głową.

– Dlaczego ludzie tak bardzo pragną złota? – zapytała gorzko. – Dlaczego chcą zaryzykować dla niego swoje cenne życie?

– Nie wiem. – Pokręciłem głową.

– Przecież nic nie jest cenniejsze niż życie.

– A wieczne życie? – rzuciłem.

Wzruszyła ramionami, jakby ono się dla niej nie liczyło. Zresztą trudno jej się dziwić, że miała takie podejście, skoro od tak dawna błąkała się po ziemi bez wstępu do zaświatów.

– Ile masz lat? – wypaliłem nagle.

– Przecież już ci mówiłam: dwanaście.

Zawahałem się. A co, jeśli nie zdawała sobie sprawy z tego, że nie żyła? Jeśli od lat trwała w jakimś dziwnym zawieszeniu, wkręcając sobie, że ojciec z nią nie rozmawia, bo pokłócił się z matką? Jeśli co noc wraca do swojej zrujnowanej chaty, kładzie się na swoim zapleśniałym, złamanym łóżku i śni o tym, że żyje? Każdego dnia zaś wychodzi na łąki i plecie wianki, żeby zabić czas. Nie była jak inne dusze na cmentarzu, ona nie miała żadnych grzechów na sumieniu, nie zamieniła się w potwora i gdyby została pochowana, od razu zostałaby przyjęta w zaświatach. Jej domeną był dzień, bo udawała, że nadal żyje. A jednocześnie tak bardzo była

spragniona ludzkiego towarzystwa, że co dzień szukała mnie, miejskiego cwaniaczka, który nie nadawał się na dziedzica, żeby usłyszeć chociaż skrawki tego, co działo się we dworku. Żeby dowiedzieć się, czy jej ojciec nadal żyje...

Bogowie, jak mi było szkoda tego dziecka!

– A... – zawahałem się – od jak dawna masz już te dwanaście lat? – zapytałem ostrożnie.

Opal spuściła wzrok. Jej palce sprawnie zaplatały wianek. Wiatr czesał jej lśniące czarne włosy. Na policzkach pojawiły się rumieńce. Wcale nie wyglądała na kogoś, kto nie żyje.

– Od trzynastu lat – odparła cicho.

W pewnym sensie odetchnąłem z ulgą. Czyli wiedziała...

– Co się stało? – zapytałem najbardziej miękko, jak umiałem.

Opal pociągnęła nosem.

– Nie wiem – odparła.

– Jak to?

– Pewnego dnia, kiedy byłem na łąkach i plotłem wianki... – Głos jej się załamał.

– Ktoś napadł na twoją mamę? – odpowiedziałem łagodnie.

Pokiwała głową.

– Pobili ją. Ale tak bardzo... – Po jej porcelanowych policzkach spłynęły łzy. – Wszędzie była jej krew. Nie umiałam jej pomóc. A ona tylko uściśnęła moją dłoń, jakby się cieszyła, że mnie nic nie jest. Obiecałam jej, że sprowadzę pomoc. – Pociągnęła nosem. – Biegłam ile sił w nogach, ale wiedziałam, że życie uchodzi z mamy z każdym coraz słabszym oddechem. Może powinnam była z nią zostać? Może nie powinnam jej opuszczać? – Podniosła na mnie orzechowe oczy przepełnione bólem.

– Dobrze zrobiłaś – zapewniłem, przytulając ją do siebie. Przycisnąłem jej głowę do mojej klatki piersiowej, czując, jak jej małe, zimne ciało drży.

– Ale jej nie uratowałam – zapłakała.

– Mama cię kochała...

Opal wybuchła płaczem. Takim prawdziwym i tłumionym od lat. Bogowie, ile musiało przejść to dziecko? Nie oddalając się od siebie, usiedliśmy na trawie, a ja wciąż tuliłem ją do siebie.

– Co stało się później? – zapytałem, kiedy nieco się uspokoiła.

– Nie wiem. – Wzruszyła ramionami.

– Jak to: nie wiesz?

– Obudziłam się koło mojego domu – odparła. – Już nie żyłam, a dom był pusty. Mamy też w nim nie było. Za to wszystko było poprzewracane i poniszczone.

– Czy dopadli cię ci sami ludzie, którzy skrzywdzili twoją mamę?

– Nie mam pojęcia. – Pokręciła głową. – Ostatnie, co pamiętam, to to, że wybiegłam z domu po pomoc.

– A wiesz, gdzie jest... – zająknąłem się. – Gdzie jest twoje...

– Ciało? – dokończyła. – Nie mam pojęcia. Przez pierwsze dni nawet nie wiedziałam, że mi go brakuje, że jestem tylko duszą błakającą się po ziemi.

Otarłem łzy z jej policzków i założyłem kosmyk włosów za ucho.

– A powiedziałaś o tym tacie?

Opal potrząsnęła głową, a włosy znów opadły na jej twarz.

– Tylko raz, ale to był błąd.

– Dlaczego tak sądzisz? – Ująłem ją za brodę i podniosłem jej twarz.

– Bo tata... on... – Usta Opal znów zaczęły drżeć. A ja ponownie ją przytuliłem i trwaliśmy tak na tyle długo, aż doszła do siebie.

Odchrząknęła i zapatrzyła się na trawy falujące na wietrze.

– Wyglądają jak morze, prawda? – zapytała.

Pokiwałem głową, choć sam nigdy morza nie widziałem na oczy.

– Raz, chyba ze dwa tygodnie po mojej śmierci, zobaczyłam tatę, jak okrążał cmentarz – odezwała się. – Postanowiłam mu się wtedy pokazać, bo do tej pory byłam niewidzialna dla wszystkich. Wiesz, że z czasem nauczyłam się, jak nad tym panować? – zagadnęła. – Ty mnie teraz widzisz, ale jakby przyszedł tu na przykład jakiś rękodajny, toby pomyślał, że siedzisz tu sam. Chyba że byłby na łzach, wiesz, tych błękitnych, które zbierają na cmentarzu, to wtedy ujrzałby zaledwie mój cień.

Pokiwałem głową. A więc ten jeden raz, kiedy natknęliśmy się na Irys, młoda służąca rzeczywiście nie zobaczyła Opal.

– I co powiedział twój tata, jak cię zobaczył?

– Zaczął płakać – przyznała. – Wybrałam tamten dzień, bo po raz pierwszy od dawna jego oczy nie błyszczały błękitem łez. Myślę, że po śmierci mamy i mojej zaczął je brać nawet wtedy, kiedy ich nie potrzebował.

– To nie twoja wina – zapewniłem.

- Moja - westchnęła. - Powiedziałam mu, co się stało, że chciałam uratować mamę. A on zapewniał, że wszystko będzie dobrze, że będzie teraz mnie strzegł, że nic mi się nie stanie. On... - Dziewczynka otarła łzy. - On nie wiedział, że nie żyję, a kiedy mu o tym powiedziałam, wpadł w rozpacz. Nie chciał mi uwierzyć... To mu pokazałam, jak znikam... Chciałam od razu pojawić się z powrotem, ale jeszcze nie potrafiłam tak dobrze tego robić, a on zaczął krzyczeć, wołać moje imię... Wybiegł na najwyższe wzgórze, zaczął szukać w kieszeniach tej papierošnicy, w której trzyma łzy, rozszalała się straszna burza...

Pogłodziłem ją po włosach, chcąc dodać jej otuchy.

- I wtedy piorun trafił tatę i prawie go zabił - dokończyła. - Na szczęście w pobliżu był jeden z rękodajnych. Zabrał go do domu i sprowadził lekarza. Widziałam wszystko, bo zaglądałam do dworku przez okna.

- Uznałaś, że twój tata nie powinien wiedzieć, że nie żyjesz - powiedziałem, a ona pokiwała głową. - Gdyby mógł cię pochować, jakoś pogodziłby się z utratą córki, jak pogodził się ze śmiercią żony. Ale ty nie wiesz, co stało się z twoim ciałem, i dlatego mu się nie pokazujesz?

- Przez ostate łnia lata, kiedy nie było dziedzica, a tata i rękodajni musieli brać łzy, bardzo uważałam, żeby mnie nie dostrzegli. - Wzruszyła ramionami ze smutkiem. - I zawsze, kiedy widzę tatę, jak idzie na cmentarz, to wyobrażam sobie, że myśli, że obie z mamą żyjemy - odparła. - Źe tylko się pokłócili i ze sobą nie rozmawiają. Ale wie, że jestešmy bezpieczne i nic nam nie grozi, a jak tylko przejdzie mu złość, to do nas przyjdzie i znów będziemy szczęśliwą rodziną. I nie będzie musiał o nic się obwiniać.

Dyskretnie przetarłem oczy. Jeśli kiedykolwiek myślałem, że moje życie było ciężkie, to nie mogłem być bardziej w błędzie. Opał, zaledwie dwunastoletnia dziewczynka obwiniająca się o śmierć mamy, postanowiła samotnie nieść ciężar własnej śmierci, wiedząc, że już zawsze będzie musiała tułać się po ziemi i nigdy nie trafi do raju.

- Mogę ci jakoś pomóc? - zapytałem łamiącym się głosem.

- Zadbaj o tatę - poprosiła. - Pilnuj, żeby dobrze się odżywiał, żeby jadł zdrowe śniadania i żeby żadna dusza na cmentarzu go nie skrzywdziła. Zrób to dla mnie, dobrze?

Pokiwałem głową, nie mogąc dobyć z siebie głosu.



– Bo wiesz, że one również są nieszczęśliwe? – zagadnęła. – One tak bardzo chciałyby odejść, ale nie mogą, bo są związane paktami. Wszystkie żałują swoich grzechów. Nawet Rogacz, który był... on był zły. Zabijał ludzi.

– Wiem. – Skinąłem głową.

– On też żałuje tego, kim był – zapewniła. – To on powiedział mi kiedyś, że jest uczulony na przedzimki. Ale że czasem nie może przewyciężyć w sobie tej wściekłości. Nie chce nikogo atakować, tylko to jest silniejsze od niego. I wiesz, on obiecał mi, że nie skrzywdzi taty. Tak samo inne dusze, choć jak będą bardzo złe, to mogą się nie powstrzymać. One chyba mnie lubią.

– Bo trudno cię nie lubić – przyznałem.

Teraz już wiedziałem, dlaczego Roch był tak długo zarządcą. Na pewno przyczyniły się do tego jego różne zdolności, ale tak po prawdzie, to jego zmarła córka zapewniła mu bezpieczeństwo.

– Obiecuję, że zajmę się twoim tatą – powiedziałem, uderzając pięścią w klatkę piersiową. – Przypilnuję, żeby jadł zdrowe śniadania i żeby dusze go nie wykończyły.

Opal spojrzała na mnie z nieśmiałym uśmiechem na ustach i nadzieją w oczach.

– Dziękuję! – Ponownie rzuciła mi się w ramiona.

A ja tuliłem jej drobne, zimne ciało, nie mając pojęcia, jak dotrzymać słowa, kiedy jej ojciec wylądował w więzieniu.

Nie wiem, jak długo siedzieliśmy przytuleni do siebie. Ja, zwykły oszust, i ona, martwa dziewczyna. Wkrótce słońce skryło się za drzewami, a do mnie dotarło, jak zmarznięty byłem.

– Powinieneś już wracać – odezwała się, kiedy wstrząsnął mną dreszcz. – Zaraz będzie ciemno.

– Ty też idź do swojego domu – odparłem. – Jeśli chcesz, jutro mogę ci tam przynieść nowe koce i ubrania.

– Nie trzeba. – Uśmiechnęła się.

Ale ja i tak postanowiłem, że podaruję jej nie tylko koce, ale też całe mnóstwo lalek i innych rzeczy, których potrzebują dziewczynki w jej wieku.

Przytuliłem ją mocno, mając wrażenie, że ona tak samo jak ja łaknie dotyku drugiego człowieka.

– Widzimy się jutro – obiecałem.

– Jak zawsze – odparła. – Bo jeszcze nie zdradziłam ci sposobu na następną duszę.

– Jutro powiesz mi dwa – zastrzegłem.

Patrzyłem, jak odchodzi w dół zbocza z wiankiem przedzimek na głowie. Nie wiem, może chciałem się upewnić, że bezpiecznie dotrze do swojego domu, ale przecież nikt ani nic już nie mogło jej skrzywdzić. Ona nie żyła.

Wróciłem do dworku i od razu skierowałem się do budynku służby. Musiałem zobaczyć się z rękodajnymi.

– Gdzie byłeś?! – zapytała Aster, jak tylko wszedłem do sieni, nie wiedząc, dokąd iść dalej.

– Ja... – Rozłożyłem ręce. Przecież jej nie powiem, że rozmawiałem z martwą córką zarządcy. – Ja musiałem... – I gdzie ta moja przeklęta zdolność do kłamania jak z nut?! – Nie mogłem...

– Dobrze, rozumiem. – Pokiwała głową.

– Gdzie są rękodajni?

– Poszli na cmentarz – odparła.

– Beze mnie?! – Odwróciłem się i szarpnąłem klamkę, ale ochmistrzyni mnie zatrzymała.

– Nie zamierzają wchodzić na jego teren – powiedziała. – Nie tej nocy, kiedy dusze są jeszcze wściekłe, a z nimi nie ma Rocha. Będą do rana patrolować mury, żeby nic nie wyszło ani nikt nie wszedł.

Spojrzałem na nią bezradnie, nie wiedząc, co robić.

– Idź odpocząć – poradziła. – Jeśli coś będzie się działo, obudzimy cię.

Wlokąc się noga za nogą, dotarłem do mojego pokoju. Co miałem teraz począć? Naobiecowałem temu dzieciakowi nie wiadomo czego i nie potrafiłem dotrzymać słowa.

Spojrzałem na szafkę nocną, w której ukryłem dziennik Morta. Odnalazłem coś, czego nikt nie mógł odszukać przez dwieście lat. Powinienem poradzić sobie z jeszcze jedną rzeczą.

Wymaszerowałem z pokoju i posłałem pełne wyższości spojrzenie obrazowi Kalisterona. *Jestem lepszy niż ty* – chciałem mu powiedzieć. Na korytarzu wpadłem na Dalię.

– Co się stało? – zagadnęła. – Gdzie są wszyscy? Całą noc i dzień pracowałam. A teraz zdaje się, jakby każdy zapadł się pod ziemię.

Położyłem dłonie na jej ramionach.

– Wszystko będzie dobrze – zapewniłem, po czym ją wyminąłem.

– Max! – zawołała za mną.

– Pogadamy jutro! Teraz mam ważną sprawę do załatwienia!

Zatrzymałem się w połowie schodów, wpadłem do zbrojowni i szybko namierzyłem to, czego będę potrzebował.

Wypadłem z dworku, zapiąłem kurtkę i ruszyłem biegiem ciemną drogą w stronę wsi. Choćby nie wiem co, wyciągnę Rocha z więzienia. No i kiedy już odejdę, będzie im znacznie łatwiej z zarządcą.

Do Pogorzelsk dotarłem, dysząc jak lokomotywa, ale nie zwoleń kroku do czasu, aż stanąłem pod budynkiem notariusza. Na parterze znajdowało się jego biuro, daję jednak głowę, że na piętrze miał mieszkanie. Nacisnąłem dzwonek.

Nic się nie wydarzyło.

Znów nacisnąłem dzwonek. I jeszcze raz. A kiedy nikt mi nie odpowiedział, zacząłem walić pięścią do drzwi. Na piętrze zapaliło się światło. Zobaczyłem kobiecą twarz w oknie, ale schowała się ze strachem. Czyżby Wachim miał żonę? Trochę mnie to zdziwiło. Facet nie wyglądał na takiego, którego interesuje płeć piękna. Z drugiej strony notariusz był łakomym kąskiem dla niejednej z pań.

Nie przestawałem walić do drzwi, nawet wtedy gdy usłyszałem za nimi kroki.

– Kto tam? – odezwał się stłumionym głosem Wachim.

– To ja! Otwieraj! – poleciłem.

Za drzwiami usłyszałem szepty.

– Porozmawiamy jutro – odparł Wachim.

– Nie – powiedziałem twardo. – Porozmawiamy teraz. I jeśli nie chcesz mi otworzyć, to sam sobie otworzę, mam nawet łom!

Znów szepty, wreszcie drzwi uchylły się odrobinę. Zobaczyłem w nich bladą twarz notariusza. Bez zastanowienia pchnąłem drzwi i wparowałem do środka.

– Bo wezwę policję! – pisnęła jego żona w szlafroku.

– To nie będzie potrzebne – zapewniłem i machnąłem lekko łomem.

– Zwariowałeś! – jęknął Wachim.

– O nie, do szaleństwa to mi jeszcze daleko – powiedziałem. – Ubieraj się.

– Nie. – Skrzyżował ramiona na piersi.

– Dobra, jeśli wolisz iść w tej pięknej piżamie, to spoko. – Wzruszyłem ramionami. – Ale miej na uwadze, że wpadniemy jeszcze po lokalnego

komendanta czy kto tam inny dowodzi tu policją.

Pani Wachim zaczęła wachlować się dłonią, jakby zaraz miała zemdleć.

– Niech się pani nie martwi – powiedziałem. – Pożyczę męża tylko na jakąś godzinkę czy dwie. No już! Ubieraj się! – huknąłem do niego.

– Pójdę po twój służbowy strój – odezwała się kobieta.

– Może być nawet dres, byleby szybko! – poleciłem.

Notariusz był gotów w kilka minut. Posłałem jego żonie czarujący uśmiech.

– I niech pani nie dzwoni na policję – rzuciłem. – Jak już mówiłem, właśnie tam się wybieramy.

Złapałem Wachima za łokieć i wyprowadziłem na ulicę.

– Dokąd teraz? – zapytał ponuro.

– No przecież mówię, że na policję! Dlaczego nikt mnie nie słucha?! – Wkurzyłem się.

Ruszyliśmy brukowaną ulicą.

– Po co cała ta szopka? – burknął w pewnej chwili.

– Żadna szopka – odparłem.

– Roch kazał ci to zrobić? Odwaliło staremu z wiekiem?

Posłałem mu takie spojrzenie, że się zamknął.

– Nie obrażaj przy mnie Rocha – warknąłem.

Nie wiem, jak zarządca zdobył lojalność służby i rękodajnych. Moją zdobył nie on, ale jego córka, i bogowie mi świadkami, że dopilnuję, żeby facet dostał na śniadanie jajka, chleb z twarogiem i co tam innego jeszcze zdrowego znajdę w kuchni.

Po kilku minutach dotarliśmy do domu tutejszego komendanta.

– Dzwon – poleciłem.

– Ja go nie będę budził w środku nocy. – Wachim skrzyżował ręce na piersi.

– Jak chcesz – burknąłem i zacząłem walić do drzwi.

I tu czekało na mnie zaskoczenie, bo za moimi plecami rozległy się kroki.

– Czego chcecie? – usłyszałem warknięcie.

Obróciłem się i ujrzałem wycelowaną w moją pierś kuszę.

– Idealnie – stwierdziłem. – Potrzebujemy pana asysty.

Komendant, trochę podstarzały, ale nadal w formie, posłał pytające spojrzenie notariuszowi.

– To jest nasz dziedzic – wyjaśnił Wachim. – Zapewne jeszcze nie mieliście okazji się spotkać. Maximus Opoka. Kilian Lit.

Komendant skinął głową i odrobinę opuścił kuszę.

– To dokąd idziemy? – zapytał.

– Do knajpy – odparłem z szerokim uśmiechem.

Aż dziw, że facet do mnie nie strzelił.

# Rozdział 31

– Do baru wchodzą: dziedzic, notariusz i komendant – usłyszeliśmy na powitanie. – To dopiero będzie kawał. Normalnie boki zrywać.

Wachim rozejrzał się po przybytku, jakby był tu po raz pierwszy. Lit z kolei podszedł do lady, a barman od razu podał mu pełny kufel.

– Czego potrzebujecie, panowie? – zagadnął Kasar.

Komendant, chyba bardziej zaciekawiony niż wkurzony całą tą sytuacją, wykonał w moją stronę zapraszający gest.

– Chcemy zobaczyć pokój, w którym zatrzymali się ci... – Odchrząknąłem. – Studenci fotografii.

Sumiaste wąsy barmana się poruszyły.

– Do tego to chyba jednak potrzebujemy nakazu – wtrącił Wachim. Położył dłonie na ladzie, ale chyba było tam coś rozlane, bo od razu cofnął je z obrzydzeniem.

– Chłopaki miały opłacony pokój do przedwczoraj – oświadczył Kasar. – A więc na dobrą sprawę oni już nie decydują, czy mogę was tam wpuścić.

– Zatem decyzja należy do właściciela przybytku – powiedziałem, nie spuszczać wzroku z barmana, który w zamyśleniu pokiwał głową. – Wiesz, że zamknęli Rocha?

– Wiem – odparł, a ja zacząłem się gorączkowo zastanawiać, czy ludzie we wsi w ogóle lubili mojego zarządcę. – Nawet kumplowi ze szkolnej ławki nie przepuścisz, co? – zagadnął komendanta Kasar.

– To nie nasza robota. – Ten rozłożył ręce. – Przysłali po niego chłopaków z miasta. – Upił solidny łyk piwa. – Ja tam bym Rochowi dał spokój i na pewno nie chciałbym trzymać go u siebie w celi. Z nim to same problemy by były.

– Chodźcie, pokażę wam ten pokój – zdecydował barman. – Ale wiecie, że wszystkie rzeczy tych studentów już zabrali? Przyjechali panowie w czarnych garniturach i nie pytali o pozwolenie. – Zacmokał z niezadowoleniem, po czym rozejrzał się po sali. – Edwin! – zawołał. – Stań za barem. Możesz nalać sobie dwa piwa na mój koszt.

Rudy syn marynarza wstał od stolika z takim zapałem, że prawie stracił równowagę. Kiedy nas mijał, podał mi rękę, notariuszowi skinął głową, a komendanta zupełnie zignorował.

– Szybko zdobywasz kolegów – odezwał się Lit, kiedy szliśmy wąskimi schodami na piętro.

– Ja? – zdziwiłem się.

– Edwin mało kogo lubi i co najmniej raz w miesiącu siedzi u nas na dołku za burdy – wyjaśnił.

– Bo ja mam takie serdeczne usposobienie – zapewniłem, a notariusz prychnął pod nosem.

Zatrzymaliśmy się przed obdrapanymi drzwiami. Barman wyciągnął z kieszeni klucz i przekręcił go w zamku.

– Zapraszam, panowie. – Przepuścił nas w progu.

Pierwszy wszedłem do pokoju i zacząłem się rozglądać. Stały tu dwa piętrowe łóżka, teraz schludnie zaścielone, mały stolik z czterema krzesłami, wielka szafa ubraniowa i skrzynia pod oknem. W kącie znajdowały się jakieś szpargały należące do barmana. I tyle. Zdawało się, jakby studentów nigdy tu nie było.

– Możemy się pospieszyć? – odezwał się notariusz. – Moja żona niepokoi się, kiedy po zmroku nie ma mnie w domu.

Wyglądał, jakby jednocześnie był znudzony i poirytowany. A ja za groma nie wiedziałem, czy to taka sama gra, jaką prowadził z mieszkańcami dworku, i tylko udawał, czy rzeczywiście zaraz się porządnie wkurzy.

– Czego szukamy? – zainteresował się Lit, opierając się o ścianę. W dłoni nadal trzymał prawie pełen kufel. – Tajemnej skrytki? Skarbu? A nie, zapomniałem, że włam przecież się nie udał.

– Tajemnej skrytki – potwierdziłem.

Komendant uśmiechnął się, przeszedł nonszalanckim krokiem przez pokój i rozsiadł się na krześle.

– Będzie zabawa – ocenił.

Wyciągnąłem zza paska łom.

– Tylko ostrzegam, że za wszelkie szkody odpowiada dziedzic. – Barman pomachał w powietrzu palcem wskazującym.

– Tak, tak, dopisz to do mojego rachunku – rzuciłem, po czym zmroziłem wzrokiem Wachima, żeby nie wygadał, że wstrzymali nam pensje.

Zacząłem rozglądać się po pokoju. Studenci nie wzięli mapy ze sobą na cmentarz. Znaleźlibyśmy ją przy nich. A więc musieli ją gdzieś tu ukryć. No, chyba że była w ich torbach, panowie w garniturach ją znaleźli, a teraz usiłowali zatuszować sprawę, zwalając całą winę na zarządcę.

Potrząsnąłem głową. Nie, raczej nie trzymali czegoś takiego na wierzchu. Daję głowę, że barman zaglądał do ich pokoju podczas ich nieobecności. Na pewno ją ukryli. Ale to musiało być jakieś poręczne miejsce, tak żeby w każdej chwili mogli ją wyciągnąć.

Przeszedłem się tam i z powrotem po pokoju, sprawdzając deski. Żadna nie skrzypiała. Zdarłem z podłogi dywan, szukając skrytki. Zajrzałem do szafy i skrzyni, ale nie miały podwójnego dna. Przyjrzałem się belkom stropowym, nie sądziłem jednak, żeby studenci byli tak sprytni jak Mort. Sprawdziłem materace na łóżkach i parapet. Ostukałem całe ściany do wtóru znudzonego wzdychania notariusza. Komendant opróżnił swój kufel i pomachał nim w stronę barmana, który poszedł go napełnić. Miałem wrażenie, że ta dwójka bawi się znacznie lepiej niż ja.

Nie wiem, ile czasu minęło, ale sprawdziłem dosłownie każdy kąt w pokoju, a robiłem to naprawdę dokładnie. Przecież wiedziałem, jak działa umysł w takich przypadkach. Znałem na pamięć wszystkie skrytki, w których ludzie chowali łzy. Nie wierzyłem, że studenci ukryliby mapę gdzieś na zewnątrz, nie zakopaliby jej pod ziemią. A może zostawili ją pod cmentarzem? W takim razie wartujący dziś w nocy rękodajni powinni ją znaleźć. Tylko to nie obciąży włamywaczy, a będzie wyglądało, jakby ludzie Rocha sami tam tę mapę podrzucili.

– Czy możemy już iść? – zapytał Wachim.

Mapa zaginęła albo znaleźli ją kolesie w garniturach. A ja nigdy nie wyciągnę Rocha z więzienia. Jak niby mam o tym powiedzieć jego córce?

– To musi gdzieś tu być! – wybuchłem, aż notariusz i barman podskoczyli.

– A czego tak naprawdę szukamy? – zapytał Wachim.

Spojrzałem na niego spod zmarszczonych brwi. Był takim idiotą czy tak dobrze udawał? Idiota... Zastanowiłem się, patrząc na malutki stolik, na



którym komendant postawił kufel. Przecież ci studenci byli idiotami! Nie mogli zmieścić się ze swoimi papierami tutaj, na tym małym stoliku, więc schodzili do baru i tam je rozkładali! Przy tylu ludziach! Byli tak dyskretni, że nawet ja, przyszedłszy tu tylko na chwilę, zauważyłem, jak oglądali mapę cmentarza!

– Czy oni chodzili dokądś jeszcze? – zwróciłem się do barmana, opartego bokiem o futrynę drzwi.

– Całymi dniami się gdzieś szlajali – odparł.

Potrząsnąłem głową.

– Mam na myśli ten budynek – powiedziałem. – Czy siedzieli tylko tu i w barze niżej, czy gdzieś jeszcze?

Nie mogłem oderwać wzroku od tych poruszających się wąsów.

– Chodzi ci o ciemnię? – zapytał barman.

– Ciemnię? – powtórzyłem, mrugając powiekami.

– No, ciemnię. Poprosili o klucz na poddasze, żeby tam zrobić sobie ciemnię do wywoływania zdjęć.

– Tak! Zaprowadź nas tam! – Niewiele brakowało, a uściskałbym go z radości.

– A panowie w garniturach tam byli? – zapytał komendant, wstając z piwem od stolika.

– Nie. – Kasar potrząsnął głową.

– A dlaczego? – drążył Lit.

– Bo nie zapytali uprzejmie. – Barman posłał mu złośliwy uśmiešek.

Na poddaszu było ciemno, że oko wykol. Razem z notariuszem i komendantem stłoczyliśmy się przy drzwiach, a Kasar ruszył do przodu, objając się o najróżniejsze przedmioty, aż dotarł do żarówki wiszącej pod sufitem na środku pomieszczenia. Kliknęło cicho, kiedy pociągnął włącznik, i światło zalało poddasze.

Lit zagwizdał z uznaniem.

– Czyli w przerwie od planowania włamu jednak robili tę pracę semestralną – uznał Wachim.

Na jednej ścianie, przypięte małymi klamerkami do sznurków, wisiały zdjęcia okolicy. Przedstawiały stare, powyginane drzewa, stado czarnych ptaków zrywających się do lotu nad łąkami, kilka ujęć przedzimek z bliska, były tam też wielki jelen pasący się na szczycie wzgórza i oczywiście stara wieża strażnicza z drzewem wyrastającym z jej dachu

o zachodzie słońca. Znalazło się nawet kilka fotografii dworku i kręcących się wokół niego ludzi, co jak dla mnie było trochę niepokojące.

– Cmentarz też uwiecznili. – Barman stuknął palcem w zdjęcia wysokiego muru.

– Ale to jeszcze żaden dowód – oznajmił komendant.

– Max! – Notariusz klasnął w dłonie. – Do roboty! – Wskazał stół zawalony jakimiś papierami.

Wzięłem do ręki notes i otworzyłem na losowej stronie.

– „Warta o szesnastej” – przeczytałem. – „Zarządca i rękodajny. Warta nocna pierwsza: dziedzic i zarządca. Warta nocna druga: dwóch rękodajnych”. To chyba już można nazwać dowodem? – Rzuciłem notes komendantowi.

Lit z zadowoleniem pokiwał głową.

Rozsunąłem resztę papierów i zeszytów, a moim oczom ukazała się mapa cmentarza. Dokładna, tylko mniejsza kopia mapy wiszącej w gablocie w gabinecie.

– A to zwinęli z mojego dworku – powiedziałem.

– Nie dotykaj! – odezwał się gwałtownie notariusz. – Nie chcemy przecież, żeby były tam twoje odciski palców.

– Ano nie chcemy – przytaknąłem z radością, cofając się o krok.

Komendant dopił piwo i klepnął się w uda.

– Panie Wachim, myślę, że może pan spokojnie wracać do żony – odezwał się. – A pan Opoka do dworku. Panie Kasar, proszę zamknąć poddasze na klucz i nie wpuszczać tu nikogo.

– Ale mógłbym je wynająć, a jak będzie stało zamknięte... – zaczął jójczyć barman.

– Proszę dopisać to do rachunku dziedzica – odezwał się notariusz. – Jak dostanie swoją pensję, to wszystko ureguluje.

Z zapalem pokiwałem głową.

– I pod żadnym pozorem proszę nie wpuszczać do baru panów w garniturach – zaznaczył komendant.

– A jak będą chcieli zamówić piwo? – zapytał ze smutkiem w głosie barman, jakby całe miliony kryptowalut właśnie uciekały mu sprzed nosa.

– To proszę posadzić ich w barowym ogródku i podać im najgorszego sikacza. I niech absolutnie nikt nie dotyka tutaj niczego. Całe poddasze jest pełne dowodów zbrodni.

– A notes? – zapytałem, patrząc, jak komendant chowa go do kieszeni na piersi.

– Lektura do poduszki. – Lit poklepał go lekko. – I małe zabezpieczenie. Tak na wszelki wypadek.

Pokiwałem głową. Chyba mogłem mu ufać. Z oczywistych powodów do tej pory unikałem wszelkich przedstawicieli prawa, ale coś czułem, że ten facet był w porządku.

Zeszliśmy na parter. Edwin leżał nieprzytomny za barem, a jakiś starszy facet nalewał piwo innym i starannie odliczał za nie gotówkę.

– Trochę słaby ten twój barman – rzuciłem, patrząc na chrapiącego rudzielca.

– Edwin? – zdziwił się Kasar. – On miał tylko się porządnie napić i nie wszczynać bójek. Dzięki. – Skinął głową staruszkowi, rzucił mu jedną monetę, a resztę schował do kasy.

Razem z notariuszem i komendantem wyszedłem na ulicę. Latarnia nad naszymi głowami zatrzeszczała i zgasła. Czarny kot przebiegł po chodniku, wspiął się na sąsiedni płot i zniknął w ciemnym ogródku. Noc była chłodna i rześka, w powietrzu wisiała zapowiedź zimy.

– To był bardzo ciekawy wieczór – odezwał się Lit.

– Z samego rana wykonam kilka telefonów – obiecał Wachim. – Tym razem już się nie wykręcą.

Z wdzięcznością pokiwałem głową.

– Gratuluję sprytu. – Komendant wyjął z kieszeni papierosa i go odpalił. Przez kilka sekund patrzyłem na jaśniejący żar.

– Słucham? – zdziwiłem się.

– Gdyby pan poszedł do baru w pojedynek – pokiwał do siebie głową – cóż, sam barman byłby kiepskim świadkiem. Ale z oświadczeniem notariusza i lokalnego komendanta to wszyscy muszą się już liczyć. Choć przyznaję, że mogło to być dość ryzykowne. Mogliśmy nie znaleźć nic.

– E tam, jakie ryzykowne. – Machnąłem ręką. – Gdybym budził was na próżno, po prostu postawiłbym wam piwo.

– Przypominam, że ma pan zamrożoną pensję – odezwał się Wachim.

– Ale Kasar nadal o tym nie wie. – Posłałem mu najbardziej szelmowski uśmiech, na jaki było mnie stać.

Komendant wziął papierosa w dwa palce i wydmuchał dym.

– W końcu mamy takiego dziedzica, na jakiego zasługuje cmentarz – powiedział, po czym znów wsunął papierosa w usta. – Dobrej nocy, panowie. – Skinął nam głową i odszedł powolnym krokiem.

– Czy to wystarczy, żeby uwolnić Rocha? – zapytałem.

– Tak, na pewno wystarczy – potwierdził notariusz. – Choć sama sprawa może się ciągnąć tygodniami. Tak to bywa, gdy ktoś z bogaczy popełni przestępstwo i nie można zamieść sprawy pod dywan – dodał gorzkim tonem.

Skinąłem głową. Zawsze myślałem, że notariusze są ponad wszystkim. Że nie obchodzą ich sprawy maluczkich. A jednak się myliłem. Nawet wśród nich można odnaleźć człowieka.

– Czy mogę uspokoić moją ochmistrzynię i zapewnić ją, że nie musi palić ksiąg rachunkowych?

– Niech bogowie uchronią ją przed taką głupotą! – Wachim wzniosł oczy ku czarnemu niebu. – Przecież nie macie nic do ukrycia. Ja sam mogę poświadczyć, że wydatki na dworek i cmentarz znacznie przewyższają to, co dostajecie.

– Dzięki. – Schowałem ręce do kieszeni.

– Tylko proszę dopilnować, żeby podczas najbliższych nocy nie było żadnych problemów na cmentarzu.

– Jasna sprawa. – Zasalutowałem mu. – Już zadbam o ten cmentarz.

Nikt nie miał pojęcia, jakiego asa w rękawie miałem na te wszystkie dusze.

– Zatem dobranoc. – Notariusz skinął mi głową i również odszedł. – Znalazłem diament w błocie – powiedział jeszcze cicho do siebie.

Zostałem sam pod barem. Ciepłe światło wylewało się przez okna na brukowaną ulicę. Nie mam pojęcia, jakim cudem udało mi się oszukać ich wszystkich. Uwierzyli we mnie, jakbym był ich zbawieniem. To był chyba przekręt mojego życia.

## Rozdział 32

– Gdzieś ty był tyle czasu?! – naskoczyła na mnie Aster, gdy tylko przekroczyłem próg dworku.

– Słucham? – zdziwiłem się.

– Martwiliśmy się! – dodała Alma, wyglądając z sali balowej. – Bogowie jedni wiedzą, co się z panem działo! A na cmentarzu istny koniec świata!

– Nawet ja nie mogę skupić się na sztuce! – dodała Dalia, która siedziała na schodach niczym kolorowy motyl.

– Coś się stało chłopakom? – zapytałem ze strachem.

– Na szczęście nie. Ale Hugo prawie uciekł, już musieli ściągać go z muru – wyjaśniła Aster. – Śmiercian dostawał szału, ale dzięki bogom się nie uwolnił. Gargulec zaatakował Samsona, a koło Flory nie można było nawet przejść... – Zdawało się, że jej wyliczanka mogłaby trwać w nieskończoność.

– Przecież mieli nie wchodzić na cmentarz – przerwałem jej.

– Trzeba było odprowadzić Hugona do krypty. Nawet Cyntia rzuciła się na Olafa, a...

– Czy ktoś ucierpiał? – powtórzyłem pytanie.

Przestała mówić i przez ułamek sekundy wpatrywała się we mnie z otwartymi ustami.

– Nie – odparła w końcu.

– Gdzie rękodajni?

– Poszli spać, są wykończeni po tej nocy.

Zerknąłem przez okno na szarzejący świat. Była jeszcze noc, kiedy rozstałem się z komendantem i notariuszem. Chciałem od razu wrócić do

dworku i pomóc rękodajnym na cmentarzu, ale jakoś tak zacząłem włóczyć się po łąkach.

– A gdzie pan się szlajał? – zapytała Alma.

– Załatwiałem bardzo ważne sprawy – odparłem z uśmiechem. – Niech pani przygotuje jakiś zdrowy i pełen witamin obiad dla naszego zarządcy.

– Nie wierzę! – sapnęła kucharka.

– Jestem dziedzicem, muszę dbać o moich ludzi – zapewniłem, po czym puściłem do niej oko.

Całe przedpołudnie spałem, podobnie zresztą jak wykończeni rękodajni. Kiedy tylko spotkaliśmy się w kuchni na obiad, wypytałem ich, co działo się na cmentarzu, i okazało się, że ochmistrzyni nie przesadzała. Było kiepsko, dusze nadal się wściekały, że ktoś usiłował je ograbić, i na wszelkie możliwe sposoby dawały upust swojej złości: albo usiłowały uciec, albo rzucały się na wszystko, co się ruszało, albo też próbowały wyżyć się na bogom ducha winnych rękodajnych. Ja z kolei skromnie się pochwaliłem, że załatwiłem sprawę zarządcy. Niestety godziny mijały jedna za drugą, a nic się nie działo.

Dopiero wieczorem przyjechał do nas notariusz. Sam.

– Co się dzieje? – zapytałem od razu. – Gdzie Roch?

Wachim uciekł spojrzeniem w bok.

– Robią nam problemy – mruknął.

– Kto?!

– Wiesz, jak to jest z urzędnikami – odparł.

– Nie, nie wiem. I jeżeli zaraz na progu dworku nie stanie mój zarządca, to nie podaruję! Ściągnę z łóżek nawet najwyższych urzędników i zaciągnę ich za pysk na poddasze baru, niech sami zobaczą, co planowali ich niewinni studenci!

Wiedziałem, że stoi za mną prawie cała służba dworku. Poczułem się jak ostatni oszust. Obiecałem im, że wydostanę Rocha zza kratki, a tu nagle okazuje się, że tak naprawdę gównem załatwiłem.

– Ten chłopak stracił głowę! – Nie wytrzymał notariusz. – Jego matka jest w rozpaczy! Jak ma pochować go bez głowy? To nie takie proste!

– Normalnie. I niech się cieszy, że ma kogo pochować – powiedziałem lodowatym tonem. – Niektórym nawet to nie było dane.

Nie wiem, czy to mój ton, czy to, co powiedziałem, wywarło takie wrażenie na Wachimie, ale facet pokręcił ze znużeniem głową.

– Możemy przejść do gabinetu? – poprosił.

Zaprowadziłem go tam, a za nami ruszyli rękodajni i ochmistrzyni.

Notariusz opadł na kanapę, jakby był bardzo zmęczony. Może nie powinienem był na niego wrzeszczeć? Facet wyglądał, jakby od naszego rozstania pod barem nie zmrużył oka.

– Da się jeszcze odzyskać tę głowę? – zapytał zrezygnowanym głosem.

– Nie ma szans. – Samson pokręcił głową. – No, chyba że ktoś chciałby rozkroić na pół Żabola i przekonać się, czy znajdzie ją w jego brzuchu.

– Ja wiem, że to wszystko może być prawdziwą tragedią dla rodziny tego chłopaka – zacząłem łagodniej – ale już udowodniliśmy, że oni znaleźli się tam nie przypadkiem. Że celowo chcieli ograbić cmentarz. A za coś takiego powinna spotkać ich kara.

– A nas nagroda, że wyciągnęliśmy aż trzech z nich – burknął Olaf.

– Przecież wiecie, że macie moje poparcie – westchnął Wachim. – Problem polega na tym, że władze zaczęły się zastanawiać, czy nie zamknąć cmentarza.

– Przecież on jest zamknięty. – Norman podrapał się po gęstej, czarnej brodzie.

– Ludzkość nie zna żadnego sposobu, jak... – Notariusz rozłożył ręce. – Jak pozbyć się takich dusz. Ale ktoś rzucił pomysł, że jeśli odbiorą im... – zawahał się – ich zachówek, już nikogo nie będzie kusiło, żeby się tam włamywać.

Aster wydała z siebie stłumiony okrzyk. Norman uderzył pięściami w stół.

– Nie! – zawołał Olaf. – Nie godzi się!

– Nikt nie odbierze duszom ich złota – warknął Samson. – To jest jedyne, co im zostało. Wiele z nich może już nigdy nie ujrzy zaświatów...

– Dlatego nie potrzebują grobowych pieniędzy – dokończył Wachim. – Panowie... i pani – skinął Aster głową – wiecie, że również uważam to za barbarzyństwo, ale wysoko ustawionym ludziom od lat przeszkadzały cmentarze osobliwości. Każdy chciałby dobrać się do ich pieniędzy. I tylko czekali na taki wypadek.

– Glarius podpisał z duszami pakty krwi – odezwałem się cicho. – Tego nie podważy nikt. Nawet sam król.

– A gdzie są te pakty? – Notariusz posłał mi zmęczone spojrzenie.

– Cholera jasna! – wybuchłem.

– Zagięły po śmierci samego Glariususa i nikt, nawet jego syn, nie był w stanie ich odnaleźć – powiedział Wachim. – A jeżeli nie ma paktów...

– Bogaci czują się bezkarni – dokończyłem.

Notariusz pokiwał głową.

– Ile mamy czasu? – zapytałem.

– Słucham? – Zwrócił ku mnie nierozumiejące oblicze. Jego blada cera kontrastowała z sinymi workami pod oczami.

– Ile mamy czasu na znalezienie paktów, zanim wjadą buldożerami na mój cmentarz, żeby rozwalić krypty dusz, które zostały oszukane przez Glariususa, a będą ograbione przez bogaczy?

– A czy to ważne? – Wzruszył ramionami.

– Znajdę te pakty – oświadczyłem, sam dziwiąc się własnej głupocie.

– One przepadły – przypomniał Wachim.

– Znalazłem dziennik Morta, znajdę i pakty – oświadczyłem.

W gabinecie zapadła cisza. Z chwilą, gdy wypowiedziałem te słowa, pożałowałem ich. To miał być mój as w rękawie. A może ostateczna rozgrywka nastąpiła właśnie teraz i właśnie teraz musiałem wyłożyć karty na stół?

– Znalazłeś dziennik Morta? – zapytał notariusz grobowym tonem.

Skinąłem głową.

– Niemożliwe! – Aster oparła dłonie o biodra.

– Kiedy? – zapytał Olaf.

– Gdzie? – wtrącił Samson.

– Dlaczego nic nam o tym nie powiedziałaś? – dodał Norman.

– W sali balowej przedwczoraj – odparłem. – Sam jeszcze nie zdążyłem go przeczytać. – Wzruszyłem ramionami. – Chciałem wam o tym powiedzieć, ale trochę później, jak się upewnię, że to naprawdę dziennik Morta, a nie, dajmy na to, jakiś dziwny żart ze strony Kalisterona.

Moi ludzie zdawali się nie do końca przekonani takim tłumaczeniem.

– Dlaczego nam o tym nie powiedziałaś? – powtórzył z wyrzutem Norman.

– Bo nie było okazji, bo sam chciałem go najpierw przeczytać, bo to ja go znalazłem! – Ich pełne zawodu spojrzenia zaczęły doprowadzać mnie do szału.

Nawyobrażali sobie nie wiadomo czego o nowym dziedzicu. Że ocali ich wszystkich, że góry będzie przenosił! A ja byłem zwykłym cwaniaczkiem



z miasta!

– Co jeszcze przed nami ukrywasz? – rzuciła oschle Aster.

– I co ja mam wam powiedzieć?! – Wyrzuciłem ręce w górę i zacząłem krążyć po pokoju.

– To z dziennika wiedziałeś, że Rogacz nie cierpi przedzimek? – zapytał Olaf. – Co jeszcze tam wyczytałeś? Może masz jakiś sposób na Żabola i mogliśmy uniknąć śmierci tamtego chłopaka?

Te oskarżenia wbijały się w moje ciało jak szpile.

– Nic więcej z niego nie wyczytałem! – wybuchłem. – A o przedzimkach wiem od Opal!

Na ich twarzach odmalowało się niezrozumienie.

– Tak, to kolejna rzecz, którą przed wszystkimi ukryłem! Opal, córka zarządcy, zginęła trzynaście lat temu! Nie żyje sobie szczęśliwie z gromadką dzieci gdzieś na końcu kraju! Ona została zamordowana i nie ma pojęcia, co stało się z jej ciałem! Od trzynastu lat błąka się po łąkach, obserwując dworek i własnego ojca, ale boi się mu pokazać, żeby nie sprawić mu cierpienia!

Zamilkłem, oddychając gniewnie.

– Co, nie wiedzieliście o tym? – zapytałem złośliwie. – A może nie chcieliście o tym myśleć? Woleliście okłamywać samych siebie, że na pewno jest dobrze, że jest kolorowo! I wicie, komu pokazała się Opal po tylu latach samotności? Mnie! – Uderzyłem się pięścią w klatkę piersiową. – Pokazała się mnie i kazała mi dbać o jej ojca! Prosiła, żebym dopilnował, żeby jadł zdrowe śniadania! – Z rezygnacją osunąłem się na fotel. – A ja nawet z więzienia nie potrafię go wyciągnąć – zakończyłem cicho.

W gabinecie znów zapanowała cisza. Nikt nie śmiał spojrzeć mi w twarz. Miałem wrażenie, że się wstydzi. Wstydzi się, że Opal, samotna, martwa dziewczyna, wybrała właśnie mnie – kogoś obcego – na powiernika. Żaden rękodajny nie odmówiłby jej pomocy, ale każdy od razu wygadałby o tym jej ojcu i nikt nie potrafiłby jej pomóc, a sam zarządca postradałby zmysły z rozpaczy.

Notariusz niespodziewanie odchrząknął i z trzaskiem zapiął swoją aktówkę (nawet nie wiem, kiedy ani po co ją otworzył).

– Co robisz? – zapytałem.

– Jestem notariuszem – odparł. – Może i pochodzę ze wsi, ale bogowie mi świadkami, że tak zatrzęsnę błogim i bezpiecznym światem bogaczy, że od

razu wypuszczą Rocha na wolność.

Jeszcze nigdy nie widziałem go tak zdecydowanego i nastawionego na zwycięstwo. Pewnym krokiem skierował się do drzwi i położył dłoń na klamce.

– Poczekaj – odezwała się Aster. – Jak go wyciągniesz, a wierzę, że dasz radę... Musimy ustalić, co mu powiemy. – Spojrzała pytająco na mnie.

– Nic – odparłem. – Opal sobie tego nie życzy. Najpierw rozwiążmy kwestię zaginionych paktów, a później zastanowimy się, co zrobić z dziewczynką.

– Znalezienie samych paktów graniczy z cudem – wtrącił Norman. – Ale znalezienie ciała dziewczynki, która zmarła trzynaście lat temu, to jest coś niemożliwego. Nawet ty tego nie dokonasz.

Ze smutkiem pokiwałem głową. Wiedziałem, że sprawa Opal jest przegrana. Że dziewczynka nigdy nie zobaczy już zaświatów. Ale może chociaż uda mi się doprowadzić do pojednania jej z ojcem. Może Roch pogodzi się z tym, co ją spotkało, i...

– Zatem ustalone – odezwał się Wachim. – Nikt nie wspomina o tym, co zdradziłeś nam na temat córki zarządcy. Ale ten dziennik...

– Taa, jak tylko go przeczytam, to udostępnię go innym – zapewniłem.

Kiedy notariusz wyszedł, odwróciłem się do rękodajnych i ochmistrzyni, gotów na dalsze wyrzuty.

– Co ty tu jeszcze robisz? – zapytała zamiast tego Aster.

– Słucham? – zdziwiłem się.

– Nie wiem, gdzie ukryłeś ten notes, ale marsz go czytać – powiedziała ostrym, tak naturalnym dla niej głosem. – Irys przyniesie ci kawę, całe wiadro kawy, jak będzie trzeba. W każdym razie masz się streścić, bo jest kolejka do lektury.

– Już mnie nie ma. – Odwróciłem się na pięcie i poszedłem wprost do mojego pokoju.

Pod łóżkiem nadal leżała torba pełna ubrań, ale machnąłem na nią ręką. Nie zamierzałem tracić czasu na rozpakowywanie jej. A zresztą dobrze było mieć kilka ciuchów spakowanych na jakąś nieoczekiwaną sytuację.

Sięgnąłem dziennik i do wieczora przeczytałem wszystko. Poznałem historię kilku następnych dusz. Dowiedziałem się na przykład, że Odo zamordował swojego najlepszego przyjaciela i jako dusza wygląda tak samo jak on. Oczywiście poza tymi larwami w broczących ropą ranach na

plecach. Przeczytałem też, że Hugo był bokserem, który popadł w nałóg i brał łyż. Utwierdziłem się w przekonaniu, że krew dziedzica ma wielką moc, choć na razie nie byłem pewien, jak ją wykorzystać, poza skrapianiem ziemi cmentarnej i robieniem lin, żeby związać dusze.

Gdy tylko zapadł zmierzch i usłyszałem rękodajnych szykujących się do warty, dołączyłem do nich. Przed wyjściem jednak dałem jeszcze dziennik Dalii i poprosiłem ją, żeby go skopiowała.

– To jest dziennik Morta... – zacząłem.

– Wiem – przerwała mi.

Zmarszczyłem brwi. Przecież nie było jej w gabinecie, kiedy rozmawialiśmy z notariuszem.

– Dziwne są te stare rury i przewody kominowe – powiedziała, zerkając na ozdobną kratkę wentylacyjną w ścianie. – Głos niesie się po starych ścianach...

Pokręciłem głową z niedowierzaniem. Artystka czasem wpadała w twórczy szal, zapominając o całym świecie. Ale najwyraźniej czasem siedziała sobie pod taką kratką w swoim pokoju i podsłuchiwała rozmowy z gabinetu.

– Jest zbyt cenny, żeby coś się stało z oryginałem – rzuciłem tylko.

Pokiwała głową i przytuliła dziennik do piersi.

Tej nocy nie wchodziliśmy na cmentarz. Dusze nadal były wściekłe. Wartowaliśmy wzdłuż muru, słysząc ich zawodzenie, warkot i tupot na suchej ziemi. Gargulec wylądował na wysokiej gałęzi nad murem i skrzeczał na nas ze złością.

– Dlaczego on po prostu nie odleci? – zapytał Olaf, wpatrując się w mięśnie wyrzeźbione w kamieniu i w długie pazury na stopach zaciśniętych na drewnie. Wielkie skrzydła były rozprostowane, jakby w każdej chwili gotowe unieść dusze w dal.

– Kolejna sztuczka Glariususa – przyznałem. – Za dnia poza cmentarzem zmienia się w kamienny posąg. Po jego pierwszej i jedynej ucieczce hrabia wystawił go pod dworkiem na wiele dni, a dzieciaki rzucały w niego zgniłymi warzywami...

– Nie gadaj! – sapnął Samson.

– Poczytajcie sobie dziennik Morta, to się przekonacie, że nie kłamię – odparłem. – Szkoda tylko, że Glarius nie wymyślił nic na Hugona. – Wskazałem palcem wielki, obły kształt przewieszony przez mur.

– Zamorduję durnego ślimaka! – wściekł się Norman i utykając, ruszył w jego stronę.

– Poczekaj! – Wyprzedziłem go i stanąłem pod murem.

Jakiś metr nade mną wielkie ślimacze ślepia wlepiły we mnie spojrzenie. Z jednego z czułek zwisała przerwana linka.

– Wiesz, że aresztowali Rocha? – zagadnąłem.

Hugo jakby zwolnił, choć i tak tempo jego ucieczki nie było porażające.

– A wiesz za co? – kontynuowałem. – Za to, co zrobiliście z tymi włamywaczami.

Dusza zatrzymała się, nadal wisząc nade mną. Olaf syknął cicho. Gdyby Hugo zleciał wprost na mnie, pewnie wylądowałbym w szpitalu z poparzeniami trzeciego stopnia.

– Ten, którego ty chciałeś załatwić, przeżył – ciągnąłem. – Ale ten od Żabola stracił głowę. Dosłownie. Jak matka ma teraz go pochować? A Roch o was dbał. Pilnował, żeby nic wam się nie stało, żebyście sami z własnej głupoty nie przedłużyli sobie pokuty. I jak mu się odwdzięczacie?

Wielkie oczy na czułkach poruszały się lekko w lewo i w prawo, ale wciąż mnie uważnie obserwowały.

– Opal was prosiła, żebyście go nie krzywdzili. – Wbiłem ostateczną szpilę. – Może ty jej powiesz, że przez was jej ojciec jest w więzieniu, a ty, zamiast czekać grzecznie na jego powrót, usiłujesz zwać i narobić nam jeszcze większych kłopotów?

*Zaraz zginę poparzony śmiertelnym kwasem* – pomyślałem, kiedy Hugo nawet nie drgnął.

– Wycofaj się – odpowiedział szeptem Norman.

Postąpiłem krok do tyłu, gdy dusza niespodziewanie zawróciła i bardzo powoli zeszła z muru na teren cmentarza.

– O kurwa – odezwał się Olaf. – Ten skubaniec jednak rozumie, co się do niego mówi!

– To o tym nie wiedzieliście? – Zwróciłem ku niemu bladą twarz. – I nikt mi o tym nie powiedział?!

– No przecież to tylko ślimak! – Rękodajny wycelował oskarżycielsko dłoń w mur. – Gadaliśmy do niego, szczególnie jak nas wkurzał, ale nikt nie sądził, że nas rozumie! Nigdy nie wykazywał żadnych oznak, że wie, co mówimy!

– Wiecie co? – zagadnąłem, kiedy ochłonałem. – Wychodzi na to, że wy, tak samo jak ja, musicie jeszcze wiele się nauczyć o tym cmentarzu.

– Nooo – przytaknął przeciągle Samson.

Reszta nocy upłynęła w miarę spokojnie. W każdym razie nie było większych incydentów i żadna dusza nie zwała z cmentarza. Ale wiedzieliśmy, że następnej nocy będziemy musieli już przekroczyć bramę, żeby upewnić się, że wszystko tam gra.

Wróciliśmy do dworku dopiero wtedy, kiedy świtało. Alma podała nam śniadanie, po którym udaliśmy się do swoich łóżek. Zasnąłem niemal od razu i nie śniłem o niczym, do czasu, aż obudził mnie warkot silnika na podjeździe. Zerwałem się na równe nogi i zbiegłem na parter.

Do hallu wkroczył Roch Garłacz, a tuż za nim dreptał notariusz.

– Aż dziw, że ta chałupa jeszcze stoi – odezwał się zarządca. – Myślałem, że dwa dni beze mnie wystarczą, żeby się zawaliła.

Pokręciłem głową. Ten facet był nieedukowalny.

– Dobrze cię widzieć. – Podałem mu dłoń.

– Ludzie na najwyższych szczeblach pokumali się, że beze mnie wszystkie dusze nawieją z cmentarza – oświadczył.

– Chociaż tyle rozumu mieli w głowach – przytaknąłem.

Nagle usłyszeliśmy pisk. To Irys wpadła do hallu i od razu rzuciła się w ramiona zarządcy.

– Tak bardzo nam pana brakowało! – powiedziała przez łzy.

– No już, już. – Niezdarnie poklepał ją po łopatkach i odsunął od siebie.

Wkrótce w hallu zjawili się wszyscy mieszkańcy dworku. Radośnie witali zarządcę, a ja dopiero teraz rozumiałem, dlaczego tak go uwielbiali. Byli wobec niego lojalni jak psy, bo on odwdzięczał się im tym samym, choć robił to na swój oschły sposób.

– Kazali mi zrobić na twój powrót zdrowy obiad, pełen witamin – odezwała się Alma. – I daję głowę, że dostaniesz po nim hiperwitaminozy, ale osobiście wcisnę w ciebie wszystko.

– To może jednak powinienem wrócić do więzienia? – Podrapał się po kilkudniowym zarostcie. – Tam przynajmniej nie zmuszali mnie do jedzenia.

Zanim się obejrzałem, wszyscy powędrowali do kuchni. Rękodajni zdali relację z tego, co działo się na cmentarzu, Irys wciąż zapewniała, jak to dobrze, że Roch wrócił, Konrad pochwalił się, że ma butelkę specjalnego

bimbru na taką okazję, a Alma poskarżyła się, że kończą się pieniądze na jedzenie.

– Niestety nie cofnięto rozkazu zamrożenia waszych pensji – powiedział z żalem notariusz.

– Cholera – mruknął Norman.

– A co z pieniędzmi z dzierżawy? – Olśniło mnie. – Przecież ludzie ze wsi powinni mi płacić za dzierżawę pól?

Na ułamek sekundy poczułem się, jakbym mógł unieść się w powietrzu. Wszystkie problemy zaczęły w cudowny sposób się rozwiązywać. Kiedy jednak zobaczyłem minę Wachima, wiedziałem, że nie będzie tak łatwo.

– Rolnicy rozliczają się z dziedzicem raz do roku, wczesną jesienią – powiedział ponuro.

– To dopiero co dostaliście te pieniądze! Gdzie one są? – Rozłożyłem ręce, patrząc pytająco na moich podwładnych.

Norman bąknął coś pod nosem.

– Ach, no tak. – Miałem wrażenie, jakby całe powietrze ze mnie uleciało.

– Zapomnij, że pytałem. Jak długo całe to wstrzymanie pensji może trwać?

– Jak długo? – Wachim zerknął na mnie. – Aż wyczarujesz pakty, nasz czarodzieju.

– Że co proszę? – Roch zachłysnął się sałatą w śmietanie.

– Jak by to ująć w prostych słowach... – zastanowiłem się, drapiąc się po brodzie. – Jesteśmy w czarnej dupie.

Aster odchrząknęła znacząco, rękodajni zaś pokiwali głowami.

– Ale spokojna głowa, nie z takiego gówna udawało mi się wybrnąć – zapewniłem.

## Rozdział 33

Tydzień mijał za tygodniem, a ja nie byłem bliższy odnalezienia paktów niż w dzień mojego przyjazdu do Lawendowego Dworku. Na pewno wiedziałem, gdzie paktów nie ma: pod podłogami, w belkach, pod progami ani w nadprożach. Rozebraliśmy na części pierwsze chyba każdy mebel w całym dworku, przeszukaliśmy poddasze, a nawet pracownię Dalii. Pomagali mi nie tylko rękodajni, ale także cała służba. Nawet Roch przystąpił do akcji. Działaliśmy spokojnie i metodycznie, przeszukując po kolei każde pomieszczenie. Zanim przyszła kolej na sypialnię, w której ukryłem bransoletę Dalii, przenieśliśmy ją do komnaty, która była już sprawdzona, i znów wrzuciłem ją pod łóżko. Przez chwilę nawet zastanawiałem się, czy powinienem oddać ją malarce, ale jakoś nie potrafiłem. To miało być moje zabezpieczenie na wypadek, gdyby sprawy zaczęły się sypać. Na dobrą sprawę już się sypały. Właśnie wtedy Irys wydlubała ze szczeliny między deskami w gabinecie złoty sygnet dziedzica. Od razu chciałem go upłynnić, ale Aster zabroniła. Powiedziała, że to jest zbyt drogocenna pamiątka, żeby tak szybko ją sprzedawać. Moje tłumaczenie, że chyba jednak nie była taka cenna, skoro któryś dziedzic ją zgubił i nie odnalazł, nie pomagało. Następnego dnia jednak Olaf znalazł złoty naszyjnik z diamentami ukryty pod fałszywym dnem jednej z szuflad. Sprzedaliśmy go, dzięki czemu zyskaliśmy pieniądze na jedzenie na następny miesiąc, a ja, obracając w palcach złoty sygnet, udawałem przed samym sobą, że zupełnie zapomniałem o biżuterii Dalii.

Nasze pensje nadal były zamrożone. Ktoś tam u góry chyba postanowił się na nas zemścić albo uznał, że wykurzy nas z dworku i cmentarza głodem. Niedoczekanie! Jeżeli na samym początku wydawało mi się, że

tutejsi są ze sobą zżyci, to nie wiem, jak określić to, co stało się z nami teraz. Mieliśmy wspólnego wroga i zjednoczyliśmy się tak bardzo, jak jeszcze nigdy. Nawet zarządca zdawał się miłszy. Wachim wstawił się za Normanem w ośrodku, gdzie leczyli jego synka, i odroczone kolejną wpłatę o trzy miesiące. Zegar jednak nieubłaganie tykał. Czas mijał. Dzień za dniem, tydzień za tygodniem.

Na cmentarzu liście zupełnie opadły z drzew, a każdego ranka uschnięte trawy na łąkach były białe od szronu. I tylko przedzimki cieszyły jeszcze oko swoim fioletem wśród ponurych szarości zimowych dni. Dusze uspokoiły się po napadzie. Zdawało się, jakby sama obecność zarządcy miała na nie kojący wpływ. Oczywiście zdarzały się różne incydenty. Hugo znów spróbował uciec, ale udało się go złapać i tym razem użyliśmy grubszej linki nasączonej moją krwią. Gargulec sprawiał trochę kłopotów, raz nawet obrzucił nas błotem albo czymś znacznie gorszym. Bagniak jednego dnia wpadł w szal, kiedy gałąź spadła za dnia na jego kamienie, i pobił Piękną, która akurat kręciła się w pobliżu. Przywaliła mu w głowę tak mocno, że wpadł do swojej sadzawki, a później uciekła z płaczem do swojej krypty. Pamiętałem, żeby podarować jej jakiś stary szal od Dalii, i co jakiś czas przynosiłem jej inne drobiazgi, typu spinka do włosów, bransoletka z muszelek czy plastikowa broszka, z których cieszyła się jak dziecko. Wkrótce cała była ustrojona kolorowymi ozdóbkami. Pszczelarz zaszył się w swojej krypcie i przez dobry miesiąc z niej nie wychodził, aż na jego ciele znów zapłonęły ogniki. Flora usiłowała ugryźć każdego, kto obok niej przechodził, ale kiedy dostała raz i drugi solą po kwiatkach, już nie była taka odważna.

Niemal codziennie spotykałem się z Opal. Spróbowałem pomóc jej przypomnieć sobie, co stało się tamtego dnia, gdy jej mama została zamordowana, ale każda taka rozmowa kończyła się płaczem dziewczynki, aż nie miałem siły już dłużej jej męczyć. Kilka razy zarządca wypytywał mnie, dlaczego tyle czasu przesiaduję na łąkach, ale rękodajni zawsze wymyślali dla mnie jakąś wymówkę.

– Bogowie, jak zimno. – Chuchając w dłonie, wszedłem do kuchni. Tutaj było tylko odrobinę cieplej niż w mojej sypialni.

– A zima dopiero się zaczyna – westchnęła Alma, zalewając herbatę wrzątkiem.

– Dobrze, że latem kupiłam zapas węgla – odezwała się Aster.



Przyjąłem gorący kubek od kucharki i oplotłem go palcami, żeby choć trochę je ogrzać.

– To dlaczego tak marzniemy? – jęknąłem.

– Bo nie wiem, czy ten zapas wystarczy na całą zimę – obruszyła się ochmistrzyni. – Mówią, że tego roku przyjdą rekordowe mrozy.

Trochę drażniło mnie to, jak daleko w przyszłość wybiegała. Założyłbym się, że oszczędzała węgiel też na następną zimę. Ale nie komentowałem. Od lat zarządzała dworkiem i chyba wiedziała, co robi. A pozwoliła ogrzewać tylko moją sypialnię, poddasze Dalii, kuchnię i pomieszczenia służby. W jadalni, sali balowej i wszystkich innych pokojach było zimno jak w psiarni.

Alma postawiła na stole śniadanie.

– Pyszności! – Dalia, z naturalnym dla niej entuzjazmem, zaczęła smarować chleb twarogiem. Masła nie było. Nie było też szynki ani żółtego sera. Tylko twaróg i miód, które kucharka dostawała po znajomości gdzieś we wsi. Na obiady jedliśmy zazwyczaj coś ze słoików. Dobrze, że Alma przez ostatnie lata zapełniła przetworami całą piwnicę, jakby się spodziewała, że pewnego dnia zabiorą nam pieniądze.

Do kuchni wszedł Norman. Już nie kulał. Rzucił na stół kopię dziennika Morta, przepisana przez malarkę.

– I co? – zagadnąłem.

– Dupa blada – odparł.

Wszyscy w dworku, z wyjątkiem Irys i Aksela, przeczytali już ten dziennik. Nikt jednak nie odkrył, gdzie Glarius mógł schować pakty.

– Jak nic, spalił je na popiół – burknął rękodajny i zaczął jeść suchy chleb.

– A to by nie unieważniło umów? – zastanowiła się Alma.

– Nie tak łatwo rozwiązać pakty krwi – odparłem. – Ale Glarius nie spaliłby ich. – Pokręciłem głową, jedząc. Szczerze mówiąc, miałem już dość tego twarogu. – Mort nieświadomie naszkicował nam bardzo dokładny portret psychologiczny ojca.

– Że co? – zdziwił się Konrad.

Zabębniłem palcami w blat stołu.

– Glarius był chujem – powiedziałem.

– To wiemy wszyscy – przypomniał Olaf.

– Ale był też dumny ze swojego dzieła. Nigdy nie spaliłby paktów.

– A Mort? – odezwała się Aster.

Spojrzałem na nią, jakbym widział ją po raz pierwszy w swoim życiu.

– On nienawidził zarówno ojca, jak i cmentarza – wyjaśniła.

– I na pewno nie napisałby w dzienniku, że spalił pakiety – stwierdził Norman.

Wstałem od stołu i zacząłem krążyć po kuchni.

– Nie, nie napisałby – przyznałem. – Ale może w inny sposób dał nam o tym znać? Może ręka mu się zatrzęsała podczas pisania? Albo zaczął pisać niewyraźnie z emocji? Albo... – Rzuciłem się do drzwi. – Muszę zajrzeć do tego dziennika.

Dzieło Morta leżało jak zawsze na szafce nocnej obok mojego łóżka. Czuję wobec niego dziwny pociąg. Miałem wrażenie, że tylko ja rozumiałem syna Glariususa. Wszystkim pozostałym wystarczyło czytanie kopii Dalii, ale ja musiałem mieć przy sobie oryginał, bo wierzyłem, że właśnie tam jest ukryta prawda.

Zgarnąłem dziennik z szafki i wróciłem do kuchni. W pierwszej chwili wszyscy byli ciekawi, czego szukam, zaglądali mi przez ramię, ale szybko się znudzili i wrócili do swoich obowiązków. A ja całymi godzinami przewracałem stronę za stroną. Znałem treść na pamięć, ale szukałem czegoś innego. Ledwie zarejestrowałem, że na obiad Alma zaserwowała zupę, a później Olaf i Samson poszli na cmentarz. Za oknem zapadł zmierzch. Kolejne osoby zjawiały się w kuchni na kolację, ale ja ich nie dostrzegałem.

Jak zawsze zastanowiło mnie, dlaczego Mort podkreślał ołówkiem pewne kwestie, dlaczego przy niektórych zdaniach stawiał znaki zapytania, wykrzykniki lub dziwne symbole. *Zupełnie jakby ktoś inny już miał w rękach te notatki* – ponownie przeszło mi przez myśl. Dlaczego uważałem, że byłem najsprytniejszym dziedzicem od dwustu lat i tylko ja je znalazłem? A jeśli zrobił to ktoś przede mną? Przed oczami stanęła mi mroczna twarz Kalisterona z wszystkowiedzącym uśmiechem. Jeżeli ktokolwiek miał odkryć ten dziennik, to na pewno on. Ponoć radził sobie z duszami tak dobrze jak sam Glarius. A on nie miał Opal, która zdradziłaby mu sposoby na dusze. Sam musiał odkryć moc przedzimek, soli i innych...

– Czy sala balowa była kiedykolwiek remontowana? – zapytałem, podnosząc wzrok znad papieru.

Wszyscy pokręcili głowami.

– Nic mi o tym nie wiadomo – odparła Aster.

– A ten pożar w tysiąc sześćset osiemdziesiątym trzecim? – zapytała Dalia. – Ponoć podczas jednego z balów wybuchł pożar. Trzeba było wymienić kawał sufitu i kilka okien.

– A ty skąd o tym wiesz? – zdziwiła się Alma.

Artystka zmarszczyła brwi.

– Musiałam przeczytać o tym w historii Lawendowego Dworku – powiedziała. – Wiecie, żeby pomóc mojemu Salomonowi, przeczytałam wszystko, co znajdowało się w naszej biblioteczce.

– A dlaczego pytasz? – Norman znów zajrzał mi przez ramię, ale nie znalazł odpowiedzi w schludnym piśmie Morta.

– Tak tylko, z ciekawości. – Uśmiechnąłem się.

Przebiegły drań był z tego Kalisterona. To on pierwszy znalazł dziennik Morta, a później ukrył go w belce podczas remontu. Daję głowę, że sam znał go na pamięć i nie chciał, żeby trafił w cudze ręce, a jednocześnie nie potrafił go spalić. Tak samo jak ja nie umiałbym teraz zniszczyć dzieła Morta.

Opuściłem wzrok. Dziennik akurat był otwarty na stronie opisującej Żabola.

*Nie znosi obcych – pisał Mort. Zawsze wpada w szal, kiedy na cmentarz wejdzie ktoś poza ojcem czy mną. Nie wiem jak, ale ojciec zmusił go do tolerowania pracowników cmentarza. Przekonywałem, że zapraszanie gości na cmentarz to błąd, że Oleg (to było prawdziwe imię Żabola) będzie usiłował ich pozabijać, ale ojciec nie słuchał. Mam na niego sposób – przekonywałem. Zbudował mu tę jamę obok krypty, w której Oleg z wielką chęcią chowa się przed oczami obcych. Ale to nie rozwiązało problemu. Kiedy potężna wichura uszkodziła kryptę Pięknej i ojciec wezwał majstrów do naprawy, Oleg znów ruszył do ataku.*

Raz po raz patrzyłem na ten akapit, a słowa Morta wyryły się w mojej głowie niczym w granicie. Szukałem paktów, a znalazłem coś zupełnie innego. Gwałtownie poderwałem się z krzesła i stanąłem na równych nogach.

– Idę na cmentarz – oświadczyłem.

– Co? Już? – zdziwił się Samson, który miał pełnić ze mną pierwszą nocną wartę.

Zarzuciłem na ramiona kurtkę i nie oglądając się za siebie, wyszedłem z dworku.

– Moment! – zawołał za mną rękodajny, kończąc kolację w biegu. – Co cię ugryzło?!

– Muszę coś sprawdzić – odparłem.

– Ale co? To nie może poczekać?

Nie odpowiedziałem. W moim umyśle, ulotna niczym mgła, pojawiła się pewna myśl i nie miałem odwagi, żeby wypowiedzieć ją na głos, bo bałem się, że zniknie, a ja tylko coś sobie ubzdurałem.

Własnym kluczem otworzyłem kłódkę i zdjąłem łańcuch. Brama skrzypnęła głośno. Samson zaczął ją zamykać za nami, a ja szedłem naprzód, nawet się na niego nie oglądając. Uchyliłem się przed Florą, która chyba sprawdzała mój refleks.

– Max! Czekaj! Dokąd ty idziesz?! – Zdyszany rękodajny mnie dogonił. – A co z kryptą Śmierciana? Musimy ją sprawdzić...

– Ty idź – poleciłem.

– A ty? – zapytał.

– Muszę pogadać z Żabolem.

– Z Żabolem? Ale czego od niego chcesz?

– Idź do Śmierciana. Widzimy się pod kaplicą. – Odszedłem, nawet nie sprawdzając, co robi rękodajny.

Zamarznięty piach chrzęścił pod moimi butami. Nieruchome drzewa mnie obserwowały, wietrzne organy milczały. Miałem wrażenie, jakbym na cmentarzu był zupełnie sam. A jednocześnie doskonale wiedziałem, że dusze mnie obserwują. Jedne myślały o mnie ciepło, co nie przeszkodziłoby im mnie zabić, gdyby tylko miały okazję, inne mnie nienawidziły i z wielką chęcią rozerwałyby na strzępy. Ale wszystkie czuły wobec mnie pewien respekt.

W końcu dotarłem do jamy Żabola. Była wielka i ciemna. A w jej mroku pobłyskiwały ślepiec bestii.

– Wyjdź – poleciłem.

Z otchłani dobiegł mnie bulgot.

– Musimy pogadać – ciągnąłem.

Znów tylko gniewny bulgot.

– Wiem, że nie znosisz obcych. Ale ja jestem swój. Płynie we mnie krew Muertonów.

Dusza nie odpowiedziała, tylko jeszcze bardziej cofnęła się w mrok.

– Na wszystkich bogów! – wybuchłem. – Wiem, co zrobiłeś!

Z jamy dobiegł mnie dziwny skrzek.

– Wyjdź i przyznaj się do swoich win! – krzyknąłem.

Najpierw ujrzałem grubą łapę z wielkimi pazurami, które bez problemu rozerwałyby mnie na pół. Później z mroku wyłoniła się kolejna, a za nią wielki łeb. Gniewne, błyszczące w ciemnościach oczy, zęby wystające z dolnej szczęki, ciało pokryte łuskami. Nie wiem, kto wpadł na przezwisko Żabol, ale nawet w najmniejszym stopniu nie odzwierciedlało ono rzeczywistości. Przy nim Piękna, Bagniak i Gargulec byli nikim, tylko żartem ze strony Asazana.

Z wielkiego, okrągłego brzucha dobył się bulgot przywodzący na myśl głębokie podziemne jaskinie, ciemne miejsca, których ludzie nigdy nie powinni oglądać, w których ginęli bez wieści. Odruchowo cofnąłem się o krok. Widziałem, jak wyglądało ciało włamywacza, którego dorwał Żabol.

– Wiem, co zrobiłeś – powiedziałem cicho. – Wiem też, że nie chciałeś. Bogowie dali ci wygląd wielkiej bestii o łagodnym usposobieniu.

Nie mam pojęcia, czy dusza mnie rozumiała. Smutnym wzrokiem zapatrzyła się na coś ponad moim ramieniem.

– I sprawili, że wpadasz w szal na widok czy zapach kogoś obcego, prawda? – drażyłem.

Potwór, górując nade mną, zachwiał się lekko. Wystarczyłoby, żeby położył na mnie jedną łapę, a by mnie zdusił. Połamał żebra, zmiażdżył organy wewnętrzne, a gdy tylko poczuje krew, rozerwie mnie na strzępy, pozbawi głowy...

– Nikt cię nie wini za śmierć tego włamywacza – skłamałem.

Dopiero teraz dojrzałem w ciemnościach długi, szczurzy ogon, który powoli poruszał się za bestią niczym wąż.

– Miałeś prawo się bronić – drażyłem. – Miałeś prawo...

Zabrakło mi słów, a z trzewi potwora dobył się basowy dźwięk przypominający szloch.

– Każdego dnia na nowo odkrywam, jak bardzo zostaliście skrzywdzeni – powiedziałem.

Szczurzy ogon nagle zniknął, żeby pojawić się już po chwili tuż przede mną. Na jego końcówce zwisała za oczodół... ludzka czaszka.

– To ten chłopak, prawda? – Ostrożnie wyciągnąłem przed siebie ręce, a czaszka opadła na moje dłonie. Aż się zdziwiłem, jaka była lekka.

Żabol posłał mi spojrzenie pełne bólu, odwrócił się ode mnie i już zamierzał ponownie skryć się w głębi swojej jamy.

– Czekaj! – rzuciłem.

Dusza zatrzymała się, wciąż wydając niskie, bulgoczące dźwięki.

– To nie twoja jedyna ofiara, prawda? – zapytałem. – I nie jedyna... pamiątka.

Żabol zadrżał i prychnął ze złością.

– Nie „pamiątka” – poprawiłem się. – Tylko coś, czego się wstydzisz, coś, co próbowałaś ukryć.

Dusza, zamiast zaszyć się w swojej jamie, skręciła gwałtownie, ruszając w stronę krypty.

– Poczekaj! – zawołałem za nią.

Szczurzy ogon świsnął w powietrzu. Odruchowo zasłoniłem głowę, ale nie byłem celem ataku. Ogon wymiół z jamy inne szczątki: kilka kości, kawałek żeber połączonych z kręgosłupem i czaszkę znacznie mniejszą niż ta należąca do włamywacza.

– Dziękuję – szepnąłem, zbierając szczątki do torby.

Żabol zostawił swoją jamę, bo już nie miał czego w niej pilnować, po czym na dobre zaszył się w krypcie i nie wyglądało na to, że zamierza ją opuścić. Ja zaś zerwałem z siebie kurtkę i zawiąłem w nią wszystkie kości, po czym ruszyłem do kaplicy.

Na schodkach, elegancki jak zawsze, stał Odo. Na powitanie skinął mi głową.

– Piękny zimowy wieczór, nieprawdaż? – zagadnął.

– Czy to możliwe, że Żabol obudziłby się, gdyby ktoś obcy wszedł na teren cmentarza jeszcze przed zmrokiem? – zapytałem bez ogródek.

Starszy dżentelmen zastanowił się, po czym skinął głową.

– Tak, całkiem możliwe – przyznał. – On jest dość czuły na obcą krew.

– Nawet gdyby to była mała dziewczynka? – ciągnąłem, choć doskonale znałem odpowiedź.

– Co sugerujesz? – Odo posłał mi przestraszone spojrzenie. – Nikt z nas by jej nie tknął! – Zapewnił, uderzając się w pierś. Kilka tłustych larw

spadło na kamienne stopnie i zaczęło się wić. – Nikt z nas!

– Wiem. – Przyznałem ze smutkiem. – Ale czasem każdego z was dopada...

– Szał – dokończył Odo. – Ale nikt z nas by nie...

Pokiwałem głową.

– Oczywiście – przyznałem, czując w rękach ciężar dziecięcych kości.

– Cześć, panowie. – Dołączył do nas Samson w dziwnie dobrym humorze. – Dowiedziałeś się, czego chciałeś?

– Tak, a nawet więcej.

– Ej, Max, co jest? – Zmartwił się najwyraźniej na widok mojej bladej twarzy.

– Musimy wracać do dworku – odezwałem się ponuro.

– Co się stało? – dopytywał, ale ja tylko potrząsnąłem głową.

– Wyjaśnię wszystko w domu.

Dopiero kiedy zamknęliśmy bramę cmentarza, a w kłódce zgrzytnął klucz, zdałem sobie sprawę, że po raz pierwszy nazwałem Lawendowy Dworek domem.

Gdy dotarliśmy na miejsce, wszystkie światła w oknach były pogaszone – Aster przecież kazała nam oszczędzać na prądzie. A mimo to okazało się, że Konrad i Gaspar nie śpią, zupełnie jakby czekali na nasz powrót.

– Zwołajcie wszystkich – poleciłem. – Będziemy w gabinecie.

Ruszyłem do przeszklonych drzwi. Skrzypnęły cicho, kiedy je otwierałem. Samson szedł krok w krok za mną. Nie wiem, ile się domyślał, ale zachował milczenie. Nawet wtedy, kiedy zacząłem wykladać kości na biurko.

– Bogowie! – wykrzyknęła Aster, gdy tylko przekroczyła próg gabinetu.

Tuż za nią szedł Roch, ale on nie odezwał się nawet słowem, zupełnie jakby przeczuwał, co właśnie miało się stać. Wkrótce wokół nas stłoczyli się wszyscy mieszkańcy dworku.

– Odnalazłem czaszkę włamywacza – odezwałem się, podając ją zarządcy.

– Myślę, że jego rodzice się ucieszą, gdy będą mogli dołożyć ją do grobu syna.

Roch skinął głową.

– Wydaje mi się, że Żabol nie trawi kości i kiedy jego kwasy trawienne rozłożą mięso, wypluwa je...

Alma i Irys się skrzywiły.

– Wczytałeś to w dzienniku Morta? – zapytał Olaf.

Pokręciłem głową.

– Domyśliłem się.

– A te kości? – Norman wskazał brązowe szczątki ułożone na biurku.

– One należą do... – zacząłem.

– Niemożliwe! – sapnął Roch, po czym skierował się do wyjścia.

– Poczekaj! – Aster pobiegła za nim i złapała go za ramię. – Posłuchaj, co Max ma do powiedzenia.

– Nic sensownego! – wybuchł. – To, że znalazł czaszkę włamywacza, nic jeszcze nie znaczy!

– To są szczątki twojej córki – odezwałem się cicho.

– Pierdolisz głupoty! – Wyrwał się z uścisku ochmistrzyni.

– Roch, zaufaj mi...

– A niby na jakiej podstawie?! Skąd możesz wiedzieć, czyje to kości?! Skąd możesz wiedzieć o mojej córce?!

Zarządca poczerwieniał na twarzy, w jego oczach pojawił się obłęd.

– Kto mu wygadał?! – Powiódł spojrzeniem po pozostałych, którzy albo się cofnęli, albo spuścili wzrok. – No kto?!

– Opal – wyjaśniłem. – Ona mi o wszystkim powiedziała.

Roch opuścił ręce wzdłuż ciała, jego oczy zaszyły mgłą.

– Posadźcie go, zanim się przewróci – poleciła Aster.

Olaf i Samson złapali go za ramiona i niczym marionetkę zaciągnęli na kanapę.

– Żaból nie znosi obcych na cmentarzu – odezwałem się po chwili.

Zarządca zdawał się zupełnie nieobecny, jego ciało zwiotczało, ale byłem prawie pewien, że dobrze mnie słyszy.

– To wiemy wszyscy – zaznaczył Norman.

– Dlatego z taką zaciekłością zaatakował włamywacza, choć od tylu lat nie opuszczał swojej jamy – przyznałem. – Od dawna zastanawiało mnie to, że w dziennikach innych dziedziców były wzmianki o nim, że czasem jednak wychodzi z kryjówki. Abel przecież zrobił sobie z niego tarczę strzelniczą, a ten się wściekał i biegał po cmentarzu jak szalony. Ale od trzynastu lat siedział w jamie i nie śmiał wyściubić z niej nawet nosa – ciągnąłem. – A wiecie dlaczego? Bo się wstydził. Wstydził się tego, co zrobił. Gdyby tylko mógł, pewnie cofnąłby czas, ale... – Zawiesiłem głos, wzruszając ramionami.



– Co sugerujesz? – zapytała Aster, choć tak naprawdę wszyscy znali odpowiedź.

– Trzydzieści lat temu kilku drabów na rozkaz Abla zaatakowało żonę Rocha. – Na samo jej wspomnienie zarządca drgnął, a więc słuchał. – Nie wiem, czy mieli ją zabić, czy tylko postraszyć, ale sprawy wymknęły się spod kontroli. Dźgnęli ją wiele razy nożami i uciekli. I właśnie w takim stanie znalazła ją Opal, którą uratowało tylko to, że na łąkach plotła wianki z przedzimek.

Na chwilę zamilkłem. Wszyscy wpatrywali się w kości na biurku, a w ich oczach malowało się niedowierzanie.

– Chciała ratować mamę, chciała wezwać pomoc – podjąłem. – Pobiegnęła w stronę dworku, ale przecież cmentarz był bliżej, a właśnie wybiła godzina popołudniowej warty, więc liczyła, że spotka tam własnego ojca lub chociaż któregoś rękodajnego.

Irys pociągnęła nosem. W oczach Almy pojawiły się łzy. Rękodajni zamarli zupełnie bez ruchu.

– Ale nie zdołała odnaleźć nikogo, tylko wpadła na Żabola – powiedziałem.

Aster była blada jak jeszcze nigdy. Dalia usiadła na kanapie obok Rocha i złapała go za dłoń.

– Żabol nie chciał jej skrzywdzić – podjąłem po chwili. – Ale na widok obcej osoby na cmentarzu wpadł w szal i nie potrafił się powstrzymać. A gdy zdał sobie sprawę z tego, co zrobił, kiedy tylko wypluł jej szczątki, ukrył je głęboko w swojej jamie i schował się tam, żeby nikt inny nie odkrył jego tajemnicy.

– Powiedziałyby mi o tym – odezwał się słabym głosem Roch, jego wzrok nadal był nieobecny. – Moja córeczka... – Zaszlochał. – Powiedziałyby o tym własnemu tacie.

– Powiedziała, ale ty nie pamiętasz – wyjaśniłem, czując się naprawdę podle, że to właśnie ja muszę przekazać mu tę wiadomość. – Zrzuciłeś to na karb łez, które brałeś wtedy bez opamiętania... To było tej nocy, kiedy poraził cię piorun.

W oczach zarządcy powoli błysnęło zrozumienie. Zaczął przypominać sobie to, co zepchnął poza krawędź własnej świadomości.

– Opal zobaczyła, co się z tobą stało, i postanowiła już nigdy więcej ci się nie pokazać – powiedziałem. – Zrobiła to z troski o ciebie...

Roch nagle odtrącił dłoń Dalii i zerwał się z kanapy. Ruszył w moją stronę, a jego twarz wykrzywił grymas wściekłości.

– I pokazała się tobie?! – wycodził. – Nie wierzę!

Nikt się tego nie spodziewał, a już najbardziej ja. Roch uniósł pięść i przywalił mi w szczękę, aż zagrzmiało. Zatoczyłem się do tyłu i wpadłem plecami na regał. Kilka książek posypało się na ziemię.

– Nie wierzę w ani jedno twoje słowo! – Roch rzucił się w ku mnie z pięściami, ale Samson i Norman go powstrzymali.

Zarządca wyrywał się i szarpał. Olaf ruszył kolegom na pomoc. Tuż za nim byli Konrad i Gaspar. A ja z przerażeniem patrzyłem w oczy szaleńca i zacząłem żałować, że choć ten jeden raz chciałem postąpić słusznie i powiedzieć wszystkim prawdę.

## Rozdział 34

– Zobaczysz, będzie dobrze – przekonywałem, łapiąc za drobną, zimną dłoń.

– A jak się na mnie pogiewa? – zapytała słabym głosem Opal. – A jak nakrzyczy? Albo znów pozwoli, żeby trafił go piorun? Jak będzie zły, że nie uratowałam mamy? Albo...

– Spokojnie. – Objąłem ją ramieniem. – Tata cię kocha i nic tego nie zmieni.

Mimo to czułem, jak dziewczynka drży w moich objęciach. To była chyba najtrudniejsza dla niej chwila od trzynastu lat.

Na horyzoncie pojawił się Roch. Opal drgnęła, ale mocniej ją ścisnąłem.

– Nie znikaj – poprosiłem.

Nie mogłem tego wiedzieć, ale czułem, że nie zniknęła, że jej ojciec już z daleka może zobaczyć jej drobną sylwetkę w różowej sukience i długie czarne włosy powiewające na wietrze.

– Jesteś – odezwał się Roch, gdy tylko się do nas zbliżył.

W jego oczach lśniły łzy.

– Przepraszam! – Opal wybuchła płaczem.

– To ja przepraszam. – Zarządca opadł na kolana, a jego córka rzuciła się w jego objęcia.

Ja nie byłem już im potrzebny. Dyskretnie się wycofałem, słysząc powtarzane w kółko przeprosiny. Zszedłem ze wzniesienia i obejrzałem się jeszcze przez ramię. Roch wstał z kolan, nie wypuszczając córki z objęć.

– Biedne dziecko – westchnęła Aster, kiedy dołączyłem do pozostałych.

– Dlaczego nie chciała mu się znowu pokazać? – odezwał się Samson. – Przecież zachowała swoją postać i nie wygląda tak strasznie jak dusze

z cmentarza. Mogłaby wieść z nim prawie normalne życie...

– To tak nie działa. – Pokręciłem głową. – Ona nadal byłaby dwunastolatką, nie zestarzałaby się nawet o jeden dzień, za to widziałyby, jak jej ojciec i wszyscy inni po kolei umierają. Na razie jej myśli zajmowała troska o Rocha i wyrzuty sumienia, że nie ocaliła mamy, ale wreszcie dotarłoby do niej, że już nigdy nie ujrzy zaświatów i na zawsze utknęła między ziemią a rajem. A to by ją zmieniło. Czytałem kiedyś o tym, co dzieje się z ludźmi, których ciała zaginęły. Z czasem jako dusze tracą zmysły, zaczynają zabijać żyjących, wpadają w jeszcze gorszy zew krwi niż nasze dusze i ogółem bywa bardzo nieciekawie...

– Na nas już pora – oceniła Aster.

Wszyscy spojrzeliśmy na ojca i jego córkę, jak złapali się za ręce i ruszyli razem przez łąki.

– To było piękne pojednanie – odezwała się Dalia, a jej wzrok się zamglił.

Wszyscy podążyliśmy do dworku i ukryliśmy się przez zimmem w kuchni. Alma wyjęła z piekarnika ciasto i choć Aster krzywo patrzyła na takie marnotrawienie pieniędzy na zwykłe przyjemności, po raz pierwszy nie skomentowała tego na głos.

Godzina mijała za godziną. Olaf i Samson poszli na cmentarz na popołudniową wartę, po czym z niej wrócili. Piliśmy gorącą kawę zbożową z mlekiem, kiedy z hallu dobiegło nas wołanie. Natychmiast zerwałem się na równe nogi.

To Roch i Opal wrócili ze swojego spaceru.

– Pokaż je – polecił zarządca.

Od razu wiedziałem, o co chodziło. Otworzyłem przed nimi drzwi gabinetu i zapaliłem światło. Opal niczym we śnie ruszyła w stronę biurka, na którym nadal leżały kości. Zatrzymała się tuż przed nimi i wpatrzyła się w nie, przechylając lekko głowę.

– I co? – szepnął Roch.

Dziewczynka nie odpowiedziała, tylko wzięła do ręki swoją czaszkę i uniosła ją na wysokość oczu.

– To moje – odezwała się.

– Jesteś pewna? – dopytywał jej ojciec. – Skąd wiesz?

Posłała mu trochę rozbawione, a trochę zmęczone spojrzenie.

– Takie rzeczy się wie – zapewniła.

– Czyli możemy cię... – Roch zawiesił głos – pochować.

Opal niespodziewanie potrząsnęła głową.

– Ale dopiero co zaczęliśmy rozmawiać! – zaprotestowała. – Już mnie nie chcesz? Tyle rzeczy mam ci do opowiedzenia!

Znów się wycofałem. Coś dławiło mnie w gardle. Nie chciałem uczestniczyć w przekonywaniu dziewczynki, że powinna odejść ze świata żywych, że jej miejsce nie było tutaj. I doskonale wiedziałem, że to wszystko rozerwie serce Rocha na strzępy.

Wróciłem do kuchni. Wszystkie oczy podniosły się na mnie. Pokiwałem głową, a służba odetchnęła.

– Za co wyprawimy pogrzeb? – odezwał się Norman.

Aster pokręciła głową i przesunęła po stole w moją stronę notes.

– Tyle mamy. – Stuknęła długopisem w liczbę na dole kartki.

– Dwieście krypt – przeczytałem na głos. – Za wiele złota za to nie kupimy. – Pokręciłem głową.

– Że też te sukinsyny musiały zamrozić nasze pensje! – Samson uderzył pięścią w stół.

– Możemy nie ogrzewać dworku, możemy zebrać o jedzenie we wsi – odezwała się Alma. – Ale nie zdobędziemy wiele więcej pieniędzy.

– Muszą oddać nam nasze pensje! – wybuchłem. – Jak damy im czaszkę włamywacza! Po prostu muszą!

– To już dawno temu przestało chodzić o głowę tego chłopaka. – Aster wzięła ode mnie notes i znów się w niego zapatrzyła, jakby siłą woli mogła wyczarować więcej liczb. – Oni chcą ograbić nasz cmentarz...

– A może wziąć złoto stamtąd? – odezwał się nagle Konrad.

– Po pierwsze, to nielegalne – odezwałem się, pokazując kciuk. – Tylko bogaci mogą robić takie rzeczy. Po drugie – rozprostowałem palec wskazujący – dusze by nas rozszarpały. A po trzecie Opal nigdy się na to nie zgodzi. Przez te wszystkie lata zdążyła się z nimi zaprzyjaźnić.

– Nic to. – Samson wstał z krzesła. – Jeszcze raz podliczymy nasze pieniądze. Poszukajcie, czy nie macie skitranego czegoś pod materacami...

– Ja mogę sprzedać kilka obrazów! – Dalia pokiwała głową z entuzjazmem w głosie.

– Możemy spróbować zastawić część mebli z dworku – dodała Aster.

– A może ktoś ze wsi pożyczy nam pieniądze? – Podrapałem się po brodzie. – Na pewno macie tam wielu znajomych.

– Równie biednych jak my – prychnęła Alma.

– Poza tym sprawa Opal nie może wyjść poza mury dworku – zastrzegła Aster. – Szczególnie teraz, po tym nieszczęśliwym wypadku na cmentarzu. Nie możemy pozwolić sobie na kolejne kłopoty i rozpowiadać, że paręnaście lat temu dusza zabiła dziecko.

– No to jak chcecie ją pochować? – zdziwiłem się.

– Tym zajmie się Nester Wachim – odparła. – Jemu oczywiście będziemy musieli powiedzieć wszystko.

– To może on coś nam pożyczyć? – zastanowiłem się. Wydało mi się to genialnym pomysłem, ale pozostali pokręcili głowami.

– To dobry facet, ale ma sztywne zasady narzucone przez państwo – odparł Norman. – I tak nieźle je dla nas nagina. Ale nie może nam nic dać ani pożyczyć.

– Przecież to jest wyjątkowa sytuacja! Nikt nie musi się o tym dowiedzieć!

– Oparłem się o blat stołu, pochylając się w stronę ochmistrzyni.

– A chcesz, żeby stracił swój urząd? – zapytała ostro.

– Jeżeli go stąd wywalą i zatrudnią nowego notariusza, to dopiero wtedy będziemy mieć przerąbane – stwierdził ponuro Gaspar. – Pomijając fakt, że on sam, jeśli straci uprawnienia, stoczy się na samo dno...

Nigdy nie zastanawiało mnie, co się dzieje z nieuczciwymi notariuszami. Bo że tacy byli, to nikt nie miał wątpliwości. Inaczej nikt nie byłby w stanie podpisywać takich paktów jak Diogenes ze Słodką. Ale nie sądziłem, że mogą stracić uprawnienia. W moim małym, nieuczciwym świecie notariusze byli nietykalni. Zerknąłem na Gaspara, na jego chudą, pomarszczoną twarz, zdradzającą, że jej właściciel również niejedno przeżył w swoim życiu. I nagle naszła mnie myśl: co dzieje się z lekarzami, którzy z jakichś przyczyn tracą uprawnienia? Czy błąkają się w nędzy, aż ktoś się nad nimi zlituje i da posadę koniuszego w dworku bez koni?

– Zatem do dzieła! – Ochmistrzyni zaklaskała w dłonie.

Rozeszliśmy się w różne strony. Każdy miał jakieś zadanie. Aster oraz Alma szukały sztucców i zastawy, które mogłyby upłynnić we wsi. Norman i Samson zrobili przegląd zbrojowni. Dalia zamknęła się na poddaszu i jeśli wnioskować z odgłosów, jakie niosły się niżej, robiła tam nieźle przemeblowanie. Gaspar i Konrad przetrząsali stajnię i wszystkie budynki gospodarcze. Olaf udał się do wsi.

I tylko ja nie miałem tak naprawdę nic do roboty. Bez entuzjazmu przeszukałem moją sypialnię, ale doskonale wiedziałem, że nie znajdę

w niej nic cennego, bo dokładnie sprawdziłem ją już pierwszego dnia, gdy tu przyjechałem i chciałem wypchać kieszenie, na wypadek gdybym musiał szybko stąd wyjechać.

Wyjrzałem przez okno na szarobrazowe łąki skute mrozem. Miały jakiś swój urok. Wiosną pewnie zakwitną, przywodząc na myśl morze pełne falujących kwiatów. Czy będę mieszkał tu na tyle długo, żeby to zobaczyć? Prychnąłem pod nosem. Podczas pobytu w Lawendowym Dworku nauczyłem się nic nie planować.

Uniosłem rękę do klatki piersiowej i zacisnąłem palce na złotej monecie wiszącej na rzemyku pod koszulą. Nie. Jej nie oddam. Nie mógłbym. To jedyna pamiątka po moich rodzicach. Jedyna nietykalna świętość w moim życiu.

Na łąkach pojawiła się Opal, przebiegła kilka metrów, rozłożyła ramiona i okręciła się wokół własnej osi. Jej różowa sukienka zafalowała, włosy się rozwiały. Wyglądała jak normalne, nadal żywe dziecko. Radośnie pomachała ręką, a po chwili dołączył do niej Roch. Może nie widziałem dobrze z tej odległości, ale zdawało mi się, że prawie przestał kuleć.

Myślę, że właśnie wtedy, patrząc na ojca i córkę przemierzających bezkres łąk, podświadomie odkryłem, co powinienem zrobić. Musiało jednak upłynąć jeszcze dużo czasu, żebym to zrozumiał.

Przez kolejne dni każdy we dworku wciąż usiłował znaleźć lub zdobyć w prawie każdy możliwy sposób jakieś pieniądze. Aster nieustannie dopisywała kolejne liczby w swoim notesie, ale to nadal było za mało. Nawet gdy dałem jej te kilka krypt, które dostałem od Penelopy na pociąg. Tak naprawdę przez całe życie powinniśmy odkładać na godny pochówek i każdy z nas powinien mieć teraz pokaźną sumkę, ale zawsze było coś ważniejszego – chore dziecko, pusta lodówka, zimny piec albo interes, który miał przynieść złote góry.

Dusze na cmentarzu zdawały się doskonale wiedzieć, co się stało, i jakoś się uspokoiły. Patrole stały się dla nas przyjemnością – przez kilka dni nikt nas nie atakował, nikt nie usiłował zwać. Hugo nie opuścił swojego ogródka nawet wtedy, gdy mocny wiatr przerwał ścieżkę z soli, a linka przetarła się o kamień. Pszczelarz całe noce spędzał na swojej plaży w siadzie skrzyżnym, jakby medytował. Bagniak jak zawsze był zajęty samym sobą. Flora uważnie nas obserwowała, ale jej kwiaty pozostawały na wpół zamknięte. I tylko Śmiercian wściekał się w swojej krypcie –

wrzeszczał i usiłował sforsować kraty, ale był na tyle oddalony od innych dusz, że mogła do niego nie dojść wiadomość o odnalezieniu szczątków Opal – albo po prostu go to nie obchodziło.

Roch całymi dniami wędrował po łąkach razem ze swoją córką. Mieli tak wiele do nadrobienia. Razem uprzątnęli ich domek pod lasem, zdemolowany przez niego samego po tym, jak wrócił z polowania na drabów, którzy zabili jego żonę. Zapewniliśmy go, że na cmentarzu panuje spokój i nie potrzebujemy jego pomocy, więc nawet nocę zaczęli spędzać razem w zimnej chacie z dziurą w dachu. I gdybyśmy nie zanosili naszemu zarządcy ciepłych posiłków, chyba w ogóle by nie jadł.

– Martwię się o tatę. – Opal znalazła mnie pewnego dnia nad ranem, kiedy zamykałem cmentarz po nocnej warcie.

– Zostawcie mi coś ze śniadania – rzuciłem do Olafa, który skinął głową i odszedł w stronę dworku. – Dlaczego? – zapytałem. – Stało się coś?

Potrząsnęła głową.

– Jeszcze śpi – odparła. – Nie wie, że wyszłam z domu.

– Ale?

– On przestał żyć.

Zmarszczyłem brwi.

– Co masz na myśli?

– Całe dni spędza ze mną. Nigdy nie chce kłaść się spać. Wieczorami siada w fotelu i trzęsąc się z zimna, patrzy, jak ja zasypiam. Gdybym nie zmuszała go do jedzenia, to chyba nic by nie jadł. Przestał pracować, a przecież cmentarz zawsze był dla niego taki ważny.

Pokiwałem głową. Mieszkańców dworku też to trochę martwiło, ale nikt nie śmiał ingerować w jego czas spędzany z utraconą córką.

– On wygląda, jakby chciał, żeby już zawsze tak było – powiedziała Opal i pociągnęła nosem. – Ja też bym tak chciała. Po tylu latach wreszcie mogę z nim porozmawiać, mogę się do niego przytulić, ale... – Zająknęła się. – Ale czuję, jak drży, kiedy przytula moje zimne ciało. Przedwczoraj zaczął strasznie kaszleć i ma katar. Ciągłe mówi mi, że nic mu nie jest, ale siedzi ze mną w tej zimnej chacie i prawie widzę, jak wycieka z niego życie.

– Co byś chciała, żebym zrobił? – Schyliłem się po uschnięty kwiat przedzimki i zacząłem kruszyć go w palcach.

– Musicie mnie pochować – postanowiła. – Wcześniej tego nie chciałam, ale teraz wiem, że to będzie najlepsze dla taty. Musi się ze mną pożegnać,



tak naprawdę pożegnać. I będzie chyba szczęśliwy, wiedząc, że w zaświatach dołączyłam do mamy.

– Wciąż mamy za mało... – zacząłem.

– Nieważne! – Potrząsnęła głową. Jej oczy się zaszklily. – No i co z tego, że będę wiodła skromne życie w zaświatach? Najważniejsze, że będę z mamą. I będziemy razem czekały, aż tata do nas dołączy.

Do tej pory nie zastanawiałem się zbyt wiele nad bogami, ale w tej chwili uznałem, że to dranie. Na przykład taki bogaty dzieciak, zmarły w wypadku, który sam spowodował, zabijając przy tym kilka innych osób, siedł w zaświatach z mnóstwem złota, które do trumny zapakowali jego rodzice. A jak to się miało do Opal, która była gotowa odejść z tego świata z prawie pustymi rękoma, żeby tylko jej tata się nie pochorował i zaczął normalnie żyć? Jeżeli nie będzie miała tak samo albo bardziej dostatniego bytu w zaświatach... Sam gołymi rękoma udusiłbym tych bogów, którzy zdawali się w ogóle nie brać odpowiedzialności za życie, które stworzyli.

– Porozmawiam z twoim tatą – obiecałem. – Powiem też innym, co postanowiłaś.

Opal z wdzięcznością skinęła mi głową. Chyba już zawsze będę widział w pamięci te wielkie orzechowe oczy wypełnione łzami i nadzieją.

Wróciłem do dworku. Zjadłem śniadanie, ale nawet nie zarejestrowałem, co Alma mi zaserwowała. Później, zupełnie odruchowo, skierowałem się do własnej sypialni.

– Dobrze, że jesteś! – Na schodach złapała mnie Dalia. – Musisz mi pomóc.

Dałem się jej poprowadzić na poddasze. Oparte o jej łóżko stały obrazy.

– Myślisz, że się nadadzą? – zapytała.

Zmarszczyłem brwi, nie rozumiejąc.

– Wybrałam chyba te najlepsze – wyjaśniła Dalia. – Myślę, że dostanę za nie trochę pieniędzy. Nester obiecał, że zawiezie je do miasta i załatwi im miejsce na ścianie w galerii.

Był tam obraz przedstawiający strażnicę oraz kilka widoków na łąki. Spojrzałem na mroczny obraz z niewyraźnymi postaciami splecionymi w odwiecznym tańcu.

– Taniec dusz – powiedziała. – Zaczęłam go malować tuż po twoim przyjeździe. Myślę, że to moje największe dzieło.

Patrzyłem w milczeniu na obraz. Nie wiem, kto mógłby chcieć zawiesić go we własnym domu. Jak dla mnie, to można było mieć od niego koszmary.

– Niestety nie mam biżuterii, którą mogłabym oddać Opal – ciągnęła Dalia. – To, co mam, to tylko tanie plastikowe i szklane błyskotki – prychnęła z pogardą. – Wiesz, że Salomon dawał mi złoto i kamienie szlachetne w każdą rocznicę naszego pierwszego spotkania? Zapewniał, że jako pani Lawendowego Dworku muszę mieć wszystko, co najlepsze, i dobrze się prezentować. A jak jego zabraknie, to będę miała za co się utrzymać i co zabrać ze sobą do raju. Niestety wszystko, co miałam cennego, już dawno temu przepadło. – W jej głosie pojawiła się nuta żalu za tym, co utraciła.

– Co się z tym stało? – zapytałem.

– Część ukradł mi Cyrus, żeby pokryć swoje hazardowe długi. – Wzruszyła ramionami. – Czasem ludzie z dworku potrzebowali pieniędzy na jedzenie, synek Normana... Wiesz, jak to jest.

Po raz pierwszy zupełnie inaczej spojrzałem na artystkę. Zawsze wydawała mi się oderwana od rzeczywistości. Była kimś, kto mieszkał tu na doczepkę, tolerowanym przez innych, bo po prostu nie dało się jej nie lubić. Ale ona zasłużyła nie tylko na to poddasze, na którym mieszkała, lecz także na o wiele więcej.

– Dlaczego nie wzięliście ślubu? – zapytałem, zanim ugryzłem się w język.

Jako żona po dziedzicu chyba dostałaby jakąś pensję?

Dalia uśmiechnęła się tylko ze smutkiem.

– Salomon nie chciał, żebym była wplątana w sprawy Lawendowego Dworku – powiedziała po chwili milczenia. – Nie chciał, żeby gdziekolwiek w papierach zostało wpisane moje nazwisko. Uważał, że dworek i cmentarz są przeklęte... Dlatego też nie mieliśmy dzieci. A wiem, że zawsze bardzo chciał mieć co najmniej kilkoro pociech. Ale żadnej z nich nie chciał zgotować losu dziedzica.

Pokiwałem głową. Lawendowy Dworek zdawał się skarbnicą tragicznych losów. Albo po prostu przyciągał do siebie ludzi nieszczęśliwych, złamanych przez życie, takich, którzy przeżyli to, czego nikt nie powinien doświadczyć.

– Na tę chwilę jedyne, co zostało mi po Salomonie, to bransoleta ze szmaragdami – podjęła Dalia, a ja poczułem gorąco na plecach. – To był

ostatni prezent od niego tuż przed jego śmiercią. Chyba wszyscy rozumieją, że nie mogę jej oddać?

Coś zaczęło dławić mnie w gardle.

– Co prawda ostatnio ją gdzieś zapodziałam. – Dalia zmarszczyła brwi i zaczęła przekładać zwiewne ubrania leżące na łóżku. – Ale musi przecież być gdzieś tutaj.

– Na pewno się znajdzie – zapewniłem.

Już miałem wyjść, kiedy moją uwagę przykuło płótno znajdujące się na sztalugach. Niedokończone, ale już trącające najgłębsze struny w sercu.

– Na to nie patrz. – Dalia zasłoniła obraz sobą. – Muszę jeszcze go dopracować. Albo wywalić. Na pewno Roch nie powinien go oglądać...

Delikatnie odsunąłem malarkę i wpatrzyłem się w drobną bladą postać z kruczoczarnymi włosami, w różowej sukience. Trzymała przed sobą czaszkę. Było w tym obrazie coś przykuwającego wzrok. To, jak dziewczynka patrzyła na własną czaszkę. W jej oczach kryło się tak wiele uczuć.

– To jest twoje największe dzieło – powiedziałem z naciskiem. – Tamte daj notariuszowi. – Machnąłem za siebie. – Niech je sprzeda. Ale to musisz dokończyć.

– Nie jestem pewna, czy to dobry... – zaczęła.

– Muszę wyjechać, a ty skończ go przed moim powrotem – poprosiłem.

– Dokąd jedziesz? – zapytała, ale ja już zamykałem za sobą drzwi.

Wpadłem do mojej sypialni i wyciągnąłem spod łóżka torbę. Dobrze, że jeszcze jej nie rozpakowałem. Zarzuciłem ją na ramię i poszedłem do jednej z pustych sypialni. Pod łóżkiem nadal pobłyskiwało złoto i szmaragdy. Upchnąłem je między skarpetki i wycierając łokcie z kurzu, zszedłem do hallu.

– A ty dokąd? – naskoczył na mnie Samson.

– Zdobędę złoto dla Opal.

– Ale jak? Gdzie? – dopytywał.

– To nie jest ważne.

– Hola, paniczu! – Do hallu wkroczyła Alma i wzięła się pod boki. – Dokąd to idziemy bez śniadania?

– Muszę... – zacząłem, ale kucharka wzięła mnie za rękę i zaciągnęła do kuchni.

– Wszyscy wiemy, że masz cały Lawendowy Dworek i cmentarz do zbawienia, ale do takich spraw nie podchodzi się z pustym żołądkiem – mówiła, na siłę sadzając mnie za stołem.

W kuchni znów zaroilo się od ludzi i psów. Aksel chwalił się, jakich nowych sztuczek nauczył tych pchlarzy, Aster nie podnosiła nosa znad swojego notesu, Konrad planował już, co zasieje w ogrodzie wiosną, żebyśmy chociaż latem nie głodowali. Ale najgorsi byli rękodajni. Samson wypaplał im, że zamierzam zdobyć pieniądze dla Opal, i wciąż suszyli mi głowę pytaniami, skąd niby chcę je wytrzasnąć.

– Po prostu mi zaufajcie – mruknąłem, zapychając się zniechęconym już chlebem z twarogiem. – Mam swoje źródła.

– To dlaczego wcześniej ich nie uruchomiłeś? – naskoczył na mnie Norman.

– Nie pytaj, bo się dowiesz czegoś, czego nie chciałbyś wiedzieć – odparłem.

– Ale... – zaczął Olaf.

– Dajcie człowiekowi zjeść śniadanie! – wybuchła Alma. – Ma swoje źródła, to nie pytajcie i uszanujcie wolę dziedzica!

Skinałem jej z wdzięcznością głowę. Skończyłem jeść i zarzuciłem torbę na ramię.

– Wrócę jutro – oświadczyłem.

Nikt już mnie nie zatrzymywał. Nikt o nic nie wypytywał.

Szedłem polną drogą w stronę Pogorzelsk, a w mojej głowie kłębiły się najróżniejsze scenariusze tego, jak może potoczyć się przyszłość. Było tam tak wiele kuszących możliwości, tyle łatwych wyborów...

W końcu dotarłem do wsi i od razu skierowałem się do domu notariusza. Walnąłem pięścią w drzwi. Otworzyła mi żona Wachima. Zmierzyła mnie podejrzliwym spojrzeniem. Chyba nadal miała mi za złe, że w środku nocy wyciągnąłem jej męża do knajpy.

– Kochanie! – zawołała w głąb domu. – Dziedzic do ciebie przyszedł!

Notariusz, w służbowym stroju i ze starannie ufryzowanymi włosami, wpuścił mnie do domu, ale zanim zamknął za mną drzwi, upewnił się, czy nikt na ulicy mnie nie widział, jakbym był jakimś sprzedawcą kontrabandy.

– Co się stało? – zapytał, zaprowadziwszy mnie do swojego gabinetu.

– Potrzebuję twojego samochodu – walnąłem prosto z mostu.

– Słucham? – zdziwił się.

– Daj mi kluczyki do auta. – Wyciągnąłem w jego stronę rękę. – Widziałem, że macie jeszcze drugi samochód, dasz radę pojechać do miasta i sprzedać w galerii obrazy Dalii. A naszykowała ich całkiem sporo.

– Nie rozumiem, dlaczego miałbym... – zaczął Wachim.

Wstałem z krzesła i spojrzałem na niego z góry. Nie byłem bardzo wysoki, ale notariusz też nie grzeszył wzrostem, więc i tak nad nim górowałem.

– Dasz mi samochód, a ja załatwię Opal pochówek, na jaki zasługuje – powiedziałem grobowym tonem.

– Niby skąd? – pisnął.

– To już moja sprawa.

Wachim potrząsnął głową. Nie był takim wyjadaczem, jak notariusze z miasta, ale chyba przypomniał sobie, jak wysoko postawionym urzędnikiem jest, i odchrząknął, cofając się o krok.

– Wiem, kim jesteś, Maximusie Opoko – powiedział poważnym tonem. – Jesteś miejskim cwaniaczkiem. Przez wiele lat pracowałeś dla kasty...

– I co z tego? – przerwałem mu. – Każdy może się nawrócić.

– Nie tacy jak ty – oświadczył. – Długo cię obserwowałem. Jesteś oportunistą i egocentrykiem. Nie liczy się dla ciebie nikt inny. A wiesz, dlaczego zdecydowałem się zapukać do twoich drzwi? I nie myśl, że nie miałem pojęcia, że akurat w tamtej chwili uciekałeś przed swoim wściekłym szefem.

– Słucham – rzuciłem, krzyżując ramiona na piersi, ale w mojej głowie notariusz zyskał dodatkowe punkty. Czyli jednak nie był takim naiwniakiem, za jakiego go brałem.

– Bo potrzebowaliśmy twojej krwi! – sapnął. – Roch przez lata radził sobie z cmentarzem wręcz śpiewająco! Nie mieliśmy żadnych incydentów. Żaden pijany dziedzic nie porwał kobiet ze wsi. Żaden nie mordował naszych mieszkańców! Bo wszyscy dziedzice to plaga!

– A Salomon? – wtrąciłem.

– Trafił nam się jeden uczciwy na sto lat! – prychnął Wachim. – I tylko brak krwi Muertonów utrudniał zarządcy i jego rękodajnym pracę. Gdyby nie to, nigdy nawet nie zacząłbym cię szukać! Twoja obecność tutaj okazała się porównywalna do wsadzenia kija w gniazdo szerszeni i jeszcze zakręcenia nim!

W gabinecie notariusza na chwilę zapanowała cisza. Facet był naprawdę poruszony. Jego klatka piersiowa unosiła się i opadała w przyspieszonym tempie. Na czoło wystąpiły mu kropelki potu. Chyba nadal był wstrząśnięty po tym, jak nie dość, że poinformowaliśmy go kilka dni wcześniej, że odnaleźliśmy szczątki Opal, to jeszcze poprosiliśmy go, żeby zapewnił jej nielegalny pochówek, za co mógł stracić uprawnienia i wylądować w więzieniu.

– Czyli się rozumiemy! – Z radością klepnałem go w ramię. – Dasz mi teraz swoje auto i nie będziesz pytał, skąd mam złoto i diamenty, które przywiozę, a tylko przybijesz nad nimi pieczętkę notariusza.

Wachim posłał mi zmęczone spojrzenie, a ja wyciągnąłem w jego stronę rękę.

– Robię to tylko dla Opal i Rocha – westchnął, dając mi kluczyki. – Masz w ogóle prawo jazdy? – zapytał.

– Oczywiście! – skłamałem. – Jako kurier kasty powinienem, prawda?

## Rozdział 35

Jechałem w stronę Żaropola, wciąż tak naprawdę niepewny, co zrobię. Po drodze zatrzymałem się na stacji benzynowej na kawę i kanapkę (drobniaki znalazłem w podłokietniku auta). W jednej ręce trzymałem papierowy kubek, w drugiej kawałek chleba z serem i oparłem się o maskę samochodu. Musiałem pomyśleć. To, co zamierzałem zrobić... Raz, że to było po prostu szaleństwo. A dwa, oddanie wszystkiego, co miałem, też było głupie. Niebezpieczne, ryzykowne, idiotyczne... Miałem to złoto wyciągnąć dopiero wtedy, kiedy sam Diogenes i całe miasto zapomną o moim istnieniu.

Zawiał wiatr, otulając mnie chłodnym oddechem, niosąc znad bezkresnych łąk zapach przedzimek, które tu jeszcze nie zdążyły zamarznąć. A jednak byłem to winien Opal, Rochowi, rękodajnym, służbie dworku...

Potrząsałem głową. Nic nie byłem im winien. Nie zrobili dla mnie nic poza tym, co ja zrobiłem dla nich. Owszem, zdarzyła się tragedia, ale przecież to nie moja wina!

Zjadłem ostatni kęs kanapki i popiłem go kawą. Kubek wyrzuciłem do śmieci i wsiałem za kierownicę. Nic nikomu nie byłem winien.

Zerknąłem na siedzenie pasażera, na którym leżała spakowana torba, a w niej, zawinięta w skarpetki, tkwiła złota bransoleta ze szmaragdami. Naprawdę zamierzałem uciec w siną dal czy tylko sam siebie oszukiwałem? Łudziłem się, że nadal jestem tym podłym i zdradzieckim typem, który może ograbić bliskich i odejść, nie oglądając się za siebie?

*Dbaj tylko o siebie, bo nikt inny nie zadba o ciebie.* Tego nauczył mnie Diogenes. Te słowa pobrzmiwały w mojej głowie, kiedy Karl i Artes

okładali mnie pięściami, kiedy uciekałem przed nimi kanałami ściekowymi. Ta mantra pozwoliła mi przeżyć tyle lat na ulicy.

Było późne popołudnie, kiedy dojechałem do miasta. Samochód zostawiłem na parkingu w samym centrum. Dałem monetę parkingowemu. Głupio by było, gdyby zablokowali mi koła za nieopłacenie miejsca postojowego.

Ruszyłem przed siebie ponurymi ulicami, chłonąc wzrokiem znajome widoki. Bogowie, jak mi brakowało tego miejsca. Tego zapachu pysznego jedzenia z knajp mieszającego się z dymem z licznych kominów. Tutaj mało kto znał moją twarz. Mógłbym przepaść w tłumie i nikt nawet by tego nie zauważył. Nie ciągnęło się za mną słowo: *dziezic*. Tutaj nikogo nie obchodziło, kim jestem ani co zamierzałem zrobić.

Zmierzchało, kiedy dotarłem na Szanty. Przemierzałem ciemne ulice, mijając ludzi zniszczonych życiem i łzami. Zdawali się mnie nie rozpoznawać. I dobrze. Choć w głębi serca poczułem trochę urazy, że tak szybko zapomnieli o Maxie – koleśiu od tanich łez. W oddali mignął mi obszerny brązowy płaszcz, ale Szczur raczej mnie nie zauważył, bo na pewno podszedłby, by coś wyżebrać.

Odnalazłem jedną ze starych kamienic i bez wahania przekroczyłem próg bez drzwi. Najpierw przywitało mnie ostrze pradawnego harpuna na ryby czy inne potwory morskie.

– To ja – rzuciłem.

Tytus zmarszczył krzaczaste brwi. Nawet on mnie teraz nie poznał. Może i w ostatnich tygodniach nie powodziło nam się w Lawendowym Dworku, ale mimo to i tak jedliśmy znacznie lepiej niż szancierze.

– To ja, Max – dodałem.

– Max? – Tytus ewidentnie się zdziwił. – Ty żyjesz? Diogenes twierdził, że cię załatwił.

– Nie tak łatwo się mnie pozbyć – zapewniłem, ciesząc się, że duma mojego byłego szefa kazała mu kłamać na temat mojej śmierci. I dobrze, dzięki temu stałem się człowiekiem niewidzialnym. – Potrzebuję noclegu – powiedziałem. – Tylko jedna noc. – Poklepałem się po kieszeniach i rzuciłem mu sztylet po Kalisteronie. Oczywiście brakowało w nim kamieni szlachetnych, które zabrał Roch, ale i samo ostrze przedstawiało pewną wartość na Szantach.



- Jedna noc - zastrzegł Tytus. - I więcej nie chcę cię widzieć, bo sprowadzisz na mnie kłopoty.

Pokiwałem głową, po czym udałem się za nim do pokoju o mdłych zielonych ścianach. W oknie, w którym jeszcze kilka tygodni temu była szyba, teraz ziała wielka dziura. Poczułem trochę wyrzuty sumienia, że nie zabrałem ze sobą nic do jedzenia. Tytus na pewno nie pogardziłby twarogiem Almy. Ani świeżym chlebem.

- Jak chcesz, to się zdrzemnij, ja mam kilka spraw do załatwienia - oświadczył mężczyzna, po czym zostawił mnie samego.

Udałem, że moszczę sobie posłanie na starej, cuchnącej wersalce, ale gdy tylko zostałem w kamienicy sam, wyjrzałem na ulicę, czy nikt się tam nie kręci. Na szczęście nic nie przykuło mojej uwagi. Wyjrzałem na wewnętrzny dziedziniec kamienicy. Wyglądał tak samo jak wtedy, gdy byłem tu ostatni raz. Namierzyłem wzrokiem jedyny czarny kamień w bruku i uśmiechnąłem się do siebie.

Czekałem jak na szpilkach, aż zapadnie zmrok. Oczywiście wtedy na Szantach zaczynało się życie, ale mało kto płatał się wtedy w pobliżu domu Tytusa. No i nikt w ciemnościach nie zauważył, jak kręcę się po dziedzińcu. Zrobiło się naprawdę zimno. Temperatura zbliżała się na pewno do zera, ale ludziom na Szantach to nie przeszkadzało. Jakoś radzili sobie z zimnem, zapomnieniem i głodem.

Żeby zająć czymś myśli, zajrzałem do mojej torby. Odnalazłem bransoletę Dalii. Bogowie, ludzie na Szantach zabijaliby się dla niej. Gdybym znalazł dobrego pasera, dostałbym za nią tyle kasy, że spokojnie przeżyłbym kilka tygodni. Ostrożnie odłożyłem ją na miejsce i wysypałem na wersalkę moje czyste, ciepłe ubrania. Przydadzą się Tytusowi. Tak więc w torbie została mi jedna para skarpetek i ukryta w nich bransoleta.

Kiedy zrobiło się zupełnie ciemno, wyszedłem przez okno na dziedziniec. W dłoni dzierżyłem łom. Nawet z zamkniętymi oczami odnalazłbym odpowiedni kamień. Podważyłem go metalem. Ustąpił nad wyraz łatwo. Zanurzyłem dłoń w małej, czarnej otchłani, która pojawiła się przede mną. Przez ułamek sekundy przeraziłem się, że nic tam nie ma, lecz wreszcie moje palce trafiły na miękki materiał. Wyciągnąłem całkiem spory woreczek pełen złota i diamentów. Wystarczy na godny pochówek dwunastolatki.

Diogenes myślał, że ukradłem złoto strachowi wracającemu z cmentarza. Mylił się, o czym wiele razy go zapewniałem. Tak naprawdę ograbiłem jego tajny sejf. Wyciągnąłem z niego cały worek złota i diamentów, które mogłyby zapewnić mi nowe życie daleko stąd. Problem polegał na tym, że skoro mój szef zorientował się, że został okradziony, przez kilka najbliższych lat nie mogłem spieniężyć tych dóbr. Ale to nic nie szkodzi. Bezpiecznie ukryte czekały na mnie i na lepsze czasy. Nawet Diogenes nie wiedział, że tu są, a nikomu normalnemu nie przyszłoby do głowy szukać złota na Szantach.

Pospiesznie wróciłem przez okno do kamienicy, schowałem woreczek do torby, zarzuciłem ją na ramię i wyszedłem na ciemną ulicę. Jakiś żul zaczepił mnie, prosząc o łzy, ale odtrąciłem go, po czym zostawiłem Szanty i wszystko, co sobą reprezentowały, daleko za sobą.

Wkrótce dotarłem na parking w centrum miasta. Kilka metrów przede mną znajdował się zielony samochód notariusza. Poczułem, że właśnie w tej chwili znajduję się na wielkim rozdrożu. Mogłem wrócić do Lawendowego Dworku, oddać wszystko, co miałem, na pogrzeb dziewczynki, która zginęła trzynaście lat temu. Mogłem też zapakować się do auta, odjechać gdzieś daleko stąd, sprzedać samochód oraz bransoletę Dalii i za uzyskane pieniądze przeżyć kilka ładnych miesięcy, po czym zacząć wszystko od nowa. Krok za krokiem zielone auto było coraz bliżej, a ja skłaniałem się coraz bardziej ku temu drugiemu wyjściu. Jako dziedzic cmentarza zginę tragiczną śmiercią. Nie za rok, nie za dwa, ale za dziesięć czy piętnaście. Moja śmierć była tam pewna i tragiczna. Dlaczego miałbym się aż tak poświęcać?

Nagle, jakby spod ziemi, wyrosła przede mną ciemna postać w płaszczu i kapturze.

Zatrzymałem się gwałtownie i sięgnąłem do paska po łom. Zdzielę delikwenta po łbie, to odechce mu się zaczepiać obcych...

– Max? – usłyszałem.

Gwałtownie się zatrzymałem. Znałem ten głos.

– Naprawdę żyjesz? – Postać zdjęła z głowy kaptur. Ujrzałem piękne oblicze, okolone burzą ciemnych loków.

– Penelopa? – zdziwiłem się.

– Musisz stąd uciekać! – rzuciła.

– Co? – zdziwiłem się.

– Tytus na ciebie doniósł – zaczęła gorączkowo wyjaśniać. – Już całe miasto wie, że wróciłeś. Ale nie możesz tu zostać, dorwą cię.

– A to kawał chuja! – zezłościłem się, oglądając się za siebie.

– To nie jego wina – zapewniła. – Diogenes ma Lanę, jego żonę. Karmi ją łożami i kazał Tytusowi dać znać, jeśli kiedykolwiek pojawisz się na Szantach.

Skinałem głową. To było podobne do mojego byłego szefa – wykorzystać kobietę uzależnioną od łoż i zagrozić jej mężowi, że jeśli mnie nie zdradzi, jego żona umrze w męczarniach. Ale ja nie zamierzałem przecież zatrzymywać się dłużej w mieście.

– Uciekaj stąd i nigdy nie wracaj – poleciła Penelopa.

Zawiał mocniejszy wiatr, szarpiąc połami jej czarnego płaszcza, a ja zobaczyłem duży, zaokrąglony brzuch.

– Jesteś... – zacząłem.

– Uciekaj i nigdy nie wracaj! – Odwróciła się na pięcie i odeszła.

Wtem coś z boku przykuło moją uwagę. Ktoś stał pod ścianą budynku i zaciągnął się papierosem. Przez ułamek sekundy żar rozjaśnił szczurzą twarz, po czym postać zniknęła za rogiem. A więc nie tylko Tytus donosił Diogenesowi. Szef naszej małej kasty wykupił sobie więcej nieszczęśników z Szant, między innymi Szczura. I byłem pewien, że ten koleś nawet się nie zawaha i na mnie doniesie. A może to on zauważył mnie pierwszy na Szantach i śledził mnie teraz na rozkaz Diogenesa? A jeśli widział, jak...? Zrobiło mi się gorąco. Mocniej ścisnąłem pod pachą torbę z kosztownościami.

Wsiadłem do auta, odpaliłem silnik i ruszyłem z piskiem opon. Wyjechałem z parkingu i zamiast w stronę wylotu z miasta skierowałem się ku starej bibliotece. Szybko dostrzegłem na chodniku postać w czarnym płaszczu. Wyprzedziłem ją i zatrzymałem się na poboczu. Wsiadłem z samochodu i podbiegłem do Penelopy.

– Szczur nas widział! – Złapałem ją za ramiona.

– Co? – zdziwiła się.

– Szczur, kolejny z donosicieli Diogenesa, widział nas razem! Na pewno doniesie mu, że mnie ostrzegłaś!

Penelopa zbladła. Oparła dłonie na swoim brzuchu, jakby chciała go osłonić.

– Zabiorę cię stąd – obiecałem i pociągnąłem ją za łokieć.

– Ja nie mogę! – jęknęła. – Moje mieszkanie, mam tam...

Gwałtownie zatrzymałem się i odwróciłem ku niej.

– Czy masz tam coś cenniejszego niż to dziecko? – wycedziłem.

Powoli pokręciła głową.

– To pakuj się do auta, zabiorę cię do mnie – zapewniłem.

Niemal siłą posadziłem ją na fotelu pasażera. Sam usiadłem za kierownicą i odpaliłem silnik. Bez żadnych przeszkód dotarliśmy na obrzeża miasta. Nikt nas nie zatrzymywał, zdawało się, jakby nikt nawet nie widział zielonego samochodu notariusza pędzącego przez ciemny Żaropol.

– Jedziemy do domu – powtórzyłem, gdy minęliśmy tablicę z przekreśloną nazwą miejscowości.

I w tamtej chwili głęboko wierzyłem w to, że Lawendowy Dworek stał się moim domem.

Mijaliśmy kolejne miasteczka, lasy i łąki, a mnie nie dawało spokoju jedno pytanie.

– Czy to dziecko jest...? – zacząłem, nie potrafiąc dokończyć pytania.

# Rozdział 36

– Nie. – Penelopa potrząsnęła głową. – To nie jest twoje dziecko.

Odetchnąłem z ulgą, a jednocześnie poczułem pewien żal. Potrząsnąłem głową. Ostatnie, czego było mi trzeba, to dziecko. Zresztą i tak pewnie nie pamiętałoby ojca, bo nie przepowiadałem sobie długiego życia jako dziedzic cmentarza osobliwości.

Zatrzymałem samochód tuż przed progiem dworku. Wsiadłem i otworzyłem drzwi od strony pasażera. Penelopa, która usnęła w drodze, drgnęła nerwowo.

– Jesteś bezpieczna – zapewniłem, wyciągając do niej dłoń.

Oparła na niej palce i wysiadła, z podziwem patrząc na budynek górujący nad nami.

– Co tu robimy? – zapytała. – Czy właściciele tego dworku nie będą na nas źli? Może nie powinniśmy...?

Objąłem ją ramieniem i wciągnąłem do płuc kwiatowy zapach jej włosów. Dała mi pieniądze, kiedy ranny i poszukiwany przez kastę spałem na jej klatce schodowej. Już wtedy musiała wiedzieć, że jest w ciąży, i nie chciała ryzykować więcej. W innym przypadku na pewno opatrzyłaby moje rany i pozwoliła zatrzymać się w swoim mieszkaniu.

– Max! – W hallu natychmiast powitała nas ochmistrzyni. Zupełnie jakby spała na schodach w tej swojej czarnej sukni i gorsecie.

Penelopa spięła mięśnie, jakby była pewna, że zaraz nas stąd wyrzucą. Mocniej zacisnąłem dłoń na jej ramieniu, żeby dodać jej otuchy.

Do hallu wpadli Norman i Samson. Pewnie właśnie skończyli wartę.

– Na cmentarzu spokój? – Chciałem się upewnić.

Pokiwali głowami.

– Czy masz...? – wypalił prosto z mostu Norman.

Pewnie spodziewali się, że albo już nigdy nie wrócę, albo przywiozę worek złota. Ale nikt nie podejrzewał, że przyprowadzę do dworku ciężarną kobietę.

Drzwi od sali balowej huknęły, gdy przeszła przez nie kucharka.

– Dobrze, że jesteś! – zawołałem na jej widok. – Zaopiekujesz się moją przyjaciółką? – poprosiłem.

Zdumiona Alma skinęła powoli głową.

– Daj jej coś do jedzenia i zaprowadź do mojej sypialni – poleciłem. – Mam nadzieję, że nie przestaliście tam grzać...

Kucharka wyciągnęła dłoń w stronę Penelopy, ale ta jeszcze mocniej do mnie przywarła.

– A jeśli właściciele... – zaczęła, patrząc na mnie w panice.

– To ja jestem właścicielem – zapewniłem, a w jej oczach odmalowało się niezrozumienie. – Jestem dziedzicem i tutaj nikt cię nie skrzywdzi – obiecałem.

– Chodź, biedactwo. – Alma łagodnie ujęła dłoń Penelopy i pociągnęła ją w stronę kuchni.

Kobieta przez ramię rzuciła mi jeszcze spłoszone spojrzenie, ale jak ostatni kretyn pokazałem jej uniesiony kciuk.

– Dobra, a my mamy trochę spraw do załatwienia – rzuciłem do Aster i rękodajnych.

Ruszyłem do gabinetu. Bogowie, panował tu lodowaty chłód. Jeśli przez całą zimę nie będziemy ogrzewać całego dworku, to chyba wszędzie wlezie nam grzyb. Ale przecież to żaden problem w porównaniu z tym, z czym do tej pory się mierzyliśmy.

– Co udało ci się załatwić? – zapytał Samson od razu.

Rzuciłem na stół moją torbę, wyciągnąłem z niej czarny woreczek i przekazałem go rękodajnemu.

– Kochani bogowie! – jęknęła ochmistrzyni, kiedy Samson wysypał na dłoń kilka złotych, inkrustowanych monet i diamentów. – Przecież za coś takiego grozi kryminal! – wybuchła.

– Niby za co? – burknął Norman, biorąc od kolegi woreczek, w którym znajdowało się jeszcze więcej złota, drogocennych kamieni, a nawet sam obsydian.

– Przecież to na pewno jest z nielegalnego źródła! – ciągnęła Aster. – Nie możemy zapakować czegoś takiego do trumny Opal!

– To jest mój zachówek – zapewniłem, grożąc jej palcem. – Bogactwo zbierane przez kawał życia. I żadne prawo nie zabrania mi oddania go potrzebującej duszy.

Opal nigdy się nie dowie, że to kradzione złoto, a bogów tak naprawdę nie będzie to obchodziło. Tylko ja będę musiał odpokutować za kradzież od Diogenesa. Ale przecież nigdy nie sądziłem, że od razu po śmierci udam się do raju, prawda?

– Mimo wszystko... – zaczęła Aster.

– Moja droga – odezwał się Samson. – Po raz pierwszy w życiu zamilcz. Ochmistrzynię zatkało.

– Jeśli dziedzic mówi, że to legalne bogactwo, to nie możemy przecież się z nim spierać, co nie? – Z naciskiem wypowiedział ostatnie słowo.

Ochmistrzyni z niechęcią pokiwała głową.

– A więc załatwione! – Norman zatarł dłonie. – Idę zawiadomić Rocha i Opal. A wy wyślijcie wnuka Almy do wsi po notariusza.

– Ja po niego podjadę – zapewniłem. – I przy okazji oddam mu auto.

– Nawet nie zapytam, czy pożyczylesz je za jego zgodą, czy bez – rzuciła Aster, a ja posłałem jej rozbrajający uśmiech.

Nie spałem już od dwóch nocy, ale jakimś cudem wciąż rozpieierała mnie energia. Czułem, że mogę przenosić góry. Pojechałem do wsi po Wachima i niemal siłą zapakowałem go do auta.

– Przybijesz pieczętkę nad każdą monetą, którą włożymy do grobu Opal – groziłem podczas drogi do dworku. – Nad każdym diamentem. I nigdy nie zapytasz, skąd je mamy.

– Jak nic, wszyscy pójdziemy siedzieć – westchnął notariusz, ale się nie sprzeczał.

Kiedy dotarliśmy do domu, Alma wraz z Aster zaprosiły go do jadalni na kawę.

Ja zaś po drodze do sypialni wpadłem na Dalię.

– Zobacz, kochana, co znalazłem w sali balowej – zagadnąłem, wyciągając z kieszeni złotą bransoletę ze szmaragdami.

– Dziękuję! – Artystka rzuciła mi się na szyję, choć dałbym głowę, że wiedziała, że to ja zwinąłem jej biżuterię. Żadne z nas nie drażyło tematu.

Minąłem portrety kolejnych dziedziców, którzy patrzyli na mnie jak na jakiegoś wyrzutka, ale tym razem miałem ich głęboko gdzieś, po czym zapukałem do własnej sypialni.

– Proszę – rozległ się z wewnątrz melodyjny głos.

Otworzyłem drzwi i zajrzałem do środka. Penelopa w kolorowym szlafroku siedziała przy toaletce i czesała włosy.

– Jak się czujesz? – zagadnąłem, siadając na łóżku.

– Poranne mdłości mi minęły, jeśli o to pytasz – odparła. – Wszyscy są bardzo mili. Kucharka poczęstowała mnie śniadaniem, a starsza pani w kolorowej sukni dała mi ten szlafrok. Tylko jeden facet z bliznami na twarzy burknął na mój widok coś o tym, że ma już omamy.

– To na pewno był nasz zarządca – zaśmiałem się. – Wygląda na wrednego typu, ale jak go bliżej poznasz, zobaczysz, że to prawdziwy misiek do tulenia.

Penelopa zmarszczyła brwi, nie do końca przekonana.

– Maximusie – zaczęła poważnie. – Powiedz mi, proszę, jak to się stało?

– Ale co? – zdziwiłem się.

– Ostatnim razem, gdy cię widziałam, ponad dwa miesiące temu, siedziałeś, ledwie zapiąc, na moich schodach. Jakim cudem zostałeś właścicielem tego dobytku? – Uniosła obie dłonie. – Czy mam się spodziewać, że zaraz przejrzą twoje kłamstwa i wywalą nas stąd na zbity pysk?

– Jestem dziedzicem. – Uderzyłem się pięścią w pierś. – W moich żyłach płynie krew Muertona, hrabiego, który dwieście lat temu władał tą ziemią.

– Zatem jaki jest haczyk? – zapytała, jak zawsze nieufna.

– Żaden – zapewniłem. – No może poza tym, że oprócz dworku należy do mnie jeszcze cmentarz osobliwości.

– Jaki cmentarz? – zdziwiła się, ale ja nie miałem czasu na tłumaczenie, bo na dole rozległy się jakieś hałasy.

Oboje wyszliśmy z sypialni i stanęliśmy na szczycie schodów.

– Max! – zawołał do mnie Roch. – Ruszaj dupę, szykujemy się do pogrzebu!

Penelopa złapała mnie za rękę.

– Pogrzebu? – szepnęła.

– Tak – odparłem. – Ale to dobra wiadomość – zapewniłem i zbiegłem ze schodów.



– Idź na łąki i przekonaj moje dziecko, że powinno być pochowane na państwowym cmentarzu, bo ja już nie mam sił – oświadczył zarządca.

– To gdzie ona chce...? – zacząłem, ale znałem już odpowiedź. – Pogadam z nią – obiecałem.

W drzwiach pomachałem jeszcze Penelopie, która sprawiała wrażenie bardzo zagubionej, i ruszyłem przez łąki na nasze ulubione wzgórze. Zastałem tam Opal plotącą wianek z uschniętych traw.

– Trochę mi szkoda, że nie zobaczę przedzimek, gdy znów zakwitną – odezwała się, a ja wiedziałem, że w tym jednym zdaniu zawarła cały żal za tym, co ją ominie.

– Wiem – odparłem. – Jeżeli to coś da, to obiecuję, że kiedy na łąkach rozkwitną przedzimek, sam nauczę się pleść wianki.

– Dziękuję. – Uśmiechnęła się słabo, odrzucając kępę traw.

– A właśnie... – zagałem.

– Chcę być pochowana na cmentarzu osobliwości – oświadczyła twardo. – I nic mnie od tego nie odwiedzie. Tam mam wielu przyjaciół, nie chcę spocząć na jakimś państwowym cmentarzu wśród obcych.

– Nie dasz się przekonać?

– Nie. – Pokręciła głową. – A poza tym, tak będzie łatwiej dla was. I pan Wachim nie będzie musiał się tłumaczyć z nielegalnego pochówku na państwowym cmentarzu.

– Dobra, pogadam z twoim tatą – powiedziałem zmęczonym tonem.

Resztę dnia pamiętam jak przez mgłę. Jakieś przygotowania, papiery podpisywane przez notariusza, uprzątnięcie pustej krypty niedaleko kapliczki. Zupełnie jakbym był pijany.

O zmroku wszyscy zebraliśmy się pod dworkiem. Była tu nawet Penelopa, która na dobrą sprawę nie miała pojęcia, co się działo.

Opal nadal miała na sobie różową sukienkę i białe podkolanówki, ale i tak wyglądała jakoś tak odświętnie. Z nią na przodzie ruszyliśmy całym korowodem poprzez łąki. Nikt nie śmiał się odezwać, a jeśli już, to tylko szeptem. Opal złapała dłoń ojca i razem tak szli, aż dotarliśmy do bramy cmentarza.

Roch trzęsącymi się rękoma otworzył kłódkę i zdjął łańcuch, który zazgrzytał głośno.

Aster wystąpiła naprzód.

– Żegnaj, kochanie. – Uściskała Opal.

– Będzie dobrze – zapewniła dziewczynkę Alma.

– Nigdy nie znikniesz z naszych serc – powiedziała Dalia drżącym głosem.

Irys wsunęła suszony kwiat za ucho Opal i pocałowała ją w policzek. Konrad przytulił ją tak mocno, że jej stopy zawisły w powietrzu.

– Postaram się zadbać o twojego tatę – obiecał Gaspar.

– Szkoda, że nie chodziliśmy razem do szkoły – rzucił Aksel. – Na pewno byśmy się zaprzyjaźnili.

Później każdy z nich podchodził do niewielkiej trumny, a właściwie to starej skrzynki, którą znaleźliśmy na strychu, i żegnał szczątki dziewczyny. Każdy miał łzy w oczach, każdego dławiło w gardle. Penelopa stała z tyłu, nie chcąc przeszkadzać w ostatnim pożegnaniu, ale w pewnej chwili Opal do niej podeszła i położyła dłoń na jej brzuchu.

– Lawendowy Dworek już nie będzie przeklęty – zapewniła. – Max wszystko zmienił. Będziecie tam bezpieczni. – Uśmiechnęła się do niej ciepło.

– Patrzcie! – odezwał się nagle Aksel. – Śnieg!

Wszyscy zadarli głowy. Z nieba sypały się majestatycznie wielkie białe płatki. Bezgłośnie lądowały na ziemi, na naszych głowach i ramionach.

– Lubię śnieg – powiedziała Opal, po czym skinęła notariuszowi głową.

– Chodźmy – szepnął Wachim.

Dziewczynka pierwsza przekroczyła bramę cmentarza. Tuż za nią szedł jej tata, a dalej Nester, który wciąż nerwowo się rozglądał na boki. Zabawne, jako notariusz facet musiał spędzać sporo czasu na państwowych cmentarzach, ale cmentarz osobliwości przyprawiał go o dreszcze.

– Dusze śpią – zapewniłem.

Trumna, którą dźwigałem razem z rękodajnymi, zdawała się zbyt lekka. Tak niewiele szczątków zostało po Opal, tak mało złota zdołaliśmy dla niej zbierać.

– No nie wiem – mruknął Samson, wskazując Florę.

Wiecznie różowo-białe kwiaty były tylko na wpół zamknięte i poruszały się lekko, wciąż nas obserwując.

– Nikt nie przeszkodzi w tym pogrzebie – powiedziałem pewnym głosem.

– Nawet Żabol.

Za nami rozległ się metaliczny dźwięk. To Konrad zawinał łańcuch wokół bramy. Razem z pozostałymi mieszkańcami dworku nie miał wstępu na cmentarz.

Szliśmy jasną ścieżką zarządcy. Zamarznięty piasek chrzęścił pod naszymi butami, opad śniegu przybrał na sile. O tej godzinie dusze powinny spać, ale im dalej szliśmy, tym mocniejsze miałem wrażenie, że jesteśmy obserwowani. Nie wiem, jak to się stało, jak Opal to sprawiła, ale chyba nie było na tym cmentarzu duszy, która nie żywiłaby do niej sympatii. No, może pomijając Śmierciana.

Coś zaszeleściło w zaroślach. Wachim błyskawicznie odskoczył na bok, a rękodajni zaczęli uśmiechać się pod nosami, kiedy do lotu zerwał się niewielki ptak.

Zatrzymaliśmy się przed pustą kryptą zbudowaną na planie ośmiokąta, z kopułą na szczycie, i ustawiliśmy trumnę na wcześniej przygotowanych belkach.

– Dziś oddajemy bogom duszę Opal Garłacz, zmarłej dwunastego października roku tysiąc siedemset osiemdziesiątego piątego – odezwał się notariusz.

Dziewczynka wyszła na przód, a Wachim zmarszczył brwi. Chyba jeszcze nigdy nie zdarzyło się, żeby odprawiał czyjś pogrzeb w obecności jego duszy. Zazwyczaj najpierw chowano ciało, a dopiero po kilku dniach sprawdzano, czy zniknęło z grobu wraz z zachowkiem. Jeśli tak było, to po jakimś czasie można było w tym samym grobie pochować następnego klienta. Jednak prawie wszyscy mieliśmy coś na sumieniu i często okazywało się, że w grobie znajdowano duszę – wypaczonego stwora, który musiał odbyć na ziemi swoją pokutę. Ale o tym wiedzieli tylko notariusz i opiekunowie cmentarza. Ani znajomi, ani rodzina zmarłego nie mogli uczestniczyć w pogrzebie, żeby nikomu nie przyszło czasem do głowy zakraść się do grobu w nocy, aby opróżnić go ze złota.

Tak więc i dla nas to wszystko było nowością.

– Bogowie Synowie stworzyli cię chciwą i żądną krwi – ciągnął Wachim. – Ale Ojciec dał ci dobroć, chęć pomocy innym, a przede wszystkim wolną wolę. Od ciebie zależało, jakie życie wiodłaś i co zanieiesz swoim bogom. Żegnamy cię, Opal Garłacz, ale nie na zawsze, bo pewnego dnia wszyscy spotkamy się w raj.

I tyle. Ceremonia była krótka i treściwa. Zresztą po co się bardziej wysilać, skoro nikt inny nie miał jej oglądać?

Norman, Samson i Olaf po kolei podeszli do Opal i ją uściskali. Kiedy zaś przyszła pora na mnie, nie wiedziałem, jak się zachować. To ona zawiesiła się na mojej szyi, tuląc policzek do mojej klatki piersiowej. Była taka lekka i taka zimna. Po raz pierwszy tak naprawdę poczułem, że nie należała już do naszego świata, że tylko się tu męczyła.

– Dziękuję – szepnęła.

Chciałem jej powiedzieć, że nie ma przecież za co, ale podeszła już do swojego taty. Roch wyglądał, jakby zaraz miał się załamać. Albo wziąć trumnę pod pachę i uciec z nią daleko stąd, żeby tylko nie musieć żegnać swojego jedyne dziecko.

– Do zobaczenia, tato – powiedziała, tuląc się do niego. – Będziemy z mamą na ciebie czekać.

Wiedziałem, że do końca życia zapamiętam widok tych wielkich, pomarszczonych i całych w bliznach dłoni obejmujących wąskie plecy córki.

Nawet Wachimowi zaszklily się oczy.

– Żegnamy cię, Opal Garłacz – powtórzył. – Ale nie na zawsze.

Wsunął palce do woreczka z popiołem, po czym narysował na trumnie koło i wpisał w nie trójkąt: symbol naszych bogów. Później dał nam znać, abyśmy wstawili trumnę do krypty. Malutkie, kamienne pomieszczenie było zimne i ponure. Wiedziałem, że Opal od razu powinna powędrować do raj, ale właśnie w tamtej chwili opadły mnie wątpliwości. A jeśli coś poszło nie tak? A jeśli to nie jej szczątki? A jeśli bogowie z tylko sobie znanych przyczyn wyznaczają jej pokutę? Nie chciałem, żeby spędziła w tej krypcie chociażby jedną noc.

Wyszliśmy z niej i wszyscy wpatrzyliśmy się pytająco w notariusza.

– To już? – odezwała się Opal. – Powinam coś zrobić? – W jej głosie pobrzmiwała panika.

Wachim odchrząknął. On chyba też nie miał pojęcia, co teraz.

– Tak, to już – odpowiedziała sama sobie.

Na jej twarzy rozgościł ciepły uśmiech, w oczach nie można już było dostrzec nawet śladu po łzach. Właśnie miała przed sobą nowe, wieczne życie. Jej twarz pojaśniała, zaczął bić od niej złoty blask. Jeśli

kiedykolwiek wątpiłem w raj, widok Opal w tamtej chwili przekonał mnie, że miałem powód, aby zmienić moje dotychczasowe życie.

Nagle dziewczynka zamieniła się w cały rój błyszczących fioletowo-złotych drobinek. Zadarła głowę i wpatrzyła się w niebo, a sekundę później drobinki rozpięchły się, tracąc ludzki kształt, i uleciały wzwyż, znikając między gałęziami drzew.

Nie wiem, jak długo staliśmy w miejscu, niezdolni do żadnego ruchu. Chyba całą wieczność. Założę się, że nawet Wachim jeszcze nigdy nie widział czegoś takiego.

– Chyba możemy już wracać – odezwał się notariusz.

Pokiwaliśmy głowami.

Śnieg zdążył już przykryć całą ziemię cienką warstwą bieli.

– Ja zostanę jeszcze trochę – powiedział zachrypniętym głosem Roch. – Chcę się upewnić.

– Wy idźcie, ja poczekam z nim – polecił nam szeptem Samson.

Stanął trochę z boku, żeby nie przeszkadzać zarządcy, a jednocześnie mieć pewność, że ten nie robi nic głupiego.

Nie odezwaliśmy się ani słowem, gdy wychodziliśmy z cmentarza ani przez całą drogę do dworku. Ku mojemu zdziwieniu w kominku w jadalni palił się ogień, a stół był zastawiony jedzeniem. Skromnym, ale znacznie lepszym niż to, co jedliśmy ostatnio na co dzień.

Zajęliśmy miejsca, wszyscy starannie omijali temat pogrzebu.

– I co? – nie wytrzymała wreszcie Irys. – Jej dusza powędrowała do raju, prawda? Na pewno nie została na cmentarzu!

Rękodajni posłali Wachimowi pytające spojrzenie. Nikt nie powinien nawet wspomnieć o tym, co się stało.

– Oczywiście, że powędrowała! – zapewniłem.

Miałem w nosie prawa notariuszy. Ci ludzie zasługiwali na to, żeby wiedzieć. Wachim machnął tylko ręką, udając, że nie słyszy, a wtedy Olaf rozgadał się na dobre. Szczegółowo opisał całą ceremonię i to, co stało się z Opal na samym końcu, a wszyscy słuchali go jak urzeczeni. W pewnej chwili Dalia poderwała się z krzesła i z szelestem kolorowych sukni wymaszerowała z jadalni.

– A jej co? – zdziwił się Norman.

– Ma obraz do dokończenia. – Uśmiechnąłem się nieprzytomnie.

Tak dawno już nie spałem, a moja głowa nagle stała się strasznie ciężka. Nie miałem nawet siły iść do swojej sypialni, zresztą przecież odstałem ją Penelopie. Dowlokłem się więc do szezlonga stojącego przy kominku i padłem na niego. Mój umysł zarejestrował jeszcze jakieś rozmowy, ale wkrótce odpłynąłem w totalny niebyt.

Spałem co najmniej kilka godzin, a kiedy otworzyłem ponownie oczy, stół w jadalni był już pusty, ale ogień wciąż tlił się w kominku. Usłyszałem szelest i odwróciłem głowę. Penelopa siedziała w fotelu obok mnie i coś szyła. Była prostytutka z igłą i niciami – na jej widok pomyślałem, że śnię.

– Mówili, że powinieneś się wyspać – odezwała się. – Że ostatnio miałeś tak wiele na głowie...

– Nooo – przytaknąłem, siadając.

Przetarłem twarz, ale nadal czułem się dziwnie. Jakby cały świat był otoczony watą.

– Co ty szyjesz? – zapytałem, marszcząc brwi.

Penelopa uniosła małe śpioszki.

– Alma przyniosła mi mnóstwo ubranek ze wsi – odparła. – Chyba od swojej córki i jeszcze jakichś innych kobiet. Są trochę zniszczone, kilka z nich ma dziurki, ale i tak... – Wzruszyła ramionami.

Opuściła miasto dosłownie tylko w tym, co miała na sobie. A wszystko przeze mnie. Poczulem wyrzuty sumienia. Kolejna osoba, którą naraziłem na niebezpieczeństwo.

– Ostatnio było u mnie kiepsko z pieniędzmi – podjęła. – Staralam się zaoszczędzić, ile mogłam, ale kiedy mój brzuch zrobił się widoczny, większość klientów ze mnie zrezygnowała... A ja nie umiem nic innego... – Pociągnęła nosem. – Jak mam zapewnić byt mojemu maleństwu, kiedy sama nie potrafię... – Otarła łzy.

– Może nie jesteśmy bogaci i z pewnych względów zamrozili nam pensje, ale dbamy tu o siebie nawzajem – zapewniłem. – A teraz jesteś jedną z nas i nikt nie pozwoli, żeby twojemu maluchowi czegokolwiek zabrakło.

Penelopa się uśmiechnęła.

– Max, nie poznaję cię. – Pokręciła głową.

Machnąłem ręką, nawet nie wiedząc, co odpowiedzieć.

Do jadalni wszedł Olaf. Miał na sobie kurtkę, w ręku trzymał czapkę i rękawice.

– A ty dokąd? – zapytałem.

– Na wartę – odparł. – Roch i Samson wrócili dwie godziny temu, Norman padł i nie mogę go dobudzić...

Rękodajny był blady i miał cienie pod oczami. Też musiał nie spać od dawna.

– Ja pójdę. – Zwlokłem się z szezlonga.

– Nie no, daj spokój, to będzie spokojna warta, wszystkie dusze wręcz chodzą na palcach.

– Zdrzemnąłem się i teraz czuję się jak młody bóg – stwierdziłem. – A skoro ta warta jest taka prosta, to ją przejmę.

Olaf wahał się przez chwilę, ale rzeczywiście musiał być padnięty, bo w końcu pokiwał głową.

Ubrałem się ciepło i wyszedłem w noc. Śnieg nadal prószył, skrzył się na łąkach w świetle księżyca, nadając światu magiczny wygląd. Schyliłem się, nabrałem garść, ulepiłem śnieżkę i rzuciłem w dal. W mojej głowie pojawiła się wizja, jak kilkuletni dzieciak Penelopy lepi pod dworkiem bałwana. Pomaga mu znacznie starszy Aksel. Wokół szaleją psy, a sama Penelopa wraz z Alną, Aster i Irys stoją na schodkach wiodących do kuchni z kubkami pełnymi parującej kawy. Wszyscy się śmieją, psy szczekają. Gaspar przynosi dziurawy garnek i wkłada na głowę bałwana.

Uśmiechnąłem się do siebie z zadowoleniem. Obiecałem Penelopie, że się odwdzięczę. Marzyła niegdyś o domku na wsi, o dziecku, psach i kurach. A ja podaruję jej to wszystko na tacy. Na bogów, zasługiwała na cały dworek, a nie tylko chatę na wsi. Zabrałem ją z miasta tak niespodziewanie. Nikt nie wie, gdzie się podziała, co się z nią stało. Nikt nie będzie jej szukał. Tutaj może zacząć nowe życie. A ja po raz pierwszy naprawdę się ucieszyłem, że przyjąłem spadek po Muertonie.

Brama skrzypnęła, kiedy ją otwierałem. Flora natychmiast zwróciła ku mnie swoje kwiaty, ale nie zaatakowała.

– Dobry. – Skinąłem jej i dałbym głowę, że się odkłoniła. – Robimy postępy. – Uśmiechnąłem się szeroko.

Jeden z kwiatów zasyczał. Może mi groził, a może przytakiwał. Bogowie tylko to wiedzą.

Cała warta rzeczywiście była czystą przyjemnością. Organy wietrzne nie grały i po cmentarzu niósł się jedynie melodyjny głos Bagniaka. Pszczelarz nawet nie wyszedł ze swojej krypty. Chyba nie lubił śniegu. Gargulec przysiadł na wysokiej gałęzi i pozwolił, żeby śnieg przykrył go niczym

kamienną rzeźbę. Żaból nawet nosa nie wyściubił ze swojej jamy. Piękna tańczyła z zadowoleniem wokół stołu. Hugo trochę podejrzanie kręcił się na samej granicy swojego terenu, ale kiedy pogroziłem mu palcem, cofnął się. Rogacz spacerował sobie gdzieś w oddali, a Anatol obgryzał podarowaną mu wcześniej kość. Tak na wszelki wypadek przeciągnąłem nożem po swoim przedramieniu i skropiłem ziemię cmentarną w kapliczce. Później przyszedł do mnie Odo i ucieliśmy sobie pogawędkę.

– Ale wie panicz, że niedługo wszystko wróci do normy? – zagadnął. – Dusze nie potrafią być długo grzeczne. To nie leży w ich naturze. Wiedzą, że powinny zachowywać się porządnie, ale czasem nie potrafią się opanować. Myślę, że to jest ostatnia złośliwość ze strony młodych bogów. Taka szpila wymierzona prosto w serce własnego ojca.

Pokiwałem głową. Choć tak naprawdę uważałem, że bogowie robili sobie sami na złość, czyniąc dusze właśnie takimi. Bo czyż nie łatwiej byłoby wszystkim, gdyby dusze nie wpadały w krwiożerczy szał i szybko mogły odbębnić swoją pokutę, żeby trafić do rajów i zanieść bogom zachowek?

– Na razie jednak zamierzam korzystać z ich dobrego humoru – powiedziałem.

Wkrótce pożegnałem się z Odonem i ruszyłem w stronę bramy. Napadało tyle śniegu, że ścieżka zarządcy zupełnie pod nim zniknęła, na szczęście już na pamięć znałem całą trasę. Zamknąłem za sobą bramę, przewiązałem ją łańcuchem i już miałem zamknąć ją na klucz, kiedy za moimi plecami skrzypnął śnieg.

Gwałtownie się odwróciłem i spojrzałem prosto w wycelowaną we mnie kuszę.

– Cześć, Max – usłyszałem znienawidzony głos.



## Rozdział 37

– Cześć, Diogenes – rzuciłem z rezygnacją.

A więc znaleźli mnie. Znaleźli mnie na samym końcu świata. Przeszłość upomniała się o mnie, a kolorowa przyszłość, o której zacząłem marzyć, właśnie roztrzaskała się z hukiem.

– Brakowało nam ciebie, wiesz? – odezwał się.

Przesunąłem wzrok z kuszy na tego, kto ją trzymał. Karl wyglądał, jakby z największą chęcią miał zaraz nacisnąć spust. Tuż obok niego z maczetą w ręku stał Artes. Diogenes postąpił krok w moją stronę, wciąż głaszcząc Słodką, która wiła się na jego ramieniu. Naprawdę kiedyś się jej bałem? Prychnąłem w duchu. Dwugłowy żółtawy wąż, nawet plujący jadem, był niczym wobec dusz na moim cmentarzu. Ale ona chyba też to wiedziała, a w każdym razie coś wyczuwała, bo co chwilę jedna z jej głów spoglądała na bramę za moimi plecami, jakby spodziewała się, że cokolwiek się tam ukrywa, zaraz ruszy do ataku.

Wtem usłyszałem jęk. Za dwójką nierozłącznych wykonawców stało kolejnych dwóch, którzy trzymali związaną i zakneblowaną Irys.

– Po co wam ta dziewczyna? – zapytałem zmęczonym tonem, ale moje myśli pędziły jak szalone. Skoro złapali Irys, musieli wedrzeć się do dworku, a tym samym zagrozili wszystkim jego mieszkańcom.

– Okazuje się, że powiedziała nam bardzo ciekawe rzeczy – odparł Diogenes.

Miał na sobie grube futro, które w mojej wyobraźni upodabniało go do gigantycznego bobra.

– Taa? – rzuciłem, gorączkowo się zastanawiając, jak mogę ocalić nas oboje.

– Byłeś martwy z chwilą, gdy znów pojawiłeś się w moim mieście – podjął szef kasty.

– Tytus mnie zdradził? – zapytałem, grając na czas.

– O dziwo nie. – Diogenes podrapał się po skąpym zarościu. – Ale z nim będę musiał się jeszcze rozliczyć.

– A więc Szczur – powiedziałem.

Diogenes z uznaniem pokiwał głową.

– I wystarczyło jechać za tobą do tego zadupia. Przy okazji, Szczur mówił, że zielone auto naprawdę łatwo śledzić. Później tylko zwołałem moich ludzi i jesteśmy.

– I co teraz? Zabijecie mnie? Proszę bardzo. – Rozłożyłem ręce. Kurde, a niby taki cwaniak ze mnie i jakoś nie zauważyłem, że ktoś za mną jedzie.

Irys pisnęła cicho, a jeden z drabów szarpnął ją za włosy.

– Upokorzyłeś mnie – odezwał się szef kasty. – Okradłeś mnie i w żywe oczy kłamałeś. A przecież tak ci ufałem, chciałem zrobić z ciebie...

– Swojego zastępcę – dokończyłem. – Ale wiesz co? Możesz sobie wsadzić głęboko w tyłek tę wspaniałą posadę. Albo nie wiem, zaproponuj ją Karłowi czy Artesowi. Zobacz, te kołki zawsze ślepo za tobą podążają.

Wykonawcy drgnęli, nie wiedząc, czy się cieszyć z komplementu, czy wkurzyć za obrazę.

– Uderzyłeś mnie krzesłem! – Wściekł się Diogenes. – I raniłeś Słodką!

– Za to akurat przepraszam. – Skinąłem głową wężowi, który zasyczał gniewnie.

Widziałem, że w moim byłym szefie aż się zagotowało. Tak bardzo chciał zobaczyć mnie błagającego o litość, a zamiast tego otrzymał kpinę. Na każdym kroku go rozczarowywałem.

– Miałeś zdechnąć jak pies – rzucił ze złością. – Miałeś nigdy nie zostać pochowany, a twoje ciało miały zeżreć ryby na dnie rzeki!

– No i? – prychnąłem. – Twoje plany trochę się walą, co nie?

– Nie, jestem elastyczny i potrafię dostosować plany do zmieniającej się sytuacji – zagrzmiał, najwyraźniej uważając się za kogoś bardzo inteligentnego. – Chciałem zabić zarówno ciebie, jak i wszystkich innych głupców, którzy staną w twojej obronie!

Zrobiło mi się gorąco. Gdzie byli pozostali mieszkańcy dworku? Czy nic im nie groziło? Czy może leżeli na ziemi już cali we krwi po spotkaniu z ludźmi Diogenesa?

– Ale ta panienka opowiedziała mi bardzo ciekawe rzeczy o cmentarzu, który ponoć odziedziczyłeś – ciągnął mój były szef.

Szlag, już wiedziałem, co zamierza.

– A skoro go odziedziczyłeś, to i odziedziczyłeś wszystkie bogactwa, które się na nim znajdują.

– To tak nie działa – rzuciłem.

Zanim się zorientowałem, Artes przywalił mi pięścią w żołądek, aż zgąłem się wpół.

– A właśnie że działa! – wybuchł Diogenes. – Pójdiesz teraz na ten cmentarz i przyniesiesz mi tyle złota, ile zdołasz unieść.

– Dusze mi na to nie pozwolą – jęknąłem.

– To zrób to tak, żeby nie widziały!

– Zabiją mnie...

– Jakoś się z tym pogodzę!

Diogenes podszedł do Irys i położył dłoń na jej ramieniu. Słodka błyskawicznie przepęzła na nią i oplótła jej szyję. Oczy dziewczyny niemal wyszły z orbit.

– Jeśli za godzinę tu nie wrócisz z workiem złota i diamentów, dziewczyna zginie – zagroził. – Tak samo jak każdy wieśniak, którego znajdę w tamtej zrujnowanej chałupie. I zacznę chyba od Penelopy! Jak myślisz, jak długo pożyje ze strzałą w tym swoim wielkim brzuchu?

Zrobiło mi się słabo. Bogowie, przez własną głupotę sprowadziłem na wszystkich takie niebezpieczeństwo. Jak miałem ich uratować? Nie ograbię przecież dusz, zresztą rzeczywiście mi na to nie pozwolą. Sam może zdołałbym się wymknąć Diogenesowi i jego czterem wykonawcom, ale co z Irys? Co z innymi?

– Wiem, co ci się teraz kłębi pod czaszką, Max – rzucił szef kasty i splunął na ziemię. – Jesteś kanciarzem, oszustem i dbasz tylko o siebie. Dlatego na wszelki wypadek, żebyś nie zwiął, tak jak zawsze to robisz, nie pójdiesz na cmentarz sam.

– Że co? – burknął Karl.

– Pójdziecie z nim – warknął Diognes. – I dopilnujcie, żeby nie spierdzielił z moimi pieniędzmi. A ja poczekam z dziewczyną tutaj.

– Ale... – odezwał się Artes.

– Już! – wrzasnął ich szef.

Karl postąpił w moją stronę.

– No dalej. – Pogroził mi kuszą.

Podszedłem z powrotem do bramy cmentarza i zacząłem zdejmować z niej łańcuch.

– Diogenes, to jest naprawdę głupi... – zacząłem.

Irys nagle opadła na kolana, rzeżąc głośno.

– Dobra, już idę – powiedziałem. – Nie uduś jej przed moim powrotem.

Przeszedłem przez bramę, czterech wykonawców podążyło za mną. Obejrzałem się jeszcze za siebie, żeby zobaczyć, jak Słodka rozluźnia się na szyi młodej służącej, a Diogenes pomaga jej wstać.

Minęliśmy Florę, która zwróciła się ku nam się z zaciekawieniem. Artes chciał się jej przyjrzeć, ale Karl odciągnął go od śmiertelnych białoróżowych kwiatów. I to był właśnie pierwszy błąd Diogenesa. Wysłał ze mną swoich najlepszych wykonawców (najlepszych, ale nie najinteligentniejszych). Wielkich ludzi, którzy potrafili innym grozić i ich bić, ale nie mieli zielonego pojęcia, co mogło stać się na cmentarzu. Gdyby posłał dowolnego stracha, ten od razu... Nie, ten nie dałby się wmanewrować w coś takiego. Żaden szanujący się strach, który miał na koncie choć jedną grabież na państwowej nekropolii, nie odważyłby się przekroczyć bramy cmentarza osobliwości.

Szedłem przed siebie po moich własnych śladach i nie miałem pojęcia, co robić. Po tak obiecującym początku dziedzicowania skończę jak każdy mój poprzednik. Nie dobiję nawet do wyniku Cyrusa, który był opiekunem cmentarza najkrócej w całej jego historii. Mogę spróbować uciec, ale co z ludźmi z dworku? Nawet jeśli zostawię wykonawców Diogenesa na pastwę dusz, nie zdołam uratować wszystkich. Nie w pojedynkę.

Szliśmy powoli, krok za krokiem. W oddali dało się słyszeć powolne stukanie kopyt Rogacza. Jeszcze nie był zły, tylko zainteresowany, dlaczego przyprowadziłem tu obcych. Nad naszymi głowami dostrzegłem Gargulca. Siedział nieruchomo na gałęzi, ale założyłbym się o wszystko, że bacznie nas obserwował. Hugo zabalgotał pytająco, kiedy mijaliśmy jego kryptę. Bagniak nadal nucił w oddali swoją melodię. Wsłuchałem się w nią i właśnie wtedy w mojej głowie zaczął pojawiać się plan. A przynajmniej pomysł, jak ujsć stąd z życiem. Co będzie dalej, się zobaczy.

– Ty dokąd?! – burknął Karl, kiedy gwałtownie skręciłem ze ścieżki. Jego kusza cały czas była we mnie wycelowana.

– Chcecie złoto? – odparłem. – To chodźcie za mną.

Ruszyłem przez zarośla, nie oglądając się za siebie. Wiedziałem, że nie strzeli. Za bardzo bał się Diogenesa, a może nawet już planował, na co wyda własną część łupu.

Wyszliśmy z krzaków u samego brzegu czarnej sadzawki.

– Co to, do kurwy nędzy, ma być?! – warknął Artes na widok siedzącego po drugiej stronie Bagniaaka.

– Dopóki śpiewa, jest zajęty sobą – powiedziałem. – A dopóki jest zajęty sobą, możemy wejść do jego krypty i nie zwróci na nas uwagi.

Nie do końca byli pewni, czy chcą to zrobić, ale starałem się zabrzmieć najbardziej przekonująco, jak umiałem. Stanęliśmy na brzegu sadzawki. Bagniak nawet nie zwracał na nas uwagi, a więc moi towarzysze z przymusu poczuli się znacznie pewniej.

– Kto pierwszy nurkuje? – zagadnąłem. – Krypta jest pod wodą.

– Chyba sobie jaja robisz! – warknął jeden z wykonawców.

Nigdy wcześniej go nie widziałem, a zatem Diogenes musiał zatrudnić co najmniej kilka nowych osób po mojej ucieczce.

– Uważaj! – Wskazałem pod jego stopy.

Kilka centymetrów od niego znajdowało się parę ciemnych kamieni ułożonych na śniegu. Facet przeszedł moje oczekiwania. Wziął zamach i kopnął jeden z kamyków, tak że ten poleciał wysokim łukiem, aż z pluskiem wpadł w sam środek sadzawki.

– Co, do kurwy... – zaczął drab, kiedy otoczyła nas cisza.

Bagniak przestał nucić. Z wściekłością spojrział na niego i ruszył do ataku. A trzeba przyznać, że szarżujący stwór stworzony z mułu, wodorostów, gałęzi i szlamu to dość przerażający widok.

– W nogi! – wrzasnąłem.

Rozbiegliśmy się we wszystkie strony. W miejscu został tylko ten nieszczęsny idiota, który tak bezmyślnie zniszczył twórczość duszy. Bagniak wpadł na niego, złapał wielką łapą za szyję, uniósł wysoko nad ziemię i z rozmachem cisnął nim w dół.

Odbiegłem kilkanaście metrów i zatrzymałem się w gęstych krzakach. Widziałem, jak dusza miotła człowiekiem niczym szmacianą lalką. Słyszałem trzask łamanych kości i rozrywanej skóry. Słyszałem krzyk przepełniony bólem i strachem, a tuż po nim nastąpił bulgot dobywający się z płuc przebitych żebrami. Na śniegu pojawiły się ciemne plamy krwi, a ja obiecałem sobie, że już nigdy nie zbagatelizuję Bagniaaka. Dałbym

głowę, że wykonawca był już nieprzytomny, a może nawet martwy, kiedy dusza złapała go za nogę i wciągnęła do swojej sadzawki. Wkrótce czarna powierzchnia wygładziła się, jakby nikt jej nie tknął, a gdzieś głęboko pod nią Bagniak ukrywał właśnie ciało kolejnego złodzieja.

Powoli wróciłem na ścieżkę zarządcy, niepewny, co dalej. Owszem pozbyłem się tych drabów, ocalałem samego siebie, ale co z Irys? Co z Penelopą i całą moją służbą? Nie mogłem ich zostawić. W oddali rozbrzmiewało gniewne bulgotanie. Żaból oczywiście też już wiedział o obcych, ale był dość powolny. Wystarczy jednak, że któryś z wykonawców znajdzie się w zasięgu jego krótkich łap albo szcurzego ogona... Cóż, i skończy w wielkim brzuchu, a dusza za kilka dni wypluje jego kości.

Naraz usłyszałem przerażające wrzaski dochodzące ze strony krypty Śmierciana. Cholera, jeżeli on się wydostał, to sam w życiu go nie zatrzymam. Znów skręciłem ze ścieżki i przedarłem się przez krzewy bez liści. Przywarłem plecami do szerokiego pnia drzewa i ostrożnie się zza niego wychyliłem. To, co zobaczyłem... Gwałtownie schowałem się za drzewem, ale ten obraz już do końca życia będę miał w pamięci. Jedyne pocieszenie, że to nie ja tam byłem.

Drugi z wykonawców Diogenesa musiał wpaść na kratę Śmierciana, potknąć się i upaść na nią klatką piersiową. Dusza znajdująca się pod spodem tylko na coś takiego czekała. Nie mogła dorwać dziedzica, ale najwyraźniej postanowiła zadowolić się tym, co zdobyła. Ujrzałem długą chudą rękę z czarnymi pazurami, która przebiła się przez cały tors człowieka i wystrzeliła ku niebu z jego pleców. Nie stałem tam dłużej, żeby sprawdzić, co dalej. Założę się, że Śmiercian raz po raz zadawał biedakowi kolejne rany i rozkoszował się krwią spływającą przez kraty na jego zaszytą gębę.

Wtem usłyszałem bicie kamiennych skrzydeł, charakterystyczny skrzek, a tuż po nim kolejny ludzki wrzask.

– Trzeci – szepnąłem do siebie.

Dotarły do mnie huk łamanych gałęzi opadających na ziemię i wołanie o pomoc, które urwało się gwałtownie do wtóru głuchego łupnięcia.

Nie miałem pojęcia, co się stało z czwartym wykonawcą, ale uznałem, że żaden z nich nie stanowi już dla mnie zagrożenia. Co sił w nogach popędziłem w stronę wyjścia. Minałem głaz Flory, na którym leżał Karl owinięty przez liczne pnącza. Jego ciało drgało w konwulsjach, kiedy

kolejne kwiaty zanurzały swoje pełne zębów płatki w jego ciele. Spojrzał wprost na mnie wielkimi, przerażonymi oczami, a z jego ust pociekła strużka krwi. Jeszcze żył, ale trucizna krążąca w jego żyłach szybko załatwi sprawę. Olbrzymi ciemny wąż odpętał właśnie w stronę swojego bloku granitu. Czyżby nawet Cyntia ruszyła do akcji?

Brama była otwarta na oścież. Na jej szczycie, nadziany na ostre pręty, wisiał Artes. Na śniegu widniała wielka, ciemna plama. A więc Gargulec postanowił powtórzyć numer z Tobiaszem. Zrobiło mi się niedobrze i ledwie powstrzymałem zawartość żołądka przed ucieczką na zewnątrz.

Wypadłem na udeptany śnieg pod bramą. Irys klęczała na ziemi, krztusząc się.

– W porządku? – Uklęknąłem przed nią.

Na jej szyi zobaczyłem sino-czerwoną pręgę.

– Tak – wydusiła z siebie chrapliwie. – Ale on uciekł do dworku.

Spojrzałem na niewyraźne ślady na śniegu.

– Ma tam swoich ludzi – dodała dziewczyna.

– Ilu? – zapytałem konkretnie.

– Nie wiem. – Pokręciła głową. – Wielu.

Powstrzymam ich. Nie wiem jak, ale to zrobię.

Podniosłem się z klęczek i ruszyłem do nadal otwartej bramy. Musiałem ją zamknąć, żeby nic nie wydostało się na zewnątrz. Zawijałem właśnie łańcuch, kiedy poczułem na ramieniu czyjąś dłoń. Byłem pewien, że to Irys. Jakże się zdziwiłem, kiedy obejrzałem się za siebie i zobaczyłem Odonę.

– Co robisz poza cmentarzem?! – wpadłem w panikę. – Wracaj tam! – Zacząłem luzować łańcuch.

– Wiemy, po co oni przyszli – powiedział chłodnym tonem starszy dżentelmen. – I na to nie pozwolimy.

Spojrzałem w głąb cmentarza, gdzie zaczęły pojawiać się kolejne dusze. Flora, do wtóru obrzydliwego mlaskania, nadal łapczywie pożywiała się na Karlu.

– Wracajcie do swoich krypt. I tak wystarczająco mi pomogliście z tamtymi czterema – odparłem.

– Nie pozwolimy – powtórzył twardo Odo.

– Cholera! Odo! – wybuchłem. – Po co macie przedłużać sobie pokutę?!

– Większość z nas i tak utknęła tu na wieki – odparła dusza.

Irys zaczęła wymiotować, chyba na widok jego pleców i sypiących się z nich larw.

– Nie mogę was wypuścić – powiedziałem twardo.

– Sam ich nie uratujesz – stwierdził miękko.

– To najwyżej zginę, próbując! Nie wypuszczę was! – krzyknąłem za bramę. W cieniu zobaczyłem zwalistą sylwetkę Pięknej i wielkie poroże.

– Nie musisz nas wypuszczać. Wystarczy, że zapomnisz zawiązać łańcuch na bramie – odpowiedział Odo.

Spojrzałem w jego szczere oblicze. On był zbyt dobry, zbyt uprzejmy, żeby być oszukaną duszą. Czy to możliwe, że urabiał mnie przez tyle tygodni, żeby doczekać się momentu, kiedy będzie mógł uciec?

Opuściłem dłonie wzdłuż ciała, a gruby łańcuch ześlizgnął się z bramy i wylądował na ziemi.

– Proszę, spraw, żebym tego nie żałował – powiedziałem, po czym pomogłem Irys wstać ze śniegu. – Biegnij do wsi i zawiadom notariusza. Ale nikogo więcej.

Dziewczyna skinęła głową, po czym spojrzała ze zgrozą ponad moim ramieniem. Rogacz stanął właśnie przed bramą i ostrożnie pchnął ją swoim porożem. Ustąpiła z cichym skrzypnięciem.

– Max, oni... – zaczęła Irys.

– Biegnij do wsi! – krzyknąłem i ją odepchnąłem, po czym ruszyłem pędem w stronę dworku.

Za mną rozległy się ciężkie kroki, tupot kopyt i wściekłe ujadanie. Bogowie, to był chyba największy błąd w moim życiu. Ale będę się martwił, jak go naprawić, po tym, jak uratuję moich ludzi.

Coś wielkiego przebiegło tuż obok mnie. Poczuję smród zepsutego mięsa, zobaczyłem błysk czerwonego oka. Rogacz bez problemu mnie wyprzedził i stanął przede mną.

– Odejdź! – poleciłem, ale nawet nie drgnął. – Zejdź mi z drogi!

Dusza opuściła łeb.

– Chyba sobie żartujesz! – prychnąłem. – Na pewno na ciebie nie wsiądę!

Rogacz ze złością przesunął się w moją stronę i uderzył we mnie zadem, aż upadłem na ziemię.

– Przepuść mnie! – wrzasnąłem, ale on tylko zarżał cicho. – Jak sobie chcesz – burknąłem w końcu.



Niezdarnie się na niego wdrapałem i go dosiadłem. Owionął mnie okropny smród, ale nie zdążyłem nawet pomyśleć o tym, że mi niedobrze, kiedy Rogacz wyrwał z kopyta do przodu. Złapałem za wiszący na jego karku płat skóry, żeby tylko nie zlecieć. Ziemia uciekała spod łap i kopyt, para buchała z nozdrzy, grudki śniegu wzbijały się w powietrze i zanim się zorientowałem, ujrzałem ciemną bryłę budynku z jaśniejącymi oknami.

A na jej tle, niczym niedźwiedź z astmą, pędził Diogenes w swoim przesadnie grubym futrze. Widziałem, jak obejrzał się za siebie, a na jego twarzy pojawiło się przerażenie. Jeszcze kawałek, a będę mógł się na niego rzucić i go obezwładnić. Jeśli zdążę go dorwać, zanim dotrze do dworku, może uda się jeszcze uratować sytuację. Wierzyłem, że jeśli pokonam szefa, jego ludzie wymiękną.

– Szybciej! – Odruchowo ścisnąłem boki Rogacza łydkami.

Mój rumak zarżał z oburzeniem. Płat skóry, którego się trzymałem, zaczął się odrywać od reszty ciała z głośnym trzaskiem. Dusza poślizgnęła się na lodzie znajdującym się pod śniegiem. Bokiem uderzyła w jedno z trzech aut kasty stojących na podjeździe. Jej łapy zaczęły się plątać. Przywarłem do cuchnącego grzbietu, czując na sobie lepka posokę.

Diogenes był już na schodkach wiodących do drzwi. *Cholera, za późno!*

– Dalej! – popędziłem Rogacza.

Mój były szef poślizgnął się na stopniach, upadł na kolana. Byłem już tuż-tuż, kiedy się pozbierał, szarpnął klamkę i z siłą pchnął podwójne drzwi, wpadając do dworku.

– Pomocy!!! – wrzasnął.

Jeszcze nigdy nie widziałem go tak przestraszonego, co wywołało u mnie przyływ złośliwej satysfakcji.

– Stój! – poleciłem mojemu wierzchowcowi.

Chciałem z niego zeskoczyć, dalej gonić wroga pieszo, ale Rogacz ani myślał się zatrzymać.

– Nie!!! – wrzasnąłem, kiedy odkryłem, co zamierza.

Jednak nie miałem na niego żadnego wpływu. Rogacz wybił się z ziemi, przeleciał nad schodkami i wpadł do dworku, zahaczając porożem o framugę. *Aster się wścieknie* – pomyślałem głupio, gdy na podłogę posypały się drzazgi.

Przejechaliśmy kilka metrów, zanim się zatrzymaliśmy. Kopyta i łapy zatańczyły na posadzce, kiedy Rogacz odzyskiwał równowagę. I właśnie

wtedy jego wzrok padł na Diogenesa stojącego nieco z boku. Obserwował nas z przerażeniem w oczach, a jego twarz jeszcze bardziej zbladła, kiedy zorientował się, że dusza nie zamierza mu odpuścić.

– Czeka! – krzyknąłem do Rogacza.

Wredna bestia nawet nie zwolniła. Mogłem się tylko lepiej złapać skóry na grzbiecie, gdy opuściła łeb i ruszyła do ataku.

To były zaledwie ułamki sekund, ale w mojej pamięci trwały bardzo długo. Dokładnie widziałem, jak Rogacz unosi Diogenesa na swoim porożu, podrzuca go prawie pod sam sufit. Słyszałem głuchy jęk, gdy mężczyzna znów opadł na rogi, a później został rzucony wprost na kolumnę z popiersiem Glariusza, stojącą między schodami. Figurka potoczyła się po ziemi z metalicznym łoskotem, a Diogenes uderzył plecami w bok schodów i znieruchomiał. Już chyba nie musiałem się nim przejmować.

Zsunąłem się z Rogacza i wylądowałem na kolanach, a dusza stanęła dęba, bijąc powietrze przednimi łapami. Musiałem się uchylić, żeby nie dostać ostrymi pazurami.

Coś nagle trzasnęło na zewnątrz. Rzuciłem spojrzeniem ku otwartym na oścież drzwiom. Olbrzymi cień właśnie przemaszerował po jednym z samochodów. Czyli dusze już tu były. I nagle naszła mnie myśl mrożąca krew w żyłach. Jak one odróżnią ludzi kasty od mieszkańców dworku?

– Co tu się, do kurwy... – W drzwiach gabinetu stanął jeden z wykonawców. Kojarzyłem go, wielkością przypominał Karla i Artesa, ale nie dorównywał im inteligencją, choć przecież tamta dwójka też nie należała do orłów.

Na widok Rogacza stanął jak wryty z otwartymi ustami. W dłoni trzymał kuszę. Bardzo powoli ją uniósł i strzelił. Usłyszałem cichy świst i stuknięcie, a w szyi duszy pojawiła się końcówka bełta z lotkami.

– Stój! – krzyknąłem, ale niepotrzebnie tylko zdzierałem sobie gardło. Rogacz znów zaszarżował do ataku. Z gabinetu dobiegł przerażony krzyk kobiet.

# Rozdział 38

Ruszyłem pędem za Rogaczem, który wpadł w bitewny szal. Ślizgał się na drewnianej podłodze, rzucał łbem na lewo i prawo, nie patrząc, kogo atakuje. Jeden z wykonawców został rzucony na regał i spadł na ziemię razem z całą lawiną książek.

Zobaczyłem Aster, która chwyciła pogrzebacz wiszący na stojaku przy kominku i zaczęła okładać nim po głowie kolejnego obwiesia.

– Uważaj! – wrzasnąłem.

Rzuciłem się ku niej, objąłem ją w pasie i upadliśmy na ziemię. W miejscu, gdzie przed chwilą stała, pojawił się wielki zad Rogacza. Facet, którego ochmistrzyni tłukła pogrzebaczem, został stratowany przez olbrzymie kopyta.

Penelopa, obejmując ramionami Aksela, skuliła się w rogu pokoju, Alma roztrzaskała właśnie imbryk na głowie wykonawcy, który celował z kuszy w bestię. Kolejny człowiek kasty ruszył gniewnie ku kucharce, w jego rękę załśnił nóż.

Nagle usłyszałem ogłuszający trzask tłuczonego szkła. Długa drewniana ręka wybiła okno i wpadła do gabinetu. Złapała mężczyznę za kurtkę i szarpnęła w swoją stronę. Po gabinecie poniósł się krzyk, a tuż po nim nastąpiło łupnięcie. Zobaczyłem wiotkie ciało przeciągnięte po ostro zakończonym kawałku szyby, który został jeszcze w oknie. Na parapet chlusnęła krew.

Zagapiłem się na ten widok i w ostatniej chwili uchyliłem się przed wielkim porożem.

– Rogacz! – krzyknąłem. – Uspokój się!

Ten jednak zdawał się wpaść w krwiożerczy szal. Dusze z cmentarza osobliwości, kiedy tylko poczuły krew, stawały się niemal nie do zatrzymania. Niemal.

Mój wzrok padł na biurko i wazon, w którym stały suszone przedzimki. Chwyciłem je i ruszyłem w stronę siejącego zniszczenie stwora.

*Bogowie, żeby tylko podziałało* – modliłem się w duchu.

Podbiegłem do Rogacza, który akurat zaplątał się porożem w ciężkie atłasowe zasłony. W powietrze wzbiła się chmura kurzu. Karnisz z trzaskiem oderwał się od ściany i wylądował na ziemi.

– Uspokój się! – poleciłem, ale oczy duszy zaszyły krwią.

Nie było na co czekać. Uderzyłem ją po pysku całym bukietem przedzimiek. W pierwszej chwili myślałem, że nic się nie stało, ale już sekundę później Rogacz zawył z wyrzutem, zaczął kichać i trzeć łapami łeb.

– Przepraszam – powiedziałem, a on zarzucił porożem, na którym niczym granatowy welon nadal wisiała zasłona, i uciekł z gabinetu.

Przez okno widziałem, jak galopuje przez łąki. Nie mam pojęcia jak, ale do rana będzie trzeba go odnaleźć.

Odwróciłem się, szukając tym razem ludzkich przeciwników. Ale ci zmiękli.

– Gdzie Diogenes? – krzyczał ktoś.

– W nogi! – wrzasnął ktoś inny.

Trzech wykonawców wybiegło do hallu, ale tam już czekały na nich kolejne dusze. Jeden z drabów zaczął uciekać po schodach. Niestety wybrał lewą stronę. Mniej więcej w połowie jeden ze stopni trzasnął pod nim, a jego noga zapadła się aż po udo. Facet zaczął wrzeszczeć i się szarpać. W jego stronę ruszył gniewnym krokiem Odo. Z gnijących pleców wystawały cienkie, długie kolce, spomiędzy których sypały się larwy. Dusza w kilku susach dopadła przeciwnika, który znieruchomiał ze strachu.

– Nieładnie tak napadać kobiety – powiedział uprzejmym tonem Odo, po czym zacisnął pięść i tak przywalił koleśowi w głowę, że odrzuciło go do tyłu i stracił przytomność. – Brakowało mi tego. – Starszy dżentelmen rozpromienił się, machając w powietrzu dłonią.

– Już ja wam dam! Napadać ciężarne i dzieci! – usłyszałem za plecami.

To Aster zamierzyła się pogrzebaczem na następnego wykonawcę. Ten jednak od razu wyszarpnął jej broń z ręki i zamachnął się na nią.

Ruszyłem w ich stronę, ale wiedziałem, że nie zdążę, byli zbyt daleko. I nagle coś czarnego przebiegło tuż obok mnie. Z groźnym warkotem rzuciło się na faceta. Zacisnęło potężne szczęki na rękę dzierżącej pogrzebacza. Kolesz zaczął wrzeszczeć, a próbując się uwolnić, upadł na podłogę.

– Anatol! Puść! – Podbiegłem do niego.

Ale ten ani myślał mnie słuchać. Z odmętów pamięci wypłynęło kolejne imię.

– Corso! – wrzasnąłem. – Puść!

Bestia niechętnie wypluła poszarpane przedramię, które bezwładnie opadło na podłogę. Wykonawca, szlochając z bólu, usiłował się odczołgać.

– Nie ruszaj się! – Aster podniosła pogrzebacza i wymierzyła w mężczyznę, a ten znieruchomiał.

– Dobry piesek. – Poklepałem Anatola po łbie, a on z zadowoleniem wywalił ozór, dysząc ciężko.

Powiodłem wzrokiem po gabinecie. Alma wiązała właśnie sznurem od zasłon draba, któremu rozbiła imbryk na głowie. Penelopa rzuciła jej się z pomocą.

Dwóch wykonawców, których na swoje poroże wziął Rogacz, nadal leżało nieruchomo. Wokół jednego z nich pojawiła się całkiem spora kałuża krwi. Był jeszcze trzeci, ten przysypany książkami. On zaczął się podnosić, ale wtedy dopadł go Aksel i zaczął po nim skakać, miotając przekleństwami, jakich nie powinien znać dzieciak w jego wieku.

– Gdzie pozostali? – rzuciłem, czując narastającą panikę. – Gdzie Dalia i faceci?!

Aster pokręciła głową. Jej zazwyczaj idealnie ulizany kok teraz znajdował się w zupełnym nieładzie.

– Nie wiem. Mężczyzn gdzieś wyprowadzili, a Dalii w ogóle nie widziałam. Zabrał Irys...

– Ona jest bezpieczna – zapewniłem, a ochmistrzyni odetchnęła z ulgą.

Rękodajni, Roch i Konrad byli osobnikami sporych rozmiarów, Diogenes na pewno się zorientował, że mogliby sprawić większe kłopoty niż grupka kobiet. A co, jeśli od razu kazał ich zabić? Żeby nie próbowali mu przeszkodzić w zemście na mnie?

Miałem wrażenie, jakby całe moje ciało zmieniło się w bryłę lodu, a serce wyparowało, pozostawiając po sobie bolesną pustkę. Przecież obiecałem Opal...

Wyjąłem pogrzebacz z rąk ochmistrzyni i wyszedłem do hallu. Diogenes jednak dychał. Skurczybyk był naprawdę żywotny. Pozbierał się z ziemi, otrzepał płaszcz, wziął wijącą się Słodką na ręce i trzymając się za żebra, powiódł wzrokiem po pobojuwisku. Niemal widziałem, jak w jego mózgu przeskakują trybiki. Wiedział, że przegrał, i postanowił uciec. Nie obchodziło go, co stało się z jego wykonawcami, najważniejsze to uratować samego siebie. Właśnie tego uczył mnie przez te wszystkie lata, kiedy dla niego pracowałem.

Ruszyłem w jego stronę. Jeżeli zrobił coś moim ludziom, jeżeli skrzywdził choć jednego z nich... W cholerę z nawróceniem się i byciem dobrym. Byłem gotów zabić i przyjąć za to pokutę.

– Gdzie... moi... ludzie... – powiedziałem gniewnym tonem, idąc do niego.

– Mój!

Nie wiem skąd pojawiła się Piękna i chwyciła Diogenesa w tłuste ramiona.

Szef kasty zaczął wrzeszczeć i się wrywać.

– Piękna, zostaw go – wycedziłem.

– Mój narzeczony! – Odwróciła się do mnie bokiem, z zachłannością chroniąc Diogenesa.

– Piękna, muszę o coś go zapytać, a później możesz go sobie wziąć – powiedziałem.

Dusza zaczęła się zastanawiać. Z jej uszu zwisały piórkowe kolczyki, we włosy miała powpinane kolorowe spinki. Na szyi zielony szal. Nagle spod jej pachy wysunęły się dwie głowy Słodkiej i ukąsiły ją w ramię. Piękna zawyła z bólu. Jedną ręką wciąż przyciskając wrywającego się Diogenesa, drugą pochwyciła węża. Długie żółte ciało naprężyło się, ale dwie głowy nadal były wpite w ropiejące monstrum.

– Puść! – krzyknęła Piękna, odrzucając Słodką daleko od siebie.

Wąż wyrwał jej dwa wielkie kawałki mięsa, wypluł je i zaczął wić się po podłodze z powrotem do swojego pana.

– Max! – wycharczał Diogenes, kiedy Piękna objęła go znów dwoma rękoma. – Max! Każ jej mnie puścić!

– Gdzie moi ludzie? – wycedziłem.

– Max! To coś mnie udusi!

– Co zrobiłeś z moimi ludźmi?! – Starałem się brzmieć groźnie, ale zaczynałem coraz bardziej panikować.

– W piwnicy! – wycharczał. – Kazałem zamknąć ich w piwnicy!

– Kochana, przytrzymaj go, proszę, żeby nie zwał – poprosiłem. – A ja sprawdzę piwnicę.

Piękna skinęła głową z uśmiechem.

– Max! Nie zostawiaj mnie z nią! Byłeś dla mnie jak syn!

Kierowałem się do drzwi jadalni, gdy niespodziewanie pojawił się w nich Roch z siekierą w rękach. Rozejrzał się po hallu.

– Co to za burdel, do licha ciężkiego?! – wybuchł.

Tuż za nim pojawili się rękodajni, Gaspar i Konrad oraz nasze cztery psy. Z gardła Diogenesa dobył się charkot, kiedy Piękna zaborczo ścisnęła go jeszcze mocniej.

– Max! – jęknął.

Odwróciłem się do niego i spojrzałem w bladą, nalaną twarz. Ten pośledni przestępca, który aspirował, żeby być wielkim przywódcą, chciał mnie zabić, i to nie raz. Był gotów, idąc po trupach moich ludzi, dopełnić własnej zemsty. W moim nowym świecie nie było miejsca dla takich gnid jak on.

– Mój narzeczony! – Piękna zmarszczyła gniewnie brwi.

Koło nóg przemknęła mi Słodka, gotowa bronić swojego pana. Ale przecież tego wymagał od niej pakt.

– Zwolnij ją z przysięgi – odezwałem się.

Diogenes spojrzał na mnie z niezrozumieniem, ale wąż zatrzymał się w połowie drogi. Jedna głowa patrzyła na swojego pana, druga na mnie. Podszedłem do niej, schyliłem się i uniosłem wężowe, wijące się ciało. Tym razem mnie nie ukąsiło.

– Zwolnij ją z przysięgi – poleciłem.

– Max, no coś ty...

Nawet Piękna znieruchomiała.

– Jeśli tego nie zrobisz, pamiętaj, że jej przysięga wygasa z chwilą twojej śmierci – Zawiesiłem głos.

– Ale jak? – jęknął. – Potrzebuję paktu i notariusza...

Podszedłem do niego ze Słodką na ramieniu i wyciągnąłem zza paska nóż. Diogenes drgnął nerwowo, chciał się ode mnie odsunąć, ale uścisk

Pięknej był niczym imadło.

– Aster, poproszę o papier i pióro – rzuciłem przez ramię.

Ochmistrzyni uwinęła się w minutę.

– Pisz – poleciłem. – *Ja, Ludwik Kapuśniak...*

Diogenes zmarszczył brwi, zaskoczony, że znam jego prawdziwe imię. Nikt nie wiedział, jak ono brzmi, ale z drugiej strony wcale się nie dziwię, że wymyślił sobie inne.

– *...zwalniam duszę zwaną Słodką Zemstą z przysięgi postugi* – dyktowałem dalej.

Nie miałem pojęcia, czy to poskutkuje, ale zawsze warto spróbować.

– *W podziękowaniu za jej zasługi* – mówiłem – *odsyłam ją do raju, jednocześnie zapewniając, że cały umówiony wcześniej zachówek jest jej własnością.*

Zamilkłem, słysząc jedynie skrobanie wiecznego pióra po papierze.

– Gotowe – oświadczyła Aster.

– Mogę odrobinę twojej krwi? – zapytałem Słodką, a ona odstłoniła kawałek ciała.

Delikatnie ją skaleczyłem, a po łuskach potoczyła się zielona kropla. Szybko wziąłem kartkę i podsunąłem ją pod spód. Krew skapnęła na papier i szybko w niego wsiąkała. Później podszedłem do Diogenesa i utoczyłem jego krwi. I... nic się nie stało.

Słodka zasyczała pytająco.

– To nie takie proste – westchnęła Aster. – Nie można cofnąć paktu krwi. Nawet ten, który go spisał, nie może tego zrobić. Są na siebie skazani.

– Jest jeszcze jedno wyjście – poprawiłem ochmistrzynię.

Diogenes znów zaczął się wrywać i błagać o życie.

– Max! Nie musisz mnie zabijać! Przecież nie jesteś taki!

Zawahałem się.

– Co? Myślałeś, że nie wiem? Zawsze wiedziałem, że masz dobre serce. Zawsze, jak się bili, byłeś w samym środku, wrzeszczałeś i okładałeś ich pięściami jak wściekła dusza, ale nikogo nigdy nie zabiłeś! Nigdy nie krzywdziłeś słabszych! Sprzedawałeś szanciarzom łzy po taniości, bo nie stać ich na normalną stawkę!

– Mylisz się – powiedziałem. – Nie zabijałem, bo nigdy mi się to nie opłacało. A szanciarze nie pytali, skąd mam towar. To były moje najłatwiej zarobione pieniądze.



W oczach Diogenesa ponownie pojawiła się panika. Na jego czoło wystąpiły kropelki potu.

– Na jak długo podpisaliście pakt? – zwróciłem się do Słodkiej.

– Sss, dwadzieścia lat, sss – odparła.

– Twoim ostatnim rozkazem dla Słodkiej będzie odesłanie jej do grobu, by pilnowała zachowku do końca trwania paktu – powiedziałem.

– Dobra, tak zróbmy. – Diogenes przytaknął ochoczo. – Słodka, wracaj do swojego grobu i nie chcę cię więcej widzieć. Pilnuj swoich pieniędzy aż do wygaśnięcia paktu.

Waż zasyczał cicho, po czym spełzył z mojego ramienia i zaczął wić się po podłodze. Nim jednak dotarł do drzwi, zniknął i nikt z nas, oprócz Diogenesa, już nie mógł jej zobaczyć. Liczyłem, że bezpiecznie dotrze do swojej mogiły.

Znów zwróciłem się do byłego szefa.

– Mój narzeczony! – powtórzyła Piękna.

– Twój – przyznałem zmęczonym tonem.

Oblicze duszy się rozpromieniło.

– Nie! Max! Miej litość! – jęczał Diogenes.

– Ale tylko do rana – zastrzegłem, a Piękna wydeła pokryte strupami wargi. – Zabierz go na cmentarz, tylko nie zabijaj. Rano ktoś po niego przyjdzie.

Dusza już otworzyła usta, żeby zaprotestować, ale uniosłem dłoń.

– Na więcej nie mogę się zgodzić. Chyba że chcesz oddać go już teraz.

Piękna pokręciła głową i wymaszerowała ciężkim krokiem z hallu, do wtóru wrzasków i błagania Diogenesa. W dworku zapadła cisza.

– Dlaczego, do jasnej cholery, wypuściłeś dusze z cmentarza?! – wybuchł Roch. – Porąbało cię?! Mamy teraz latać po łąkach i ich szukać? Co najmniej połowa z nich na pewno nawiała!

– Rochu. – Do zarządcy podszedł Odo i położył dłoń na jego ramieniu. – Ja poręczyłem za dusze i obiecuję, że do rana wrócą na cmentarz.

– Akurat! – prychnął Garłacz.

– Nie wierzysz w słowo dżentelmena?!

– Pogadamy rano – burknął Roch. – Teraz zabierz stąd tego zaślinionego burka i wróćcie tam, gdzie wasze miejsce. – Wskazał Anatola, który już od dłuższego czasu bawił się z naszymi psami, jakby należał do sfory.

Odo zagwizdał, a dusza pod postacią psa niechętnie podążyła za nim.

– Do zobaczenia jutro w nocy. – Skinął nam głową, po czym lekkim krokiem zbiegł ze schodków prowadzących do drzwi dworku.

– Coś ty narobił? – ponownie zwrócił się ku mnie Roch.

Wzruszyłem ramionami. Po prostu chciałem ich wszystkich uratować. W tamtej chwili nie liczył się koszt, ale wychodziło na to, że konsekwencje dopiero mnie czekają.

– Jak my się z tego wytłumaczymy? – Samson przyklęknął przy ciele jednego z wykonawców i sprawdził jego puls, po czym pokręcił głową.

– Ile mamy trupów? – zapytał konkretnie Roch.

Aster obejrzała się za siebie.

– Co najmniej trzy – rzuciła.

– I cztery na samym cmentarzu – dodałem ponuro.

Zarządca zaklął. Mieliśmy tyle problemów po śmierci jednego włamywacza, a teraz... Przetarłem dłońmi twarz. Tylko że tamten chłopak to był syn wysokiego urzędnika, a ci tutaj to tylko kasta. Nikt nie będzie ich szukał, nikt nie będzie zadawał zbędnych pytań.

– Dobra, Gaspar, sprawdź, kto żyje – odezwał się Roch. – Opatrz ich i zamknij w piwnicy. Trupy schowamy w stajni. Samochody też. Nikt nie wie, że ktokolwiek nas napadł. I niech nikt się o tym nie dowie, a później coś wymyślimy...

Nagle się zatrzymał, wziął zamach siekierą i wbił ją prosto w połamane stopnie.

– Nic nie wymyślimy, do jasnej cholery! – wybuchł. – Bo jak ogarnąć ten burdel?! – Znów zaczął chodzić po hallu. – I jeszcze te dusze! Psiakość!

– Niczego nie żałuję – skłamałem. – Zrobiłem to, żeby was ratować.

– Przecież doskonale sobie radziliśmy! – naskoczył na mnie zarządca. – Tych trzech, którzy usiłowali zamknąć nas w piwnicy, w try miga rozbroiliśmy!

– No – potwierdził Norman.

– Bo myśleli, że mają do czynienia z niedołącznym starcem! – zaśmiał się Samson.

Roch posłał mu spojrzenie mrozące krew w żyłach.

– Ale my już tak dobrze sobie nie radziłyśmy – odezwała się Aster. – Gdyby nie Max, nie wiem, co by z nami zrobili.

Alma i Penelopa pokiwały głowami.

– Dalia! – sapnąłem, przypominając sobie, że nikt nie widział artystki.

Wbiegłem na schody, przeskakując po dwa stopnie naraz. Skierowałem się na poddasze, gdy nagle usłyszałem trzaśnięcie drzwiami.

– Co to za awantury?! – Malarka w roboczym stroju zeszła na pierwsze piętro.

Zatrzymałem się gwałtownie na jej widok.

– Tak się wydzieracie, że pracować nie można! – narzekała dalej.

– Nic ci nie jest? – zapytałem tylko.

– A co miałoby być? – zachnęła się. – Dobrze, że potrafię tak się wyłączać, bo przy was to żadnego obrazu bym nie namalowała. A tej nocy stworzyłam prawdziwe arcydzieło...

Przestałem jej słuchać, tylko wziąłem ją w ramiona i zakręciłem nią w powietrzu. Ludzie Diogenesa pewnie nie dotarli na poddasze i w ogóle jej nie niepokoili.

– Max! Już jestem za stara na takie wygibasy! – skarciła mnie, ale na jej policzkach pojawiły się rumieńce, a oczy błyszczały jak u młodej dziewczyny.

Wszyscy z dworku żyli i tylko to się dla mnie liczyło. Dusze pewnie szalały na łąkach, a Hugo pełził sobie radośnie w stronę wsi, ale moi ludzie byli bezpieczni. Za oknami pojawiły się pierwsze promienie słońca. Padły na białą, mieniący się śnieg splamiony krwią.

– Posprzątaj ten bajzel – warknął Roch. – A my idziemy na cmentarz liczyć dusze. – Machnął na rękodajnych i opuścili dworek.

Zarządca miał prawo się wściekać. Sprowadziłem kastę do naszego dworku i wypuściłem bestie z cmentarza, ale w tej chwili się tym nie przejmowałem. Klasnąłem w dłonie.

– Do roboty! – zawołałem wesoło. – Młody – zwróciłem się do Aksela. – Znajdź jakieś deski, żeby zabić okno. Wy, dziewczyny, ogarnijcie gabinet – powiedziałem do Aster i Almy.

Obie zdawały się zaskoczone określeniem *dziewczyny*, ale bez słowa zabrały się do pracy.

– Mieliśmy jakieś włamanie? – Dalia zmarszczyła brwi.

– Tak, ale ze wszystkim sobie poradziliśmy – zapewniłem ją.

Penelopa zaczęła zbierać książki i ustawiać je na półkach.

– Ty pilnuj naszych gości w piwnicy – poleciłem Konradowi. – A my uprzątniemy samochody. – Machnąłem ręką na Gaspara.

Wyszliśmy przed dworek. Poranne słońce odbijające się od śniegu poraziło nas w oczy.

Z dwoma autami nie mieliśmy żadnych problemów – kluczyki nadal tkwiły w stacyjkach, a stajnia była wystarczająco wielka, żeby je tam pomieścić. Gorzej było z samochodem, po którym przemaszerowała Piękna – dach był tak wgnieciony, że nawet nie dało się wejść do środka, opony pękły, felgi się powyginały, a podwozie dotykało ziemi.

Koniuszy zagwizdał.

– Nie wiedziałem, że ona jest taka ciężka – powiedział i spróbował pchnąć auto, które nawet nie drgnęło. – Teraz przydałyby się konie, co? – rzucił z ironią.

Skrzyknąłem pozostałych i wspólnymi siłami zaciągnęliśmy wrak do stajni.

Jeśli nie liczyć wybitego okna i plam krwi na ścianach oraz podłogach, dworek wyglądał już całkiem nieźle. Wstawiłem jeszcze deskę w miejsce połamanego stopnia, trochę krzywo wbijając gwoździe.

– Dobra robota. – Pokiwałem głową.

Wszystkim zaczął udzielać się mój dobry humor, gdy niespodziewanie trzasnęły drzwi.

– Czy chociaż raz mogę zasnąć spokojnie i nie martwić się, że znów sprowadzicie na nas kłopoty?

Na progu dworku stanął Wachim. Tuż za nim kryła się skulona Irys, spoglądając na mnie przeprasząco.

## Rozdział 39

– Już spieszę z wyjaśnieniami! – Zbiegłem ze schodów. – A jakie masz stanowisko wobec kasty z miasta?

Notariusz zamrugał powiekami.

– Zakładam, że Irys o wszystkim ci powiedziała. – Zatoczyłem rękoma krąg w powietrzu. – I zapewniam cię, że powinniśmy dostać medal czy coś za rozbicie takiej szajki.

Wachim zaczął ciężko oddychać, jego twarz się zarumieniła.

– To ja zaparzę kawę – zaoferowała się Alma i umknęła do kuchni.

– Ściągasz na nas same kłopoty! – wybuchł notariusz. – Jesteś tu zaledwie kilka tygodni, a już mieliśmy dwa włamania na cmentarz! Zamkną go! Jak nic go zamkną i zabiorą duszom zachowek! A wszystko to twoja wina! – Wycelował we mnie palcem.

*Tak chcesz się bawić?* – pomyślałem.

– A kto mnie tu sprowadził?! – naskoczyłem na niego. – Kto zataił połowę paragrafów w pakcie?! Kto nawet nie wspomniał o tym, że co tydzień będę musiał utoczyć krwi na niegrzebalnym cmentarzu?! Kto nawet się nie zająknął o całej bandzie krwiożerczych dusz?!

Wachim otworzył usta, ale chwilę później je zamknął i tylko westchnął ze zmęczeniem.

– Nikt nie jest tu bez winy – powiedział ugodowo, rozkładając ręce.

– Jasne – burknąłem.

– Powiedźcie, co dokładnie się tu wydarzyło, bo biedna Irys... – Zawiesił głós, ogłądając się na nadal bladą i roztrzęsioną dziewczynę.

Usiedliśmy w jadalni, a ja opowiedziałem o wszystkim. Dosłownie. Powiedziałem, jak po śmierci mojej ciotki Diogenes przyjął mnie do swoich

szeregów, zapewnił jedzenie i łóżko. Byłem sierotą z miasta, mogłem skończyć w rzece, ale on się mną zaopiekował i częściowo mnie wychował. A później go zdradziłem. Nie wdawałem się w szczegóły, ale kilka osób na pewno domyśliło się, skąd miałem złoto na zachówek dla Opal. A teraz Diogenes przyjechał tutaj, żeby się na mnie zemścić.

Wachim wciąż kręcił głową i narzekał, że czegoś takiego na da się zatuszować. Mieliśmy zamkniętych w piwnicy pięciu ludzi kasty, a ich szef został narzeczonym Pięknej na jedną noc. Do tego jeszcze osiem trupów.

– Jeżeli władze się dowiedzą, że dusze aż tak się rozbestwiły, od razu wpadną na cmentarz! – stwierdził, a w jego głosie pojawiła się panika. – Zabiorą im zachowki, was wszystkich usuną z dworku! A mnie odbiorą uprawnienia!

– Pochowajcie ich na cmentarzu – rzucił Gaspar. – Na nic lepszego nie zasługują.

Wszyscy spojrzeli na niego jak na wariata.

– To jest niegrzebalny cmentarz – warknął Wachim. – A poza tym nigdy czegoś takiego nie zrobię! Nie pochowam nielegalnie ośmiu ludzi!

Koniuszy wzruszył ramionami, a notariusz dalej przekonywał, że to jest nie do wykonania, a poza tym to wszyscy wylądujemy w więzieniu.

Ja jednak powoli pokiwałem do siebie głową. Tych ośmiu drabów na pewno dostanie od bogów pokutę, ale nawet jeśli obudzą się na naszym cmentarzu, bestie będą potrafiły sobie z nimi poradzić. A gdy minie ich kara na ziemi, przejdą do zaświatów bez grosza przy duszy. To znacznie więcej niż to, co mogło ich spotkać, gdyby nadal pracowali dla Diogenesa. Ich ciała pewnie zgniłyby w rzece, a dusze na zawsze błąkałyby się w świecie, do którego już nie należały.

– Pochowamy ich na cmentarzu – postanowiłem.

– Nie mogę złamać wszystkich praw i reguł, których ślubowałem przestrzegać! – wybuchł znów Wachim. – Róbcie sobie, co chcecie, ale mnie w to nie mieszajcie! – Wstał od stołu i z rozmachem zarzucił na siebie swój drogi płaszcz.

– Już w tym wszystkim siedzisz – powiedziałem cicho, a notariusz się zatrzymał. – Siedzisz od dnia, w którym zdecydowałeś się pomóc mieszkańcom dworku. Przymykałeś oko na przekręty Aster z księgami rachunkowymi. Każdy, kto do nich zajrzy i ma choć pół mózgu, zorientuje się, że nasza ochmistrzyni defraudowała pieniądze. Od razu cię zapytają,

dlaczego sam tego nie dostrzegłeś. Nikogo nie będzie obchodziło, że te pieniądze szły na chorego chłopaka. Zapytają, dlaczego pozwoliłeś zatrudniać koniuszego do dworku, w którym nie ma ani jednego konia...

– Jestem notariuszem! – Wachim odwrócił się do mnie. – Jakoś z tego wybrnę!

– I zostawisz nas na krawędzi przepaści – odparłem spokojnie. Nie chciałem się do tego uciekać, ale facet nie dawał mi wyboru. – A gdy w nią spadniemy, pociągniemy cię za sobą. Dokonałeś już jednego nielegalnego pochówku. Z tego się nie wykręcisz.

Widziałem, jak ręce notariusza drżą, jak w jego oczach pojawiają się gniewne błyski. Facet był tchórzem. Udowodnił to najdalej dziś, kiedy zjawił się w dworku dopiero wtedy, gdy zaczęło świtać i miał nadzieję, że już poradziliśmy sobie z kastą. Bał się o swoją posadę, bał się, że straci to swoje wygodne życie, piękny dom i młodą żonę. Ale był też poczciwy. Daje głowę, że każdy dowolny notariusz z miasta od razu kazałby zamknąć Aster i całą resztę za ich przekręty. I nie pochowałby Opal.

– Wygrałeś – szepnął w końcu.

Podszedł ponownie do stołu i osunął się na krzesło. Jego ramiona się przygarbiły. Złamałem go. Ale teraz nie mogłem pokazać ani krzty wyrzutów sumienia. Może kiedyś nadejdzie taki dzień, gdy przyjmie moje przeprosiny.

– Nie mamy innego wyjścia – powiedziałem. – Musimy ich pochować na cmentarzu. Przygotujemy ich ciała do pogrzebu.

W hallu rozległy się kroki. Ktoś otupywał buty ze śniegu. Pewnie Roch i rękodajni już wrócili. Odetchnąłem z ulgą i właśnie wtedy poczułem zapach dymu z cygara, a wszystkie włoski na moim ciele stanęły dęba.

Do jadalni wmaszerował lekkim krokiem Kilian Lit. Na ramionach służbowego płaszcza miał jeszcze śnieg, a z jego ust zwisało cygaro. Przymrużył lekko oczy i zmierzył spojrzeniem po kolei każdego z nas. Zrobiło mi się na przemian gorąco i zimno. Komendanta w życiu nie uda mi się tak zmanipulować jak notariusza.

– Wyjaśni ktoś chłopakowi na zewnątrz, że nie ma sensu zamiatać śniegu? – zagadnął.

Alma chciała chyba coś powiedzieć na obronę swojego wnuka, ale najwyraźniej nie przyszła jej do głowy żadna wymówka.

– To kara. – Wzruszyłem ramionami. – Młody wciąż bez sensu wdaje się w bójki, to i ma bezsensowną karę.

Twarz Lita nie wyrażała dosłownie nic.

– A to nie chodzi o zatarcie śladów opon i plam krwi? – zagadnął, siadając na krześle.

Aster jęknęła cicho. Widziałem, jak Alma ściska jej dłoń. Konrad wyglądał, jakby miał zaraz się zerwać z krzesła i popędzić po swój najmocniejszy bimber. Penelopa była blada jak płótno. Ona, tak samo jak ja, miała awersję do stróżów prawa. I umiała rozpoznać takiego, który jest na tyle inteligentny, że nie uwierzy w nasze kłamstwa.

– Wasi goście wszyscy wyjechali czy kilku zostało jeszcze w dworku? – drażył Lit.

Oparł mokre buty o wolne krzesło, wziął między dwa palce cygaro, przyjrzał mu się z ciekawością i znów wsunął je w usta.

Zerknąłem w stronę okna, za którym rozpościerały się białe łąki. Śnieg znów prószył, przykrywając ślady po nocnych wydarzeniach, ale robił to zbyt wolno. I gdzie jest ten przeklęty Roch, kiedy go potrzebuję? Zawsze taki mądrała z niego, zawsze zgrywa twardego i groźnego. Może on wiedziałby, jak postąpić z komendantem? Bo ja nie miałem zielonego pojęcia, jak wyciągnąć nas wszystkich z tego bagna.

– Kilku zostało – przyznałem powoli. – Ale większość wyjechała. Daleko. I na zawsze.

Lit powoli pokiwał głową.

– A ich szef? – zapytał.

Teraz zaczął oglądać własne paznokcie. W jego głosie pobrzmiwała nonszalancja, a ja już wiedziałem, w jaką grę gra.

– Ich szef jeszcze u nas gości. – Uśmiechnąłem się szeroko. – Poszedł zobaczyć nasz cmentarz, ale niedługo powinien wrócić. Mam nadzieję, że w jednym kawałku.

Komendant odchrząknął z niezadowoleniem.

– Diogenes od lat trzęsie Żaropolem – powiedziałem. – I od lat udawało mu się umknąć lokalnej policji. Więc to by było coś, gdyby wszyscy się dowiedzieli, że nasz komendant osobiście schwytał szefa kasty wraz z jego ludźmi podczas nieudanej próby włamania do dworku. Za coś takiego należy się chyba medal.



– Do jasnej cholery! Pewnie, że się należy! – Lit się rozpromienił. – I premia. Duża premia. A moja żona już od dawna suszy mi głowę o wakacje za granicą.

– Wspaniale. – Rozłożyłem ręce. – Możemy wezwać pana ludzi, żeby odeskortowali na posterunek naszych gości, którzy na razie są zamknięci w piwnicy?

– Wyślijcie po nich tego chłopaka od zamykania śniegu – zgodził się komendant.

– A jeśli oni... – Aster zająknęła się. – Jeśli powiedzą, że... że było ich więcej?

– To będzie ich słowo przeciw mojemu – stwierdził Lit ze wzruszeniem ramion. – Zaprowadzi mnie ktoś do nich?

Skinąłem Konradowi głowę.

– Nie wyda nas? – zapytałem cicho, kiedy opuścili salę balową.

– Można mu ufać – zapewnił Wachim, który do tej pory siedział cicho jak mysz pod miotłą. – A jeśli będzie miał w tym jeszcze własny interes, to już w ogóle...

Założyłem ręce za głowę i się przeciągnąłem.

– Widzicie, jak pięknie wszystko się układa? – westchnąłem.

Z hallu znów dobiegły nas kroki. Zarządca i rękodajni mieli przemoczone buty i spodnie, na ich kurtkach topiły się płatki śniegu, a ich twarze były zaczerwienione od chłodu.

– Siadaj! – Roch pchnął Diogenesa na szezlong.

– Co mu? – Zdziwiłem się na widok byłego szefa. Obejmował się ramionami i huśtał w tył i w przód, a jego wzrok był zupełnie nieobecny.

– Też byś tak wyglądał, jakbyś spędził noc na cmentarzu, jako narzeczony Pięknej – burknął zarządca. – Co ci ten koleś zrobił, że skazałeś go na coś takiego?

– Mieliśmy swoje zatargi – odparłem i pochyliłem się nad Diogenesem.

Machnąłem dłonią przed jego oczami, ale w ogóle nie zareagował.

– Wyjdzie z tego? – zapytałem.

– Bogowie jedni wiedzą, czy da się dojść do siebie po takiej traumie – odparł Samson. – Niewiele brakowało, a Piękna by go zagłaskała na śmierć. Dosłownie. Ledwie udało nam się ją namówić, żeby go wypuściła. Obiecaliśmy jej jakiś specjalny prezent od ciebie.

– Świetnie – burknąłem. Wiedziałem, że tym razem zwykłe kolczyki czy bransoletka nie załatwią sprawy. – A dusze? Odliczyły się?

– Po drodze na cmentarz zgarnęliśmy Hugona – powiedział Olaf. – Ale trudno powiedzieć, czy pełzył powoli nam na pomoc, czy chciał zwać. Reszta o dziwo siedziała w swoich kryptach. Nawet Rogacz i Anatol, choć zdawali się nabuzowani energią i nie wiem, czy nie wymyślą czegoś następnej nocy.

– Tym to będziemy się martwić dopiero po kolacji – odparłem z zadowoleniem.

Zanim zapadł zmrok, dworek został posprzątany i gdyby nie wybite okno, nikt nie domyśliłby się, że mieliśmy włamanie. Komendant zabrał do aresztu Diogenesa, który nadal nie doszedł do siebie, oraz jego ludzi.

Przypadła mi nocna warta. Już na powitanie Flora chciała mnie capnąć w rękę, ale byłem szybszy i zrobiłem unik. Bagniak zajął się swoimi sprawami jak gdyby nigdy nic i nawet nie zwrócił uwagi na mnie, kiedy podbierakiem wyławiałem z jego sadzawki zwłoki. Anatol zjeżył się na widok Olafa, ale nie zaatakował. Rogacz biegał po cmentarzu, łamiąc gałęzie, a jego kopyta wybijały głuchy rytm na pokrytej śniegiem ziemi. Pod kapliczką spotkaliśmy Oda, który był bardziej gadatliwy niż zwykle.

– Czasem dobrze jest wyjść z cmentarza i się przewietrzyć – oświadczył.

Hugo zabalgotał na powitanie i jak zwykle krążył na sznurku tuż przy granicy usypanej z soli, jakby znów planował ucieczkę. Pszczelarz nawet nie wyściubił nosa z krypty. A Gargulec obrzucił nas kamieniami.

– Czyli wszystko wróciło do normy – stwierdziłem. – Będzie mi trochę brakować tej naszej współpracy przeciw wspólnemu wrogowi.

– E tam. – Olaf machnął ręką. – Takie zachowanie u naszych dusz było nienaturalne. Wolę, jak jest tak jak zawsze...

– Czyli wtedy, kiedy co jakiś czas podejmują próbę zabicia nas? – zapytałem.

Śnieg skrzypiał pod butami.

– Wtedy człowiek wie, na czym stoi – odparł rękodajny. – I nigdy nie traci czujności.

– Ta robota wypacza ludzi – skonstatowałem.

Noc minęła spokojnie. Rano przygotowaliśmy trzy puste krypty. Co prawda mieliśmy pochować aż ośmiu ludzi, ale nie było więcej wolnych miejsc. Zresztą z tych czterech wykonawców, którzy zginęli na cmentarzu,

naprawdę niewiele zostało: dłoń, kawałek torsu z żebrami i jednym płucem, głowa i kilka innych szczątków. Postanowiliśmy złożyć je w jednej trumnie.

Po południu w dworku zjawił się Wachim. Tym razem nie było konwoju pogrzebowego pod samą bramę cmentarza. Nie było pożegnań i łez. Tylko opiekunowie cmentarza i notariusz, który z cierpiętniczą miną odprawił ceremonię pogrzebową nad pięcioma trumnami. Żadna dusza nas nie niepokoila. Nawet Żabol się nie obudził i śmiem twierdzić, że chyba zaakceptował obecność Wachima na cmentarnej ziemi.

Po wszystkim wróciliśmy do domu na gorącą herbatę i skromną kolację.

# Rozdział 40

– Jutro pojedę do miasta – oświadczyłem kilka dni po ataku kasty.

– Za mało mieliśmy kłopotów? – mruknął ironicznie Roch.

– Na pewno już wiedzą o aresztowaniu Diogenesa – powiedziałem niezrażony. – Więc teraz trwa tam wojna o tron. Nikt nie zainteresuje się byłym kurierem eksszefa kasty. Nikt nawet nie wie o moim udziale w aresztowaniu Diogenesa.

Odruchowo spojrzałem na pierwszą stronę lokalnej gazety, na której widniało zdjęcie dumnie wypinającego pierś komendanta Lita. *Bohater Pogorzelsk ujął groźnych przestępców* – głosił pompatyczny nagłówek.

– Ja też uważam, że nie powinienes jechać – odezwała się Aster. – Z tego miasta wypelza samo zło.

– A z naszego cmentarza to niby co wypelza? – zainteresował się Samson, ale ochmistrzyni zdzieliła go kuchenną ścierką w ramię.

– Potrzebujemy pieniędzy... – zacząłem.

– Masz jeszcze gdzieś skitrane złoto? – zdziwił się Norman.

– Sprzedam samochód. – Pokręciłem głową. – Gaspar pojedzie ze mną jako kierowca drugiego auta, jako że musimy czymś tu wrócić. No i przyda nam się jedno auto na stanie, bo koni nie zamierzam kupować.

Koniuszy mruknął coś z zawodem.

– No i spróbuję jeszcze wyciągnąć kilka wartościowych części z tego rozwalonego samochodu i też je opchnę – ciągnąłem. – Reszta pójdzie na złom. Przynajmniej będziemy mieli na opał i jedzenie.

Nikt więcej nie protestował. Każdy chyba miał już dość jedzenia jaj, twarogu i starych przetworów. Każdemu też doskwierało zimno, węgla zadziwiająco szybko ubywało, a zima dopiero się zaczęła.

Tej nocy miałem wolne i postanowiłem się porządnie wyspać, ale mój zegar biologiczny był już tak przestawiony, że co chwilę się budziłem i nasłuchiwałem powrotu rękodajnych z ich warty.

Z samego rana, wciąż zaspany, głośno ziewając, prawie zderzyłem się z Dalią na szczycie schodów.

– Dobrze, że cię jeszcze złapałam. – Chwyła mnie za dłoń i pociągnęła na poddasze. – Weźmiesz coś ode mnie i zawieziesz do galerii w mieście. To moje największe dzieło. Przyjmą je bez zastrzeżeń. Liczę, że sprzedam je bardzo drogo, a sam mówiłeś, że potrzebujemy pieniędzy...

Artystka dalej paplała, a ja próbowałem nie zacząć kichać od zapachu jej ciężkich perfum.

– Gotowy? – Ustawiła mnie na środku pracowni i stanęła obok sztalug przykrytych płótnem. – Powiesz mi, co o tym sądzisz, tylko szczerze.

Zdawała się bardzo podekscytowana, jakby zaraz jej kolorowa, błyszcząca suknia miała zamienić się w skrzydła motyla i unieść ją pod sam sufit.

Zdjęła płótno, a ja zaniemówiłem. Za groma nie znam się na sztuce, ale to...

Postąpiłem krok w stronę obrazu. Zapatrzyłem się na czarnowłosą dziewczynę o porcelanowej twarzy, zamyślonych oczach i smutnym uśmiechu. Tak jak w poprzedniej wersji, nadal trzymała przed sobą czaszkę i wpatrywała się w puste oczodoły. Ale teraz kości były słabiej widoczne, bo ukrywały się za inną postacią – uśmiechniętą dziewczynką stworzoną ze złotych i fioletowych drobinek. A gdy jeszcze bliżej się jej przyjrzałem, zorientowałem się, że te fioletowe kropki to przedzimki.

– Dałam mu tytuł *Granica* – odezwała się Dalia. – Wiesz, chodzi o granicę między światami. Ta Opal po lewej symbolizuje każdego człowieka, nasze obawy i rozterki. A ta po prawej jest już wolną duszą, która widziała zaświaty... Nie jestem tylko pewna, na ile go wycenić. – Westchnęła.

Pokręciłem głową.

– Myślisz, że się nie nadaje? – przestraszyła się. – Wiedziałam, że to chłam!

Zabawne, jak szybko od dzieła jej życia przeszła do chłamu.

– Nie sprzedamy go – powiedziałem. – Nie możemy. Jeśli się zgodzisz, powieszę go w gabinecie. Opal tak długo się ukrywała, wybierając samotność, żeby tylko nie skrzywdzić bliskich. Znalazła wspólny język

z duszami, które my uważaliśmy za bezmyślne bestie. A to, w jaki sposób odeszła... Namalowałaś to, jakbyś tam była. Chcę, żeby mieszkańcy dworku codziennie widzieli ten obraz i żeby o niej nie zapomnieli. Żeby pamiętali, że dusze na cmentarzu to ludzie skrzywdzeni przez kaprysy bogatego hrabiego. I że zawsze jest jakaś nadzieja.

Przeniosłem spojrzenie na Dalię. Jej oczy się zaszklily.

– Powiesimy go w gabinecie. – Uśmiechnęła się.

Objąłem ją ramieniem.

– Najwyżej Roch nas pogoni – zażartowałem. – Ale jego gniew biorę na siebie. Muszę się zbierać, żeby dotrzeć do miasta o ludzkiej porze.

Kilka godzin później wyszedłem z szemranego warsztatu samochodowego z portfelem wypchanym papierowymi kryptami. Co prawda miałem nadzieję dostać trochę więcej, ale główny mechanik domyślił się, do kogo należało to auto. Zresztą nie było to takie trudne, bo zamiast charakterystycznego emblematu marki na osłonie chłodnicy znajdowało się puste miejsce po wielkiej, srebrnej literze *D*, którą sprzedałem osobno u jubilera.

– Możemy już wracać? – zapytał Gaspar, który siedział przygarbiony na siedzeniu pasażera drugiego auta.

– Mam jeszcze kilka spraw do załatwienia – odparłem. – Co, nie podoba ci się w mieście?

Koniuszy burknął coś pod nosem i zarzucił na głowę kaptur, jakby się bał, że ktoś go tu rozpozna. Najwyraźniej nie tylko ja miałem szemraną przeszłość. Nie wiem dlaczego, ale jakoś mnie to rozbawiło.

Wcisnąłem gaz i gwałtownie ruszyłem z miejsca. Opony zabuksowały na śniegu przemielonym z błotem. Okolica była ponura, całe miasto przybrało buroszary odcień. Dym z setek kominów wisiał nad całym Żaropolem niczym sama śmierć. Mijaliśmy zniszczone budynki, obdrapane kamienice, ludzi brnących przez chlapę do pracy lub domu. Właściwie nic się tu nie zmieniło od mojego wyjazdu. Ale to tylko powierzchowne wrażenie. Wiedziałem, że w podziemiu ludzie żywo plotkują i się zbroją. Przez chwilę nawet się zastanowiłem, co musiałbym zrobić, żeby przejąć cały interes po Diogenesie. Znałem wszystkie szyfry do jego sejfów, wiedziałem, gdzie jest fabryka łez i ile kto na nich zarabia. Znałem każdego stracha przeszukującego cmentarze w pogoni za łzami i grabiącego groby. Wiedziałem, ile i komu trzeba dać w łapę, żeby policja się nie czepiała.

A gdybym jeszcze nawiązał kontakt z ludźmi z północy, z Zimowej Puszczy, gdzie ponoć hodowali łzy na potęgę...

– Co oni zrobili z tą biblioteką?! – zdenerwował się nagle Gaspar.

– Co? – zdziwiłem się, że tak szybko dojechałem na miejsce.

– Przecież to był taki piękny budynek! – wkurzał się koniuszy. – A jakie cenne dzieła się w nim znajdowały!

– Nie wiedziałem, że jesteś typem zagorzałego czytelnika – stwierdziłem.

– Nie jestem – burknął i jeszcze mocniej naciągnął kaptur na twarz. – Załatw szybko to, co masz do załatwienia.

Wysiadłem z auta, wszedłem do odpowiedniej kamienicy i przeskakując po dwa stopnie naraz, szybko wdrapałem się na poddasze. Zapukałem do drzwi. Otworzyła mi ładna, młoda dziewczyna. Nie znałem jej, a to znaczyło, że koleżanki Penelopy szybko znalazły dla niej zastępstwo.

– Jestem tu po rzeczy Penelopy – powiedziałem.

Dziewczyna już chciała zamknąć mi drzwi przed nosem, ale ktoś wewnątrz ją powstrzymał.

– Cześć, Daria – rzuciłem.

Kobieta po trzydziestce w szarym dresie wcale nie wyglądała jak prostytutka, ale przecież za dnia nie musiały nosić szpilek i wyzywającego makijażu.

– Co się z nią stało? – zapytała, wpuszczając mnie.

– Jest bezpieczna – odparłem.

Daria przyglądała mi się przez chwilę.

– Chodzą różne plotki... – zaczęła.

– Jest cała i zdrowa – zapewniłem, nie chcąc, żeby ktokolwiek z miasta wiedział, gdzie zamieszkała Penelopa.

Kobieta ważyła moje słowa, ale w końcu skinęła głową i zaprowadziła mnie do szafy, z której wyjęła spory karton.

– Większość swoich rzeczy: biżuterię, firmowe suknie, perfumy, musiała sprzedać – powiedziała. – Zostało tylko to.

Zajrzałem do środka. Było tam trochę ubrań, mnóstwo ciuszków dla noworodka, jakieś pieluchy i butelki.

– Dzięki, że to zatrzymałyście. – Podniosłem karton.

– Zadbaj o nią i jej dziecko – poprosiła Daria. – Mało która z nas ma szczęście, żeby w takim stanie wydostać się z miasta.

– Dopilnuję, żeby miała normalne życie – obiecałem. – Kilka dni temu nawet siedziała przy kominku, cerując ubranka. – Puściłem do niej oko.

W oczach Darii na ułamek sekundy błysnęła zazdrość.

– Dzięki, Max – rzuciła.

– Nie mów nikomu, że mnie widziałaś – powiedziałem na odchodnym.

Skinęła głową. Wiedziałem, że współlokatorom Penelopy można zaufać.

Zapakowałem karton do bagażnika i ku wielkiemu niezadowoleniu Gaspara pojechałem pod moją dawną kamienicę. Dzieciaki na ulicy grały w piłkę. Tobi rozpoznał mnie natychmiast, gdy tylko wysiadłem z auta.

– Wiedziałem, że żyjesz! – stwierdził.

Pod pachą jak zwykle trzymał starą, obdartą piłkę.

Otaksowałem dzieciaka wzrokiem. Był trochę za chudy i trochę za wysoki na swoje ubrania.

– Po mojej ucieczce... – Zająknąłem się. – Nie zrobili ci nic?

– Gdzie tam! – Machnął ręką. – Myśleli, że do tej rynny doskoczyłeś ze swojego okna! Debile!

Pokręciłem głową z uśmiechem i sięgnąłem do auta po nowiutką piłkę, którą kupiłem dosłownie przed chwilą.

– Trzymaj. – Rzuciłem ją młodemu.

– Ja nie mogę! Pachnie jeszcze skórą! – ucieszył się.

– A to daj mamie. – Wcisnąłem mu w rękę kopertę.

– Kasa? A za co? – zdziwił się.

– Za pomoc sąsiedzka. Tylko nie mów, od kogo to masz.

– Jasna sprawa. – Zasalutował.

– To leć, zanieś pieniądze do domu, a później wypróbuj piłkę.

Sekundę później chłopak zniknął na klatce schodowej, a ja pojechałem pod piekarnię. Nad drzwiami nadal wisiał paskudny precel. Pchnąłem drzwi, a dzwonek nad nimi zadźwięczał głośno.

– Co podać? – zapytała odruchowo Hela, przecierając ścierką ladę.

– Słyszałem, że macie najlepsze drożdżówki – zagaiłem.

Kobieta podniosła wzrok i zmierzyła mnie od stóp do głów.

– Na wszystkich bogów! – wybuchła. – Obiecałeś, że nie będę już nigdy musiała oglądać twojej gęby! – Pogroziła mi szmatą. – Myślisz, że ubierzesz się w garnitur i wszystko ci wybaczę?!

Oczekiwałem nieco cieplejszego powitania. Specjalnie na tę okazję wyciągnąłem z garderoby drogi garnitur po Tobiaszu.



– Obiecałem też, że się odwdzięczę. – Położyłem na ladzie zwitek banknotów.

– Nie chcę twoich brudnych pieniędzy!

– Uratowałaś mi życie, jakoś muszę się odwdzięczyć. – Rozłożyłem ręce.

Hela splotła ramiona pod obfitym biustem i rzuciła mi gniewne spojrzenie.

– Co się dzieje?

Z zaplecza wyjrzał jeden z jej synów, a kiedy tylko mnie zobaczył, jego dłonie zacisnęły się w pięści. Nie chciałem dostać nimi po głowie.

– Nic, bierz się do roboty – burknęła kobieta.

– Powiedz mi chociaż, czy u was wszystko w porządku – poprosiłem.

Hela westchnęła ciężko i rozejrzała się po piekarni.

– Żyjemy i ciężko pracujemy – odparła w końcu.

– Ja też! – podchwyciłem. – Znalazłem uczciwą pracę. Jest ciężka jak cholera, ale nieźle mi za nią płacą.

– Akurat! – prychnęła. – Ty nigdy byś nie splamił sobie rąk uczciwą pracą.

Z zaplecza wyszła tyłem młoda dziewczyna. Niosła wielką skrzynkę pełną bułek.

– Gdzie je ułożyć, babciu? – zapytała.

– Cudownie! – Hela wyrzuciła ręce w górę.

Didi odwróciła się, zobaczyła mnie, zmarszczyła brwi i zapiszczała z radości.

– Nawet się do niego nie zbliżaj! – warknęła jej babcia, ale dziewczyna położyła skrzynkę na ladzie i wpadła mi w ramiona.

– Myślałam, że nie żyjesz!

– Też się cieszę, że cię widzę – zapewniłem i odkleiłem ją od siebie. – Mów, co u ciebie, zanim twoja babcia wykopie mnie za drzwi.

Zerknąłem na Helę. Jej mina wskazywała, że była gotowa zaraz to zrobić. O Mirabelkę nawet nie pytałem, bo dostałbym jeszcze wałkiem po głowie.

– Startuję na uczelnię artystyczną! – pochwaliła się od razu Didi.

– Super – przyznałem.

Wiedziałem, że lubiła malować, ale nie sądziłem, że jej babcia zgodzi się na coś takiego. W końcu cała rodzina pracowała w piekarni.

– Latem będą egzaminy – ciągnęła dziewczyna. – Chciałam wziąć jakiś kurs i się podszkolić, ale babcia nie pozwala. – Spuściła głowę.

– Bo nie potrzebujesz żadnych kursów – wtrąciła Hela. – I nie mamy na nie pieniędzy.

– Nie potrzebuję kursów, bo masz nadzieję, że się nie dostanę! – wybuchła Didi z żalem.

– Kotku, przecież wiesz, że wszystkie nasze oszczędności poszły na nowy piec. – Hela położyła dłoń na ramieniu wnuczki.

– To może ja pomogę? – odezwałem się nieśmiało i zerknąłem na pieniądze na ladzie.

– Babciu? – W oczach Didi pojawiła się nadzieja.

– Absolutnie wykluczone! – Kobieta wzięła zwitek i wsadziła mi go do kieszeni. – Nasza rodzina poradzi sobie sama!

– Jeśli nie chcesz pieniędzy, to mogę zaproponować kurs malarstwa dla Didi – rzuciłem.

– Jasne! I co jeszcze?

– Mieszkam z pewną malarką. Z chęcią weźmie ją pod swoje skrzydła – zapewniłem. – Didi może przyjechać do nas na ferie...

– A ja ci wierzę, jak cię widzę! Ty mieszkający z malarką? Na pewno! – prychnęła kobieta.

Bogowie, ależ ona była uparta. Ale z drugiej strony dobrze mnie znała i w sumie nie dziwiłem się, że nie chciała dać mi pod opiekę swojej wnuczki.

– Dalia naprawdę świetnie maluje, ostatnio ponoć nawet miała wystawę w jakiejś galerii w mieście...

– Nie! – odezwała się nagle Didi. – Na pewno nie mówisz o tej Dalii!

Spojrzałem na nią z zaskoczeniem. Na jej policzkach pojawiły się rumieńce, a w oczach isierki.

– Mam na myśli Dalię... – Zawahałem się. Tylko raz słyszałem jej nazwisko, ale miałem dobrą pamięć. – Dalię Rozenbacher.

Didi zaczęła piszczeć i skakać w miejscu.

– Babciu! Max zna Dalię Rozenbacher! Dalię Rozenbacher! Zaciągnęłam cię na jej wystawę! Pamiętasz?! Pamiętasz to?!

Hela niechętnie skinęła głową.

– Mogłabym się uczyć u mistrzyni! Nie możesz mi tego zabronić!

Kobieta jednak przestała słuchać wnuczki i przesyłała mnie spojrzeniem.

– Nie kłamiesz? – wycodziła.

– Nie śmiałym! – Uderzyłem się pięścią w klatkę piersiową. – Przyjadę po młodą w ferie. Możesz nawet pojechać z nami i się przekonać, że nie kłamię. Przez kilka dni piekarnia nie zawali się bez ciebie.

– No dobrze – powiedziała przeciągle Hela. – Ale jeśli to jakiś przekręt... – Pogroziła mi palcem, ale właśnie w tej chwili jej wnuczka rzuciła się jej w ramiona.

– Dziękuję, babciu! Dziękuję!

Do piekarni zajrzał Gaspar.

– Możemy już jechać? – poprosił.

– Już się zbieram. – Skinąłem głową. – To poproszę jeszcze tylko dwie drożdżówki. Dla mnie i mojego koniuszego.

Nie mogłem, po prostu nie mogłem się powstrzymać.

– Koniuszego! – prychnęła Hela, pakując do papierowej torebki wypieki.

– A ma pani coś przeciwko koniuszym? – zapytał poważnie Gaspar, a kobiecie mina zrzedła.

Położyłem banknot na ladzie, wziąłem od niej torebkę, pocałowałem ją w policzek i wyszedłem z piekarni, zanim zdążyła czymś mnie zdzielić.

– Czy teraz możemy już wracać? – jęknął Gaspar.

– Jeszcze tylko jedno miejsce. – Podałem mu drożdżówki. – Obie są twoje.

Zatrzymaliśmy się na samym skraju Szant. Koniuszy już zaczął narzekać, że nie powinniśmy nawet zbliżyć się do tej dzielnicy, ale machnąłem ręką i wysiadłem z auta. Tutaj również nic się nie zmieniło. Może tylko mniej ludzi spało na ulicach niż jesienią.

Zaczepiłem pierwszego napotkanego młodego chłopaka.

– Tytus jest w domu? – zapytałem i rzuciłem mu monetę.

– Poszedł na targ – odparł mały szanciarz, a moneta błyskawicznie zniknęła w jego kieszeni.

– Jego żona, Lana... – zacząłem.

– Nie żyje. Mówią, że się zaćpała.

Przymknąłem oczy. Szkoda kobiety. Ale stoczyła się na samo dno. Była gotowa usługiwać Diogenesowi za łzy, nie bacząc na to, że tym samym ściąga kłopoty na swojego męża.

– A Szczur? – zapytałem.

Dzieciak wyciągnął w moją stronę dłoń i skinął palcami. Westchnąłem ciężko i dałem mu drugą monetę.

– Zniknął – powiedział chłopak. – Mówią, że zaczął pracować dla kasty, ale od kilku dni nie pojawił się na Szantach. Mój starszy brat twierdzi, że widział, jak w nocy wrzucają jego ciało do rzeki. Było obwiązane łańcuchami.

Skinąłem głową. To by w sumie pasowało do Diogenesa. Dowiedział się od niego, czego chciał, a wiedział, że na takim typie człowieka, jakim był Szczur, nie można polegać, to kazał go zabić. Nawet nie było mi żal faceta, który wystawił kaście nie tylko mnie, ale i ciężarną Penelopę.

– Kup sobie i bratu coś do jedzenia. – Dałem chłopakowi jeszcze jedną monetę i odszedłem.

– Bogaci są dziwni – usłyszałem jeszcze za plecami.

Uśmiechnąłem się pod nosem. W garniturze po dziedzicu nieboszczyku, z kasą za sprzedaż samochodu kasty, uchodziłem tu za bogacza. A jak ten bogacz wróci do swojego majątku, to zamówi węgiel, żeby mieć czym grzać zimą, zakasa rękawy i będzie go wrzucać szuflą do piwnicy ramię w ramię z rękodajnymi, bo ogrodnika ostatnio bolą plecy.

Po drodze zaczępiłem jeszcze jednego, tym razem znacznie starszego szanciarza, i za kilka monet dowiedziałem się tego samego, co powiedział chłopak.

Stanałem pod domem Tytusa. Nadal nie miał drzwi wejściowych. Przemierzyłem cuchnący pleśnią i wilgocią korytarz i wszedłem do jedyne go zamykanego pokoju na parterze. Było tu tylko ciut cieplej. Ogień w kociole dawno temu wygasł, ale tuż obok leżało kilka gałęzi, żeby można było znów napalić.

Wyjąłem z kieszeni zwitek pieniędzy, które chciałem dać Heli, i wcisnąłem go pomiędzy siedzisko a oparcie fotela, na którym zawsze przesiadywał Tytus. Nie wydał mnie, choć Diogenes miał jego żonę. Zasługiwał na znacznie więcej. Może te pieniądze pomogą mu zacząć nowe życie. Po śmierci Lany już nic nie trzymało go na Szantach. Może nawet wyjedzie na północ, tam, gdzie się urodził?

Wróciłem do samochodu i usiadłem za kierownicą.

– Teraz możemy jechać do domu – oświadczyłem.

Wreszcie spłaciłem wszystkie długi w mieście.

# Rozdział 41

Wszystko ułożyło się tak pięknie, niemal jak w książce ze szczęśliwym zakończeniem, że tylko czekałem, aż moje życie znów zacznie się walić. Dni mijały jeden za drugim, śnieg prószył niemal codziennie. W dworku zrobiło się cieplej, i to nie tylko dlatego, że mogliśmy sobie pofolgować z węglem. Wszyscy mieszkańcy zdawali się wreszcie w pełni mnie zaakceptować, a nawet polubić. Nawet Roch był znacznie miłszy. I tylko w kwestii dusz nic się nie zmieniło. Nadal miały przerąbane tak samo jak w dniu, w którym podpisały pakt z Glariusem.

No i na naszym cmentarzu pojawiły się nowe dusze, ale na razie za bardzo się bały, żeby wychodzić ze swoich krypt. Raz tylko zobaczyłem jedną maszkarę, przy której Asazan naprawdę zaszalał.

– Ty, patrz! – Poczułem, jak podczas warty Samson klepie mnie w ramię.

Z jednej z krypt wyjrzało coś niekształtnego. Cztery pary oczu zamrugały jednocześnie.

– O cholera – rzuciłem.

Księżyc jasno świecił, jego srebrne promienie odbijały się od śniegu, mieszając się z blaskiem wiecznie kwitnących łąz.

– Tutaj pochowaliśmy w jednej trumnie tamtych czterech, prawda? – upewniłem się.

Rękodajny skinął głową. Za nami rozległ się kamienisty dźwięk przechadzającego się Gargulca, a potwór ulepiony ze szczątków czterech ciał ze strachem uciekł w mrok własnej krypty.

Wachim wpadał do nas co jakiś czas, żeby poinformować o postępach w sprawie aresztowania kasty.

– Diogenes został wysłany do zamkniętego ośrodka opiekuńczego – powiedział, kiedy zebraliśmy się w kuchni, która nadal była najcieplejszym pomieszczeniem w całym budynku.

– Że co? – Aksel siedzący w kącie na ławce się skrzywił, a babcia dała mu po uszach.

– Zamknęli go w wariatkowie – wyjaśniłem. – Dopóki nie uznają, że jest w pełni świadomy swoich czynów, nie wsadzą go do więzienia. Udaje? – zwróciłem się do notariusza.

Ten zacmokał.

– Trudno stwierdzić. Odwiedziłem go jakiś tydzień temu. Zdaje się, że zupełnie stracił kontakt z rzeczywistością.

– Noc na cmentarzu załatwiła go na dobre. – Samson pokiwał głową.

– Pozostałych pięciu przestępców stanie przed sądem za jakiś miesiąc – dodał Wachim.

– I nie będzie problemu...? – Roch zawiesił głos.

– Rozmawiałem z nimi – odparł notariusz. – Nie powiedzą, że ich towarzysze usiłovali włamać się na cmentarz ani że część z nich została zabita przez dusze. Ustaliliśmy jedną wspólną wersję: było ich pięciu pod przewodnictwem Diogenesa. Próbowali włamać się do Lawendowego Dworku w poszukiwaniu pieniędzy i złota. Za coś takiego dostaną dużo niższy wyrok niż za próbę włamu na cmentarz, więc w tej kwestii będą milczeć. Oczywiście w napadzie przeszkodził im nasz dzielny komendant wraz ze swoimi ludźmi.

Samson prychnął pod nosem.

– Bo my nie mieliśmy w tym żadnego udziału i trzeba było nas ratować – burknął.

– Bo tak jest dla wszystkich najłatwiej – zganił go Wachim. – Chcecie więcej kłopotów?

– I co nam zrobią? – odezwał się Olaf. – Zamrożą pensje? A nie, czekaj, już to zrobili. I dlaczego w tej kwestii nic się nie zmienia? – Spojrzał na notariusza z wrogością, ale ten zdawał się obojętny na jego humory.

– Jesteśmy na dobrej drodze do odzyskania waszych pieniędzy – zapewnił. – Dajcie mi jeszcze kilka tygodni. Wina tamtych chłopaków jest niewątpliwa, ale wiecie, jak to jest z bogatymi ludźmi. Nawet kiedy nie mają racji, za żadne skarby świata nie będą chcieli tego przyznać.

– A my nie mamy czego do garnka włożyć – dodała Alma.

– Nie będę wypominał nielegalnie zatrzymanych i sprzedanych samochodów kasty – odparł Wachim, zapinając swoją aktówkę.

– Załatw to szybko – powiedział na do widzenia Roch. – I mają nam wypłacić wszystkie zaległe pensje z procentem!

– Tak, tak, oczywiście – rzucił dla spokoju notariusz. – Max, odprowadzisz mnie do drzwi?

– A co? Sam nie trafisz? – zakpił zarządca.

Wzruszyłem ramionami i ruszyłem ciemnym korytarzem za Wachimem. Zatrzymaliśmy się dopiero w hallu.

– Dowiedziałem się czegoś ciekawego w kwestii pochówku Glariususa – odezwał się cicho notariusz, rozglądając się, jakby się obawiał, że ktoś nas podsłucha.

– Tak? – Od razu zyskał moje zainteresowanie.

– Ale to jest przeznaczone tylko dla twoich uszu – zastrzegł. – Jesteś jego potomkiem. Nikt inny nie może o tym wiedzieć.

– Oczywiście. – Uderzyłem się pięścią w pierś, a Wachim pokręcił głową, jakby doskonale wiedział, że jeśli coś na tym zyskam, to wygadam tę tajemnicę każdemu.

– Mówię to tylko tobie – podkreślił. – Glarius został pochowany na państwowym cmentarzu dla szlachty.

– No raczej – odparłem.

Bogaci mieli własne cmentarze, w których opłacali dodatkowych strażników, żeby czasem nikt nie okradł ich grobów.

– Co zastanawiające, podczas zwyczajowej kontroli miesiąc po śmierci okazało się, że jego grób jest pusty. – Notariusz posłał mi poważne spojrzenie.

– Jaja sobie robisz? – zapytałem. – Przecież koleś tyle nagrzeszył! Musiał dostać pokutę!

– Ciszej! – syknął Wachim. – W tamtych czasach inaczej postrzegano moralność paktów...

– Może tak robili ludzie, ale na pewno nie bogowie – wszedłem mu w słowo. – Skoro nie znaleźli ani duszy Glariususa, ani zachowku w jego grobie, ktoś pogrzebał go gdzieś indziej.

– Nikt by się nie ośmielił! – wybuchł notariusz. – To wbrew wszystkiemu!

– A co my wyprawiamy? Grzebiemy na naszym cmentarzu kogo popadnie. – Wzruszyłem ramionami.

– Zapomniana córka zarządcy i ludzie kasty to coś zupełnie innego! Nie zrównuj ich z hrabia!

Odetchnąłem.

– Masz rację, oni byli znacznie lepsi, nawet wykonawcy Diogenesa – przyznałem. – Pytanie tylko, kto i gdzie pochował Glariusza.

Przetarłem dłonią krótką brodę. W mojej głowie pojawiło się co najmniej kilka opcji.

– Max, to niemożliwe. – Wachim pokręcił głową. Nawet nie wiem, od kiedy byliśmy na ty, ale w końcu trochę razem już przeszliśmy. – W ceremonii pogrzebowej hrabiego brało udział co najmniej kilku notariuszy, o strażnikach cmentarza nawet nie wspomnę. Zorientowaliby się, gdyby dostali pustą trumnę.

– Ktoś dał im w łapę – oświadczyłem.

– Możesz przekupić jednego notariusza lub mu grozić – burknął z pewną urazą. – Ale nie uda ci się to z kilkoma naraz.

– No to nie wiem! – Wyrzuciłem ręce w górę, a Wachim syknął, żebym był ciszej. – Na pewno nie wzięli go z butami do raju! Facet był bezwzględny, okrutnym skurwysynem!

– Ktoś mógł włamać się na cmentarz po ceremonii pogrzebowej – powiedział cicho notariusz. – I wynieść nie tylko ciało, ale i cały zachówek.

– Ale po co? – zastanowiłem się. – To bez sensu! Jak już go gdzieś pochowali, po co przenosić ciało? Rozumiem zachówek, ale na co komu trup i docelowo dusza?

– I to jest bardzo dobre pytanie – odparł notariusz.

– Żeby zrobić coś takiego, ktoś musiał być bardzo zdesperowany i nienawidzić Glariusza – oceniłem.

– Wielu za nim nie przepadało.

– A może sam Glariusz podpisał z kimś pakt?

Notariusz pokręcił jednak głową.

– Rozumiem, że ktoś mógłby chcieć zamknąć duszę Glariusza, która na pewno byłaby bardzo „ciekawa”, ale sam hrabia w życiu by na to nie poszedł – stwierdził.

– On wiedział, czym śmierdzą cmentarze osobliwości – przyznałem i zerknąłem przez ramię na paskudne popiersie, które po ataku kasty wróciło na swoje miejsce między schodami.



– Myślę, że nigdy się tego nie dowiemy – westchnął notariusz i poklepał mnie po ramieniu, a kiedy zdał sobie sprawę z tego, co robi, gwałtownie cofnął dłoń. Nie powinien wdawać się w taką zażyłość z mieszkańcami dworku. – Na mnie już czas.

Obejrzałem się za siebie. Na schodach stanęła Dalia, zupełnie nieświadoma, o czym rozmawialiśmy.

– Już nas opuszczasz, Nesterze? – zapytała.

– Obowiązki wzywają. – Uśmiechnął się do niej. – Do zobaczenia, Dalio.

Zamknąłem za nim drzwi.

– Czego chciał? – Natychmiast pojawił się przy mnie Roch.

– Dać mi jeszcze kazanie, jak to nie powinienem teraz się w nic plątać – mruknąłem. – I zabronił mi wycieczek do miasta. Jakby miał jakikolwiek wpływ na to, dokąd się wybieram.

– Ten biedak myśli, że może nam rozkazywać – przyznał zarządca. – Ale do miasta to rzeczywiście nie jedź.

– Nie zamierzam. – Pokręciłem głową. – Absolutnie nic już mnie tam nie ciągnie. Przynajmniej na razie. Idę się zdrzemnąć, bo mam nockę.

Tak naprawdę jednak nie byłem zmęczony. Gdy tylko dotarłem do mojej sypialni (Penelopa przeprowadziła się do innego pokoju i tam zaczęła się urządzać), wyciągnąłem z szuflady dziennik Morta.

Otworzyłem go na ostatnim wpisie. Jeszcze zanim trafiłem na ten dziennik, końcowe strony były trochę pogniecione, nieco bardziej brudne niż pozostałe. Na marginesach zaś znajdowało się najwięcej symboli i dziwacznych notatek.

7.11.1633

*Ojciec odszedł we śnie – zacząłem czytać po raz chyba setny. Choroba szybko pochłonęła jego ciało. Zgasł jak świeca w ciągu zaledwie kilku dni. Nie zasługiwał na to. Podświadomie zawsze wyobrażałem sobie, że zginie w jakiś tragiczny i okrutny sposób. A jego śmierć była taka... spokojna. Został pochowany na państwowym cmentarzu w miejscu, które wybrał dla siebie dawno temu. Urządził sobie tam wygodną kryptę, jakby oczekiwał, że spędzi w niej wiele lat. Jakby doskonale wiedział, że był złym człowiekiem. Wszystkich wokół okłamywał, że podpisuje pakt dla dobra ludzi i ich dusz, ale musiał zdawać sobie sprawę z tego, że bogów nie oszuka.*

*Wraz z moim jedynym przyjacielem Hawierem oraz całą służbą z dworku pożegnaliśmy go pod cmentarzem. A kiedy zamknęły się za nim bramy, po raz pierwszy w życiu odetchnąłem z ulgą. Ojciec odszedł na dobre.*

*Za kilka dni poinformuję o tym dusze. Na razie sam muszę przetrwać jego śmierć.*

15.11.1633

*Zwolniłem wszystkich ludzi, którzy mieli do czynienia z cmentarzem. Zwolniłem ogrodnika, sprzątacza, biletera, nawet strażników. Chciałbym stąd wyjechać, porzucić za sobą przeszłość, ale nie mogę. Jako dziedzic muszę opiekować się cmentarzem. Muszę zająć się duszami, które nienawidzą mnie tak samo jak ojca, bo czują we mnie jego krew. Nie wiedzą, że nigdy nie chciałem, żeby ten cmentarz powstał. Że byłem wszystkiemu przeciwny. Boję się, że ta ich nienawiść przeleje się na moich potomków. Ale może z czasem zblaknie?*

*Hawier na stałe zamieszkał w dworku. Sam nie poradzę sobie z duszami. Cmentarz musi mieć zarządcę. Nie mogę ocalić dusz, ale choć sprawię, że ich wieczna pokuta będzie lżejsza i nikt więcej ich nie skrzywdzi. To jest mój ostatni wpis.*

Położyłem otwarty dziennik na mojej klatce piersiowej. Z historii rodu Muertonów dowiedziałem się, że Mort nigdy już nie wszedł na cmentarz, choć regularnie oddawał swoją krew. Bał się dusz, które chciały go zabić. Zatrudnił też pierwszych rękodajnych, którzy mieli pomagać zarządcy.

– A jeśli nie wrócił na cmentarz z innych powodów? – zastanowiłem się na głos. – Nie bał się dusz. Za życia ojca ciągle usiłował je ogarnąć. Czego w takim razie mógł się lękać?

Znów spojrzałem na ostatnią stronę.

*I nikt więcej ich nie skrzywdzi* było podkreślone, a obok znajdowały się jakieś dziwne symbole.

– Co to znaczy?

Ta część dziennika bardzo zainteresowała Kalisterona. Tylko dlaczego? W jaki sposób można skrzywdzić dusze?

– Zabrać im zachówek – odparłem sam sobie.

Ale Kalisterona nie interesowały pieniądze. On chciał otworzyć cmentarz na nowo, szukał nowych sposobów na wykorzystanie dusz. Uważał, że

mają niewyobrażalny potencjał.

– Co? Na wojnę chciał je wysłać? – prychnąłem, ale w sumie to nie byłby taki głupi pomysł.

Za czasów Kalisterona prowadziliśmy wojnę z Sambrowią. Gdyby na front posłać dusze, niejeden by się zesrał w gacie. Zanim nasi sąsiedzi zaciągnęliby do wojska własne dusze, my moglibyśmy już wygrać...

– Bez sensu – mruknąłem. – Trzeba by zmienić treść paktów. A to jest niemożliwe. No i paktów zaginęły wraz ze śmiercią...

Gwałtownie poderwałem się z łóżka. Kalisteron szukał paktów. Liczył, że uda mu się przy nich majstrować. Całe życie poświęcił, żeby je odnaleźć, i zginął na cmentarzu.

Do końca dnia nie wiedziałem, co ze sobą zrobić. Wpatrywałem się w kolejne strony dziennika, który znałem już na pamięć, jakbym wierzył, że jeśli wystarczająco mocno mu się przyjrzę, zobaczę coś, co pomoże mi odkryć wszystkie tajemnice nie tylko Morta, ale i Kalisterona.

Tej nocy znów musiałem upuścić swojej krwi na cmentarzu, ale teraz robiłem to w trochę bardziej cywilizowany sposób. Gaspar dał mi specjalny zestaw do pobierania krwi i już coraz wprawniej wbijałem się igłą w żyłę na łokciu. A po wszystkim zostawał tylko mały ślad po wkłuciu i czasem siniak. Lepsze to niż nacinanie rąk nożem.

– Od razu lepiej – westchnął Olaf, kiedy pierwsze czerwone krople wsiąknęły w ziemię w kamiennej misce w kapliczce.

– Jak wy to widzicie? – zapytałem.

– Im bardziej twoja krew w ziemi wysycha, tym bardziej dusze blakną, aż zupełnie znikają – wyjaśnił. – Oczywiście te, które nie chcą być widziane, jak Hugo, nasz mistrz uciezek. Bo taki Rogacz, dajmy na to, to uwielbia być widziany i straszyć, kogo tylko się da.

W pobliżu rozległy się kroki. Śnieg zaskrzypiał cicho.

– Dobry wieczór, panowie – powitał nas Odo.

Skinęliśmy mu głowami.

– Idę jeszcze zerknąć do Pięknej – rzucił Olaf i zniknął w gąszczu.

Przez chwilę nasłuchiwałem, jak rękodajny się oddala.

– Która dusza jest ostatnią pochowaną na cmentarzu? – odezwałem się. – Poza tymi, których my tu pogrzebaliśmy.

– Śmiercian – odparł bez wahania Odo.

– Ktoś był przy jego pogrzebie?

Dusza pokręciła głową.

– Nie widzieliśmy żadnych pogrzebów. One odbywały się za dnia. Nocą zauważyliśmy, że następna krypta została zajęta, a po kilku dniach pojawiał się nowy lokator.

– Czy Śmiercian może być...? – Zawahałem się, nie do końca wiedząc, o co tak naprawdę chcę zapytać.

– Glarius na długo przed jego przybyciem chwalił się, że znalazł kogoś interesującego, kto będzie niezwykłą duszą – powiedział Odo, kręcąc głową. – Zakładam, że Śmiercian za życia był kimś tak bardzo złym, że hrabia wręcz nie mógł się doczekać, aż go u nas pochowa.

– To dlaczego pochował go w trzecim kręgu? – zapytałem. – Śmiercian powinien spocząć gdzieś w centrum cmentarza, skoro miał być gwoździem programu.

Odo wzruszył ramionami.

– Glarius szykował dla niego tę kryptę, w której pochowaliście Opal, ale może zmienił plany? – zgadywała dusza. – Może chciał przeorganizować cmentarz? W końcu przez trzydzieści lat tkwiliśmy w tych samych miejscach.

– I Śmiercian nigdy nic nie powiedział? – dociekałem.

– A widział panicz jego usta? – zakpił Odo.

Pokiwałem głową w zamyśleniu.

– Co było później? – drążyłem.

– Nic, na cmentarzu pojawił się pierwszy zarządca, skropił ziemię krwią dziedzica i oświadczył, że Glarius nie żyje.

– Mort nie przyszedł?

– Nigdy go już nie widzieliśmy. – Odo westchnął. – To nie był zły chłopak. Chciał dobrze. Chyba nawet nie pragnął nas krzywdzić, ale przecież pomagał swojemu ojcu nas okiełznać. Te najbardziej pomysłowe okowy to jego dzieło.

– Wiesz, parę razy ktoś z was wymknął się z cmentarza i siał zamęt poza nim – przypomniałem. – Pszczelarz spalił kawał wsi i pól uprawnych.

– Wszyscy byliśmy kiedyś bardziej gniewni – przyznał Odo. – Teraz w wielu z nas ten ogień się wypalił.

– Nie sądzę. – Przed oczami nadal miałem widok dusz mordujących ludzi Diogenesa.

– Zmęczony jestem. – Odo się przygarbił. – Zimą noce są dłuższe, ale wcale nie mam siły tyle czasu przebywać poza kryptą.

– Odprowadzę cię – zaproponowałem.

W milczeniu ruszyliśmy przez cmentarz. Poświata bijąca od łoż odbijała się od śniegu. To miejsce było zarówno przerażające, jak i piękne.

Dżentelmen zatrzymał się przed swoją kryptą. Był to olbrzymi, ociosany głaz leżący na boku. Wiedziałem, że pod nim znajduje się metalowa trumna wypełniona zachowkiem. Kiedyś Odo mi ją opisał, twierdząc, że mimo iż jest przeżarta przez rdzę, to bardzo przytulne miejsce. O to, co zostało z jego szczątków, nie pytałem.

Odo usiadł na płycie, skinął mi głową, po czym się położył. Splótł ręce na klatce piersiowej i zamknął oczy, po czym zaczął się zapadać w głaz, zupełnie jakby kamień chciał go utulić. Wkrótce pod nim zniknął.

Zabawne – dusze mogły przejść przez kamień i metal swoich krypt, ale już nie przez cmentarny mur.

## Rozdział 42

– Ten obraz przyprawia mnie o dreszcze – usłyszałem.

Oderwałem wzrok od wizerunku Kalisterona i spojrzałem na Penelopę.

– Słyszałam, że to był najokrutniejszy dziedzic. – Stanęła przy mnie.

– Ale też cholernie inteligentny – dodałem.

– I czekasz, aż zdradzi ci swoje tajemnice? – Uśmiechnęła się.

– Mniej więcej.

Penelopa ruszyła do swojej sypialni, a ja podążyłem za nią.

– Ładnie tu. – Rozejrzałem się po pokoju, który wyglądał zupełnie inaczej niż mój.

Od razu było widać, że mieszka tu kobieta. Było tu jakoś... weselej i ładniej. W kącie stało łóżeczko dziecięce, a nad nim wisiała karuzela z nieco obdrapanymi figurkami kolorowych kotków. Pewnie Alma zdobyła ją gdzieś we wsi.

– Od kilku dni chodzisz jak zbity pies. – Penelopa usiadła w wielkim fotelu i pogładziła swój brzuch. – Co cię trapi?

Wzruszyłem ramionami.

– Zmieniłeś się – rzuciła. – To miejsce cię zmieniło.

– No raczej. – Pokazałem jej przedramiona, na których nadal widniały ślady po licznych cięciach. Jedne blizny były już srebrne, inne jeszcze czerwone.

– Nie o to mi chodzi. – Pokręciła głową. – Kiedyś bardzo lubiłam twoje towarzystwo, bo patrzyłeś na świat tak... – Rozłożyła ręce. – Jakby cały należał do ciebie, jakby za każdym rogiem czekały nowe możliwości. Ale byłeś też cholernym egoistą.

– Wypraszam sobie! – burknąłem, siadając na łóżku.

– A nie? Gdyby tylko nadarzyła się okazja, sprzedałbyś mnie.

– Nigdy! – zapewniłem.

– Nie? – Uniosła brwi. – A kto, ścigany przez Diogenesa, zjawił się na moim progu, wiedząc, jak zaryzykowałabym, gdybym ci pomogła?

– Ale odszedłem.

Trochę było mi wstyd za tamto, choć przecież wtedy ledwie żyłem.

– Bo cię pogoniłam! – Zaśmiała się. – I za to też miałam wyrzuty sumienia.

– Dlatego ostrzegłaś mnie, że Tytus wystawił mnie Diogenesowi – zgadłem.

– Trochę mi wstyd, że tak pochopnie go oceniłam. – Spuściła głowę. – Wszyscy wiedzieli, że Diogenes ma jego żonę, i gdy tylko po mieście rozniosły się plotki, że wróciłeś, z góry założyłam, że to on cię wydał.

– Bo nie znałaś Szczura i nie wiedziałaś, że on też jest na usługach mojego byłego szefa – pocieszyłem.

– A teraz jesteśmy oboje tutaj. – Powiodła wzrokiem wokół siebie. – I mam pokój wielkości mojego byłego mieszkania – zażartowała. – A ty... ty jesteś już kimś innym. Wreszcie wzięłaś za coś odpowiedzialność i dbasz o swoich ludzi.

– Co z tego, skoro nie mogę pomóc duszom? – Wzruszyłem ramionami.

– Pilnujesz, żeby nikogo nie skrzywdziły ani żeby nikt nie skrzywdził ich, a to naprawdę wiele – zapewniła. – Nie odpowiadasz za błędy, które popełniły za życia, ani za czyny swojego przodka.

– Masz rację – powiedziałem, choć w głębi serca wcale tak nie uważałem.

– Muszę się przejść – rzuciłem, opuszczając jej pokój.

Wyszedłem z dworku i brnąc w śniegu prawie po kolana, ruszyłem przez łąki. W wewnętrznej kieszeni kurtki miałem dziennik Morta, który zdawał się emanować ciepłem. Brakowało mi Opal i naszych rozmów.

Wspiąłem się na wzniesienie i zapatrzyłem na wysokie drzewa w oddali. Stąd cmentarz wcale nie wyglądał strasznie.

– Przecież wiem, gdzie są pakty – odezwałem się, a lekki wiatr porwał moje słowa.

Już od jakiegoś czasu wiedziałem, tylko sam siebie oszukiwałem. Nie chciałem ryzykować, nie chciałem poświęcać własnego życia dla dusz, które przecież miały swoje grzechy na sumieniu. Poza tym co te pakty zmieniają? Diogenes nie mógł cofnąć swojej umowy podpisanej ze Słodką, to

co niby ja mogę zrobić z paktami mojego przodka? W głębi serca jednak wierzyłem, że gdybym je zdobył, coś mogłoby się zmienić.

Wszyscy mówili, że Śmiercian zaciągnął Kalisterona do swojej krypty i tam go zabił. A może to Kalisteron poszedł do Śmierciana, bo jako jedyny przede mną domyślił się prawdy?

Wróciłem do dworku i przebrałem się w suche ubrania. Położyłem dziennik na szafce nocnej i ogarnąłem pokój, żeby nie zostawić po sobie bałaganu. Wyciągnąłem spod łóżka nadal pełną torbę i po chwili namysłu ją rozpakowałem. Jestem największym kanciarzem. Oni wszyscy, oprócz Rocha, wciskali mi, że nadaję się na dziedzica. A ja uważałem, że to nieprawda. Planowałem ich okraść i stąd uciec. Wychodzi na to, że najbardziej oszukałem samego siebie.

Zszedłem do kuchni na kolację. Chciałem nacieszyć się moim ostatnim ciepłym posiłkiem. Norman opowiadał niecenzuralne żarty, przez które Irys się rumieniła. Aksel szkolił psy. Alma i Aster robiły wspólnie listę zakupów na następne dni. Konrad przysypiał w rogu na ławie. Penelopa wesoło gawędziła z Gasparem – szybko odnalazła się wśród mieszkańców dworku. Dalia opowiadała, co obecnie maluje. Kilka dni wcześniej zapytałem ją, czy przyjmie pod swoje skrzydła uczennicę, i bardzo jej się ten pomysł spodobał.

Na nocną wartę poszedłem z Samsonem. Rękodajny jak zwykle dużo gadał, ale ja słuchałem go tylko jednym uchem. Obchód obył się bez większych problemów. Kiedy tylko poszliśmy zajrzeć do Bagniaka, który jeszcze nie wyszedł ze swojej sadzawki, trąciłem stopą kamień, który odtoczył się pół metra dalej. Samson nic nie zauważył i wkrótce dotarliśmy do kapliczki. Chwilę pogawędziliśmy z Odonem, kiedy po cmentarzu poniósł się ryk wściekłości.

– Cholera – sarknął Samson. – A temu co?

– Może śnieg spadł na jego konstrukcje? – zasugerowałem. – Trzymaj. – Rzuciłem mu ciemny otoczak poprzecinany złotymi żyłkami.

Zbieranie ciekawych kamieni już dawno weszło mi w nawyk i zawsze miałem jakiś w kieszeni.

Ruszyliśmy w stronę krypty Bagniaka, kiedy gwałtownie się zatrzymałem.

– Co jest?! – Samson odwrócił się do mnie.



– Chyba widziałem Hugona – odparłem. – Drań znowu przetarł linkę! Złapię go, a ty zajmij się Bagniakiem.

Rękodajny skinął głową i zniknął za drzewami, ja zaś skierowałem się w zupełnie innym kierunku. Nie spieszyłem się. W myślach wciąż szukałem powodów, żeby zawrócić, a było ich sporo. Jednak wciąż parłem naprzód, aż stanąłem przed kryptą wykopaną w ziemi.

Śmiercian od razu rzucił się do kraty i zaczął skrzeczeć po swojemu.

– Wiem, kim jesteś – powiedziałem.

Dusza wyciągała ręce nad siebie, jakby wierzyła, że zdoła mnie pochwycić.

– Wiem, kim jesteś, Glariusie Muertonie – powtórzyłem.

Na dźwięk swojego imienia, prawdziwego imienia, Śmiercian zastygł w bezruchu.

– Wiem też, co ukrywasz w swojej krypcie.

Stwór puścił kratę, zeskoczył na dno kamiennego dołu i stanął nieruchomo, wpatrując się we mnie czarnymi oczami.

– Nazywam się Maximus Opoka, jestem nowym dziedzicem i chcę odzyskać pakty – powiedziałem, zdając sobie sprawę, jak pompatycznie to brzmi.

Śmiercian nawet nie drgnął.

– Zabiłeś Kalisterona, bo on chciał wykorzystać dusze do własnych, pokręconych celów – ciągnąłem. – A ja pragnę...

Zawahałem się. Czego mógł oczekiwać zmarły hrabia? Żeby ponownie otworzył cmentarz dla turystów? Żeby lepiej zapanował nad duszami?

– Ja chcę im pomóc – wyrzuciłem z siebie jednym tchem.

Wpatrzyłem się w Śmierciana i tak staliśmy nieruchomo, aż on powoli skinął głową.

– Podniosę teraz kratę, a ty dasz mi pakty – powiedziałem twardo.

Znów skinął.

– Jeżeli kiedykolwiek myślałem, że wpadłem na głupi pomysł, teraz biję samego siebie na łeb na szyję – mruknąłem, wyciągając zza paska łom.

Trochę musiałem się namęczyć, żeby wyciągnąć kotwy z kamienia. Na szczęście po cmentarzu nadal niosły się wściekłe wrzaski Bagniaka i zagłuszyły moje poczynania. Śmiercian uważnie obserwował każdy mój ruch, jakby tylko czekał, aż go uwolnię, a on wreszcie będzie mógł mnie zabić.

Wzięłem głęboki wdech i uniosłem kratę. Bestia nawet nie drgnęła.

– Teraz podasz mi pakty – powiedziałem.

Dusza pokręciła głową.

– Wiem, że je masz – rzuciłem, czując narastającą panikę.

Dam radę go zamknąć, zanim zaatakuje?

– Podaj mi pakty!

Śmiercian znów zaprzeczył, po czym bardzo powoli unióśł palec i wskazał ciemne wejście do swojej krypty.

– Chyba nie sądzisz, że tam wejdę – burknąłem.

Pokiwał głową.

Zacząłem chodzić tam i z powrotem wzdłuż dołu, a dusza uważnie mnie obserwowała. Wahąłem się, ale przecież tę decyzję podjąłem już dawno temu.

– Obiad ułatwi ci sprawę i sam wejdzie do twojego leża – stwierdziłem, siadając na krawędzi. – Idź w tamten kąt!

Śmiercian cofnął się o krok, a ja zeskoczyłem do dołu i zacząłem kasłać. Zdawało się, jakby było tu znacznie mniej powietrza niż wyżej, a to, co zostało, śmierdziało krwią i rozkładem.

Potwór zaskrzeczał i wskazał nagłaco palcem swoją kryptę.

– Tylko ani kroku! – poleciłem i wszedłem tyłem w ciemność.

Poruszałem się po omacku. Moje palce dotknęły zimnej, kamiennej trumny. Spróbowałem pchnąć jej wieko, ale nawet nie drgnęło. Śmiercian zasyczał gniewnie.

– Dobra, nie tykam jej – rzuciłem, przechodząc dalej.

Przyłożyłem dłoń do ściany, czując ostre krawędzie cegieł, krok za krokiem byłem coraz dalej, aż coś kopnąłem. Natychmiast się pochyliłem i natrafiłem na skrzynię związaną łańcuchami. Chciałem ją podnieść, ale nie dałem rady.

– Co jest? – mruknąłem.

Nagle owionął mnie smród zgnilizny, usłyszałem szelest. Śmiercian stanął nade mną, zasłaniając sobą wyjście.

– Cholera!

Już miałem sięgnąć po łom, ale on był szybszy i wyrwał mi go zza paska. Zasłoniłem głowę, lecz cios nie nadszedł.

Śmiercian burknął cicho i szturchnął mnie końcówką łomu, podając mi go.

– Cofnij się! – prawie krzyknąłem w panice. – I nie włącz tu za mną!

Posłusznie opuścił kryptę, a ja pomimo chłodu spościłem się jak świnia.

Poprawiłem chwyt na łomie i zacząłem szukać opuszkami wieka, żeby je wyłamać. Jednak szybko się okazało, że to nie będzie takie łatwe, a łańcuchy oplatające skrzynię są przybite kotwami do ziemi.

– Założę się, że ten łańcuch też jest wykuty z krwią, co? – zagadnąłem, odzyskawszy nieco rezonu. – Tylko nie twoją, ale... – Zawahałem się. – Morta?

Śmiercian wydał z siebie nieokreślony dźwięk.

– Dlatego nie mogłeś ruszyć tej skrzyni, prawda? – Trwało to znacznie dłużej i musiałem się bardziej namęczyć, ale w końcu i te kotwy puściły, a ja zdołałem przesunąć skrzynię po kamiennej podłodze.

Wyszedłem z krypty i spojrzałem na Śmierciana. Jego usta chyba rozciągnęły się w... uśmiechu.

– Max?! – Nad nami stanął Samson, a w jego głosie pobrzmiwała panika.

Śmiercian ruszył do ataku.

– Stój!!! – wrzasnąłem.

Potwór zatrzymał się w połowie drogi. Wyglądał jak pajak w obszarpanej szacie, wspinający się po ścianie.

– To jest mój rękodajny i wara od niego! – dodałem.

Śmiercian zeskoczył z powrotem na dół.

– Max, co ty...? – jęknął przestraszony Samson.

– Bierz skrzynię! – Z trudem uniosłem ją nad głowę, a rękodajny wziął ją ode mnie z głuchym stęknieniem.

Odwróciłem się do duszy, która stanęła w kącie. Było w Śmiercianie coś takiego, że człowiek na jego widok dostawał dreszczy i najchętniej zwiałyby jak najdalej. Zresztą widziałem, co zrobił z jednym z ludzi Diogenesa. Dusze po śmierci zatracają swoje człowieczeństwo.

Śmiercian, wciąż kryjąc się w cieniu, podniósł na mnie czarne oczy. Wyglądał, jakby chciał coś powiedzieć, ale zaszyte usta mu nie pozwalały. Zrobił krok w moją stronę, wyciągnął ku mnie chude palce zakończone ostrymi, połamanymi paznokciami. Chciał mnie zabić, widziałem to w jego oczach. Cofnąłem się, dotykając plecami zimnej, kamiennej ściany. Jeżeli czegoś nie zrobię, to załatwi mnie jak Kalisterona...

– Max! Uważaj! – krzyknął Samson, gorączkowo ładując kuszę.

– Stój! – Wyciągnąłem rękę przed siebie, ale Śmiercian się nie zatrzymał.  
– Twoja pokuta się skończyła! – wrzasnąłem, zasłaniając się łomem. – Pokuta się skończyła!!!

Wtem otoczyła mnie chmura gryzącego dymu. Usłyszałem jeszcze bełt uderzający w kamienie. Ujrzałem kilka iskier wskrzeszonych przez grot. Zacząłem kasłać i odganiać dłonią dym.

– Gdzie on jest?! – Samson krążył na krawędzi z kuszą wycelowaną w dół.

Rozejrzałem się wokół. Dół Śmierciana nie był zbyt wielki, krypta była jeszcze mniejsza, brakowało tu miejsca, żeby się schować.

– Zwiął! – Rękodajny gwałtownie się odwrócił i zaczął mierzyć między drzewa. – Cholera! Po co żeś podnosił kratę?! Jak my go znajdziemy?!

Wyciągnął do mnie rękę i pomógł mi się wydostać z grobu.

– On nie zwiął. – Pokręciłem głową. – Jego pokuta się skończyła.

– Jak to, psiakerw, się skończyła?! – nie wytrzymał Samson. – Nie możesz powiedzieć duszy, że może odejść! Gdyby to było takie proste, już dawno odesłalibyśmy wszystkie w cholerę i nie byłoby tego cholernego cmentarza!

Pozwoliłem mu się wykrzyczeć, na wszelki wypadek jeszcze lustrując wzrokiem otoczenie, ale wiedziałem, że Śmierciana już nie ma w naszym świecie. W pewnej chwili kropelka śliny rękodajnego wylądowała na moim policzku. Starłem ją i położyłem rękę na jego ramieniu.

– Śmiercian nie był zwykłą duszą – zapewniłem.

– Żadna z nich nie jest! Dlatego tu siedzą!!!

– To był Glarius Muerton – powiedziałem spokojnie.

– Ty wiesz, co Roch nam zro... – Samson zamilkł i spojrzał na mnie uważnie. – Co...?

Pokiwałem głową.

– Mort Muerton w ramach zemsty na ojcu wykopał jego ciało z państwowego cmentarza i pochował tutaj wraz ze wszystkimi paktami. – Trąciłem stopą skrzynię.

– Niemożliwe! – sapnął rękodajny.

– I to nie ja zwolniłem go z pokuty – dodałem. – Ja tylko pozwoliłem mu uświadomić sobie, że wreszcie jest wolny.

Coś zabrzęczało nad naszymi głowami. Spojrzeliśmy w górę. Jewka przypatrywała nam się wielkimi owadzimi oczami, w których odbijał się

blask łez.

– Nawet nie próbuj! – warknął Samson, mierząc do niej z kuszy.

Jewka poruszyła skrzydłami i odleciała.

– Wszystkim wygada – stwierdziłem.

– Przecież ona, kurwa, nie umie mówić! – Gdy Samson nie panował nad sytuacją, strasznie się denerwował.

– Odo ją zrozumie – uznałem. – A to dopiero plotka... Żadna dusza nie wiedziała, że wśród nich znajduje się najbardziej znienawidzony przez nich człowiek... Gdyby wiedziały, to...

– Załatwiłyby go na cacy – dokończył rękodajny.

– Możesz skoczyć do dworku po Rocha i pozostałych? – poprosiłem.

Samson się zawahał.

– Dzisiaj na cmentarzu zawrze jak w ulu – powiedziałem. – Ale nikt nie będzie próbował uciekać.

Rękodajny niechętnie się oddalił, a ja wziąłem kilka głębszych wdechów. Na zewnątrz starałem się wyglądać na opanowanego, ale wewnątrz cały trząsałem się z emocji. Naprawdę myślałem, że Śmiercian się na mnie rzuci i rozszarpie na strzępy. Może nawet chciał to zrobić?

Przykucnąłem przed skrzynią i spróbowałem ją otworzyć łomem, ale się nie udało. Będzie musiała poczekać, aż zataszczymy ją do dworku. A jeśli się okaże, że w środku nie ma paktów...

Potrząsałem głową. Nawet nie chciałem o tym myśleć. Nie dość, że wyszedłbym na ostatniego idiotę, to jeszcze Roch tak by na mnie nawrzeszczał, że tym razem naprawdę poszłoby mi w piętę.

Żeby tylko się czymś zająć, zerwałem kilka gałązek ze łzami i z powrotem wskoczyłem do dołu. Powoli skierowałem się do krypty, a moje serce znów zaczęło szybciej bić. Przecież nie byłem pewien na sto procent, czy Śmiercian rzeczywiście odszedł.

Znów spróbowałem ruszyć wieko kamiennej trumny, ale nawet nie drgnęło. I wtedy moją uwagę przykuły ściany wymurowane z czerwonej cegły, a teraz oświetlone przez łyzy.

– O cholera – wyrwało mi się.

Każdy skrawek każdej ściany był pobazgrany węglem (ciekawe, jak Śmiercianowi udało się go zdobyć?). Podszedłem bliżej i dotknąłem cegieł. Ich powierzchnia była chropowata i bardzo nierówna. Dopiero po chwili zorientowałem się, że niektóre napisy są w nich wyryte.

*Zdrajcy! Powiesić! Zabić! Zemszczę się!*

Zagwizdałem cicho.

– No, Glarius – odezwałem się. – Nie byłeś przyjaznym typem.

Na samym środku ściany naprzeciw wejścia znajdowało się jedno, najgłębiej wyryte słowo:

*MORT*

Dotknąłem go opuszkami palców. Miałem wrażenie, jakby przez lata Śmiercian wydrapywał te litery w cegle, później usiłował je zamazać i znów pogłębić. Zupełnie jakby targały nim wątpliwości. Wiedział, że to jego rodzony syn pochował go w tym miejscu? Chciał się na nim zemścić? A może przeprosić za to, co zrobił? Niestety nigdy już nie było mu dane spotkać się z Mortem.

Przeszedłem do kolejnej ściany. Tutaj znajdowały się wyryte imiona kolejnych dziedziców, a każde z nich przekreślone. Jedno z nich było tak zamazane, że nawet nie dało się go odczytać, ale bez problemu wpadłem na to, że to musiał być Kalisteron.

*Max???*

Dziwnie było zobaczyć tutaj własne imię. Co znaczyły te znaki zapytania? Wahał się, czy nadaje się na dziedzica? A może zastanawiał się, czy jestem godzien otrzymania paktów? Lub też rozmyślał nad tym, jak mnie zabić.

– A tego bogowie już do reszty opuścili – usłyszałem.

Wchyliłem głowę z krypty i ujrzałem zarządcę oraz wszystkich rękodajnych.

– Nie mówcie, że sami nigdy nie chcieliście pozbyć się Śmierciana – odezwałem się.

Roch wzruszył ramionami.

– Nikt nigdy nie zastanawiał się nad tym, co niemożliwe.

– A jednak... – Zawiesiłem głos.

Zanim jednak wyszedłem z krypty, mój wzrok padł na napis:

*Uwolnij je.*

# Rozdział 43

– Tylko ostrożnie – szepnąłem.

Roch burknął coś pod nosem, niezadowolony, że wydaję mu polecenia.

– Nie wierzę – mówiła cicho Irys. – To naprawdę pakty? A hrabia był pochowany na naszym cmentarzu...?

– Cii – syknęła Aster.

W gabinecie zebrali się wszyscy mieszkańcy dworku. Nawet psy, które doskonale wyczuwały, że działo się coś niezwykłego, choć nic z tego nie rozumiały.

Powoli podniosłem wieko skrzyni i zajrzałem do środka.

– I co? – Irys nie wytrzymała.

Wsunąłem dłonie do środka i delikatnie wyjąłem gruby papier. Bałem się, że rozpadnie mi się w palcach, ale Glarius dopilnował, żeby pakty były spisane na takich kartach, które wytrzymają dziesięciolecia. No i sama skrzynia też była porządna.

– Umowa numer szesnaście, zawarta w roku tysiąc sześćset dwunastym – przeczytałem. – Pomędzy hrabią Glariusem Muertonem a Odonem Krusem.

– Bogowie – szepnęła Alma.

– Pakt ma co najmniej kilkanaście stron – powiedziałem, przeglądając je.

– I co teraz? – zapytała Aster.

Podniosłem wzrok na moich ludzi.

– Nie mam pojęcia. – Pokręciłem głową, po czym podałem pakt Rochowi i sięgnąłem po następny. – Umowa numer osiem – przeczytałem. – Ta jest z Anatolem.

Dałem kolejne paki rękodajnym, a nawet służbie. Każdy chciał zobaczyć je na własne oczy, każdy chciał przeczytać umowy zawarte dwieście lat temu. Wkrótce wszyscy pograżyli się w lekturze. Ktoś usadowił się na kanapie, ktoś inny przy biurku. Aster krążyła po pokoju z paktem Pięknej w dłoni. Ja rozłożyłem pozostałe na podłodze i usiadłem przed nimi. Umowy były spisane trudnym, urzędowym pismem notariusza. Zdania były wielokrotnie złożone i często gdy dotarło się do kropki, człowiek zapominał, co było na początku. Założę się, że Glarius celowo kazał je tak zredagować, żeby jego ofiary pogubiły się w tym wszystkim.

– Co za chuj – rzuciłem niespodziewanie.

Wszyscy spojrzeli na mnie.

– Skurwysyn rzeczywiście podmieniał strony umowy – wyjaśniłem. – Patrzcie. – Położyłem pakt na biurku. – To umowa z Hugonem. Wszyscy wiemy, że nie grzeszył inteligencją, a pod koniec życia było z nim jeszcze gorzej. Alkohol i walki uszkodziły mu mózg, ale na pewno nie zgodziłby się na taki zapis. – Wskazałem odpowiednie miejsce.

– *Grzebany zgadza się na służbę Grzebiącemu w nieograniczonym wymiarze czasowym...* – przeczytała Aster.

– Czyli w nieskończoność? – zapytała blada Irys.

Skinąłem głową.

– A na dole jest jego parafka. – Stuknąłem palcem w papier. – Daję głowę, że kiedy Hugo czytał tę umowę, to było tu kilka-kilkadziesiąt lat, a kiedy tylko odwrócił wzrok, Glarius podmienił strony. Hugo wszystko podpisał i wkopał się w gówno po sam czubek głowy, a nawet czułeków.

– Nie dziwię się, że ciągle usiłuje uciec – stwierdził Olaf. – Skoro i tak nie ma szans na dostanie się do rajów, to po co pilnować zachowku?

– Biedak – szepnęła Irys, a jej oczy się zaszklily.

Przez sekundę zastanowiłem się, jak taka delikatna istota może żyć na tym świecie. Jakoś mnie nie dziwiło, że mieszkańcy dworku przygarnęli ją do siebie. Ona po prostu nie była gotowa żyć gdziekolwiek indziej.

Do wieczora przeczytaliśmy wszystkie paki. I nic się nie zmieniło. Zupełnie nic. Dusze wciąż tkwiły na cmentarzu i żadne z nas nie wpadło na pomysł, jak im pomóc. Umowy, które próbowali odnaleźć dosłownie wszyscy dziedzice, można było potłuc o kant dupy. W każdej z nich oczywiście był zapis, że w razie śmierci Glariususa dusze znajdą się pod



opieką jego potomków, więc umowa nie wygasła ze śmiercią Grzebiącego, jak w przypadku Diogenesa i Słodkiej Zemsty.

Poprosiłem o wolne tej nocy, a Roch zgodził się na to nawet bez marudzenia.

– Muszę się w nie uważnie wczytać – zapewniłem. – Może coś przeoczyliśmy? Może...

– Nie da się zmienić paktów podpisanych krwią – powiedział zarządca. – Gdyby się dało, już Mort by to zrobił. Sam twierdziłeś, że chłopak był co prawda tchórzem, ale inteligentnym tchórzem. Jak mimo to chcesz nad nimi posiedzieć, proszę bardzo. Dziś na wartę pójde z Samsonem i Normanem. – Roch wziął siekiere i wyszedł z gabinetu.

Zostałem sam. Zgasiłem żyrandol pod sufitem i zapaliłem lampkę przy biurku. W końcu musieliśmy oszczędzać prąd. Poza tym jakoś łatwiej było mi się skupić, kiedy wszędzie wokół panowały cisza i ciemność, a moje biurko stanowiło wyspę światła, na której jedynym dźwiękiem był szelest grubego papieru.

Mort był inteligentny. Ale przecież po śmierci ojca targały nim silne emocje. Może nawet był na łzach? Bo nie jestem pewien, czy człowiek przy zdrowych zmysłach włamałby się na państwowy cmentarz, żeby wykraść zwłoki i ich zachowek. Założę się, że pomagał mu ten cały Hawier. A może po tej akcji tak się schlali, że uznali, iż zamknięcie paktów w jednej krypcie wraz z ciałem hrabiego będzie dobrym pomysłem? Później zaś, kiedy zmarły zamienił się w Śmierciana, nie było już odwrotu?

*Umowa numer 37, zawarta między hrabią Glariusem Muertonem, dalej zwanym Grzebiącym, a Albinem Rodem, dalej zwanym Grzebanym.*

Takiej duszy nie było na naszym cmentarzu. Glarius zawarł mnóstwo paktów. Niektórym ludziom pomógł zejść z ziemskiego padołu szybciej, żeby mogli już straszyć jego turystów. Inni zmarli bez jego udziału, a jeszcze inni przeżyli samego hrabiego. Na chwilę zastanowiło mnie, co stało się z osobami, które podpisały pakt, ale hrabia nie pochował ich tak, jak zakładali, bo zmarł przed nimi.

– Pewnie umowa wygasła – uznałem i odłożyłem pakt na osobną stertę.

*Umowa numer 9, zawarta między hrabią Glariusem Mortem, dalej zwanym Grzebiącym, a Kazimirem Draską, dalej zwanym Grzebanym.*

To był akurat Rogacz. Pakt miał dwadzieścia pięć kart, znajdowały się w nim dokładne dane obu stron. Był spis złota i kamieni, jakie miały wejść w skład zachowku. Nawet opis krypty, w której miał spocząć Grzebany. Rogacz miał służyć czterdzieści lat, chyba że swoim zachowaniem uchybi warunkom umowy. W skład tego złego zachowania wchodziły ataki na ludzi, hałasowanie po godzinie trzeciej nad ranem...

– Że co? – Zmarszczyłem brwi.

Wcześniej nie zauważyłem tego zapisu. Hałasowanie po trzeciej...

– Sam lepiej bym tego nie wymyślił – mruknąłem.

Ten zapis wyglądał niewinnie, ale hrabia na pewno liczył, że ktoś taki jak Draska zamieni się w jakąś wredną duszę, która zapomni o zachowaniu ciszy nad ranem. Dlatego biedak siedział tu już prawie dwieście lat zamiast czterdziestu.

Zastanowiłem się, czy zdołałbym przekonać Rogacza, aby siedział cicho przez kilka nocy. Biedak przez lata stracił tyle człowieczeństwa... Tak niewiele do niego dociera. Pokręciłem głową i zacząłem czytać o dalszych możliwych uchybieniach.

– Każdorazowy atak na człowieka przedłuża karę o kolejnych czterdzieści lat. – Westchnąłem głośno i odchyliłem się na krześle. – Czyli pozamiatane. Mnie samego zdążył już zaatakować ze dwa razy... Poszkodowanie człowieka przedłuża karę o osiemdziesiąt lat – przeczytałem. – No, to sobie załatwił, biorąc na rogi Diogenesa.

Jakkolwiek bym zabierał się do paktów, wychodziło, że dusze same sobie przedłużały wyrok. Glarius był cwany, tu zamieścił jakiś przypis, tam odwołanie do innego punktu, żeby osoba, z którą podpisywał pakt (a zawsze był to ktoś zdesperowany, targany emocjami, niemyślący trzeźwo) nie potrafiła poprawnie go zinterpretować i *voilà*, teraz musiała siedzieć na cmentarzu do usranej śmierci... to znaczy w nieskończoność.

Jak zza morza dotarł do mnie dźwięk stukającej o siebie porcelany. Otworzyłem oczy i zobaczyłem ozdobny sufit malowniczo przystrojony pajęczynami. Musiałem przysnąć na kanapie w gabinecie. Podniosłem się do pozycji siedzącej, a kartki zsunęły się z mojej klatki piersiowej z cichym szelestem.

– Dlaczego nie poszedłeś do łóżka? – zapytała Penelopa, stawiając na stoliku tacę ze śniadaniem.

Trochę kawy wylało się na spodek – od ataku Diogenesa stolik wciąż się chybotał.

– Sam nie wiem. – Przetarłem dłońmi twarz.

Nie umiałem jej powiedzieć, dlaczego siedziałem tu całą noc. Dlaczego te pakty są dla mnie takie ważne. Moje życie było kiedyś dużo prostsze. Jeszcze kilka miesięcy temu nie obchodziłby mnie ani los dusz, ani ich umowy. No, chyba że mógłbym na nich zarobić.

– Alma mi mówiła, że to nie jest jedyny cmentarz osobliwości w Hatarii – odezwała się Penelopa, sięgając po rogalika z talerza. – To zabawne. Kiedyś o nich słyszałam, ale zawsze wkładałam te historie między bajki. Nie wierzyłam, że coś takiego – zatoczyła dłońmi krąg w powietrzu – jest w ogóle możliwe.

– Bo nigdy tak naprawdę nie chcieliśmy w to wierzyć – odparłem. – Widziałem wiele w moim życiu, ale taki cmentarz to zupełnie inny wymiar okrucieństwa. Nie dość, że ci ludzie mieli kiepskie życie, to jeszcze Glarius odebrał im zaświaty. I po co? Nawet nie dla pieniędzy, tylko ku uciesze bogatych znajomych. – Parsknąłem lekceważąco.

Przypomniałem sobie, dlaczego nigdy nie lubiłem bogatych ludzi – uważali, że wszystko im wolno.

– Chodzi mi o to, że jest jeszcze tyle innych cmentarzy i nikt nie wpadł na pomysł, jak pomóc tym duszom. – Penelopa sięgnęła po kolejnego rogała i dżem.

– Potrafisz zmotywować jak nikt inny – rzuciłem z przekąsem, podnosząc kawę w obawie, że jeszcze i ją mi zabierze.

– Nie o to mi chodzi. – Potrząsnęła głową. – Nad uwolnieniem dusz myśleli liczni dziedzice, notariusze i nie wiadomo kto jeszcze. Ale żaden z nich nie był tobą. Odnalazłeś pakty, a nie udało się to nikomu przez ostatnich dwieście lat, więc... – Zawiesiła głos.

– Obawiam się, że wyczerpałem już limit szczęścia – westchnąłem.

Wstałem z kanapy i chwyciłem ostatniego rogała. Pakty niedbale odłożyłem na biurko.

– A ty dokąd? – zapytała Penelopa.

– Do łóżka. – Wzruszyłem ramionami. – Wyspać się. Warta nie poczeka, a nie mogę być podczas niej zmęczony.

– Nie wiedziałam, że tak szybko się poddasz – powiedziała cicho.

– Nie poddaję się. Ale moim obowiązkiem jest przede wszystkim pilnowanie tych dusz. A na rozpracowanie paktów mam jeszcze wiele lat. O ile wcześniej tamci mnie nie zjedzą ani nie rozczłonkują.

Wziąłem prysznic i rzuciłem się na łóżko, ale nie mogłem zasnąć. Słyszałem krzątanicę na dole, szczekanie psów bawiących się na śniegu, Dalię krążącą po poddaszu. A w mojej głowie wciąż pojawiały się słowa. *Umowa numer 32 zawarta między... zwany dalej Grzebanym... Grzebiący zobowiązuje się... za naruszenie postanowień niniejszego paktu... Grzebany godzi się na...*

Glarius był bogaty, uważał, że wszystko mu się należy tylko dlatego, że ma pieniądze i jest hrabią. Był wredny i okrutny. Nie wahał się pomóc ludziom szybciej zejść z tego świata, żeby jeszcze za jego życia wylądowali na cmentarzu. Ale był też inteligentny. Stworzył olbrzymi cmentarz i uwięził na nim wiele dusz. Nikt mało lotny tego by nie osiągnął. Wiedział też, że dusze mogą okazać się zbyt niebezpieczne, niemożliwe do okiełznania... Musiał zostawić sobie jakąś furtkę. Ja bym tak zrobił. Na wypadek gdyby trafiła mi się taka dusza, nad którą nie mógłbym zapanować. Przecież Glarius nie zamknąłby cmentarza z powodu jednej, niesfornej duszy, która pożerałaby jego turystów.

Jeszcze kilkanaście tygodni temu byłem przekonany, że jeśli będę chciał się wykręcić z mojego dziedzicowania, to jakoś to ogarnę. Wachim twierdził, że nie mogę sprzedać ani zrzec się spadku, jeśli podpisałem pakt przyjęcia go własną krwią, ale nadal uważałem, że notariusze zostawiali sobie właśnie takie furtki. Że gdybym na przykład totalnie nie nadawał się na dziedzica, Wachim jakoś by się mnie pozbył...

Na samą myśl o tym w mojej głowie pojawiło się co najmniej kilka bardzo kreatywnych sposobów na to, jak można sprawić, że człowiek zniknie na cmentarzu osobliwości.

Przewróciłem się na drugi bok i przykryłem głowę poduszką. Wystarczy, że będę myślał jak Glarius, a na pewno na coś wpadnę...

Odpłynąłem dosłownie na chwilę, gdy zbudziło mnie walenie do drzwi. To musiał być któryś z rękodajnych.

– Już wstaję! – zawołałem.

Za oknem było już ciemno, ale kiedy zerknąłem na zegarek, okazało się, że wcale nie jest tak późno, co tym bardziej mnie zaniepokoiło. Szybkim

krokiem podszedłem do drzwi i je otworzyłem.

– Co się stało? – zapytałem stojącego w korytarzu Olafa.

– Nic – odparł lekko. – Dusze się wkurzyły chyba jak nigdy, ale na szczęście ich wściekłość nie była wycelowana w nas. No i notariusz przyjechał.

– Ciekawe, czego znowu chce... – westchnąłem.

Zeszliśmy do jadalni, w której zebrali się już wszyscy mieszkańcy dworku.

– Mam dobre wieści! – zawołał Wachim, kiedy tylko mnie zobaczył.

– Taaa? – odezwałem się nieufnie.

– Dostaniecie swoje pensje! – powiedział z zadowoleniem. – Nawet te zaległe!

– Niemożliwe! – Aster przyłożyła dłonie do klatki piersiowej.

– Bogowie! Wreszcie – sapnęła Alma.

– Kiedy? – zapytał konkretnie Roch.

– W przyszłym tygodniu powinny już być – zapewnił Wachim. – No i wycofano się z propozycji rozkopania grobów, żeby odebrać duszom zachówek... – Uciekł wzrokiem w bok.

– Jak dobrze! – ucieszyła się Irys.

Coś w minie notariusza zwróciło moją uwagę.

– Dlaczego tak nagle poszli nam na rękę? – rzuciłem z podejrzliwością. – Przecież nie odnalazłem jeszcze paktów.

Irys już otworzyła usta, ale Alma kazała jej nalać wszystkim kawy do filiżanek.

– Ehm. – Wachim odchrząknął.

– Co takiego się wydarzyło? – drążyłem.

– Doszły mnie plotki, że spróbowano czegoś takiego na innym cmentarzu... – powiedział cicho notariusz.

– Ha! – wybuchł nagle Roch. – I jak to się skończyło?

Wesołość w jego głosie była jak dla mnie bardzo nie na miejscu.

– Niezbyt dobrze. – Notariusz machnął ręką. – W każdym razie dobra wiadomość jest taka, że nikt już nie będzie wam groził ani zabranieniem pensji, ani zamknięciem cmentarza.

– To może jakaś podwyżka? – zasugerowałem.

– Nie przeginaj, dziedzicu – odparł.

– Zawsze warto spróbować.

– A, zabrałem jeszcze listy z poczty. – Wachim wyciągnął ze swojej aktówki kilka kopert.

Jedną wręczył Almie, drugą Aster i jedną Normanowi. Obie kobiety odłożyły swoją korespondencję na bok, ale rękodajny natychmiast otworzył list i zaczął go czytać, a jego ręce lekko drżały.

Wszystkie oczy skierowały się na niego. Wpatrzyłem się w jego usta bezgłośnie wypowiadające słowa. Co takiego mógł dostać? Po chwili podniósł na nas wzrok, lecz nic nie mogłem wyczytać z jego twarzy.

– No mówże wreszcie, człowieku! – wybuchł Roch.

– Leczenie działa – powiedział Norman nieprzytomnie. – Leczenie działa! Frida pisze, że z małym jest coraz lepiej! Że ma coraz mniej ataków!

Irys zaczęła pisać z radości. Wszyscy odetchnęli z ulgą. Samson poklepał kolegę po plecach.

– Może nawet wróćą do domu już na wiosnę! – W oczach wielkiego rękodajnego pojawiły się łzy.

– Gratulacje. – Alma go objęła.

– Teraz wszystko się już ułoży – powiedziała cicho Aster.

Na bogów! Nie ma innej możliwości, musi się ułożyć.

Razem z notariuszem zjedliśmy bardzo skromną kolację. Większość służby dyskutowała o tym, co sobie kupią, gdy tylko dostaną swoje pensje.

– A, jeszcze jedna sprawa. – Wachim elegancko otarł usta własną serwetką (nie podaliśmy mu dworkowych, bo przecież nie stać nas na taki luksus), po czym spojrzał na Penelopę. – Zostaje kwestia pani – zwrócił się do niej.

– Moja? – przestraszyła się, wskazując na siebie.

Przełknąłem nerwowo. Jeśli będzie się jej czepiał, że tu nielegalnie mieszka... Bogowie, jak nic dostanie wreszcie ode mnie po pysku.

– To nie jest nic pilnego – podjął notariusz – szczególnie w pani stanie, ale niech się pani na spokojnie zastanowi, czym chciałaby się pani zająć.

– To znaczy? – Penelopa zmarszczyła brwi.

– Jakie ma pani umiejętności...

Przygryzłem policzek od wewnątrz, żeby tylko nie palnąć czegoś głupiego. Nikomu w dworku nie mówiliśmy, na czym Penelopa zna się najlepiej, i nie zamierzaliśmy tego zdradzać, ale daję głowę, że niejeden się już tego i owego domyślił.

– Umiejętności? – powtórzyła jak w transie Penelopa.

– Jak najszybciej chciałbym wciągnąć panią na listę płac, żeby pani również otrzymywała wynagrodzenie. No, chyba że jako żona dziedzica... – Spojrzał wymownie na mnie.

– Z wielką chęcią podejmę pracę w Lawendowym Dworcu – powiedziała szybko Penelopa.

Akurat tę rozmowę mieliśmy już za sobą. Ona uratowała mnie, a ja ją. Kiedyś uprawialiśmy seks, ale łączyła nas tylko przyjaźń. I żadne z nas nie miało zamiaru tego zmieniać. Ani ja nie pragnąłem żony, ani ona nie chciała być dziedzicową, czy jak tam powinno się ją zwać.

– Wspaniale. – Wachim klasnął w dłonie. – Niech pani przedyskutuje to z Aster. Ona najlepiej wie, jaka posada jest wolna. A jeśli uda się to załatwić przed rozwiązaniem, to jeszcze dostanie pani macierzyński...

Niewiele brakowało, a wybuchłbym śmiechem. Ciąg dalszy przekrętów w księgach rachunkowych. Ale przecież nie będę narzekał na taką pomoc.

– My tu gadamy, a nadeszła pora warty. – Olaf wstał od stołu. – Chodźmy, dziedzicu. Czekają na jaśnie pana obowiązki – rzucił żartobliwie.

– Żegnam państwa. – Skłoniłem się pozostałym. – Idziemy utoczyć szlacheckiej krwi.

## Rozdział 44

– Jakoś dziwnie tak bez niego, co nie? – zagadnął Samson, kiedy stanęliśmy nad otwartą kryptą Śmierciana.

– Nie mów, że za nim tęsknisz – mruknąłem, pochylając się nad ziemią w poszukiwaniu jakichkolwiek śladów, lecz śnieg zdawał się nienaruszony. Nawet inne dusze nie przychodziły tutaj.

Minęło już kilka tygodni od odnalezienia paktów. Powiedziałem o nich notariuszowi, on jednak poradził zachować je w tajemnicy, leżały więc wszystkie w wielkiej stercie na biurku w gabinecie. Każdy z mieszkańców dworku miał do nich dostęp, ale teraz już tylko ja je przeglądałem. I to bardzo od niechcenia, żeby uciszyć sumienie. Na cmentarzu wszystko wróciło do normy. Z początku nasze bestyjki dostawały szału. Nawet Odo wygrażał, co on by zrobił Śmiercianowi, gdyby wiedział, że to sam Glarius Muerton. Poza tym wszystkie dusze bolała ta niesprawiedliwość, że hrabia oszust odszedł w zaświaty, a one utkwily tu na wsze czasy. Jednak on nie podpisał żadnego paktu, a one owszem. Ani życie, ani śmierć nie są sprawiedliwe w naszym świecie. Odrobinę pocieszała mnie tylko myśl, że Glarius odpokutował swoje i chyba się zmienił, skoro wyrył w ścianie, żeby uwolnić dusze. Czy to możliwe, że właśnie dzięki temu, że znalazłem pakty, on odzyskał spokój i mógł odejść?

Kiedyś słyszałem takie brednie plecione przez wyznawców kultu Matki, że dusza niepochowana na cmentarzu niby może odejść, jeśli pogodzi się ze swoją śmiercią czy dostanie jakieś tam zadośćuczynienie. Ale nigdy tak naprawdę w to nie wierzyłem.

W każdym razie dusze nieźle dawały nam popalić, bo łatwo można było dostać rykoszetem. Piękna raz tak przywaliła Rochowi, że aż zagrzmiało,



a sam zarządca padł na ziemię i przez resztę nocy dochodził do siebie. Rogacz odzyskał werwę, bo uznał, że pod śniegiem nie rosną przedzimki, i chciał poszturczyć mnie rogami, kiedy przekonywałem go, żeby nie hałasował po trzeciej nad ranem. Na szczęście suszone przedzimki działają na niego prawie tak dobrze jak świeże. Olaf z kolei dał się użądlić Jewce w rękę i przez kilka dni miał ją tak spuchniętą, że nic nie mógł nią chwycić. Ogółem wszystko było po staremu.

Pod kapliczką jak zwykle spotkaliśmy się z Odonem.

– Jak tam, panowie? – zagadnął.

– Wszystko w porządku. – Odruchowo przesiałem między palcami garstkę ziemi w kamiennej misie.

Naraz dotarł do nas śpiew, a raczej zawodzenie umierającej istoty. Przez chwilę przysłuchiwaaliśmy się dźwiękom, które sprawiały, że dostawałem gęziej skórki.

– Piękna jest zachwycona – ocenił Odo.

– Gorzej, jak skończą mi się pomysły – westchnąłem.

Po tym jak powaliła Rocha i wpadła w szal, udało mi się ją uspokoić jedynie obietnicą nowego stołu i zastawy. Tak więc już następnego dnia przytaszczyłem z dworku mały stolik z obrusem, talerz, filiżankę i imbryk. Trochę dziwnie było codziennie kłaść na tę porcelanę zepsute, cuchnące mięso, ale Piękna była zadowolona, a jak była zadowolona, to my mieliśmy spokój na co najmniej kilka nocy.

– Pamiętasz swój pakt? – zagadnąłem po chwili.

Dusza gwałtownie potrząsnęła głową i cofnęła się, a na śnieg spadło kilka larw.

– Nie będziemy o tym rozmawiać!

– Odo, nie denerwuj się – poprosiłem ze zmęczeniem. – Już chyba udowodniłem wam, że nie chcę was ani skrzywdzić, ani wykorzystać w jakiś niegodny sposób. Nie jestem ani Glariusem, ani Kalisteronem. Chodzi o to, czy pamiętasz, czy był tam... – Zawahałem się. – Nie wiem, coś, co pomogłoby ten pakt rozwiązać.

– Nie można rozwiązać paktu krwi, co nie? – powiedział stojący z boku Samson.

– Ale czy ktokolwiek tego próbował?! – wybuchłem, bo już drażnił mnie ten wszędzie powtarzany przez każdego frazes.

– No, ty z tym kolesiem z kasty i jego wężem – przypomniał rękodajny.

– Ale nie miałem wtedy ich paktu, nie miałem pod ręką notariusza! – Wyrzuciłem ręce w górę. – A poza tym Diogenes nie był tak inteligentny, za jakiego się uważał. To zupełnie inna liga niż Glarius!

– Myślisz, że on...? – odezwał się cicho Odo.

– Jak dla mnie to musiał zostawić sobie jakąś furtkę – stwierdziłem i przysiadłem na schodkach wiodących do kapliczki.

Dusza zaczęła krążyć przede mną i mamrotać coś pod nosem. Spojrzałem na nią z nadzieją.

– Nie – odezwał się w końcu, zatrzymując się. – Nic nie pamiętam. To było prawie dwieście lat temu. A ja byłem taki roztrzęsiony po śmierci... – Zawahał się. – Po śmierci mojego przyjaciela. Nie miałem grosza przy duszy, a Glarius obiecał mi pomoc. Ukrył mnie w Lawendowym Dworku i uniknąłem kary... Bogowie! – Zaśmiał się gorzko. – Już wolałbym być złapany przez policję i ukarany przez nich za to, co zrobiłem!

Odo nagle zmarszczył brwi.

– Nawet nie bardzo pamiętam sam fakt podpisywania tej umowy – powiedział powoli. – Tylko trochę, jakby przez mgłę... jakbym był...

– Pijany? – podpowiedziałem.

– A to drań! – Dżentelmen uderzył się pięścią w otwartą dłoń. – Musiał coś mi podać! Jakoś mnie odurzył i namówił do podpisania tego paktu!

Wokół nas zapanowała cisza. Śnieg osypał się z najbliższej gałęzi.

– Koleś nie żyje od prawie dwustu lat, a my wciąż odkrywamy nowe świństwa, które zrobił – ocenił Samson.

Odo odwrócił się i w milczeniu odszedł w stronę swojej krypty.

– Szkoda mi go – odezwałem się.

– Zabił swojego przyjaciela – przypomniał rękodajny.

– I już dawno temu poniósł za to karę – odparłem. – Wracamy?

Mój towarzysz pokiwał głową, po czym skierowaliśmy się prosto do bramy, każdy pogrążony w swoich myślach. Zastanawiałem się, ile dusz na tym cmentarzu było pijanych lub odurzonych łzami, kiedy jeszcze za życia podpisywały pakt.

Nagle nad moją głową rozległ się kamienny chrzęst. Zerknąłem w górę, wprost w żółte, opalizujące ślepie.

– O co chodzi? – zapytałem Gargulca.

Ten tylko otworzył paszczę i ją zamknął.

– Założę się, że też masz to i owo do opowiedzenia, co?

Gargulec rozpostarł kamienne skrzydła i zeskokczył z gałęzi na ścieżkę za mną. Czasem miałem wrażenie, że jest co najmniej tak samo rozumny jak Odo. Uniósł wielką łapę i wskazał coś za mną.

Przez ułamek sekundy zawahałem się, czy to nie jest jakaś pułapka. I właśnie wtedy za moimi plecami rozległ się wrzask.

Gwałtownie się odwróciłem.

– Cholera! – Ruszyłem pędem w stronę Samsona.

Flora wczepiła w jego przedramię swój kwiat i ciągnęła go ku sobie. Rękodajny wykrzykiwał przekleństwa i usiłował sięgnąć drugą dłonią do noża przy pasku, ale jeden z pędów owinął się wokół jego nadgarstka.

– Flora! – wrzasnąłem. – Puść go!

Kwiaty kłapnęły kolczastymi płatkami tuż przede mną. Zatrzymałem się gwałtownie, żeby i mnie nie pochwyciły. Zrzuciłem na ziemię plecak i zacząłem go przetrząsać w poszukiwaniu woreczka z solą.

– Puszczaj! – krzyczał Samson, ale Flora nieubłaganie ciągnęła go w stronę kamienia, na którym wyrastała.

Ręce zaczęły mi się trząść. Zbyt dobrze pamiętałem, co dusza zrobiła z Karlem.

Wreszcie znalazłem tę przeklętą sól. Nabrałem pełną garść i miotnąłem prosto na kwiaty. Byłem pewien, że Flora wypuści rękodajnego, ale ona wpadła w jakiś szal. Z głośnym sykiem zaczęła się tak więc, jak jeszcze nigdy. Jej wściekłe kwiaty miotały się na wszystkie strony.

– Szabla! – wrzasnął Samson.

Przypomniałem sobie o broni, którą z przyzwyczajenia nosiłem przy pasku, ale jeszcze nigdy nie musiałem jej użyć. Wyszarpnąłem ją z pochwy i ciąłem na oślep.

Dwa kwiaty spadły na ziemię. Kolejne wystrzeliły w moją stronę. Uchyliłem się, a jeden z nich śmignął tuż przy mojej twarzy. Znow uniosłem szablę i zacząłem nią wymachiwać na prawo i lewo, aż dotarłem do Samsona. Dwa cięcia i go uwolniłem.

Obaj odskoczyliśmy do tyłu, żeby uniknąć kolejnych wściekłych kwiatów.

– Porąbało cię?! – krzyknął rękodajny w stronę Flory.

Złapał odcięty kwiat, który nadal był wczepiony w jego przedramię, szarpnął za łodygę i rzucił go na ziemię. Chyba chciał go jeszcze zdeptać, ale ten zaczął pełznąć w stronę kamienia.

– Żyjesz? Pokaż. – Chwyciłem jego rękę, z której lała się krew. Przyjrzałem się skórze ponad ugryzieniem, ale nie zauważyłem żadnych zielonych nitki oznaczających, że wstrzyknęła mu jad.

– Co jej odbiło? I nawet sól nie pomogła! – denerwował się, kiedy owijałem bandażem jego rękę.

– Wracamy do dworku, jeszcze Gaspar musi to obejrzyć – postanowiłem.

– Durne chwaścisko! – Samson uniósł jakąś gałąź z ziemi i cisnął ją prosto w pień Flory.

Dusza zasyczała na niego gniewnie.

– Chodźże. – Pociągnąłem kolegę do bramy.

Przez całą drogę do dworku rękodajny wściekał się na Florę i wyklinał głośno, ale jego słownik wulgaryzmów był niestety dość ubogi.

– Przecież ona tak się nie zachowuje! – wybuchł.

– Jak nie? A co zrobiła z nogą Normana jesienią? – zapytałem.

– Bo na nią nadepnął! Jak ostatni kretyn! Ale wtedy nie było dziedzica i słabo widzieliśmy dusze. A ja nawet się do niej nie zbliżyłem!

Śnieg skrzypiał pod naszymi butami, a przed nami pojawiła się ciemna bryła dworku.

– A może chciała nam coś przekazać? – zastanowiłem się.

– Taa, ciągnęła mnie do pnia, żeby sobie, kurwa, uciąć ze mną pogawędkę!

– Ale nie wstrzyknęła ci jadu – zauważyłem.

– Bo jest głupia!

I tyle. Weszliśmy do hallu, a na spotkanie wyszedł nam Roch.

– Lecę po Gaspara. – Skierowałem się do budynku dla służby.

Godzinę później siedzieliśmy w kuchni, roztrząsając zachowanie Flory. Konrad przyniósł bimber, Aster w koszuli nocnej i szlafroku krążyła ze zdenerwowaniem wokół stołu, a pozostali rękodajni nabijali się z Samsona, że dał się zaskoczyć duszy, która jakkolwiek by było, nigdy nie ruszała się ze swojego miejsca.

Wszyscy zgodnie uznali, że duszom przecież co jakiś czas odbija i jest to zupełnie normalne. Ale mi nadal coś tu nie pasowało. Widziałem, jak atakuje Flora, kiedy chce zabić. I tym razem założyłbym się o własną głowę... dobra, może nie o głowę, ale o moją miesięczną wypłatę, że nie chciała zabić Samsona.

– Jaki napis widnieje na jej nagrobku? – zapytałem nagle.

Wszyscy spojrzeli na mnie, jakby nie zrozumieli pytania.

– Jaki napis... – powtórzyłem.

– Przecież jest zarośnięty mchem – rzucił oschle Roch. – Jak chcesz wiedzieć, jak się naprawdę nazywała, to poszukaj sobie w dziennikach...

– To jest to! – zawołałem, zrywając się z krzesła.

Nie czekając na nic, wypadłem z kuchni, przebiegłem ciemnym korytarzem, minąłem jadalnię i salę balową. W gabinecie było tak samo ciemno jak w pozostałej części dworku, ale po omacku dotarłem do biurka i zapaliłem lampkę. Zacząłem rozgarniać wszystkie pakiety, aż znalazłem ten, którego szukałem. Pakt numer trzy. Flora była trzecią osobą, która podpisała umowę z Glariusem, ale pierwszą, której pomógł zejść z tego świata. Przerzuciłem kilka kartek i moim oczom ukazało się krótkie zdanie zapisane drobnym pismem. Zaśmiałem się głośno i z powrotem popędziłem do kuchni.

– Patrzcie! – Położyłem pakt na stole i wskazałem odpowiedni zapis.

Wszyscy stłoczyli się nad umową Flory z Glariusem. Aster założyła na nos okulary.

– Grzebiący zobowiązuje się raz do roku oczyszczać nagrobek Grzebanej – przeczytała na głos.

– No i? – zapytał Olaf, kiedy wszystkie spojrzenia podniosły się na mnie.

– No i od dziesiątek lat nikt tego nie robił! – Zaczęła mnie rozpierać energia. – A patrzcie tu! – Przewróciłem kilka stron. – Przypis do przypisu... – mamrotałem. – O tu. – Stuknąłem palcem tekst. – Imię i nazwisko Grzebanej będą czytelne...

– Jak chcesz czyścić jej kamień nagrobny, to proszę bardzo – mruknął jakby obrażony Samson. – Ale ja ci na pewno w tym nie pomogę.

– Nie rozumiecie?! Ani Glarius, ani kolejni dziedzice nie wywiązywali się z umowy! – Zacząłem chodzić tam i z powrotem. – Można podważyć ten pakt! Muerton zostawił sobie furtkę! Tak ukrył ten zapis w tekście, żeby nikt nie zwrócił na niego uwagi! Ale on wiedział! Na wszelki wypadek chciał mieć możliwość zerwania paktu!

– No nie wiem – powątpiewał Norman. – I Mort na to by nie wpadł?

– Bo on nigdy nie miał okazji, żeby porządnie wczytać się w te pakiety – odparłem. – Ojciec ukrywał je przed nim, a jak dawał mu je do czytania, to tylko poszczególne strony! A po śmierci Glariusza Mort nawet nie próbował

uwolnić dusz, bo nie wierzył, że to możliwe. I po prostu ukrył pakt w krypcie, w której pochował ojca, żeby nikt przy nich nie majstrował!

– To dlaczego nikt nie rozwiązał paktów z innych cmentarzy osobliwości?  
– zapytała Aster.

– Bo to są zupełnie inne pakt, stworzone przez innych ludzi – odparłem.  
– Może tamtych nie da się rozwiązać! Ale nasze... – Ponownie zerknąłem na gruby papier zapisany drobnym pismem.

Nie wierzyli, że to możliwe. Ale nic nie szkodzi, ja wierzyłem za nich wszystkich. Najchętniej jeszcze tej nocy pobiegłbym do wsi po notariusza i sprawdził, czy mam rację, ale zaczęło świtać. Flora pewnie już usnęła, a jakoś wydawało mi się, że powinna być świadoma podczas rozwiązywania paktu.

No i miałem jeszcze jedną ważną rzecz do zrobienia.

# Rozdział 45

Przespałem się kilka godzin, ubrałem w najlepszy garnitur po Tobiaszu, jeszcze przed południem wsiadłem do samochodu i skierowałem się do Żaropola. Tak, wiem, że miałem już tu nie przyjeżdżać, ale przecież coś obiecałem. No i uporządkowaliśmy wszystkie kwestie prawne dworku. To znaczy dostawaliśmy już nasze pensje; sprawę studentów fotografii zupełnie zamieciono pod dywan i tych trzech chłopaczków, którzy przeżyli włam na cmentarz, nie poniosło żadnej kary, ale mam nadzieję, że będą chociaż mieli koszmary do końca życia. Jeśli zaś chodzi o kastę, to też byliśmy czyści. Diogenes nadal siedział w ośrodku zamkniętym dla umysłowo chorych, pozostali jego ludzie tkwili w więzieniu za próbę włamania do dworku, a komendant Lit wreszcie wybrał się z żoną na urlop do jakiegoś ciepłego kraju. Tych ośmiu wykonawców, którzy zginęli, nikt się nie doliczył i nikt o nich nie dopytywał. Ich dusze zaś grzecznie siedziały w swoich kryptach na cmentarzu osobliwości i nadal bały się zaczepiać stałych lokatorów i na dobrą sprawę nas też.

Zatrzymałem się z piskiem opon pod piekarnią. Z uznaniem zauważyłem, że sztyd został zmieniony. Nadal przedstawiał preclę, ale tym razem od razu było widać, że to smaczny wypiek, a nie coś, czego żaden człowiek nie chciałby mieć na talerzu. Pchnąłem drzwi i od razu owionął mnie zapach świeżego pieczywa.

Didi siedziała na ladzie ze znużoną, a może nawet zaniepokojoną miną. Na podłodze stała walizka. Jej oblicze od razu rozjaśniło się na mój widok.

– Jest! – wrzasnęła. – Babciu! Max przyjechał!

Zeskoczyła z lady i rzuciła mi się w objęcia.

– Babciu!

– Nie krzycz mi do ucha! – zganiłem dziewczynę i odsunąłem ją od siebie akurat w chwili, kiedy z zaplecza wyszła Hela.

Chyba po raz pierwszy w życiu zobaczyłem ją w eleganckiej sukni i filcowym kapeluszu na głowie.

– Widzisz? Mówiłam, że przyjedzie! – rzuciła Didi.

– Jestem zaskoczona – przyznała jej babcia.

– Przecież obiecałem, że zabiorę Didi na ferie do nas – powiedziałem.

– A ja ci wierzę jak szanciarzowi na łzach – burknęła Hela.

Z zaplecza wyjrzał ojciec nastolatki.

– Tylko bądź grzeczna – przestrzegł. – A jak wywiniesz mi numer jak twoja kuzynka... – Pogroził jej palcem.

– Tak, wiem – rzuciła znudzonym tonem. – Nie wrócę z ferii z brzuchem jak Mirabelka.

Zrobiłem wielkie oczy.

– Cicho! – syknęła Hela.

A więc nie byłem jedynym, któremu udało się poderwać Mirabelkę. Albo raczej: nie byłem jedynym, którego to ona owinęła sobie wokół palca.

– Wiosną będzie ślub – szepnęła do mnie Didi.

– Współczuję chłopakowi – stwierdziłem.

Ojciec dziewczyny uściskał ją, a mnie posłał ostrzegawcze spojrzenie. Zachowałem powagę, choć chciałem pokazać mu uniesiony kciuk i wyszczerzyć zęby w uśmiechu.

– Uważajcie na piec – odezwała się do niego Hela. – Pilnujcie na nim temperatury i na bogów, nie upačkajcie go ciastem. Jutro przywiozą nową mąkę, zapłać im i pamiętaj wziąć rachunek, rano ma przyjść hydraulik...

– Mamo – przerwał jej. – Piekarnia nie zawali się podczas twojej nieobecności – zapewnił, kładąc jej ręce na ramionach.

– Już ja wiem... – zaczęła.

– Jedź. – Obrócił ją w moją stronę, a drugi syn wcisnął mi w rękę jej walizkę.

Szczerze mówiąc, miałem nadzieję, że wyślą ze mną samą Didi, ale cóż, całe lata pracowałem na opinię kogoś, komu Hela w życiu nie powierzyłaby własnej wnuczki.

Trochę zdziwiły się obie na widok mojego samochodu, ale na szczęście nie dopytywały, skąd go mam. Wyjechaliśmy z miasta, a buzia Didi się nie zamykała. Opowiadała o szkole, do której chciała iść, o piekarni



i o wystawie obrazów Dalii, a kiedy usłyszałem, że ostatnio jedno z jej dzieł sprzedano za pięć tysięcy krypt, aż gwizdnąłem z podziwem.

– Ty na pewno wiesz, dokąd jedziesz? – odezwała się w pewnej chwili Hela.

Siedziała na fotelu pasażera obok mnie i trzymała na kolanach swoją torebkę, mocno zaciskając palce na rączce.

– Spokojnie, będziemy tam za jakieś trzy godzinki – zapewniłem.

– Ale to wszystko to nie jest żart, prawda? – Po raz pierwszy w życiu wydała mi się zagubiona.

– Nie zrobiłbym czegoś takiego.

– Naprawdę znasz tę malarkę? Nie chcesz nas naciągnąć?

– Naciągnąć? – zdziwiłem się. – Na co? Przecież nie biorę od was żadnych pieniędzy.

– I to jest najbardziej podejrzane – burknęła, a ja wybuchłem śmiechem.

– Obiecuję, że to nie jest żaden przekręt. – Uderzyłem się pięścią w klatkę piersiową, ale jej spojrzenie nadal było pełne obaw.

Didi gadała jak najęta, a Hela co jakiś czas upewniała się, czy znam drogę, dlatego z dość dużą ulgą minąłem dwa omszałe kamienie po obu stronach ulicy, leżące w miejscu, gdzie zaczynały się moje ziemie. Moje ziemie – nadal brzmiało to dość dziwnie, jednak powoli się przyzwyczajałem.

Zatrzymałem auto na podejździe.

– Ale mroczny dwór – rzuciła Didi, wyglądając przez okno.

– Będiesz tu mieszkać przez najbliższy miesiąc – odparłem.

– Żartujesz sobie! – sapnęła.

– Max – powiedziała ostrzegawczo Hela. – Co to ma znaczyć? Co my tu robimy?

Wysiadłem z samochodu i otworzyłem przed nią drzwi.

– Zapraszam w moje skromne progi. – Uśmiechnąłem się, podając jej rękę.

Skrzypnęły stare zawiasy. Zobaczyłem jasną kitkę Irys, która z hukiem zatrasnęła drzwi.

– Już są! – usłyszałem, jak wrzeszczy w hallu.

Sięgnąłem po torby z bagażnika, gdy znikąd pojawił się Gaspar.

– Ja się tym zajmę. – Wyrwał mi walizki z rąk.

– Co? – zdziwiłem się, a on wyszczerzył się do mnie i ruszył ku drzwiom.

Na progu dworku pojawiła się Aster w swojej czarnej sukni, ulizanym koku i z poważną miną.

– Witamy z powrotem w domu, panie Maximusie – powiedziała poważnie. Uniosłem brwi. Nie zwracała się do mnie tak od wielu tygodni.

– Max, o co tu chodzi? – szepnęła do mnie Hela.

– Sam chciałbym wiedzieć – odparłem, wchodząc do domu.

W hallu stali prawie wszyscy mieszkańcy dworku. Wszyscy na baczość, wszyscy z poważnymi minami, a kiedy do nich podszedłem, zaczęli się kłaniać.

– Jaja sobie robicie? – burknąłem.

– Max, coś ty narobił? – Hela złapała mnie na łokieć. – Coś ty nagadał tym ludziom?

Nagle rozległ się pisk. Spojrzałem przestraszony na Didi. Była cała blada, miała wielkie oczy, a dłonie przykładła do ust.

Na szczycie schodów pojawiła się Dalia w tej swojej kolorowej sukni, z apaszką na szyi i opaską z pawim piórem na głowie.

– Babciu! – piszczła nastolatka. – To naprawdę ona!

Patrzyłem, jak malarka powoli schodzi w naszą stronę. Każdy jej ruch był tak teatralny, że aż przesadzony. Na jej pomalowanych na czerwono ustach widniał pobłażliwy uśmiech.

– Witamy w Lawendowym Dworku – zwróciła się do gości.

Didi podleciała do niej, po czym zupełnie ją zatkało i nie mogła dobyć głosu.

– Chodź, kochanie, do sali balowej, opowiesz mi wszystko o sobie. – Dalia wzięła ją pod rękę i pociągnęła za sobą.

– Zaraz będziemy podawać kolację – oświadczyła Aster. – Niech się państwo odświeżą...

Podszedłem do Gaspara i wyrwałem mu z rąk walizki.

– Dobra, skończcie ten cyrk, bo stresujecie Helę – rzuciłem.

Koniuszy wybuchł śmiechem. Konrad poklepał go po plecach. Irys wyszczerzyła zęby.

– To był pomysł pana Rocha – wyjaśniła.

– To dlaczego pan Roch się przede mną nie kłania? – zapytałem, rozglądając się za zarządcą.

– Bo pan Roch jest zapracowany – odparła i uciekła do sali balowej, pewnie podsłuchiwać, o czym rozmawiają Dalia i Didi.

Kiedy służba się rozeszła, Hela znacznie się odprężyła. Zaprowadziłem ją na piętro do sypialni, którą miała dzielić z wnuczką.

– Didi nie przesadzała – odezwała się, rozglądając się po pokoju. – Ta Dalia Rozenbacher to naprawdę musi zarabiać krocie, skoro stać ją na taki dom i tyle służby.

– Taaa? – rzuciłem.

– Jestem z ciebie dumna. – Kobieta podeszła do mnie i poklepała mnie po ramieniu. – Już myślałam, że nic z ciebie nie będzie, a tu proszę, jaka niespodzianka. Max ma normalną, uczciwą pracę. Czym się zajmujesz? W kuchni na pewno cię nie zatrudnili. – Zmarszczyła brwi. – Sprzątasz? Naprawiasz drobne sprzęty? Pomagasz ogrodnikowi?

Pokręciłem głową z uśmiechem.

– Zajmuję się terenami przylegającymi do dworku – odparłem.

I tak mi nie uwierzy, że jestem dziedzicem, nawet jak pokażę jej pakt podpisany moją krwią.

Kolację zjedliśmy we czwórkę z Dalią w jadalni. Później malarka i jej uczennica udały się na poddasze, a Hela poprosiła Aster, żeby ta oprowadziła ją po dworku. Ja zaś udałem się do Pogorzelsk.

– To znowu ty i znowu o takiej niehumanitarnej porze? – rzucił na mój widok notariusz, kiedy otworzył mi drzwi.

– Wiedziałem, że się stęskniłeś – powiedziałem. – Musisz coś zobaczyć.

Bez zaproszenia wparowałem do jego domu. W korytarzu pojawiła się żona Wachima i posłała mi wrogie spojrzenie.

– Chodź do gabinetu – westchnął notariusz.

Położyłem na biurku pakt Flory.

– Patrz tu i tu. – Kolejno pokazywałem mu zapisy o zobowiązaniach „Grzębiącego”.

– I co w związku z tym? – Wachim zmarszczył brwi.

– Jak to co? Można podważyć ten pakt!

– Nie wiem. – Skrzywił się, drapiąc się po brodzie. – Nikt nigdy nie podważał paktów krwi związanych z pochówkiem.

– Bo są nielegalne! – Nie wytrzymałem. – Bo nikt się nie przyznaje otwarcie, że takie paktów zawarł! Bo to robi kasta i nie chce ich rozwiązywać!

Notariusz opadł na fotel.

– Dobrze, czego ode mnie oczekujesz? – zapytał zmęczonym tonem.

– Żebyś pomógł mi uwolnić Florę – odparłem szczerze. – Wiesz, że ona była wdową po marynarzu? I że wyprzedała część jego zachowku, żeby mieć czym nakarmić dzieci? To i podpisanie paktu z Glariusem było jej jedynymi grzechami. Chociaż spróbujmy.

Wachim wpatrzył się w pakt i zaczął stukać w niego palcem.

– Kiedy chcesz to zrobić?

– Dziś. – Wzruszyłem ramionami. – Na co innego mamy czekać?

Mężczyzna wstał od stołu i wyjrzał za drzwi.

– Zrobisz nam kawę, kochanie? – poprosił.

Dałbym głowę, że jego żona podsłuchiwała wszystko, o czym mówiliśmy.

– Siadaj, to będzie długa noc – polecił Wachim.

Zaczął rozkładać na stole jakieś papiery, wyciągnął wieczne pióro i swoją pieczęć. Usiadł w fotelu, odchrząknął i pogрузzył się w pracy. Przez chwilę krążyłem po jego gabinecie, przyglądałem się książkom na regałach, obrazom na ścianach, wyjrzałem za okno, ale notariusz zaczął głośno wzdychać przy każdym moim ruchu, więc opadłem na kanapę stojącą w rogu i pozwoliłem sobie przysnąć. W końcu jako dziedzic powinienem korzystać z każdej sposobności do zdrzemnięcia się.

Po kilku minutach pani Wachim przyniosła nam kawę. Wypiłem moją duszką i znów pogрузzył się w błogiej nieświadomości.

– Gotowe. – Ze snu wyrwały mnie zdecydowany głos notariusza i szelest składanych kartek.

Podszedłem do biurka i spojrzałem na białą stronę leżącą na pożółkłych paktach.

– *Załącznik numer pięć do umowy numer trzy* – przeczytałem. Pomiąłem notarialny bełkot, który znajdował się poniżej. – *Trzynasty dziedzic po hrabim Glariusie Muertonie, Maximus Opoka, oświadcza, iż warunki paktu zawartego dnia piątego marca tysiąc pięćset dziewięćdziesiątego siódmego roku między Glariusem Muertonem a Sylwią Katerą zostały rażąco naruszone.* – Tutaj z kolei wymieniał, z czego dziedzice się nie wywiązywali. – *W związku z czym należy podważyć ważność paktu i rozwiązać umowę zawartą między Grzebiącym a Grzebaną. Grzebana jednocześnie zachowa całą wcześniej ustaloną kwotę zachowku.*

Pod spodem znajdowały się podpis notariusza, jego pieczęć oraz miejsce na podpis dziedzica i Flory.

– Myślisz, że to wystarczy? – zacząłem powątpiewać w to wszystko.

– Nie wiem. – Wzruszył ramionami. – Nigdy czegoś takiego nie robiłem. Ale nie przekonamy się, jeśli nie spróbujemy, prawda?

Powoli pokiwałem głową.

– Przyjdź jutro po mnie, to... – zaczął.

– Nie, zrobimy to dziś w nocy. Flora musi wiedzieć, co się dzieje – stwierdziłem.

Wachim stęknął cicho, ale nie protestował. Wyszliśmy na korytarz i zaczęliśmy się ubierać.

– Za kilka godzin powinienem wrócić – zapewnił żonę, kiedy pocałowała go w policzek na pożegnanie.

– Uważaj na siebie – szepnęła. – Proszę go pilnować – zwróciła się do mnie.

– Przy mnie będzie bezpieczny – obiecałem, ale chyba i tak mi nie uwierzyła.

Pojechaliśmy do dworku. Zbliżała się godzina drugiej warty. Olaf i Norman już jakiś czas temu wrócili z pierwszej, ale uparli się, że muszą iść z nami na cmentarz. Wcale im się nie dziwiłem. Każdy z opiekunów cmentarza chciał zobaczyć, jak odsyłamy Florę w zaświaty. Albo jak dziedzic ponosi sromotną klęskę. Reszta służby również nie spała.

– Powodzenia – powiedziała Aster i posłała mi pokrzepiający uśmiech.

Kiedy się uśmiechała, wyglądała znacznie młodziej.

Irys rzuciła mi się w objęcia, a sekundę później cofnęła się jakby zawstydzona. Notariusz odchrząknął pospieszająco. Chyba chciał mieć to już za sobą. Rzadko bywał na cmentarzu, a w nocy jeszcze nigdy.

– Dobra, skończcie tę szopkę i jazda z dworu – odezwał się Roch. Przełożył siekierę z ręki do ręki i wyszedł przed dom, nie oglądając się za pozostałymi.

Zarzuciłem plecak na ramię i poklepałem się po biodrze, przy którym miałem szablę. Jeśli kiedyś będzie mnie stać, to wynajmę sobie jakiegoś instruktora, żeby nauczył mnie porządnie się nią posługiwać.

Przepuściłem w drzwiach bladego Wachima.

– Będzie dobrze, co nie? – Samson objął go ramieniem i ścisnął, a z urzędnika ze świstem uleciało powietrze. – Przypilnujemy pana. A poza tym Flora znajduje się tuż przy bramie, nie będziemy szli dalej. Tylko pan uważa, żeby na nią nie nadepnąć, co nie? Każdy jej płatek ma dziesiątki ostrych zębów, a każdy z zębów ocieka jadem, co nie?

– Nie strasz go – zganił kolegę Norman.

– Tylko przestrzegam! – zachnął się Samson.

Księżyc w trzeciej kwadrze świecił jasno, odbijając się od śniegu nadal przykrywającego grubą warstwą całe łąki. W oddali widać było cmentarz. Miałem wrażenie, jakby biła od niego błękitna luna łez.

Zatrzymaliśmy się pod bramą. Roch zajrzał do budki strażniczej i wyciągnął z niej kuszę.

– Na wszelki wypadek – odparł, opierając broń o ramię. – Jakby inne dusze się wkurzyły. Do dzieła, dziedzicu. – Wskazał brodą kłódkę.

Wzięłem głęboki wdech, wsunąłem w nią klucz i przekręciłem go. Z głośnym zgrzytem zdjąłem łańcuch z bramy. Obejrzałem się na moich towarzyszy.

– Jak się nie uda, to też spoko – zapewnił Olaf.

Przekroczyliśmy próg cmentarza. W oddali niósł się melodyjny śpiew Bagniaka, trzasnęła gałąź złamana przez Rogacza. Między drzewami rozległ się dźwięk przypominający ocierające się o siebie kamienie. Flora zasyczała na nasz widok. Wszystkie kwiaty zwróciły się w naszą stronę. Była zaciekawiona, dlaczego tyle osób przyszło tu naraz. I dlaczego przyprowadziliśmy obcego.

– Flora? – odezwałem się, zyskując pełną uwagę kwiatów. Lekko się otwierały i przymykały, jakby oddychały. Na kilku płatkach widziałem zielonkawe zacieki trucizny. – Znalazłem w twoim pakcie pewien zapis...

Do tej pory nikt z nas nie był pewien, czy Flora rozumiała, co się do niej mówi, ale dałbym głowę, że jej kwiaty przekrzywiły się lekko, jakby uważnie mnie słuchała.

– Chodzi o to, że... – Zawahałem się.

Nie chciałem dawać jej złudnej nadziei. A jeśli okaże się, że tak jak wszyscy twierdzą, nie można rozwiązać paktu krwi? Że się mylę? Przecież ona wtedy dostanie szafu!

W mojej wyobraźni pojawił się obraz rośliny, która staje się coraz większa, a jej pędy rozprzestrzeniają się po całym cmentarzu i wyrastają z ziemi w każdym jego zakątku.

– Przez co najmniej czterdzieści ostatnich lat, a pewnie i jeszcze dłużej, kolejni dziedzice nie wywiązywali się ze swojej części umowy – kontynuowałem. – Glarius obiecał, że raz do roku twój nagrobek będzie czyszczony, a twoje imię i nazwisko będą widoczne i czytelne.

Pędy oplatające kamień, na którym wyrastała Flora, poruszyły się, odsłaniając miejsce porośnięte mchem i jakimiś porostami. Dałbym głowę, że tam właśnie był napis z jej imieniem i datą śmierci.

– Rozumiesz mnie, prawda? – zapytałem.

Kwiaty zasyczały. Zwróciłem się do notariusza:

– Do dzieła, panie Wachim.

Urzędnik odchrząknął i wysunął się na przód, ale tylko odrobinę, żeby nie znaleźć się w zasięgu Flory. Zaszeleściły kartki paktu.

– *Załącznik numer pięć do umowy numer trzy...* – zaczął czytać notariusz.

Dusza zdawała się uważnie go słuchać. Tak samo zarządca i rękodajni. Kilka razy zrobili głupie miny, jakby nie rozumieli tego notarialnego bełkotu.

Za plecami usłyszałem kamienie. Odwróciłem się gwałtownie i zobaczyłem Gargulca siedzącego na ścieżce. Jego oczy błyszcząły żółto w ciemnościach. Cyntia wpełzła na swój głaz i obserwowała nas z daleka, unosząc węzowy łeb. Po chwili zdałem sobie sprawę, że nawet Bagniak przestał śpiewać, a między drzewami dostrzegłem sylwetkę dżentelmena w garniturze. Założyłbym się, że wszystkie dusze nasłuchiwały.

– *...w związku z czym należy podważyć ważność paktu i rozwiązać umowę zawartą między Grzebiącym a Grzebaną* – zakończył czytać notariusz. – Oczywiście wcześniejsze postanowienia paktu dotyczące zachowku Grzebanej pozostają ważne.

Na cmentarzu zapanowała cisza.

– I co teraz? – odezwał się Norman.

– Poproszę o krew dziedzica – powiedział Wachim, sięgając do aktówki po niewielki przedmiot przypominający długopis.

Wyciągnąłem w jego stronę rękę. Przyłożył jedną końcówkę do mojego palca. Poczulem ukłucie. Notariusz ścisnął mój palec, czekając, aż kropla krwi się powiększy, po czym przyłożył go do załącznika do paktu tuż obok swojej pieczęci.

– Teraz potrzebuję krwi pani Sylvii Katery – rzucił i nawet nie drgnął.

– Dobra, ja to załatwię – mruknął Roch. – Flora, tylko bez numerów – polecił, zbliżając się do niej.

Przez kilka długich sekund czekaliśmy na to, co się stanie, gotowi w każdej chwili ruszyć zarządcy na pomoc, gdyby dusza go zaatakowała. Nagle jeden z pędów wystrzelił w jego stronę i zatrzymał się tuż przed jego

twarzą. Zarówno ja, jak i rękodajni drgnęliśmy nerwowo i tylko Roch pozostał zupełnie niewzruszony. Wyjął zza paska nóż i naciął roślinę.

– Dawaj ten pakt! – Wyciągnął rękę za siebie.

Wachim nie ruszył się z miejsca, więc wziąłem papiery z jego zimnych dłoni i podałem Garłaczowi.

Patrzyliśmy, jak kilka zielonych kropli skapnęło na pakt. Roch wycofał się, nie odwracając się do Flory plecami.

– To już? – szepnął Samson.

Nikt z nas nie wiedział. Nikt nigdy czegoś takiego nie robił (chyba, bo przecież tego typu pakt były nielegalne, ale co się działo w podziemiu, to już zupełnie inna sprawa...).

Oczekiwałem chyba, że Flora zamieni się w świecąca łunę jak Opal albo chociaż w chmurę szarego dymu jak Śmiercian. Nic takiego jednak nie nastąpiło.

– Chyba jednak się nie udało – westchnął ze smutkiem Wachim.

Przygarbiłem się. A przecież miałem taką nadzieję!

– Przykro mi, mała. – Norman wyglądał, jakby chciał zaraz poklepać krzepiąco roślinę po kwiatach.

– To nie mogło się udać – powiedział cicho Olaf, kręcąc głową.

– Patrzcie na nią, durnie! – sapnął niespodziewanie Roch.

Wszystkie oczy skierowały się na Florę, która nagle znieruchomiała, a to było coś u niej niespotykanego. Nawet za dnia, kiedy spała, jej kwiaty poruszały się lekko.

Naraz wszystkie pędy, wszystkie kwiaty zaczęły się cofać ku kamieniowi, a później w nim zniknąć, zupełnie jakby zagłębiały się w wodę. Nawet poskręcany pień duszy zagłębił się w swój nagrobek.

Na cmentarzu ponownie zapanowała cisza. Flora zupełnie zniknęła. Po raz pierwszy od prawie dwustu lat zniknęła.

– Udało się? – zdziwił się Olaf.

– Założę się, że jeśli byś odsunął ten kamień, to znalazłbyś pod nim pustą trumnę – stwierdził Roch. – Bez szczątek i bez zachowku.

Na jego twarzy pojawił się uśmiech.

– Możemy zatem uznać, że pakt został rozwiązany – powiedział urzędowym tonem Wachim.

– Czy ktokolwiek kiedykolwiek wątpił, że to możliwe? – odezwałem się, nie mogąc ukryć radości.



Mama często powtarzała, że osiągnę wielkie rzeczy. Kiedyś myślałem, że to znaczy, iż będę bogaty i wpływowy. Teraz wiedziałem, że za jej słowami kryło się coś zupełnie innego, i po raz pierwszy od śmierci rodziców poczułem, że byłiby ze mnie naprawdę dumni.

– No, panie dziedzic – rzucił zarządca. – Dokonałeś niemożliwego.

Za nami rozległ się hałas. To Gargulec zerwał się do lotu. Bagniak podjął swoją melodię, a Rogacz ruszył z kopyta. Wieść o odejściu Flory już roznosiła się po całym cmentarzu.

– To idziemy świętować! – ucieszył się Samson.

– Ty to idziesz na wartę – ostudził jego zapał Roch.

Rękodajny skrzywił się z zawodu.

– Daj spokój – powiedziałem. – Do rana dusze będą przeżywały odejście Flory, żadna nie zwieje ani nic nie nabroi.

Zarządca zacmokał, zastanawiając się.

– Dobra, idziemy świętować – postanowił w końcu.

Wróciliśmy do dworku, a w hallu powitali nas wszyscy mieszkańcy oprócz Dalii, Didi i Heli. Była tu nawet Penelopa, która również czekała z niecierpliwością na nasz powrót.

– Udało się! – wykrzyknął od progu Samson. – Dziedzic odesłał Florę!

Irys zapiszczała z radości. Kolejne osoby zaczęły mi gratulować, podawać dłonie i klepać mnie po plecach. Przeszliśmy do kuchni, Konrad polał bimber, Alma przygotowała przekąski.

– Co się stanie z nami, jak już odeślemy wszystkie dusze? – przestraszyła się niespodziewanie Irys. – Lawendowy Dworek przestanie być już potrzebny.

– Nie rozpędzaj się tak. – Pokręciłem głową. – Zapis o dorocznym czyszczeniu nagrobka był umieszczony tylko w pakcie Flory. Z innymi nie pójdzie tak łatwo. Nie wiem, czy Glarius zostawił sobie taką furtkę jeszcze gdzieś. Zresztą wszyscy czytaliście te pakty i nikt nie znalazł nic podobnego.

– Czyli sądzisz, że nie uda się uwolnić pozostałych? – zapytała Penelopa.

– Nie wiem. – Wzruszyłem ramionami. – Każdy pakt jest inny. Przyjdzie nam je studiować miesiącami, a może nawet latami, żeby odkryć wszystkie ich zawiłości. A taki Hugo na przykład ma podpisany pakt na wieczność. Możliwe, że jemu nic nie pomoże.

– Pomogliśmy jednej duszy – odezwał się Wachim. – A to już dużo. Znacznie więcej, niż osiągnęliśmy przez ostatnie dwieście lat. Tylko... – Zawahał się. – Nie rozpowiadajcie o tym. – Posłał znaczące spojrzenie Irys.

– Dlaczego? – zainteresowałem się.

– Za coś takiego należy nam się premia – dodał Norman.

– Nie wiem, jak władze na to zareagują – wyjaśnił notariusz. – A jeśli odkryją, że odesłanie dusz jest możliwe, i każą wam uwolnić je wszystkie do końca roku? I zagrozą, że tym, którym nie da się pomóc, trzeba jednak odebrać zachówek?

Pokiwaliśmy głowami. Szczerze mówiąc, właśnie czegoś takiego spodziewałbym się po urzędnikach wysokiego stopnia. Wachim miał rację, lepiej trzymać gębę na kłódkę i robić swoje.

– A nawet jeśli odeślemy kiedyś wszystkie dusze, nikt nie musi o tym wiedzieć – powiedziałem. – Przecież żaden urzędnik nie chodzi na cmentarz, nikt się nie zorientuje, że krypty są puste.

– Przecież to byłoby... – zaczęła oburzona Aster.

– Oszustwo – dokończyłem za nią. – Ale w tym jesteśmy przecież dobrzy, prawda? – Puściłem do niej oko.

– A te chłopaki z kasty? – przypomniał Olaf. – Oni jeszcze trochę posiedzą na pokucie i będzie trzeba ich pilnować, tak więc nasza robota jest bezpieczna na co najmniej kilkanaście, a może nawet kilkadziesiąt lat.

– Jeśli dożyjesz. – Samson uderzył go pięścią w ramię.

Świątowaliśmy do samego świtu, aż Roch pogonił wszystkich do łóżek, bo przecież kolejna warta nie poczeka i każdy ma być wyspany.

Razem z Penelopą ruszyliśmy na piętro i zatrzymaliśmy się pod drzwiami jej sypialni.

– Jeszcze raz gratuluję, Max. – Uśmiechnęła się do mnie ciepło.

– Dzięki – odparłem trochę nieprzytomnie. Rzeczywiście byłem już zmęczony. – Jutro muszę wpaść do wsi.

– Po co?

– Po kurnik.

Penelopa zrobiła zaskoczoną minę.

– Pewnie myślisz, że nie pamiętam, ale pamiętam o wszystkim – powiedziałem. – Chciałaś mieć dom na wsi, dziecko, psa i kury. A Alma na pewno się ucieszy, że będziemy mieli własne jajka i nie będzie musiała latać po nie do Pogorzelsk. – Zmarszczyłem brwi. – Była też jeszcze jedna

rzecz, o której marzyłaś... – Podrapałem się po brodzie. – Ach, no tak. Ale męża to musisz znaleźć sobie sama.

– Jesteś niemożliwy! – roześmiała się Penelopa.

– Nie. – Potrząsnąłem głową. – Ja tylko robię niemożliwe rzeczy.

Udałem się do swojej sypialni i od razu zasnąłem. Śniła mi się Flora. Miała postać dojrzałej kobiety zmęczonej życiem. Ale uśmiechała się do mnie. Skinęła mi głową w podziękowaniu i zniknęła.

Wstałem, gdy było już grubo po południu. Wyjrzałem przez okno na łąki przykryte śnieżną pierzyną i odkryłem, że nie mogę się doczekać, aż zazielenią się wiosną. Teraz wiedziałem, że doczekam tu wiosny i lata, i kolejnej jesieni. Zaplotę wianek z przedzimek i zaniosę go do krypty, w której znajdowała się pusta już trumna Opal. No, chyba że dusze wykończą mnie prędzej. Ale sam z własnej woli stąd nie odejdę.

W doskonałym humorze opuściłem mój pokój i skierowałem się na schody. Mijałem kolejne obrazy dziedziców, aż nagle zdałem sobie sprawę, że coś jest nie tak. Zmarszczyłem brwi i cofnąłem się kilka kroków.

– No, Dalia, zaszalałaś... – rzuciłem w powietrze, stając przed nowym płótnem wiszącym na ścianie.

Dość mroczny obraz przedstawiał mnie i muszę przyznać, że wyglądałem na nim całkiem nieźle. Miałem na sobie strój prawdziwego dziedzica: białą koszulę, krawat, kamizelkę i elegancki płaszcz, a moje oczy błyszczały lekko spod kaszkietu. Do tego jeszcze jeden kącik ust uniesiony w zawadiackim uśmiechu. Wokół mnie wiły się dwa olbrzymie węże. Za mną zaś rozciągały się bezkresne łąki, a gdy bliżej im się przyjrzałem, spostrzegłem sylwetki dusz. Byli Rogacz stojący dęba, Flora, Gargulec w locie i nawet Piękna. Nie wiem, jak udało się Dalii to przedstawić, ale dusze wyglądały na... wolne i szczęśliwe.

– Wybacz, że wczoraj z wami nie świętowałam, ale musiałam go skończyć. – Artystka stanęła obok mnie. – Podoba ci się? – zapytała nieśmiało.

– Jest zarąbisty – przyznałem. – Nikt nigdy jeszcze mnie nie namalował.

– Jest trochę ciemny, jak Kalisterona... – Zmarszczyła brwi z niezadowoleniem.

– Nie, jest zupełnie inny – powiedziałem szybko. – Jest idealny.

– Nie wiem, czy dobrze dobrałam strój. – Zerknęła na mnie kątem oka.

– Chyba muszę zmienić styl i zacząć się wreszcie ubierać, jak na dziedzica przystało. – Uśmiechnąłem się.

– Wiesz, te ciemne łąki... Chciałam, żeby skrywała się tam przyszłość dworku i cmentarza. Nasza przyszłość. Ale nie jest mroczna, jest pełna nadziei.

– Dziękuję. – Objąłem ją ramieniem i pocałowałem w głowę.

\*

To był zwykły dzień. Kolejny zupełnie zwykły dzień po niezwyklej nocy. Skończyłem jeść obiad i przeciągnąłem się na krzesło. Penelopa siedziała na szeszlengu i segregowała dziecięce ciuszki, pomagała jej Hela. Irys wycierała kurze z mebli. Olaf i Samson wrócili z popołudniowego patrolu i nanieśli do jadalni błota, za co Aster nieźle ich ochrzaniła. Gaspar, Konrad i Norman grali w karty przy kominku. Aksel bawił się z psami w kącie, a Roch majstrował przy swojej kuszy. Dalia i Didi rozłożyły sztalugi przy oknach, twierdząc, że tutaj jest lepsze światło niż na poddaszu.

To była moja rodzina. Nie jestem pewien, kiedy to odkryłem, ale już wiedziałem, że dla nich byłbym w stanie zrobić chyba wszystko. Mogłem podpowiedzieć Aster kilka trików, jeśli chodzi o przekręty w księgach rachunkowych, żeby tylko pomóc Normanowi i jego synkowi. Mogłem ramię w ramię z własną służbą sprzątać dworek i naprawiać zepsute sprzęty. Mogłem własnym ciałem zasłonić zarządcę i rękodajnych, jeśli zaatakowałyby ich dusze na cmentarzu. Po latach tułaczki odnalazłem swoje miejsce. I wyglądało ono zupełnie inaczej, niż kiedyś to sobie wymarzyłem.

Ścisnąłem złotą monetę wiszącą na rzemyku pod koszulą i zerknąłem na sygnet dziedzica na moim palcu. Czeka mnie jeszcze wiele pracy. Spędzę całe godziny, ślęcząc nad pozostałymi paktami, i nie spocznę, dopóki nie odkryję sposobu, jak pomóc pozostałym duszom. Po to właśnie zostałem dziedzicem.

Naraz Roch wstał z krzesła, podszedł do mnie i wyciągnął coś zza pazuchy.

– Przyda ci się – burknął swoim zwyczajnym, gniewnym tonem.

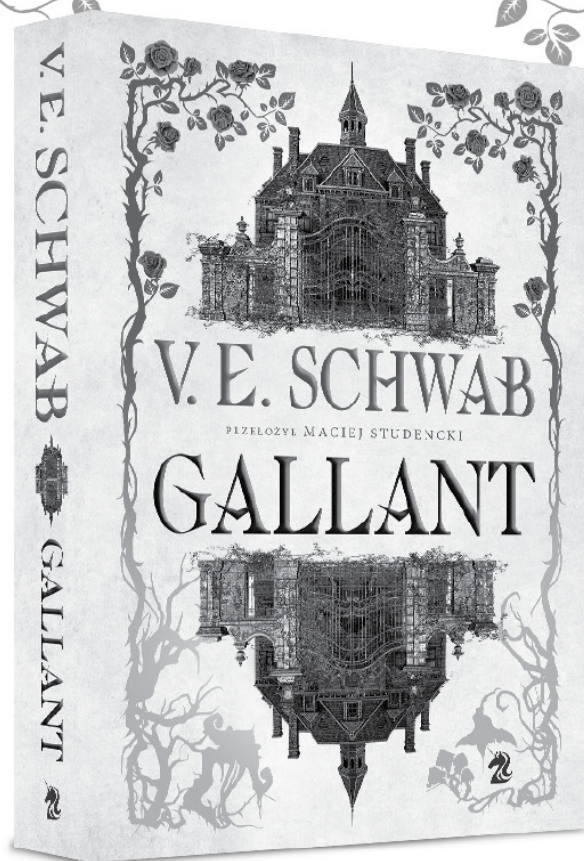
Wziąłem do ręki gruby notes oprawiony w skórę. Na oprawie były wytłoczone dwa słowa: *Maximus Opoka*. Otworzyłem go i ujrzałem białe, niezapisane kartki.

– Pora, żeby dziedzic zabrał się do roboty i zaczął spisywać, co trzeba, dla przyszłych pokoleń – powiedział zarządca i wrócił do czyszczenia kuszy.

Pogładziłem palcami brązową okładkę. Do wszystkich dusz, naprawdę się wzruszyłem.

– Co tak siedzisz jak idiota? – rzucił Roch ze swojego kąta. – Leć po długopis i pisz.

KONIEC

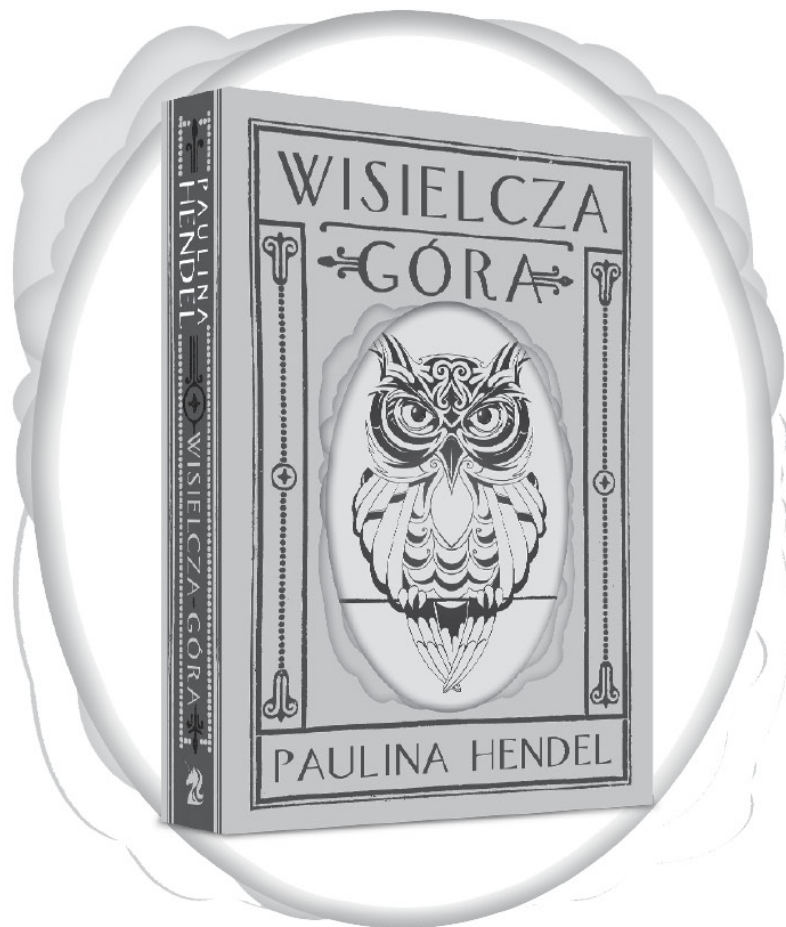


Olivia Prior dorasta w szkole dla dziewcząt, nie wiedząc nic o swojej rodzinie i pochodzeniu. Posiada tylko jedną rzecz związaną z jej przeszłością: to dziennik z zapiskami swojej matki.

Pewnego dnia Olivia otrzymuje list zapraszający ją do powrotu do domu — do Gallanta. Czyli jednak nie jest na tym świecie sama... Kiedy jednak dziewczyna przybywa na miejscu, okazuje się, że nikt na nią nie czeka. Jednak Olivia nie zamierza opuścić pierwszego miejsca, w którym zaczyna czuć się jak u siebie. Nie ma znaczenia, że jej kuzyn Matthew jest do niej wrogo nastawiony, czy też to, że dziewczyna zaczyna widzieć martwiaki nawiedzające korytarze posiadłości.

Gallant skrywa wiele tajemnic i Olivia jest zdeterminowana, aby odkryć je wszystkie. Gdy w murze ogradzającym posiadłość znajduje drzwi, trafia nagle do tajemniczego miejsca, którym rządzi zło...

Czy wśród cieni utkanych z przeszłości dziewczyna odnajdzie prawdę?



### **Oto nasz dar! Oto nasza ofiara!**

Przepraszam za wszystko – szepcze Anka, gdy czuje pętlę na szyi i patrzy w oczy brata po raz ostatni. Nigdy nie przypuszczała, że przyjazd do Grobowic sprawi, że odkryje nowy świat, obudzi duchy i stanie twarzą w twarz z prawdziwymi potworami. Antek myśli tylko o Nastce, która uciekła do mrocznego lasu. Wiej, ratuj się! Czy można jednak uciec przed demonami i przeznaczeniem? Pobyt u ciotek w odciętej od świata wiosce wydawał się idealną odskocznią od rodzinnych dramatów. Tymczasem... zapłonął ogień, martwe ciało wypełzło z ciemności, a walka o stanowisko burmistrza przerodziła się w polowanie. Czy słowiańskie bóstwa istnieją naprawdę? Czy rodzeństwo Sokołów pozna wszystkie tajemnice Wisielczej Góry?

Paulina Hendel zabiera nas do cichego zakątka w samym środku kraju, odcina od internetu i zmusza do niebezpiecznej zabawy z wyobraźnią. Uwierzcie w to, co nierealne i niesamowite! Przeżyjcie przygodę życia!





### **Książka nastolatki idealna dla nastolatków i nie tylko!**

Wejdź do świata, w którym od pięciu tysięcy czterystu sześćdziesięciu dziewięciu dni jest 21 czerwca 2106 roku. Każdego wieczoru podczas gwałtownej Burzy czas cofa się o dobę. Nikt nie pamięta, jak wcześniej wyglądało życie, a w Przedczas wierzy niewielu.

Nastoletnia Mar pragnie odkryć, co stało się z jej rodzicami. Opuszcza dom ciotki, wsiada na konia i rusza do Miasta owianego grozą. Na jej drodze niespodziewanie pojawia się Artel, chłopak parający się fizyką i skrywający w domu wehikuł czasu, który nie działa. Czy tę dwójkę łączy wspólna przeszłość, a może to właśnie przeszłość splecie ich losy?

Wątek romantyczny, oklepana dystopia, bohaterowie, którzy nie myślą, co robią? To nie tutaj! Hania Czaban zabierze was w niezwykłą podróż i sprawi, że wasze umysły rozbłysną niczym gwiazdy na nocnym niebie!





**że spodobała Ci  
się ta KSIĄŻKA**

po więcej zajrzyj do księgarni

[www.wydajenamsie.pl](http://www.wydajenamsie.pl)

# Spis treści

Rozdział 1

Rozdział 2

Rozdział 3

Rozdział 4

Rozdział 5

Rozdział 6

Rozdział 7

Rozdział 8

Rozdział 9

Rozdział 10

Rozdział 11

Rozdział 12

Rozdział 13

Rozdział 14

Rozdział 15

Rozdział 16

Rozdział 17

Rozdział 18

Rozdział 19

Rozdział 20

Rozdział 21

Rozdział 22

Rozdział 23

Rozdział 24  
Rozdział 25  
Rozdział 26  
Rozdział 27  
Rozdział 28  
Rozdział 29  
Rozdział 30  
Rozdział 31  
Rozdział 32  
Rozdział 33  
Rozdział 34  
Rozdział 35  
Rozdział 36  
Rozdział 37  
Rozdział 38  
Rozdział 39  
Rozdział 40  
Rozdział 41  
Rozdział 42  
Rozdział 43  
Rozdział 44  
Rozdział 45

Polecamy również